

Biблиотека Publiczna

66

I

■

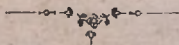


WIKTOR TISSOT.



PODRÓŻ PO ZABORACH PRUSKICH.

TLÓMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.



WARSZAWA,
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
Nowolipki Nr. 2406 (3).

—
1876.

H. TRENKLER W WARSZAWIE
WIERZBOWA 4 HOTEL ANGIELSKI

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

I.

W kraju Wendów i Hanowerze.

Zabory wendyjskie.—Krzyżacy, piérwsi żołnierze pruscy.—
Niemiec naturalny wróg Słowianina.—Rossyanie i Prusacy.—
Sny pansławizmu.

Jeszcze w dwunastym stuleciu Laba (Elba) tworzyła kres germańskiej rasy; po za nią, aż do wybrzeża Sprei i Bałtyku, należała cała kraina do Wendów, czyli Słowian, szczepu walecznego i pracowitego, który założył tam księstwa i grody handlowe; najznakomitszy z tych ostatnich, Brannebor, przekazał swoje imię Brandeburgii. Niemcy dotąd bogactwy Południa nęceni, uczuwszy wtedy pod ręką kraj zamożny i nowy, nagle nakształt powodzi od Zachodu na Wschód się zwrócili, a po trzechwiekowej walce, udało im się wyprzeć Słowian na przeciwny brzeg Wisły. „Krwa-we sceny, których kraina ta była widownią, powiada pewny historyk niemiecki, równały się gwałtami, zdradliwością i heroizmem widowiskom, jakie kalały w trzy-sta lat później ziemię amerykańską, gdy pogan Me-

ksyku i Peruwii Hiszpanie ugięli pod jarzmo, narzucając im chrześcijaństwo;“ wyznać zaś wypada, że owe walki do ostatniej krwi kropli pogan słowiańskich trwały nieskończenie dłużej, niżeli u amerykańskich bałwochwalców.

Krzyżacy zwyczajnie wieszali słowiańskich jeńców na drzewach, czasem téż wyłupywali im oczy, obcinali nosy i uszy. Tak barbarzyńskie obchodzenie wywoływało odwet krwawy, więc rycerzy pojmanych przez Słowian przywiązywano do koni w pełnym czapraku i wtrącono żywcem w płomienie gorejących stosów. Niemieckiego księdza, który zawitał do handlowego miasta Wineta, u ujścia Odry, w celu krzewienia ewangelii, pojmano, wrzucono do łodzi bez żagla i puszczono na igraszkę wiatrów morskich. Pospólstwo zebrane na wybrzeżu, wołało doń: „idź i każ twoją religię rybom.“ Niemcy ustawiali po potyczce swych jeńców słowiańskich w gęsiego, chrzcząc ich wodotryskiem z pompy, podczas gdy księża odmawiali świętą formułę. Gdy rycerze zakonu krzyżowego, przeszedłszy lodem okryty Bałtyk suchą nogą, zdobyli warowną wyspę Ezel, wrzucono niedobitków Słowian przemocą w wodę lodową, chrztem ich w ten sposób obdarzając.

W r. 1872 cesarz Wilhelm zwiedził Marienburg, gdzie się dotąd wznosi *gród Maryi*, starożytny zamek wielkich mistrzów zakonu; z tego to wyniosłego gniazda panowali oni nad słowiańskimi ziemiami. Uroczystość ta zgromadziła przeszło 20,000 osób. Urządzono tam wielką historyczną kawałtadę, „widziano tam — jak pisze pewien korespondent — przeciągające przez ulice Marienburga szyszaki kończaste, zbroje pierścieniste i białe płaszcze o czarnych krzyżach rycerzy teutońskiego zakonu.“ Heh! tym kończatym, mało

zmienionym, zdobią teraz głowy pruskich żołdaków; też same białe i czarne barwy tworzą dziś pruską chorągiew.

Wszystko. mienie Wendów czyli Słowian zabrano na korzyść niemieckich kolonistów. Rycerz pewien powiada: „że z pierwotnemi panami kraju, obchodzono się, jak z skruszonymi narzędziami, już zużytymi i niepotrzebnymi.“ Najdrobniejsze wykroczenie przeciw prawom, śmiercią karano. Ztąd nieszczęśliwi pokonani, pocieszali się słowy: „wyrzemy wkrótce i pójdziemy do nieba, tam tak będziemy pastwić się nad Niemcami, jak oni nad nami się pastwią na tym padole.“

Słowo „niemiec“ było najdotkliwszą zniewagą w ustach słowiańskich. Do dziś nieznają w Rosyi obelgi równiej wyrazom „kakoj niemiec!“ Dawniej pan rosyjski trwożył opieszałego sługę pogroźką, iż go Niemcom odda. Obszernie prawią nam o narodowej nienawiści Włochów i Niemców; nie wierzę jednak, aby ona była tak głęboką, jak między Słowianami i Niemcami (*). Niemiec jest wrogiem urodzonym Słowianina, którego zawsze uciskał. Wyгнаwszy go z nad brzegów Sprei, Niemiec zagarnął Inflanty, Estonię, Kurlandję i nawet już zawojowanie Rosyi uważał za swe posłannictwo, aż, jak wiadomo, Iwan groźny wypędził Niemców z Nowogrodu i ocalił cesarstwo.

Owe 60,000 Niemców osiadłych w dzisiejszym Petersburgu nie zrzekło się swojej narodowości, jakby

Pomorski!

(*) W jednej z prowincyi pruskich, nie zniemczonéj wbrew usiłowaniom rządu, pytał chłopca inspektor szkolny, pan Wengel: „Którzy są ludzie zacni i cnotliwi?“ Odpowiedziano: „Ci co chodzą do kościoła i pobożnie odmawiają pacierze.“ „Którzy są źli ludzie?“ badał dalej nauczyciel, na co w oka mgnieniu wyszło chórem z ust wszystkich dzieci: „Niemcy!“

Sticker chciał nas przekonać, przeciwnie zamieszkują wspólną dzielnicę, Wasyli—Ostrów, zachowując zwyczaj niemieckie, język niemiecki, szczerść niemiecką, fajki niemieckie i czystość niemiecką; co niedzieli ujrysz ich zgromadzonych w niemieckich świątyniach; mają niemieckie szkoły, niemieckie browary, niemieckie kluby, pruskich dziennikarzy i niemieckie gazety.

Sprzecznosc dwóch rass nie wybija się jaskrawo w głębi cesarstwa, lecz okazuje się codziennie na jego granicach wschodnich, w postaci tysiąca zajęć drobnych na pozór, gdyż Rossya poczuwa się nad brzegami Wiśły i Warty do obowiązku słusznego oporu przeciw temu popędowi na Wschód (Drang nach Osten); owej idei uświęconej w Niemczech, więc opiera się mu różnemi sposobami.

Z prowincyi nadbałtyckich, gdzie Niemcy tworzą dziesiątą część ogólnej ludności, pisał pruski rządca dóbr znakomitych, do Gazety Augsburskiej już w roku 1863: „Tak tu wszędzie Niemców nienawidzą, że nie śmiem wychylić się po za obręb własności.“

Lecz oddaliliśmy się od brzegów Sprei; czas już wrócić do nich. Teraźniejszość jest rodzajem ślizgiej pochyłości, a fakta mało znane, rzucają czasem iskry światła na zagadkę międzynarodowych stosunków.

W swojej *Sztuce Rządzenia* pouczał Fryderyk II swego bratanka, iż nie powinien się rumienić ze skromnego swego pochodzenia, albowiem największe monarchie poczęły od uzurpacyi.

Prusy, jak owe „wielkie monarchie“ uzurpacyi zawdzięczają istnienie. Dziś, z nadejściem ogłady języka, zdaje mi się, że uzurpacyą nazywają aneksyą.

Pan de Quatrefages starał się dowieść, w pracy dowcipnej nad szczepem pruskim, iż Prusacy nie są Niemcami, wychodząc z przypuszczenia, że Wendowie zger-

manizowawszy się, przyjęli w końcu zwyczaje i język niemiecki. Wniosek ten mógłby mieć podstawę, gdyby walka jaką Niemcy przeciw Słowianom toczyli, nie była wojną zagłady, i gdyby nawet obecnie nie spotykano o mil dziesięć od Berlina, w borach nad Spreą i w Łużycach, szczątków narodowości wendyjskiej, z swemi nawyknięciami, z swojemi zwyczajami, z swą mową prastarą, strojem swoim i swemi narodowemi pieśniami. Zdaje się, że Wendowie schronili się w głąb tych ciemnych kniei, uchodząc przed najeżdżcą germańskim. Tam istnieją jeszcze w liczbie 80,000, między sobą żeniąc się wyłącznie i przechowując głęboką i żywą nienawiść ku Niemcowi.

Podziwiam majestat i epopeę w tych odwiecznych szamotaniach małego ludu przeciw szponom orła Hohenzollernów. Co za przykład dla późniejszych zaborów! Po sześciu wiekach oporu, jeszcze ich nie obalono!

„Słowianin za lat 50—pisał p. Renan w pięknym swym liście do p. Strauss’a—dowie się, że wyście imię jego uczynili synonimem „niewolnika“ (*), przejrzy długie, historyczne wyzyskiwanie swojej rasy przez waszą; Słowianie zaś dwakroć od was liczniejsi. Słowianin, jak smok Apokalipsy, którego kita zmiata trzecią część gwiazd niebieskich, powlecze za sobą rzesze środkowej Azji, dawną drużynę Dżyngischanów i Tamerlanów. Pomnijcie, co za ciężar padnie wówczas do szali równowagi świata, gdy Czechy, Morawy, Kroacya, Serbia, ludy słowiańskie pod władzą Porty, święcie przeznaczone na wyzwolenie, szczepy heroiczne, zawsze wojownicze, potrzebujące tylko wodzów, ugrupują się dokoła konglomeratu Słowian północnych!....

* / Renan fałszywie przekłada!

(*) Slave i Sclave.

Dawno czułem pociąg ku tym borom przezwanym *Spreewald* i z niecierpliwością oczekiwałem chwili wniknięcia w ich tajemnicze rdzenie. Może, myślałem, spotkam tam wendyjską księżniczkę, córę bogów, zmienioną w kwiatek leśny, by ująć okrucieństwa Germanów. Kielich jój błękitny jak niebo, listki jak nadzieja zielone, woń upajająca—tuli się ona w porębie i czeka, zanim oblecze się w postać pierwotną, zbawcy co ją odkryje i uszczknie. Wtedy zostanie królową wielkiego narodu, a szczep słowiański (dodaje ta legenda) zawojuje prawem odwetu rasę germańską.

Jakżeż długo trwać będzie to już zbyt długie oczekiwanie piękności śpiącej w kniei? Jeżeli zliczymy wszystkie oznaki żywotności okazujące się w słowiańskich ludach, uwierzemy, że nie zwiędnie kwiateczek zawierający w swém łonie zaród wielkiego narodu przyszłości; za dnia marzy on pewno w smętnej swojej kryjówce sny pyszne, w nocy drży pewno nad słowiańską tą ziemią, opasującą go dokoła i drgającą, jak gdyby umarli wydzierali się z swoich mogił!

II.

W podróży do Spreewald. — Lubin. — Wendowie i Niemcy. —
Mężczyźni. — Kobiety. — Wstęp do borów. — Młyn Kannowa. —
Wsiadanie do łodzi. — Wielka Mutnica. — Zjawisko miłośne. —
Potów raków. — Gniela.

Zaczął się tydzień ostatni mego pobytu w Berlinie, gdy zaś postanowiłem poświęcić go wycieczkom w okolice, mogłem wreszcie wyruszyć do kraju Wendów, do Spreewaldu, czyli lasu Sprei. Chciałem zbadać tę okolicę na wskroś, wedle kaprysów mego upodobania, kwoli czemu ścisnąłem moje ruchomości w najszczuplejszy format — tornistra. Przepadam za pieszem podróżami, innych nie pojmuję, niemi tylko się zachwycam, albowiem pozostawiają nas panami własnych popędów, wolności pełnej i nieograniczonej, osoby własnej. Nie wrzucą cię wtedy jak paczkę między inne paczki; nie masz sąsiada, co przez sześć kolejnych godzin prawi ci o trzech włosach pana Bismarck'a, ani sąsiadki co spuszcza firankę u okna wagonu, z wymówką, że chrapiąc chce oglądać krajobraz; nie masz mianowicie dziatwy, pnącej się na twoje kolana i zmieniającej się wśród ogólnej wesołości w źródła, nakształt Aretusy, albo Cyany. Łąki szerokie i nieprzegrodzone ścielą ci pod stopy miękkie i pełne słodkiej woni koblince, spoczynku miejsca zależą od twego wyboru, w cieniu jodły, lub dębu, nad źródłem szemrzącem.

Wieczorem wchodzisz do małej wiejskiej gospody, ku zdziwieniu gęsi i dzieciaków, zatlisz fajkę, gwarzysz z wieśniakami, słuchasz ich opowiadań i baśni, idziesz senny do łóżka, śpisz aż kur zapieje pobudkę. To nazywam rzeczywistą podróżą, tak niegdyś podróżowano. Zwyczaj ten cokolwiek powolny ojców naszych, uważam za chwalebny; zdaje mi się, że powrót do niego wyszedłby nam na dobre.

Musiałem jednak wziąć kolój z Berlina do Lubina, gdyż aż do borów Sprei okolica równa się długiej, jednostajnej puszczy piaszczystej. Lubin (Lubben), dotąd otoczony starymi warowniami, panuje nad wejściem do Spreewald'u. Rzeka zalotnie zielonemi ramiony kić mu opasała, jakby go wabiąc, by powąłęsał się za nią w zmrok wielkiego lasu. Zamek, dawna siedziba sędziego grodzkiego niższych Łużyc, dziś mieści w swych murach trybunał, urząd podatkowy i śpichrz soli. Lubin, przyanektowany już w XIV-ym wieku, dziś jeszcze jest w dzierżeniu pruskiego garnizonu. Wendowie, wtłoczeni do starego miasta, upornie nie chcą pojąć szczęścia należenia do sławnego cesarstwa i unikają wedle możliwości ocierania się o Niemców. Tym to odwiecznym wrogom zawdzięczają oni swoje imię „Wendów,” od niemieckiej *Wand*, czyli ściany, albo muru; gdyż jak ściany głuchemi się okazywali ilekroć do nich Niemiec przemawiał.

Wendowie od Niemców moralniejsi, nie znają między sobą kradzieży. W siołach wyłącznie wendyjskich nie wiedzą co są zamki. Obyczaje ich nieskażone, że-nią się stale pomiędzy sobą jak Żydzi, i o tyle są gościnni, o ile Prusacy bywają samolubni i zatwardziali. Żyją z rybołówstwa, myśliwstwa, rolnictwa, będąc nieznużonymi robotnikami, nadzwyczajnej tęgości i wytrwałości. Im tylko zawdzięczają Prusy, że piaszczy-

stan-
weso-
nie!

Wendowie = Słowianie

stą i bagnistą ziemię brandeburską zasiewają tu i owdzie zielone oazy.

Nietylko można ich poznać na pierwszy rzut oka, z ich ubiorów dziwnych, lecz i z rysów wybitnie słowiańskich. Dorodni są oni, rośli, zwinni, a czarne oczy iskrzą z ich otwartych i naiwnych twarzy; gdy się uśmiechają, odkrywają dwa rzędy zębów białych, jak kość słoniowa.

Niewiasty wendyjskie godnemi są ludu, co zmuszony słabością do ugięcia się pod jarzmo, nigdy nie zaznał hańbiebnych kapitulacyi i trwożliwego wahania. W chodzie i układzie zachowują one szlachetną dumę, zdobywającą szacunek zwycięzców. Żywe i zwinne są one, ich duże, czarne oczy są słodczy pełne i niedociekłe, przez otwarte ich usta dojrzysz dwie pereł pierścienice. Kędziorzy ich spływają obficie i przepysznie, rękę i stopę mają bardzo wykwinłą. Te cechy wielkiej rasy piętnują ich narodową odrębnością. Wieśniaczka niemiecka przypomina małpicę (*), wendyjska, zawsze prawie, królowej się równa. „Ten szczep dowcipny — pisze margrabia Custine, mówiąc o Słowianach — zbyt jest łagodnej natury, i posiada zbyt czułe obejście, żeby się mógł złąć z narodami teutońskimi. Powolność, ociężałość, gburostwo, lękliwość, niezgrabność wręcz się sprzeciwiają nastrojowi słowiańskiego ducha. Łatwiej oni znoszą mściwość i tyranję; ku cnotom nawet germańskim czują wstręt Słowianie.“

* Część znaczna wendyjskiej ludności wyznaje religię grecką, mają więc odrębny kościół w Lubinie, gdzie nabożeństwa i kazania odbywają się w słowiańskim języku.

(*) *Vieh* i *Bauer* (bydłę i chłop) są synonimami w języku niemieckim.

Lubin zawdzięcza swoje imię Lubei, bogini miłości, którą Wendowie czcili w gajach z jesionów i brzóz na prawo od miasta. Lasy te były siedzibą *ludków*, czyli karłów służących bogini, którzy aż do siedzib ludzkich zachodzili, szukając dla niej pożywienia. Ludki te nie mogły wedle podania ścierpieć brzęku dzwonów, więc gdy te były one się kryły w pieczary. Posąg bogini Lubei wieńczył pagórek, z kąd go zanesiono do szpitalnej wieży.

Spędziłem noc w Lubinie, a nazajutrz o wschodzie słońca, wybrałem się do Starój-Zawszy, wsi sporój na krawędzi Spreewald'u. Szedłem wzdłuż rozkosznej ścieżeczki, zalotnie wijącej się wśród murawy dzierganój kwieciem i iskrzącój rosą. Tam w dole, między drzewami, śpiewały ptaszki nutę witającą moje przybycie słońce ubrało się w swoje ogniste kędziory i włożyło najświetniejszą swą złocistą koronę. Ten prolog poranny z illuminacją i chórami dowodził mi, że na tój scenie okazałej, przyroda dużo umie wystawić, z kąd wnosiłem, że i inne oczekują mnie niespodzianki.

O 11 ej stanąłem w Starój-Zawszy. Powiedziano mi, że śniadać będę w młynie Kannowa, w głębi lasu, gdzie znajdę też i łódź, w której w dalszą mogę się puścić wyprawę. Te bory przestronne, których zielone pasmo przedłuża się aż do krańców widnokregu, przyciągały mnie potęgą magnesu. Przeszedłem więc Starą-Zawszę bez zatrzymania, i w dziesięć minut później, wstąpiłem w Spreewald.

Otwierał się przedemną las niezgłębiany, niezmierny i milczący, gdyż o tój porze spoczywał on i odbywał siestę, słuszne mając ku temu prawo, albowiem zbudził się o trzeciej z rana i na chwilę dotąd nie przerywał śpiewów, szemrania, drgania.

Zanurzyłem się w wspaniałą aleję z dębów, wzdłuż

niej łagodnie płynął bieg wody, przejrzysty jak kryształ, niby lękający się zbudzić las z swęj drzémki. Tę odnogę Sprei, po wendyjsku nazywają *Groblą*.

Rzeka wygryzła trzysta kanałów w omszałym kobiercu Spreewald'u, zmieniając dziwną tę okolicę w rzeczywistą Wenecję sielską. W pięknej porze roku, łodzie objuczone robotnikami, drwałami i rybakami, brużdżą we wszystkich kierunkach te wielkie szlaki wodne, w zimie łyżwy, „stał skrzydlata,“ jak je Wendowie zowią, zastępują leniwe gondole.

Młyn Kannowa (tak się nazywa właściciel), zjawia się nakształt dekoracyi w operze, wśród drzew ujmujących go w ramy, nad brzegiem srebrzystej wody, obracającej koła z harmonijnym klekotem. Przeszło dwieście młynów liczą tu w podobnie malowniczych grupach; lecz, wbrew trybowi przyjetemu w operach Offenbacha, dziewczęta wendyjskie nie ciskają swoich kapeluszy powyżej ich szczytów.

Młynarka oczekiwała mnie u progu i wprowadzwszy do izdebki, w której ławy były pod ścianami ustawione, pytała:

- Czém mogę służyć panu?
- Tém, co masz.
- Mam jaja, ryby, sér.
- A to wyborne!

Rozwinęła więc obrus biały przedemną, uraczyła mnie kieliszkiem *halaszu* — likieru smakującego jak wódka — wreszcie, przysłała na me żądanie młynarczyka, z którym zgodziłem się co do ceny dwóch dni żeglugi. Był to piękny, wysmukły młodzieniec, o czarnych kędziorach, zaroście wykłuwającym się dopiero, minie rozgarniętej i pewnej siebie, słowem, Wend krwi czystej. Znał dostatecznie język niemiecki, byśmy się rozmówić mogli.

— Przygotuj swoją łódź na godzinę czwartą—rzekłem mu.

— Będzie gotowa.

— Czy wypada zabrać żywność z sobą?

— Lepiejby było.

— Gdzie będziemy dziś nocowali?

— W Straupic, jeżeli Bóg pozwoli.

— Dobrze. Weź flaszkę halaszu, chleba, séra, mięsa, wszystko co ci da gospodyni.

Już odchodził, gdy go napowrót przywołałem:

— Jak się nazywasz?

— Franciszek Welsnica, z Preżaku.

— Masz strzelbę?

— Mam.

— Weź ją z sobą.

— Wezmę też moje siecie, dla pańskiej przyjemności.

Młynarka przepowiadała noc cudną i wyjmując z kufra sporą kołdrę wełnianą, rzekła:

— Weź ją pan z sobą; może się noc tak panu spodoba, że będziesz wolał spać w łodzi, gdy zaś poranki bywają chłodne, wypadnie panu dobrze się okryć.

Z uderzeniem czwartej, ukończył Franciszek swoje przygotowania i oczekiwał mnie w rufie swjej łodzi dzierząc długie swoje wiosło z białego drzewa, z dumną postawą weneckiego gondoliera.

Usiadłem w środku barki i odbiliśmy, przy pożegnaniach wszystkiój młyńskiej czeladki. Najpiérw podpłynęliśmy kanałem, zkąd wysunęliśmy się na Polencę; jej prąd poniósł nas leniwie w główną wodną ulicę, ów *wielki kanał* Spreewald'u, wspaniałą Mutnicę.

— Jak tu pięknie, jak tu pięknie! — wołałem zachwycony.

Zdawało mi się, że żegluję po rzece nowego świa-

ta, ujętój w lasy przedwieczne. W miarę naszego postępu, zaciemniało się i gęstniało sklepienie uplecione nad naszymi głowy przez dęby, brzozy i olchy, i odpierające postrzały słońca puklerzem zieleni; otaczało nas tu światło mgławce i łagodne.

Co za nieład bujnej wegetacyi, mchów, kwiecica, paproci, krzewów, drzewin; przyroda tak stara, zmarszczona, żebracza, przekłeta i napiętnowana jałowością po za obrębem tego lasu, tu się przedstawiała, jako młoda i rześka matka, z której żyznych piersi tryska mlécz życia. Pytamy się, czy nie igra nami *fata morgana* albo poetyczne złudzenie, czy ten raj zabalsamowany i zielony, nie obrały czarodziejki, jako ostatnie schronienie na téj ziemi. Nie, bo oto zbliża się barka obciążona sianem, a wioślarka nią kierująca, pali z dużej fajki. Fajka, siano i czarodziejki nie licują wcale; już więc nie marzymy, lecz czujemy się wśród rzeczywistości, choć rzeczywistości dziwacznej.

Cienie już się przedłużają stopniowo, a różowo-złote odbłaski liści zwiastują nam zachód słońca. Las odzyskał życie i wesołość; orkestra gilów, kosów i piegzy, podjęła znów swoje cymbały, flety i skrzypce, a motyle, córki powietrza i łątki, córki wody, bujały dokoła nas jak kielichy kwiatów unoszone wiatrem. Śród kadencyi wioseł słyszano gruchania dzikich gołębi, wydzierające się z łona kniei nakształt miłośnych westchnień. Czapla albo bocian zrywał się od czasu do czasu skutkiem naszego zbliżenia, a głuche bicia ich skrzydeł, mąciły na kilka chwil czułą harmonię lasu.

Franciszek pokierował łódź w małą odnogę i uwiązawszy ją u stóp dębu, dobył swych sieci, składających się z rodzaju torb przezroczystych, z obręczom żelaznym u otworu, w których umieszczone płatki słoniny służą

za ponętę. Zanurzywszy pięć czy sześć takich łapek dokoła łodzi, rzekł do mnie: „teraz czekajmy.“

Nadeszła noc, lecz noc w płaszczu litym konstelacyami i z księżycem oświecającym jej pochód tryumfalny. Światło przesiane przez sito gałęzi, spływało na pnie i mchy w kształcie miążskiego pyłu srebrnego; kwiatki zwieszone nad wodą, zdawały się zmienionemi w dyamenty i rubiny, woda drżała, marszcząc się w błyskawice i mistyczne fałdy. Mieczyków kwiecie drzymało, uśpione łagodnym kołysaniem rzeki. Nas ogarnęło nieme marzenie. W tém zbliżył się do mnie Franciszek i wyprężając ramię w kierunku wielkiego kanału, szepnął mi w ucho: „patrz!“

Ujrzałem łódkę mknącą z lekkością łabędzia i unoszącą młodzieńca i dziewczynę. Młodzieniec był odziany w kamizelkę o potężnych srebrnych guzikach, głowę miał odkrytą, a długie kędziory spływały mu na barki. Młoda dziewczyna utrefiła głowę muszlinową opaską, strzepioną w koronki, dokoła której w węzły się plątała chusta jedwabna, nakształt turbana. Ramiona ich splotły się. Zaledwie powabne to zjawisko mimo nas przemknęło, usłyszeliśmy w lesie oddźwięk smętnej nuty—śpiewała ją owa para.

Franciszek tłumaczył jak mógł ustępy każdej zwrotki. Oto co mówiła ballada wendyjska:

Mieczku, czyż cień twój igra tam w dole,
Jawiąc się, znikając w toni?
Zkąd mu ten smutek, Mieczku, na czole?
Myślaż lat tysięcy wstecz goni?

Wspomniałoz Niemców zdradzieckie plemię,
Co zwabiło cię w swe grody?
I kajdan tobie wtłoczyło brzemie,
Gdyś Gera podzielał gody?

On dał ci wzniosłe miejsce przy stole,
Pił twe i rycerzy zdrowie.
Aż twą drużynę ujęto w kole
Mieczu—tam legli Wendowie!

Odtąd o Mieczku uczym za młodu,
Jarzmionych ojców dzieciń,
„Szczątki olbrzymów zgębnionych rodu,
Strzeżcie się Niemców gościny!“

Słowa te brzmiały smętnie owéj nocy, jak narzekania niewolników.

Nie znam nic tkliwszego nad język wendyjski, śpiewany młodem i usty. W mowie niemieckiej przebija się coś szorstkiego, gardłowego, dzikiego; wendyjska jest słodka, naiwna, pełna brzmień muzykalnych, co do serca trafiając, dotykają i pieczęć duszę.

Barka śpiewna ucichła w oddaleniu; bór wrócił do swéj powagi i milczenia; Franciszek zabierał się do podjęcia sieci. Czyniąc to z wielką ostrożnością, dźwignął z wolna pierwszą, na pół napełnioną ogromnemi rakami, potem drugą, trzecią, czwartą, a każda była mniej więcej podobnie brzemienną.

Półów raków należy do najkorzystniejszych zajęć przyrzecznych mieszkańców Spreewald'u, gdyż raki dochodzą nadzwyczajnej tuszy, na dnach kamienistych tamtejszych kanałów. Co dnia téż wysyłają ztąd napełnione niemi wagony do Berlina, Wiednia i Paryża. Goście Vefour'a nie domyślają się zgoła, że raki zjadane przez nich z srebrnych półmisków w Palais-Royal, są wendyjskimi rakami, złowionemi w okolicy Berlina.

Franciszek wytrząsł swój półów do kosza śród mchu wilgotnego, i puściliśmy się napowrót na prąd wielkiej Mutnicy, przedstawiającej w owéj chwili rzeczywiście zaczarowany widok. Nikła ona w perspekty-

wie bladego liścia, na wzór długiego węża o łuskach iskrzących. Gdzieniegdzie brzozy chyliły się nad wodą pozując niby fauny, a wierzby z łzawemi kędziarami przypominały najady wychodzące z kąpieli.

Byliśmy w najpiękniejszej ustroni lasu, należącój do hrabiego Lynar, który zabrania tu wszelkich zrębów.

Te dęby i olchy olbrzymie patrzyły na bohaterskie walki starożytnych Wendów, przeciw zaborcom germańskim; szczęściem, bór to był gęsty i sprzymierzył się z tymi, co bronili swych ognisk i swojej swobody; do dziś jeszcze rozpacza on swoje liście nakształt opiekuńczego płaszcza nad anektowanemi biédakami, synami zwyciężonych.

Tu, w wydrążeniach dębów, umieścili Wendowie swoje bóstwa; Radegasta, Żywie, Peruna (*)—godła siły twórczej, zachowawczej i niszczącej. Wendowie byli panteistami, a w tajnikach lasów czcili także rośliny, głązy i źródła. W szczecińskiej świątyni, wielbili karego rumaka, jako godło siły Bożej; ten obrzęd poetyczny licował z ich mową kwiecistą, dźwięczną i giętką. Samobójstwo uważali za dowód odwagi; bohaterowie, kapłani, wdowy rzucały się w gorejące stosy, śpiewając hymny. Wiarą nierozdzielnie łączyli duszę z krwią; gdy ta z ran się sączyła, owa usta się wymykała, by bujać z drzewa na drzewo, póki nie po-grzebano lub nie spalono zwłok, jakie opuściła.

Barka nasza posuwała się bez plusku, pozostawiając ślad nastrzępiony srebrem. Słowiki wabiły się z brzegu do brzegu i zdawało się, że śpiące drzewa śniły.

(*) Autor używa słów: Perkunos, Potrimpos i Piccolo.

Dopłynąwszy do wstępu kanału, odłączającego się na lewo, zapytał mnie Franciszek, ażeby chcę nocować w Straupicy, wsi wendyjskiej, nad jeziorem Bylegórą, lub przenoszę podróż nocną do Burgu, gdzie zdołamy zawitać o wschodzie słońca.

— Kiedy możemy przybyć do Straupicy?—zapytałem go.

— O pół do pierwszej.

— Powiedziałaś mi, że najlepsza pora do polowania jest od 3 do 6 z rana; wolałbym nie spać.

Zanurzył więc wiosło, które w zawieszeniu trzymał i barka wprost dalej mknęła. W pół godziny później mineliśmy młyn, wstrząsający w półmroku fantastycznemi pochwami swoich skrzydeł, i opuściliśmy Munticę, wpływając na węższą odnogę Sprei-Gniele.

Pierwiosniki, mięty, żabinki wychylały się z krawędzi lasu w wonnych i bezładnych masach, tworząc wiązki pstrąg wełny malowniczo splecione. Z łóż wodnych, lilie dźwigały srebrne swoje kielichy ku promieniom księżyca, kapiącym z po za drzew.

Wiersze Heinego mi się przypomniały:

Lilia wątła, drzemiąca,
Panuje siniej fali,
Ku niej śmiechem jaśniała
Księżycą twarz się pali.

Zapłonioną pogrąża
Lilia główkę w topiele,
Księżyc za nią podąża,
I u stóp jej się ściele.

Przy bladym oświetleniu wnikającym w las ten rysowały się dobitnie perłowe kontury brzoź i pnich przypominających marmurowe filary kaplicy.

Śród powodzi poezyi płynąłem tu oniemiały i nieruchomy.

Wnet jednak ociężały mi powieki, obwinałem się kołdrą i położyłem się na dnie łodzi, gdzie usnąłem nie marząc dłużej o nocnych miłostkach księżycy i lilii, kwiatów i gwiazd.

III.

Kot dziki.— Zabijam kaczkę.— Burg.— Browar.— Schlossberg.— Życibor, uwodziciel dziatwy.— Wesela i pogrzeby wendyjskie.— Kolonia.— Rossyanie w Spreewald.— Lehde.— Lubenau.— Król węzów.— Koenigs-Wusterhausen.

— *Katz! Katz!* kot! kot!

— Cóż tam?—zapytałem zbudzony nagle.

— *Katz!* — powtarzał Franciszek, z najpocieszniej-szemi gesty, a długie chude ramię jego wskazywało brzozę o pniu koszlawym, chylącą się nad rzeką.

Wstałem z siedzenia, on mi podawał swoją strzelbę odwiedzioną.

— Mamże strzelać? — pytałem odurzony.

— *Ja, ja, Katz!*...

— Ależ nie przyjechałem tu, żeby koty zabijać— odpowiedziałem, odtrącając strzelbę.

— *Wilde Katz!*—wołał Franciszek, wydymając się cokolwiek.

— A, to dziki kot... Czemuż wprzód tak nie mówić? Dobrze, daj mi strzelbę... — i wstałem, jakby tknięty sprężyną.

Franciszek, chyląc się znów drzewo mi pokazał. Dostrzegłem tam coś czarnego i dwoje oczu iskrzących jak karbunkuły.

— On pstrąga zahaczył — dodał Franciszek cicho, w chwili, gdy ten nad powierzchnię wody wyskoczył.

Koty te posiadają zadziwiającą zręczność, czyhają na ptaszki w krzakach, lub tulą się w drzewach, z kąd się rzucają na zające, a nawet lisy.

Wpoilem wzrok mój w dwa te jasne punkta; łódź nie ruszała się, zamierzyłem się i strzeliłem. Błyskawica las rozpruła, a odległe głębie jego odbiły tętnienie grzmotu, zmieszane z miauczeniem przerażającym.

— Trafiony! — zawołał Franciszek.

— Tak, lecz tylko ranny.

— Nabijaj!

Podczas gdy zabierałem się do operacji wymagającej cokolwiek czasu, w strzelbie starego systemu, ujrzeliśmy cień czarny, zsuwający się wzdłuż brzozy i niknący w gęstwinie.

— Połów już stracony — rzekł mój przewodnik.

— Jakto stracony? wysadzisz mnie na ląd i odszukam zwierza w krzakach.

— Nigdy! nie zna pan dzikich kotów: ranny kot staje się strasznym; kryje się oczekując myśliwego, rzuca mu się na piersi, drze odzież i ciało, pazury jego zadają rany tak głębokie, że często umiera się z nich. Widziałem kota konającego, leżącego na plecach, a zmuszającego trzy tęgie psy do odwrotu.

Franciszek nie pozostawił mi czasu do dalszych argumentów, gdyż nim przestał mówić, uderzył dwakroć lub trzykroć silnie wiosłem i widownia tej małej sceny już daleko za nami leżała.

Czułem się cokolwiek upokorzony. „Lecz odbiję się za kilka godzin, mówiłem sobie w duchu. Biada piérwszój nieszczęsnej zwierzynie, co się na doniosłość mojej strzelby zbliży!“ Po tej pocieszającej dla mnie uwadze, znów się obwinałem w kołdrę i kończyłem sen przerwany.

Gdy otworzyłem oczy, bieleły się szczyty drzew,

piérwszemi blaski jutrzni. Nad wodą płynęła fala mgły lekkiej; w prawo, w lewo, na gałęziach i w krzakach, słowem wszędzie, słyszano trzepoty skrzydełek, drżenie liścia, wszystkie te nieokreślone i rozkoszne szelesty kniei odradzające się ze świtem — piérwsze tknięcia smyczków stworzenia, gdakania poranne tworów pierzastych, budzących się w gniazdkach, okrzyki nadziei, wielka symfonia miłości. Dziecioły zabierały się do pracy jak przystało rześkim maleńkim drwalom; kosy świstały jak chłopcy, co ze szkoły zbiegli do gęstwiny, nurki w swych rubinowych hełmach i puklerzach nurzały się raźnie w wodzie i wzbijały się nad nią, otrząsając siewy pereł. Ja zaś, śród tego wszystkiego, stałem nieruchomy, z strzelbą wzniesioną. Kanał rozszerzał się; po obu jego stronach potrzasało sitowie palmami.

— Bacność! — rzekł Franciszek, zwalniając biegu łodzi i wznosząc się na palcach.

Byliśmy o 50 kroków od sitowia.

— Pal w lot... bacność!

Pół tuzina kaczek zerwało się za naszym zbliżeniem. Strzeliłem nie mierząc prawie, na chybił trafił. Skoro dym się rozwiął, zobaczyliśmy jedną kaczkę płynącą z prądem, skrzydłami rozwartymi, martwą. Franciszek pódniósł ją klingą wiosła i wrzucił do łodzi. Śrut ugodził ją w samą pierś.

— To wystarczy na nasze śniadanie — rzekłem, kładąc wystrzeloną strzelbę na ławie za sobą. Nieśmiałem przyznać się do tego, lecz wstydziłem się rozlewu krwi w tym poetycznym lesie, śród téj pogodnej i spokojnej przyrody.

Gdy słońce ozłociło czuby leśne, około 6-jej godziny, dobiliśmy do wsi Burg, najznakomitszej w Spree-wald. Domy jój ocienione staremi drzewami, wyglą-

dają ociążale i trwało, nakształt blokhauzów. Otaczają je małe ogródki, zawsze od siebie rozdzielone płotami; przestronne, słomiane, omszałe strzechy domostw, zniżają się prawie do ziemi. To nie niemieckie dworki, lecz typy chat słowiańskich, podobne do tych, jakie w Rosyi spotykamy.

Burg jest zbiorem wysepek. Woza nigdy tu niewidziano a jedynym środkiem komunikacyi są tu barki i czołna, tak urządzone, że je w zimie łatwo można w sanie zamienić.

Burg posiada browar, bióro pocztowe, aptekę i lekarza. Jest on stolicą trzech gmin; kościół jego wznosi się na szczycie pagórka panującego nad lasem; co niedzieli każą tam w języku Wendów, mężczyźni i kobiety występują w dniu tym w strojach świątecznych. Mężczyźni ubierający się w dnie powszednie w długi surdut z niebieskiego płótna, oblekają w niedzielę surdut sukienny téjże barwy i kamizelkę o srebrnych guzikach. Kobiety uzupełniają nakrycie głowy wysokim trójgranem, ozdobionym frenzlami; jednakże, o ile przedłużają swój strój u góry, o tyle skracają go u dołu. Spódniczki ich czerwone, niebieskie, żółte—kochają się w kolorach jasnych—sięgają im tylko do kolan. W dnie robocze pończoch nie noszą, w święta przywdziewają szkarłatne, na wzór kardynałów. Pracują zwykle z ramiionami i barkami obnażonemi; w niedzielę głowy ich wychylają się z pośród przeczystych koronek, jak kwiaty georginii; rękawy fałdowane i ukrochmalone wybiegają z ich gorsetów, z tyłu spływają dwie wstęgi, wprowadzone przez nas w paryzkie mody, pod wcale nie wendyjskiem imieniem: *suivez moi, jeune homme*, albo *protégez moi, vieillard*.

Wysiedliśmy przy browarze, gdzie spoczywało mnóstwo bark i łodzi naładowanych lub próżnych. Fran-

ciszek wziął kaczkę i z troskliwością czułą powierzył ją własnoręcznie kucharce; ta, stojąc nad ogniskiem z jedną pięścią pod boki, a drugą dzierżąc warzechę, z berłem tym w dłoni przypominała Pomarę wyspy. Duży pies lisowatęj maści wałęsał się dokoła niej, a kury szczypały kości leżące w starłej, nadłuczonej misie. Komin otwierał się wśród izby, niby kopuła, w której zamiast żyrandoli wisiały kielbasy i ryby wędzone.

Piwo wendyjskie nie równa się owemu bawarskich kapucynów, mając posmak różnowierczy i pogański, skrobiący w gardle. Wypiwszy go w miarę, wsiedliśmy do łodzi i wypłynęli na przejażdżkę po wsi, zanim kaczka dojrzeje do kucharskiej doskonałości.

Obecność „pana,“ w pełnym ubiorze, w miękkim kapeluszu i trzymającego pod pachą Bedekera, oprawnego w czerwone płótno, nie obeszła się bez podrażnienia ciekawości małych autochtonów Burgu, których tenże krawiec odziewa, co garderoby jaszczurkom i żabom dostarcza. W moich oczach wytrysła z pobrzeża cała samorodna rzesza bębnow, wrzeszcząc, koziołkując i gestykulując ku wielkiemu popłochowi kaczek swojskich, a nie małej radości Franciszka, który śmiał się, że aż swoje zęby pokazał. Kobiety wychylały z drzwi rozciekawione głowy, patrząc na nas, z ustami rozdziawionemi.

— Czy stanie nam czasu na wycieczkę do Schlossberg'u?—pytałem Franciszka.

-- Bez wątpienia.

— Więc w drogę!

Wyczytałem w mym przewodniku (książce), że Schlossberg czyli Zamkowa góra, została tak nazwaną skutkiem dźwigniętej niegdyś na nią wendyjskiej warowni. Zgniecione przez Niemców w ostatniej bitwie, niedobitki armii wendyjskiej cofnęły się do

Schlossberg'u, wydając rozpaczliwe okrzyki zwyciężonych i ujarzmionych.

Tradycja przekazuje, że Wendowie Spreewald'u, walczący podówczas pod wodzą Jazza, ostatniego ich naczelnika, byli już chrześcianami, a stali się niemi w sposób następujący: Jazzo zwyciężony w bitwie, jaką stoczył z Niemcami pomiędzy Spandau i Poczdamem, rzucił się konno w jezioro utworzone w tém miejscu przez Spreę i ślubował, iż jeżeli ujdzie bez szwanku, nawróci się do Boga chrześcian, on i wszyscy wojownicy, co przeżyją klęskę. Koń przeniósł go bezpiecznie na brzeg przeciwny, a Jazzo dotrzymując ślubu przyjął chrzest współ z wszystkimi Wendami, których cywilizujące oszczędziło żelazo.

Przed nawróceniem się Jazza, zdarzało się często, że książęta słowiańscy, panujący w borach nad Spreą, porywali dzieci niemieckie, by ich na pogan małych zamienić. Opowiadano pewnego dnia Życiborowi, następcy Przybysława, iż pewien myśliwy we wsi Drenowie, miał prześlicznego synka, gdy zaś Życibor nie miał potomstwa, wpadł on na myśl schwytania tego dziecka i wychowania go na własnego syna; wysłał więc ludzi w celu porwania dzieciny. Ci popłynęli wzdłuż Sprei i Malksy, aż przybyli do Drenowa, gdzie ukryci w sitowjach, oczekiwali chwili przyjaźnej ich zamiarom. Było to w Czerwcu, a dni były bardzo gorące, więc cudowne chłopię przyszło wieczorem ze swoją siostrą, aby się kąpać, niedaleko od złodziejskiej zasadzki. Ta rzuciła się na nie, porwała je i wtłoczywszy je w worki, zagroziła im wrzuceniem do rzeki, gdyby krzyczały, poczem zabrali się z powrotem do zamku.

Pewien chłopiec z Drenowa, wydzierający właśnie podówczas gniazdo sroki w bliskości téj całej sceny, był jój świadkiem i skoro ludzie znikli, zlaźł z drze-

wa, pobiegł do wsi i doniósł matce dzieci o wypadku. Ta wskoczyła do czołna i podążyła w pogoń za wydziercami, którzy znużeni wreszcie wysiedli na łąd u zlewu Malksy i Sprei, mając dzieci przy boku. Matka czołgająca się między krzewami zbliżyła się do worów, chwyciła każde z nich pod pachę i umknęła dzięki wiosłom.

Życibor skonał wkrótce od gromu, nie zostawiając następcy (*).

Dotąd jeszcze można odkryć stary rów i szczątki wałów starój warowni wendyjskiej. Doktorowie—grzebacze niemieccy czynili tu poszukiwania, odkrywając popielnice zawierające korony, pierścienie i złote łańcuchy, bronie i wazy ze smoczkami, starożytności pewniejszej, jak ów słynny zbiór kupiony w roku zeszłym w Jerozolimie na rachunek muzeum berlińskiego, a podrobiony we Włoszech.

Forteca Schlossberg upadła z ostatnim królem Wendów, lecz jego korona miała ocalić wedle podań i przeszła do obecnych jego potomków. Mówią, że dotychczas rządzi nad Spreewaldem niewidomy władzca, którego imię pozostaje tajemnicą głęboką, z obawy, żeby je Niemcy nie usłyszeli. Król ten powstanie, gdy „wielkie słowiańskie cesarstwo“ dojdzie do skutku.

Kucharka w browarze oczekiwała nas z żywą niecierpliwością, wołając z drzwi kuchni: „zobaczycie, że będzie przegotowana!“

W istocie nasza kaczką, skruszała jak elegia Larmartina, dawała się skubać na wzór szarpi. Czyżby cywilizacja niemiecka już wniosła swe zniszczenia do

(*) Patrz w zajmującym zbiorze podań wendyjskich, ogłoszonym przez Karola Haupt w Lipsku, r. 1843.

kuchni wendyjskiej? Skłaniam się do tego zdania, albowiem tylko w Niemczech nie pieką kaczkę i gęsi, lecz je gotują.

Zaprosiłem Franciszka na śniadanie z sobą.

— Szkoda, że pan nie przybył do Burgu, zeszłego poniedziałku—mówił on.

— Dla czego?

— Cała wieś świątkowała.

— A?!

— Mieliśmy wesele.

— Jakto? więc u was się nie żenia, jak gdzieindziej?

— Nie, zwyczaj wendyjskie nic wspólnego nie mają z niemieckimi.

— To prawda; zdaje mi się, iż gdzieś wyczytałem, że na weselach waszych idą przykładem Bretanii lub Czarnego lasu; zakochany wysła jednego z swych przyjaciół, który wchodzi do domu dziewczyny pod pozorem pobielenia rondli, albo sprzedaży igieł, rzeczywiście zaś rozpoczyna negocyację, gdy zaś wszystko już ułożone, narzeczony i narzeczona oznajmniają przyjacielom i sąsiadom, że obrzęd ślubny nastąpi w dniu oznaczonym.

— Nie koniec na tém. Zaproszeni przysyłają oblubieńcom masła, jaj i owoców, a w poranku przedślubnym wsiadają do łodzi wraz z narzeczonymi i towarzyszą im aż do mieszkania panny młodej. Drzwi zamknięto, wszystkie okna zakryto starannie, myślałbyś, że tam żywej duszy nie ma. W tém pukają dróżbowie—nikt nie odpowiada. Znów pukają—milczenie głucho. Pukają raz trzeci: wtedy otwiera się okienko, a baba siwogłowa o cerze jak pargamin, wytyka twarz markotną i nos sowi: „Czy mnie szukacie?“ pyta. „Nie — odpowiadają — ta, której szukamy, ma włosy

krucze i lśniące jak pierze kosa, jagody świeże jak kwiat róży polnej, zęby jój białe niby lilia.“

Okienko się zamyka, poczem znów się otwiera, a w jego ramach jawi się twarz dziewczęcia dwunastoletniego: „Czy mnie szukacie?“ zapyta ona. „Nie, — odpowiadają drużbowie — ta, którą szukamy, może sama kierować ciężką łodzią, umie tkać płótno i jako pani rozkazywać czeladzi!“

Raz jeszcze zamyka się okienko, a natomiast już drzwi się otwierają; na progu, uśmiechając się z pod wieńca z białych i różowych kwiatów, z kibicią przepasaną szarfą z powiewnej gazy, zjawia się oblubienica, gotowa pójść za swoim władcą i panem.

Drużki wiedą ją za ręce do łodzi, poczem orszak rusza do kościoła przy dźwięku tawakawy, gęśli i rogu. U wstępu do wsi, zarzucają na głowę panny młodej zasłonę. Po obrzędzie idą do karczmy, gdzie piją piwo i wódkę, chleb, sér i masło jedzą; poczem znów wracają do łodzi z muzyką na czele, a wsiadłszy w nie przebywają wieś całą śród radosnych okrzyków dzieci, póki niedobijają do domu pana młodego, gdzie się odbywa uczta godowa. Zabawy trwają dwa lub trzy dni. O północy odprowadzają muzykanci młodą parę aż do łożnicy, poczem goście wracają do karczmy, gdzie do rana taczają. Pani młoda nie może odwiedzać rodziców przez dwa miesiące; gdyby wcześniej to uczyniła, małżeństwo byłoby uważane za rozwiedzione, skutkiem obopólnej ugody.

— Są to ciekawe szczegóły, mój Franciszku.

— Gdybyś pan mógł chociaż pogrzeb zobaczyć!

— Zbyt to smutne widowisko.

— Marysko! chodźże tutaj! — zawołał mój młody przewodnik, podochocony wódką.

Kucharka, spełniając zarazem obowiązek piwniczego, stanęła u progu, na to wołanie.

— Czy nikt tu nie umarł?—pytał Franciszek.

— Nie, doktor niemiecki wyjechał i cały świat zdrów.

— Zły język u téj kobiéciny, jak u wszystkich kucharek! — rzekł Franciszek do mnie z uśmiechem, poczem wypróżniwszy swoją szklankę, dodał:

— Muszę panu opowiedzieć, jak to tam bywa. Otóż, mój panie, u nas ani wójt, ani ksiądz, nie asystuje przy pogrzebach, lecz bakałarz. Z nadejściem nocy stawiają trumnę przed domem, tam pod dyrekcyą bakałarza w takt bijącego, krewni nieboszczyka zaintonują dobra noc, czyli śpiew pożegnania. Po jego ukończeniu, częstują ludzi chlebem, masłem, wódką i piwem, poczem wnoszą trumnę na łódź i płyną z nią do cmentarza, śpiwając psalmy pogrzebowe. Następuje krótkie nabożeństwo w kościele, z kąd wracają na ucztę do domu nieboszczyka. Ilekroć chowamy młodzieńca lub dziewczę, młodzież sioła towarzyszy pogrzebowi, niosąc w dłoni gałązki zielone.

Niemniej odrębne zwyczaje przedstawiają się tu na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Franciszek, opisał mi wszystkie te ceremonie lepiej, niżeliby zdołał to uczynić profesor etnografii w uniwersytecie berlińskim. Powiedział mi, że w wilię Bożego Narodzenia, przebiega sioła młoda dziewczyna przedstawiająca Zbawiciela i od domu do domu krążąc zapytuje, które dzieci załużyły nagrodę. Nazajutrz wznosi się drzewko o złożonych owocach; najlepsza część ich przypada najgrzeczniejszym dzieciom.

W zapusty tańczą w każdym domu. W popielec, maskuje się młodzież; tylko wesołe kuligi w łodziach można podówczas spotkać w Spreewald'zie. W wilię

Wielkiejnocy dziewczęta również przebiegają wioski, śpiewając treny passyjne.

Czas szybko upływał wśród naszej zajmującej gawędki. W niej mogłem poznać Słowianina; żywy on, swawolny, lubi rozmowę, podczas gdy mówiący Niemiec zawsze tak wygląda, jakby chciał ziewać.

Wsiedliśmy napowrót do łodzi około godziny 3-jej. Odbiwszy od Burgu, mijamy Kolonie, wioskę z 169 domów, tak nazwaną przez Fryderyka II swego założyciela. On zwrócił powódź niemiecką ku tej okolicy, gdzie szczep słowiański dotąd istnieje nakształt samotnej wyspy otoczonej morzem grożącym zalewą. Każdy kolonista niemiecki osiedlający się w Kolonii, otrzymał bezpłatnie 18 morgów gruntu i był zwolniony od podatków. Dawni margrabiowie w podobny prawie sposób zniemczyli Marchię brandeburską, sprzedając osobom pragnącym tam założyć sióło lub miasto, pewien obszar ziemi, stosownie do wielkości wsi, wynoszący 30—60 włók, dla miast zaś, sięgający od włók 300 — 600. Przedsiębiorca odprzedawał domy kolonistom, zostając sam wójtem sióła, albo burmistrzem miasta, spełniając sądownictwo w piéwszej instancyi i pobierając podatki w imieniu korony.

Margrabiowie nie posiadali stałej siedziby w owéj epoce, lecz przebiegali kraj cały w poczcie licznej drużyny, własnymi oczami dozorując ludzką trzodę swojej pieczy powierzoną; wszędzie posiadali oni zamki; klasztory również gościć musiały ich orszak podczas pobytu w swych murach tych książęcych gawronów.

W miastach, albo wsiach, zmienionych w osady niemieckie, wpędzano wszystką ludność słowiańską, oszczędzoną od stali, do przedmieść. Niemcy obarczali ją podatkami i obchodzili się z nią, jak w niektórych północnych niemieckich miastach do dziś obchodzą się

z Żydami. Ztąd pewien historyk, słusznie powiada, że: „Słowianin jest wrogiem i bydłociem ofiarném Niemca.“ W końcu zeszłego wieku liczono jeszcze 140,000 Wendów, czyli Słowian, w Spreewald (*).

Przebyliśmy Leipe, którego domy ugrupowały się na brzegach kanału, a w pół godziny później dobiliśmy do Lehdy. Sprea tu się rozdziela na niezliczone drobne odnogi, odosobniając, że tak powiem, dom każdy na wysepkach. Sieci schną na słońcu, mężczyźni budują łodzie, kobiety składają w stosy na środku ogrodów owe czarne rzodkwie, zaliczone do specyałów przez niemieckich amatorów piwa. Rzodkwie Lehdy równie słyną jak kapusta Brukselli, albo marchew Warzinu.

Wendowie przestrzegają gościnności na wzór Arabów, w ich chatach zawsze znajdziesz izbę osobną dla przyjaciół i obcych. Stary rybak zaprosił nas, abyśmy się posilili w jego domu, gdzie nas uraczył hałaszem, narodowym napojem Spreewald'u, a na moje żądanie, powiedziane za pośrednictwem Franciszka, pozwolił mi zwiedzić wnętrze domu.

Pomieszkania wendyjskiego ludu składają się z 3-ch izb: wspólnej, sypialni i gościńskiej. W sypialni widzimy łożo małżeńskie, za grubą zieloną firanką kryjące się przed światowemi oczyma, jako świątynia domowa. Wieczorem, w izbie wspólnej, ozdobionej prostaczami obrazkami, żwawo obracają się kołowrotki, a kury wchodzą śmiało i dziobią pod stołem; nie lękając się niemowlęcia wrzeszczącego w kołysce. Kołowrotki i ko-

(Chocisław)

(*) W Kottbus wypada dotąd 5,000 Wendów na ogół 10,000 mieszkańców. Do zeszłego roku uczono tam języka łużyckiego w gimnazjum. W témże mieście spotykamy ostatnie szczątki kolonii francuzkiej.

łyski Sprewald'u należą do rzetelnych dzieł sztuki, gdyż są ozdobione pięknymi rzeźbami; poszukują je bardzo niemieccy amatorowie tego rodzaju rzeczy.

Pożegnaliśmy naszego gospodarza i udali się do Lubenau, stacyi kolejowej między Berlinem i Görlitz, *Zgona* gdzieśmy przybyli cokolwiek przed wschodem słońca. Lubenau jest ogniskiem handlu i przemysłu Spreewald'u. Domy kąpią tu swoje podstawy w rzece, za nimi roztacza się zielona łąka, upstrzona owocowymi drzewami. Sprea, nie dotknięwszy się jeszcze skóry niemieckiej, nie utraciła dotąd pierwotnej czystości; przejrzystość jej dozwala oku sięgnąć do dna wysypanego mialkim piaskiem, a na powierzchni jej jak kość słoniowa gładkiej, rysują promienie słoneczne wielkie, złote arabeski.

Lubenau określa w języku wendyjskim „łąkę poziomą.“ Okolica ta pozostała własnością hrabiów Ly-mar, rodziny zamożnej i potężnej, której zamek wznosi się w bliskości miasta, wśród parku z olch odwiecznych. Herb Ly-marów składa się z wieży uwieńczonej węzem, powstał on zaś wedle podania w sposób następujący:

Pierwszy Ly-mar przybył z Włoch do Niemiec i był bardzo ubogim szlachcicem, wielkiej jednak przedsiębiorczości ducha. Osiedlił się on w okolicy Lubenau, ówczesnej ulubionej siedzibie niezliczonego mnóstwa węzów, zostających pod rządem króla, noszącego na głowie koronę z drogich kamieni. Otóż nasz Ly-mar uważał, że król węzów często przebywał rzekę, by spoczywać wraz z haremem swoim, na pewnej wysepce, i że zawsze składał swoją koronę przed udaniem się na spoczynek. Ly-mar nie wspominając o tém nikomu, wyruszył pewnego poranku ze sztuką płótna, a roze-

sławszy takową troskliwie na murawie, skrył się wraz z koniem swoim w krzakach.

Król wężów prowadził żywot bardzo stateczny. Że dzień był skwarny, wychylił się więc z wody z swoim orszakiem, wyszedł na wyspę, złożył swoją koronę na białym płótnie i niezwłocznie usnął. Lymar chwycił za cztery końce płótna, skoczył na konia i uniósł koronę. Wnet przeraźliwe świsty obity się o jego uszy; włosy stanęły mu na głowie, bo ujrzał wszystkie węże w pogoni za sobą. Usiłował przyspieszyć biegu. Marne były to usiłowania! mur ciasny otoczył go w czarodziejski sposób dokola. W trwodze swojej, wpoił tak zapamiętałe swe ostrogi w boki rumaka, że ten mur przesadził i uniósł go przed pogonią.

Lymar sprzedał koronę króla wężów, kupił Lubenau i kazał zbudować zamek, w tém właśnie miejscu, gdzie skarb „przymanektował.“

Król wężów nie posiadając dość stałości duszy, żeby znieść stratę swęj korony, popełnił samobójstwo.

Franciszek pożegnał mnie w Lubenau. Wracając prądem Grobli i Polency, mógł on stanąć w młynie przed północą.

Nocowałem w Lubenau, gdzie 4 hotele istnieją; nazajutrz wróciłem do Berlina, przejeżdżając przez Koenigs-Wusterhausen. Wieś ta niegdyś do Wendów należała, a forteca wznosząca się w sąsiedztwie, oznaczała granicę pomiędzy Marchią brandeburską i krajem Łużycan. W r. 1698 zagarnął tę okolice elektor Fryderyk III, i darował ją, jako kołędę noworoczną, swemu dziesięcioletniemu synkowi. Książątko to królewskie, urosło na Fryderyka-Wilhelma I. On to zbudował zamek, służący w późniejszych latach za siedzibę całemu swojemu gniazdu obrzydliwemu. Otyły Wilhelm, mie-

szał tu wśród swoich oswojonych niedźwiedzi, zastępujących mu w nader oszczędny sposób ministrów i straż przyboczną, albowiem na widok ich uciekali goście z trwogi. W tym to zamku Koenigs-Wusterhausen, podpisał Wilhelm wyrok śmierci własnego syna.

W parku pokazują dąb, pod którym otyły monarcha lubił swoją siostrę odbywać, podczas gdy córka jego, późniejsza margrabina Bayreuth, musiała stać przy nim i oganiać muchy. Otyły ten Wilhelm stawał się strasznym w swoich napadach gniewu. „Pewnego ranku — pisze margrabina Bayreuth — gdy mój brat (Fryderyk II) wszedł do komnaty króla, ten go za włosy schwycił, obalił i zbiwszy go boleśnie powłókł do okna, gdzie zamierzał zapewne naśladować przykład głuchoniemych seraju, albowiem chwycił sznur od franki i takowym bratu memu dwakroć szyję opasał. Szczęściem, że ten zdołał się uwolnić i wstrzymując ręce ojca, o pomoc zawołał.“

„Zatwardziały jestem jak kamień graniczny na rogu ulicy“ — powiadał ten monarcha, co berło swoje do godności pałki poniżał. O naukach, lub sztukach pięknych nie miał pojęcia, lecz umiał liczyć swoje talarzy, które w starych skarpetkach ciulał. Najstarszego swego syna Fryderyka nienawidził, skutkiem tegoż skłonności literackich i zamiłowania we Francyi pod Ludwikiem XIV. „Kładłem — wołał w gniewie, odgrazając się swoją laską — kładłem pałasze i pistolety w kolébki mych dzieci, by się wcześniej oswajały z myślą zmiotania najeźdźców francuzkich i szwedzkich z ziemi niemieckiej.“

IV.

Z Berlina do Poczdamu.—„Lipy“ w końcu zeszłego stulecia.—
Kolumna bogini zwycięstwa. — Kaplica garnizonu poczdamskiego.—Psalm zemsty w r. 1813.—Jak naród powstaje.

Przejdźmy się teraz wzdłuż ulicy pod Lipami (*unter den Linden*), wyjdźmy bramą brandeburską i pojedźmy do Poczdamu. Tam już nie spotkamy Wendów, lecz nauczymy się teorii aneksyi. Królowie pruscy napisali o téj operacyi rozprawy godne imienia arcydziel.

Jeżeli historyk niemiecki Riesbeck na wiarę zasługuje, ulica „pod Lipami“ przedstawiała w zeszłym stuleciu widok równy uliczce prowincjonalnego miasteczka. „Kontrast pięknych domów z nędzą ludu, piśze on do swego brata, również tu niemile uderza; czasem, gdy właśnie podziwiasz piękność budynku w guście jońskim, ozdobionego sztukateryą, facyatą wspaniałą i godnego, by w nim jaki intendent jeneralny, a co najmniej książę mieszkał; otwiera się z nie-nacka okno na dole i wywieszają zeń w twój obecności parę butów, do osuszenia na słońcu. Ledwie, że ochłonąłeś z zadziwienia, otwierają okno drugiego piętra, a wywabiacz przedstawia ci parę spodni świeżo wypranych. W chwilkę później, na tymże piętrze inne okno się otwiera; tam krawiec wywiesza suknię,

albo ztamtąd ciśnie ci na głowę kobieta miskę łupek jabłecznych. Nie koniec na tém. Postępujesz kilka kroków i dochodzisz do pałacu z kolumnadą korynecką, okazałego jak gdyby do królewskiej metresy, albo księcia krwi należał. Ledwie, że twe oczy sięgły szczytu, zapytuje się Żyd z poddasza, ażali nie masz co na zamianę; spoglądasz o piętro niżej, tam koszula suszy się na wolnym powietrzu, należy ona do oficera, co się własnoręcznie goli, a wygląda, jakby nie posiadał drugiej koszuli na odmianę.“

Nie wiem czy odwach przyparty do bramy brandeburskiej, prawie naprzeciw ambasady francuskiej, istniał podówczas, lecz prawdopodobnie stał on tam, albowiem w tej już epoce, jeżeli wolno uwierzyć słowom niemieckiego podróżnika, Berlin, zarówno jak dziś przepełniało żołnierstwo. „Nie znam miasta, pisze on, z załogą liczniejszą nad Berlin, tu ona składa się z 26,000 ludzi; za kilka groszy możesz tu otrzymać jaką tylko chcesz usługę od żołnierza. On buty czyści, pierze, naprawia, służy za posłańca, słowem, spełnia cokolwiek gdzieindziej należy do funkcji sawojardów i bab starych. Ci żołnierze zwyczajnie też proszą cudzoziemca, nie o jałmużnę, lecz o cokolwiek pieniędzy na piwo, za które jednak kupują jedzenie, zwłaszcza, że w Sprei dość płynie wody kwoli zgaszeniu ich pragnienia.

Dziś już tu nie spotkasz zebrzących inwalidów. Gdy pani Voss — owa, której ciekawe pamiętniki niedawno ogłoszono — przejeżdżała przez brandeburską bramę, żołnierze broń prezentowali, a dobosze bili werbla, albowiem hrabina Voss, honorowa dama dworska, jedyna z niewiast otrzymała krzyż żelazny; tej dekoracyi zawdzięczała jeneralskie honory.

Wynurzywszy się z bramy brandeburskiej, tonie-

my w masie zieleni — w Thiergarten, nad którą się unosi jak geniusz zniszczenia, anioł o złotych rozłożystych skrzydłach, z głową szyszką groźną i w spódniczce z brązu, ważącej kilka centnarów. Tego anioła zwycięstwa postawił we Wrześniu 1873 r. cesarz Wilhelm I, na szczycie owéj tryumfálnéj kolumny, jako pomnik zwycięstw pruskich nad Danią, Austryą i Francją. Kampanię duńską zaznaczono tam dwoma bitwami i wzięciem wałów Düppel'u; austryacką dzie więciu bitwami, w których Rakuzy straciły 13 chorągwi i 43,000 jeńców; francuzką, przypomina bitw 26, kapitulacyj fortec 26, wzięcie 6,400 dział pozycyjnych, a 1,700 polowych, 95 sztandarów i 660,000 jeńców. Płaskorzeźby na postumencie opiewają główne epizody z trzech wspomnianych kampanii. Tam widzimy kapitulacyę Sedanu i wejście niemieckich wojsk do Paryża. Tu wreszcie, w próżnéj dotąd galeryi, błysnie allegoryjna mozaika, ułożona przez Salviati'ego wedle kartonów historycznego malarza Werner'a, o którą w ten sposób się wyraził pewien korespondent, co oglądał kartony, gdy je 2 Września r. 1873 wystawiono na widok publiczny:

„Pomysł téj wymuszonej kompozycyi odznacza się zarazem taką naiwnością, że drobiazgowość jéj szczegółów wzbudza uśmiech na ustach gościa. Germania w postaci cnotliwéj i zacnéj matrony, siedzi tam nad brzegiem Renu, w dobrej wierze ciesząc się słodyczami pokoju, przedstawionemi w postaci pyzatyh Niemczyków, wijących u jéj stóp girlandy. Lecz ta niewiasta zacna, nie przewidywała zgoła, że jéj sąsiadka układała już plany jéj zguby i hańby. Oto podchodzi ku niéj szajka rozbójników, w postaci żuawów, pędzonych do ataku podwójnym krokiem przez Francją — amazonkę w czerwonej czapce o złotych galonach. Tę

zgrają zbójów, wiedzie figura mająca w sobie coś napoleońskiego, lecz o rysach tak bladych i konturach niepewnych, że trudno się domyśleć, ażali to „zbój korsykański,” lub trzeci tego imienia. Orzeł francuzki, widocznie znużony i skrzydłami niepewnie uderzający, szybkuje ponad rzeką (Renem), wnet jednak spotka on tam pruskiego orła, z pazurami i dziobem gotowemi do boju. Pani Germania zrywa się nagle, bo na drugim kartonie już ją spotykamy na szczycie skały, potrząsając mieczem i ciskając ku najeźdźnikom spojrzenia godne pantery. Starzec jakiś z zaciśniętymi pięściami, patrzy ku niebu jedyném swém niewybitém okiem — drugie pod Lipskiem utracił — wołając o zemstę niebieską na Francuzów. Żołnierz landwery, ślusarz, albo kowal z profesyi, odbiega kuźni i bieży pod sztandary; młodzi żołnierze—ochotnicy, naśladują ten przykład, wszyscy pozdrawiają księcia Fryderyka-Karola, dosiadającego wronego rumaka, by ich wieść wedle obietnicy do zwycięstwa. On im wskazuje biało-czarno-czerwoną chorągiew, powiewającą w dali jako godło jedności niemieckiej i nowego cesarstwa. Pojednanie Północy z Południem przedstawiają osoby następcy tronu pruskiego i wielkiego księcia Meklenburgii-Szwerynu, ściskające dłonie bawarskich generałów Hartmann’a i von der Thann. Ostatni obraz przenosi nas wreszcie do Wersalu, gdzie Prusy, pod postacią królowej Ludwiki, zasiadłszy na tronie, odbierają koronę cesarską z rąk niemieckich książąt. Stara legenda, unieśmiertelniona przez Uhland’a, spełnia się tu: Fryderykowi rudobrodemu wolno już zbudzić się ze snu wiekowego, a czarne kruki przestaną krążyć niespokojnym i burzliwym lotem dokoła góry, w której śpi cesarz stary.

Kolumna tryumfalna ma 105 stóp wysokości. Anioł zwycięstwa dzierży chorągiew zdobną w żelazne krzyże, mającą 45 stóp wysokości. Kolumnę wyciosano z białego głazu, a zębaty jej gżems złotemi armatkami upiękuszony, które berlińczycy słusznie z cygarami porównają. W postumencie jej złożono trzy dokumenta, podające w streszczeniu historię trzech kampanii z lat 1865, 1866 i 1870 (*).

Lecz odwróćmy oczy od tego pomnika, przy którym staliśmy zadługo, albowiem, nawet wedle zdania zwycięzców, zohydza on ich stolicę. Brzęk dzwonków zapowiada zbliżenie się tramwajowego woza; wsiadłszy doń, staniemy w pięć minut u poczdamskiego dworca.

Przed laty dziesięciu, dopiero po okazaniu paszportu otrzymywano bilety do Poczdamu; wróciwszy z tamtąd, powtórnie wypadało go pokazywać, poczem kor-don żołnierzy otaczał przybysza i często pociągano go pod długie i szczegółowe śledztwo. Tych formalności już zaniechano, lecz oko policyi berlińskiej bynajmniej nie usnęło.

Do Poczdamu dojeżdżamy w 45 minut—stoi on na największej wydmie piaszczystej w całej Brandeburgii, jego pałace i wille wznoszą się jednak wśród przyrody, której pomimo sztuczności swój, niezbywa na wdzięku i zieloności. Havel, leniwie opuszczająca objęcia jeziorzek emaliowanych srebrzystemi łabędziami, ściele u stóp Poczdamu modre kryształ y wód swoich.

(*) W ustępie odnoszącym się do wojny francuskiej czytamy, że ten pomnik dźwignięto w dowód wdzięczności narodowej ku Bogu, przeznaczającemu to plemię do *jeszcze świetniejszych powodzeń*, oraz ku nauce przyszłych mężów, którym kierowanie losem Niemiec i Prus przypadnie w udziale.

Krajobraz ten wdzięczny i niespodzianie roztaczający się przed nami, powstał z woli Fryderyka-Wilhelma I i syna jego Fryderyka II. Ten ostatni król, przezwany *wielkim*, zapewne dzięki długości swych pałaców, wybrał to miasto na oficjalną swoją siedzibę i polecił, by w zamku zbudowano złote schody i marmurową salę. Książę ten czuł słabostkę dziwną ku małym i marzył o przeniesieniu na Północ okazałości wersalskich. Bumann zastąpił mu Le Nôtre'a; własnoręcznie rysował on plany poczdamskiego ogrodu, zaludnionego Wenerami, Faunami, Satyrami, Neptunami i Trytonami, nakształt botanicznego ogrodu pełnego gazelli, niedźwiedzi, szimpanzów i krokodyli.

Poczdam zmienił się zupełnie od czasu pobytu Woltera. Nie są to już ogromne koszary zakryte podmiejskimi willami. Fryderyk-Wilhelm IV subwencyonował wszystkich budujących tu domy, pod warunkiem, że nadadzą swoim gmachom „artystyczną“ powierzchowność. Berlińczycy nie celują smakiem, lecz zawsze biegną pierwsi kędy zarobek, więc też hojnie korzystali z królewskiej szczodroblewości i zbudowali mnóstwo will w stylach najśmieszniejszych, zmieniając Poczdam w istną maskaradę architektoniczną, gdzie rosyjska izba wznosi się tuż obok gotyckiego zameczku, szwajcarski szalet w oczy zaziera kolumnadzie greckiej, a kwieciste wieżyczki odrodzenia poswatały się z minarecikami tureckimi.

Szczęściem zapustny ten wtorek, w którym rozmaite style budownicze udział biorą, sięga tylko w miarę potrzeby zakrycia pięknymi maskami pałasy i pistoletów niedalekich, albowiem podszedłszy kilka kroków, ujrzysz takowe w postaci koszar i arsenałów.

Borussia zawsze okazuje swe marsowe pochodzenie i przypomina, iż szyszak był jój kolébką.

W długich tych ulicach uszykowanych jak bataliony, czuję woń prochu.

Zapach to nadewszystko pruski.

Warty przebiegają pod herbami Hohencolernów; herby te noszą *l'aigle qui vole* w swęj tarczy. Kilka armat francuzkich wala się w nieładzie przed wojskowemi pomieszkaniem; rzeczby można, że to są kości Francyi. Wejdz do kaplicy wojskowej, a znów spotkasz pamiątki po zaduszonej krainie. Krwawe i podarte chorągwie z r. 1813 i 1870, wy tam wisicie jak pogrzebowe całuny, któremi dwakroć Francją ten sam kat opasał!

Trofea z ostatniej wojny ułożono w 7 pęków na narożnikach ołtarza, ponad grobowcami Fryderyka-Wilhelma i Fryderyka II. W tej świątyni marsowej znajdziesz też 12 orłów pierwszego cesarstwa, oraz sztandary austriackie i duńskie. Od r. 1812 do 1872 zdobyły Prusy 198 orłów, chorągwi i sztandarów francuzkich.

Za kazalnicą przechowują w mahoniowej szafeczce mundury, noszone przez trzech monarchów, podczas kampanii w r. 1813.

W tej to kaplicy zawarł cesarz Aleksander I traktat z lęklwym Fryderykiem III, w nocy z 3 na 4 Października 1805.

W rok później, Napoleon wkroczył tryumfalnie do Berlina i stanął w Poczdamie, by w tymże kościele pozbawić zwłoki zwycięzcy pod Rossbachem ich szpady.

Tu w rok później odważył się poeta Rückert zanucić psalm zemsty:

„Jednocześnie wzniesmy przysięgające dłonie ku niebu, my, co ojczyznę w szpiku kości naszych czujemy. Przysięgnijmy — a umarli niech nas słyszą — że

nie opuścimy mieczy, póki nie rozbijemy w puch nieprzyjaciela.“

„Przysięgnijmy, że ojciec syna, żona męża szukać nie będą, żołnierz nie zażąda żołdu, nikt z nas nie wróci od ogniska bez krwawego wieńca zwycięstwa.“

„Niewiasty pruskie, przyjmcie ofiarę mej pieśni, jaką u stóp waszych składam, w odwet oddając ojczyźnie wasze obrączki złote, jak jój dałyście dzieci waszego żywota“.....

„Stary „Fritz“ podnosi się z grobu, oczy mu palają błyskawicami radości, jak gdyby osobiście do walki spieszył i woła:“.....

„Wieleż o synowie pruscy, wieleż mieczów rdzą nie stoczonych dobyć zdołacie? Jeżeli zbrojownicy wasi zwlekają, chwytajcie kosy, topory, dzidy, co tylko znajdziecie — chwytajcie żelazo i śpieszcie się z odebraniem mej szpady—od Inwalidów.“

Wiadomo jak usłuchano głosu poety, jak spełniono jego radę. Prusy rozéwiertowane, rozszarpane, zgniecione, zmniejszone do połowy obszaru i ludności pierwotnej, obciążone kontrybucjami wojennymi bezmiernymi, odpowiedziały na wołanie to unieszeniem patryotyczném, zaiste wspaniałem. Prowincye podjęły się wszystkiego: umundurowania i uzbrojenia ludzi, zakupna broni i koni.

„Wtedy, pisze Charras, miasta zmieniły się w warsztaty, robotnicy dniem i nocą pracowali nad stworzeniem rzeczy niezbędnych. Nadto jeszcze rozkwaterowano żołnierzy u obywateli, którzy podjęli się żywienia swoich obrońców bezpłatnie. Do tylu niezmiernych ofiar koniecznych i poniesionych z niezrównanym zapalem, ludność inne jeszcze dodawała, gdyż zewsząd wpływały patryotyczne dary; ci, pieniądze składali, srebra, bronie, żelazo; owi, sukno, płótno; inni, konie

i bydło; jeszcze inni, zboże i paszę. Kobiety przynosiły swoje klejnoty, a nawet ślubne obrączki, odbierając w zamian pierścionki żelazne, z godłem wyrytém: „dałem złoto za żelazo, 1813.“ Uboga dziewczyna, nie mająca zgoła innego mienia, przyniosła jedyną swoją ozdobę—swoje warkocze; z nich spleciono obrączki, które sprzedawano drogo. Zapał ten karmiono, rozniecano i chwalono nawet z kazalnicy świątyń i katedr uniwersytetów, w dziennikach, w broszurach i piosnkach. Całe Prusy zmieniły się w obóz nieprzerwany. Do pobudki miłości ojczyzny i nienawiści ku cudzoziemcom przyłączyło się hasło religijne; uczucia chrześcijańskie wyszydzane lub tłumione niedawno, dodały hartu duszom, tak, że ludowe to powstanie spełniało zadanie podwójne, stawszy się zarazem rewolucją narodową i rzetelną wojną świętą.

Co za przykład w tém nagłym ocknieniu obalonego i posoką zbroczonego narodu! Jaka skazówka w tych bohatérskich usiłowaniach dla narodowości haniebnie obalonej, srogo pokonanej jak nawet Francya dzisiejsza!

V.

Pfingstberg i plany p. Bismarck'a. — Wieś rosyjska. — Sans-Souci. — Pamiątki po Fryderyku II. — Wolter. — Menażerya w Sans-Soucis.

Pan Bismarck, chociaż nie straszy go dotąd upiór komuny w Berlinie, zamierza przenieść stolicę urzędową z Berlina do Poczdamu. Wersal ten pruski zostałby rodzajem ufortyfikowanej pod-stolicy, gdzieby się koncentrowały parlament i żołdactwo. Czyż nie wspaniały to pomysł księcia-kanclerza? Zbudowałby on pałac Reichstag'u (od lat 4 marnie szukający pomieszczenia) na szczycie Pfingstberg'u, téj góry Zielonych świąt, lecz nie wypływa ztąd, aby deputowani cesarstwa szukali natchnienia Ducha świętego. Podnóże góry otoczonoby willami, kwoli uprzyjemnienia pobytu w królestwie pruskiem przedstawicielom Południa. Zachodzi pytanie, zkąd zgarnąć pieniądze na urzeczywistnienie tych pięknych marzeń? Z czasem może je rozwiążą *pożyczając* od sąsiada.

W r. 1820 przysłał cesarz Aleksander królowi Fryderykowi-Wilhelmowi kilka tuzinów śpiewaków i kilka próbek żołnierzy pułku obdarzonego królewskiém imieniem. Monarcha kazał dla nich zbudować u podnóża Pfingstberg'u mniej więcej dwadzieścia domków w rosyjskim smaku, dotąd tam stojących. Śród wsi téj malowniczej, przypominającej brzegi Newy, wznosi się pra-

wosławna cerkiew z facyatą bizantyńską i złożoną kopułą. Lecz piaski Brandeburgii zabiły tych przybyszów, tęskniących za stepami; wszyscy oni umarli z tęsknoty i nudów, a sioło rossyjskie zmieniło się w wieś pruską.

Zeszedłszy z Pfingstberg'u obok sycylijskiego ogródka, o tarasach winną latoroślą okrytych, dochodzimy do grupy budowli w smaku podrzędnym.

Stoimy przed Sans-Souci.

Położenie samego zamku jest cudne; łatwo więc pojmujemy dla czego Fryderyk II obrał go na rezydencją ulubioną. Kwiaty łączą się tu w zachwycające kwatery, wodotryski wyskakują i spadają w długich, srebrzystych kitach, marmurowe posągi zdają się bawić w chowanego, przypominając białe widma, tulące się w tajemniczych cieniach galków, a na pobliskim pagórku młyn tradycyjny filuternie kiwa skrzydłami.

W tém to Sans-Souci spotykano niegdyś poetę-filozofa nazwanego przez Macaulay'a: Trissotin-Mitrydates, króla grajka na flecie; miłośnika smacznych kolacyjek, starego kawalera, co lubił nosić łątaną odzież i koszulę. Tu dążył on na spoczynek po pracach rządu i znojach zaborcy. Zapewne téż w szpalerach tych grabiowych o niedosiężonej okiem perspektywie, znajdował ten chytry monarcha samotność, niezbędną ku układaniu planów swojej łakomej i krętej polityki. On jednoczył w swój osobie przezorność węża z lisią chytrąścią. Patrz na jego portrety w Sans-Souci. Czyż te zaciśnięte i obłudne usta nie zdają się cedzić owe słynne zdanie, wyrażone w liście do Poelnitz'a: „Jeżeli się da co zarobić uczciwością, bądźmy uczciwemi, jeżeli jednak lepiej byśmy wyszli oszukując, zostańmy oszustami.“ W tych oto trzech wierszach cały katechizm polityki pruskiej i zupełna historia téj monarchii się zawiera.

Pałac w Sans-Souci urządzono na wzór oranżeryi, galerya w kształcie kolumnady łączy dwa jego skrzydła. Jadalną salę ozdobiono posągami. Stół w niej stojący dotąd jeszcze otaczają krzesła, jak za czasów Fryderyka, lecz obrus zdjęto, bo od wieku nie zasiadali doń biesiadnicy. Tu jadano słynną ową „królewską pieczeń,” tu trudno było rozstrzygnąć, ażali rozkoszniej iskrzył się szampan niż dowcip. Wolter, smakosz jak wszyscy literaci, musiał poskromić swe zamiłowanie w łakociach i pisał do księcia Richelieu w Sierpniu r. 1750: „Zdrowie moje mniej więcej nielepsze, jak bywało w Paryżu, a wiesz, że kiedy kolka mnie jątrzy, to posyłam do licha wszystkich królów świata. Musiałem zaniechać udziału w owych *niebiańskich kolacyach* i odtąd czuję się cokolwiek lepiej.“

Fryderyk, chociaż mały swoje nazwiskami ministrów obdarzał, lubił się otaczać na tych poufanych zebraniach dowcipnisiemi swojego czasu, jak: Poelnitz, Chassot, d'Argens, Algerotti, Maupertuis, La Mettrie, lord Tyrconnel; istną galeryą dziwaków, co do Prus wnieśli zwyczaje i piękną mowę francuzką.

Wiadomo powszechnie, mówi Chamfort, do jakiej on zażyłości przypuszczał niektórych dworzan swoich. Jenerał Quintus Scilius najdowolniej ztąd korzystał. Król pruski rzekł do niego przed bitwą pod Rossbach, iż gdyby ją przegrał umknie do Wenecyi, by żyć z profesyi lekarskiej. Quintus odrzekł:

— Stale chcesz zostać mordercą?

Innym razem, po kolacyi, Fryderyk zapytał dowcipnisiów raczonych przez siebie:

— Cóżby każdy z was uczynił, gdyby królem pruskim został?

Na co odrzekł margrabia d'Argens:

Podróż po Zaborach prus.

— Słowo daję, żebym sprzedał królestwo, by pojechać do Paryża i przejechać dochody.

Księgozbiór umieszczony w rodzaju rotundy zawiera tylko francuzkie książki. Pokazują tu publiczności rękopism Fryderyka z przypiskami Woltera. Poprawki te zmieniają się często w epigramy. Na marginesie rymów, w których słowo *plat* (płaski) powtórzono kilkakrotnie, dopisał autor Zairy: „więcej tu *plats* (talerzy), niż przy bardzo dobrej wieczerzy.“ Dziesięć stronnicej dalej, spotykamy słowa: „wyśmieniście! trudno lepiej pisać!“

Sypialnia wybita blado-zielonym jedwabiem, pozostaje w tymże stanie, w jakim była w dniu zgonu Fryderyka. Król sypiał na zwykłym łożu, ukrytym za parawanem, w pośród swoich charcic. Fotel, na którym skonał, znaczą krwi plamy, a mały zegar brązowy, dotąd wskazuje chwilę zgonu — dwadzieścia minut po drugiej.

Pokój Woltera znajduje się z tyłu, na tarasie. „Tu—pisał on—łatał prozę i wiersze mojego pana.“

Komnata ta wnet w klatkę się zmieniła. Filozofujący a złośliwy król dodał poecie do towarzystwa małpy, papugi i pawie; wszystkie te alegoryczne stworzenia pną się po tapetach na ścianach; małpy i papugi są nawet cokolwiek podobne do Woltera.

W kominku téj komnaty spalono pierwsze egzemplarze uszczypliwego *doktora Ahakia*, jednakże paszkwil ten Woltera zmartwychwstał z popiołów. Fryderyk takim gniewem ku niemu zapłonął, że go kazał publicznie spalić ręką oprawcy. „Nie mając na me usługi 50,000 wásalów, pisał Wolter do pani Denis, nie zamierzam wojnę za to wypowiedzieć i tylko rozmyślałam jakby ztąd umknąć przyzwoicie, szczerzyć moje zdrowie, ciebie zobaczyć, zapomnieć ten sen trzyletni.

Czuje ja to dobrze, że już *wycisnęli pomarańczę*, i że czas unieść skórę w bezpieczne miejsce. Dla własnej nauki sporządzą słownik królewski, gdzie *mój przyjacielu*, będzie synonimem *mego niewolnika*."

Fryderyk ze swój strony pisał we Wrześniu 1749 r. do Algarotti'ego: „Wolter spłatał mi niegodziwego figla i zasługuje, by go na Parnasie piekącym żelazem piętnowano. Jaka to szkoda, że dusza tak podła gości w nim obok geniuszu wspaniałego, że on łączy w sobie powaby i złośliwość małpy. Opowiem ci to wszystko, gdy się spotkamy, tymczasem udaję, jakbym nie dbał o nic, gdyż potrzebuję go jako nauczyciela wymowy francuzkiój. Można się dobrych rzeczy nawet od zło-czyńcy uczyć. Pragnę jego francuzczyznę posiąść, cóż mnie więc obchodzi jego moralność?"

Jeżeli Fryderyk gardził Wolterem, ten pięknem za nadobne płacił: „Nie umiem, pisze on w jednym z swoich listów, szanować człowieka bez zasad, depczą-cego prawa narodów, nie wierzącego w cnotę i uważa-jącego ją, jako przynętę do zabawy głupców."

Każdy z nas słyszał o owém zamięłowaniu Fryde-ryka w koniach i ogarach. Zwierzęta niszczyły w Sans-Souci ogrodowe kwatery, darły kobierce, plamiły me-ble: „Rujnują mnie—mawiał król—lecz koniec koń-ców, cała moja psiarnia tyle mnie nie kosztuje co je-dna pani Pompadour."

Gdy Göthe zwiedzał Berlin w roku 1798 w towa-rzystwie księcia wajmarskiego, napisał on do Merk'a: „Przedstawiono mnie staremu Fritz'owi, przypatrzyłem się jego trybowi rządzenia, widziałem jego złoto, mar-mury, małpy, papugi i podarte franki i słyszałem jak wszystek motłoch berliński rozprawiał o wielkim czło-wieku."

Przebiegając taras dostrzeżemy na prawo groby psów królewskich i jego rumaka Kondeusza. Skomponował on dla nich napisy nagrobkowe już słotą zmażane i polecił w testamencie, żeby go obok swoich „ulubieńców“ pochowano. A słusznie zbrzydli ludzie temu rządcy o nieograniczonej władzy, co przed zgonem wołał: „sył jestem rządów nad niewolnikami.“

VI.

Fryderyk II i Napoleon. — Małżeństwo Fryderyka. — Przyczyna jego popędów zaborczych. — Jego sposób rządzenia i aneksacye. — Jego ambasadorowie. — Fryderyk w krajach zdobytych. — Jego armia. — Jego twór: „naród pruski.“ — Teorya jaką przekazał w celu wzmocnienia Prus. — Ostatni z Hohenzollernów i przepowiednie Hehlinu.

Fryderyk II jest bohaterem legend pruskich, nakształł Napoleona I, w tenże sposób unieśmiertelnionego w legendach napoleonskich. Nie znam dwóch typów mocarzy, któreby się silniej wpoili w wyobraźnię ludową. Lecz jeżeli potężne widmo Napoleona budzi w nas marzenia bohaterstwa i sławy, obraz Fryderyka wywołuje tylko wspomnienia rozboju i chytrości.

Napoleon podniósł Francję na tron cesarski, cywilizacyi i światła; skonał on jak istny Prometeusz nowoczesny, przykuty do skały, co na wieki zostanie postumentem pomnika pół-boga. Fryderyk, kona w starym, wyszarzanym fotelu, wśród psów i małąp, z ostatniem życzeniem na ustach, aby go z niemi razem pochowano.

Tylko pochlebcy cisnęli się dokoła tronu Fryde-

ryka; dziejopisarze niemieccy zabierający się w naszych czasach do pisania jego życiorysu, także kadzą pamięci tego modelu i głowy obecnej dynastji. Jeden z nich tylko, p. Otto Klopp, był dygnitarz hanowerskiego królestwa, ośmielił się rozpiąć mundur króla-kaprała i pokazać pod nim nagość człowieka (*).

Trudno odmówić temu królowi zdolności nadzwyczajnych; był on wybornym wodzem, dyplomata, chytrem, na wskroś przesiąkniętym zasadami Machiavel'a, rządcą zręcznym, lecz przytém wszystkiem jego płaszczyk udanej szczerości i dobroduszości krył przemierzonego despotę.

Gdyby inny ojciec był wychował Fryderyka, niż ów Fryderyk-Wilhelm, co z żoną i dziećmi obchodził się z nielitościwem okrucieństwem, młody książę nie byłby się zapewne przedziernął w męża obludy i zdrady. Otrzymałby jednak przewrotną edukacyę i zmuszony do kłamania i oszukiwania, aby ująć przed zjadłością ojca, za młodu musiał on kłamać miłość synowską i uszanowanie przed rodzicielem i drzeźnić publicznie maskę uległości, poświęcenia i pokory. Rzetelne swe uczucia zdradza on w swojej korespondencyi z margrabiną Bayreuth, swoją siostrą. 20 Września 1734 r. tak pisze o zdrowiu ojca: „Złe mam dla ciebie nowiny. Król w smutnym pozostaje stanie i nie przyrzekają mu długiego życia. Jednakże powziąłem zamiar pocieszania się we wszelkich możliwych następstwach, żywiąc koniec końców głębokie przekonanie, że nigdy nie odetchnę swobodnie, póki on żyć będzie; zdaje mi

(*) Fryderyk II. Tom gruby wydany w Luksemburgu i zakazany w Prusach. P. Otto Klopp wygnany z Niemiec, przebywa w Wiedniu.

się nawet, że zdołam ci nasunąć sto pobudek do zapomnienia o nim.. będziemy się wzajemnie pocieszali, moja droga“...

Cokolwiek później znów pisał: „Otwarcie ci powiadam siostrzyczko, że król gaśnie i pewno końca roku nie przeżyje.“

Margrabina ostrzegała czulego braciszka aby oględniej postępował, albowiem „lękam się bardzo, pisała, jego (ojca) dziwactw, zwłaszcza, gdy śmierć czuje na ramieniu, a choroba się wlecze bez stanowczego skutku.“

Królowi nie chciało się jeszcze konać. Więc 10 Stycznia następca tronu tak pisze: „Muszę ci donieść ku pospolitemu własnemu zdziwieniu, że król ma się lepiej.“

Cokolwiek później tak się zwierza:

„Złodziłem się dawniej, teraz odkryłem tajemnicę: Bądź pewną kochana siostro, że dzięki Bogu ma on *konstytucję Turka!*...“

Gdy Fryderyk-Wilhelm skazał własnego syna na śmierć, więził on takowego w komnacie, której drzwi otwierano tylko cztery razy na dzień i to ledwie na kilka minut w każdym wypadku. Pożywienie popodawano mu posiekane na cząstki, gdyż król wzbronił używania noży i widelców. Zabrano mu kalamarz, papier i flet, pozostawiając tylko starą biblię.

Dorotę, córkę bakałarza poczdamskiego, podejrzewaną przez Wilhelma jako kochankę swego syna, omal również na śmierć nie skazano. Zadowolniono się w końcu wleczeniem jój przez ulice, chłostaniem publicznem i uwięzieniem na całe życie w domu poprawy.

Fryderyk udawał skrucę za swe błędy i przyrzekał poprawę. Pewnego dnia rzekł on do radcy Ibezmer'a, który przyszedł w celu wyłudzenia jego

zaufania: „We wszystkim chcę się okazać najposłusznijszym synem mego najłaskawszego ojca. Jeżeli on raczy uszczęśliwić mnie żoną swego wyboru, przysięgam, że będzie to najlepszy wybór na świecie.“

4-go Lutego wystraszonego księcia ze snu o północy, żeby go kurier zawiadomił o wyborze przez ojca mu narzuconym. Była to nieszczęśliwa Elżbieta brunszwicka. „Skromna ona, oględna, nieładna lecz i nieszporna oraz bogobojna,“ pisał Wilhelm do syna.

Fryderyk rzucił się na krzesło po odczytaniu tego listu zanosząc się od śmiechu. Król wymagał odpowiedzi niezwłocznej i otrzymał następną od „najposłusznijszego“ syna: „Niewymownie jestem rad, że księżniczka przypadła do smaku memu ojcu i oczekuję z najpokorniejszem poddaniem się Jego woli przysłanych rozkazów.“

W kilka dni później tak pisał o tém małżeństwie do swego przyjaciela, Gromtkowa:

„Uczę się komplementów dla Brunszwiku (księżnej Elżbiety), dla lepszego zaś ich wpojenia w pamięć poleję na dziki, *albowiem od Westfalii do wieprzowiny nie długa droga.*“

Wyznaczono wreszcie dzień i miejsce ślubu, 10 Czerwca 1033, udał się król w gronie rodziny własnej i księcia brunszwickiego do Salzladam, zamku książęcego w okolicy Wolfenbüttel. Tylko margrabina, siostra Fryderyka, tam się nie zjawiła. W dzień ślubu pisał więc do brat do niej:

„Nie kocham księżniczki, czuję wstręt ku niej, małżeństwo nasze nie zobowiąże mnie zgoła, gdyż między nami nie może się przyjaźń lub zgoda ustalić.“

Pozostawiając list niedokończony ruszył do kościoła, wyrzekł uroczystą przysięgę, ślubując miłość i wierność tej młodej dziewczynie o sercu szlache-

tném, czystém i namiętném, którą nie kochał i jaką się brzydził, poświęcając godną podziwienia kobietę swemu usposobieniu okrutnemu, lękliwemu i rozwiązłemu.

Książę tak dokończył po ślubie ów list do margrabiny Beyreuth:

„Już po ceremonii. Dzięki Bogu że to wszystko się skończyło. Tobie pierwszej o tém donoszę, w dowód méj przyjaźni.“

Do śmierci ojca mieszkał Fryderyk pod jednym dachem z swoją żoną, na czém się też ograniczały ich małżeńskie stosunki. Ledwie że ojciec zawarł powieki, nawet to pozornie wspólne życie ustało i Fryderyka niechęć ku kobietom rosła z dnia na dzień. Nad różanemi usteczkami portretów księżniczek zdobiących swoje pałace, kazał on malować zawiesziste wąsy.

Zmuszony do wyrzeczenia się miłosnych zdobyczy szukał innego pokarmu dla trawiących siebie namiętności, więc postanowił zdobywać prowincye i młody ten Alcibiades zmienił się w wojownika. On, co drwił z olbrzymów swojego ojca i potępiał okrutną zabawę zaborcy, rzucił się z zapalem w ich ślady, pomimo że niegdyś pisał w swój przedmowie do *Anti-Machiavel'a*: „Któż nadał królowi prawo mnożenia swój potęgi niszczeniem i tępieniem bliźnich? Zkądże mają dlań urość bogactwa, jeżeli sieje zniszczenie?“

Wszystko się zmieniło. Niemoc zupełna Austrii po śmierci Karola VI podsunęła mu pierwszą pokusę. W pierwszej bitwie jednakże przemogła jego natura, więc z niej uciekł. Wnet przywykł on do woni prochu i grzmienia dział i głębiej zabrnął w krwi niżeli zamierzał. Spodziewał się on w jednej kampanii dojść do celu życzeń, a musiał przebyć długie pasmo wojen.

W nich Fryderyk, zbieg z pod Molwitz, nauczył się rzemiosła wodza i zdobywcy.

Zaledwie wstąpił w szranki wybrał on broń obłudy i chytrłości, jako najpewniejszą. Traktata, pisane przyrzeczenia, słowo dane, nic zgoła go nie zobowiązywało, jeżeli nie upatrywał w tem korzyści. Prusy bezwarunkowo niegdyś uznały sankcyę pragmatyczną, cóż jemu jednak do tego? „Słowo *politykę* powiada on, w ten sposób pojmuję, że *wypada innych oszukiwać*. Jedyny to sposób żeby skorzystać z ludzi albo przynajmniej wyjść na swoje. Nie rumieńcie się podpisując traktat z kąd wyłączny zysk dla was urośnie. Nie popełniajcie niepowetowanego błędu, żeby się takowych nie zaprzecć, ilekroć sąd zdrowy powiada że to wam na dobre posłuży, mianowicie zaś trzymajcie się zasady, że *rabowanie sąsiadów pozbawia takowych środków szkodzenia wam*.“

Gdy zgoła się tego niespodziewano, Fryderyk rzucił się na Szląsk z swoją armią, oświadczając w proklamacyi, iż zajmował tę prowincyę żeby ją od postronnego najazdu ochronić. Tą drogą rozpoczął politykę jakiej zawdzięczał sławę swojego panowania i rozszerzenie granic królestwa; obecne Niemcy jój swój byt zawdzięczają.

Chytra ta polityka w szpiegach znajdowała najlepszych sprzymierzeńców, a pomimo sknerstwa swego król ten nieszczędził wydatków na emisaryuszów przy wszystkich dworach. Któż nie słyszał o kradzieży, jaką Menzel w archiwach drezdeńskiego kanclerza popełnił?

Fryderyk twierdził, że potęga króla pruskiego, polega w części na znajomości sił własnych, w części na poznaniu zasobów rywalów.

Własnoręcznie on opisał swoich ambasadorów, ludzi zupełnie odmiennych od Arnim'a. Opis ten brzmi:

„Byleby ich dobrze karmiono, można użyć posłów naszych do wszystkiego. Spotkałem już takich, co mi służyli przy *dziurce od klucza* i dla wykrycia tajemnicy stanu chętnieby przetrząśli kieszenie królewskie. Wybierajcie mianowicie ambasadorów wyrażających się w sposób nieokreślony, niezgrabny i wspaczny. Zdadzą się wam także lekarze i *ślusarze* polityczni; doświadczenie mnie nauczyło, że niemałe korzyści wypływają z tego rodzaju ludzi.“

Pan Bismark streścił tę naukę na jednym z swych politycznych wieczorków w jednym zdaniu: „Żądam, rzekł on, żeby ambasadorowie *moi* obracali się jak podoficerowie.“

Obecny kanclerz cesarstwa również od lat 10 przestrzega przepisu Fryderyka; „mieście pieniądze, wojsko wasze uczyńcie wyborniejszem od armii sąsiadów i *wyczekujcie chwili korzystnej*. Temi sposobami nie tylko ustrzeżecie całości waszego państwa, lecz takowe powiększycie. Słyszałem o złych politykach utrzymujących, że państwo powinno zaniechać rozszerzania swych granic, skoro dojdzie do pewnej objętości, albowiem system równowagi politycznej każdemu narodowi własny kąt przeznaczył... system taki jest czczem słowem. Wszystko zależy od wytrwałości i odwagi chwytającego. Zawsze probujcie brać, pomnąc że wszystko zdać się może, lecz nie głoście waszych uroszczeń zbyt dumnie. Niech słowo „sprawiedliwość“ was nie olśni, albowiem znaczenia jego są rozmaite i w różne daje się zastosować sposoby... Ponieważ ludzie wyrzekli jednogłośnie, iż podłością jest bliźnich oszukiwać, więc obmyślano wy-

raz łagodzący tę czynność i wybrano ku temu słowo *polityka* *).“

Oskarżając Maryę Teresę o utrzymywanie tajnej korespondencyi z panią Pompadour, co było oszczerstwem niegodziwem jak dowiódł p. Otto Klopp, on sam schlebiał listownie innéj metresie Ludwika XV, mianowicie księżnej Châteauroux, a nawet posunął się aż do posłania jéj bukietu. Wreszcie użył własną siostrę, margrabinę Bayreuth, kwoli przekupieniu pani Pompadour, której gotów był dać pół miliona talarów „albo więcej gdyby tego wymagała.“ Chciał on zapłacić 5 milionów, byleby okupić pokój z Francją. Lecz nawet ta nierządnicą go poniżyła, odpowiadając mu w sposób godny monarchini. Mszcząc się nazwał on ją: *Spodnicę III*.

Do dziś przytaczają w rozprawach historycznych bullę papieżką, jakoby pisaną do marszałka Daun'a przy doręczeniu mu szpady poświęconej. Wyrazy téj bulli musiały obruszyć wszystkie umysły protestanckie. Zmyślił ją zaś Frydryk II co do słowa, w celach sobkowskich, dla zadania ciosu Maryi Teresie. D'Argens przełożył ją na język łaciński.

Wiadomo też, że w r. 1774 pewien ksiądz włoski podrobił za namową pana de Keudell, ambasadora pruskiego w Rzymie, całą bullę papieżką odnoszącą się do przyszłej konklawy, przy pomocy staréj bulli, której tekst zastosował do okoliczności.

Chcąc walczyć z katolicyzmem ostrzejszą bronią, król ten obstałował *la Pucelle* u Woltera, pomimo, iż

*) *Oeuvres de Frédéric le Grand*, wydanie urzędowe, T. VIII.

go raz pałkami uczestował w Frankfurcie i że ten go przezwiał „Salomonem mandarynem północy.“ Niemożąc się doczekać ukończenia tego dzieła, pisywał o nie natarczywie, grożąc pisarzowi, że go się wyprze na wieki, jeżeli wczas je nie otrzyma.

Obrzydliwa ta, przeciw Francyi i jój najczystszej gwieździe skierowana broszura, była raczej płodem pióra króla pruskiego jak Woltera.

Religijne zasady Fryderyka stały się dogmatami pruskiej monarchii. On obdarzył swoją ojczyznę wyznaniem państwowem, gdy obejmując berło rzekł do ministra wyznań: „Wymyśl mi religię wyłączną dla mojego kraju, albo idź do diabła.“

„Nie podobna zaprzeczyć, powiada on w swojej *Sztuce rządzenia* poświęconej bratankowi, że religia tworzy niezbędną podstawę państwa. Nazwałbym tego monarchę niezręcznym, któryby pozwolił swoim poddanym ją zniszczyć, lecz niemądry ten król, co sam w nią wierzy. Nic tak nie poniża umysłu i ciała jak religia, gdyż takowa nie zgadza się z naszymi namiętnościami i z wielkimi widokami politycznymi, jakie licują z naszą wysoką godnością; monarchy religia powinna go uczyć tylko uwzględniania korzyści poddanych swoich i skarbienie sobie sławy. Godność jego sama przez się uwalnia go od innego wyznania wiary, zalecając mu tylko zachowywanie pewnych formalności, kwoli zadowoleniu tych, co go otaczają i przykład zeń biorą. Król lękający się Boga lub, używając wyrazów bab i księży, piekła—jak Ludwik XIV w wieku zgrzybiałym—staje się lęklwym i tylko godnym stanu kapucyńskiego. Ilekroć nasunie się jemu sposobność zabrania sąsiedniej prowincyi, cała armia diabłów stanie przed oczyma jego duszy;

słabość jego każe mu uwierzyć w niesłusznosc podobnego czynu, a wyrzekając się go, własnoręcznie się skarci za swój brak hartu. Ilekroć mu wypadnie zawrzeć traktat z innym mocarzem, przypomni on iż jest chrześcijaninem i *wszystko będzie stracone*. W wojenném rzemiośle najmniejszy szkrupuł wszystko zepsuć zdoła. *W istocie żaden porządný człowiek nie mógłby wojować, gdyby prawa wojenne nie upoważniały do rabunku, palenia i rzezi.*“

Król ten, na którego ustach zawsze drgało imię Marka-Aureliusza, który wciąż prawił o ludzkości, wolności, telerancyi i oświacie, należał do najsroższych despotów i był dosłownie człowiekiem „żelaza i krwi.“

Poeta Lessing pisał z Berlina 25 go Sierpnia 1769 do wydawcy Nicolai: „wolność na tem się zasadza w tym sfrancuziałym Berlinie, że przeciw religii wolno jest pisać wszelkie błazeństwa jakie tylko pod pióro wpadną; odważ się jeno odezwać otwarcie o innych rzeczach, prawdę w oczy powiedzieć dworzanom, jak to Sonnetfeld na dworze wiedeńskim uczynił, bronić praw narodowych, sarkać na despotyzm i podatki, jak to nawet czynią we Francyi i Danii, przekonasz się natychmiast, który z europejskich narodów jest najhaniebniej niewolonym.“

Los zajętych prowincyi bywał opłakany. Saksonię do szczytu zniszczono podczas siedmioletniej wojny. Nietylko mieniem, lecz ciała jej mieszkańców rozporządzał mędrzec z Sans-Souci dowolnie. Porwano tysiące młodzieży w szeregi jego armii; całemi dniami i nocami polowano na ludzi ku ogólnemu popłochowi. Drobne księstwa dessauskie skazano na dostarczenie w przeciągu tygodnia 180,000 talarów,

1,000 rekrutów i 500 koni, Erfurt na haracz z 100,000 talarów, 400 rekrutów i 150 koni. W miarę nieogłędności na prawa ludzkie zaskarbiali generałowie łaski monarsze. Werbownicy jego kradli ludzi nawet w czasach spokojnych. Przeciw samowoli wojskowej nieznano apelacyi.

Skradzionego młodzieńca niewolono do śmierci. Na koszarach pruskich można było wyryc owe: *lasciate ogni speranza*. Pewnego dnia słynny matematyk Euler przyjechał do Berlina skutkiem zaprosin królewskich, tu zaś porwano mu bratanka. Euler zaniósł skargę przed króla, który mu odpowiedział:

— Z powierzchowności twego bratanka wnoszę, że jest temperamentu limfatycznego i niezdalby się na kupca. Natura widocznie go przeznaczyła na wojaka, zostawimy go więc w pułku.

Gdy arcybiskup—elektor koloński przejeżdżał przez Hamm, generał Wolfersdorf natarł na jego orszak i schwycił zeń ludzi zdolnych do dźwigania broni.

Srogość regulaminu wojskowego do tego dochodziła stopnia, że ktokolwiek zadał sobie kalectwo kwoli uniknięciu rekrutacyi, musiał biedz 24 razy przez różgi i bywał odsyłany na całe życie do robót ciężkich. W regulaminie dla piechoty pruskiej (1750) czytamy następujący ustęp:

„By lada błazen (*sic*) nie nabawił się choroby lub nie zdechł (*sic*) przed czasem, zakazuje się upijania nad miarę, mianowicie gorzałką.“

Słynne są słowa królewskie do wojska, gdy takowe zachwiało się pod Kollinem w okropnym ogniu: „Wisielce! pragniecież żyć wiecznie?“

Wyrok Anglika Moore wiernie przedstawiał stan pruskiej armii. On to napisał, że: „położenie nor-

malne afrykańskich niewolników możnaby nazwać wolnością, w porównaniu z niewolą wojskową w Prusach.“

Thiebault powiada, że gdy król zapytał podczas rewii starego Dessauera, co tenże uważa za cud najdziwniejszy, a starzec zbył go ogólnikiem, Fryderyk zauważał: „najcudowniejszém zjawiskiem nazwałbym nasze krążenie bez szwanku pomiędzy tém mnóstwem ludzi. Każdy z nich jest naszym najzaciętszym wrogiem lecz *karność wszystkich wstrzymuje*.“

Armia pruską tworzyło podówczas około 150,000 ludzi; utrzymanie ich kosztowało rocznie 20 milionów złotych reńskich. Riesbeck pisał, że: „żołnierze ci stoją pod wyborną dyscypliną i obracają się z precyzją maszyn ruchomych,“ dodając oraz, iż: „przyznać wypada, że los szeregowców powinien do żywego poruszyć społecznych filozofów. Bez rygoru nie mogłaby jednak istnieć ta armia w obecnym swoim stanie. Na ich twarzach wychudłych wyczytasz dzieje nędzy i pracy nadmiernej. Kaprale uczący ich władania bronią i marszu, czynią to zwięźle i uważnie; tępym głowom powtarzają lekcję po tysiąc razy, niech jeno dostrzegą, że uczeń ją rozumie, chwytają pałkę i wręcz oświadczają, iż na przyszłość kij będzie jego instruktorem, jeżeli zaniecha wykonać co umić.“

Wnet po najeździe Szlązka, skoro Fryderyk uczuł potęgę swęj maszyny wojskowej, pisał on: „*twór mój, narodowość pruska* cieszy się dobrymi widokami na przyszłość. Czuje się już na siłach, by zagarnąć *spuściznę Habsburgów*.“

Kontury tych marzeń dziś oblekają się w ciało i owoc dojrzął. Niech jeno pan Bismarck dmuchnie z swojego politycznego rogu, owoc ten spadnie mu do

szyszaka i będzie mógł ofiarować go swojemu królowi, jak mu ofiarował Szlezwig, Alzacyę i Lotaryngię.

„Chciwa дума pruska, pisze pewien dyplomata — autor, dąży bezustannie do panowania nad Niemcami i zagłady Austrii, przedstawiającą w Europie politykę zachowawczą i żywioł katolicki“ (*).

Ta para ludzi — cesarz Wilhelm i Bismarck, uzupełniają się obopólnie, i ramię do ramienia przyłożywszy, przedstawiają geniusz Prus w całej swiej przerażającej i groźnej potędze. Jeden wnosi do spółki hasło swego „świętego posłannictwa“, drugi, ambicyę i zaciętość Prusaka stariej szkoły. Para ta wywiera na spłoszonej Europie podobne wrażenie, jak gdyby stary „Fritz“ zmartwychwstał.

Fryderyk II wszystko geaiuszowi osobistemu zawdzięczał — wola zastępuje geniusz u pana Bismarck'a.

Fryderyk II, ateusz w sercu, nazywał się posłańcem Najwyższego. Wilhelm I, choć sceptyk, walczy jako namiestnik Boży.

„Bratanku mój! — mówił stary „Fritz“ w swojej *Sztuce Rządzenia* — chcesz uchodzić za bohatera? śmiało posługuj się zbrodnią. Chcesz uchodzić za mędrca? obłudy używaj!“

Pan Tallichet, znakomity wydawca *Bibliothèque universelle*, opowiada w swoim przeglądzie, że podczas pobytu w Berlinie znajdował się „pod lipami“ w towarzystwie sędziwego i zacnego berlińczyka. Towarzysz

(*) *Le Dernier des Napoleon* (Paris, 1875).

jego zatrzymał się nagle u stóp pomnika Fryderyka II, i z miną tajemniczą i zmieszaną szepnął:

— Biblia jest księgą prawdy, jednakże zawiera wyrazy nieprawdziwe.

— O jakich wyrazach wspominasz pan? — pytał tamten.

— O ustępie w przysłowiach Salomona, mówiącym, że „sprawiedliwość wznosi narody.“

— Wszak nie znam ustępu sprawdzonego dobitniej faktami.

— Nie—odrzekł berlińczyk gwałtownie—czytałem historię Fryderyka II i mogę wręcz oświadczyć, iż takowy wznosił się zbrodniami, rabunkiem i niesprawiedliwością... nie, nie, narody nie wnoszą się sprawiedliwością.

Fryderyk II nie tylko przykład pozostawił, lecz i przekazał tradycję, oraz położył podwaliny, których usunąć już nie wolno bez narażenia całego gmachu na upadek. Napisał on ewangelie i kodeks polityczny, nakreślił plany, których wykonawcami są jego następcy, wytknął im jako cel usiłowań spuściznę Habsburgów, której sam pragnął tak chcieć.

„Jeżeli się rumienisz, bratanku mój, skutkiem naszego podłego pochodzenia, srom to nieuzasadniony — pisze on w *Sztuce Rządzenia*. — Największe monarchie poczęły się od uzurpacyi... Nasz własny ród poczyną się od buntownika i garbusa.“

A na czém skończymy?

Oto pytanie, na które Fryderyk nie zostawił odpowiedzi, natomiast znalazł się mnich, o mil kilka od Poczdamu, w starożytnym klasztorze Lehnin'u, co zań odpowiedział:

Tandem sceptrā gerit, *qui stemmatis ultimus erit.*
 Israel infandum scelus audit morte pīandum:
 Et pastor gregem recipit, Germania regem.

Według powyższych wierszydeł, cesarz Wilhelm I miałby być ostatnim księciem z domu Hohenzollern, rządzącym w Brandenburgii. Po jego śmierci, Prusy wróciłyby do katolicyzmu.

Te wyrocznie lehnińskie używają równego rozgłosu w Prusach, jak proroctwa Nostredama we Francyi. Zawierają one sto rymów, które komentatorowie zawsze bez trudu godzili z wypadkami bieżącemi i losem paaującej dynastyi. Złośliwi twierdzą, jakoby cesarz Wilhelm sam w nie wierzył (*), albowiem uwzględniając, iż przyrzekają one zrestaurowanie ruin Lehninu przez króla, pod którego berłem Niemcy zostaną połączone, w sam dzień obwołania siebie cesarzem w Wersalu, przysłał rozkaz, kwoli dźwignięciu nowego klasztoru w Lehninie. Zeszłej jesieni 15 deputowanych katolickich odwiedziło Lehnin, by uczestniczyć w poświęceniu nowój kaplicy.

Pisarze za-reńscy wierzący w autentyczność tych dziwaczych proroctw—a jest ich nie mało—twierdzą, że takowe datują od roku 1400.

Mnichy Lehnin'u nietylko kleceniem wyroczni się trudnili, lecz oraz prusaczeniem biédnych Wendów.

Lehnin, słowo słowiańskie, pochodzi z wendyjskie-

(*) Poprzednicy jego podobną zabobonną wiarą zaszczycał tę wyrocznię, gdyż Fryderyk-Wilhelm II kazał sobie przysłać kopią takowój, kwoli zabrania jój ze sobą do Charlottenburg'a.

go wyrazu określającego łanie. Pewien margrabia usnął tam raz, wedle podania, a we śnie ujrzał łanie rzucającą się nań z wściekłością; kazał więc wytłumaczyć sobie sen takowy i powiedziano mu, iż łania oznaczała Słowian, z którymi walczyć powinien, aż ich precz wypędzi. Margrabia dźwignął zamek i zawezwał mnichów reguły św. Bernarda, kwoli przygotowaniu okolicy do aneksyi.

VII.

Wyjazd z Berlina. — Stolica „czystych obyczajów i bogobojności“ skrytykowana przez pisarzy niemieckich i angielskich. — Okolice nad Hawlą. — Jeszcze Wendowie. — Łabędzie. — Elba od źródła do ujścia.

W dni kilka po mojej wycieczce do wendyjskiego kraju, wyjechałem z Berlina z radością. Czytelnicy co znają stolicę cesarstwa niemieckiego i oglądali wszystkie nudy zgromadzone w niej przez królów pruskich, pojmą przyczynę tego zadowolenia. Niektóre osoby podejrzewały mnie, iż Berlin w zbyt czarnych kolorach malowałem; wybaczam im, albowiem pewno nie byli nigdy po za granicami swojej ojczyzny. Ci, co zwiedzili brzegi Sprei, jednogłośnie potwierdzają moją szczerość. Opisywałem com widział i nie więcej, pisząc na miejscu i szkicując z natury. Nawet pisarze niemieccy zaślepieni prusofilizmem przyznali, że moja „*Podróż do kraju miliardów*“ jest zwierciadłem, w którym Berlińczycy mogliby się od czasu do czasu przejrzeć ku własnej korzyści. Nie przytoczyłem tam żadnego faktu, na który nie dzierzę dowodów lub którego potwierdzenia nie słyszałem z ust wiarygodnych. Gdyby język niemiecki o tyle był powszechniony we Francyi o ile francuzki jest w Niemczech, rodacy moi mogliby ocenić Niemcy z sądów przez ich własnych pisarzy o swym kraju wydawanych.

Autorowie zarenscy nieraz wyrazili się o Berlinie w słowach, których uzupełnianie z mojej strony byłoby zbytecznem.

„Jakżeż spodleni są tubylcel, pisze Karol Foster w r. 1779. Najszlachetniejsze rozrywki zmienili oni w zbytki, orgie i żarłoctwo; wolność myśli uważają za wolność rozkiełzania. Wszystkie tutejsze kobiety są nierządnicami. Z przykrością patrzymy na umysły rozumne zresztą, lecz tak zaślepione bałwochwalstwem królewskiem, że chwałą fałsze, występki i dziwactwa.“

Lord Malmersbury pisał też w owój porze: „nie znam miasta rowiążlejszego pod względem społecznym jak Berlin. Gdyby tu wyraz *fortis* tłumaczono na *uczciwy*, nie znalazłby się tu ani jeden *vir fortis*, ani jedna *femina casta*. Obie płcie przedstawiają we wszystkich warstwach społeczeństwa skutki niemoralności i nędzy, wywołanych podatkami obecnego monarchy i zamięłowania w zbytku, którego przykład dał im dwór poprzedni. Mężczyźni pragną zabaw, nie posiadając ku temu środków; kobiety, istne harpie bezwstydne, narzucają się temu, co zapłacić może najlepiej i nie umieją się zdobyć na iskrę uczuć naturalnych.“

Lord ten dodał w depeszy cztery lata później: „ogół Prusaków jest ubogi, pyszny, ograniczony i pozbawiony zasad moralnych; szlachta niesłużąaby w niższych urządach gdyby była bogatą. Cała ich duma koncentruje się w wielkości osoby królewskiej; ograniczoność ich tłumi wszelkie myśli o wolności lub opozycji; brak zasad zmienia ich w narzędzia potulne, nie troszczące się nigdy, ażali rozkazy które wykonywają odpowiadają wymaganiom słuszności.“

Nawet Göthe, to dziecko Olimpu, pisał po swoim

powrocie z Berlina do pani Stein: „Stanowczo mogę powiedzieć, że o ile wyższy świat spotykamy, o tyle sprośniejszą ujrzymy komedję. Słowo pani daję, iż żaden bezwstyd i żadne blażeństwo popularnej zabawki Hans Wursta nie wyrówna obrzydliwością zachowaniu tamtejszych ludzi wielkich, średnich i małych względem siebie.. Miasto to zamieszkuje szczepek bezwstydny; bezczelny; względem tego rodzaju ludzi niezawsze wypada być grzecznym. Tu wypada nadrabiać bezczelną swiałością, zęby pokazywać, niekiedy głupstwem się posługiwać, jeżeli nie chcemy znosić poniżenia.“

Schiller próbował spędzić tu kilka tygodni, w r. 1804, ale żona jego płakała bezustannie, uciekł więc z tąd pewnego pięknego poranku nie żegnając nikogo.

Wielki Mendelson, urodzony w Berlinie, sam sobie winał że nigdy tam żyć nie potrzebował: „gdyż, pisał on w r. 1833, powietrze, klimat, słowem wszystko tamtejsze jest nieznośnem i nie ma tam najmniejszej rozrywki dla ducha.“

Poeta dramatyczny Grillpartzer pisał w r. 1845: „nie mogę żyć pomiędzy tymi ludźmi, albowiem mają nadto *poloru*.“

Heine, chępiący się iż był wyzwolonym Prusakiem, pięć lub sześć tomów napisał, aby powtórzyć zdania powyższe.

Świadectwo pisarzy nowoczesnych niemniej zgodnie oplakuje stan Berlina. Czytajcie tylko uczciwe i niezależne dzienniki; mianowicie ewangelickie, umiejące głosić swoje treny w sposób patetyczny. Tom możnaby złożyć z tego rodzaju rozpaczliwych cytatów.

„Gazeta magdeburska.“ organ niepodważany, dziwowała się niedawno nad wzrostem demoralizacji berlińskiej. Wyliczywszy niezliczone występkę przeciw

własności i obyczajności, morderstwa, bójk krwawe i kradzieże co rana wspominane w dziennikach, powiada ten organ liberalny i czytany w kółku rodzinném p. Bismark'a; „czas już, byśmy dokładnie przysłuchali się téj rzeczywiście smutnej sytuacji i obmyślili lekarstwa.“

Gazeta ta potwierdza, iż w ostatnich kilku latach wyrobiła się w Niemczech opinia publiczna, jakoby najniewinniejsza alluzja albo cień nagany obecnych skandalów berlińskich, były rodzajem zdrady stanu. „Niewypada, wołają patryoci, rozpowiadać o słabiznach naszego społeczeństwa i ustaw politycznych, albowiem rozprawy takowe podają naszym nieprzyjaciołom podstawę do złośliwej krytyki i szkodzą Niemcom, wybranym na wieki, jako *wielki naród przyszłości*. Kwoli wzbudzeniu zaufania Niemców w siebie samych, niewzdrygają się niektórzy pisarze od kreślenia porównań, w których jaskrawo przedstawiają błędy innych społeczeństw, lecz nie piszą słówka o ich zaletach godnych naśladowania. I tak Francuzów przedstawiają jako lud wycieńczony rozpustą i absyntą; wszyscy Włosi są przewrotni, rozbójnicy lub oszuści; Hiszpanie składają się z bigotów i nieuków; Anglicy na spleen chorują albo są idiotami, którym tylko nadzieja zysku pięć zmysłów powraca; Rossyane pijaństwu hołdują; Amerykanie, ów ród nierządnych republikanów, kierują się jedynie żądzą *money making*—robienia pieniędzy; tak oni kolejno krytykują wszystkie narody kuli ziemskiej. Tylko Niemcy są ludźmi doskonałymi, uczciwymi, moralnymi i t. p. Ten sposób sądzenia innych krzepi nas fałszywym patryotyzmem, zaślepia na własne błędy, wzbudza przesadne pojęcia o sobie, zkażdym rodzi się u nas lenistwo i zamiast dążenia ku ulepszeniom wstecz się cofamy.“

Times znany z prusofilizmu, ogłosił przed trzema laty długi artykuł p. t. *Cienie pruskiego społeczeństwa*, o którym prasa berlińska przemilczała. Przytoczę zeń następujący ustęp o Berlinie:

„Kwoli zmniejszeniu wydatków na wojsko, poświęca rząd tutejszy nawet przywileje Berlina, chociaż żadnemu miastu nie zdałyby się bardziej obfite dochody, niezbędne, ilekroć wypada polepszyć urządzenia sanitarne i kanalizacyą. Przytoczymy, na dowód jaką krzywdę wyrządza się społeczeństwu przez tego rodzaju upośledzenie, dwa jaskrawe i ogólnie znane przykłady: brak opieki nad sakiewkami i bezpieczeństwem obywateli i niedbalstwo w usunięciu smrodów tej stolicy, należącój do rzędu miast ucywilizowanych, lecz niezmiernie zacofanój w wspomnianych rzeczach. W tém wykształconém i wojskowém mieście dzieją się niezliczone gwałty względem osób spokojnych; złodzieje hasają tu sobie dowolnie. Przed kilkoma dniami zbudził podróżnika śpiącego w jednym z najlepszych hoteli tutejszych złodziej, wspinający się śmiało do otwartego okna, choć już był dzień biały. Agent policyjny słuchający nazajutrz skargi podróżnika, nie raczył go nawet zapytać, ażaliby poznał złodzieja, lecz wręcz mu powiedział, iż tego rodzaju wypadki należą do codziennych zdarzeń, i jeżeli kto nie chce się narazić na nieuchronne okradzenie, powinien okno zamykać, chociażby groziło mu uduszenie. Służba tegoż hotelu opowiada, jak pewnej nocy skradziono meble z wszystkich pokoiów; nie spotkasz osoby w Berlinie, któraby podobną historyjką nie umiała cię ubawić (*).

(*) W roku zeszłym aresztowano w Berlinie za pijaństwo osób 34,746, z których 14,640 należało do nadobnej połowy rodu ludzkiego. Były to kobiety od 20 do 40 roku życia.

„Nawet w niektórych najpiękniejszych dzielnicach Berlina rozlegają się obrzydliwe i niezdrowe wonie. Odlewy domowe ściekają wszędzie do stojącej wody kanału, zmieniając go w ognisko zarazy, o czém każdy przekonać się może przechodząc przez mosty na wspomnionym kanale, mianowicie zaś na moście ulicy Poczdam'u, jednej z najpiękniejszych w Berlinie. Tam ujrzymy rodzaj szlamu czarnego i wydającego bańki cuchnących gazów; te ulotniając się z wody wciskają się do pomieszczeń, ku zarazie mieszkańców oraz wycieńczaniu biédnej dziatwy, której niezdrowa cera zdradza cierpienie i przykre wywiera na nas wrażenie. W tym kanale istnieje śluza, przy której się zbierają wszystkie plugastwa wyrzucane z domów; ztąd jednakże sprowadzono wodę kwoli napełnieniu sadzawki w *Thiergartenie*, téj świetnej przechadce Berlina!“

Wszystkie powyższe usterki zupełnie nie przeszkadzają Berlińczykom w nazywaniu stolicy cesarstwa: stolicą cywilizacyi i intelligencyi, oraz ogniskiem cnoty i obyczajności, co nam zupełnie nie wzbrania, by wręcz nazwać: kota kotem, a Berlina kłoałą.

Chcąc znaleźć iskrę przyjemności podczas pobytu w Berlinie, wypadałoby zostać bankierem, giełdowiczem, handlarzem, kupcem, dworakiem, tandeciarzem, fusze-

Liczba obłąkanych, wynosząca tylko 611 w r. 1871, wzrosła do 1,000. 3,075 samobójstw zdarzyło się w całym królestwie w r. 1875: mężczyzn 2,527, kobiet 548. W samym Berlinie było 300 wypadków samobójstwa. Gazeta giełdowa oznajmiła 18 Lipca 1872, że w nocy z 15 na 16 aresztowano na czterech chodnikach berlińskich 142 „dam, nieuprzywilejowanych przez królewsko-cesarski urząd pruski.“

rem, fałszerzem, żandarmem, rzezimieszkiem lub zdobywcą. Ci, co nie rzucają się na wszystkie strony, których życie upływa w marzeniach albo nieczynności, wiedz, tu nakształt kwiatków w gorącym piasku. Każdy przechodeń biegnie tu za zdobyczą; nie spotkasz w tym tłumie turysty, człowieka spacerującego, albo poety; każdy z tubylców przybiegł Bóg wie z kąd, na wzór owych *squatter'ów* (pasterzy) lub kopaczy złota, do tej nowej Kalifornii, której miliardy tak prędko wyczerpano. Jedni, w pogoni za cenną żyłą, wiążą się tu w finansowe stowarzyszenia; inni, ozdobieni kitami i uposażeni częścią łupu, polityczne knują kombinacje. Gdy kwestya wschodnia rozżarzy Austryą, ujrzysz Prusy przenoszące do swojego domu jej prowincye niemieckie, pod pozorem ratowania mebli.

Takiemi uwagami bawiłem się, wsiadłszy do wagonu, co miał mnie odwieźć do Hanoweru; licowały one z celem mojej podróży; furgon pruski przewożący królewskie meble toczył się bowiem w r. 1866 po tejże drodze, kędy ja jechałem.

Kolój bieży prosto jak strzała z Berlina do Hanoweru, wyglądając na mapie niby łańcuszek stalowy, którym knąbrną tę mieścinę trzymają na uwięzi.

Opuściwszy dworzec mijamy Charlottenburg, poczem przejeżdżamy przez Havelland — kraj Haweli. Całą tę okolicę zamieszkiwali niegdyś Wendowie, nazywając ją „spaloną równiną.“ Pewien król ich, Mieczko, zgodził się na pożyczanie 10,000 żołnierzy cesarzowi niemieckiemu wybierającemu się na pustoszenie Włoch, za co ten przyrzekł wendyjskiemu naczelnikowi własną córkę w małżeństwie. Cesarz powrócił z wyprawy zwyciężkiej objuczony skarbami i łupami, lecz gdy mu Mieczko przypomniał obietnicę, zawołał zano-

sząc się od śmiechu: „jabym miał dać moją córkę psu słowiańskiemu?! nie, nigdy!“ Pies słowiański zebrał swoje wojsko i z nienacka wpadając na Niemców, takowych w pień wyciął. Pewien podróżnik dostrzega w tém podaniu pół-bajeczném, jaskrawy obraz stosunków odwiecznych między obydwoma szczepami. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek okazuje pyszny Niemiec swą pogardę ku Słowianom, uciskając ich, gdzie zniemczyć nie zdołał, jak w Poznańskiem, na Szlązku lub w Prusach zachodnich; lecz pies słowiański pokaże mu niebawem, że gryźć umie i jeżeli się nie mylę, ostrzy już kły ku temu. Monarchii pruskiej tylko dwa i pół miliony Słowian podlega, wliczając Polaków, Łużycan i t. d., podczas gdy w Austrii jest ich 18 milionów, a w Rosyi 50 milionów.

Hawel przebywamy w Ratenowie, gdzie ona się rozwija ku Północy i Południu nakształt węża o krętych zwojach, tworząc jeziora i przystanie, płynąc z wspaniałą powolnością rzek nowego świata i poetycznie pstrząc swoją pierś modrą rodem łabędzim, żyjącym tu w stanie pół-dzikim. Liczba ich wynosi prawie 3,000. Polują na nie dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, lecz z niewinnemi zamiarami, albowiem na wiosnę chodzi tylko o pozbawienie ptastwa swego endredonu, przed zimą zaś o zabezpieczenie go przed srogością klimatu. Rybacy ścigają ich w wielkich łodziach, odszukają, zapędzają w głąb odnóg i zatok, skupiają za pomocą drewnianych harpunów i gromadzą w przestronne sieci. Naładowawszy barkę, wracają do Ratenowa, gdzie zręczne palce kobiet zgromadzonych na wybrzeżu, oskubują ulubione ptastwo Ledy ze swego puchu miękkiego. Po ukończeniu téj operacyi, wrzucają napowrót łabędzie do Hawelu. W zi-

nie nie tak łatwa bywa z niemi sprawa, albowiem powierzchnia rzeki pokrywa się lodem w wielu miejscach i wypada często, zwozić łabędzie w wozach starannie wybitych wewnątrz albo też koleją żelazną.

Kolój przeskakuje Elbę po wspaniałym moście, pomiędzy Ratenowem i Stendal, powyżej Tangermünde.

Nurty Elby nie odzwierciadlają tak wspaniałe historyi Niemiec, jak owe Renu. Piérwszą nigdy nie obdarzono mianem rzeki wojowników i myślicieli, feudalizmu i poetów; niezapominajki i legendy nie kwitną nad jój brzegami, rusałki ballad nie zanurzają w jój szumiących i głębokich nurtach swoich stopek różowych.

Ren obdarzono nadobną literaturą, Elbę tylko księgami kupieckimi. Jest-to rzeka pracy, przemysłu, handlu, szlak łączący dwie półkule. W Cuvhaven wpływa ona do morza, wyciągając ramiona ku Ameryce i Chinom. Ren można nazwać narodową rzeką, Elbę wszechświatową. Ztąd opiewają tamtego w hymnach narodowych, w *Wacht am Rein*, podczas gdy o tój wspominają tylko wesole i w rozmaitych mowach śpiewane zwrotki żeglarzy.

Prąd życia szybuje bezustannie po Elbie,; ona nam przedstawia obraz plennój ruchomości i walki pokojowej. Ren trętwieje w zimie, brzegi jego zalega cisza i senny pokój. Widok jego kołysze nas do marzeń, obraz Elby porusza do czynności.

Nie znam nic wspanialszego jak widok Elby z malowniczych wyzin Blakness'u, koło Hamburga. Może się ze mną nie zgodzą w tym względzie sentymentalne Angielki, które rycerska mytologia nadreńskiej *Rheingau* owiewa tak przyjemnie, ci jednak, których wzruszają cuda postępu ludzkiego, z zachwyceniem patrzy-

liby na tę wspaniałą rzekę, posiadającą już w tém miejscu odbłask potęgi morza i jego niepojęty urok.

Setki kupieckich statków wpływają i opuszczają ten port, mający 80 mil długości. Szalupy o czerwonych żaglach mkną na krańcach horyzontu jak stado ptasie, szybujące omdlałemi loty. Z przypiływem morza woda zalewa wybrzeża, strzępiąc je koronami z piany.

Nie bez trudu zdobyła Elba ten majestat.

Rzeka wytryska o 900 kilometrów od Hamburga, w górach Olbrzymich. Na tych Czechy i Szląsk rozgraniczających szczytach, nie spotkasz śladu roślinności, z wyjątkiem nielicznych mchu plamek. Groźne to opustoszenie nie odstraszyło górala, co wdarł się na wierzchołek Śnieżycy, od zbudowania tam szaletu, najwyższej ludzkiej siedziby w Niemczech. Elba rodzi się na wyzinie Śnieżycy; dokoła jęj koleby zarzucają chmury lekką zasłonę i wieczne ją otaczają śniegi.

Do rzeki spadającą z tęg wydney wnoszą swój haracz potoki i rzeczki. Tak pokrzepiona skacze ona ze skały na skałę, rzuca się hardym biegiem w dolinę i śmiało dąży przez równiny, nie na wzór nowego don Kiszota, lecz jako zręczny i pracowity robotnik, przygotowany zupełnie do niezmordowanej pracy. Podobna ona do *burszą*, owego czeladnika wybierającego się na naukę włóczęgę po ojczyźnie niemieckiej; opuściwszy Melnik brata się ona ze śmiałym towarzyszem, z Mołdawą, która odtąd ją wspiera w wędrówce.

Marnie pragną olbrzymie łańcuchy gór Kruszcowych i góry Łużyckie drogę im zaprzec. Wody zjednoczonych rzek przedzierają się przez wąwozy. Rozbiwszy bramy Czech, Elba toczy się wśród saskiej Szwajcarii, lecz zwycięztyw poprzedniemi niezniewie-

ściąła, obraca tam koła młynów, każe zgrzytać piłom, warsztatom udziela obrotowój siły, unosi drzewo, składa na wybrzeżach piasek miałki, wysoko ceniony przy budowlach, kradnie góróm krągłe i gładkie kamyczki, niewiększe od pereł, służące do utrzymania trak-tów publicznych. Lubuje się ona w otaczającój ją gro-znej przyrodzie, która jój rodzinne gniazdo przypomina.

Saską Szwajcarię zamieszkuje na wzór gór Olbrzy-mich lud dziarskich górali; zdobią ją wsie malowni-cze, gdzie rzemieślnik ociera się o rolnika. Tu pio-nowe skały, tam zielone lasy albo jedwabne pastwi-ska upiększają brzeg rzeki, a ta z niechęcią pozorną opuszcza to miłe otoczenie. „Dlaczego zwalniasz biegu, pytał ją poeta, i zatrzymujesz się? Czyś się za-chwyciła widokiem własnych wybrzeży? Czyśbyś chciała do źródła powrócić? Czyż te miejsca każą ci tęsknić za swoją kolebką? Nie, musisz dalej pły-nąć ku równinie; prze cię ku niej dłoń niewidzialna; wnet łoże twe się rozszerzy i staniesz się narzędziem ambicyi ludzkiej. Wtedy, niestety, zestarzejesz, stra-cisz wesołość młodocianą, pagórki i lasy już ci nie oceniają czoła, twoje nurty skonają w łonie morza.“

Dawniej tylko czuła rybaków szybowały po El-bie wijącój się śród saskiej Szwajcarii, dziś parowce ją prują w rozmaitych kierunkach i w przeciągu dnia można dopłynąć z Drezna do Melnika, który słusznie nazwano rajem czeskim. Dzięki téj regularnej komunikacyi poznał ogół saską Szwajcarię i co rok odwiedzają ją liczni turyści, nie szukający tam lodni-ków jak w Gryzonie, kaskad jak w berneńskim Ober-land'zie, wierzchołków niedostępnych jak u źródeł Re-nu albo Rodanu. Saską Szwajcarię możnaby nazwać Szwajcarią dzieci i spokoju rodzicielskiego. Łoża jój potoków wysychają przez większą część roku, jój mo-

sty zaopatrzone w poręcze silne, w stokach jój skał wykuto schody, wspinanie na ich szczyty mniej jest niebezpieczne niżeli wędrówka na wandomską kolumnę. W pantoflach można tam się przechadzać po doskonale gracowanych ścieżkach i patrzeć na wschód słońca w szlafroku.

Turyści pruscy, zbiegający się co lata do saskiej Szwajcarii, bynajmniej jój nie uszczęśliwili. Z wyjątkiem niektórych oberżystów umiejących wypisać taryfę krajobrazów w pamięci gości w sposób niezatarty, ogół ludności pozostał tam w ostatecznej nędzy. Płony zalewie wystarczają na potrzeby mieszkańców. Nie ma tam jak w Szwajcaryi handlu drzewem albo sérem; zamiast trzód krów potrząsających w Alpach dzwonekami, wprowadzono tam trzody owiec. Wełna ich słynęła niegdyś, zasługując bez alluzyi politycznej na miano wełny wyborniej (*électorale*). Koleje żelazne stworzyły niestety potężnych konkurentów, z którymi miejscowy przemysł nie może iść w zawody; los podobny spotkał fabryki płótna; aneksya Alzacyi dopełniła zaś miary tutejszój ruiny. Mülhouse zalewa rynki niemieckie powodzią towarów, polecających się kupującym smakiem i taniością.

Zresztą przemysł niemiecki przebywa od dwóch lat przesilenie, którego wyników nikt nie odgadnie. Kapryśne bezrobocie robotników, tak częste w r. 1872, należą do wspomnień przeszłości, natomiast odprawili fabrykańci połowę swoich robotników, drugą tylko z łaski szczególniej zatrzymując. Cóż wynikło z tego położenia? Socjalizm zeń korzysta, a jego nauki stają się religią pospólstwa. Wzrost tego stronnictwa naprawdę przeraża. Jego kandydaci do sejmu cesarstwa otrzymali w r. 1871 tylko 120,130 głosów; w r. 1873 mieli ich 340,000. Gdyby te głosy

nie były rozstrzelone, nie 9 lecz 25 deputowanych téj partji zasiadaloby na ławach sejmowych. Wybory tegoroczne jeszcze dobitniej dowiodły tego kierunku. Socjalizm już nawet do koszar się wkra-
da, a szczegółowo uwiadomiony korespondent *Monitora powszechnego* pisał w Czerwcu r. b. z Ber-
lina, że żołnierze chciwie czytali socyalistyczne bro-
szury, podburzające takowych do gwałcenia przysięgi
i wyłamywania się z posłuszeństwa ślubowanego cesa-
rzowi i wodzom i rozrzucone w licznych egzemplarzach
w koszarach, oraz, że urlopnicy i rezerwiści zwołani
na manewry, zabierali je z sobą na wieś, po ukończe-
niu ćwiczeń. W innych miejscach słyszano żołnierzy
nucących przy powrocie z manewrów, słynną „Marsy-
liankę robotnika,” ułożoną przez nieboszczyka Lasalle'a,
ojca niemieckiego socyalizmu. Są to brzemienne fakta
i wbrew zapewnieniom gazet uspakajających swych nie-
mieckich zamożnych czytelników, wypada nam uwierzyć,
iż pod wojskowemi mundurami tętni nie jedno serce,
komunizmem na skroś przesiąkłe. Jest to początek
epoki zapowiedzianej w mowie p. Hasenklever'a, jaką
na własne uszy słyszałem w sali parlamentu i w której
on twierdził, iż nadejdzie chwila: „że żołnierze, zamiast
strzelania do swoich braci, kolbami zabiją pułkownika,
co śmiał zakomenderować ognia.“ Gdyby obecny pod-
ówczas p. Moltke nie nosił peruki, pewnoby mu włosy
powstały na głowie z oburzenia.

W Lubece zakazano pewnemu żołnierzowi nosze-
nia w koszarach medaliku z wizerunkiem Lasalle'a;
w innych koszarach, wzbroniono całej kompanii śpie-
wania marsylianek robotników w swojej sali. Zwolna
zbliża się czas, tak pożądanym dla socyalistów, w któ-
rym większość mieszkańców koszar będzie do ich stron-
nictwa należyć.

Opuściwszy wąwozy saskiej Szwajcarii, Elba płynie wolno, jakby pragnąc spoczynku po swoich pracach. Przecina ona okolice płaskie, upstrzone niekiedy gajami, pocięte w kwadratowe łąny i zasiane dworkami wieśniaków. Płynie ona u stóp zamku Pilnitz, który nie celuje świetnością, chociaż tworzy rezydencją letnią saskiego dworu, będąc okropną mieszaniną rozmaitych stylów budowniczych. Stary zamek zawierający zbiór portretów dam dworskich, najsłynniejszych z swoich miłostek, zgorzał. Przed kilkoma jeszcze laty, pozwalano ciekawym turystom spoglądać z galeryi umieszczonej w jadalni, na obiadującego króla. Do ogrodu wpuszczano wszystkie osoby „nie palące.“ Istniały tu pyszne oranżerye, a w żelaznych klatkach trzymano dwa sybirskie niedźwiedzie, dar cesarza Aleksandra.

Brzegi Elby ożywiają się, parowców przybywa, na prawo i na lewo brzmia kapele, gdyż koncerty wcześniej się rozpoczynają w ogródkowych piwiarniach nad Elbą. Rzeka ulega pokusom tej rozkosznej harmonii i coraz wolniej płynie; rzekłbyś, że srebrna jej powierzchnia pragnie służyć za zwierciadło dla lubieżnej stolicy Saksonii. Drezno w niej się mizdrzy z zalotną kokesterią kąpiącej się Suzanny; obraz ten długo więzi spojrzenia najruchliwszego wietrznika—turysty. Do Drezna przyjeżdżają goście z nad granic Kaukazu i z kolonii indyjskich. Rossyjanie mnóstwo stale tu mieszka, mając własną ulicę willami zabudowaną. Anglik, wróciwszy z Indyi z majątkiem lub emeryturą, spełnia ostatnie życzenie życia, osiadając w Dreźnie.

W Wittenbergu porzuca Elba łagodną krainę Sasów, pluskając radośnie pomiędzy swemi brzegi i na powrót wdzicwając szatę roboczą. Rzeka rozochocona wartko odtąd bieży, mijając raźnie szary i smutny Wittenberg, albowiem wdali wznosi się Magdeburg, gdzie

wracę oczekuje ją życie. Przysłowie niemieckie powiada, że na wstępie do Wittenberg'u musisz spotkać świnkę, studenta, albo nierządnicę.

Magdeburg, do którego Elba dopływa, dopiero po tysiącnych zakrętach i zgarnieniu do swego łona rzek pięćdziesięciu i trzystu potoków, należy do najważniejszych grodów północnych Niemiec. Jest on ogniskiem przemysłowem i znakomitą rynkiem handlowym. Przed r. 1870 należał też Magdeburg do pierwszorzędných fortec, na której skuteczne oblężenie ledwieby 50,000 ludzi wystarczyło. Odkąd Prusy nie potrzebuja fortec w celu odgrażania się sąsiednim państewkom, zmieniono cytadelę wznoszącą się na wyspie Elby, na więzienie. Kazamaty Fürstenwall'u — najpiękniejszej przechadzki publicznej w Magdeburgu, u której znajduje się przystań dla dobijających parowców — przerobiono na kawiarnie i piwiarnie. Z całej przeszłości wojowniczej, tylko sprzedawane tu piwo marcowe, przypomina Marsa.

Tilly wyrzył swoje imię w dziejach tego nieszczęśliwego miasta rzezią, przypominającą zburzenie Jerozolimy; on tu mieczem lub na gorejących stosach przeszło 30,000 mieszkańców życia pozbawił, nie uwzględniając stanu i wieku; na bramie zaś kędy do miasta wkroczył, kazał wyrzeć słowa: „pamięć 10 Maja 1631.“ Ów Magdeburg, co Tillemu przez dwa lata się opierał, poddał się po bitwie pod Jeną po czternastodniowym oblężeniu. Jako stolicę departamentu Elby, broniła go w r. 1813 tak uparcie załoga złożona z weteranów kampanii włoskich, iż sprzymierzone mocarstwa dopiero po zawarciu pokoju paryzkiego zdołały otrzymać klucz do tego grodu.

Elba staje się odtąd wielką handlową rzeką, rozdajem niemieckiej Tamizy; statki mijają się już i krzy-

žują bezustannie, oraz niosą ładugi zboża, towarów francuzkich, angielskich i amerykańskich. Ruch tam panuje nieprzerwany, wiosła pluskają i szumią maszyny parowe. W Hamburgu jeszcze wybitniej przedstawia się ta ruchliwość handlowa; Elba tu staje się dosłownie rzeką pracy i pokoju.

Śród ciemności nocnej, oraz samotności wagonu, w którym nie mamy towarzysza i spać niepodobna, trudno nie marzyć. Jakiż sen zaś równa się roztaczaniu w pamięci, niby w latarni czarodziejskiej, krajów i miejscowości niegdyś przez nas przebieżonych? W taki to sposób myśl moja powtórzyła podróż wzdłuż Elby, ciałem dokonaną w roku przeszłym. Już wsiadłszy na pokład parowca w Hamburgu, wyobraźnię podróżowałem raz wtóry po wyspie Helgoland i wybrzeżach północnego morza, już badałem wyspę Fago i brzegi Lütlandyi—gdy pociąg gwiznął i stanął w dworcu Hanoweru.

VIII.

Hanower.—Mademoiselle d'Olbreuse.—Książę Jerzy.—Przepowiednie p. Thiers'a.—Prusacy pod Hanowerem. — Popłoch. — Rola księcia koburgskiego.—Bitwa pod Langensalza. — Prusacy przed i po aneksyi.

Była piąta rano dopiero, może wcześniej nawet, albowiem nie mogłem znaleźć innéj otwartéj restauracyi, oprócz znajdującéj się przy dworcu. Podano mi kawę i mléko surowe; ostatni ten napój, od którego odwykłem w Berlinie, niby niemowlę odłączone gwałtem od piersi, smakował tu jak niebiańska ambrozya.

Po tém śniadaniu niemieckiej mody, wybrałem się na zwiady; niestety! oprócz kilku starych facyat z 16-go i 17-go stulecia nic się nie znajduje ciekawego w Hanowerze pod względem artystycznym. Miasto to ma powierzchowność prawie angielską, cokolwiek zimną i sztywną na piérwszy rzut oka. Ulice jednak piękne i szerokie, a niejeden dom stoi śród ogródka, na wzór Londynu.

Dynastyja tutejsza z niemniej pokornego wzrosła rodu, jak dom Hohenzollernów. W archiwach dotąd przechowują przepisy zamkowe staréj daty, wzbraniające paziom chowania chleba do kieszeni, a służbie picia wina. Piwem częstowano ją dwa razy na tydzień. Krawiec nadworny pobierał 10 talarów miesięcznie

Pod panowaniem Jerzego-Wilhelma zakwitły cokolwiek finanse, a książę ten zamiłowawszy się we Francyi, którą zwiedził, pojął żonę francuską, mademoiselle d'Olbreuse, pannę dworską księżnej de la Tremouille. Związek ten, z którego pochodzi obecnie panująca angielska dynastia, do szału pobudził elektorową (matkę księcia). „Młoda księżna — pisze rozżalona matka — z tak nizkiego pochodzi rodu, iż pójście za mego lejb-kamerdynera, wielkim byłoby dla niej zaszczytem.“ Jerzy-Wilhelm wyjednał jednak od cesarza Leopolda patent, zapewniający tytuł księżniczki państwa rzymskiego dla panny d'Olbreuse.

W r. 1714 opuścił książę Jerzy-Ludwik swoją stolicę, by zająć tron angielski. Podczas niebytności jego nie zmieniano zwyczajów dworskich. Dworzanie zbierali się co niedzieli w komnacie księżęcej, kwoli uczestniczeniu w recepcyi przy porannój toalecie księżęcej, jak gdyby monarcha był obecny. Zamiast księciu, kłaniano się tu poważnie jego portretowi, umieszczonemu nad tronem.

Jerzy tylko po niemiecku mówił. „Ja — rzekł raz jego pierwszy minister, Robert Walpole — nie rozumiałem ani po niemiecku, ani po francuzku, więc musieliśmy rozstrzygać interesa Anglii, na chybił trafił, łaciną kuchenną.“

Hanower należał od roku 1801 do 1810, najpierw do Prus, później do Francyi. Żołnierze francuzcy pisywali do nadobnych hanowerek, ilekrotnie zmieniano garnizony: „odjeżdżam z sercem rozżaloném i posyłam ci przyjaciela, aby cię pocieszał.“ Hanowarki bardzo lubią pocieszycieli.

W r. 1814 zwrócono Hanower pierwotnym jego właścicielom i zrobiono zeń królestwo. Książę Cambridge rządził tu z tytułem wice-króla. Gdy królowa

Wiktoria na tron wstąpiła, odłączono Hanower stanowczo od Anglii, jako dziedziczość wyłącznie męską; odtąd zajmował on czwarte miejsce pomiędzy niemieckimi państwami.

Dziś raz jeszcze opustoszał zamek królewski, wznoszący się smutnie i posepnie na placu targowym. Jerzy V tuła się na wygnaniu, podczas gdy jego poddani oplakują byłe ojcowskie rządy. Co roku podaje rocznica jego urodzin powód do manifestacji ludowych.

Hanower tworzył przed anneksacją ognisko państwa i rzetelną stolicę, teraz jest tylko pruską prefekturą. Europa znów tu pokutuje za swoje sobkowstwo, za to, iż nieczule i z rękoma założonemi przypatrywała się zdradom roku 1866. Na Francyi ciężył podówczas obowiązek ciśnienia miecza do szali. Nie zbywało na ostrzeżeniach, lecz wtedy oczy na to już służyły, aby nie widzieć, uszy, aby nie słyszeć.

— Tak, dziwne rzeczy dzieją się od lat kilku w Europie—wołał p. Thiers, z dziwnym darem proroctwa.—Wszyscy sobie przypominacie słowa rzymianina, który śród proskrypcyi powtarzał: „przeklęty rodzie Alby, zły rodzie Alby, ty mnie życia pozbawisz.“ W podobny sposób mogłoby dziś niejedno państewko europejskie się wyrazić. Wy, co dzierżycie obszar żyzny lecz szczupły, nie dodający siły, ani grozy, lecz mogący zaokrąglić państwo potężnego i ambitnego sąsiada; wy, co posiadacie głębokie przystanie, mogące zmieścić bezpiecznie floty liczne; wy, których kraik leży u ujścia kanału łączącego dwa morza; wy wreszcie, których obywatele—na domiar nieszczęścia—mówią językiem podobnym do używanego przez poddanych potężnego sąsiada, pod którego bokiem los was umieścił; biada wam wszystkim, biada!“

Pan Thiers także wypowiedział owe słowa spełnione co do litery:

—Ta potęga zwie się: Prusy. Ona posługuje się ideą niemiecką, by dojść do rezultatu łatwego do przewidzenia, znanego, ogłaszanego wszędzie i w sto sposobów. Jeżeli w obecnej wojnie los jej sprzyjać będzie, zagarnie ona pod bezpośrednie zwierzchnictwo jedną część Niemiec, drugą zaś pod pośrednią, poczem przypuści Austryę w nowy ten związek, jako lennika. I ośmielam się powiedzieć wam, że wtedy spełni się fenomen, ku któremu od wieku wszystko dąży— nowe cesarstwo niemieckie powstanie; takie cesarstwo, jakiego Wiedeń był stolicą za Karola V, którego obecną zaś stolicą Berlin będzie, które zawisnie nad naszymi granicami, przytłoczy je i w kleszcze ujmie, a zamiast liczenia jak w 15-ym i 16-ym wieku na Hiszpanię oprze się na Włoszech! Taką to przyszłość, moi panowie, przygotowuje wam polityka europejska i polityka francuzka.“

Przez czas krótki prawiono obszernie o konferencyach, co miały wszystko urządzić, na wzór dzisiejszych konferencyi w Berlinie lub Ems; w tém zbudził Europę pewnego pięknego poranka huk armat. P. Bismarck pragnął wojny bezwarunkowo, upatrując w niej jedyne środki ku wydobyciu siebie z kłopotliwego wewnętrznego położenia; historia zaś świadczy, że to była wojna z góry obmyślona i przygotowana.

W celu rozjutrzenia żołnierzy pruskich przeciw ich południowym braciom, odczytywano im fałszywe odezwy, depesze fałszywe i fałszywe sprawozdania. W dzień przed wkroczeniem do Czech, puszczano pogłoskę pomiędzy wojskiem pruskim, że cesarz austriacki się powiesił, a wielki książę heski otruł.

Taktyka ówczesna, podobnie jak w r. 1870, polegała na niespodzianym ataku na nieprzyjaciela z siłami przeważającymi. Wojsko pruskie wyruszyło w marsz jednocześnie. Nagłość takiego ataku ogłupiła przeciwników. Armia hanowerska, porównywana do angielskiej, albowiem podobne nosiła mundury, nie stawiała cienia oporu pod murami stolicy, lecz uciekła w kierunku Gettynge. Pan Tschirnitz, adjutant jeneralny, zapomniał pałasza w domu, intendentura zmysły straciła, kawalerzyści w braku koni wyprzęgali szkapy z chłopskich wozów na targ jadących, miasto roilo się pijanymi ludźmi i urzędnikami. Odjazd ślepego króla z zamku przedstawiał rozrzewniającą scenę. Kobięty płakały i złorzeczyły zdradzie; każdy przeczuwał, że Jerzy V opuszcza stolicę bez powrotu.

Ciekawe i dopiero w ostatnich czasach ogłoszone intrygi dyplomatyczne, zdarzyły się przed tą ucieczką. Pewien były mąż stanu hanowerski w ten sposób je opisał panu Hausen, redaktorowi *Europe politique*:

Książę Ysemburg, ambasador pruski przy dworze hanowerskim, przyszedł 13 Czerwca o drugiej w nocy do hrabiego Platen, ministra spraw zewnętrznych króla Jerzego i oznajmił mu, iż otrzymał depeszę telegraficzną od pana Bismarck'a, wraz z poleceniem przedłożenia jej niezwłocznego. W niej żądano, aby król hanowerski zgodził się na spokojne przejście przez swoje państwo 50,000 żołnierzy pruskich, powracających z Holsztynu.

Król Jerzy bawił w Herrenhausen, o pół mili od stolicy. Hrabia Platen przedłożył mu telegram bardzo rano, monarcha zaś, chociaż niechętnie i z przecuciem kłęski, przystał na wspomniane żądanie, o czém też księcia Ysemburg niezwłocznie zawiadomiono.

O ósmiej wieczorem tegoż 14 Czerwca, zawiadomił

króla Jerzego jego adjutant, iż wedle wiarogodnych doniesień, 27,000 Prusaków stanęło eszelonami wzdłuż granicy hanowerskiej od strony Minden, przygotowując się do wtargnięcia w obręb kraju.

Książę Ysemburg prosił nazajutrz, już o godzinie ósmej rano, o posłuchanie u króla; otrzymał on takowe w godzinę później.

Na wstępie przemówił do monarchy:

— Ja i żona moja przemodliliśmy noc całą na klęczkach, błagając Boga, aby natchnął waszą królewską mość mądrością niezbędną, ku pojęciu doniosłości za wiadomienia, jakie z rozkazu mego miłościwego pana muszę w. kr. mości doręczyć. *Sire*, w Jego dłoni waży się pokój Niemiec.

Pan Ysemburg odczytał następnie ultimatum, w którym wzywano króla hanowerskiego do oddania na zawsze sił wojskowych swego królestwa, pod rozkazy króla pruskiego, oraz przyjęcia innych warunków, zmieniających udziałnego monarchę w rodzaj pruskiego prefekta. Królewską odpowiedź na te punkta, wymagano przed pół-nocą, grożąc wojną w razie odmowy.

Król Jerzy wręcz odrzucił te warunki, powołując się na konstytucję federalną związku niemieckiego, zagwarantowaną przez króla pruskiego i jego poprzedników, oraz zaręczając, iż pokrzepiony zezwoleniem i żądaniem swego narodu i następcy tronu, nie poniży się w obec równego sobie sąsiedniego mocarza, ani spełni nie takiego, co by nie przystawało chrześcianinowi, Welfowi lub królowi. Oświadczył téż, że wszyscy Hanowerczycy bronić będą do ostatniej kropli krwi honoru swego państwa.

Król pozostał w Gettyndze do 21-go, gromadząc swoją armię dokoła tego miasta, i tracąc najcenniejsze chwile, w których mógł się z armią bawarską połączyć.

Awangarda hanowerska spotkała nieprzyjaciela pod Mechterstadt 24-go Lipca i zadawszy mu dotkliwie straty, odparła go do Eisenach, lecz nie zajęła tego miasta, oddając skutkiem tego błędu cały Hanower na pastwę nieprzyjaciela.

Słynny książę koburski, zajmujący wtenczas Eisenach z dwoma batalionami, użył podstępu i posłał parlamentarza do króla hanowerskiego, proponując mu zawarcie pokoju. Posłaniec ten nie miał żadnej legitymacyi, więc król odesłał go w towarzystwie majora Jakobi do Goty, gdzie ten ostatni wdał się w rokowania i bez królewskiego upoważnienia, przyjął następne warunki: armia hanowerska miała cofnąć się w południowym kierunku, bez przeszkody ze strony pruskiej i przez rok nie walczyć przeciw Prusom.

Pan Bismark zgodził się telegraficznie na te warunki, lecz król Jerzy V ich nie przyjął, gdyż je ułożono bez jego wiedzy, oraz postanowił on dalej prowadzić wojnę. Major Jacobi wysłał jednak depeszę do brygadiera von Bülow, dowódcy przedniej straży hanowerskiej, z zawiadomieniem, iż rokowania o wstrzymanie dalszych kroków wojennych doszły do skutku; uczynił to zaś w celu wstrzymania armii własnego monarchy od zajęcia Eisenach'u.

Nazajutrz pruski generał Alvensleben zjawił się w głównej kwaterze króla hanowerskiego z oświadczeniem, iż chociaż konwencyę zawartą z księciem koburskim unieważniono, nie unieważniło zawieszenia broni.

Król ufając słowom generała, rozpuścił swoje wojska do kwatér; sam zaś stanął ze sztabem w Grossbehringen.

Prusacy jednak nie spali, albowiem w porze, gdy ludzili króla rokowaniem, wzmocnili Eisenach, czyniąc

go prawie niezdobytym, i zwieźli doń mnóstwo wojska kolejną.

Króla późno o tém zawiadomiono, dodając, że tejsze jeszcze nocy uderzą nań przeważające siły. Wydał więc rozkaz odwrotu, a armia hanowerska cofnęła się do Langensalza, mając pogoń nieprzyjacielską na karku.

W Langensalza przedstawił się królowi p. Persiani, poseł rosyjski przy hanowerskim dworze i zapewnił go o sympatyi Najjaśniejszego cesarza Aleksandra, który znajdując się w przykrój pozycyi, bo dwaj wujowie jego przeciw sobie w tej nieszczęśliwej wojnie walczyli, sprzyjał w zasadzie powodzeniu oręża hanowerskiego.

Nazajutrz, 26 Czerwca, stanął przed królem oficer pruski, z zawiadomieniem, iż armia pruska rozpocznie swój atak niezwłocznie, chcąc zapewne zmusić go podobną groźbą do złożenia broni. Jerzy V protestował przeciw tej napaści w imieniu „monarchów europejskich i honoru wojsk ucywilizowanych,” oraz polecił oficerowi, aby zawiadomił króla pruskiego o zgwałceniu zawieszenia broni, popełnioném przez generała Falkensteina, „którego imię—dodał król—napiętnuje historia czerwonym znamięm hańby,” albowiem on zajął stolicę królestwa gwałtownie w czasie zawieszenia broni.

O 10-tój nazajutrz rozwinęły się siły pruskie pod dowództwem generała Fliess'a. Zapowiadano im łatwe powodzenie, albowiem Hanowerczycy posiadali tylko strzelby starego systemu i byli ogołoceni z żywności.

Jenerał von Bothmer zawołał jednak nagle do wojsk hanowerskich, jakiemi dowodził: „naprzód moje dzieci! zbawmy króla.” Pułki rzuciły się do ataku

bagnetem, przebiły lewe skrzydło nieprzyjacielskie i odparły go ze znaczną stratą. Brygady Kneesebek i von Bülow również poczęły kroki zaczepne, uzupełniając klęskę Prusaków, którzy zostawiwszy 869 jeńców i porzuciwszy 1,500 karabinów na placu boju, pierzchnęli do Goty.

Król nie opuścił bojowiska od 10—4; stając na szczycie małego wzgórza, obok wsi Langensalza, więtej najpierw przez Prusaków, później odebranej przez Hanowerczyków. Ślepy monarcha zachęcał swoich żołnierzy słowem i gestami, gdy zaś usłyszał ich okrzyki zwycięstwa, zapłakał i zawołał: „Boże, zwróć mi wzrok na chwilę a zabierz w zamian moje mienie!“ Gdyby niebo było spełniło jego życzenie, mógłby był patrzeć na Prusaków uciekających w nieładzie przez pola.

Znużona armia hanowerska ścigać ich nie mogła po za okolice Goty.

Na nic się nie zdał ten rozlew krwi, gdyż 28 przybyły dywizye—Falkenstein'a, Goeben'a i Mantauffel'a, w sile 50,000 ludzi, otoczyły armię hanowerską, liczącą zaledwie 15,000 i zmusiły Jerzego V do kapitulacyi. Jenerał Falkenstein wszedł bez wystrzału do stolicy, jeszcze 20-go Czerwca i wydał odezwę zawiadamiającą jej mieszkańców, iż on obejmuje rząd państwa. Zażądał on posłuchania u królowej, która go przyjęła śród swoich dworzan w zamku Herrenhausen, mówiąc doń skoro się przedstawił:

— Przyjmuję cię jenerale, albowiem dowodisz armią, przed której potęgą muszę się ugiąć. Ufam jednak w sprawiedliwość odwieczną. Po naszej stronie mamy słuszość tak jasną i sprawę tak czystą, iż nie wątpię, że prędzej lub później doznacie wymiaru kary.“

Jenerał pruski zmieszał się i zbladł; nie odpowiadając słowa opuścił on natychmiast zamek, z całym swoim sztabem.

Wszystkich ministrów złożono z urzędu. Oficerowie pruscy wykrzykiwali w kawiarniach, że wypadłoby ich powiesić. Cóż sami oficerowie pytali właścicieli kawiarni o adresa dam przechodzących ulicą, podczas gdy oni popijali swoje piwo (*). Na miasto nałożono kontrybucyą wysoką, żądając oprócz tego 1,000 łokci sukna i 2,000 butelek wina. Zabrano i odesłano do Berlina dekoracye królewskiego teatru, uprząż i powozy dworskie, portrety panującej rodziny, słowem wszystko, nie zapominając o naczyniach kuchennych. Damy hanowerskie uniosły klejnoty koronne cząstkami, kryjąc takowe w swoich kieszeniach, ilekroć opuszczały pokoje królowej.

Co dnia zdarzały się bójkі pomiędzy ludem hanowerskim i dziesięćtysięczną pruską załogą. Damy używały zamiast broszek, luidorów i talarów z popieraniem Jerzego V; mężczyźni zapinali krawaty pięciogroszówkami przerobionemi na szpilki. Wszędzie podpisywano adresa wierności ku wygnanemu monarsze, pomimo pogrózek władz pruskich; wieśniacy zaś odmawiali podpisów na adresie do króla Wilhelma, gdyż takowy prosił o powrót ich panującego, jako lennika pruskiego. „Król nasz, powiadali oni, postąpił wedle prawa przysługującego sobie, równie słusznego i wiecznego jak prawo pruskiego króla.“

(*) Rzecz to nie nowa. W r. 1867 rozkazał oficer pruski przejeżdżający przez Monachium pewnemu żandarmowi, aby ten mu dziewczynę przyprowadził. Żandarm odmówił oczywiście, za co oficer zbił, skutkiem czego tamten wniósł skargę do sądu.

Jedyną nadzieję pokładamy—mówili ci biędzy wieśniacy hanowerscy, na wzór chłopów saskich gdy takowych odzierano i okradano—jedyną nadzieję pokładamy w czerwonych pantalonach.

Na to odpowiadały gazety pruskie:

— Dobrze, niech przyjdą Francuzi! Pod Katzbach, Grossbehren, Lipskiem, Waterloo, choć tam nie posiadaliśmy karabinów szpilkowych, obaliliśmy tych lwów! Teraz posiekamy ich na nadziewkę do pasztetów!

Król pruski sam przyznał, w mowie tronowej do izby deputowanych berlińskich, wypowiedzianej w przedmiocie aneksyj, iż wie, jakoby niektóre państwa niemieckie niechętnie patrzyły na wcielenie prowincyj pewnych, lecz że wcielenie takowe stało się koniecznością. Niechęć tę przechowali do dziś mieszkańcy Południa; tam do dziś nienawidzi lud pychałków i tyranów z pruskiej monarchii, którzy wyrzekli przy wcieleniu Hanoweru, iż „na mocy prawa zaboru i przemocy, czują się zwolnionemi od uwzględniania życzeń narodu, pragnącego zachować swoją autonomią.

Złożywszy dynastję hanowerską z godności królewskiej, ucztowano w Berlinie, a w jadłospisie téj uczty wymieniono następne potrawy, kwoli urągowskiemu z zwyciężonych:

„Zupa Gastein, zaprawiona Szlezwig-Hosztynem.“

„Kurczę śląskie, oskubane na granicy.“

„Karafioły *a la* Beust, z kiełbaskami wiedeńskimi.“

„Wino czerwone, zwykły napój północnych Niemców.“

„Wino *Chateau-Léoville*, z pieczęcią Königrätz'a (z odtylcowym karabinem).“

„Rudersheimer z r. 1857 z godłem: „zwinność małpia“ (*).“

„Johannisberg z r. 1857, z godłem: „linia Menu.“ „Szampania.“ i t. p.

Czyż ten jadłospis nie zawierał w sobie programu politycznego?

Humorystyczne pisma berlińskie, ze smakiem sobie właściwym, przedstawiały hanowerskiego króla w postaci ślepego starca, którego piesek wyprowadzał za granice królestwa. Później wyprawiły go do Londynu, gdzie bezowocownie przedkładał swoją sprawę krewniakom, wreszcie odrysowały go w postaci żebraka, stojącego u wrót do pruskiego parlamentu, z kaskiem hanowskim w dłoni i prośbą przy ustach wypisaną: „dajcie obola Belizaryuszowi!“

Policja pruska popisała się w Getyndze, w r. 1872, jednym z swoich najsłynniejszych dowodów waleczności, gruchocząc trzy popiersia rodziny króla wygnanego, któremi ozdobiono pomnik, dzwignięty na cześć żołnierzy hanowskich zabitych pod Laugensalza. Gazetę frankfurcką pociągano do odpowiedzialności za to, iż ośmieliła się nazwać ten czyn drobiazgową podłością, wywołaną skutkiem politycznych namiętności.

Darmo król Wilhelm harcował po ulicach małej, poniżonej stolicy, gdy takową odwiedził, podczas manewrów 10-go krpusu armii, przedsięwziętych w tej okolicy w r. 1874. Nie otworzono tam ani jednego okna, nie wstrząsniono ani jedną chustką!

(*) Dzienniki austriackie pisały, że pruscy żołnierze posiadają „małpią zwinność.“

Gdy syn królowej Izabelli szukał tronu i posażnej żony (mówiono, iż strzelał okiem do księżniczki Maryi, córki księcia pruskiego Fryderyka-Karola), otrzymał on zaprosiny od cesarza Wilhelma, żeby raczył przybyć do Hanoweru i obejrzeć zwanych żołnierzy, jakich mógłby otrzymać w posagu. Młody Alfons zapewne tam się nie zachwycił koląciami, pruskiemi bagnetami, albowiem skutkiem téj podróży nie usiadł na nich.

IX.

Jeszcze o Królu Jerzym hanowerskim — Zamek królewski. — Dwory niemieckie w wieku siedmiuastym. — Elektor Ernest-August. — Pani Platen. — Königsmark. — Zamek Neulinden. — Zofia Dorotea. — Morderstwo.

Król Jerzy hanowerski, o którego szlachetnym i odważnym postępowaniu w r. 1866 wspomnieliśmy powyżej, mieszka obecnie w Paryżu, w hotelu przy *Avenue Montaigne*. Zeszłą wiosnę spędził w Londynie; arystokracya angielska gorliwie oddaje mu hołdy należne jego godności i nieszczęściom. Przy téj sposobności obdarzyła królowa Wiktorya syna zdetronizowanego monarchy stopniem wojskowym. W Prusach wywołał takowy postępek niemałe niezadowolenie, które czuć się dalo w gazetach przez rząd subwencyonowanych.

Odźwiernemu pokazującemu nam stary zamek królewski, wzbroniono wspominać o Jerzym V. Wynagradza on sobie, prawiąc o Welfach, których przeszłe zbrodnie i występki umieć na pamięć: „W tém miejscu — powiada on posepnym głosem — zabili Koenigsmark'a.“

Nie zawadzi powtórzyć tę miłosną historię; gdyby w czasie jêj zdarzenia posiadano trybunały na książąt, należałaby ona do słynnych skandalów przeszłości.

W końcu wieku 17-go, albowiem w r. 1686, malowano i ślepo naśladowano na dworze hanowerskim, na wzór innych niemieckich dworów, zwyczaj Wersalu. Wszyscy ci elekterowie, margrabiowie i landgrafy przypominali małpy ustrojone w peruki i odziane w aksamitne płaszcze, co przykucnęły pod drzewami ostrzyżonemi wedle systemu Le Nôtre'a i oczy wlepiły w słońce wielkiego króla.

„Blask téj fałszywéj cywilizacyi Ludwika XIV—pisze pewien historyk niemiecki—stał się śmiesznym i ohydny, po przesadzeniu go na grunt niemiecki, bez względu na charakter narodowy. Fryderyk-August saski zmienił dwór swój w widowisko tak przesadne, iż takowy wyglądał jakby odłam dziczy mongolskiej, przeniesiony pomiędzy wyuzdaną cywilizacyę. Monarcha ten posiadał 120 metres, a na utrzymanie takowych wydał 90 milionów złp. ze skarbu państwa. Kazał on dźwignąć słynny zamek Moritzburg, prawie równie kosztowny jak Wersal. Wybredny syn elektora brandenburskiego wysiłał się w Berlinie, na doprowadzenie państewka swego ojca do bankrutetwa. Oddziedziczywszy władzę, kupił on od cesarza pozwolenie ukoronowania siebie królem pruskim, płacąc za ten zaszczyt ogromną sumę, bo aż 6 milionów talarów. Błazen ten wprowadził na swój dwór etykietę hiszpańską i taki zbytek, iż ministrowie jego nie mieli innego zajęcia, oprócz obmyśliwania nowych podatków, wymyślając opłaty od nierogacizny, peruk, odzieży, słowem od wszystkiego co mogło przysporzyć milionów. Ten Fryderyk I wyznawał pozornie religię protestancką, lecz bynajmniej się nie troszczył o zbawienie swojej duszy, albowiem mawiał: „iż każdy ziemski monarcha posiadał, na mocy swego pochodzenia, patent Boży, zapewniający wstęp do nieba.“

Dwór kasselski należał do najniemoralniejszych w Niemczech. Zona elektora prowadziła intrygę tajemną z pewnym przystojnym paziem, póki marszałek dworu nie zastał ją zajętą miłostkami. Paź mszcząc się na marszałku, strzelił do niego w biały dzień, na ulicy.

Każdy festyn Ludwika XIV, małpowano we wszystkich książęcych, niemieckich stolicach. W samym Hanowerze oddawano się od początku do końca roku, bezustannym balom, koncertom, maszkaradom, polowaniom, baletom, turniejom i hałaśliwym zabawom wszelkiego rodzaju. Utrzymywano tam operę włoską i teatr francuzki. Elektor Ernest-August kręcił się śród tego nieustającego karnawału z upodobaniem w sobie samym i gracyą zapustnego wołu, baleryny przebrane naksztalt nimf, wieńczyły mu skronie koronami z kwiatów. Pani Platen, żona marszałka dworu i metresa następcy tronu, bywała królową tamtejszych zabaw szalonych. Na jej wieczorkach gromadził się skwapliwie dwór cały; meble jej salonu sporządzili najrzeczniejsi mistrze paryzcy. Mury lśniły od zwierciadeł, amorki igrały ponad podwojami w postaci lubieżnych malowideł; w nowej tej knidyjskiej świątyni poświęconej rozkoszy, oddychano wonią piżma i drzewa sandałowego. Takie to świątynie niechlujne wysysają soki żywotne z narodów i zmieniają panujących w niewolników.

Pani Platen doszła w roku 1689 do szczytu łask i tryumfów. Książę Jerzy zmuszał żonę swoją, Zofię-Dorotę, jedynaczkę księcia Zelle i panny d'Olbreuse, do składania tamtej hołdów. W Marcu tegoż roku wrócili z Wiednia książęta Ernest i Albert, którzy tam jako ochotnicy w cesarskiej armii służyli, przywożąc z sobą młodzieńca powierzchwności pokaźnej i śmiałej, o niedociekłych i ognistych oczach czarnych, a słyną-

cego z miłostek w stolicy cesarskiej, Nazywał się on hrabią Filip de Koenigsmark i był bratem pięknej Aurory, która Augusta saskiego zmieniła w rodzaj dziwnego paszy. Przyjazd tego kawalera wywarł wielkie wrażenie na małej stolicy.

— Synowie moi zawiadomili mnie—rzekł doń elektor—iż pan chcesz zaciągnąć się do naszego wojska, lecz piérwój zamierzasz odbyć kampanią w Żuławach.

— W istocie wyjadę w Sierpniu — odpowiedział Koenigsmark.

Zgadza się na pańskie postanowienie — dodał książę — albowiem każdy młodzieniec, nakształt szpady, rdzewieje skutkiem lenistwa. Po ukończeniu kampanii racz jednak powrócić do Hanoweru; z dumą zaliczę pana do grona moich oficerów.

Książę Karol przedstawił swego przyjaciela księżnej matce i swojemu starszemu bratu, księciu Jerzemu. Ten przyjął Koenigsmark'a dziwacznie, albowiem gdy hrabia prosił o pozwolenie przedstawienia się następczyni tronu, mąż takowej zauważał:

— Księżna ma prawo przyjmować kogo chce. Zresztą — dodał z uśmiechem złośliwym — jesteś pan jój przyjacielem młodości, a panna Hamburg pewno przyjmie cię z radością.

Koenigsmark wyszedł cokolwiek zmieszany i byłby nie odwiedził księżnej, gdyby przyjaciel go do niej nie był zaciągnął.

— Filipie! tyżes to na prawdę? — zawołała Zofia-Dorota ujrzawszy go, z dziecinną radością biegnąc ku niemu i dłoń mu podając. Pytała go o rozmaite rzeczy, nie zostawiając czasu na odpowiedzi, oraz przypominała mu miłe wspomnienia lat upłynionych, swe obopólne igraszki w ogrodzie Zell'u, motylki jakie dla

niej chwycił, kwiatki jakie jej przypinał do gorseta, uśmiechy jakimi mu płaciła.

Przyjaciół Koenigsmark'a zauważał po wyjściu z pałacu księżnej, iż młodzieniec miał minę zadumaną i rozmarzoną. Po kilku krokach przechadzki w milczeniu, Koenigsmark pierwszy zapytał:

— Gdzież teraz idziemy?

— Do baronowej Platen.

— Wolałbym tam nie pójść dzisiaj.

— Już jej zapowiedziałem twoją wizytę.

— Niech czeka.

Wymówiwszy te słowa chwycił Koenigsmark ramię księcia Karola i stanowczo odmówił odwiedzin do hotelu Platenów; wrócili więc do zamku. Tegoż wieczora wyłącznie rozmawiano w salonach pani Platen, o młodym Koenigsmark'u.

Elektor dawał nazajutrz bal wielki. Koenigsmark zjawił się między najwcześniejszymi gośćmi, w nadziei spotkania księżnej Zofii-Doroty; ta nie przyszła jednak, a nieobecność takową wytłumaczono słabością.

Koenigsmark dumiał w framudze okna, gdy otwarto na oścież podwoje i wprowadzono do sali kobietę cudnej urody, w sukni z błękitnego jedwabiu, ugarnowanej kosztownymi koronkami i rzesistemi falbanami; włosy swoje jasne rozpuściła na obnażone ramiona w kształcie złotych pierścieni, na jej łabędziej szyi płonęły brylanty, nakształt kropelek rosy lśniących na kwieciu migdałów. Dama ta, chociaż już niezbyt młoda, posiadała wszystkie powaby kobiety pewnej siebie i ufającej w potęgę swoich wdzięków; z oczu perłowszarych strzelała spojrzeniami dziwnymi, przypominającymi polyski stali, nos miała delikatny o nozdrzach małych i ruchomym, jej pełne i cudnie wydęte wargi

tworzyły w uśmiechu swoim ramki godne najbielszych zębów, jakie kiedykolwiek widziano; wyraz jęj twarzy tchnęł zwykle namiętnością, śmiałością i beczelnością nierządnic wielkiego świata i awanturnicy nizkiego pochodzenia. Koenigsmark usłyszał szept ogólny: „oto baronowa Platen.“ Książę Jerzy pośpieszył ku nięj osobiście i podając jęj swoje ramię, przedstawił ją gościom. Zbliżywszy się do Koenigsmark'a, baronowa rzekła doń z minką wyzywającą:

— Hrabia wyglądasz, jak gdybyś się nie bawił dobrze. *Allons*, zabądź tę zadumaną postawę, tak niezgodną z twemi 20 laty. Jeżeli nie masz tancerki, ja nie mam dotąd tancerza.

Książę Jerzy ukłonił się ozięble, a baronowa Platen przyjęła ramię Koenigsmark'a, przyciskając je z lekka.

Zagrano; oni tańczyli; ona lubieżnie spoczęła na jego piersi, tak, iż olśniła białością swego łona i ramię jego zachwycone oczy i upoiła go wonią, ulatniającą się z fal jedwabiu i pierścieni złotych włosów. Drżał on, czując drgania pięknego ciała spoczywającego w swoich objęciach. Chociaż usta ich milczały, oczy dużo sobie nawzajem powiedziały, przed ukończeniem tańca.

Koenigsmark, szarpany niewymownym niepokojem, wrócił po tańcu do swojej framugi, ale oczyma gonił bezustannie za piękną baronową, jakby urokiem magnetycznym ku nięj przyciągany.

Przed kolacją, szepnęła doń w przechodzie:

— Czy mnie prędko zaszczytysz odwiedzinami?

— Jutro rano — wybąknął hrabia — jeżeli się ośmielę...

— Jeżeli się ośmielisz? Koenigsmark — dodała ciicho i z uśmiechem — na wszystko może się ośmielić.

Nazajutrz około 11-ój, wszedł hrabia do budoaru damy, oczekującej nań na sofie, w pozie bogini rozmarzonej, otulonej lekką chmurą muszlinów, ledwie przećmiewających jej urodę i podobnej do jakiegoś mytologicznego widziadła. Skinieniem prosiła go, aby przy niej usiadł. Opuszczając ją uczuł, że duszę oddał na własność tej kobiecie.

W tydzień później, o niczem nie rozprawiano w Hanowerze, oprócz majówki, jaką baronowa Platen przygotowywała w swoim pałacu Neulinden, wznoszącym się o kilka kilometrów od Hanoweru, wśród wspaniałego parku. Czyniono tam niezmiernie przygotowania, albowiem zabawa miała trwać dni 8.

Pierwszy dzień poświęcono igraszkom sielskim. Pannie, przebrane na wzór pasterek, w sukienki krótkie i kapeluszyki słoniane, niosły laseczki wygięte i oplecione kwiatami; panowie przestroili się w pasterzy. Ciągniono losy; który z panów nieszczęśliwej dobył galki, włożył w wór, który mu zawiązywano u szyi; w tych więzach musiał on się uganiać za pasterkami; którąkolwiek z nich pojmał, mógł ją pocałować. Ilekroć Koenigsmark'a w wór zawiązano, dostrzegano, że piękna Platenowa potulnie pozwalała się chwytać i jeszcze potulniej przyjmowała karę pocałunków. Ze zmrokiem ustała zabawa. Koenigsmark stojąc obok baronowej, uczuł, że mu wsuwano do dłoni bilecik. Kryjąc się z nim na ustroniu, wyczytał: „O ósmej z rana, jutro, gdy wszyscy jeszcze będą spoczywali, przechadzaj się w alei na lewo od zamku; tam spotkasz przedmiot swemu sercu pożądany.“

Koenigsmark nie zasnął jutrzni; o godzinie siódmej zbiegł bez szmeru do parku i puścił się wzdłuż alei z kasztanów. Ptaszęta witały poranne słońce śpiewami; ono rozsiewało po wilgotnych list-

kach garstki złotych blaszek; przyroda drżała owem łagodnem dreszczem poranku, sprawiającym na nas tak miłe wrażenie.

Koenigsmark ujrzał w perspektywie alei cień biały, rysujący się na zieleni nakształt posągu marmurowego. Poznał w nim baronową Platen, z pełności kształtów i delikatności konturów.

Zbliżyli się wzajemnie i powitali spojrzeniami pełnemi zachwytu. Koenigsmark opasał ramieniem kibić kochanki i oboje znikli w ścieżeczce cienistej i tajemniczej. Nad głowami ich drżały wonne kwiatki tarni; tknięte czołami kochanków, traciły jednak te puchy śnieżne swoją dziewiczość.

Od owego poranku zmieniła się baronowa Platen niespodzianie w zwolenniczkę pięknej przyrody, nie opuszczając widoku żadnego wschodu słońca i oddając się często przechadzkom w gęstwinach parku. Zamek Neulinden uważała jako swój raj ziemski, którego jednak nie odwiedzał archanioł karzący.

Wypadało wreszcie wrócić do stolicy. W dzień przed wyjazdem z Neulinden odebrał Koenigsmark szkatułkę, zawierającą portret kochanki i kluczycz srebrny, do którego przypięto następujące wyjaśnienie: „kluczem tym otworzysz bramę mego hotelu od uliczki ze strony rzeki..., żegnam do jutra—po północy.”

Koenigsmark już się nie wybierał na Żuławy. Rok upłynął w ten sposób; karnawał znów zawitał z poczem balów i szalonych maskarad. Miasto Hannover urządziło, na cześć dworu i szlachty, wielki bal maskowy; skutkiem téj zabawy przeszło 500 gości zebrało się w salonach ratuszowych. Koenigsmark przyszedł tam w towarzystwie swego przyjaciela, hrabiego Coronini, który właśnie z Wiednia przyjechał.

Niechcąc aby ich rozumiano, przyjaciele mówili po włosku.

— Patrz, co za przepyszny Turek,—rzekł Coronini, wskazując przyjacielowi paszę świecącego klejnotami i prowadzącego osłonioną odaliskę, której precudne kontury rysowały się dokładnie z po za szat kosztownych.

— Turek ten, *parbleu*, zostanie przyszłym paszą Hanoweru.

— Jakto? to następca tronu?

— W własnej osobie.

— Czyż pod szatą téj odaliski księżna się kryje? córka francuza, jak mi mówiono...

— Nie, nie, przyjacielu; wszak opowiedziałam ci zwyczaje tutejszego dworu. Piękna Meluzyna Schulemburg, jedna z metres księcia, odgrywa rolę odaliski.

— W Wiedniu nikt się niedomyśla podobnych rzeczy; książę Jerzy uchodzi tam za nabożnisia.

— Piękny mi nabożniś! zdałby się na machometańskiego mnicha. Panna Schulemburg mieszka w podmiejskim pałacyku o 10 minut drogi od miasta; książę tam jeździ konno każdego poranku a wieczór...

— A wieczór?

— Idzie na kolacyjkę do pani Platen.

— Czyż księżna zamyka oczy na to?

— Zamykają jej...

Rozmowę tę przerwali, skutkiem szelestu wachlarza poruszanego konwulsyjnie po za sobą. Obracając się ujrzeni dwa domina, oddalające się, lecz spoglądające ku młodzieńcom.

— Podśluchano nas—zauważał Coronini.

— Może zrozumiano—dodał Koenigsmark, przykładając palec do ust.

W istocie wezwano go nazajutrz do księżnej Zofii-Doroty, którą zastał bladą i smutną, z oczyma pełnemi.

— Stałam wczora za wami, gdyście rozmawiali po włosku—mówiła księżna—i słyszałam wszystko; nie taj nie przedemną, powiedz czy prawdę mówiłeś!

— Koenigsmark'owie nigdy nie kłamią, księżno! odrzekł Filip.

— Czy znasz poprzednie stanowisko téj Schulembürg? Trzymałam ją jako damę dworską!—zawołała księżna pogardliwie, poczem dodała stanowczo:—jeżeli książe jego nie porzuci, ja jego porzucę.

Zmieniając ton i przedmiot rozmowy, zapytała księżna hrabiego, dla czego ją tak rzadko odwiedzał.

— Ty mnie także opuszczasz, zapominając żeśmy sobie ślubowali w Zell wzajemną pomoc w próbach życia. Filipie, potrzebuję twojej pomocy, przypomnam owe dane słowo i wzywam twego wsparcia.

Podawała mu rękę, tak drobną, tak delikatną, iż zatrzymał ją w swojej dłoni, aż uczuł, że własna dłoń zdrząła.

Gdy Koenigsmark zabierał się do wyjścia, Dorota przycisnęła się doń łagodnie, jak gołębicą spłoszona, szukająca ochrony i pomocy.

— W tobie mam przyjaciela, jednego—szeptała—nie opuszczaj mnie!

Koenigsmark odszedł w wielkim frasunku i przez resztę dnia wracał myślą do księżniczki, gdyż uczuł nowy i niedociekły urok w tknięciu téj czystej niewiasty.

W trzy dni później odwiedził Dorotę i zastał ją w rozpaczach trudnej do opisanie.

— Czy wiesz—zawołała ona—jak książe postąpił, gdy mu wyrzucała jego postępowanie? Pogroził mi ruchem ręki... mnie, żonie swojej! Ach, jak

chętnie oddałabym te złotogłowy za skromną sukienkę płócienną... Filipie, czy pamiętasz chatkę skromną na pagórku, obok naszego zamku w Zell? Ocieniały ją piękne drzewa, w ogródku za nią widywaliśmy altankę, w której młoda para zasiadywała do wesołego obiadku. Dziadki hoże biegały tam po zielonych trawkach, wśród kur i jagniąt. Twarz tej kobiety paliła szczęściem! W myśli mej tkwi dotąd wspomnienie jej uśmiechów; ono mnie wszędzie ściga. O takim czystem i spokojnem szczęściu marzyłam. Nie dla mnie ten zbytek, te intrygi... Filipie—dodała łkając—duszno mi w murach tego zamczyska!

— Biedna droga istoto! szeptał Koenigsmark.

— Słuchaj—rzekła—powzięłam postanowienie niezłomne. Jedź do Zell jak najprędzej, znajdź tam moją ciotkę, i powiedz jej jak się ze mną tu obchodzą, powiedz że umrę, gdyby mi tu dłużej wypadało pozostać.

Koenigsmark nie opierał się tym czułym i gorącym prośbom, ale przyrzekł spełnić jej rozkaz i odjechał—jednak nie do Zell, lecz do Drezna, gdyż powziął już był zamiar ucieczki z księżną i schronienia się z nią do Saksonii. Podczas tej to podróży rozpoczęli oni pasmo listów niedawno znalezionych, rzucających tyle światła na tragiczne dzieje tej miłości. Zofia-Dorota pisała do niego:

— Zaczarowałeś mnie... zmieniłeś w kobietę najnamiętniej zakochaną; wzywam twego imienia w dzień i w nocy. Wierz mi, iż największe nieszczęścia nie zachwieją tej miłości. Przykułeś mnie do siebie węzły zbyt silnymi i łubnymi, abym je targać chciała; wszystkie chwile mojego życia poświęcę twojej miłości i dawaniu niezliczonych jej dowodów, wbrew wszystkim przeciwnym takiemu przywiązaniu.

Za powrotem do Hanoweru usłyszał Koenigsmark najostrzejsze wyrzuty pani Platen.

— Jeżeli inną miłością się bawisz—mówiła doń—miej się na baczności, gdyż nie wybaczam i umiem być straszną.

Te groźby wywarły wręcz przeciwny skutek niż się spodziewała, albowiem zwiększyły przesyt i odrazę, jakie Koenigsmark czuł już ku swjej dawniej kochance, przyczyniły się zaś do rozwoju jego miłości ku Zofii-Dorocie. Coraz częściej szukał on schadzek z księżną, ta zaś pisała do niego:

— Jeżeli myślisz że unikam cię z obawy narażenia siebie lub utraty reputacyi, zadajesz mi okrutną krzywdę. Dawno poświęciłam ci wszelkie względy, a miłość moja dodaje mi tyle śmiałości, iż nieraz z trudnością opieram się pokusie, aby cię do łona przygarnąć. Drwię z całego świata, póki się kochamy wzajemnie.

Pewnego wieczora, gdy dwór bawił na tarasie, na którym Leibnitz nowy swój teleskop ustawił i gdy kochankowie sami zostali, ułożyli oni stanowczo plan ucieczki. Zgodzili się, żeby nie działać z pośpiechem i nie dać powodu do podejrzenia. Zazdrosna pani Platen czuwała jednak dniem i nocą, stojąc na czatach, że tak powiem. Instynktem kobiety zwodzonej, odgadła ona, iż księżna Zofia-Dorota i Koenigsmark knują jakieś zamiary, a w swojej wściekłości i mściwości, postanowiła ich zgubić. Rozstawiła więc swoich szpiegów którzy jęj szczegółowo donosili o ruchach Koenigsmark'a. 16-go Maja wieczorem doniesiono jęj, iż Koenigsmark kazał cichaczem uwieść część mebli ze swojego hotelu i nakazał stangretom, aby przygotowali powozy na północ jutrzejszą.

Nazajutrz rano, posłaniec baronowej Platen przyszedł do hotelu Koenigsmark'a, z zapytaniem o zdrowie pana. Odpowiedziano, że takowy wyjechał na polowanie i nie wróci do Hanoweru, aż w końcu miesiąca.

— Niezgrabna to wymówka — szepnęła baronowa, z uśmiechem godnym sinych ust lady Macbeth — wnoszę z niej jednak, że wnet ujrzymy rozwiązanie intrygi.

Skutkiem jój zlecenia, czuwano dokoła zamku elektora przez cały wieczór; z nadejściem nocy, przywdziała ona suknię ciemną, okryła głowę przestronnym kapeluszem i wyszła na ulicę, niedostrzeżona przez nikogo. Około 11-ój w nocy, usłyszała za sobą szelest kroków, więc skryła się za drzewem i przyłgnęła doń, tak, że utonęła w jego cieniu. Kroki tętniały coraz bliżej; mężczyzna w kapeluszu szarym, o krępach szerokich i w płaszczu z czarnego aksamitu, przeszedł koło niej, z głową pochyloną na piersiach, jakby w głęboki był pogrążony zadumie. Z profilu chudego i wybitnego poznała w téj osobie Koenigsmark'a. Zawałała się na chwilę, czy nie rzuci się w jego objęcia, nie zapewni go, iż go goręcej niż dawniej kocha i nieznęci do siebie, przez tę tajną furtek, jaką on oddawna nie przestąpił; w téj jednak chwili nadeszli stróże nocni, a Koenigsmark znikł pod sklepieniami zamku, zanim ona zdołała sfolgować swojej namiętności. Wargi zagryzła z gniewu, i przeklęła miłość. Wnet się uspokoiła i szepnęła z okropnym sykiem nienawiści:

— Zemstą się pocieszę!

I znów zmusiła oblicze do przybrania maski zimnej i nieruchomej, kobiety silnej woli i pewnej siebie. Weszła do zamku, przedstawiła się straży i kazała za-

meldować sobie księciu Jerzemu. Książę kazał ją wprowadzić przed siebie:

— Przybiegam, by honor waszój książęcój mości ocalić—zawołała.

— Mój honor?

— Księżna, żona w. ks. mości, ma kochanka.

— Kochanka?

— Tak... Koenigsmark...

— Nie wierzę temu — rzekł książę, choć oblicze jego zbladło. — Przyjaciele lat dziecinnych, spotkali się...

I dokończył zdania, pogardliwym rzutem głowy.

— Czy w. ks. mość wie, gdzie Koenigsmark bawi obecnie?

— Uprzedził mnie, że się wybiera na polowanie.

— Do księżnój, żony w. ks. mości... bo znajdziesz go w jej komnatach.

Książę rzucił się jak człowiek tknięty żądłem gadu. Ręką potracił o szpadę, jakby dla pewności, że ma takową przy boku.

— Dobrze—odrzekł sucho—nie wyjdzie on zamtąd...

— Jakto?... książę sam byś poszedł?...

— Sam, baronowo.

— O, nie, nie, ja raczej!...

— Cóż ty chcesz uczynić?

— Nadać waszój sprawie pozór słuszności.

— Czyż nie mamy słuszności?

— Dowiedzmy jej świata niezaprzeczenie...

— W jaki sposób?

— Daj mi czterech ludzi śmiałych...

Książę zastanowił się na chwilę i odrzekł półgłosem:

— Będziesz ich miała.

Poszedł.

Platenowa przechadzała się podczas jego nieobecności, nakształt tygrysicy gotującej się do rozszarpania swego pogromcy.

— Ludzie żądani przez ciebie, czekają — rzekł książę po powrocie — możesz im ufać. Wierzę, że mogę tobie ufać — dodał z naciskiem na ostatniem zdaniu.

Odpowiedziała mu niemym ukłonem i spojrzeniem dwojga iskrzących oczu.

Książę towarzyszył jej prawie do końca krużganku i patrzył, jak z powagą doświadczonego oficera, objęła dowództwo nad czterema trabantami.

Nadstawiał ucha, póki szelest ich kroków nie umilkł w cieniu nocy, poczem wrócił zwolna do swoich komnat, z czołem zadumaném i posepném, a spojrzeniem obłąkaném.

Koenigsmark dawno już był w komnacie księżnej; zastał ją tam klęczącą przy pulpicie, przed madonną oświetloną promykiem z lampy nocnej.

— Filipie! — powitała go Dorota, przykładając swe wargi do ust kochanka — odtąd do ciebie należę.

Opierając główkę o jego ramię, dodała po chwili:

— Lękam się... drzę cała... natchnij mnie odwagą.

— Precz z obawą — odrzekł Koenigsmark — za godzinę uzyskamy wolność.

I opasał kibić księżnej ramieniem, dodał jej otuchy pocałunkiem i pociągając ją do okna, uchylił firanki, wskazując drzewo potężniejsze nad inne.

— Tam będę cię oczekiwał — dodał — powóz stanie o kilka kroków ztamtąd.

Znów przeszli się po komnacie, obejmując się wzajemnymi i ścisłymi sploty. Koenigsmark zapewniwszy się, iż zamek był pogrążony w ciszy, pożegnał księżną, mówiąc z miłośném spojrzeniem:

— Za godzinę!...

Zbiegł po schodach tajnych wiodących do ogrodu, lecz u końca ich, zastał drzwi zamknięte. Wrócił więc na górę i przeszedł wzdłuż krużganku na prawo. Gdy mijał kaplicę, czterech ludzi zamaskowanych nań napadło.

Koenigsmark, obdarzony zwinnością kota, skoczył w tył i dobył szpady.

Napastnicy natarli nań powtórnie; teraz już Koenigsmark czuł nadto dумы, żeby umykać przed niemi; owszem, oczekiwał ich w postawie szermierza.

Przebił pierwszego, co śmiał zbliżyć się doń na długość miecza. Byłby zapewne i tamtych pokonał, gdyby mu szpada nie pękła. Jednocześnie uczuł trzy ostrza w piersi, a kneblem stłumiono jego wołania.

Padł krwią zboczony.

Podczas całej téj sceny, wychylała Platenowa swoją rozczochraną głowę z po za drzwi kaplicy, wołając do napastników:

— Zabijcie go, dobijcie... dopełńcie rozkazu!...

Skoro Koenigsmark'a obalono, podbiegła ku niemu, by mu w twarz plunąć; poczem kazała związać jego ręce i wyjąć mu z ust knebel. Wreszcie zasyczała do niego:

— Nędzarzu! wyznaj własną winę i księżniczki...

— Ona niewinna... — wybelkotał Koenigsmark — ach! to ty jędzo! poznaję ciebie!

— Musisz wszystko wyznać.

— Ona niewinna! — powtórzył Koenigsmark głosem słabszym.

— Kłamco! — wołała kobieta, stojąca nad nim nakształt piekielnej furji, z obliczem trupiém, oczyma groźnemi i brwią zmarszczoną.

Podróż po Zaborach prus.

— Ona niewinna! — powtórzył Koenigsmark raz trzeci, a powieki jego zawierały się snem wiecznym.

Platenowa przycisnęła stopę do ust jego, jakby chcąc zadławić te słowa; szczeka konającego pękła z chrzęstem pod tym naciskiem.

Książę zjawił się w téj chwili, w długim czarnym płaszczu. Poleciał on trabantom, aby zwłoki wniesiono do ciemnej izdebki za kaplicą, sam zaś udał się do komnaty swój żony.

— Zkąd ten dziwny strój na tobie, moja pani? — rzekł on tam na powitanie.

Dorota, włożywszy już kapelusz, przygotowała się do wyjścia. Na widok księcia, omal zmysłów nie postradała.

— Chciałaś wyjść? — dodał książę. — Ciesz mnie to! Przewidując twoje życzenie, trzymam powóz w gotowiu. Racz pójść za mną.

Księżna stała blada i nieruchoma, niby posąg. Mąż chwycił jej ramię i pociągnął ją za sobą. Musiał on ją znieść prawie po schodach, wiodących do ogrodu, ku drzwiom owym, które Koenigsmark zastał zamknięte. W alei ogrodowej ujrzała księżna powóz dworski, otoczony jeźdźcami.

Mężczyzna i kobieta nieznani księżnej, stali przy drzwiczkach powozu. Ludzie ci usiedli na przedniem siedzeniu powozu, by mogli czuwać nad każdym jej poruszeniem. Na skinienie księcia, rumaki ruszyły z miejsca cwałem.

Powóz przejechał o świcie przez nędzną mieścinę i wtoczył się po moście zwodzonym do rudery starego zamczyska. Skoro koła minęły most ten, podniesiono go i zamknięto.

— Książę przeznacza ten zamek na przyszłe mieszkanie w. ks. mości — rzekł mężczyzna w powozie do

księżnej, otwierając drzwiczki. Księżna usłyszała wtedy pierwsze słowa, wyrzeczone do niej od czasu wyjazdu.

— Mnie wybrano na towarzyszkę w. ks. mości—
dodała kobieta.

Dorota zemdląła. Wniesiono ją do nędznej izdebki, przygotowanej dla niej. Gdy odzyskała zmysły, ujrzała się na łóżku i pozbawioną odzieży; obok niej leżało odzienie żałobne, jakim zastąpiono jej suknię dworską. W téj chwili domyśliła się, iż Koenigsmark już nie żyje.

Przez trzy lata wzbroniano jej wychodzić po za obręb więzienia. W końcu otrzymała pozwolenie do przechadzek w okolicy Ahlden'u, pod strażą patrolu żołnierzy. Kilkakrotne usiłowania ucieczki spełzły, skutkiem czujności stróżów. Umarła ona tam z rozpacz, 13 Listopada 1726 r. Na dzień przed zgonem, napisała list do swego męża, już obwołanego królem Anglii, w którym go zawezwała przed sąd Boży, na pierwszą rocznicę owego dnia i godziny.

Król Jerzy skonał w istocie 13 Listopada 1727 r.

Taką to tragiczną powiastką bawi gości odzwiercny królewskiego pałacu w Hanowerze, jeżeli im starczy czasu na słuchanie i pieniędzy na datek.

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Nad Renem.

~~~~~  
Przyjazd do Kolonii.—Skrzynka tajemnicza.—Handlarze ko-  
łońską wodą.—Nocna wycieczka.—Katedra.—Kolonja pru-  
ska.—Kwiat nienawiści.—Pomnik pana Bismarck'a.—  
Rozmaite plany.

Wyjechawszy popołudniu z Nassau, stanąłem wie-  
czorem w Kolonii i zakwaterowałem się w hotelu, tuż  
przy dworcu. Właśnie kończyłem wieczerzę, gdy na-  
czelny posługacz postawił przedemną, zamiast trady-  
cyjnej świecy i pudełka z cygarami, piękną szkatułę-  
czkę o stalowym zameczku.

Przedmiot ten bardzo mnie zaciekał, lecz nie  
uchyliłem swojej pozycji statecznego podróżnika, oka-  
zaniem wady Pandory. „Być może — pomyślałem —  
że pan Ryszard Wagner przysłał mi prezent, albo król  
bawarski dedykuje mi najświeższe trzy tomy swoich so-  
netów, wraz z orderem trzeciej klasy „dzwonka war-  
togłowów?“

Nałamawszy sobie głowę, z powolnością godną  
Niemca, w celu uśmierzenia swojej ciekawości, wycią-



gnąłem rękę nieśmiałą i drżącą ku szkatułce, zbliżyłem takową do siebie i otworzyłem ją; nic w niej jednak nie zobaczyłem, oprócz papierków niebieskich i białych, okrywających jakiś tajemniczy przedmiot na dnie.

Czy wypadało usunąć tę zasłonę, czy nie?

Awanturniczy duch mój stał się bodźcem ręki; koncem palców uczułem szereg flaszeczek, spoczywających wygodnie pod tą mięciutką i miłą nakrywką. „*Par-bleu!* — rzekłem w duchu — pan Bismarck przysłał mi koniaku!“ Pół sekundy rozmysłu przypomniało mi jednak, że gdyby p. Bismarck wiedział o moim pobycie w Niemczech, chyba żandarmów przysłałby do mnie.

Zkąd więc pochodziły te flaszeczki? Co mieściły one w sobie?

Usunąłem papierki okrywające je i odczyłem: *Prawdziwa woda kolońska Jana Maryi Fariny.*

W téj chwili zbliżył się do mnie posługacz i rzekł: — *C'etre dreize francs zinquante, karandi feritable, de la grande et non de la betite Farina.*

(Trzynaście franków i pół. Gwarancya prawdziwa, nie małego lecz wielkiego Fariny).

Oberżyci kolońscy posiadają widocznie szczyptę złośliwości i umieją sprawiać niespodzianki, drażniące nerwy turystów; czynią to zapewne w celu ułatwienia strawności, po dobrej wieczery.

Wchodząc do mego pokoju, znalazłem na stole drugą skrzynkę, jak dwie krople wody do poprzedniej podobną.

— Nie żądałem kolońskiej wody — mówię do pokojówki.

— *Za ne fait rien, mōzieu, c'etre compris dans le brix de la champre.*

(Nie to nie szkodzi, w każdym razie policzą ją panu w rachunku).

— Cóż ja pocznę z tą wodą?

— Zostaw ją *mòzieu*, ona należy do moich obrywek.

Postąpiłem z skrzynką jak Józef w domu Potyfara z płaszczem; wetknąwszy ją bowiem pod pachę papienki, uciekłem.

W bramie hotelu zastąpił mi drogę odźwierny:

— Jeżeli pan potrzebuje rzeczywistój wody kolońskiej — rzekł on do mnie francuzczyzną, której próbki przytoczyłem powyżej — mogę panu służyć takową. *J'en ai de l'hottentique* (miało to znaczyć: iż posiada autentyczną); przed chwilą natoczyłem ję z baryłki.

Zacząłem wierzyć w spisek, więc odtrąciłem gwałtownie odźwiernego. Zaledwie wyszedłem na ulicę, tużin chłopaków pobiegł za mną, każdy zaś wołał: „chodź pan ze mną do składu prawdziwój kolońskiej wody Jana-Maryi Fariny.“ Ten mnie ciągnął w lewo, ów w prawo, gromadka malców uczepiła się poły mego tużurka. Mógłem się słusznie rozgniewać, jednak roześmiałem się tylko serdecznie i rzekłem: „dajcie mi pokój, dziatki i wypijcie szklanekę piwa, za moje zdrowie.“ Przyjąwszy kilka groszy, jakie im cisnąłem, odeszli z niewymowną radością, mówiąc: „to Francuz, on zna nas.“ Wtedy sobie przypomniałem, że Wiktor Hugo odkrył w swęj poetyczněj podróży nad Renem, pocieszny ów anons, wypisany złotemi literami nad sklepem jednego z 38 prawdziwych Janów-Maryi Farinów, kadzących w Kolonii swoją wodą, który brzmiał następująco: *J'invite Messieurs les voyageurs, à ne pas se fier à des gens sans aveu ni à des galoppins* (sic).

*qui abusent leur confiance etc.* (\*). Nie wiem czy Wiktor Hugo zauważał, że względu na owe dwa p, iż Niemcy zawsze więcej biorą jak im się należy.

Kolonia zarówno zasługuje na zwiedzenie w zmroku jak w świetle dzienném. Przy świetle księżyca przybierają wszystkie tutejsze widowiska charakter feudalny i wspaniały; te ciasne i kręte uliczki, domy kończące z wolutami rzeźbionemi i obwieszonemi pękami śrub ślimaczych, okna gotyckie w ołów oprawne, drzwi o ostrych łukach, fontanny ozdobione staremi posągami, wszystko to każe myśli biedz wstecz o dwa albo trzy wieki.

Katedra wznosi się śród tych fantastycznych dekoracyi, nakształt góry wyciosanej i poprzębianej na wylot rękami olbrzymich snycerzy. Jój dzwonnice, strzały, filary tworzą las zaczarowany, pełny niebiańskiej harmonii, w którym aniołki zamiast ptastwa szybują. Któż niezna owych nadobnych aniołków Kolonii, o długich, krętych kędziorach i drgających skrzydełkach, co przygrywają na fletach i skrzypcach, jakby chciały zawiadomić bićdaków naszego nędznego państwa, zawsze płacących za muzykę, chociaż tylko moi świata tańczują, że tam, w raju, wieczność upłynie na wzór nieustającego sielskiego wesela. Pod sklepieniem tego kamiennego lasu widzimy także olbrzymich świętych, w postawie nieruchomej, a w perspektywie zjawiają się smoki i węże, wywalające płomieniste swoje języki. Jakiż dostrzegam stek rzeczy nadobnych i okropnych, symbolów chrześcijańskich i godeł po-

---

(\*) Upraszamy pp. podróżnych, żeby nie ufali ludziom bez profesyi, albo chłopakom, którzy ich zaufania nadużywają.



gańskich, w tym najczystszy wzorze gotyckiej katedry!

Kolonia dzisiejsza nie podobna do owój, którą nazywano świętą, co w obrębie swoich murów posiadała tyle kościołów ile rok ma dni, ogłosiła się niegdyś miastem wolném, była stolicą handlu Niemiec z Zachodem i liczyła między swoimi obywatelami patrycyuszów zamożniejszych od cesarzy. Kolonia owa, szarpana przez lat 20 wewnętrznymi zaburzeniami, namiętnościami wyuzdanemi i zaciekłością bohaterską, Kolonia, w której każda ulica bywała bojowiskiem, dom każdy fortecą, nie posiada już dziś świętych stosów gorejących i zapomina o wspaniałych owych walkach; nie dobywa już ona błyszczącego miecza, na jej balkonach rzeźbionych nie zjawiają się białe cienie pań udzielnych. Zmarły w niej namiętności i miłość. Pewnej nocy, goniąc tropem Napoleona, Borussia przeleciała przez nadreńską stolicę i na wzór anioła zniszczenia, naznaczyła czerwonym piętnem bramy miejskie. Od roku 1814 Kolonia przeszła w ręce Prus i umarła.

Jednakże, pomimo ciszy w swoim ratuszu, warsztatach i fabrykach, dotąd nęci nas Kolonia i zatrzymuje w swoich murach, bo zawsze zostaje królową Renu i zasiada na kamiennym swoim tronie, na wybrzeżu wspaniałej rzeki, liżącej pokornie jej stopy. Cesarz Wilhelm nie zdołał w niej zatrzeć w przechodzie, śladów Cezara, Karola Wielkiego i Napoleona. Ona to wykołysała Rubensa i przytuliła wygnańca Petrarkę; dawna ta ojczyzna sztuki i poezyi, zmieniła się w muzeum pełne relikwii i wielkich pamiątek.

Unikaj jej jednak w rocznicę sedańską, albo w karnawale, lub też podczas festynów urzędowych. Minął czas ów niepowrotnie, w którym obywatele ko-

lonii witali wieszczka francuzkiego słowem: *Monsieur, Monsieur, sous Français! ran! plan! plan! ran! lan! plan! la paionette aux Prusiens, eine ponne quilpité comme a Jena!*“ (\*)

Niedarmo dodał on w objaśnieniu do tego powitania: „wyznaję, że mi się podobała ta przemowa. Wielkość Francyi polega na wspomnieniach i nadziejach tych szlachetnych narodów. Całe pobrażenie Renu kocha nas—mógłbym rzec, że nas oczekuje (\*\*).

Wojna w 1870 r. wypeniła ostatnie zarody tej sympatyj; z krwi wybuchał kwiat zawiści, z jadowitym owocem. Pielęgnowała go tu staranie; jasnowłose Gretchen porzucają niezapominajki, aby nim się zdobić. Nigdzie nie gardzą bardziej zdziaczałym „Wallonem.“ W dzień ostatniej „świętej“ rocznicy Sedanu, nawet pani profesorowa (*frau professor*) Lina Schneider, popisywała się na trybunie Gurzenich'u, czytając przed publicznością poważniejszą, lecz niemniej łysą niż owa w teatrze *Folies-Bérgere*, poemat patryotyczny, w którym cesarza Wilhelma porównywała z Fryderykiem rudobrodym. Tego samego dnia inna niemiecka muza, panna Magda Irschik, powierzyła bukiet swych natchnień aktorowi Karolowi Boeckiel, który ofiarował go natychmiast kolońskiej publiczności. Poemat ten „Sedenteryjny“ zawierał w pierwszej zwrotce przysięgę, iż:

„Potężna Germania ciśnie Sedan nowy  
Na przyjaciół Rzymu ogłupiać głowy!“

(\*) Takowe niemiecko-francuzkie powitanie wyrażało, że Kolończycy życzyli sobie raz jeszcze oglądać Francuzów, bijących Prusaków jak pod Jeną.

(\*\*) Victor Hugo. *Le Rhin*, édition Hetzel, p. 139. T. I.

Znajdują się w Niemczech kapryśne i zacofane umysły, żałące się na upadek literatury i sztuki; pan Bismark przekłada jednak powyższego rodzaju wierszydła nad rymy Göthe'go i Schiller'a, drukując je na welinowym papierze kosztem opodatkowanego ludu i każąc, aby młodzież karmiona mleczem państwa takowych na pamięć się uczyła.

Gdy pan Falk, pruski minister oświaty i wyznań, odbywał swoją słynną podróż po krajach nadreńskich, odczytano przed nim, po obiedzie ofiarowanym mu przez Kolonię, poemat polecający zasługi tubylców; głównie chwalono ich za swoją śmiertelną nienawiść do Francuzów. Co by też pan Bismark powiedział, gdyby burmistrz Lyon'u albo prefekt w Bordeaux powitał p. Decazes'a lub Gambettę u drzwiczek wagonu wierszykiem patryotycznym, opiewającym nienawiść swoich spółobywateli do Niemców, rymując w nim słowa *milliards* i *pillards* (łupieżcy). Kanclerstwo berlińskie z pewnością by usłyszało te rymy, i w 24 godzin po ich wymówieniu posłałoby swoje wojska do Szampanii, do której schną tak tęsknie gardziele niemieckie.

Ludność Kolonii przyjęła z zapałem wieść o wojnie w roku 1870. Chełpiono się tam z pruskiego powinowactwa i prawiono o odzyskaniu Alzacyi. Żołnierze zapełniali hotele i domy obywatelskie; młodzież garnęła się pod sztandary. Pewna dama z Deutz-Kolonii napisała wówczas do jednego z moich znajomych: „wierzyłam dawniej w patryotyzm i odwagę niemiecką, nie liczyłam jednak na tyle zapału. Francya przyspieszyła zjednoczenie Niemiec swoim wypowiedzeniem wojny. Nie dzielimy się już na stronnictwa, lecz wszyscy czujemy się Niemcami, i gotujemy się do walki za wspólną ojczyznę. Ci sami żoł-



nierze, co w 1866 szli na wojnę niechętnie, biegną w téj chwili ochoczo, prawie radośnie, albowiem nadzieja zmierzenia się z Francuzami, ożywia ich i budzi uśpione urazy z r. 1813 (\*)...“

14 Sierpnia 1870 pisała gazeta Kolońska iż wypada Niemcom stanowczo się rozprawić nietylko z rodziną Bonapartów, lecz z narodem francuzkim. Już 26 Lipca wydrukowała ona na czele swoich łamów, literami pokaźnemi, iż kapral Kreuser z 40 pułku (Hohenzollern), zabił pierwszego francuza: *część mu więc!* Po zwyciężkiej kampanii obdarzono generałów pruskich prezentami; Moltke otrzymał od Kolonii beczkę wody kolońskiej, żeby nie zazdrościł Bismarkowi daru Pomorza, składającego się z beczułki sera i kilku połci słoniny; tą ostatnią okraślił zapewne kanclerz swoją kapustę.

Zeszlęj jesieni doręczyła deputacya kolońska księciu-kanclerzowi dyplom honorowego obywatelstwa miasta Kolonii. Artysta—malarz Scheuren, z Düsseldorfu, zajmował się przez pół roku kolorowaniem tego dyplomu, piękniejszego nad wszystkie podobne, jakimi obdarzono pierwszego ministra. Przedstawił on tam herb cesarstwa z podpisem *Gloria* i maleńkich teutonów płci mieszanéj, krzyczących „niech żyje książę Bismarck,“ z usty rozwartemi tak szeroko, że wypada się lękać aby szczęk sobie nie zwicznęli. Dostrzegamy tam także gołębie—może sroki kradnące—zlatujące się do fortocy ozdobionéj sztandarem pruskim, oraz

---

(\*) — Z kim wojujecie? — zapytał p. Thiers w r. 1871 historyka Ranke, spotkawszy go w Wiedniu

— Z Ludwikiem XIV—odrzekł p. Ranke.

słońce „jasne i czyste,” wreszcie zaś samego p. Bismarck’a, w postaci chłobrego rycerza, w odzieży przypominającej epokę, gdy polityka przemysłowa kwitła w warowniach nadreńskich. Pan Scheuren nie zapomniał przedstawić próbki zbrojowni książęcej p. Bismarck’a, gdyż odmalował dwie chorągwie francuskie, dwie austriackie i dwie duńskie, oraz herb Alzacyi-Lotaryngii.

Zapał Kolonii względem „umysłowego Herkulesa 19 stulecia” ni zadowolnił się temi dowodami. Wnet będzie ona posiadała w swych murach podobiznę „drogiego księcia.” W przeddzień roku 1866 niezebranoby w jej obrębie 8 i pół franków na pomnik p. Bismarck’a, wszyscy bowiem pamiętamy, jak złorzeczono jego imieniu nad brzegami Renu. Nie pomnę czy to się stało w Kolonii lub Moguncyi, że gdy p. Bismarck wysiadł na chwilę z wagonu i udał się do domku „dla panów,” drzwi za nim gwoździami przybito. W karykaturze odbitej na wspomnienie tego przypadku, przedstawiono słynnego więźnia wysuwającego się przez okienko w dachu; pociąg już wyruszał, a trzy tradycyjne włosy kanclerza najeżyły się z grozy i oburzenia.

Pewien obywatel koloński zapisał w testamencie 45,000 talarów na ozdobienie swojego rodzinnego miasta podobizną męża, którego po niemiecku nazwano: „odnowicielem dziewictwa Germanii.” Ogłoszono konkurs na najlepszy model pomnika; projektów nadesłano co niemiara. Nawet lekarze przysłali swoje pomysły. Pan doktor S. Meyer, autor poematu wydrukowanego w *Gazecie powszechnej północno-niemieckiej*, p. t. „Doktor Bismarck, chirurg, lekarz i akuszer,” wniósł, aby przedstawiono zręcznego kanclerza z kleszczami w rękę;

na postumencie pomnika tę zaś życzył zwrotkę z kantaty chirurgicznój:

On to w frasunku i trwodze  
 Pomógł Germanii niebodze  
 Arte obestricia;  
 Bo, iż z związku ją wyzwolił,  
 Który nas tak długo golił,  
 Winna mu Germania! (\*)

Pewien profesor akademi düsseldorfskiej przysłał szkic, przedstawiający p. Bismark'a w wieńcu laurowym na wzór mogunckiej szynki, oraz kierującego cwałującym rydwanem nowego cesarstwa, gruchoczącym pod swemi kołami Szlezwig, Austryę, Hanower, małe księstwa, Francją i wszystkie potężne narody, jakie ks. kanclerz obalił i kontrybucyami obłożył. Zapewne ujrzymy Alzacyą i Lotaryngią po za owym wozem tryumfalnym, przykute doń i strzeżone przez pandura, z hełmem w ręku, i godłem: *pięć miliardów*.

Profesor ten polecił także magistratowi Kolonii, aby na straży pomnika p. Bismark'a postawił artystę nadreńskiego, co niedawno sam jeden naśladował na 14 bębnach, wśród ulic tego miasta, bitwę sedańską i bombardament Paryża, zobowiązując artystę, aby

---

(\*) Oryginał tych wierszydeł brzmi następnie: *Auch in Nothen mit Gefahren—Ist nicht minder er erfahren—Arte obestricia.—Den vom allen Bund entbunden,—Der uns lang genug geschunden,—Hat er die Germania.*

Poemat dr. Meyer'a liczy 11 zwrotek, równiej wartości jak podana próbka. Ułożono do nich muzykę, żeby je dzieci w szkołach śpiewały. Po ohydnyim zamachu w Kissingen, pięciu obywateli ofiarowało po 1,000 talarów nagrody, za najlepszy poemat na cześć pana Bismarck'a. Dziesięć tomów wierszy zawdzięczamy ich ofercie.



na oślich swych skórach bił Francenzów dwa razy na dzień.

Jeden z wielbicieli p. Bismarcka, wniósł znów odlanie ostatniej sceny, przedstawiającej apoteozę z baletu który miał takie powodzenie w berlińskim teatrze Rozmaitości p. t. *die Schwarzen* (czarni ludzie—klerykały). Balet ten odbywa się na podwórzu starego gotyckiego klasztoru i przedstawia jezuitów o nosach jak haczyki, kroczących jeden za drugim; za nimi toczy się otyły franciszkanin, koziołkując nakształt stariej frygi; w ręku niesie on pełny kosz butelek i krucyfiks, który podaje niekiedy jezuitom do pocałowania, poczem odczytuje im filutny bilecik, oznajmiający, iż wnet przybędzie rój młodych i pętnych mniszek. Jezuici drepczą z radości; wkrótce wchodzą mniszki w strojach baletniczek, przy dźwięku skocznej muzyki. Stary franciszkanin częstuje wszystkich winem, wreszcie rozpoczyna się orgia nie do opisania, taniec szalony, bezwstydną, kankan potępieńców i szaleńców. Naraz zjawia się osoba „dobrze znana“ (*ein Bekannter*, powiada afisz), w mundurze 7-go pułku kirasyerów pruskich, z różgą w dłoni, którą bez litości chłoszcze jezuitów. Ci padają wszyscy na ziemię od potęgi jego ciosów, a „dobrze znany“ kirasyer, wznosząc różgę do góry, tłoczy ich obcasem, podczas gdy najprzystojniejsze mniszki unoszą nad nim z czcią niewymowną wieniec laurowy.

Któryż z tych projektów wybiorą?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to moje pytanie.

Czemuż nie dźwigną pana Bismarcka, „owego odnowiciela dziewictwa Germanii“, w postaci pasterza wieńczącego Germanię, przedstawioną jako dziewczynę o różanych jagodach i rysach panny Lucca?

## II.

Gazeta Kolońska.—Jéj para korespondentów podczas wojny francuzkiej.—Jéj telegraficzne urządzenia.—Korespondenci do gazety Kolońskiej. — Pan Levysohn i p. Bismarck.—Gazeta Kolońska w Berlinie.—Niewydane i pouczające listy Blücher'a.—Geografia prasy niemieckiej.—*Reichs-Zeitung*.—Liberalizm pruski.

Pan Bismarck najpierw pojął w Europie doniosłość prasy, on też zrozumiał jak nią kierować wypada i znalazł w gazecie Kolońskiej potężnego sprzymierzeńca, kwoli sprusaczeniu prowincyj nadreńskich. Dziennik ten umie jednak bardzo zrećźnie zachować pozory przyzwoitości. W r. 1871 pozwalał on sobie krytykować wcielenie Metz'u, skoro jednak nieodzwonnie zgodzono się na taki krok w Berlinie, przyklasnął temu zaborowi. Kilkakrotnie wołał on o zwrócenie północnego Szlezwigu, Danii, czując w sercu, że obłudne te rady nie uwzględni rząd puski. Co do formatu, redakcyi, powagi i rozkładu treści, dziennik ten możnaby nazwać *Times'em* niemieckim. W porze potęgi Cesarstwa, czułemi wiązał się on węzły z Tuilierami, często drukując przemowy Napoleona, zanim cesarz takowe wygłosił. W Berlinie przezwano go wówczas Monitorem nadreńskim. Zmieniał on kolejno swój kałamarz w kadzielnicę na cześć Palmerstona, Cavour'a i hr Andrassy'ego. Dziś broni sprawy tureckiej i zrećźnie fabrykuje cukierki dla seraju. Nie-

zła to taktyka, albowiem przynosi wydawcy ucziwie albo haniebnie, 50,000 talarów rocznie, co na franki licząc, nazywa się 200,000 franków czystego dochodu.

Dziennik ten posiada przeszło 25,000 przedpłacicieli; jego edycja dla krajów zamorskich, krzewiąca nienawiść ku Francuzom między Niemcami w Stanach Zjednoczonych, także zjednała obszerne koło czytelników. Nie szczędzi on wydatków kwoli zasięgnięciu wczesnych wiadomości, utrzymując wszędzie korespondentów, nie zapominając o przedsionkach parlamentów i teatrów, oraz o przedpokojach dyplomatów i tylniej straży armij.

Podczas bolesnej kampani 1870—1871, spuścił on z łańcucha dwóch wojskowych korespondentów, kwoli szczekaniu wzdłuż śladów armii francuskiej i opisywaniu ogłupiałym Niemcom, cudownych sprawek swoich dzieci, palących, podpalających i rabujących ku większej czci Boga. Usprawiedliwiając strzały armatnie, ciskane na lazarety w Strassburg'u i Metz'u pisał p. Wachenhusen, jeden z owych korespondentów: „*ta tłuszcza czerwonych krzyżów, idąca śladem lwa nakształt szakali, pod pozorem pielęgnowania chorych i dźwigania albo karmienia rannych, zasługuje na nazwę kłęski publicznej.*“

Z patryotyzmu chłopów, spieszących pod chorągwie wolnych strzelców (*francs-tireurs*), zdobyło jego pióro tylko następujące błazeństwa: „Ludzi tych można tylko nazwać stekiem hałastu, wzbudzającej ogólnej odrazę; biedne te wisusy nie mają przyzwoitej odzieży, albowiem kupiec korzenny nosi swój surdut a wyrobnik bluzę, do której patryotyzmem zbałamucona żonka przyszyła czerwony galon. Jedni obwiązują głowy chustkami, inni noszą białe szlafmyce bo-



dące powietrze kutasikiem, wiszącym nadobnie u końca; takowe ospałe okrycie głowy zasługuje na miano odwiecznej cechy mieszczaństwa francuzkiego.“

Wiadomo, iż władze niemieckie kazały wozić na pociągach lub „transportować“ na lokomotywach przewożących zapasy wojskowe, starców, którzyby najpierw padli ofiarą zasadzki albo wykolejenia, wrazie napadu nieprzyjaciela; czyniono to zaś w celu zabezpieczenia się od zasadzek wolnych strzelców. Korespondent gazety tak drwi z tych biednych zakładników: „Nędznie oni zaiste wyglądają, jadąc na maszynie. Często, prawie codziennie nawet, pociągi kolei żelaznej zatrzymują się 8—12 godzin przy jednej stacyi, nie mogąc wprzód ani w tył ruszyć. Ci chłopscy wójtowie i rozmaici dygnitarze, muszą cierpliwie czekać natenczas, bez zbytniego krzywienia się i drżąc z trwogi, ażali panowie wolni strzelcy nie uwzględnią korzyści swego kraju, nad nędzną osobę wójta w bluzie, którego zawsze zastąpić można, gdyby *sława* wymagała poświęcenia jego osoby.“

Pan Wachenhusen dziwuje się, iż te „środki ostrożności“ nie wywierają skutku. „Wczora jeszcze, pisze on do Gazety, przeprowadzono pomiędzy zwaliskami własnych domów 20 jeńców związanych, dziś, w Remilly, znów do naszych ludzi strzelano; przecież spalenie do szczytu miasteczka Bazeilles—dodaje on naiwnie—powiwnnoby posłużyć za odstrasżający przykład.“

Opisując sceny, rabunku, korespondent ten czuje się w swoim żywiole, opiewając z zamiłowaniem i w stylu pełnym swawolnego wdzięku, owe mahoniowe biurka, złożone stoliczki, serwisy do herbaty i kawy, chińską, japońską i sewryjską porcelanę, świecz-

niki, ozdoby kominków, franki i t. p. „ekspedyowane“ pełnemi wagonami do Niemiec, oraz fotografie i liściki znajdowane w szufladach gotowalni młodych elegantek. W jednym liście opisuje, jak urządzano formalne polowanie na trykoty wełniane, zbytek zupełnie nieznany Niemcom.

W kilka miesięcy później pisał: „Widok niezniszczonego przedmiotu gniewa nas; wahadło zegarowe nudzi swym tyktakiem, więc je łamiemy, tłuczemy filiżanki mające uszka, drzemy franki niepokrajane dotąd przez żołnierzy na chustki do nosa (*sic*), niszczymy aby niszczyć, albowiem nie wiemy czy dożyjemy jutra.“

Człowiek ten napisał przed wojną rodzaj miłosnego przewodnika po Paryżu dla swoich rodaków p. t. *Eva in Paris* (Eva w Paryżu). Niedziw, że i w Wersalu kłaniał się przed ołtarzami cypryjskiej bogini, wraz z kolegą swoim, p. Wikede. Oni to nas zapewnili w wstydliwój Kolońskiej gazecie, że wesoło im było w bliskości Babilonu: „Niedyskretni — powiada p. Wachenhusen, z miną tajemniczą—niedyskretni szepeczą, iż nieraz widzieli nadobny bucik o korku zgrabnym i ukoronowany białą pończoszką, drepzczący po komnatach naszego hotelu.“

Pan Wikede, pod wpływem szampańskiego winka, nie mniej żartobliwie pisze; piórem swoim dzienikarskim strzela on niby Kupid pociskiem; za drzwi się chowa, zmuszając piękności do kapitalucyi i głosi:

— Pożegnałem odważną moją gosposię po przyjacielsku, a nawet z duszy serca ucałowałem ją w usteczka pulchne i rumiane, gdyśmy zostali w kuchni sam na sam.“

Piękny saper, ten pan Wikede, nieprawda?

— W końcu Września—dodaje on w innym liście—zwidziłem okolice Paryża; zastałem tam ogólne znisz-



czenie i spustoszenie. Ogniska biwakowe podpalano najcenniejszymi książkami; żołnierze łupali fortepiany najpiękniejsze, by zupełniemi gotować; z zabłoconemi butami rozwalali się na aksamitnych kanapach, darli obicia damaszkowe na ściérki. Przez trzy dni patrzyłem na dzieło zniszczenia i rabunek nieprzerwany. Cma hałastu przybiegła z Niemiec do Francji, nazywając się marketanami, liwerantami, felcerami; ludzie ci jednak umknęli zapewne z pod szubienicy. Najobficij kręcili się w okolicach Paryża, kradnąc rabując i oszukując Francuzów z sercem radosnem: oni to bechtałi naszych żołnierzy do kradzieży, płacąc im drobną monetą za owoce zbrodni. Nasze władze postępowały nieogłędnie w oddzielaniu pasportów i legitymacyi mnóstwu włóczęgów i filutów... Niemało dzieje się tu rzeczy, hańbiących imię niemieckie i słuszenie oburzających Francuzów przeciw nam; musimy więc milczyć, gdy nas oskarżają o barbarzyństwo i brutalstwo.“

Gazeta Kolońska posiada najlepsze urządzenia telegraficzne w Enropie, z wyjątkiem Times'a. Mieszkając w Paryżu czytam telegraficzne korespondencye gazety Kolońskiej, ilekroć pragnę dowiedzieć się najświeższych wiadomości paryzkich. Nie ufajmy jednak zbyt wiele wszystkim tym nowinkom, albowiem naczelny redaktor gazety téj sam w niej napisał, iż takowa zasługuje na miano „wielkiej kałuży pełnej kaczek.“ Ogłasza ona wszystko, z łatwowiernością dziewczynki, lecz wszystko dostaje wcześniej, w czém główną jęj widzę zaletę. Korespondenci jęj zdolają otrzymać wszelkiego rodzaju wiadomości, albowiem ogromnemi funduszami rozporządzają, wchodzą bez przeszkody do ambasad zagranicznych, a w poselstwie niemieckiem w Paryżu, wchodzą i wychodzą tajnemi



schodkami. Pierwszą rolę odgrywa pomiędzy tymi paryzkimi korespondentami do gazety Kolońskiej doktor Büde; on to kapelmistrzuje w koncercie politycznym bieżącym.

Inni dwaj znani korespondenci—gdyż istnieją i nieznani, a nawet Francuzów liczą pomiędzy współpracownikami tego pisma—nazywają się pp. Krammer i Scheitlein. Pan Krammer pisuje pod 10—12 rozmaitemi cyframi; przerzuca się on z łatwością od poważnych do nadobnych rzeczy i od wesołych do surowych; raz poucza Niemcy o liczbie podwiązek Kory Perl, drugi raz o mnogości armat zgromadzonych w arsenałach. Telegrafuje o pożarach, psach wściekłych, zmianach i przyjęciach dyplomatycznych, wybrykach „małych“ dam, zatargach „pewnych“ panów; czuwa nad krętanią mężów stanu, nad salonami i nad klombami w Mabilles, teatrami, książkami, agentami, rynsztokami i konfesyonami. Przestał on być człowiekiem, a stał się kamerą ciemną, w której odzwierciadla się w niepojęty sposób wszystko, co się na ulicy albo w domach dzieje. Broda własna, proroczej wspaniałości, natchnęła go wiarą, iż rzeczywiście posiada dar wyroczni. On cię poważnie zapewni np., że na 8 dni przed zamachem Orsiniego, przewidywał takowy. Gdyby nie pewność, że on należy do najmniej krwi chciwych ludzi z nadbrzeżów Renu, możnaby go posądzić, iż należał do spisku. Mieszka on w Paryżu od r. 1848; od owego czasu nie przeniósł swego biura korespondencyjnego z piwiarni za giełdą, na rogu ulic *Brogniart* i *Notre-Dame-des-Victoires*.

Pocieszenie i dziwacznie wygląda ta świątynia redakcyjna w głębi szynku, a widok redagowania poważnej gazety wśród dymu fajczanego, kieliszków absentu i szklannic brunatnego i jasnego *bock'u*, niemniej dzi-

wacznie uderza. Dotąd stale wierzyłem, iż tylko naród tak nisko moralnie strącony jak francuzki, oddaje się tym nałogom nieprzyzwoitym.

W tylnym tym pokoiku ujrzysz co wieczora staruszka i młodzieniaszka, osądających Francją, jęj politykę, mężów stanu, literaturę, teatru, przemysł; przez cały czas wchodzą tam i wychodzą posłańce krajowi i korespondenci zagraniczni, polujący za nowinkami. Wszystko tam klecą — artykuły wstępne, depesze, nowinki kronikarskie i reporterskie. Organizacją tę można nazwać modelem biur tego rodzaju; działa ona jawnie, wśród Paryża, w biały dzień, podczas gdy w Berlinie muszą się kryć biédni dziennikarze francuzcy na poddaszach; jeżeli ich zaś tam odkryją, odstawiają ich w towarzystwie zbirów i w imieniu króla do granicy, radząc im na pożegnanie, aby nie wtykali nosa w rzeczy, co ich obchodzić nie powinny. Przypomnijmy tylko haniebną wygnanie p. Gardet, korespondenta do *Gazette de France*.

Ogólny to popęd w całych Niemczech, aby dowiadywać się o wszystkiém, co zagranicą się dzieje, z ogólnym téż patryotyzmem i zazdrością starają się tam zataić przed obcymi, co u siebie się dzieje.

Przed wojną utrzymywała w Paryżu gazeta kołńska korespondenta ogólnie znanego, p. dr. Levysohn'a, blondyna słusznego, chłopaka miłego, o oczach niebieskich, mdłej barwy, ozdobionych okularami w złotej oprawie. Posiadał on prawo wstępu do większej części redakcyj dzienników paryzkich. Rozpoczął on od służby w pewnej księgarni przy ulicy Richelieu, aż ogłosił studyum nad literaturą francuzką, które podobno się za Renem; wtedy podwoje nadreńskiej gazety otworzono przed nim na rozcież.

O stosunkach p. Levysohn'a z p. Bismarck. nie-

opisanych dotąd, możnaby napisać rozdział zajmujący. Wiadomo, iż zaczęły się one podczas oblężenia Paryża.

Pan Levysohn schronił się do Wersalu; komunikacye z departamentami przerwano, dziennikarstwa nie miano, że tak powiem. Pan Levysohn zniósł się z główną kwaterą niemiecką i podał myśl zaradzenia temu niedostatkowi dzienników.

Założył więc, rozumnie się z zatwierdzeniem naczelnego wodza niemieckiego, dziennik p. t. *Petit Journal de Versailles*, pismo codzienne, podające w formie treściwej nowiny o bieżących wypadkach. Mieszczanie Wersalu, pomimo serdecznój wściekłości, czytali ten dziennik pod naciskiem ciekawości. Bilans jego wydatków i dochodów przedstawiał się korzystnie, a redaktor i wydawca, p. Levysohn, nie miał powodu do narzekania na swoją spekulacyą.

Trwała ona czas pewny, póki pewnego pięknego poranku nie zjawił się ordynans u p. Levysohn'a, z rozkazem, aby tenże stawiał się u księcia Bismarck'a. Pisemne to wezwanie wyjednało mu wstęp do głównej kwatery; tam wprowadzono go do pracowni księcia.

Pan Bismarck siedział przy stole, zajmując się pracą pochłaniającą jego uwagę. Ujrzał on oczywiście obraz p. Levysohn'a w zwierciadle zawieszonem przed sobą, lecz nie przerywał swego zajęcia. Dziennikarz czekał kwadrans, póki książę nie złożył pióra, nie zbliżył się porywczo do niego i nie przyłożył do oka szkiełka. Wówczas zawiązała się następująca rozmowa, w której p. Bismarck pokazuje się w nowej roli—dyrektora biura prasowego i redaktora naczelnego.

— Pan jesteś doktorem Levysohn?

— Tak, w. ks. mość.

— Jak długo poświęcasz się dziennikarstwu?



— Od lat 15.

— Z żalem więc dostrzegam, że przez tyle lat nie nauczyłeś się swojego rzemiosła.

Nie czekając odpowiedzi, rozwinął p. Bismarck ostatni numer *Petit Journal* i wskazał palcem opis wyjęty z *Figaro*, który przypadkowo dostał się do głównej kwatery. Opis ten zawierał wiadomość o zwycięstwie Francuzów nad Niemcami.

— Chcesz dla nas pracować, a takie brednie rozsiewasz pomiędzy ludem? — pytał książę, brwi marszcząc.

— Niech w. ks. mość raczy doczytać..

— Nic dalej nie czytam! Czyż myślisz, że naprawisz błąd spełniony przez wydrukowanie takiego artykułu, dodatkiem, że wyjąłeś go z gazety francuskiej? Żałuję, że twoja długa działalność dziennikarska lepszych owoców nie wydała... przestałeś zajmować stanowisko naczelnego redaktora w *Petit Journal*.

Darmo protestował Levyssoha, dowodząc, że on jest tego dziennika założycielem, właścicielem i wydawcą.

Bismarck tylko ramionami wzruszył.

— Powiedzieliśmy i basta!... — odrzekł, kończąc posłuchanie.

Nazajutrz już dr. Bamberger podpisał się jako kierownik odpowiedzialny i wydawca pisma wspomnianego; on także należał do dziennikarzy niemieckich, bawiących przy głównej kwaterze i dobrze znanych w redakcyach paryzkich.

Zaledwie pojawiły się dalsze trzy numery nieszczęśliwego *Petit Journal*, a już zjawił się ordynans, który ucieszył nowego redaktora wiadomością, że p. Bismarck wzywa go do siebie.

Książę oczekiwał dziennikarza z gazetą w ręku.

— Kochany doktorze, co też myślisz o naszym

położeniu? Czy chcesz sprowadzić na nasz kark świat cały?

Doktor Bamberger mocno się zdziwił takim przyjęciem.

— Patrz! powtarzasz narzekanie na traktat paryzki; ono Anglikom humor popsło.

— Racz w. ks. mość pamiętać, że artykuł ten pozyczyłem z *Nord'a*, że pisano go w Rossyi, i że brzmi przychylnie dla Niemiec.

— Już to pozwól się trudnić polityką mnie i moim ministrom — rzekł książę cierpko — kokietowanie z Rosyją w dzienniku wydawanym przy głównej kwaterze, musi wywołać niezadowolenie; już nawet Anglicy przysłali mi reklamacyą. O tém właśnie chciałem pomówić z tobą, kochany doktorze.

Zmieniając ton, zapytał książę p. Bamberger'a z nienacka:

— Ale, ale, czy zwiedziłeś kiedy Syrakuzę?

— Nie—odrzekł doktor.

— Nic nie szkodzi. Przygotuj się do podróży i jedź czém prędziej do Syrakuzy; wyjedź, dajmy na to, dziś wieczór. W tém mieście otrzymasz dekret na jeneralnego konsula niemieckiego w Syrakuzie.

Spełniając żądanie księcia, wyjechał dr. Bamberger jeszcze tego samego dnia na swoją posadę. Doktor Levysohn naśladował tak dobry przykład kolegi Bamberger'a, chociaż nie prosił go ks. Bismarck, aby przyjął urzędową posadę równie przyjemną, jak generalny konsulat w Syrakuzie. *Petit Journal de Versailles* pojawił się p. t. *Moniteur de Versailles*; nowe pismo to stanowcza i bezpośrednio redagowano w głównej kwaterze.

Nie można się dziwić, że pan Bismarck z taką pogardą stale o dziennikarzach się wyraża, że

ich nazywa „zwierzętami pióra“ i „pastuchami prasiat.“

Po świetnych zwycięstwach niemieckich nad Francją, zapowiedziała gazeta Kolońska, że kierownik jej i odpowiedzialny redaktor, p. Kruse, „przenosi się do Berlina, tego ogniska politycznego życia w Niemczech.“ Pismo nadreńskie niezadowolniło się założeniem biura w stolicy „bogobojności i czystości obyczajów“, lecz połączyło się własnym drutem telegraficznym, niby błoną owych braci Syamskich, z pępkiem świata niemieckiego i „ucywilizowanego.“

Gazeta Kolońska zajmuje podczas sesji parlamentu niemieckiej, 5 reporterów, chwytających w przełocie słowa kapiące z ust przedstawicieli narodu. Ci stenografowie zmieniają się co 10 minut, przepisują swoje notatki i powierzają takowe natychmiast telegrafistom, tak że w końcu posiedzenia znajduje się już dosłowne ich sprawozdanie w Kolonii. Gazetę tę wyprawiają w nocy i roznoszą w Berlinie o tejże porze, co dzienniki stolicy, więc podaje ona zarówno z temi sprawozdania z wczorajszych posiedzeń.

Berło bióra gazety Kolońskiej w Reichstagu dzierży człowieczek ciemnej cery, ruchliwy i sprytny nakształt kuny, o włosach kędzierzawych i oczach zaszkłonych okularami w złotej oprawie; wabi się on imieniem doktora Gubminger. Jestto młody izraeita, który wysoko stanie z czasem w winnicy pańskiej: świątynię swoją i szkatułę umieścił on przy ulicy *Wilhelmstrasse* pod Nr. 79. Taż sama gazeta utrzymuje innego korespondenta, który wyłącznie w przedśionkach się kręci. Drugie to dziecko izraela, dr. Frensdorf, jest zarazem berlińskim korespondentem do *Independence belge*. Za listami dr. Frensdorfa przepadają niemieccy jego koledzy: od lat 10 już on



je kleci, a żadnego dotąd nie zaczął inaczej, jak od formułki: „jak przewidywaliśmy i t. p.“, albo „jak przepowiedzieliśmy“ i t. p. Zajmuje on stanowisko w redakcyach odpowiednie owemu, jakie Mathieu (z *Drôme*) zajmował przy barometrach.

Pan Kruse, berliński kierownik nadreńskiego dziennika, urodził się w Stralsundzie, i należy do zacieklej pruskich szowinistów. On to nadał Gaze-  
cie jęj nastrój wymuszony, albowiem pomimo całej swojej zajmującej treści, ociężałością stylu przewyższa takowa inne gazety niemieckie, a wszystkie jęj artykuły wyglądają jakby w jednej formie ulane i pisane monotonnie wedle jednego wzoru. Pan Kruse wpadł w błąd, uwierzywszy, iż zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy poetami naszej niepoetycznej epoki, wydającej armaty Kruppa zamiast wiązanek rymów; uwierzywszy w swą poetyczność, nie omija on żadnego konkursu i wydaje na świat potworne tragedye, obdarzone tytułami dziwaczniemi jak n. p. *Walttenweber*, *Hrabina Fryzji* i t. p. Przerobił on *Juljusza Cezara* Szekspira, w dowód że wieszcz angielski złego napisał i nierozumiał Plutarcha. Najbardziej lubi przytaczać własne wiersze w swoich korespondencyach, czem prozie swęj dodaje usypiającego uroku.

Gazeta Kolońska, poświęcając się przeważnie polityce, często podaje też rzadkości literackie i tak n. p. drukowała romanse i nowelle Pawła Heyse; poświęca ona także niemało miejsca opisom podróżniczym. W Czerwcu 1872 r. posłała specjalnego sprawozdawcę do Tunisu; podróżnik ten niemiecki wdarł się nawet do haremu, tam przemówiła doń z berlińskim akcentem młoda odaliska. Zwierzyła mu ona w toku gawędki, iż uwzględniwszy wszystko, mężczyźni tunezańscy nie ustępują berlińskim. Pan Jacolliet, który

poadał nam tak ciekawe szczegóły o nieskażonych Niemczkach zdobiących buduary Aleksandryi, wracających do Niemiec i wiernych swoich narzeczonych dla zaludniania cesarstwa, skoro w Egipcie małąpiątko im przybyło, pisarz ten powtarzam, uraduje się zapewne, że to zeznanie potwierdziło bezstronne świadectwo korespondenta do gazety Kolońskiej.

W roku bieżącym ogłosiła ona ciekawe, nigdy jeszcze nie drukowane listy generała Blücher'a do swojej rodziny, pisane z Francyi. W jednym z Nancy, datowanym 18 Stycznia 1814 r., czytamy: „posłałbym ci dużo pięknych rzeczy, gdybym wiedział jak to uczynić. Sam je pewno przywiozę. Mają tu śliczne zwierciadła, w jaki jednak sposób je uwieziemy?”

W innym pisze on, że posłał do Berlina porcelanowy serwis do herbaty, na osób 40, z portretami rodziny cesarskiej, penzla Dawid'a.

Daléj wyznaje dwuznacznie, że chciał rozstrzelać Napoleona i dlatego wyjechał z Paryża do wód, iż panowie (monarchowie) nie pozwalają mu gospodarować tam wedle swojej woli.

Często wraca on do zapytań o losie fantów „wysłanych” do Berlina. „Klejnoty, i różne obrazy sam przywiozę, nieufając posłańcom—dodaje on—a czy porcelana doszła?”

Liście z Wersalu pisze 4 Października 1815 r.

„Pokój prawie zawarty; nie będzie to przykładny pokój i zapewne niedługo potrwa; mniejsza o to, zbrzydła mi wojna, ze względu że tak nędzne korzyści zeń dla nas urosną... Król przyrzekł mi znaczną sumę, lecz oświadczyłem mu, że nie myślę zbogacać się kosztem ojczyzny; rzecz by się miała inaczej, gdyby kontrybucye francuzkie wydały dużo pieniędzy; albowiem przywieźlibyśmy wówczas do nas 25 milio-



uów talarów, wypłacili całemu wojsku żołd dwumiesięczny jako gratyfikacją i takowe na nowo odziali.. Król darował mi trzy wioski na Szlązku, chociaż nie prosiłem o nie. Teraz musimy mieć w Berlinie dom dobrze urządzone.“

7 Października donosi, że król mu darował 500,000 talarów, za co dom kupi w Berlinie, żonie zaś swojej inilą udziela nowinkę, że i ona otrzymała z łaski monarchy 6,000 dożywotniej pensyi. Prosi ją, aby nikomu nie mówiła, że król dał pieniądze na kupno domu, bo kazaliby sobie drożej płacić, gdyby usłyszeli o tem. Kazał jej szukać domu pod Lipami. „Dom ten musi być gustownie umeblowany—powiada—więc chcę wiedzieć, ażali doszła owa porcelana i obrazy.“

Sposób takowy prowadzenia wojny, z szczególnem uwzględnieniem porcelany, posiada pewne powaby. Ci pruscy jenerałowie zawsze mi przypominają towarzyszy Ali-Baby; stale zmieniają oni pałac swego monarchy w jaskinię łotrów. Przenoszę jednakże nawet beczelność i łakomstwo listów Blücher'a nad następny wyjątek z listu artylerzysty kolońskiego, także ogłoszony w gazecie nadreńskiej:

„Przed kilkoma dniami pojмалиśmy 30 jeńców w okolicy Chaumont, należących do jednej z owych band zbójeckich (wolnych strzelców). Najpierw kazaliśmy im wygrzebać rów głęboki, potem rozstrzelano ich nad brzegiem owego grobu i wtrącono doń zwłoki. Takimi pigułkami częstujemy wszystkich tego rodzaju ludzi, co nam się do rąk dostaną. Jeżeli nam wypadnie walczyć z Garibaldem, zajdzie pomiędzy nim i nami walka o życie lub śmierć... Hurra! naprzód!

Niemcy lekceważą dziennikarstwo francuzkie, nazywając je lekkomyślnem i nicukiem. Czemuż nie



czytają uważniej gazetę Kolońską i nad sobą się nie zastanowią? Pan Krammer pisze bez wahania, iż prezydent obecnego senatu (francuzkiego) nazywa się Troplong, jednakże prorok ten powinien był nietylko słyszeć o śmierci p. Troplong'a, lecz takową na kwartał naprzód przewidzieć. Gazeta Kolońska rozprawia też o uniwersytecie w Tulonie; jój konstantynopolitański korespondent doniósł raz z wielkim hałasem, iż odkrył kwiat tak rzadki, że go cudownym nazwać wolno—i nazwał go *Osphrymouche*, a nazwisko to równie było bajeczne jak ów kwiat nie istniejący. Czyż ta sama uczona Gazeta nie powtórzyła, na wzór innych pism niemieckich obsługiwanych przez agencję Renter'a, iż „panowie *Canot Bourrasque Chaviré* utonęli w Cherbourg'u“ (właściwie że łódź burzą przewrócona zatонуła w Cherbourg'u), oraz, że „pielgrzymów angielskich błogosławili pp. *Montès et Estrade*“ (co przekrecono z słów *évêques montès sur une estrade*, biskupi stojący na podniesieniu). Gdyby nam czasu starczyło, ileż pereł podobnych moglibyśmy odszukać!

Gazeta augsburska bajala w r. 1872, że proboszcz w Paryżu rewidowali co soboty naczynia kuchenne swoich owieczek, żeby się przekonać, czy tam w Piątek poszczono.

Błędy namacalne, jakowe tylko Francuzom przypisywano, wkradają się nietylko do gazet, lecz i książek szkolnych niemieckich. W podręczniku geograficznym Cannebach'a roją się dane najwybredniejsze; równiny tam przekształcono w góry, a rzeczunki w rzeki. Prawda, że p. Cannebach może się usprawiedliwić corocznymi zaburzeniami geograficznymi, jakowe pan Bismarck wyprawia, cóż jednak usprawiedliwi encyklo-

pedyą Brockhaus'a, że tak uporeczywie zmienia Tuluzę na port morski?

Gazeta kolońska spotyka w samej Kolonii zawziętego przeciwnika, pod postacią *Kolońskięj gazety ludowej*; takowa liczy 12,000 przedpłacicieli i zajmuje drugie stanowisko po berlińskiej *Germanii*, pomiędzy organami Niemców katolików. *Deutsche Volkshalle* upadła pod naciskiem pruskiej policyi (\*).

Pisma katolickie coraz bardziej krzewią się i mnożą nad Renem. Każde miasteczko posiada swoją gazetę. W Bonn'ie otrzymała niesłychane powodzenie *Deutsche Reichszeitung*, wydawana przez 2 albo 3 kanoników. Ona-to umieszcza ów codzienny bulletyn prześladowań, nazwany przez Monitora: „kwiatem waliki cywilizacyjnej.“

Powtarzamy jedno podobne sprawozdanie w formie streszczonej:

„*Wiesbaden*. Władze pruskie wygnały księdza francuzkiego, bawiącego tu pod pozorem używania kąpieli. Udawał chorego, niby wody pił, a schwytano go pijącego wino.“

„*Strasburg*. Trybunał skazał księdza Braun'a,

(\*) Następujący dokument, ogłoszony pomiędzy papierami uniesionemi z archiwów cesarstwa, dowodzi, że prasa nadreńska nie ustępuje pod względem sprzedajności dziennikarstwu berlińskiemu. „*Curtis* w Paryżu, donosi cesarzowi, iż zawarł, wedle rozkazów j. c. mości, ugody z rozmaitemi dziennikami niemieckimi, które odtąd służyć będą j. c. mości. Mianowicie: *dziennik Moguncki* i *dziennik Spierski*, wydawane przez doktora Sansena; subwencya roczna 8—9,000 franków; *dziennik Moguncyi*, za 4,000 franków rocznie; *Echo teraźniejszości*, w Akwizgranie, za 3,000 fr.; *Reńska gazeta*, w Kolonii, pismo poważniejsze, redagowane przez p. Burgers'a, za 22—23,000 fr. rocznej subwencyi“ (21 Maja 1868).



z Guebwiller, na 8 miesięcy więzienia, za napisanie broszury, krzwiącej nienawiść ku cesarstwu.“

„*Burgsteinfurth*. Hrabinę Zofię de Merveldt skazano na karę 100 talarów, za podpisanie adresu politowania nad uwięzionym biskupem z Münster. Zamiast grzywien ma miłą alternatywę 3 tygodni więzienia.“

„*Homburg*. Wygnano ztąd angielskiego biskupa York, pod pozorem, że ten prałat katolicki przybył do Homburga, kwoli podkopywaniu podstaw cesarstwa niemieckiego.“

„*Wroclaw*. P. Mende, młody ksiądz tutejszy, został skazany na 6 miesięcy więzienia, za nieuwzględnienie praw majowych. Prosił on cesarza o umieszczenie siebie w fortecy, albowiem służył 10 miesięcy jako ochotnik w kampanii francuzkiej. Odmówiono stanowczo.“

„*Poznań*. Dziennikowi poznańskiemu wytoczono proces za przedrukowanie ustępów tłumaczonych z dzieła Wiktora Tissot'a. ~~Podróż~~ *Podróż do kraju miliardów*.“ Pisma berlińskie słusznie zauważały, że te same ustępy znajdowały się w *Post*, oraz w gazecie niemieckiej i urzędowej poznańskiej i gazecie bałtyckiej (organ liberalno-narodowy). Redaktora dziennika poznańskiego skazano jednak na 8 miesięcy więzienia za rzecz dozwoloną gazetom pruskim.“

„*Magdeburg*. Pana Gerlach, osobistego przyjaciela króla Fryderyka-Wilhelma IV i byłego radcę stanu, oraz urzędnika od lat 50, skazano na 20 talarów kary, za napisanie broszury p. t. „Śluby cywilne.“

„*Trier*. Żandarmi przyaresztowali i osadzili w więzieniu 11 dziewczątek, które ośmieliły się ofiarować bukiet, wikaremu swojego miasta, przy jego wyjściu z więzienia.“

„*Wandsbeck*. Pewnego deputowanego holsztyń-

\* — *autor tej wiadomości*



skiego aresztowano jako włóczęgę, na mocy prawa przeciw żebrakom, w chwili gdy zasiadał jako prezydent wiecu socyalistycznego, albowiem zaniedbał pewnej drobnej formalności urzędowej.“

W taki to sposób pojmuje rząd pruski wolność myśli, pisanie i słowa.

— Prześladowanie tutejsze przybiera wszelkiego rodzaju formy — powiadał mi pewien redaktor koloński, oswojony z metodą pruskiego rządu, dzięki kilku miesięcznemu więzieniu. — Nie śmiemy już głośno oświadczyć się z naszymi myślami. Kraj cały wypełniono szpiegami. W domu własnym nie jesteśmy u siebie, albowiem służbę naszą przekupują; takowa kradnie nasze listy i podsłuchuje naszych rozmów przez dziurki od kluczków. Gdyby dosłyszano méj obecnej rozmowy, wezwanoby mnie przed sędziego, albowiem kto się źle o cesarstwie wyraża, uwłacza cesarzowi. Skazano mnie już raz na grzywny, za zbyt ostre krytykowanie, w miejscu publiczném, postępowania p. Bismarck'a. Popelnilem to w Styczniu, oskarżono mnie w Kwietniu, więc nie pamiętałem nawet co powiedziałem. Przekrecono téż moje słowa zapewne wedle własnego upodobania.

### III.

Przedmieście Deutz. — Kolonia w XVI stuleciu. — Francuzi w Kolonii. — Komendant Deutz'u. — Arcybiskup koloński i jego więzienie. — Dzwon cesarza. — Dla czego on onie-  
miał.

Nie mogłem rozstać się z Kolonią bez odwiedzenia Deutz'u, więzienia arcybiskupa i katedry. Wstałem więc o godzinie, w której damy kolońskie prezentują się w jednej tylko spódniczce, przed mleczarzem przychodzącym ze wsi. Poszedłem wzdłuż ulicy krętej, nakształt polityki p. Bismarck'a, gdzie jednakże domy z XVI stulecia nęca oko na wszystkie strony, dzięki bogactwu i oryginalności swojej architektury. W owym czasie, każdy obywatel koloński uchodził słusznie za wielkiego pana. Jeżeli piastował urząd senatora albo sędziego, posiadał on co najmniej 22 ubiorów urzędowych, pokoje swoje obijał złotolitemi skórami, a w bibliotece jego znajdowano obok biblii i Liwiusza, także *Essais* Montaigne'a, oraz gramatyki: francuzkie, włoskie i angielskie.

Po zawarciu pokoju westfalskiego w r. 1371, Berlin i Kolonia liczyły zaledwie po 1,200 domów, prawie wyłącznie drewnianych. Nierogaczna przechadza-

ła się poufale po ulicach, a dworacy udawali się na dwór elektora na szczudłach, aby nie zwalać pończoch; pomimo tego, pisał Petrarka do kardynała Colonna: „Co to za piękne miasto! jakim cudem stanął gród tak nadobny, w kraju barbarzyńców?” (*1701/12/13*)

Kolonję wybrukowano w 1618 r. W XVII wieku wybuchły też rozruchy pomiędzy tkaczami i zabierano się do budowania barykad. Władze miejskie odniosły zwycięstwo, skutkiem którego kazały spalić na placu publicznym 1,700 krosien. Był to początek handlowego upadku miasta, albowiem fabrykanci i robotnicy wyemigrowali do Düsseldorfu, Akwizgranu i Belgii.

Gdy Francuzi wkroczyli do Kolonii w r. 1794, ludność jęj wynosiła zaledwie osób 40,000; między tą liczbą znajdowało się 12,000 żebraków, żyjących u wrót kościołów i klasztorów; tam miał każdy z nich swoje stałe miejsce, które ojciec synowi przekazywał. Rząd francuzki sekularyzował większą część tych klasztorów. „W jednym z nich — pisze pewien historyk niemiecki — znajdował się obraz Najświętszj Panny, siedzącej w postaci pięknej damy, w karecie zaprzężonej dwunastu cherubinami, galopującymi po chmurach. Prorok Elias siedział na koźle jako woźnica, trzymając długą lilij zamiast batoga.

Francuzi weszli do Kolonii bez wystrzału, a przyjęto ich tam tryumfalnie. Przeszli przez miasto w procesyi, w której obywatele miesza li się z jenerałami, oficerami i żołnierzami. Tak przebiegano ulice, wśród okrzyków i rewolucyjnych śpiewów. Dzień ten zakończono tańcami.

Dwa mosty łączą Kolonję i Deutz: stały i pontonowy. Po ostatnim do dziś przechadzają się Kolończycy z zamięłowaniem. Podczas letnich wieczorów i poranków, panuje tam chłód rozkoszny, a kobiety ko-



łońskie, o których już Petrarka—znawca w tych rzeczach — pisał: „jaki w nich wdzięk! jaka czułość!“ nie szpecą krajobrazu. Oba brzegi Renu ujęto tu w tarasy, okryte szatami z zieleni i kwiatów; w ogrodach hotelów *Bellevue* i *Prinz Carl* zbiera się piękny świat, słuchający tam muzyki.

Deutz tworzy wojskowe przedmieście Kolonii. Z téj strony umieszczono najgroźniejsze warownie, urządzono wielkie parki artyleryi, oraz zamieniono stary klasztor Benedyktynów na koszary.

Komendant placu, słynny pułkownik von Schmetlan, który się odznaczył waleczną szarżą pod Mars-la-Tour, miał zwyczaj przechadzania się po ulicach w kasku swoim, w trzech miejscach przestrzelonym. Roku zeszłego cesarzewicz następca spotkał go w tém uszkodzoném, lecz zaszczytném okryciu głowy i nie umiał oprzeć się pokusie, aby go nie zapytać:

— Komendancie, zapewne jesteś bardzo ubogim?

— Ja? w. ks. mość wybaczy... — bełkotał oficer, zapominając języka w gębie.

— Inaczej być nie może, albowiem nosisz stary hełm dziurawy. Kup nowy, proszę, chociażby tylko na dnie dżdżyste.

Jenerał zrozumiał przymówkę, a hełm słynny umieszczono tego samego dnia w muzeum.

Wnet po rozpoczęciu kroków wojennych, ogłoszono stan oblężenia w Kolonii, bronionój jedynastoma warowniami i podwójnym pasmem wałów. Urządzono obóz obronny o dwie godziny drogi od miasta, pomiędzy Kolonią i Trier; obóz ten miał się opierać o warownie Trier'u i Koblency.

W razie niepowodzenia, armia pruska miała się cofnąć pod wały Koblency.

Wróciłem do Kolonii wzdłuż rzeki. Na lewo dostrzegłem wreszcie gmach czworościenny i posepny, opasany murem niezwyklej wysokości i oknami o podwójnych kratkach. Zapytałem ażali stałem przed więzieniem; odpowiedziano mi, że nieinaczéj.

Arcybiskup koloński, jego ekscelencyja Paweł Melchers, obecnie złożony z godności téj na mocy wyroku trybunału berlińskiego, siedzi w téj kaźni od roku. Drugi albo trzeci raz ukarano go w ten sposób, od czasu ogłoszenia praw majowych. Piérwszy raz uwieziono go w r. 1873. Tłum zgromadzony na ulicy wygwizdał urzędników i powitał prałata oklaskami pełnemi zapалу. W wilię tegoż dnia przyjął on deputacyą z 100 dam katolickich z Akwizgranu. Policya zmusiła takowe do przerwania szeregu i kolejnego wchodzenia do pałacu prałata.

W starym grodzie nadreńskim od wieków się toczyły zawzięte waśnie religijne. Gdy Kolonia kwitła najpomyślniej, przeszły rządy miejskie z rąk radców obieranych przez handlowe rodziny, do naczelników gild rzemieślniczych. Patrycyusze przez lat 20 ubiegali się o odzyskanie władzy, w czém im pomagał arcybiskup. Prałat ten dziki zaprosił pewnego dnia Gryne'a, naczelnika wyrobników, do swego pałacu, kwoli załatwieniu sprzeczki. Zaledwie że ten wstąpił w podwórze zamkowe, wypada nań lew rozżarty. Gryne nie traci krwi zimnej, lecz zarzuca płaszcz swój na łeb lwa i zatapia nóż swój w jego sercu. Dopiero w roku 1248 zawarł arcybiskup pokój z mieszkańcami, za pośrednictwem Albrechta Wielkiego (*Albertus Magnus*), który téż wypracował plan katedry. Pokój ten nie przetrwał zwykłego zawieszenia broni. Mieszczanie kolońscy uderzyli na zamek arcybiskupi i ujęli Engelberta.

Puszczony na wolność, znów dał się schwytać z bronią w rękę. Tym razem umieszczono go w żelaznej klatce i tam skonał.

Ci nadreńscy prałaci błyszczą w dziejach średnio-wiecznych, w złożonych puklerzach, wdzianych na święcone komże; biskup moguncki przechadzał się po ulicach w złotym szyszaku i z maczugą żelazną w dłoni, jakową w wojnie z Welfami 38 głów nieprzyjacielskich zgruchotał.

Paweł Melchers odziedziczył spojrzenie harde i wojownicze, po tych starożytnych, pancernych poprzednikach. Kontur jego oblicza możnaby nazwać numizmatycznie chudym, a głowa lepiej wyglądałaby w hełmie niż w mitrze. On też najemniej walczył przeciw panu Bismarck'owi; książę żelaza spotkał godnego siebie przeciwnika w tym księciu kościoła.

Prałat ten urodził się w r. 1813 i pochodzi z zamożnej rodziny w Münster; odbył on nauki w uniwersytecie w Bonn, wróciwszy do Münster zajmował urząd sądowy i służył w wojsku; dopiero w r. 1838 uczuł rzetelne swoje powołanie i pojechał do Monachium, w celu słuchania teologii. W r. 1844 odwiedził Rzym, gdzie go mianowano kanonikiem w Münster. W r. 1857 został wybrany na biskupa w Osnabrück. Po śmierci kardynała Jana Geissel, przedstawił papież rządowi pruskiemu biskupa Melchers, jako następcę zmarłego. Długo rokowano w tej sprawie, wreszcie udał się nowy arcybiskup na dwór cesarski, dokąd go odwiózł ekwipaż dworski. W sali „Błękitnej,” w obec króla, książąt krwi, ministra wyznań i dworu, lecz nie p. Bismarck'a, gdyż takowy skutkiem choroby nie zjawił się, złożył ten prałat przysięgę na wierność królowi, który go zapewnił, iż wyznanie katolickie używać będzie w Niemczech wszelkić swobo-



dy, oraz napomniiał, aby arcybiskup pouczał swoje owieczki posłuszeństwa i wierności dla rodziny panującej i „mnie, który piastuję swoją władzę z Bożej łaski.“ W r. 1870 zachęcał arcybiskup koloński żołnierzy ciągnących na wojnę, przemowami patryotycznymi, a po powrocie takowych, wniósł na bankiecie wydawanym przez Kolonię toast następujący: „Myślę witam tych, którzy już nie żyją; piję na cześć walecznych żołnierzy, którzy życie dla ojczyzny położyli, albowiem z téj ofiary powstało wielkie niemieckie cesarstwo, które jako rękojmię chlubnego i trwałego pokoju czcić wypada. Śmierć na polu sławy piękną jest; ci, co tam polegli, zasłużyli na miano bohaterów i męczenników; niech błogosławiona ich pamięć długo kwitnie pomiędzy wami!“

Ten Niemiec z krwi i kości natchnął swe duchowieństwo podobnym duchem.

Wyszedłszy z labiryntu uliczek, w którym omal nie zbłądziłem, stanąłem przed katedrą, wznoszącą się przedemną w potężde pełnej wdzięku. Koronki jej strzał rysujące się na niebie, wyglądały nakształt haftów na niebieskim atłasie, a słońce oblewało te kamienne gwiazdy blaskiem miedzi.

Mijałem kratę otaczającą schody, gdy podszedł ku mnie kościelny z zapytaniem, ażali nie pragnę pójść na wieżę i obejrzyć dzwon cesarski.

Urok nowości przeważył szalę na korzyść dzwonu, więc mijając skarbiec i zwłoki Trzech Króli, uwiezio-  
ne jako zdobycz z katedry mediolańskiej przed Fryde-  
ryka rudobrodego i pobożnie złożone w głównej tutej-  
szej kaplicy—gdzie trzy lampy nad niemi płoną—mijając to wszystko, poszedłem za kościelnym.

Katedrę kolońską niebawem wykończą, pomimo, iż w pierwszych latach obecnego stulecia nawet na ma-

gązyna siana służyła i dach jej się zapadł, tak, że biskup Akwizgranu, Berthollet, winszował raz mieszkańcom Kolonii pięknej ruiny, zdobiącej ich miasto. Pod opieką obecnego króla, a ówczesnego następcy tronu pruskiego, zawiązało się przed laty towarzystwo zwane *Dombauverein*, kwoli utrzymaniu i zbudowaniu katedry kolońskiej. Dary wpływały ze wszystkich stron świata; Niemcy uważały to dzieło jako narodowe zadanie. Zwolna ukończono chór i transepty, obecnie pracują nad sklepieniem i wieżami, które wkrótce, ni by olbrzymie bliźnięta, strzelą ku niebu.

— Dzień tego ukończenia wyrówna w świetności owemu, gdy jedność Niemiec ogłoszono. Byleby tylko dzwon cesarski chciał dzwonić! — tak mówił sługa kościelny.

— Więc dzwon ten milczy?

— Jak głuchoniemy.

— Dla czego?

— Niejeden zadaje podobne pytanie — rzekł kościelny, zatrzymując się i biorąc pod boki.

— We wszystkiem musi być przyczyna.

— Przyczyna? takowej nigdy nie braknie. Pytanie zachodzi, czy ją znamy? Przed 10 laty pytali cudzoziemcy, dla czego nie kończono tę katedrę? „Djabieł rozdarł pazurem część planu,” odpowiadano. Był to fałsz, gdyż rzeczywistą przyczynę zastoju, tworzył brak pieniędzy i patriotyzmu.

— Jakąż przyczynę tłumaczą milczenie dzwona?

— Głupstwami, mój panie. Mówią, iż on nie przemówi póki trwa prześladowanie kościoła, że bronz francuzki, z jakiego go ulano, nie chce opiewać sławy zwycięzców...

— Ulano go z francuzkiego bronzu?

— Jakto, nie wiedziałeś pan o tém?

— Nie.

— Więc nie czytasz *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*?

— Co dnia... z religijną skrupulatnością.

— I nie widziałeś artykułu poświęconego w niej dzwonowi?

— Ze wstydem wyznaję, że go przewidziałem.

— Umieć go na pamięć: „Dzwon ten—mówi gazeta — ulany z bronzu wrogów, co tak często pustoszyli naszą ojczyznę, wyśpiewa swoim wspaniałym dźwiękiem potęgę i jedność narodu niemieckiego.“

— Jednakże dzwon nie chce nic wyśpiewać.

— Otóż ztąd właśnie pochodzi nasze utrapienie, albowiem złośliwe języki szydzą z nas. Patriotyzm znów zamiera, jak po r. 1813. Już drwiące piosenki śpiewają o dzwonie, wyśmiewając cesarza i gisera. Co dnia odbiera ten ostatni listy od uszczypliwych dowcipnisiów z radą jakby „dzwona nauczyć mowy.“ Ten pisze: „przyslij do tego uparciucha poborcę z pozwem, aby podatki płacił. Zobaczysz, że wnet zagada.“ Inny podaje panu Hamm projekt, żeby użył prokuratora królewskiego, któryby dzwonowi półroczną kożą pogroził, jak to się dzieje z pp. Sonnemann i innymi redaktorami gazety Frankfurckiej, którzy także uporczywie milczą. Do takich to błazeństw zniża się nasz pocziwy niemiecki naród... mój panie, rumienie się za niego.

Pięliśmy się wyżej poschodach, przez wyloty w kształcie liścia koniczyzny; pod sobą dostrzegaliśmy dziwny chaos dachów i ostrosłupów, oraz odległe morze gór i łąków.



— Wnet go zobaczysz — mówi kościelny, ocierając pot z czoła żółtą chustką.

Jeszcze tuzin stopni, wreszcie wchodzę do dzwonnicy w południowej wieży. W środku jej dźwiga olbrzymie drewniane rusztowanie ów dzwon cesarski; sama stalowa oś na jakowej go zawieszono, waży 180 centnarów. Cztery stare dzwony pokornie i drobnie wyglądają, obok tego olbrzyma; jeden z nich jednakże, *Pretiosa*, posyła głos swój na milę odległości.

— Jakiego ślicznego koncertu moglibyśmy posłuchać, gdyby te 5 dzwonów zabrzmiały naraz harmonijnie — rzecze kościelny. — Zmarli arcybiskupi zadrżeliby na ten głos w swoich kamiennych grobowcach.

Gdy z ciekawością oglądałem serce, dodał:

— Wyobraź pan sobie jakiby brzęk wydało to serce, ważące 16 centnarów i mające 2 metry długości! Wysokość dzwona wynosi 3 metry 70 centm., średnica 3 m. 50 centm., obwód 10 m. 80 cent.

— Ile armat zużyto przy odlewie?

— Cesarz Wilhelm przysłał 22 giserowi; najcięższa z nich ważyła 2,570 funtów, najlżejsza 590. Nie bez celu znajdowały się w tym zbiorze działa francuzkie z XVII i XVIII stulecia.

Mógłbym być pozwolić sobie na uwagi zwięzłe, nad odwiecznymi zawiściami i urazami Niemców, pamiętających wszystkie szczegóły wojny w Palatynacie, jakby ją wczoraj ukończono; ograniczyłem się jednak na zapytaniu przewodnika, któremu palcem wskazałem niemieckie napisy na dzwonie:

— Tam pewno wyryto nazwiska zwycięstw niemieckich, jak np. Bazeilles, Châteaudun, oraz listę generałów, których obdarzano dotacyami.

Sługa nie zrozumiał méj złośliwej uwagi, miano-

wicie co do bitw dawno zapisanych w historii ku niesławie Niemców. Odrzekł on tylko:

— Nie, mój panie; pierwszy ten napis wyraża w sześciu wierszach następne słowa:

„Nazwano mnie dzwonem cesarskim,  
Ku sławie cesarza brzęczę,  
Na téj świętej umieszczon wieży,  
Błagam dla niemieckiego cesarstwa,  
O pokój i siłę oporu.  
Daj mu ją Boże.“

Napis umieszczony pod koroną cesarską, tak zaś opiewa:

„Wilhelm, najjaśniejszy cesarz Niemiec i król Pruski rozkazał na świętą pamiątkę niebieskiej pomocy, udzielonej mu w ostatniej szczęśliwej wojnie z Francją, oraz na uczczenie wskrzeszenia cesarstwa niemieckiego, ułać z dział zdobytych na nieprzyjaciela dzwon ważący 50,000 funtów, kwoli umieszczeniu go w tym wspaniałym gmachu, zbliżającym się ku ukończeniu. Działając wedle woli tego monarchy uwieńczonego zwycięstwami, stowarzyszenie istniejące w celu ukończenia téj katedry, kazało ułać ten dzwon, za dni papieża rzymskiego Piusa IX i arcybiskupa Pawła Melchers, w roku 1873.“

— Gdybyś pan był tu przybył o miesiąc wcześniej, czyli 16 Lipca, byłbyś uczestniczył przy pierwszej próbie dzwonu. Miał to być dzień świąteczny dla Kolonii. Afiszami i okólnikami zwołano ludność, a w celu pozdrowienia swojej królowej, wszystkie dzwony nadreńskie bić poczęły. Niemało jednak liczono niewiernych, co się zakładali, że dzwon głosu nie wyda, podczas gdy inni dowodzili przeciwnie. Zamierzano szarpnąć za powróż z uderzeniem południa, i ustawiono ku temu 40 ludzi. O pół do dwunastej, w celu „zagrzania“

dzwonu i skłonienia go, aby dobrze dzwonił, 16 śpiewaków stanęło pod sercem i zanuciło *die Wacht am Rhein*. Tłum zebrany na placu powtarzał zwrotki, tupiąc w takt z niecierpliwością.

Uderzyło południe.

Kanonicy w purpurowych ornatach stanęli u bramy katedry.

Oka mgnienie ciszy—każdy wyteżał ucha ku bramie południowej... niestety, mój panie, nic nie słyszano... nic, zgoła... zbladłem ze wstydu i gniewu... założyłem się był o trzy kufle, że on zadzwoni!... Widzieliśmy jak się poruszał w próżni, zwolna, żałobnie, lecz bez tonu. Członkowie komitetu, którzy ozdobili kapelusze bukietami, a dziurki od guzików wstążkami, załamywali dłonie z rozpacz. Ciągniono go w prawo, w lewo... uparł się i milczał... W tłumie ozwały się śmiechy szydercze; nie mogłem dłużej wytrzymać i uciekłem. Członkowie komitetu i giser toż samo uczynili. W mieście omal do buntu nie przyszło, lecz żandarmi rozpędzili podżegaczy. Przecież ten dzwon wygląda wybornie; tylko jakiś lichy w sercu siedzi! Dziesięć razy zmieniono jego pozycję, lecz bezowocnie. Serce wiruje dokoła, a jeżeli dotknie czasem ściany dzwona, takowe tylko głuchy jęk wydają. Pan Hamm wyłysiał z rozpacz; cesarz chcąc go pocieszyć, rzekł w czasie swych odwiedzin do wieży:

— Wierz mi, kochany majstrze, że i mnie zadało niemało kłopotu zebranie bronzu na ten dzwon i że osiwniałem przy téj pracy.

Z dzwonnicy wyszliśmy na taras wieży. Wzrok sięga ztąd na szeroki i wspaniały padół, kędy Ren toczy się w pysznym majestacie.

Dni dwa zupełnie wystarczają, do oglądania Ko-



lonii, zwiedzenia muzeum Wallraf, kościoła św. Kuni-  
berta, grobów św. Urszuli i 11,000 dziewic, domu  
Ibach, w którym Rubens ujrzał światło dzienne i dru-  
giego, w którym umarła Marya de Medicis, wreszcie  
kościół jezuitów, którego dzwony ulano z dział zdo-  
bitych przez Tillego w Magdeburgu. Nawet pokój  
świątyń zakłóca tutaj echo wojennego bronzu!

---

#### IV.

Z Kolonii do Bonn.—Moralność niemiecka.—Najazd niemiecki.—  
Wyludnienie Francji i przeludnienie Niemiec.—Poeta Arndt.—  
Jego rola w r. 1813.—Arndt i reakcja pruska.

Wyjechałem do Bonn koleją, albowiem słynna żegluga na Renie ogranicza się na przejazdce pomiędzy Bonn i Moguncją.

Pomiędzy Kolonią i Bonn wije się ta rzeka wśród jednostajnych łąk dzierganych kwiatami.

Okolo 4-tój wyjechałem do ładnego miasteczka Bonn, i rozkwaterowałem się tu w jednym z owych ogromnych hoteli, pałaców w całym tego słowa znaczeniu, wznoszących się nad Renem, wśród ogrodów pełnych balsamicznego kwiecia.

Pan Albert Durny, doskonale schwycił charakter i zwyczaje tego miasteczka, bawiąc tu jako jeniec wojenny. Nie mogę się oprzeć pokusie przedłożenia czytelnikom jego bardzo dokładnego i żywego szkicu. Posłuży on za nowy dowód, że zawsze wierze nie przedstawiałem tę cnotliwość niemiecką, osłodzoną hypokryzją i bigoterią, w której istnienie wierzą dusze łatwowierne.

„Po przybyciu do Bonn, pisze ten jeniec, podziwialiśmy ciszę, ład i porządek, panujące w tem mia-

steczku. Wszyscy mężczyźni zachowywali się statecznie, kobiety zdawały się zachwycająco niewinne i przyzwoite, dziewczęta zaś bez wyjątku przypominały Małgorzatę, przed ową sceną ogrodową. Czujesz że cnota owiewa cię do koła i zaczynasz marzyć o domowym szczęściu. Wglądnij głębiej w zwyczaje społeczne, a z zadziwieniem ujrzysz, że cnotliwość ta służy najczęściej za maskę. Przejść się wieczorem w ogrodzie uniwersyteckim albo po przedmieściach; ujrzysz tam sceny, jakichby nie dozwolono nawet w garnizonych francuzkich miastach. Sprośności kryją się u nas w pewnych domach lub dzielnicach; na trąd społeczny rzucamy zasłonę. W Bonn igrają one na wolnem powietrzu. Pan burmistrz wie o tem doskonale, nie jest to tajemnicą dla pana rektora uniwersytetu: nie ich to jednak nie obchodzi, póki młodzi ludzie powierzeni ich opiece nie wchodzą do domów rozwiązłych i nie przechadzają się w złem towarzystwie tak, żeby uwagę na siebie zwracali. Żądają tylko od nich, aby zachowywali przyzwoite pozory, póki noc nie zapadnie. Po zachodzie słońca wolno czynić panom studentom co im się podoba i stać się panami miasta, o czem też wiedzą i z czego korzystają. Nie idź po dziewiątej wieczorem do ogrodu botanicznego lub w aleje Poppelsdorfu, gdyż nie znajdziesz tam ławki dla odpoczynku. Nawet w Grudniu mogłem tylko bardzo rzadko znaleźć takową, niezajętą w sposób bardzo nieodpowiedni. Policya patrzy przez szpary we wszystkich prawie niemieckich miastach na tego rodzaju nieprzyzwoitości ogrodowe (\*). Zaledwie że

---

(\*) Przechadzka nocna w którymkolwiek ogrodzie publicznym... wiedeńskim, pokazałaby panu Duruy, sceny godne narodu „bogogojnego i czystych obyczajów.“



w Moguncyi, Kolonii i kilku większych miastach, ucieka się ona do środków używanych we Francyi, w celu ograniczenia złego.

Opisując życie rodzinne pruskie, p. D'uruy nie-mniej wiernie takowe maluje.

„Najpierw uderzą cię, gdy wejdiesz do wnętrza mieszczańskiego pomieszkania, porządek i pewna harmonia w urządzeniu i układzie zawartych w niem przedmiotów; regularność ta zimna i systematyczna, zdradza nawyczki dusz, zamiłowanych w pedanterii. Nic tu nie przypomina artystycznego nieładu mieszkań holenderskich, ołówek Jean Stein'a albo Van Ostade'a nie by tu nie schwycił. Wszystko ma tu swoje właściwe miejsce; stół stoi w samym środku, krzesła ustawiono symetrycznie, fajka gospodarza wisi na ścianie, z jednej strony pieca, wprost nas, zamieszczono portret króla na koniu, obok królowej w stroju dworskim i z koroną na głowie. W otoczeniu żony, dzieci, fajki i króla żyje nasz Niemiec szczęśliwie.“

„Wstaje rano, bo wcześniej spać pójdzie. Zimą i latem wszystko w tym domu o szóstej się budzi. Skoro dziatwa umyła się a gospodarz pierwszą fajkę wypalił, więc około 7 lub 8, zastawia gospodyni śniadanie, z kawy z mlekiem i kawałeczka chleba. Po niem idzie każdy do swojego zajęcia, chłopcy do szkoły, gimnazjum lub uniwersytetu, córki do roboty, ojciec do biura. O pierwszej znów się zbiera cała rodzina przy obiedzie. Rosół, sztuka mięsa, tradycyjny kompot ze śliwek, cokolwiek szynki i szklanka wina, składają ucztę nawet dla ludzi zamożnych. W dnie świąteczne dodają na desser cokolwiek owoców albo leguminę i odkorkowują butelkę reńskiego wina, którą na zdrowie króla wypijają. Wieczerzę

składającą się z cokolwiek szynki i szklanki wina spożywają o ósmój.“

Nikt nie zaprzeczy wstrzeźliwości pruskiej, lecz takowa nie tworzy jeszcze oszczędności. Szczędzenia nie rozumieją w Prusach. Każdy żyje tam z dnia na dzień, nie troszcząc się zgoła o jutro. Dowód ku temu czerpiemy z wyniku ostatniej stu milionowej pożyczki, wypuszczonej przez rząd berliński, którą takie spotkało fiasko, że ledwie czwartą część jej podpisano. Ten brak pieniędzy nie przeszkadza obfitości dzieci, w czem właśnie upatruję niebezpieczeństwo dla ościennych krajów. Każdą matkę niemiecką otacza wieniec bębnow, na wzór chmur aniołków na świętych obrazach. One spełniają dosłownie słowa św. pisma: „Krzewcie się i mnożcie, zapelniając ziemię,“ do których skoro dzieci podrosną, dodają one zasadę: „i bierzcie.“ To polecenie, przez rząd potwierdzone, dodaje otuchy mnożycielom rodu, którego ubytek bardzo by nam był na rękę. Malthus nie studyował stosunków zareńskich; tam bowiem nie wierzą w „systematyczną jałowość;“ rodziny mnożą się tam jak za czasów Łabana i Jakóba, a Niemcy roją się z tamtąd na całą kulę ziemską. Wszędzie ich spotkasz: W Chinach, Japonii, Australii, Ameryce, na przykładu Dobrej Nadziei, w Turcyi, Rossyi, Norwegii, Szwajcaryi, Belgii, Hollandyi, Francyi. Pomiędzy Macao i Callao handlują ludzkim bytlem, przewożąc biednych kulisów. Cesarzowi Tu-Duc dostarczają broń przeciw Francyi. Pan de Beauvoir stwierdził, iż w Syamie niemieccy kapitanowie dowodzą jachtami cesarskimi. W Chinach posiadają 25 domów handlowych nad Francuzów. Nad brzegami Gangesu usłyszysz *Wacht am Rhein* i hymn Bismarck'a. Pan

baron Hübner pisze, iż w klasztorze niemieckich jezuitów w Szanghaj'u, słuchał ślicznego kwartetu Haydn'a, wykonanego przez młodych Chińczyków. Wychodźcy niemieccy zawiadują prawie wyłącznie celniami niebieskiego cesarstwa. „Bank niemiecki“ berliński, posiada filie w Kantonie, Tu-czen, Szanghaj i t. d. Czyż mnóstwo synów niebieskich nie oglądało pewnego pana Bismarck'a, tłumacza przy poselstwie niemieckiem w Pekinie, wynudzającego w czystej chińskiej mowie, komplementa przysłane nowemu cesarzowi tamtejszemu przez imiennika owego tłumacza i cesarza Wilhelma?

Dziennik niemiecki wychodzący w Hong-Kong'u poucza małych Chińczyków obawy przed panią Germanią; p. Krupp zbroi cesarskie kanonierki na Żółtej rzece, młodzi mandarynowie pierwszej klasy przybywają na dokończenie edukacyi do Niemiec; tam kształcą się w lejniach Essen'u i zastawiają swoje kryształowe guziki w lombardzie berlińskim.

Rząd japoński utrzymuje w Jeddo, swoim kosztem, niemieckiego bakalarza, a nawet zamierza urządzić fakultet medyczny, na wzór uniwersytetów niemieckich. Japończycy lubują się w blondynkach i mięsie z komfiturami, poszukują więc niemek i nawet do Europy przyjeżdżają po niemieckie żony. W r. 1871 liczono w Japonii 164 Niemców, Francuzów zaś tylko 158. Pan Hübner pisze: „na ziemi i na lądzie coraz żywiej czuć się daje obrotność niemiecka i z wyjątkiem Chińczyków, Niemcy stają się najniebezpieczniejszymi konkurentami żeglugi i handlu angielskiego.“

W Australii spotkał p. Beauvoir liczne kolonie Prusaków i Badeńczyków. Już w r. 1866 zliczono



urzędownie 8,119 Niemców w Australii południowej, 1,999 w Nowej Zelandyi, 434 w Tasmanii (\*). Gubernator Nowej Zelandyi jest wynarodowionym Niemcem, a wyspa Upulu, bardzo ważna pod względem handlowym, należy do pewnej firmy hamburgskiej.

Król Kolakaua, następca królowej Emmy, powierzył tekę mistra wojny rodakowi p. Bismarck'a, pewnemu panu Hartwell, ubierającemu się w kask kończasty i zjawiającemu się na radzie ministrów przy pałazie.

Cóż powiemy o Ameryce, prawie drugiej ojczyźnie niemieckiej? Tam, wedle słów nowojorskiego *Herald'a* liczą 7,000,000 Niemców, rozmaitych płci i wieku. Z wyjątkiem Berlina, który wkrótce będzie miał milion mieszkańców, New-York liczy najwięcej Niemców ze wszystkich miast na świecie, albowiem pół miliona. Przeszło 130 gazet niemieckich wychodzi w Stanach Zjednoczonych; *New-York Staatszeitung* posiada zaś więcej przedpłacicieli, niż jakakolwiek codzienna polityczna gazeta, wychodząca w ojczyźnie niemieckiej. W r. 1873 kazał *Herald* przysłać sobie dwa obszerne sprawozdania z otwarcia wystawy wiedeńskiej, za pośrednictwem podmorskiego telegrafu, co Amerykanie nazywają „kablowaniem“ nowin. Jedną z nich podpisał słynny Auerbach, pod drugą jaśniało imię Ludwiki Mühlbach, umiejącej tkać romanse, niby poń-

---

(\*) W r. 1874 liczono około 12,000 Niemców w Australii południowej, 6,000 w Wiktorji, 8,000 w południowej Wallii, 7,000 w Queensland'zie. Corocznie przybywa około 3,000 Niemców do stolic poł. Wallii, Queenslandu i Nowej Zelandyi, wprost z Hamburga, nie licząc owych, którzy w Anglii wsiadają na statki. Dodać wypada, że przybysze z Austrii, zachodnich pruskich prowincyj i t. p. do Niemców tam wliczani często niemczeją.

czochy. Ci pisarze otrzymali podobno 20,000 franków za swoje depesze. Prawda też, że *Herald* sprzedał w dniu owym 198,000 odbić jednego numeru.

Czyż nie Niemcy Stanów Zjednoczonych ofiarowali wnet po rozpoczęciu wojny, nagrodę dla niemieckiego żołnierza, któryby zdobył pierwszą chorągiew francuską i pierwszą mitralię?

Egipt otwiera się przed Niemcami naksztalt nowej ziemi obiecanej, a wice-król posyła swego syna do Berlina na służbę w dragonach gwardyi.

Sentymentalna Germania duma również nad brzegami Bosforu, za żaluzjami okien haremowych i w kantorach Gałaty. Oficerów niemieckich, niewylączając p. Moltke'go, zawsze z zapałem przyjmowano w armii tureckiej; Niemiec bronił Sylistrii. Podczas wielkich manewrów wojskowych w r. 1874, zdarzył się następny wypadek, wedle słów korespondenta do *Kuryera Hanowerskiego*: „Najżywiej zajmowała mnie grupa oficerów zagranicznych otaczająca generała artyleryi, Redżyda-paszę. Nagle przybiega adjutant, i w zły francuszczyźnie przedstawia się jako major P., któremu poruczono wymieniać nazwiska pułków, defilujących przed jego ekscelencją. Turek wysłuchawszy go cierpliwie odpowiada słowami niemieckimi, które jednak z trudnością wymawiał. Major znów po francuzku przemówił. „Cóż to, chłopcze (*alter Junge*), zapytał wreszcie pasza, czyż nie poznajesz Stecker'a?“ „O Boże, wszak to Stecker! on... pasza o pięciu buńczukach!“ woła major, a dawni koledzy ze szkoły artyleryi zsiadają z koni i ściskają się serdecznie. Stecker, co wstąpił w służbę turecką jako oficer, został wreszcie naczelnikiem artyleryi.

W Hiszpanii nietylko szewcy niemieccy odziewają figlarne nóżki senorytek, opiewane przez Musset'a,

lecz, wedle listów do *Journal des Débats*, zleciała na Madryt lawina zamożnych Niemców, którzy nie żyją tam w „bezczyrności.“ Czyż o niepowodzeniu artylerii Serrana nie doniesiono z dodatkiem, że „nawet obecność oficerów pruskich nie nie pomogła?“ Liczono zaś 34 takich oficerów w szeregach Serranistów, a 5 lub 6 przy Karlistach.

Szwajcaryę zalała dosłownie powódź niemiecka. W Lozannie, Nefszatelu, Genewie, słowem wszędzie, spotkasz 6 osób szwargocących po niemiecku na 10 przechodniów. W Szwajcaryi francuzkiej należy z ogólnej liczby 200 hotelów, 150 do przedsiębiorców pochodzących z narodu, który w r. 1871 przedłożył nam rachuneczek na 5 miliardów, za spalenie Strasburga, bombardowanie Paryża i wyprzątanie francuzkich mebli. Księgarstwo szwajcarskie, zarówno z włoskiem, hiszpańskim i rossyjskiem, znajduje się wyłącznie prawie w ręku poddanych cesarstwa niemieckiego.

Gdziekolwiek pojedziesz, spotkasz najazd niemiecki. Baczmy nań, albowiem ze wszystkich plemion europejskich, francuzkie najpowolniej się mnoży, więc jemu właśnie grozi największe niebezpieczeństwo. W r. 1871 liczyły Niemcy 41 milionów mieszkańców, dziś liczą 43 milionów, podczas gdy Francya posiada tylko 36 milionów, wedle ostatniego obliczenia, więc o 7 milionów mniej niż jój nieprzyjaciółka. Wprawdzie i śmiertelność we Francyi nie wyrówna niemieckiej, albowiem gdy w Berlinie umiera 87 osób na 10,000 mieszkańców, w Londynie ubywa tylko 42, w Paryżu i Wiedniu 43, a w Edyburgu 28. Umiarkowana śmiertelność Francyi nie zastąpi jednak braku urodzin. Kraj ten ledwie za lat 334 mógłby zdwoić swoją ludność, naturalną nadwyżką urodzin nad umierającymi, podczas gdy Niemcy zdwajają swoją co lat 98, Austrya 62, Da-



nia 73, Szwecya 89, Norwegia 51, a Wielka Brytania 63.

*Times* tłumaczy to zjawisko tak niekorzystne dla Francyi, usposobieniem komunistyczném jéj ludności, posiadającej tę przywarę komunizmowi właściwą, iż wszystko poświęca jednostkom składającym społeczeństwo. Wychodząc z przypuszczenia, iż pewna liczba osób posiada własność znaną, wzdyga się on od dzielenia takowej z przybyszami lub zbyt obfitego przyrostu ludności. Rodzina poczynająca się z dwóch osób, lecz wzrastająca do liczby 12, działa w tego rodzaju społeczeństwie nakształt siły rozsadzającej, niby bomba dynamitowa, weń ciśniona. Na co zda się nowy dębczak w ogrodzie starannie wysadzonym drzewami, w grupach regularnych, gdzie każda roślina zakorzeniła się w własnej części ziemi? Obawa dzielenia spadków opóźnia w tym kraju przyrost ludności, działa wbrew naturze, psuje obyczaje, tępi rodziny i osłabia społeczeństwo.

W Niemczech téż i Anglii inny przyjęto tryb wychowania, a małżeństwami nie kojarzą tam majątki lecz serca. Przed stawieniem się u notaryusza, pytają uczucie o radę; córki częściej wychodzą tam za mąż bez posagu, lecz domowe ich wychowanie nieraz takowy zupełnie zastępuje, gdyż nauczono je wszystkiego, cokolwiek przystoi gospodyni domu i matce rodziny. Synów, skoro takowi ukończyli szkoły, czynią panami własnej woli i każą im torować sobie drogę w świecie własnymi siłami. Ci, którym własna ojczyzna odmawia zajęcia, ruszają do Stanów Zjednoczonych, idą do Francyi, słowem biegą wszędzie, gdziekolwiek praca zastępuje kapitał. W tém leży przyczyna najazdu, o którym tylko pobieżnie wspomniałem, który jednak należy do najżywotniejszych kwestyj bieżącej epoki

i groźniejszym się stał narodowemu istnieniu sąsiadów, niżeli armaty Kruppa.

Bonn, ojczyznę Bethowena, zdobi posąg tego mistrza, wzniesiony na placu katedralnym i przedstawiający nieśmiertelnego kompozytora w postawie stojącej, otulonego w płaszcz i przysłuchującego się szmerom rzeki, mruczającej u stóp jego pełne natchnienia imiona Nibelungów, Rolanda, Liby i Lorelei.

W témże mieście wznoszą się pomniki na cześć lubownika starożytności Winkelmann'a i poety Arndt'a. Ten ostatni wznosi się śród przechadzki publicznej na szczycie starych bastionów, czuwając ztamtąd nad Renem na wzór straży. Dwa działa, jakie cesarz Wilhelm kazał zdjąć z wałów Strasburga, kwoli darowaniu ich młodzieży uniwersyteckiej w Bonn'ie, spoczywają u stóp pomnika wojowniczego poety.

Arndt, poprzednik Körner'a i Rückert'a, przyjaciel Stein'a, Scharnhorst'a, Gneisenau'a i Blücher'a, pierwszy podniósł pękniętą lutnię dawnych niemieckich bardów i stał się *minnesingerem* wojny świętej w r. 1813. Jego śpiewki wojenne i pamflety, pękały przed hufcami Napoleona, naksztalt maszyn piekielnych. W zwrotkach swych ostrzy on mściwe żelazo; jego muza jęczy hasłami śmierci niby Eumenida i przebiega Niemcy, potrząsając mieczem płomienistym i wskazując nim swojemu narodowi, drżącemu i zakutemu, drogę do zbawienia i zwycięstwa.

Arndt urodził się na wyspie Rugii, pod niebem srogiem, śród morza siekanego burzami, jako syn ubożego wyrobnika. Matka nauczyła go czytać ze stariej biblii familijnej. Młody jeszcze Maurycy okazywał tyle zamiłowania w pracy, iż go nazywano „skowronkiem.“ Uczęszczał na uniwersytet w Jenie, mając lat 28 zwiedził Niemcy, Węgry, Austryę, Włochy, Belgię i Fran-

cyą, a w Paryżu bawił całe lato. Wróciwszy z podróży przyjął posadę docenta filozofii w Greiffswald'zie, z pensją 1,125 franków i ożenił się. W roku 1803 wydał pierwsze swoje dzieło: *Germania und Europa*, zdradzające pisarza wrzącego, namiętnego, pałającego najczystszy patryotyzmem, walczącego za wolność, emancypacją i gwałtownie sprzyjającego rewolucyi francuzkiej. W roku 1805, ów pierwszy konsul, którego Arndt uwielbiał na niejednej pochwalnej stronnicy, już uwieńczony koroną cesarską, przebył Ren z mieczem dobytym i zamiarem stłoczenia Niemiec. Poeta co wielbił uwolniciele, przeklął zaborcę i odtąd uważał Napoleona jedynie jako despotę, a Francuzów jako narzędzie despotyzmu.

W r. 1806 wydał „Ducha czasu,” książkę, która z hukiem bomby spadła na Niemcy, siejąc zadziwienie, trwogę, podziwienie i zapał. Napoleon kazał skonfiskować całe jej wydanie i ścigać autora; Arndt schronił się do Wrocławia; tam spotkał przyszyłych wodzów wojny r. 1813. Stein polubił go i zabrał z sobą do Petersburga. Z nad brzegów Newy wydzwonił Arndt owe „Trzy uderzenia dzwonu,” wołające do patryotów niemieckich, aby legion niemiecki utworzyli; dzwony te wybiły hasło pogrzebowe dla potęgi francuzkiej. Dalsze jego prace niemniej zyskały rozgłosu, krążąc w pałacach, chatach i piwiarniach, wszędzie siejąc nienawiść ku cudzoziemcom, budząc umysły, drażniąc patryotyzm i przygotowując wielkie odrodzenie r. 1813.

Po klęsce francuzkiej w Moskwie, wrócił Arndt do Prus, pod opieką bagnetów rossyjskich, gdzie w imieniu Boga i św. Trójcy wygłaszał zasadę tępienia Francuzów, w „Katechizmie wojownika-chrześcianina i obywatela-żołnierza.”

Wszystkie echa Germanii powtarzały jednocześnie



śpiewy i hymny wojenne Arndt'a; dzięki takowym żołnierze niemieccy przejęli się duchem rabunku i pobożności. W balladach ułożonych na cześć bohaterów świętej wojny, króla pruskiego, Blücher'a, Stein'a i t. p. przypominał on, że: „wielki wojownik“ im towarzyszy większy, waleczniejszy, potężniejszy nad nich, uzbrojony mieczem zemsty, nazywający się — Bóg!...

I tak zawsze Bóg piastuje żelazo, a do niebieskiego tępiciecia, do owego Teutatesa mitologicznego, posoką skalanego i łaknącego ciał ludzkich, zasyła ten poeta swoje dzikie śpiewy i barbarzyńskie modlitwy.

Po bitwie pod Lipskiem raz jeszcze nastroił Arndt swoją lutnię o strunach stalowych, raz jeszcze dosiadł Pegaza wydającego rżenia dzikie i unoszącego go w rdzeń walki, i z kędziorami miotanemi burzą, a okiem rozognioném, jęczał zabójcze klątwy. Z tej epoki przechowała się broszura, służąca za brewiarz patryotom teutońskim, p. t. „Ren, rzeka lecz nie granica niemiecka.“

W latach 1814 i 1815 pastwił się on nad zwłokami Francji i Napoleona, wlekąc je do cmentarza złoczyńców, wśród radośnych wyć Niemiec, pijanych sławą.

Arndt wyczerpał się skutkiem poetycznego szału; zamiast pensyi obdarzono go katedrą historyi przy uniwersytecie w Bonn. Liczył on podówczas lat 48 i ożenił się powtórnie z siostrą Schleiermacher'a, lecz niedługo cieszył się odpoczynkiem. W r. 1819, po zamordowaniu Kotzebue'go przez Sand'a, reakcja wzięła górę w Prusach; w Moguncyi zasiadł trybunał inkwizycyjny, patryotyzm Arndt'a podejrzrywano, policya napadła dom jego i zabrała wszystkie papiery poety, wreszcie wytoczono mu proces. Po trzech latach utrapień, złożono Arndt'a z nauczycielstwa. Dopiero Fryderyk-Wilhelm IV zrehabilitował patryotę wnet po

wstąpieniu swoim na tron; Arndt liczył wtedy już lat 70, koledzy mianowali go rektorem.

Dzień, w którym Arndt dożył lat 90, uczcił naród niemiecki uroczyscie. Kolonia obdarzyła go prawem obywatelstwa, każdy książę niemiecki orderem. Umarł w miesiąc później, pochowano go pod dębem, który własnoręcznie zasadził na grobie swoich synów. Będąc członkiem parlamentu pruskiego w r. 1848, przyjął Arndt z zapalem, myśl ofiarowania królowi pruskiemu korony cesarskiej, jakową ten odmówił, nie czując w głowie siłę dostateczną do dźwigania takiego ciężaru.

Autor „Ojczyzny niemieckiej“ z upodobaniem powtarzał porównanie następne, równie słuszne jak rubaszne: „Tryb pruski (*das preussische Wesen*) równa się grubiej koszuli wełnianej. Z początku drze ona ciało nieznośnie, z wolna przyzwyczajają się do niej skóra, w końcu znajdujemy w niej ubranie bardzo przyjemne, mianowicie w porze srogięj, albowiem otula nas ona wybornie!

Sławną piosnkę patryotyczną Arndt'a: *Wo ist des Deutschen Vaterland?...* *Wo nur die deutsche Zunge klingt* (gdzież ojczyzna niemiecka?... Gdziekolwiek brzmi niemiecka mowa), nietylko wypada zaliczyć pomiędzy arcydzieła poezyi, lecz uważać jako program polityczny; Niemcy schlebiają sobie nadzieją, iż dopełnią go — może niebawem.

## V.

Uniwersytet w Bonn. — Życie studentów zamożnych i ubogich. — Opinia profesora niemieckiego o niemieckich uniwersytetach. — Handel rozprawami. — Sprzedaż doktoratów. — Doktorowie *in absentia*. — Profesor Sybel. — Jeszcze słów kilka o biskupie Reinkens'ie. — Szczegóły poufne.

Z ogrodu na starych bastionach poszedłem do katedry i uniwersytetu, mijając kościół jezuitów. Legenda miejscowa powiada, że diabeł raz przyleciał z wiatrem do bramy téj świątyni i wszedł nawet do kościoła, z kąd nie wyszedł jeszcze, więc wiatr wciąż u wrót czeka, co wyjaśnia, dla czego tak zawsze wieje w téj uliczce, tyle w niéj spada kapeluszy i podnosi się sukienek. Ztąd téż zawsze spotykamy tu nie mało studentów i oficerów.

Uniwersytet w Bonn'ie założony w r. 1783, zamknął Napoleon, ale rząd pruski znów go otworzył w r. 1818. Uniwersytet nadreński znajdował się w XIV wieku w Kolonii. W owych czasach studenci małpowali zwyczaje i gburostwo rycerzy, lecz zachowywali pewną wolność i szlachetność, obcą sobie, od kiedy tryumf biurokracyi zgasił szlachetne zapaly i skłonił młodzież do szukania karyery w służbie publicznej.

Dawniej utrzymywali się ubodzy studenci z śpie-



wania po ulicach i szynkach, często cierpiąc tak żywą nędzę, że kraść musieli. Studenci Erfurccy wydarli w r. 1650 jednego ze swoich kolegów z pod szubienicy; zawiodła go tam zaś kradzież. Zamożni studenci spędzali życie w nieustających orgiach. Mianowicie rok pierwszy pobytu na uniwersytecie, stawiał cierpliwość i sakiewkę ucznia na ciężkie próby; mijał on bez myśli o Bogu, sumieniu lub modlitwie, na wzór pogańskiego karnawału. Picie, jedzenie, przechadzki, tłuczenie okien kamieniami, włamywanie się do domów, trapienie nowych kolegów, zajmowały czas studenta; o naukach nie myślano zgoła, za to nie zapomniano o miłośnych awanturach, które bez trudu się nawijały, albowiem studenci nie kłaniali się długo i chętnie ich wszędzie przyjmowano.

Życie to rubaszne i rozwiązłe nie zmieniło się w XVIII stuleciu. W r. 1716, na uniwersytecie w Halli, dopuścili się studenci w towarzystwie kobiet rozwiozłych bluźnierstwa, trawestując wieczerzę i mękę Pańską. W godzinę później skonało 11 uczniów, gdyż gośpodarz otruł takowych przymieszką ługu do piwa; pospólstwo uważało tę śmierć za słuszną karę nieba. Koszarowe zwyczaje wkradły się pomiędzy synów muz i często się zdarzało, że student porzucił uniwersytet, by wstąpić do wojska i wracał z wojska, żeby kończyć nauki.

W naszych czasach nie licują już podobne wybryki ze zwyczajami wieku, a rząd zamierza nawet przykrócić niepospolicie wolności tych rzeczpospolitych uniwersyteckich. Ileż to jednak złudzeń panuje we Francyi względem tych wszechnic, które nam stale przedstawiano jako świątynie nauki, ogniska światła, trony mądrości, wieże z kości słoniowej, schronienia pracy i cnoty.

Ostatnie wojny nie sprzyjały nadobnej literaturze, historyi i nauce; jedyna chirurgia kwitnie w uniwersytetach. Zewsząd dolatują skargi o zaniedbaniu nauk poważnych. Pan Mommsen nie zgodzi się na to moje zdanie, albowiem oświadczył on w roku bieżącym, na bankiecie w Rzymie, że po za obrębem nauki niemieckiej panuje ciemność i zacofanie. Jednakże bezstronniejszy uczony niż p. Mommsen, albowiem profesor Vogt, co nigdy nie zostawał współpracownikiem Napoleona III, ani płaskim pochlebcą Wilhelma III i Bismarck'a, napisał w frankfurckiej gazecie Powszechnej, przed kilkoma miesiącami: „Pan Mommsen wypowiedział niedawno, w towarzystwie hr. Moltke (czegoż się nie dopuszczają ludzie, gdy sławnego generała mają po za sobą), bardzo surowe sądy o nauce francuzkiej i jej przedstawicielach. Każdemu zostawiamy wolność opinii osobistych, lecz nie pozwalamy zaprzeczać świadectwu faktów. Dyplomy magistrów i doktorów we Francyi mają dotąd wartość rzeczywistych dyplomów, czego dowód czerpiemy z faktu, iż rząd nie został zmuszony do zaprowadzenia egzaminów urzędowych. Mniej tam żądają wiadomości, lecz co się umieć powinno, umieć się musi dobrze; gdybyśmy więc zważyli naukę francuzką z niemiecką, szala przechyliłaby się niezawodnie na stronę pierwszej: w medycynie, prawie i literaturze. We Francyi nie istnieją jak w Niemczech doktorowie *in absentia*, *colloquia* i *tantamina*. Promocyj tam nie udzielają, oprócz po przebytych naukach i złożeniu egzaminów. U nas zaś odpowiedział stary Koestner, rektor w Gettyndze, gdy mu zarzucano, iż nieuków doktorami mianował: „*sumimus pecuniam et mittimus asinum in patriam* (bierzemy pieniądze, a osła do domu wyprawiamy).“

W wielu uniwersytetach niemieckich obchodzą

się z egzaminami bardzo lekko; podczas, gdy prawią tam długie i szumne oracye o szlachetności nauki, sprzedają za gotówkę nietylko stopnie doktorskie lecz oraz tezy i rozprawy egzaminowe.

Pan Vogt pisze, iż słynny Sprengel posiadał szafę pełną rozpraw, uporządkowanych i etykietowanych na sprzedaż kandydatom, po cenach dość wysokich, albowiem od 20 luidorów (400 franków) do 5 talarów, wedle wyboru kandydata. Opowiadają także podobną anegdotę o Sachsenhausen'ie. Rozmaite fakulteta utrzymywały agentów za granicą, mianowicie w Anglii i Ameryce, kwoli sprzedawaniu dyplomów, zupełnie na wzór niektórych książątek udzielnych, sprzedających ordery. Rektorowie i dygnitarze brali lwią część zdobyczy otrzymanej za swe podpisy, profesorom także częśćka jój przypadała w udziale; oprócz tego dzielili się oni z swojemi żonami i córkami des-serem pozostającym z uczt doktorskich; nawet odźwierzni zarabiali na takich sprawach. Nie mogło to trwać długo, albowiem rządy spostrzegły się, iż świadectwa egzaminów nie dawały najmniejszej rękojmi zdolności w służbie. Zamiast jednak położenia kresu tym nadużyciom, pozwalano im się krzewić i kwitnąć, natomiast zaś wprowadzono egzamina państwowe, niezależne od wszechnic i jedynie dające prawo do praktyki lekarskiej, albo urzędów publicznych.

Tak zwane *doktorsbrezel* (obwarzanki a raczej torty doktorskie), wyłącznie dostarczane przez cukierników uniwersytetów, bywały dzielone wedle stałych zasad przez odźwierznych. Największy przypadał rektorowi, mniejsze profesorom, wedle ich stopnia.

Doktorowie *in absentia* ponosili koszt biesiad i desseru (trzy taryfy istniały w tym celu), poczem mogli na mocy rozprawy i życiorysu otrzymać kape-



lusze doktorskie i wielkie dyplomy łacińskie, na których dotąd możemy wyczytać szumne tytuły: *Deus optimus, dux serenissimus, rector magnificus et decanus spectabilis*.

„Jednakże p. Mommsen odważył się głosić sławę nauki niemieckiej!—woła p. Vogt.—Przytoczmy inne przykłady. Pewien kandydat otrzymuje, na mocy zręcznej dySSERTACYI, stopień doktora *cum maxima laude*. Wkrótce przekonano się, iż tezę tę zostawił jakiś nieboszczyk profesor berliński, jako zeszyt wykładów, które odczytywał z katedry i że rodzina zmarłego sprzedała takową księgarzowi pewnemu. Tezę skazano jako plagiat, lecz kandydat zapewnia (*data dextra*) przysięgą, iż sam ją napisał.“

„Na sto tez doktorskich drukowanych w Niemczech, zaledwie 10 napisali ci, których imie czytamy na okładkach, jako autorów. Z pozostających 90, może 20 napisali autorowie, przy pomocy i poprawkach współpracowników; nad innemi 70 nie wyłożyli oni tyle pracy ile pisarz, który je przepisywał. Rozważywszy wszystkie okoliczności przekonamy się, że inaczej być nie może. Jakim cudem zdołałby bowiem n. p. uczeń medycyny, wbić sobie w głowę w przeciągu lat 5, nie tylko medycynę i chirurgię, lecz wszystkie przedwstępne wiadomości, oraz wysnuć coś z własnej myśli? 95 na sto uczni dąży jedynie do jak najszybszej praktyki; uczą się więc rzeczy niezbędnych do złożenia egzaminów, niewielka tylko liczba pracuje z zamiłowania do nauki. Większości chodzi jedynie o tytuł doktorski.“

Tak się wyraża p. Vogt o pisanych tezach. Przy ustnych egzaminach odgrywają się podobne komedye; nauczyciele i uczniowie uczą się na pamięć zapytań i odpowiedzi. Gdy w Berlinie dłużej niż gdzieindziej

zachowywano zwyczaj używania łaciny przy egzaminach, osoba zbijająca tezę kryła swój kajet w kapeluszu leżącym na katedrze, kandydat zaś swoje argumenta w kapeluszu na kolanach trzymanym; obie ostrony czytały zaś te próbki łacińskiej wymowy, napisane przez jakiegoś filologa bez butów. Nawet obecnie odgrywają tam podobną komedję, lecz język niemiecki zastąpił łacinę.

Dyplom niemieckiego doktora nie posiada zgoła wartości, nawet w niektórych państwach niemieckich. Uczniowie medycyny doszli nawet do przekonania, iż bez tego dyplomu wolno się doktorem tytułować, po przybyciu egzaminu rządowego, obdarzającego prawem praktyki.

Cały świat lekceważy tytuły niemieckich doktorów; inaczej też być nie może, póki panowie profesoremie niemi frymarczą.

Gdy w w. r. 1847—pisze p. Vogt—życzyłem sobie wykładać kurs zoologii w Giessen, powiedział mi rektor, iż tylko doktorom filozofii przysłuża, wedle starych przepisów, prawo wykładania. Dodał jednak, iż obdarzą mnie dyplomem doktora filozofii *honoris causa*, co usunie wszelkie zawady.“

„W brew wszystkiemu co p. Mommsen twierdzi, do dziś istnieje tworzenie doktorów *in absentia*. Kandydaci wsiadają na kolój w poniedziałek i odwiedzają dziekana fakultetu, wtykają mu do ręki pieniądze i dysertacyę; we wtorek odbywają egzamina ustne dla formy, w środę bronią tezy swojej, w czwartek wracają z dyplomem doktorskim.“

Pan Mommsen nie odpowiedział na powyższe zarzuty pana Vogt'a; zresztą nie zdołałby zaprzeczyć ani jednemu z faktów przytoczonych; ufam że zagraniczni czytelnicy, łudzący się tak dziwacznie pod

względem stanu nauki w Niemczech, raczą takowe pamiętać.

Uniwersytet w Bonn liczył niegdyś 900 studentów; liczba ta uszczuplała obecnie do 500. „Jest to poprostu fakryka urzędników pruskich”—powiedział mi pan X..., do którego miałem list polecający.

Gdy p. Falk, pruski minister wyznań i oświaty, przedsięwziął w r. 1875 swoją słynną krucyatę nadreńską, studenci uniwersytetu tutejszego podzielili się na dwa obozy; narodowo-liberalni pragnęli uczcić przybycie pana Falk'a wystąpieniem z pochodniami, sere-nadą i mowami, klerykalni sprzeciwiali się wszelakięj manifestacyi, lecz będąc w mniejszej liczbie, przegrali sprawę, gdyż rzucono się na nich i za drzwi ich wypchnięto. Z téj to zapewne przyczyny nazwał p. Sybel, w toaście poobiadowym na cześć ministra, uniwersytet w Bonn'ie „przedmurzem ducha niemieckiego.“ Ten teutonizujący historyk znajduje się obecnie w Berlinie, piastując tam potrójną godność profesora wszechnicy, dyrektora archiwów i posła w Reichstag'u. Od kiedy przysłuża mu szczęście oddychania temże powietrzem co p. Bismarck, powtarza on nieustannie, iż wypada odroczyć wprowadzenie reform liberalnych w Westfalii i nadreńskich krajach, aż walka religijna rozstrzygnie się na korzyść państwa.

Pan Sybel miał wielkie powodzenie w izbie; podczas rozprawy nad ustawą, przepisującą sposób obchodzenia się z duchowieństwem rzymsko-katolickiem, wzbudził śmiech izby, opowiadając, że pewnemu inspektorowi szkółek nadreńskich, pytającemu o imię panującego, odpowiedziało dziecko:

— Pi... Pi... Pius.

— Dostojne portreta naszego cesarza—dodał mówca ten—część owych stutysięcy rozdanych przez pa-



tryotyczne stowarzyszenie niemieckie, także zdzierają ze ścian, w szkołkach nadreńskich!“

Pan Sybel przygotował, jako dyrektor archiwów i przy współpracownictwie pana Bismarck'a, bardzo ciekawy pamiętnik tajnej polityki państw europejskich w XVIII-go i XIX-go wieku, w celu uwydatnienia nowój taktyki politycznej, zaprowadzonej przez księcia-kanclerza.

Ów p. Sybel, który 19 Maja i 18 Lipca 1867 napisał trzy listy uczono-płytkie, bijące podle czołem przed cesarzem Napoleonem i upraszał tego monarchę o audiencyę, zarówno jak owe 2,000 swoich rodaków, co prosili o pomoc dobitniej brzęczącą nad dzwon koloński, on, którego wpuszczono do tajnych archiwów cesarstwa i powierzono mu papiery i dokumenta do owego czasu nawet francuzkim historykom niedostępne, ów uczony powtarzam, dowiódł wdzięczności swojej, napisaniem *Historyi Rewolucyi*, hańbiącej Francją, a sławiącej Prusy.

Setka profesorów, pouczających obecnie młodzież-zgromadzoną na wszechnicy w Bonn'ie o wielkości cesarstwa i Bismarck'a, proroka jego i przyszłego powiększyciela, nie wyrównała owym sześćdziesięciu nauczycielom, którym się udawało, od 1835 do 1860, gromadzić w tém mieście 1,000 uczniów. Prawda, że profesorowie ci nazywali się Niebuhr, August Schlegel, Kinkel i t. p., że nikt ich nie zmuszał, aby szpikowali głowy młodzieży wiadomościami o zwycięstwach pruskich, i że w epoce owój następcą tronu pruski zajmował skromne stanowisko zwykłego obywatela tutejszej akademii i zamiast dowodzenia wojskami, zapalał fajki, oraz, że na niemieckiej ziemi nie pomiatano wó-

wczas monarchami, wywłaszczonemi skutkiem „ostrych okoliczności.“

Miasto Bonn zdoła od lat kilku staro-katolicki biskup, jego excellencya p Reinkens. Pałac jego biskupski wznosi się przy Comblenzer-strasse Nr. 22, w postaci dwupiętrowego domu, nawet nie upiększonego na fasadzie godłem miedzianém, z następnym zwieszłym napisem: „J. E. Reinkens, biskup staro-katolicki; udziela rady bezpłatnie, od 12 do 2 godz. popołudniu. Odpowiada pacyentów w mieście.“ Od chwili kiedy kto przyjął 60,000 franków pensyi, żeby otworzyć kantor nowej religii, patentowanej i poręczonej przez rząd, godzi się znak nad takowym powiesić.

Pan Reinkens nie uzyskał dotąd popularności w krajach nadreńskich; wnoszę to zaś ztąd, iż podobiznę jego nie spostrzegłem dotąd na żadnej fajce porcelanowej, co w Niemczech służy za pierwszy dowód sławy. W Bonn'ie znają go najlepiej ze swoich miłosnych przygód i wierzą, że lepiej umie wyjaśniać Crébillon'a na kanapie, niż dogmata z kazalnicy. Ma on jednakże kółko zwolenników, których często raczy koncercikami, obiadekami i kolacyjkami wykwiłtnemi. Co zimy odbywa się 5 albo 6 balów w pałacu biskupim, a damy wygorsowane niby Magdaleny w drezdeńskich albo mniichowskich galeryach obrazów, tańczą dokoła podrygającego biskupa, który w czarnej sutannie i lakierowanych trzewikach hasa z gośćmi. Dziwna rzecz, iż religia tak swawolna i wygodna, nawet w podróży, nie zgromadziła pod swoje sztandary, w tej jasnowłosiej i zmysłowej Germanii, większej ilości zwolenników. Sekta ta nie liczy nawet tyle dusz, ile istnieje Mormonów, a r. 15 milionów rzymskich katolików niemieckich, ledwie znalazło się 15,000 odszczepieńców,

uznających powagę tutejszego biskupa. Przecież nie zaniechano starań o pomnożenie liczby owieczek tego stadka, wierzącego, że cnota nie tworzy niezbędną podstawy bytu ludzkiego.

Pan Bismarck zmienił nawet strażaków miejskich na apostołów nową wiary. Zachowałem dotąd drukowane zaprosiny, jakowe roznoszono po domach obywateli kolońskich w Kwietniu 1874; brzmiały one następująco: „jeżeli pan przychyłasz się do połączenia z nową parafią, tworzącą się w Kolonii, upraszamy go niniejszym okólnikiem, abyś 14, 15 lub 16 b. m., o godz. 9 z rana, raczył stawić się w ratuszu, kwoli podpisaniu w biurze asesora policyi, pana Kettner'a, następującego protokołu.“

„Przyłączam się formalnie do zjednoczenia starych katolików, przyjmując wszelkie obowiązki wynikające z mego kroku i upominając się o wszelkie przysługujące prawa. Biskupa Reinkens'a uznaję za mojego duchownego zwierzchnika, oraz staję się członkiem parafii kolońskiej, stosownie do *kontraktu zawartego pomiędzy rzędem i biskupem Reinkens.*“

Ten okólnik, podpisem prezydenta policyi, p. Devens'a zaopatrzony, rozdawali miejscy strażacy, żądając zarazem pokwitowania od osób, do których takowy był adresowany.

Pan Reinkens rzadko celebrował w kościele, nie mogłem się więc dowiedzieć, ażali wdzięwał przy tej okazji mundur, albo występuje w szlafroku, lub przywleka komżę. Dowiedziałem się jednak, iż damy kolońskie złożyły się, aby mu mitrę śmignąć na głowę.

Stosunki staro-katolickiego biskupa z płcią piękną lecz wątłą, dały powód do wyjaśniającego procesu, stoczonego 12 Marca 1874 r. przed sądem poprawczym w Bonn'ie. *Deutsche Reichs-Zeitung* opisała, dla zbu-



dowania swoich czytelników, jakimi sposobami J. E., biskup Reinkens, nie tylko jedna sobie wstęp do sumienia, lecz oraz do sypialni kobiet, które przyjęły jego religię. Ztąd wynikł proces, przy czym świadkowie niektórzy złożyli następujące zeznania przed trybunałem w Bonn'ie, które dosłownie tłumaczę z protokołu stenograficznego:

*Gertruda Holter*, żona majstra krawieckiego Piotra Holter, zeznaje: „Mieszkałam wprost okien owój damy i widywałam u niej profesora Reinkens'a. Widziałam jak tenże zasiadał na kanapie z wymienioną damą i ścisnął ją. Widziałam też często, że profesor Reinkens odprowadzał ją do domu pomiędzy 11 i 12 w nocy. Podczas karnawału (było to w r. 1866 albo 1867), ujrzałam mężczyznę wzrostu p. Reinkens'a, w ubiorze pastora ewangelickiego, wchodzącego do domu téj damy. Po chwili wyszedł z nią w dominie czerwonym.”

*Pani Domgargen*, właścicielka składu zwierzyny: „Mieszkałam wtedy w jednym domu z ową damą. Pewnego dnia zbiegłam do ogrodu, chcąc tam znaleźć coś potrzebnego do kuchni. Zastałam pana Reinkens'a i panią w altanie. Pan Reinkens obejmował ją za szyję, wyglądali jak rzeczywista miłośna para. Oddałam się natychmiast, z obawy, abym nie przerwała tego zachwycającego sam na sam. Działo się to, jeżeli się nie mylę, w r. 1866. Pewnego dnia wróciła panna M. z podróży w towarzystwie p. Reinkens'a, i zamknęli się sam na sam w gabinecie przeszło godzinę.”

*Chrystyna Grossgarten*, kucharka: „Mogę przysiąc, iż p. Reinkens często przez całą godzinę bawił w sypialni téj damy; nie wiem jednak, ażali zamykali się tam na klucz. Będąc sam na sam mówili do siebie

*ty*. W obecności trzeciej osoby, panienka mówiła do niego *wy (sie)*, on jednak mówił do niej najczęściej *ty (du)*.“

Ten nowy sposób kochania bliźniego i wyjaśniania mu szczęśliwości wiecznej, używany przez biskupa „cesarstwa bogobojności i czystych obyczajów,“ wypada zaliczyć do „energicznych.“

---

## VI.

Z Bonn do Koblencyi. — Nie wszystkie Niemki są blondynkami. — Paryżkie mody w Niemczech. — Moda narodowo-cesarsko-niemiecka. — Skała smoka i skała Rolanda.

Przyznajmy zasługę parowcom reńskim, tym wspa-  
niałym pływającym hotelom, na których spotykamy naj-  
wyższą wykwićtność i komfort. Salony w nich urzą-  
dzono wystawnie; wszędzie tu ujrzysz kobierce, zwier-  
ciadła, poźłoty; fortepian nęci tu do walcu; w bibliotece  
nie potrzebuje troskliwa matka kryć przed córką: „Na  
siedm klamer zamkniętą książkę tajemnic,“ lub „Nimfę  
hotelu,“ albo „W koszuli (*im Hemde*),“ owe najśwież-  
sze kwiaty literatury nowego cesarstwa. *Ober-Kellner*  
i *Unter-Kellner'y* zachowują się grzecznie—jak na ten  
kraj. Żeby nas jednak nie posądzano o stronność, do-  
damy, iż *Bonner-Zeitung* opowiadała w r. 1874, że pe-  
wien posługacz, zapomniawszy, iż nie w teutoburskim  
lesie ale na parowcu reńskim się znajduje, odgryzł  
ucho pasażerowi, który poprzednio zaniósł nań skargę  
do kapitana. Na pokładzie takiego parowca spotyka-  
my towarzystwo bardzo mieszane i niemniej ciekawe,  
niż precudne krajobrazy, przesuujące się przed na-  
szemi oczyma z dokładnością pruskich batalionów.

Okolo 50 osób wsiadło w Bonn, jednocześnie ze  
mną, na pokład parowca „Germania.“ Po ubiorach  
poznałem pomiędzy niemi kilku *reverend* (księży) an-



gielskich; reszta należała, sądząc z mowy, pysków i nóg, do szlachetnego narodu, który, wedle słów deputowanego p. Loewe, z Berlina: „przebiega świat, niosąc mu cywilizacyą i poczucie piękna.“

We Francyi, wyobrażamy sobie prawdziwą Niemkę z włosami blond, jak zboże, a oczyma niebieskimi, niby niezapominajki. Prawda, że już pani Stael powiedziała, w owym ślicznym pamflecie skierowanym przeciw Francyi, p. t. Niemcy (\*): „Kobiety niemieckie posiadają wdzięk sobie tylko właściwy, głos tkliwy, włosy blond, cerę olśniewającą.“ Te blond włosy przeszły w stereotyp. Pomimo tego, rzucmy okiem na zbiór kobiet niemieckich; przekona on nas w jednej chwili, że blondynki nie tworzą większości w tutejszym świecie niewieścim. I tak na pokładzie Germanii naliczyłem, ku memu zadziwieniu, więcej brunetek niż blondynek. Panie berlińskie, hamburskie i w ogóle kobiety mieszkające w okolicach dawniej słowiańskich, po za Elbą, posiadają najczęściej cerę ciepłą, oraz czarne oczy i włosy. Na południu przeważa charakter limfatyczny i blondynki. Rozmarzoną Niemkę *lied'ów* i ballad nie spotkasz na Północy, nie znajdziesz też tam poetów, zamków i gotyckich kościołów. Faust i Mefistofeles musieli przebiec od Berlina do Kolonii, zanim odkryli *Gretchen*, w dworku ze zielonemi żaluzjami, przy okienku ujętym w ramy z bluszczu i przewierścień, przędzącą w tém otoczeniu spokojném, wdzięczném i nadobném, śpiewającą, jak śpiewano przed wynalezieniem odtylcowych karabinów.

---

(\*) Niemcy sami nie mogą się poznać w tym schlebiającym sobie portrecie pani de Stael i uważają tę książkę, jako plód czystej fantazyi.

Przechadzałem się od rufy do sztaby parowca, przyglądając się głowom i strojom. Obliczom zbywało na wybitności. Wyglądały one na kształt obojętnych twarzy woskowych; nic nie umiałem w nich dostrzedz żywego, stanowczego, zajmującego lub wyzywającego, jak u Francuzek; cechowała je monotonność i przesadna słodycz, właściwa zjawisku pasma tarcz księżycowych odbijających się w sadzawce; oczy głupie i nieme, niby u wypchanych ptaszków, postawa figur wyciętych z żurnala, sztywnych, огоłoconych z wdzięku, ręce niewiedzące co począć z sobą, nogi nie umiejące nic wyrazić. Ztąd też rozwiązłość niemiecka nie ma nic duchowego lub nadobnego, lecz tchnie ociężałością, brutalstwem i głupotą; we Francyi podobna ona do pstrego motylka, fruującego lotem miłym i kapryśnym; tam w dziejach galanteryi spotykamy zalotne imiona Ninon de L'enclos, Mlle de la Vallière, Manon Lescaut; ideał nierządnic niemieckiego pochodzenia zna świat cały. Świątynia niemieckiej Wenery znajduje się w odwachu; bogini ta błąka się tam po ulicach i obozach. Niemcy nie utrzymują metres. Oszczędny ten naród kupuje miłość po cenie zniżonej i wynagradza sobie jęj zły gatunek ilością. Idą tam na miłostki, jak na kufel piwa i zasiadają w pierwszym szynku przy drodze. Nie znają tam szalonej namiętności, pięknych zapałów, rycerskich pozorów, bożyszcz! Te serca zimne, w których rdzeni nie szlachetnego nie kipi, drżą tylko na odgłos turkotu dział ciężkich, czy wyjeżdżających by plunąć kartaczami, czy wracających z paszczką napchaną złotem.

Dawno powiedziano, że Niemka okrywa się lecz nie ubiera. Cierpi ona na zupełny brak smaku; płonie biegnie za nim sapiąc w pogoni; gust jak dowcip, schwy-

tać się nie daje. Kocha się ona zaciekle w pstrocinie; patrząc na nią rzekłbyś, iż widzisz ciało otynkowane smołą i oblepione różnobarwnem pierzem papuzim, po amerykańsku. Każda część odzienia klóci się z sąsiednią, wszystko razem oczy twoje razi. Z zamalowania w kitach, ozdobiły one swoje kapelusze długimi piórami fioletowej albo żółtej barwy; noszą kolczyki chlubnie świadczące o ciągłości swoich chrząstek, obciążają szyję najprawdziwszym obręczem blacharskiej roboty; nie wspominam nawet o paskach ze skóry złożonej, u których wiszą małe ładownice z nożyczkami, napastrkiem, niciami, igłami i flaszeczką wody kolońskiej. W kraju tak obficie rodzącym niebieskie pończochy (*bas-bleus*), dziś tylko pończochy zielone albo czerwone dostrzeże oko zbyt ciekawe. Gdyby to wyuzdanie kolorów chociaż wyrażało myśl jaką, jak za czasów rycerskich w których nie na chybił trafił wybierano i szykowano barwy, lecz ich odcieniami wyrażano światu tajemnice myśli własnej! Zieleni oznaczała rodzącą się czułość, biel: nadzieję że takową przyjmą, czerwien: namiętność albo żądzę sławy, lazur: wierność wytrzymałą na wszystkie próby, złoto: miłość szczęśliwą, czern: żalobę i smutek. Damy nosiły często jeden rękaw żółty, drugi niebieski, a odzież mężczyzny kapryśnie haftowano odami i balladami.

Możnaby przysiąc że wszystkie terazniejsze kobiety niemieckie spiknęły się, kwoli trawestowaniu naszych mód paryzkich, przesadą i posuwaniem do ostateczności, dziwaczności i śmieszności. Póki mnie otaczały te orgie sukien zielonych, falban *bouffants* (nastrzepionych) i *bouffons* (błazeńskich), wydętych puklerzy z koronek i ze wstążkami ułożonemi w zygzak, niby ścieżki pnące się na memelony, i póki obra-



całem się wśród téj wystawy klejnotów z imitacyj i strojów głowy, zbudownnych nakształt cytadeli, myślałem że patrzę na wtorek zapustny.

Natychmiast po ukończeniu wojny, gdy zgłiszcza nowoczesnego Babilonu dymiały się jeszcze nad brzegami Sekwany, usiłowali moralisci i filozofowie zareńscy uwolnić teutońską płeć piękną z pod tyranii mody francuzkiej, ku czemu stworzyli „modę narodowocesarско-niemiecką.“ W Berlinie zjawiało się „stowarzyszenie mody niemieckiej“ i „instytut w celu naukowego (*sic*) uczenia mody.“ W dniu tryumfalnego wejścia wojsk pruskich do stolicy nowego cesarstwa rozkazano, aby wszystkie dziewice wybrane w celu witania tych walecznych wojowników—zaopatrzonych w słynne zegarki i chusteczki do nosa—rozplotły swoje warkocze „po niemiecku“ i takowym pozwoliły spływać na barki, oraz żeby nosiły długie tuniki z białymi wypustkami. Strój ten przyszłości, miał zastąpić mody paryzkie, zarówno kosztowne jak nieprzyzwoite. Stowarzyszenie mody niemieckiej zjednało sobie nawet opiekę żony królewsko-cesarского następcy tronu. Niestety, córki Ewy wszędzie jednakowo postępują, więc nie stosują się do rozkazów, choćby dla przyjemności nieposłuszesztwa.

W r. 1857 zwiedziła ta księżniczka pewne główne bióro telegraficzne, w którym przeszło 60 młodych panienek zajmują się rozwikływaniem tajemnic miłości i policyi; tu zastanowił ją stan rewolucyjny szinionów. Patrząc na nie pozwoliła sobie księżna nawet na dwuznacznik, który nabawił królewicza całodziennéj zadumy i zazdrości, gdyż rzekła do dyrektora telegrafów: „snadź wszystkie te dziewczęta mają głowy przewrócone (*verkehrt*).“ Tegoż jeszcze wieczora, skoro do swego gynaceum wróciła, posłała telegrafist-

kom zwięzłe polecenie, żeby wyrzekły się natychmiast wszelkich „zbytków,” oraz powróciły do „piękności warkoczy skromnych i naturalnych.” „Wielki ztąd powstał rwetes,” zawołał nazajutrz pewien roztropny dziennikarz; „gracye i amory przywdziałyby żałobę.”

Gazeta Krzyżowa korzystała z téj sposobności, by wypowiedzieć płci, tworzącej jedyną ozdobę Berlina, następne rodzicielskie napomnienie:

„Wróćcie, o żony i córki niemieckie, do zasad zdrowych! Rozprawiano o narodowej niemieckiej modzie. Tak, nasze żony i córki powinnyby przywdziać strój jednostajny, skromny, „trwały,” czyli, wyrażając się dobitniej, stroić się jedynie w miłość Boga, czystość i cnotę (*sic*).”

Ubiór ten, równie oszczędny jak matki Ewy przed grzechem, albo Fryny w obec aeropagu, możeby nie odpowiadał wymaganiom strażaków miejskich (za co takowych ganić nie mogę), gdyby berlińskie panie, pomimo całej swéj cnoty, czystości i oszczędności, zaczęły się w nim przechadzać *unter den Linden*.

W Lutym 1876 otrzymała księżna następczyni petycyę z Memla:

„Racz W. Kr. Wysokość zająć się własnorecznie upowszechnieniem niemieckiej mody.”

„W. Kr. Wysokość przekona się wkrótce, iż mody niemieckie odpowiadają nastrojowi serc niemieckich i że one zamierzają zachować dla kochanej naszej ojczyzny, miliony żyć niemieckich i marek (pieniędzy) cesarskich.”

Na ostatnim kongresie kobiet niemieckich, w Gotha, przeszedł następny wniosek pewnego obecnego tam pana:

„Kobięty tu zgromadzone oświadczają, że zbole-

ścią patrzą na wynalazki i wybryki mody barbarzyńskiej, że nic wspólnego nie mają z temi obłędami smutnemi, oraz że wyteżą wszelkie usiłowania, kwoli rozpowszechnieniu nowego stroju, celującego prostotą i smakiem.“

Zbyt to ważna zagadka, żeby długo pozostała bez rozwiązania. Niebawem zawiadomi nas zapewne berliński telegram, iż p. Bismarck, pod wpływem najwyższym, kazał swojemu wiernemu parlamentowi głosować za prawem, tyczącem się mody narodowej niemieckiej i wzbraniającem w Niemczech mód francuzkich. Prawo to neleżałoby ułożyć w sposób następujący:

*Art. I.* Poczynając od 1 Lipca 1877, wszystkie niemieckie niewiasty zadawałniać się będą okryciem bogobojności i czystości.

*Art. II.* Wszystkie niewiasty zjawiające się po dniu wymienionym na ulicach Berlina w stroju francuzkim, zostaną zaprowadzone do najbliższego odwachu i ubrane wedle mody niemieckiej.

Nasz *steamboat* minął ruiny starożytnych zamków Koenigswinter, Petersburg, Niederberg, Wolkenburg i Drachenfels. Czytelnik słyszał zapewne o tym ostatnim—zamku na skale smoka. W bliskości znajduje się głęboba pieczara, w której smok ówczesny spędzał chwile wiejskiego odpoczynku. Potwór ten posiadał olbrzymi apetyt i zjadał na śniadanie całą prowincję. Pewnego poranku ujrzał wychodząc z pieczary, piękną i młodą dziewczynę, jakąw rycerze—rozbójnicy zamkowi uwiązali tam do drzewa. Już się poił nadzieją zatopienia kłów swoich w tem białem i pulchnem ciałku, lecz w chwili gdy otwierał paszczekę, dziewczyna pokazała mu krucyfiks; smok się uląkł, w tył skoczył i wpadł do Renu, w którym utonął.



Skala Rolanda wznosi się wprost smoczęj skały. Poetyczna baśń o bohaterze ronsewalskim połączona z tą miejscowością, tyle posiada tkliwości, że przy każdym powtórzeniu nowego wdzięku nabiera.

Karol Wielki przywołał do Akwizgranu swego siostrzana, Rolanda; młody ten rycerz, wnet beczynnością znużony, przechadzał się wzdłuż побереża Renu, szukając przygody wojennej, lub miłosnej. Pewnego wieczora, po odbyciu długiej podróży, czuł się niewymownie zmęczonym; w téjże chwili rzucił mu się w oczy Drachenfels, zamek piękny, o wieżach w Renie się mizdrzących. Zbliżył się do okopów i w róg uderzył.

— Nazywam się Roland — rzekł on — cesarz Karol jest moim wujem.

— Witaj u burgrafa Heriberta — odrzekł dowódca straży.

Zaprowadzono rycerza do burgrafa, właśnie siedzącego przy wieczerzy, sam na sam z swoją córką, piękną Hildegundą.

Heribert podniósł się, by pośpieszyć ku Rolandowi, Hildegunda także wstała, już wzruszona i zarumieniona.

Burgraf ustąpił gościowi miejsca honorowego, córce zaś kazał nalać z dzbana do złotej czary napoju dla Rolanda; Hildegunda drżała tak silnie, że rozlała połowę wina.

Nazajutrz Roland spotkał ją w ogrodzie; tym razem on uczuł drzenie, gdy się ośmielił przemówić do niej.

W kilka dni później, posłaniec cesarski stawił się w zamku, oznajmiając Rolandowi, iż stryj powoływał go niezwłocznie, w celu wysłania go przeciw hiszpańskim saracenom.



— Jutro wyjadę — rzekł Roland, blednąc śmiertelną prawie bladością.

Wieczorem wszedł do kaplicy. Tam z zadziwieniem spotkał Hildegundę, zalewającą się łzami.

Płaczesz? — pytał ją, a dwie łzy serdeczne i po jego jagodach spłynęły.

— Tak, martwię się twoim odjazdem! — wyjąknęła dziewczyna.

Roland ukląkł przed nią, dłoń jęj ujął i rzekł półgłosem:

— Hildegundo, kocham ciebie i przysięgam tu, przed Bogarodzą, że nie pojme żony oprócz ciebie!

Hildegunda odplaciła mu inną przysięgą:

— W obec Boga ślubuję, że twoją zostanę, lub Jego!

Nazajutrz, ze świtem, zjeżdżał rycerz po urwiskach góry, a z okna zamkowego biała rączka potrzęsała chustką.

Rok upłynął i wojna z Saracenami skończyła się szczęśliwie, Roland wracał do Francyi, niecierpliwie bodąc rumaka. W Ronsewalu wpada jego tylna straż w zasadzkę, on sam odpięra napaść licznych nieprzyjaciół. Ranny i czując dreszcz śmierci, zadzwonił w swój róg z kości słoniowej, wołając cesarza na pomoc. Ten już biegł ku niemu, lecz wstrzymał go zdrajca Ganelon. Roland skruszył wówczas miecz swój i zboczony krwią własną, zemdlął.

Wszędzie głoszone o jego śmierci; opiewali ją poeci, a Hildegunda wierna kochankowi, wstąpiła do klasztoru i poświęciła się Bogu.

Pewnego dnia, gdy sędziwy burgraf Heribert schodził z wyniosłego zamku, spotkał on jezdźca na wierzchowcu okrytym kurzem i pianą; zapytał go, kędy tak się spieszy? Rycerz poznał głos mówcy i uchylając przyłbicy, zapytał:

— Czy mnie niepoznajesz?

— Roland! — zawołał starzec, omal nie mdlejąc.

Roland zsiadł i opowiedział, jak go pasterze unieśli z pola bitwy, oraz cudownie prawie wrócili mu życie. Stary burgraf wrócił z nim do zamku, opierając się na jego ramieniu. Milczano podczas téj wędrówki; dopiero gdy przekroczyli most zwodzony, rzekł starzec smutnie do Rolanda:

— Widzisz, że żyję samotnie.

— Czyż ona umarła? — pyta Roland głosem stłumionym.

— Tak! — szepnął burgraf — umarła dla mnie! umarła dla ciebie! żyje już tylko dla Boga.

Roland przypominał wtedy przysięgi Hildegundy w kaplicy.

— Oplakuje twój zgon i nosi po tobie żałobę — dodał Heribert.

Roland tegoż wieczora opuścił zamek, pozostawiając konia i zbroję i błądził bez celu po górze noc całą, aż do pory, w której dzwonią poranny „Anioł pański.“ Wtedy doleciał go głos dzwonka, niby wypływający z próżni; chcąc dokładniej przysłuchać się tym tonom do duszy przemawiającym, usiadł on na glazie i oczekiwał świtu. Skoro wietrzyk ranny rozwiał mgły przeciągające po nad Renem, zobaczył on u stóp swoich, wśród zielonéj wysepki, klasztor o białych ścianach, z kąd płynął ku niebu harmonijny śpiew kobiet. Śród głosów licznych wyróżnił on jeden, najpięszcotelniejszy i najmłodszy, wnikaający do głębi duszy jego i dreszczem go napełniający.

— To jéj głos! — zawołał zrywając się nagle — to ona! O moja Hildegundo, narzeczono moja, poznaję głos twój!

Cały dzień nieruszył z owego miejsca, stojąc



tam z oczyma wpojonemi w klasztor i uchem natężonym na każdy szelest zanoszony wiatrem z doliny. Wtedy postanowił dokończyć żywota na skale téj, opustoszałej nakształt swego serca, oraz wygrzebać sobie w tém miejscu pustelniczą pieczarę, z kąd mógłby bezustannie patrzeć na klasztor i słuchać głosu kochanki.

Niestety, już w rok później, w rocznicę pierwszego usłyszenia tego głosu, przestał ten dźwięk pieścić ucho Rolanda, za to dzwon klasztoru wydzwonił pogrzebowe hasło. Roland legł wtedy na progu swojej pustelni, gdy zaś ujrzał nazajutrz, że wynoszono trumnę na cmentarz, zawarł powieki i już ich nie otworzył. Pasterze przechodzący tamtędy podjęli jego zwłoki.

---

## VII.

Ren episierów. — Średnie wieki nad Renem. — Wesela i turnieje. — Kongres fryzyerów niemieckich. — Wegetarianizm, jego przeszłość, terażniejszość i przyszłość. — Neuwied. — Jenerał Hoche.

W Niedereisig zbliżają się do siebie brzegi Renu, a skały wznoszą się po prawej i lewej stronie; od-tąd to rozpoczyna się ta wystawa cacek na wzór sta-rożytnych ruin, wciąż naprawianych i odnawianych. Bękartie te naprawy celują ohydłą brzydotą. Te har-de wieżyczki i te wysokie turmy przypominają hełmy, ozdobione karykaturami garbusów, kaprawych i jedno-okich. Dzięki manii niemieckiej, tynkującej i naśla-downiczjej, stracił tu Ren swój poważny i dziki maje-stat, na czém piękność jego polegała; rzeka rycerzy stała się rzeką episierów, zamiast oddychania nad nią cierpką i wojowniczą poezią średniowieczną, wciągamy w płuca wonie kapusty, przepalanej kawy i séra. Kasztelanowie Reineck'u i Argenfels'u golą się na tارا-sach wież swoich, oraz suszą tam na słońcu swoje fla-nelowe koszule. Kasztelanki wyszczerzają z strzelnic oblicza zabiłone ryżowym proszkiem; nad temi otwo-rami oglądano jeszcze w ostatnim stuleciu, szczeliny zaczerwione prochem; te panie harcują na osiołkach

astmatycznych, odbywają swoje zroki z oficerami z Kolencyi i z Kolonii, strzepią się w swoich gorsetach, niby dziewice, by zaś madrygały tknęły ich serduszka, muszą być obwinięte w banknoty. Gdyby *minnesinger'y* odważyli się wrócić tu z nieuczesanemi swojemi kędziorami i butami cokolwiek zużytemi, skutkiem dłuższej podróży, wyrzuconoby ich za drzwi, z wymówką, że żebrać prawo zabrania.

Historycy niemieccy zawiadamiają nas, iż w XII stuleciu nie rzadko znajdowano na gotowalniach kasztelanek w tych nadreńskich zamczyskach, manuskrypta piosneczek i poezyi sentymentalnych; teraz znajdujemy tam welutynę Tay'a i romanse Paul de Kock'a.

Średnie wieki niemieckie mniej się srożyły, niżby można wnosić z widoku tych ruder posępnych. Pan Scherr powiada nam, w swojej „Historyi cywilizacyi niemieckiej“, iż rycerskość uprzyjemniała wdzięcznóm obejściem starodawną gościnność niemiecką. Zaledwie że czaty zapowiedziały ze szczytu wieży strażniczej zbliżenie się gościa, gospodarz gotował dlań przyjęcie troskliwe i grzeczne. Skoro gość zsiadł z konia, damy wprowadzały go do przedsionka dla gości znakomitych, zbroję zeń zdejmowały i podawały mu lekkie i czyste okrycie. Później częstowano go napojem, i odsyłano do kąpieli. Wracał z niej, żeby usiąść do stołu wraz z rodziną gospodarza; tam zajmował miejsce honorowe, naprzeciw pana domu, a obok siebie miał jego żonę albo córkę, która mu napełniała kielich i podawała talerze. Gdy wypadało się udać na spoczynek, towarzyszone mu aż do progu sypialni i czuwano, aby na niczém mu nie zbywało. Zdaje się nawet, że posuwano swój nadmiar gościnności do ostateczności, dziś przestrzeganej przez niektóre dzikie narody, powierzając na noc gospodynię lub córkę rodzi-



ny opiece gościa. Zwyczaj ten zatarł się wcześniej w Niemczech, z wyjątkiem niektórych okolic, gdyż, jeżeli wypada wierzyć Murner'owi, piszącemu w epoce reformacyi, wtedy jeszcze „istniał na Żuławach zwyczaj, iż jeżeli dobra rodzina przyjmowała miłego gościa, powierzano mu na towarzyszkę noclegu żonę gospodarza.“

Surowość pożycia niemieckiego, opisana tak dokładnie przez Tacytusa, wcześniej ustąpiła przed zwyczajami formalnymi i płochością. Dziewczęta pozostawały pod opieką ojca albo najbliższego krewnego, ci rozporządzali jęj ręką dowolnie, często bez zasięgnięcia jęj rady. Wzbraniano jęj okazywać swoje szczególne względy, a małżeństwa z miłości bywały rzadsze niż wówczas niż w naszych czasach. W przeciągu roku po zaręczynach ślub zawierano. Błogosławieństwo kościelne, najpięrw lekceważone jako czcra ceremonia, dopiero od XII stulecia uważano za rękojnię małżeńskiego szczęścia. Przy weselach występowały rodziny szlachećne z nieopisanym przepychem, przedłużając zabawy przez tygodnie całe. Rodzice albo opiekunowie, w towarzystwie pазia lub panny honorowej, a często wszystkich gości, odprowadzali w nocy ślubnej pannę młodą do komnaty małżeńskieć, gdzie rozebrawszy takową, oddawali ją mężowi, który kładł się z nią do łóżnicy w obec zgromadzenia całego. Skoro zarzuceno kołdrę na młodą parę, uważano ślub za spełniony. Później oszczędzano wstydlivości małżonków, pozwalając im kłaść się w pełnej odzieży.

Były to piękne czasy epopei romantycznych, dzielnych wybryków i turniei pysznych. Stowarzyszenie turniejowe nadreńskie należało do najświetniejszych w Niemczech. Walczono konno, kopią albo mieczem; spotykano się także pieszo, maczugą lub dzidą, mąż

z mężem, hufiec z hufcem. W Neus, niedaleko od Kolonii, 60 rycerzy padło w arenie, podczas turnieju w r. 1241.

Nagradzano najpierw zwycięzców łańcuchami i wiencami złotymi, później silono się na dary nadzwyczajne i kosztowne. Na turnieju wydanym przez Henryka z Misnii, wystawiono drzewo okryte listkami ze srebra i złota; rycerz co kopię przeciwnika skruszył otrzymywał listek srebrny, kto swojego napastnika wysadził z siodła, brał liść złoty.

Na turnieju urządzonym przez zamożnych Magdeburchyków, wyznaczono precudną młodą dziewczynę jako nagrodę. Pewien niemłody kupiec z Goslaru wygrawszy takową, wyposażył ją i zamaż wydał.

Pani Stael nie pokazała nam rycerstwa niemieckiego w świetle równie orientalnym.

Gdy mijaliśmy Hammerstein, dostrzegłem, że przeszło 20 pasażerów powstało i zeszło do jadalni. Myślałem, iż obiad podawano, lecz jeden z posługaczy stojących u drzwi do sali, zapytał mnie:

— Należysz pan do kongresu?

— Jakiego kongresu?

— Kongresu fryzyerów.

— Więc ci panowie?...

— Są fryzyerami, wracającymi z walnego zjazdu fryzyerów niemieckich w Kolonii.

Panowie za którymi siedłem obsiedli stół dokoła, każdy z nich dobył grzebyka, a wszyscy zaczęli trefić głowy nad swojemi talerzami. Nic tam nie mogłem ujrzyć godnego uwagi, więc wróciłem na pokład, gdzie się dowiedziałem, iż prezydent kongresu chlubił się imieniem, brzemieniem wróżbą: Schädel (czaszka), że organ ogólnego stowarzyszenia perukarzy niemieckich wychodzi w Berlinie p. t. „Nowa gazeta fryzye-

rów berlińskich," oraz, iż wystawa włosów, peruk, czupryn, pomady, olejków wzmacniających włosy, maści i czernideł dla brody, czysto „niemieckich," jednocześnie z kongresem się odbyła — ten i owa zaś miały na celu potępienie fryzyerki i pomady paryżkiej.

Zatrzymawszy się kilka minut przed Andernach, o którym Wiktor Hugo tak piękne stronnice nakreślił, ruszyła Germania w dalszą drogę, a jej dzwon zwiastował obiad. Zastawiają go o pierwszej popołudniu na parowcach Renu. Ciekawy widok przedstawia ten tłum tonący w jadalni i salonie, w których kanapy i fotele aksamitem wybite, zastępują o tej porze krzesła stołowe. Ludzie cisną się i potracają, dzieci płaczą, damy wydają lekkie okrzyki; wreszcie wszyscy zasiedli, a wazy zjawiają się tryumfalnie, jak cesarz Wilhelm w Berlinie. Na obrusie śnieżnój bieli lśnią srebra, przed każdym talerzem uszykowano zastęp kieliszków z cyframi parowca, których sam widok nie ślinkę, lecz przedsmak wina do ust napędza; te kryształowe bataliony tworzą rodzaj straży przybocznej, dokoła puharów zielonych, wyłącznie przeznaczonych dla Johannisberg'u, albo Liebfrauenmilch'u. Wazy z saskiej porcelany, napełnione kwieciem róż i rododendronów, tworzą na środku stoła fontanny kolorowe i skrzepłe, jednocześnie widzimy zaś przez otwarte okna najpiękniejszy krajobraz, jaki tylko wyobraźnia umiałaby wymarzyć.

Po prawicy mój siedział otyły i wesoły Teuton, z brzuchem jak beczka mnichowskiego piwa; mieląc powoli szczękami, a pod zasłoną serwety popuszczając pasa żołądkowi; z lewej strony, prostował się uczony Germańczyk, suchy i chudy niby znak wykrzyknika, z twarzą na wzór tłuczka do orzechów, włosami sztywnymi i postrzyżonemi na wzór szczotki, nosem mrów-



kojada, jagodami wydatnemi, brodą do tarcia cukru. Okragłe swoje oczki uzbroił niebieskimi okularami. Ze spłowiałego brązowego surduta i czarnego jedwabnego krawatu, duszącego go prawie, ulatywała woń szpargałowych pyłów, zdradzająca na 15 kroków, że ją wydaje *doctor illustrissimus*.

Wprost nas siedziała *Gretchen* niemiecka, w czterdziestej wiosnie życia, w sukni jabłecznej zieleni, z kibicią z białych koronek i medalionem, zawierającym fotografią „boskiego Klopstock’a.“ Uśmiechała się ona melancholijnie i czule pod blond przedziwem, zastępującem jej warkocze i spadającym na plecy klinowate, nakształt gałązek płaczącej wierzby. Obok siebie położyła tomik poczyi i książeczkę opatrzona w klamerci i oprawną w fioletowy safian; do niej wpisywała niekiedy swoje myśli. To podobno nazywają: „dzienniczkiem.“ Każda Niemka umiejąca pisać i posiadająca serce, co drga na odgłos marszu lub capstrzyku, prowadzi taki dzienniczek—aby go spalić w wilię ślubu.

— *Wohl zu speisen* (dobrego apetytu), życzy mi sąsiad z prawej strony.

— *Ich danke Ihnen* (dziękuję panu) — odpowiadam, z wdzięcznym uśmiechem.

Gębę miał on przepełnioną, a haust zupy połknął z widocznym zadowoleniem i zamykając oczy. Po tej operacji znów się rozjaśniło jego oblicze, by mi powiedzieć z zatwierdzającym kiwnieniem głowy: *famos* (wyborna).

Zupa ta rakowa była w istocie doskonałą. Zauważyłem, iż Niemka hołdująca muzom wysysała skorupki raków cokolwiek mniej delikatnie, niż pszczoła ssie kielichy kwiatów. Oblizywała ona palce i obcierała usta świecące, raz serwetą, drugi raz swoją chustką do nosa.

Wniesiono drugie danie; rozmowa też ożywiła się, tylko mój sąsiad z lewej strony zachowywał powagę godną grzechotnika w butelce spirytusu. Z najwyższą pogardą odtrącał wszelkie ofiarowane sobie mięsne potrawy, pod względem napoju zadawałnią się wodą. Nagle pochylił się ku mnie i zapytał, tonem poważnym, dotąd w uchu mi brzęczącym:

— Pan należysz do mięsożernych?

— Oczywiście! — odrzekłem, zdziwiony zapytaniem.

— Ja należę do trawożernych, co najlepiej sprzyja zdrowiu, mój panie. Adam i Ewa nie jadali mięsa w raju; dowiedziono też, iż Hindusowie czczący zwierzęta, nigdy nie zabijają ludzi.

— A, mój panie, czybyś nie mógł przekształcić wszystkich niemieckich żołnierzy na trawożerców?

— Pracujemy nad tém — odrzekł poważnie — i dokonamy tego z pomocą Bożą. Na kongresie „wegetarianów“ niemieckich, odbytym w roku zeszłym w Monachium, rozwinął p. Henschke w sposób nader wymowny zasadę wegetarianizmu, dowodząc, że zwolennicy jój, będący przeciwnikami wszelkiego krwi rozlewu, powinni się zobowiązać, żeby nigdy nie brali udziału w wojnie. Zakończył wnioskiem, abyśmy wnieśli prośbę do Reichstag'u, o uwolnienie wszystkich wegetarianów od służby wojskowej.

— Z pewnością przysporzyłoby wam podobne prawo zwolenników.

— Ależ my nie tworzymy sekty żadnej; wegetarianie nie krepują się zgoła religijnemi względami.

— Tém większą mają zasługę...

— Oto, mój panie -- dodał, dobywając z kieszeni broszurkę w różowej oprawie — widzisz pan rozprawę, jaką przedłożyłem na kongresie, zebrany

w Kolonii 7 Czerwca. Mianowicie uwypatniłem w niej korzyści wegeterianizmu, pod względem rozwoju estetycznego pięknych form kobiecych. Rzecz to dowiedziona, iż damy należące do naszego stowarzyszenia, posiadają kształty delikatniejsze i rysy czystsze, nad owe, które jedzą mięso i piją piwo albo wino. Cera naszych pań celuje świeżością róż i lilii, nawet charakter ich licuje ze słodyczą diety, wybierającą na pokarm tylko najdelikatniejsze i najsmaczniejsze rośliny.

— Odkrycie ostatnie posiada nieocenioną wartość dla mężów.

— Mój panie, gdyby ludność Niemiec wyrzekła się rozgrzewającej diety z mięsiwa i alkoholu, nie tylko nie wzrastałaby się corocznie liczba występków i rozwodów, lecz przeciwnie zlagodniałyby obyczaje, więzienia wypróżniałyby się stopniowo, bogactwo publiczne wzrastało...

— Wszystko to stoi w pańskiej broszurze?

— Wszystko, mój panie. Stowarzyszenie nasze istnieje od r. 1868. Prezyduje nad nami pan Baltzer, pastor w Nordhausen.

— Wszak w tej miejscowości robią wódkę, przypadającą do smaku p. Bismarck'owi.

— Pan Bismarck należy do mięsożerców. My potępiamy wszelkie rodzaje alkoholu.

— Cóż powiadacie o piwie?

— Nawet piwo! Tylko syrop tolerujemy. Wracając do p. Baltzer'a, powiem panu, że takowy zajmuje się redakcją „Ogniska wegeterianów niemieckich.“ Dziesięć zeszytów rocznie... cena 15 franków. Wszystkie pocztowe kantory przyjmują przedpłatę... ja ją także przyjmuję.

— Broszura pańska wystarczy mi.

— Przyszłość świata polega na przyjęciu naszych



zasad. Nas tylko wolno nazwać spokojnymi i rozumnymi socyalistami. W dniu, w którym ludzkość powróci do dyety pokojowej, rozwiąże się kwestya społeczna. Ustaną wtedy wojny, ambicya, występki. Dyta roślinna wszystkie te rzeczy wyplewi i wiek złoty powróci światu.

— Z powrotem złotego wieku będzie miał każdy pieniądze?

— Oczywiście, więc znikną ubodzy i socjaliści. Tak, mój panie, zaród nowój cywilizacji kryje się w skromnej kartofli, rozwijającej się w roli niemieckiej, by z czasem światem zawładnąć. Przeczytaj pan moją broszurę, sam jój tytuł zawiera w sobie cały nasz program: „Pokarm przyszłości, czyli wyleczenie wszelkich chorób fizycznych, społecznych i moralnych, za pośrednictwem ziemniaków oraz innych jarzyn“ (\*).

Podano kawę. Muza za stołem, nie opuściła widelca podczas całej powyższej rozmowy i niekiedy strzelała do profesora omdlewającym spojrzeniem; obecnie nie dano jój łyżeczki: „*garçon*“ westchnęły więc jój usteczka. Ale *garçon* przeszedł, nie usłyszawszy westchnienia.

— Przepraszam panię — zauważał jój sąsiad, którego akcent zdradził mi berlińskie pochodzenie — może pani raczy przyjąć moją łyżeczkę, bo już wypilem kawę.

Ten delikatny dowód grzeczności niemieckiej nie zadziwi nikogo, ktokolwiek podróżował w północnych Niemczech i patrzył na Berlińczyków, siadających

---

(\*) Jakkolwiek fantastycznie brzmi cała powyższa rozmowa, zaręczam, iż powtórzyłem ją dosłownie. W Niemczech możnaby złożyć bibliotekę z dzieł o wegeterianizmie.

w cztery osoby przy stole i pijących piwo ze wspólnej szklanki, z rąk do rąk podawaną.

Wróciłem na pokład, przypominający warsztat, albowiem panie zohydzone niebieskimi okularami haftowały tam pantofle, podziwiając zarazem romantyczne widoki przyrzeczne, panienki rysowały w albumach podobizny starożytnego zamku wiszącego nad górą, a 3 młodzi oficerowie rozłożyli przed sobą strategiczną mapę Renu i studiując wąwozy i przejścia, uczyli się geografii w sposób praktyczny. Darmo świegotały za nimi dwie *miss* amerykańskie niby papużki; oficerowie zachowywali powagę, jak gdyby p. Moltke udzielał im lekcji.

Góry zniżają się koło Neuwied i zmieniając w pagórki, powiewające winnicami. Poeta Geibel przedstawia nam w jednej ze swoich ballad, jak Karol Wielki opuszcza w jesieni swoją pieczarę w Akwizgranie, aby pobłogosławić winnicom nadreńskim. „My zaś — dodaje ten poeta — napełniamy ich sokiem puhary i pijemy na cześć zapachu i waleczności niemieckiej.“ Heine, lepij miłujący prawdę niż Geibel — ten ostatni, mówiąc nawiasem, opiewał socjalizm w r. 1848, lecz upokorzył się za ten grzech w r. 1872 — Heine odmiennie się wyraża o „zapale i odwadze niemieckiej.“

Igrając słowami *folie* (szaleństwo, głupstwo) i *folie* (w listki), powiada on, iż na zielonych nadreńskich pagórkach wyrastają szaleństwa i ludzie upijają się błazeństwami białymi i czerwonymi; alluzya ta odnosi się do narodowych barw niemieckich.

Niemcy nie prędko trzeźwieją; dziś więc dopióro, po 5 latach upojenia, pozbywają się złudzeń sławy i krwi z roku 1871. Gdzież się budzą jednak? Pewien poseł do Reichstag'u, odpowiedział: „w więzieniu, a klucz od niego dzierży p. Bismarck.“

Neuwied, młode i nadobne miasteczko, przygląda się zalotnie swoim białym facyatom odzwierciedlonym w modrych nurtach. Pagórek za miastem wieńczy zielone winnice, a topole kolysane wiatrem chłodzą je nakształt wielkich wachlarzy, poruszanych niewidomą ręką. One dotąd szemrzą słodko drogie dla uszu francuzkich i heroiczne imiona Jourdan'a i Hoche'a. Tu ci jenerałowie Ren przebyli. Wprost Neuwied'u spostrzegamy śród drzew, nagrobek kształtu klasycznego, uwieńczony uciętą piramidą. Żołnierze wyryli na niej na cześć swego wodza słowa następujące:

L'ARMÉE DE SAMBRE ET MEUSE A SON GÉNÉRAL  
ET CHEF HOCHÉ.

Hoche umarł w 29 roku życia, w wiosce Wetzlaer, w której stanął główną kwaterą, po rozbiciu Austryaków, co oczekiwali go na wzgórzach Neuwied'u. Niektórzy twierdzą, że go otruto.

W niewielkiem oddaleniu od Neuwied dostrzegamy wysunięte fortyfikacye Koblencyi; wzgórze przybiera wojenną powierzchowność, stoki ich wznoszą się urwisto, kontury ich wyglądają dumnie i odrażająco. Cytadela Ehrenbreitenstein wznosi się na skale, grożąc niebu i ziemi. Mozella, wpływająca do Renu u bram Koblencyi, długo zachowuje w łożu pochłaniającej ją rzeki szmaragdową barwę swój wody, jakby niechętnie mieszając swoje francuzkie nurty z niemieckim prądem.

---



## VIII.

Koblencya.—Marceau.—Królewski zamek.—Emigracya francuzka.—Cesarzowa Augusta.—Jeńcy francuzcy.—Koblencya jako forteca i stacya flotyli niemieckiej.—Abdul-Aziz w Koblencyi.

Koblencya należy do najbardziej malowniczych miast nadreńskich; położenie u zlewu Renu i Mozelli uprzyjemnia pobyt w jej murach, czyniąc ją oraz fortecą pierwszorzędną. Domy jej rostaczają się nakształt amfiteatru, wśród miłej zieleni, z dala wyglądając nakształt stadka białych owiec, spoczywających na stokach pagórka.

Turysta goniący li za artystycznemi wrażeniami, spiesznie przebiegnie Koblencyą, albowiem pomniki starożytniej *Confluentia* rzymskiej składają się tylko z domu rycerzy zakonu niemieckiego, kościoła św. Kastora, który sięga 11-go stulecia i w którym kilka soborów się odbyło, oraz kościoła św. Floryana. Pałac arcybiskupi przerobiono na fabrykę blacharską. Gdzie niegdyś biskupów wyświęcano, obecnie wyrabiają rondle i patchnie. Wprost fabryki dostrzegamy most przeskakujący Mozellę na dwunastu łukach wybornie zaokrąglonych i uzbrojonych w izbice, prujące aksamitną powierzchnią rzeki. Dwie wieże czworosienne, przebite strzelnicami, uwieńczone zębatym pa-

rapetem i opatrzone strzelnicami, bronią przejścia mostu, zbudowanego za czasów arcybiskupa Baldwina luksemburskiego. Baldwin wzmocnił Ehrenbreitstein i wypędził ze wszystkich okolicznych zamków owych rycerzy i baronów, którzy wtedy oddawali się korzystnemu zajęciu, obecnie przez Prusaków uprawianemu z powodzeniem.

Za mostem wznosi się w ogrodzie piramida dźwignięta nad grobem generała Marceau.

Childe-Harold, w pielgrzymce swojej wzdłuż brzegu Renu, następującemi słowami odzywa się do bohatera, spoczywającego pod tym nagrobkiem: „Krótko żyłeś, lecz chlubnie! Dwie armie towarzyszyły twoim zwłokom, oplakiwali cię swoi i nieprzyjaciele! Przechodniu, zatrzymaj się przy tym pomniku i zmów pacierz za spoczynek téj walecznej duszy. Marceau, szermierz wolności, należał do téj małej liczby wybranych, co chwyciwszy broń w jój obronie, nie nadużywali groźnej potęgi, jaką takowa obdarza ludzi. Marceau zachował swoją nieskazitelność, więc go oplakiwano.“

W przypisku dodaje Byron, iż nocował w izbie, z którój okna czuwał Marceau przy świetle księżyca, nad obłętniczemi robotami dokoła Ehrenbreitenstein'u, gdy kula wpadła do niój tuż nad jego głowę.

Nad nowem miastem sterczy zamek królewski, zbudowany przez ostatniego elektora trierskiego w r. 1786. Hrabowie Provence i d'Artois, wespół z wielką lizbą emigrantów francuzkich, doznali w nim gościnnego przyjęcia. Elektor Wacław oddawał hrabiemu d'Artois hołdy, przypadające królowi Francyi. Urządzono tu ministerjum wojny, pod prezydencją marszałka Broglie, oraz korpus gwardyi, liczący przeszło 3,000 szlachty. Liczba emigrantów francuzkich mieszkających wówczas na lewym brzegu Renu wynosiła 40,000;

bataliony rojalistów zajmowały zaś rozmaite miasta nadreńskie. Pewien pisarz niemiecki wspomina, iż kwoli opłaceniu téj armii wychodząc, założono drukarnię fałszywych assygnatów. Ten sam pisarz wylicza z zadowoleniem imiona metres książąt d'Artois i Provence.

40 wielkich dam francuzkich żyło na dworze elektora, a pomimo przygotowań wojennych bawiono się tam, grano i tańczono z zapalem. Podczas karnawału odegrano tam nawet komedyjkę. Niemcy nigdy nie mogli wymówić nazwiska autora téj sztuki p. t. „Szczęśliwy arlekin,” przez Zembobowizinowiersolomizibilibiligowskiego.

Mieszkańcy Koblency zatrzymali w swoim narzeczu niemało zwrotów i wyrazów pół francuzkich. I tak *eponge* nazywają „spengel,” *corde* „cordel,” *huis* „buis-sier;” w podobny sposób mówią „platmenasz” (*plat-de-ménage*), „parali” (*parapluie*), „basteldemanes” (*baiser la main*) i t. p.

Po wcielenia Koblency do Prus, w r. 1815, zmieniono zamek na koszary. Z odbudowaniem Ehrenbreitenstein'u kosztem Francyi (co 15 mil. franków kosztowało) otynkowano jego mury; takowe zostały później letniem pomieszkaniem następcy tronu i księżnej Augusty. Wnętrze zamku nie skorzystało jednak, gdy królewscy jego właściciele doczekali się cesarskiej godności.

Wieczorem dostrzegamy czasem niewiastę, przechadzającą się samotnie, pomiędzy zielonemi kwiatami, łagodnie spadającemi aż do rzeki. Niewiasta ta, zwykle czarno ubrana, jest cesarzową Niemiec. Z rysów jéj i czoła spełzył odblask majestatu królewskiego; zasępiły się one i zasmuciły, nakszałt skał alpejskich, owianych mgłą wieczną.



Miała one serce poetyczne i niewinne, jak księcia wajmarskiego, owego przyjaciela nauki i sztuki, obdarzonego wysokiemi zaletami umysłu i serca. Przybyła ona do Berlina z głową pełną marzeń młodocianych, ufając że droga jęj życia wię się będzie śród cieniu, świergotu ptasząt i pięknych kwiatków. Zaledwie jednak upłynął miesiąc miodowy, weszło słońce krwawe. Miła ścieżka jęj wyobraźni przedstawiła się w rzeczywistości jako rozpadlina zawalona trupami i armatami, jako trzęsawisko z czerwonej posoki, zasępięone cieniami skrzydeł kruków, nad niem szybujących. Pozostawiając Wilhelma, by samotnie kroczył wzdłuż tęg zimnej doliny śmierci, sama schroniła się do stóp ołtarza, odnosząc serce wzgardzone i opuszczone do pocieszyciela najwyższego. Zachmurzył się duch jęj żywy i jasny, zmarszczyło się i pochyliło czoło, na którym niegdyś odbijały się myśli zdrowe i pogodne; kwoli złagodzeniu posępnęj religii Lutra ciężacęj nad sobą, otoczyła się ona obrazami uśmiechnięcęj madonny, śród aniołków pyzatyh i róż, pięknych męczenników o ciałach złamanych i przebityh, oraz świętyh, tonących w pełni zachwyty nad rozkoszami życia niebieskiego. Jęj kaplice wyglądają prawie jak świątynie katolickie. W owęj w zamku koblenckim, oddychamy wonią świec i kadzidła. Stoi tam ławeczka do modlenia, używana przez monarchinię, godna groty w Lourdes. Cesarzowa nigdy nie trzymała protestanckiego jałmużnika. *Abbé* Benard, ksiądz francuzki i katolik, rozdawał jęj jałmużny w Berlinie. Królowa ta przyszła do łóża swego konającęgo marszałka dworu, katolika, aby odmawiać pobożnie i głośno modlitwy odpowiednie takowęj okoliczności. Poezya i świetność katolickich obrzędów przemawiają do tęg duszy mistycznęj, rozczarowanęj, smutnie zagłębianęj

w własnych tajnikach. Ciężar korony tłoczy jój głowę; saska pasterka oplakuje wieńca z żółtych kłosów i oddałaby złotą swoją koronę, aby go ujrzyć raz jeszcze. „Jakżeż ci zazdroszczą, iż nie jesteś królową“—mówiła ona w lat kilka po wstąpieniu na tron swego małżonka, do jednej ze swoich przajaciółek. „Czy wiesz—powtarzała do innéj, której nazwisko moglibyśmy powtórzyć—o czem całe życie marzyłam? By zostać mieszczanką przy *Chaussée—d'Antin*, mieszkać w Paryżu i co wieczora chodzić do opery lub teatru *Français*.“

Odznacza się ona szczerością, skromnością i ludzkością. Dobroć i słodycz cechują tę księżniczkę, której portret podałem w innem dziele (Podróż po kraju miliardów), opisując zarazem wzruszającą scenę pomiędzy nią i cesarzem, w wilię wypowiedzenia wojny. Po bitwie po Froschviller wymogła na mężu, aby jeńcy francuzcy posełani do północnych prowincyj nie przeciągali przez ulice Berlina, którego ludność z góry się przygotowywała, do lżenia takowych i plwania im w twarz. Dzienniki berlińskie nie tały też swego niezadowolenia z tego kroku, niektóre nawet dopuściły się grubiańskich wyrzutów.

Od kiedy kanclerz zagarnął wpływ wszechwładny, cesarzowa żyje zdala od Berlina, spędzając jedną część roku w Charlottenburg'u a drugą w Koblencji. Cesarz zawsze tak się urządza, by nie zjechać do żadnego z wymienionych pałaców prędzej, niż w dwa albo trzy dni po wyjeździe małżonki. Wbrew madrygałom wojskowym, biblijnym, ewangelijnym i telegraficznym jakimi on ją zasypywał podczas kampanii francuzkiej, zażyłość małżonków odtąd ustała. Gdyby Augusta zgodziła się na pojednanie z p. Bismack'iem, możeby rzeczy inny obrót wzięły. Lecz

nigdy nie zdołano nakłonić tę księżniczkę dumną i niezawisłą, do przedsięwzięcia tak poniżającego kroku. Przeciwnie, wystąpiła ona stanowczo jako nieprzyjaciółka otwarta tego strasznego i mściwego kanclerza, którego p. Arnim tak trafnie określił, mówiąc: „że człowiek ten przypomina słonia, co trąbą swoją zmiata z drogi zarówno dwucentnarowe głązy, jak słomki.“

Ktokolwiek opierał się ludożercy z Wilhelmstrasse i ktokolwiek padał ofiarą kaprysów albo samowoli wszechmocnego mistrza, ten zaskarbiał łaskę cesarzowej Augusty. Córnica jój, W. Ks. badeńska pomagała jój w takowej walce, wyrażając myśli matki w Berlinie i Babelsbergu. Wreszcie skłoniła się cesarzowa do wzięcia p. Arnima pod swoją wysoką protekcję, chcąc go uczynić rywalem kanclerza. Lecz p. Arnim okazał się naczyniem glinianem, które pękło od pierwszego zetknięcia z naczyniem żelaznem; szczątki jego rozsypały się zaś na wszystkie strony.

Okropny popłoch panował w obrębie murów Kobleneyi w Grudniu 1870 r., cokolwiek przed Bożem Narodzeniem, a komendant fortecy uzbroił nawet starców i kobiety, albowiem pewien szpieg polityczny podsłuchiwał rozmowy kaprała, jeńca francuzkiego, z jeńcami szeregowcami. Podoficer przyrzekał żołnierzom na Boże Narodzenie *un reveillon*; niewinne to słowo przetłumaczono na *eine rebellion* (*reveillon* znaczy wieczór o północy, *rebellion* bunt), mieszkańcy barykadowali się w nocy w mieszkaniach swoich, oficerów francuzkich zainternowano w koszarach, a Ehrenbreitenstein zwrócił swoje działa w kierunku miasta. Podwojono odtąd srogość, już dawniej nieznośną, w obchodzeniu się z jeńcami. Kilku oficerów, którym zarzucano nieogłędne wyrazy w publicznych miejscach, wy-



słano bez śledztwa do fortec szlążkich. W regulaminie ułożonym dla zachowania porządku, wypowiedziano, iż każdy żołnierz pruski uważać się powinien za przełożonego żołnierzy francuzkich prawem pochodzenia. Francuzów zapominających o téj wyższości częstowano pałkami lub zakuwano w kajdany i zostawiono całemi godzinami na śniegu. W liście ogłoszonym 15 Stycznia 1871 r. w *Salut public* w Lyon'ie, a napisanym przez jeńca, czytamy: „Chcecie słyszeć o obchodzeniu się Prusaków z nami? Codziennie częstują nas ciosami pięścią lub butem. W razie najmniejszego wykroczenia przeciw przepisom, lub niespełnienia rozkazów niemieckich dla nas niezrozumiałych, wkładają na nasze szyje ciasne żelazne obręcze i przywiązują nas do pręgierza na godzinę, albo pół dnia, na mrozie od 15—20 stopni.“ W innych miejscach wypędzano ze szpitalów Francuzów niezupełnie wyleczonych i odzianych niedbale, kwoli przekonaniu ludności, że ci chorowici i nędzni ludzie nie mogą być nieprzyjaciołami groźnymi. Paki odzieży przysłanej z Anglii, Holandii, Belgii i Szwajcarii, nacechowane godłem krzyża czerwonego, wyprawiano do armii pruskiej, zaopatrując takową ciepłą odzieżą, kosztem miłosierdzia między-narodowego. Paki przysłane z Francyi rozdzielano pomiędzy rannych niemieckich i francuzkich. W lazaretach prowadzono handel haniebnym; pewne damy, patronki ambulansów, wciągały do rachunków nawet odzież osób umarłych, oddawaną na użytek rekonwalescentów (\*).

Koblencęg zmieniają na wzór Kolonii i Moguncyi w potężną warownię. Wzgórza panujące nad prawym

---

(\*) *Guere de la Prusse* przez T. Francoeur p. 561.

brzegiem Laahn'u uwieńczono bateriami, w Bellevue, i przy nowym moście na Renie postawią wysunięte zamki (\*).

Oficer angielski p. Charles Chesney, umiejętnie wyraził w *Macmillans Magazine*, że wojenne zadanie Prus polega na przygotowaniach takiego rodzaju, żeby dwom potężnym nieprzyjaciołom czoła nadstawić, czyli, żeby, wytrzymać jednocześnie atak Francyi i Rosyi. Przewidując ten groźny wypadek, nowe cesarstwo przygotowuje się stosownie i oględnie. Tylko ludzie nieoględni upatrują w groźnym pasmie fortect nad Renem i Mozellą bramę otwartą do powtórnego najazdu Francyi. Prusy w wojnie z Francją sam na sam, będą szukały otwartego pola walki, a Kolonia, Koblenca, Moguncya, Strassburg, posłużą jedynie na skład amunicyi i żywności, no co też mogłyby służyć, chociaż by ich nie ufortyfikowano. Nie silniejsza strona polega na pomocy fortect, ale słabsza. Prawdziwa wartość takowych okazałaby się dopiero w chwili, gdyby armii niemieckiej wypadło odpierać najazd francuzki, który to najazd wtedy tylko mógłby osiągnąć jakiekolwiek powodzenie, gdyby główne siły niemieckie musiały wystąpić przeciw innemu groźnemu nieprzyjacielowi, czyli Rossyi, uderzającej od wschodu, podczas gdy Francya uderzyłaby od zachodu. Kwoli

---

(\*) Prusacy wzmacniają fortyfikacye: Kolonii, Koblencyi, Moguncyi, Rastadt'u, Ulm'u; Spandawy, Kostrzynia, Poznania, Torunia, Głogowa i Nissy. Po ukończeniu téj pracy zabiorą się do wzmocnienia drugiej linii: Ingolstadu, Gdańska, Memla, Piławy, Swinemünde, Sonderburg'a i Sztralsundu. Ingolstadt zostanie rodzajem wielkiego wzmocnionego obozu, albo południowej Szpandawy. Przeniesą doń lejnie dział z Augsburga i fabrykę broni z Amberg'u. (*Gazeta Kolońska*, Lipiec 1867).

zasłonięciu się przeciw takowej podwójnej napaści, wyteżają Prusy swoje usiłowania.

15 Lutego 1874 r. wyrzekł sam p. Moltke, na posiedzeniu Reichstagu, następując poważne i trudne do zapomnienia słowa: „obecny etat pokojowy (a raczej wojenny) musi pozostać nietknięty, albowiem nikt nie zdoła przewidzieć dnia, w którym wypadnie postawić *dwa fronty zwrócone jednocześnie w dwie przeciwne strony...* Co niemcy zdobyły w pół roku, muszą one bronić przez *pół wieku*.“

Koblencya, wraz ze Szpandawą i Poznaniem, służy na skład artylerji pruskiej, składającej się z trzech parków, z których każdy liczy 2 dywizye, zamierające po 400 armat bronzowych i stalowych.

Koblencya przybrała także niemało znaczenia od czasu, gdy ją przeznaczono na port dla flotylli niemieckiej i monitorów Renu, tak zbudowanych, iż mogą popłynąć wzdłuż Mozelli, a nawet powyżej Strasburg'a. Każdy z tych monitorów zawiera załogę z 60 ludzi i oficerów; w razie wojny wzmocnią te załogi dodatkiem 50 piechoty. Małe te statki dźwigają dwa działa morskie, kalibru 12 centymetrów.

Prace fortyfikacyjne nad brzegami Renu, Mozelli i w Wogezach, kosztowały w przeciągu 3 lat przeszło pół miliarda franków. Wydatki tak przesadzone wnet doprowadziłyby Niemcy do bankructwa, gdyby Prusy nie zmieniły je w narzędzia pracy i środki do korzystnych aneksyj. Wojna prowadzona wedle systemu pp. Bismarck'a i Moltke'go zmienia się w operacyę przemysłową i spekulacyę handlową, gdyż zwyciężeni zwracają zwycięzcom miliardy, oddając nadto najbogatsze i najżyźniejsze prowincye. Ci, co narzekają na niemieckie wyrzucanie złota w fortcach nadreńskich i nadmorskich, raczą przypomnieć słowa pułko-



wnika Bohrstedt'a, który usłyszawszy o kontrybucyi 5 miliardowej zawołał: „Armia pruska „zarobiła“ takową sumę dla państwa, swoją walecznością, w przeciągu 10 tygodni; co dowodzi, iż dobre wojsko niezawsze przedstawia własność „jałową,“ jak utrzymują profesorowie ekonomii społecznej.“ Cesarz Wilhelm oświadczył 17 Stycznia 1871 r., iż nietylko zamierzał „dźwignąć cesarstwo bogobojności i czystych obyczajów,“ lecz ufał: „iż Bóg pozwoli i jemu i swoim następcom pozostać na wieczne czasy powiększycielami (*mehrer*) casarstwa.“ Autor dzieła: „Prusy i Francya w obec historii“ zauważył też słusznie, iż Prusy, dzięki niesłychanym swoim powodzeniom, wkroczyły na pochyłą równinę, po której muszą wciąż toczyć się i niszczyć; zupełne zatarcie Francyi z karty Europy stało się dla nich koniecznością, jakową tylko opóźniają szczątki sympatyi, tlejące dla Francyi w postronnych europejskich narodach. Owe miliardy zdobyte rozplyną się przed 10 laty, w obec budżetów rosnących tak szybko, iż wydatki w r. 1875 wynosiły 70 milionów franków nad owe z r. 1874.

Zapomnijmy jednak te ponure dumania i wróćmy do przeszłości Koblencyi, którą całą umajono różami, gdy biedny Abdul-Azis odwiedził tu króla i królowę pruską w r. 1867. Wracał on z wystawy paryskiej, na której Prusy go zadziwiły swojemi armatami. „Psy chrześcijańskie“ mieszkające w Koblencyi, przystroiły w celu uświetnienia jego przyjęcia, całe swoje miasto w chorągwie i girlandy; barwy pruskie i niemieckie mieszały się tam z muzułmańskimi, wznieziono rusztowanie dla widzów wzdłuż drogi naczelnika wiernych, wojsko utworzyło szpaler, król pruski przywdział bogaty, złoto-zółty strój jenerała huzarów, a na dworcu oczekiwało dostojnego Turka całe posel-

stwo z młodych dziewic niemieckich, w muszlinowych sukienkach, z bukietami różanemi i dobrymi chęciami. Abdul-Azis, chociaż nigdy nie podróżował bez kilku tuzinów chustek, wyczerpał ten zapas w przeciągu kilku minut.

Człowiek ten już w ówczas otyły i otrętwiały, spoglądał do koła wzrokiem zamglonym i znudzonym. O zachodzie słońca urządzono przejażdżkę w łodziach, po niej illuminacyę i ognie sztuczne. Sułtan jednakże wymówił przez cały ten wieczór tylko dwa francuzkie wyrazy: „*suis heureux*.”

Patrząc z drugiego świata, w którym go otaczają huryski, na ten nasz padół, może Abdul-Azis tem słuszniej powtórzyć: „*suis heureux*.”

## IX.

Ludy nadreńskie pod jarzmem pruskiem. — Pamflet Konrada de Bolanden. — Nieprzyjaciele cesarstwa. — Pasza. — Ludność nadreńska i rewolucya francuzka. — Niemcy w końcu XVIII wieku. — Napoleon w Kolonii. — Aneksya prowincyj nadreńskich i rząd pruski.

Pomimo corocznój obecności cesarzowej nad brzegami Renu, coraz widoczniej się zaciera pomiędzy tubylcami uszanowanie dla dynastyi. Co dnia opowiadają tu zdarzenia, źle wróżące o stałości narodu i trwałości korony.

Trybunał w Kliwie ukarał niedawno 4 chłopców ze wsi poblizkiej, za porwanie ze szkoły olejnego portretu cesarza i spalenie go na publicznej targowicy.

Przed miesiącem ukarał trybunał w Koblencji 5 młodych ludzi z Adenau, oskarżonych o obrazę majestatu. Pozwolili oni sobie odbić nos cesarski z biustu, pobożnie wystawionego ku czci wiernych poddanych, między dwoma świecami i dwoma wazonkami kwiatów, na oknie domu szkolnego w Andenau, w wilię cesarskich imienin.

Wiadomo, iż w celu odróżnienia się od urodzonych Prusaków, mieszkańcy nadreńscy nazywają się: „Prusakami Renu.“

Nienawidzą oni północnych Prusaków na równi



z Bawarczykami. Przed kilku dniami, na dworcu w Koblencyi, cokolwiek przed odjazdem pociągu, konduktorowie sprawdzali bilety podróżników. W jednym z wagonów, próżnym zresztą, znaleźli oni oficera pruskiego, posiadającego bilet na pociąg wojskowy, który już odjechał. Konduktor poprosił go grzecznie, aby wysiadł.

— Nieruszę z miejsca—mówił oficer.

Sam inspektor przyszedł doń z prośbą, aby wysiadł.

— Nieruszę z miejsca — powtarzał.

Wołają naczelnika dworca; ten podobną słyszy odpowiedź.

— Dobrze, nieruszaj się — odrzekł naczelnik, zamykając drzwiczki.

Dał więc znak odjazdu, lokomotywa świsnęła, a pociąg odjechał.

Wagon oficera został jednak na miejscu, wśród szuderstw służby kolejowej.

Odpięto go od pociągu.

Ubóstwo, jakiemu na pastwę rzucono arcybiskupa kolońskiego, przysłanie żołnierzy w celu rozpedzenia tłumów chłopów, którzy się zbiegli do mniemanego cudownego miejsca, codzienne dokuczanie katolickiej części ludności, wszystko to nie przysparza zgoda przywiązania Nadreńczyków do rodziny Hohenzollerów. Fakt ten stwierdzili dziennikarze, wglądające w usposobienie tubylców. Oburzenie takowe nieprędko jednak nam się objawia, albowiem cierpliwość niemiecka równa się cierpliwości wołu, wedle słów bawarskiego przysłowia; ludność nadreńska posiada też zapas wesołości i dobrego humoru, który najpierw uderza podróżnika, tak, że niełatwo dostrzedz daje się głębokie niezadowolenie, wywołane zatargami religijnymi. Dzien-

niki katolickie, odzwierciadlają to podwójne życie Nadreńczyków. I tak, w jednym z nich spotykamy na pierwszej stronnicy opis prześladowań cierpianych przez pewnego wikaryusza, którego ścigano i uwięziono za odprawienie mszy jednej, na czwartej zaś stronnicy zapraszają czytelników katolickich na zabawy i koncerta. Okoliczność tę nie prześlepiają dzienniki liberalne i co dnia wyrzucają katolikom, że ci bawią się i tańczą z zapalem, więc nie mogą czuć wielkiego smutku i że w istocie, mało takowych obchodzi żałoba kościoła. Te zarzuty nie utworzono bez cienia podstawy, albowiem katolicy nadreńscy pozostali nadewszystko Niemcami i nie odmówiliby sobie ani jednego kufła piwa w dniu, w którymby wszystkich biskupów aresztowano, albo wygnano wszystkich proboszczów.

Pan Reischenperger zapewnił w sejmie pruskim, iż katolicy uznają prawa majowe w tém znaczeniu, że znoszą cierpliwie kary przez nie nakładane, chociaż sumienie nie pozwala im wypełniać rozkazów tego prawa. Ztąd jeden z włoskich mężów stanu powiedział: „że nowoczesne Niemcy przedstawiają jedyny na świecie obraz kraju, w którym znajduje się stronnictwo, uważające „ślepe“ posłuszeństwo względem praw uchwalonych, za swój obowiązek. Takowe zrzeczenie się poczucia słuszności, prowadzące do niewoli, nie mogłoby się powtórzyć w kraju łacińskim.“

Jednym z dowodów opozycji cichój i niegwałtownej, można nazwać liczne broszury, których kolce do krwi drażnią czulą skórę p. Bismarck'a. Ksiądz nadreński piszący pod pseudonimem Konrada de Bohlanden, uzyskał niezmierną popularność pismami tego rodzaju. Ogłosił on 5 broszur od czasu „nowej ery;“ niektóre z nich sprzedano w ilości 350,000 egzempla-

rzy. Używa on w tych pismach alluzji, jak szkło przezroczystych. W r. 1875 napisał ten autor: „Nieprzyjaciół cesarstwa.“ W książce téj przedstawia on tkliwie prześladowanie chrześcian, pod panowaniem Dyoklecjana. Piérwszy minister tego cesarza, nazwany z początku *Marcus Trebonius*, zawojowuje schorzały umysł monarchy. W dalszym ciągu dzieła nazywa autor owego ministra wprost: *Marc*, przedstawiając go w postaci człowieka o groźnych rysach twarzy i potężnej tuszy. Ten mąż stanu posiada czaszkę огоłoczoną z włosów, nakształt obcych sakiewek, co przez jego ręce przeszły. Oczy jego kryją się pod brwiami, gęstemi, jak krzaki. Ramiona posiada potężne i długie; brzuch nakształt trojańskiego konia. Rzym drży pod jego stopami; gdy przemawia, narody oddech tłumią. Cesarz uważał przyjaźń jego za dobrodziejstwo niebieskie, więc go obdarzył tytułami i mieniem, oraz polecił mu urządzenie cesarstwa na wzór zegara. Marc posuwa więc i cofa dowolnie igły tego zegara, a cały swój nowy gmach polityczny buduje na podstawie jednej igły. Minister tak potężny i światły nie mógł obejść się bez nieprzyjaciół, którzy intrygowali przeciw niemu. Wreszcie Dioklecjan porzuca rozpustę i staje się nabożnisiem, uznaje Boga chrześcian, których Marc prześladował i nawraca się. Nakazuje on więc pojmać człowieka, co tyle dziewic rzucił na pastwę dzikim zwierzętom, lecz Marc ucieka i błądzi po polach, póki niebieska zemsta nie zapędza go na zgubę w trzęsawicy, gdzie dzikie zwierzęta pożerają go prawem słusznego wymiaru kary.

Ostatnią broszurę Bohlanden'a p. t. „Pasza,“ zabrała policya. Pasza ten znów przedstawia pana Bis-marck'a, chociaż scenę przeniesiono do Hercogowiny.



Szwajcar Ostermann odwiedza ten kraj, w celu szkicowania typów narodowych. Bismarck-Pasza pragnie oglądać rysunki podróżnika.

— Z przyjemnością — rzecze Ostermann, otwierając album.

Pasza ogląda pierwszy rysunek z uwagą; przedstawia on kilka chat i grupę Hercogowińczyków. Na pierwszym planie, dokoła chat, spostrzega pasza poborców, gwałtem zbierających roczną daninę od chłopów. Uprawdżają oni ostatnią, nędzną i głodem wycieńczoną krowę jednego z włościan. Inni żołnierze wynoszą łóżka i sprzęty z chaty i pakują takowe na wozy. Włościanie spoglądają na nich z miną zupełnie przygnębioną temi nieszczęściami.

Cały ten obraz przedstawiał scenę spustoszenia. Napis pod rysunkiem brzmiał zaś:

*Ostatnie podatki w Hercogowinie.*

Pasza długo wpatrywał się w szkic ten w milczeniu:

— Panie Ostermann — rzecze wreszcie — winszuję panu; nie tylko bowiem rysujesz po mistrzowsku, ale ołówek twój wiernie odzwierciadla prawdę. Zobaczymy dalsze szkice.

Przedstawiały one prześladowanie katolickich księży.

— Panie Ostermann — rzekł pasza żywo — pozwól mi raz jeszcze wynurzyć swoje podziwienie dla twego talentu. Zobaczymy się raz jeszcze, zresztą.

Wymówiwszy te słowa, pociągnął on swego gościa do przyległej komnaty, w której zobaczyli psa ogromnego. Brytan przyjął cudzoziemca warczeniem, a gdy

takowy usiadł obok paszy przy stole karcianym, pies leżał obok swego pana (\*).

— Pan niezagrzebiész pewno swoje rysunki w tece — mówił Mustafa — lecz zapewne wydasz je na widok publiczny?

— Rysuję dla illustrowanych dzienników francuzkich.

— Pańskie szkice nie przysporzą Turcyi przyjaciół — rzekł pasza z uśmiechem. — Francuzi, naród ludzki, zniechęcą się ku nam. Nie możesz zresztą zaprzeczyć, iż studya twoje krytykują cokolwiek ostro nasz tryb rządzenia.

— Powtarzam tylko, na co patrzyłem własnemi oczyma.

— Prawda, lecz pracowałeś tendencyjnie, mało więc obchodzi polityków, że praca twoja odzwierciadla prawdę. Zadaniem sztuki i prasy nie powinno być

(\*) *Gazeta Psów* — organ wyłącznie psom poświęcony w nowém cesarstwie — opisywała niedawno psa, zaszczyconego przyjęciem do koła rodzinnego p. Bismarck'a. Wabi się on: Sułtanem. Ten pies cesarski (*Reichshund*), należy do rasy ulmskiej, ma lat 6, jest czarnéj maści, mierzy 77 centymetrów wysokości i został darowany kanclerzowi przez hrabiego de Holstein, z Bawarii. To jaśnie oświecone psisko strzeże biura swojego pana. Celuje ono zwykle dobrym humorem i grzecznością dla gości, lecz umie téż zęby szczerzyć, jeżeli mu każą. Sułtan ma potomstwo, syn jego należy do ministra oświaty, Falk'a. Starego psa bardzo lubią w domu kanclerza; bawi on zawsze przy boku księcia, nawet w obecności najdostojniejszych gości, rozwala się w jadalni i otrzymuje dobre kąski, a tajny radca p. Lotariusz Bucher zapewnia, że ten pies nauczy się wkrótce odprowadzać gości do stołu, wnosząc z niepospolitego jego rozumu, nauki i rozgarnienia.

rozszerzanie zdań niezgodnych z polityką rządu. Weź Niemcy na przykład; tam tłumią srogo najcichsze słowo oporu, ztąd też państwo to cieszy się powagą na zewnątrz. Gdybyś studyował to cesarstwo, mógłbyś jeszcze ciekawsze szkice zebrać.

— Niełatwobym tam ujrzał, co tu przed chwilą widziałem...

— Cóżeś widział?

Ostermann opowiedział jak w jego oczach obchodzono się okrutnie z księdzem.

— Czy myślisz, że patrzyłeś na niewinnego człowieka? — zauważał pasza. — Przeciwnie, zasłużył on na podobne obejście, będąc wrogiem zaciekłym i niepoprawnym cesarstwa. Jako Szwajcar wiiesz, że z podobnymi ludźmi i w kantonie berneńskim nielepij postąpiono, wypędzając ztamtąd wszystkich księży na wygnanie. Czyż podobna ukarać srożej człowieka, niż wypędzając go z ojczyzny? Zresztą rząd berneński postąpił bardzo roztropnie, albowiem trudno rządowi jakimkolwiek tolerować ludzi, posłusznych władzy zagranicznej; księża katolicy słuchają zaś papieża.

— Tylko w kwestyach religijnych...

— Może i w politycznych — odrzekł pasza. — Każdy roztropny rząd przedsiębrał więc środki ostrożności, przeciw téj potędze duchownej, tworzącej państwo w państwie. Jedynym najwyższym i nieodpowiedzialnym sędzią własnych czynów, może być tylko państwo.

— Więc państwo — pytał artysta — staje się Bogiem?

— Jest ono nim! Chrześcianie mają biblię pouczającą: „bądźcie posłusznymi władzy, albowiem takowa pochodzi od Boga!“ Zmieniając cokolwiek tekst rozkazu, otrzymujemy prawdziwą zasadę: „bądźcie po-



słusznymi władzy państwa, gdyż takowa pochodzi od Boga!“

— Jeżeli państwo stało się Bogiem, cóż naród przedstawia?

— Posłusznego i pokornego sługę Boga — odrzekł Mustafa — kwoli płaceniu podatków, dostarczaniu żołnierzy i biernemu słuchaniu majestatu prawa. Pies albo inne zwierzę nieposłuszne panu, na nicby się nie zdało.

— Lecz religia — twierdził Ostermann — uczy przeciwnie, że człek grzeszy, zniżając się do poziomu zwierzęcego, albo niewolnictwa względem państwa. Bez religii zaś, narody wpadają w anarchię. We Francyi, królowie posiadali władzę nieograniczoną nad kościołem i państwem. Nie mogąc zniszczyć pierwszego, zmienili go w maszynę, kwoli rządzeniu narodem. Niedowiarstwo i zepsucie poczęły się u tronu, przeszły do duchowieństwa i zaraziły rdzeń narodu; rewolucya roku 1789 stała się wreszcie koniecznością. Takie owoce wydaje tyrania i religia, służąca za narzędzie państwu. Historia dawno tego dowiodła, a nasze państwo nie ujdzie kary, która inne już dosięgła, za lekceważenie zasady, że religię nie wolno zamieniać na narzędzie polityki.

Nie dziwujmy się wcale, iż pióro p. Bohlanden'a dopomina się o rozdzielenie kościoła i państwa. Katoolicy niemieccy wołają o ten rozdział tak głośno, iż być może, że pan Bismarck zgodzi się na to, aby zakończyć spór religijny, trwający lat 5, którego wyniku i dnia ostatniego, nikt przewidzieć nie zdoła.

Ludność nadreńska z natury swojej nie nawidzi despotyzmu; rewolucyę francuzką witała ona, jako jutrznię wolności. Klubiści Koblencyi, Kolonii i Moguncyi, uważając się zaraz po wzięciu Bastylli za oby-

wateli francuzkich, zabrali się do dzieła nad połączeniem obu krajów. Moguncyę wydano wojskom francuzkim, gazety cieszyły się z tak przykrego uszczerbku dla cesarstwa niemieckiego, pisząc że 10 Grudnia 1797 r. (dniu kapitulacyi Moguncyi) umarł w Ratyzbonie władca, który dożył lat 955, miesięcy 5 i dni 28, pasąc się niewinnie na pastwiskach ojców swoich, znośząc strzyżę z cierpliwością owcy i przez cały tok żywota odznaczając się słodyczą i potulnością długouchęj oślicy.

Łatwo zrozumiemy przyczynę tak gorliwego przyjęcia hasła wyzwolenia, pomnąc, iż ówczesny Niemcy, podzielone na mikroskopijne księstwa, podlegały rzeszy samowładców, którzy ogłocili miasta z przywilejów municypalnych, frymarczyli sprawiedliwość, sprzedawali ciała swoich poddanych, tu szczuli protestantów, tam katolików, wszędzie zaś żydów, których kaci palili na placach publicznych książki wołające o wolność myśli, co nie utrzymywali szkółek, lecz hojnie łożyli na swoje seraje. Margrabia Karol-Wilhelm I badeński, urządził swój ogród w Karlsruhe wedle planu raju Mahometa; owe 160 dziewcząt towarzyszących mu za dnia w mundurach huzarskich, tańczyły wieczorem w balecie lubieżnym, przy ażurowem świetle kinkietów. W Bawaryi służyły szubienice za drogokazy i stosy gorzały na placach, w Mnichowie istniały tortury, a co tygodnia oglądano tam dwa lub trzy męczeństwa. „Obydwa Meklemburgi—pisze p. Stein—przedstawiały obraz równiny bez mieszkańców; połowę ziemi zostawiano tam na pastwisko, dla trzód pańskich, druga połowa leżała odłogiem. Ludność robocza zostawała w stanie najcięższej niewoli, a mieszkania szlachty meklemburskiej przypominały jaskinie dzikich zwierząt, co zniszczywszy wszystko do

koła, otoczyły się ciszą grobową.“ Elektor Dwóch-Mostów trzymał 1,500 koni 4,000 psów i kotów, oraz zmuszał chłopów mijających jego bramę zamkową do uchylania kapeluszy, córki ich zaś zabierał dla zabawy sąsiednich panów, odwiedzających go w porze polowania. Landgraf heski sprzedał swoje pułki Anglikom, którzy je wysłali do Ameryki (\*). Książę Anspach'u sprzedał w podobny sposób 1,500 chłopów. Pewien udzielny hrabia utrzymywał wojsko, złożone z 2 kawalerzystów, 6 oficerów i jednego pułkownika. Udzielni baronowie na państewkach niewiększych od ogrodów, trzymali 2 urzędników; jednemu z nich, w mundurze złotem szamerowanym, kłaniali się chłopci uniżenie, nazywając go „jaśnie oświeconym radcą dworu,“ drugiego, w mundurze karmazynowym, unikali jak ognia, albowiem on czuwał nad szubienicą. Dwory książąt duchownych nie uznawały prawie zwierzchnictwa Rzymu, oraz dawały powód do niezliczonych skandalów. Książę—prymas moguncki utrzymywał trzy metresy i kazał swojemu bibliotekarzowi, Heinse'mu, odczytywać sobie głośno rozwiożłe książki.

Stary ten gmach tyranii gotyckiej i feudalnej samowoli, zachwiał się od wstrząśnienia wywołanego upadkiem królestwa we Francyi. Lud burzył się, wołając: „niech żyje wolność.“ Książęta świętego cesarstwa zlekli się, więc wojna stała się nieuniknioną, chociaż do owiej pory nie dzieliła jeszcze te dwa sąsiednie narody nienawiść rasowa, ani Francya nie stała się dla Niemiec wrogiem „tradycyjnym.“ Prze-

---

(\*) Do dziś przechowała się żywo w Ameryce, pamięć tych heskich najeźdźców, a lud Yankesów nie zna sroższego lżenia, nad wyrazy: *you bloody Hessian* (ty krwawy Hessayczyku).



ciwnie, naród witał żołnierzy rzeczypospolitej jako braci i oswobodzicieli; od Spiry do Bingen, pisze Foster, wołano jednogłośnie o uznanie rzeczypospolitej francuskiej oraz przyłączenie się do niej.“ W miastach wznoszono żerdzie wolności, obchodzono święto „bratniego połączenia z narodem francuskim“, a Goerres pisał, że przyroda wygrzebała padół Renu, aby służył za granicę Francji.

Nietylko Kolonia, której domostwa już poczynają się zmieniać w zwaliska, lecz oraz Moguncya i Kolblencya odżyły i wzbogacać się poczęły. Chłopi zostawali panami ziemi. „Sprzedawszy swoje zboże w mieście, pisze Pertchez, przebierali oni w najlepszych winach, grali o talary a nawet napoleondory, i przechwalali się w karczmach ze swoich bogactw.“ Gdy Napoleon odwiedził Kolonią, ogłosił on takową miastem wolnem oraz założył w niej szkoły i szpitale. W Moguncyi wykonano z jego polecenia znaczne i upiększające roboty. Z żadnym zawojowanym krajem nie obchodzono się oględniej i łagodniej. Węzły przyjaźni łączyły kraje nadreńskie z Francją, co dnia zaś ścieśniały się takowe serdeczniej. „W r. 1814 pisze p. Rambaud, rozpaczali mieszkańcy po niemieckiej stronie Renu, gdy ich oderwano od Francji, pod pozorem rewindykacyi do Prus.“ Książę elektor heski, wstępując wówczas na tron, zawołał: „przez lat 8 spałem tylko.“

W istocie, wrócono do porządku istniejącego przed jego uśnięciem, odprawiono wyższych urzędników króla Heronima, skasowano oficerów, zaprowadzono napowrót w wojsku harcapy i peruki, zabroniono wszystkim osobom niezajmującym wyższych posad urzędowych używać tytułu: *monsieur* i przy-

wrócono wszystkie daniny poddańcze, zniesione przez Napoleona.

Właścicielom dóbr narodowych kupionych od króla Hieronima odebrano takowe, bez najmniejszego wynagrodzenia; długi swojego syna—200,000 talarów—zapłacił książę heski z kassy państwa, wreszcie ofiarował stanom rząd konstytucyjny i parlament za okrągłą sumkę 4 milionów talarów. Pana de Goht kazał zamknąć do kozy, gdyż ten obywatel urządził balik, podczas gdy monarchini przebywała chorobę.

Ruch republikański powtórnie się okazał w r. 1830, po upadku Burbonów, co posłużyło za wymówkę do usunięcia kodeksu napoleońskiego, uważanego przez naród za dobrodziejstwo publiczne i wprowadzenia praw pruskich, z całym swoim drobiazgowym słuźalstwem, brakiem jawności i zamiłowaniem w wyjątkowych paragrafach. Kije i biczowanie przywrócono już w r. 1824, na mocy ministeryalnego rozkazu, reskryptami wyliczającego wypadki, w których kara cielesna ma spotykać występców, polecające także, aby kobietom nie wymierzano karę na obnażone plecy jak mężczyznom, oraz żeby przed wymiarem tego rodzaju kary, ubierano je w majtki, dla zachowania pozorów przyzwoitości. Przynać wypada że żaden trybunał nie odważył się traktować kobiety wedle tego zbyt „pruskiego“ prawa. Wolność osobista i wolność druku stały się pośmiewiskiem. Gazetom piszącym o niektórych narodach wzbroniono dodawania przymiotnika: „waleczny,“ przed nazwiskiem ludu, a na tłómaczeniu „Boskiej komedyi,“ wykreślono słowo: „boska,“ twierdząc, że rzeczy boskie nie licują z komedią.

Poetę Arnd'ta podciągnięto pod dozór policyjny

i usunięto z katedry nauczycielskiej. Uczony Goerres żądał bezwocnie sądu przysięgłych i pisał: „nasze trybunały karzą na wzór morderców — z ukrycia.“

Z nadreńczykami obchodzono się jak z narodem zawojowanym, zupełnie jak dziś traktują Alzacyków i Lotaryńczyków. Urzęda rozdawano tylko Prusakom, równość obywateli zniesiono, dzieląc takowych na kasty; nawet chciano przewrócić przywileje szlachty zużołej.

Działo się to w obec proklamacyi, wydanėj przez króla pruskiego, w dniu zajęcia tych krajów, w którėj przypomniano tubylcom, że Francuzi, „ten najnikczemniejszy naród,“ obarczali ich podatkami, znieważali lub pogardliwie traktowali niewiasty, opłacali szpiegów, zarażali rozwiążłością obyczajów i niedowiarstwem, używali „religij ową świętą“ jako płaszczyk, w celu nagięcia ludu do woli człowieka, który w Egipcie czcił Mahometa, a w Europie więził papieża. Proklamacya przyrzekała Nadreńczykom, iż ani oszustwo, ani szpiegostwo, ani tajne oskarżenia ścigać ich nadal nie będą, oraz że wolno im będzie żyć spokojnie w swoich dworach i chatach.

Prasa opłacana przez rząd berliński nie szczędziła usiłowań, kwoli wyplewieniu szczątek sympatyi do Francyi, posługując się oszczerstwami, choćby najniezręczniejszemi, budząc dawne zawiści, wskrzeszając stare przesady, przekręcając historię, tworząc Francją fantastyczną, zamiłowaną w Robertach Macaire i Croque-mitaine. Korespondentom pruskim bawiącym w Paryżu, polecono szczególnie wartować archiwów sądowe i zbierać szkandale uliczne, w celu przedstawienia narodu francuzkiego w postaci ludu upadłego



i znikczemuionego, bez czci i moralności, w którego sercu zamarły wszelkie uczciwe uczucia.

„Niektóre osoby chorujące na manię co dostrzega wszędzie sympatyi — pisze p. de Failly w r. 1842,— oraz patrząc na zamięłowanie Nadreńczyków w ustawach francuzkich, uwierzyły, jakoby tubylce czuli przywiązanie do Francyi. Obłęd ten zaliczam do niebezpiecznych, gdyż nie wypada liczyć na zasoby, jakowych nie posiadamy i których brak da się uczuć dotkliwie w chwili niebezpieczeństwa. Mówmy prawdę, bez względu, że razi nas boleśnie. Dawna sympatya dla Francyi znikła w krajach nadreńskich—zagładziły ją pruskie zabiegi.“

Pocziwy kupiec moguncki miał więc racyą, gdy od rana do wieczora powtarzał młodemu pojmanemu żuawowi, Albertowi Duruy, że w r. 1870, Francuzi nie rozumieli zgoła stosunków niemieckich:

„Nie podróżujecie—mówił on—i nie uczycie się naszego języka. Powiedziano wam, że staniemy po waszej stronie, że w chwili waszego wkroczenia do Palatynatu, Bawarya i Wirtembergja przeciw Prusom powstaną. Uwierzyliście tym zapewnieniom, polegając na słowie swoich dyplomatów, co was oszukiwali i oświadczeniu swojego rządu, w którego interesie leżało, żeby was zapewnić, iż oczekujemy waszego przybycia. Gdybyście byli sobie zadali cokolwiek pracy i czytali nasze dzienniki, albo utrzymywali korespondentów w naszym kraju, prędko byłaby wam łuska z oczu opadła; wy jednak nie pojmujecie użytku policyi. Dyplomaci wasi nie zapominają, iż są urzędnikami; agentów waszych opłaca p. Bismarek i pasporty im daje; waszych korespondentów, z wyjątkiem jednego albo dwóch, wypada zaliczyć do rządu osłów. Nie chcemy uchodzić

za Prusaków, lecz chcemy zostać Niemcami. Kochamy nasz Ren i chcemy go zatrzymać. Sami nie czujemy dość siły do tego, więc im bardziej nam grozicie, tém stałej do Prus Igniemy.“

Nadreńczycy czują się Niemcami i to dobrymi Niemcami; jeżeli nie rozwinęła się w ich sercach miłość do Prus, nienawiść Francyi tam kwitnie—co wystarcza dla Berlina.

## X.

Niektóre ruiny. — Stolzenfels. — Lahneckburg. — Rheinfels. — Sternberg i Liebenstein. — Saint-Gaur. — Oberwesel. — Bingen. — Johannisberg. — Uroczystość winobrania. — Wieczór nad Renem. — Przypomnienia poetyczne. — Lorelei i Małgorzata. — Wojownicza literatura Renu.

Wyjchem z Koblencyi nazajutrz w dzień biały, mijając na statku podnóże Stolzenfels'u, zamku odnowionego przez Fryderyka-Wilhelma, wznoszącego się pysznie na opoocy stumetrowej wysokości. Freski zewnętrzne przedstawiają na nim odwiedziny hrabiego Palatyna Ruperta, obranego cesarzem Niemiec, do elektora Trewiry, rezydującego w zamku Stolzenfels. Przed przybyciem do Maxburg'a, mijamy inny zamek zwany Lahneckburg'iem. Całe to pobrażę Renu zasiewają opustoszałe wieże—stare dekoracye historyczne tej religijnej i wojowniczej rzeki. Zamki pustelnicze sterczą tu w odstępach, bodąc błękitne niebo swojemi sylwetkami smętnemi, na wylot poprzebijanemi i otulonemi bluszczem, nakształt hidalgów w płaszczach dziurawych. Ruina Rheinfels'u wygląda najwspaniałej ze wszystkich. Hrabia rozbójnik, co ze szczytu tego orlego gniazda panował nad rzeką, górami i padołem, opierał się skutecznie cesarzowi i jego wojskom, zniósł 15 miesięczne oblężenie i wreszcie wygnał nieprzyja-



ciela. W r. 1794 poddał się Rheinfels, zmieniony już na nowoczesną fortecę, po pierwszém wezwaniu armii *Sambre-et-Meuse*, która wysadziła go w powietrze. Ten malowniczy zbiór ruin, nad którym przyroda rozciągnęła łaskawie płaszcz zieleni, naksztalt zasłony zapomnienia, należy do króla pruskiego. Dzikie schronienie łotrów zmieniło się w miły przytułek kwiatów i ptaków; pierwsze oplatają je wianuszkami, drugie rozwesalają śpiewami. Padół zwęza się tu, Ren huczy, kipi i potrząsa grzywą fal spienionych. Po każdej stronie wieszają się stare jodły; tu spostrzegamy skały wilgotne, mchem obite, ozdobione długimi stalaktytami; ich mruczace echa budzi nasz parowiec; tam otwierają się wąwoziki leśne, świeże i tajemnicze; dworki białe uchylają naksztalt ciekawych dziewcząt rąbki zielonej zasłony i podglądają nasz przejazd. Ta część krajobrazu posiada wdzięk sielskiego spoczynku. Te dachy samotne zachwycają nas; ach, jak słodko i spokojnie upływa zapewne życie pod niemi, w obec tych wód czystych, których mruczenie nie zachowało ani jednego tonu, z jęków przeszłowiekowych. Przyroda wyrzeźbiła ten krajobraz paluszkami czarodziejek, obdarzając ziemię rozkosznymi konturami, strojąc ją w delikatną mchu szatę, opasując jęj kibić srebrną szarfą kaskady, łono jęj zlewając wonią kwiatów, a dla zabezpieczenia jęj od grotów słonecznych, rozpinając ponad nią baldakin świeżej zieleni.

Oto patrzymy na ruiny Sternberg'u i Liebenstein'u. Te dwa zamki, jeden na wzgórzu, drugi w dolinie, noszą imiona braci rodzonych, którzy w nich mieszkali. Przyjaźń tak ścisła ich łączyła, że zdawało się, iż jedna dusza w dwóch ciałach przebywała. Okoliczność ta stała się przyczyną ich zguby, albowiem zakochali się w jednej kobięcie, a gdy każdy pragnął jęj wyłą-

ecznie dla siebie, przyszło pomiędzy nimi do zdobycia mieczy. W zaciętym tym pojedynku oba polegli, zostawiając młodą niewiastę pogrążoną w rozpacz. Założyła ona klasztor w dolinie, w którym ją pochowano. Od tego czasu stał się Bornhofen celem pielgrzymek dla sentymentalistów niemieckich.

Niespodzianie uderza dzwon parowca, zawiadamiając nas o przybyciu do Saint-Gaur. Podróżnik wstępujący na te brzegi w wieku przeszłym, musiał przebyć chrzest winny. Wkładano mu na szyję naszyjnik, który wedle podania należał do Karola Wielkiego, głowę zdobiono mu koroną ze złożonego papieru i odczytywano mu statut towarzystwa pijaków, obdarzając go prawem rybołóstwa w Lorelei i polowania w Dank.

Opoka Lorelei wznosi się o kilka minut drogi od Saint-Gaur. Rusalka już tam nie śpiewa, ani rozpuszcza długie swe złote warkocze na igrzysko wiatru. Lorelei kąpie się dziś w falach z koronek i kędziory swoje oddała do mennicy, a swój czarodziejski zamek przeniosła do kajuty parowego statka lub do komnaty hotelowej. Poetyczna nimfa ta nawet nie służy za przykład naśladowcom, lecz zostawiła rodzinę, którą łasce pp. podróżnych poleciła. Ztąd pokład parowca wyręcza dla niektórych osób berlińskie chodniki. Spotkasz na nich Lorelei'e, spędzające całe lato na żegludze z prądem Renu; jednym znakiem, o zrozumiałym piętnie, rybaczki te dokonywają często cudownych połowów, zagarniając w swoje sieci książąt i następców tronu, właśnie eskontujących swoją listę cywilną.

Oberwesel, o feudalnych wieżach, zjawia się w ramach skał malowniczych. Za niem strzelają z działa; grzmot ten wtoruje echo po echu, coraz słabszemi tony, nakształt pożegnań przyjaciela, które inny przyjaciel na pół powtarza.

Studenci niemieccy przejeżdżający tędy niegdyś, zapytywali echa o nazwisko burmistrza z Oberwesel, na co takowe szydlerczo odpowiadało: *Esel*. Ten żarcik miewał wyborne powodzenie, śmiano się zeń nazajutrz w Moguncyi, a we dwa dni później w Frankfurcie.

Caub następuje po Oberwesel'u, z zamkiem hardo się wznoszącym, wśród obręcza ze starych wałów. Dalej Pfaltz przypatruje się rzece z po za swoich strzelnic granitowych. W zamku tym pobierano niegdyś myto rzeczne. Wedle podania, hrabia palatyn Konrad umieścił tu swoją córkę, kwoli ustrzeżeniu jej w stanie niewinności dla przeznaczonego małżonka; lecz dowcipna miłość oszukała czujność rodzicielską. Kochanek młodej księżniczki, Henryk z Brunszwiku, wdarł się w nocy na mury zamczyska. Dla uratowania czi swojej córki, oddał mu ją stary hrabia w małżeństwo, lecz odtąd wszystkie księżniczki Palatynatu muszą pokutować za swoją poprzedniczkę, krótkim pobylem w zamku Pfaltz, w pewnych razach.

Bacharach, ołtarz ofiarny Bachusa za czasów rzymskich przesuwają się przed oczyma na wzór widma z czasów upłynionych. Zbiór ten bezładny starożytnych budowli, wygląda nakształt lasu z dziwacznych strzał i dzwonnice, albo dziwaczego świata rynew, w formie straszydeł, o rozpiętych lotach i językach wywalonych. Wnet ujrzymy kontrast rażący, w postaci Bingen'u, gdzie zobaczymy czyściutkie i miłutkie miasteczko, wdzięczące się do nas z wybrednym francuzkim ukłonom.

Okolica zmienia na nowo swoją powierzchowność a rzeka swój charakter. Ren wymyka się z objęć ciasnego wąwozu, a wzdymając jeszcze roznamiętnione swoje łono, toczy modre nurty u stóp Johannisberg'u,



wzgórza które Heine pragnął „wszędzie ze sobą wozić.“ Johannisberg obejmuje 63 morgów, przynoszących rodzinie Metternichów 200,000 franków rocznego dochodu.

Zbiór wina z r. 1861 sprzedano biednemu Muradowi, następcy Abdul-Azisa, licząc 56,000 złotych reńskich za 1,400 butelek, czyli po 90 franków za butelkę. Monarcha ten zapewne potrzebował rozgrzania, w celu zreorganizowania swojego państwa. Niestety Jahannisberg posiadał przymiot wprowadzenia Murada w stan podobny do budżetu tureckiego, pozbawiając rządę wiernych równowagi. Nie dziw że takowy nie zdołał zagrozić tronu swoich przodków.

Prawdziwy Johannisberg wilży tylko gardła królewskie. Napój sprzedawany pod tém imieniem nad Renem jest wprost Rudensheimer'em, jeżeli nie czém gorszém, jak np. winem szwajcarskiém Yvorgne. Gdy Riesbeck podróżował nad Renem w r. 1787, zaprosił go pewny duchowny moguncki do swojej piwnicy w Rudenheim'ie. „Zastaliśmy tam — pisze on — naszego gospodarza wśród liczного grona gości, poczęści protestantów; zawiódł on nas do wielkiej sali, z której przedstawiał się śliczny widok na Ren, bardzo szeroki w tém miejscu. Wszystkie te przygotowania zapowiadały wielką uroczystość, lecz nie umiałem odgadnąć jakiego rodzaju. Naraz otwarły się drzwi salonu i weszła kapela, a za nią para dziewcząt jednakowo ubranych, niosących ogromne winnegrono na stole, okrytym czystym obrusem. Stół ten ozdobiły girlandy kwiatów; postawiono go w środku sali, na rodzaju tronu wzniesionego nad poziom. Dowiedziałem się wówczas, iż nasz pan obchodził uroczystość pierwszych winogron ze swojej winnicy; przestrzegana bardzo ściśle przez bogatych właścicieli tych okolic. Wnet po wzniesieniu

tego ołtarza na cześć Bachusa, przemówił nasz gospodarz w kilku słowach, poczem tańczono do koła winogron. Nigdy w życiu nie tańczyłem z taką przejemnością. Wspomnienia tych chwil wesołych do dziś mnie zachwyca. Gdybym założył rzeczypospolitę, dozwoliłbym w niej tylko tego rodzaju uroczystości.“

Uderzyła ósma, noc zapadała, dążyliśmy całym pędem pary, a brzegi przesunwały się na prawo i na lewo, na wzór dekoracyi, posłusznych świstawce maszynisty. Domy z balkonami ozdobionemi przewierścieniem, drzewa na wzgórzach, góry, wszystko zamazywało się za przezroczystą zasłoną wieczora. Rzeka rozplywała się w szerokość morza, rozlegając się śród przestronnego, sitowiem okrytego łoża, jakby usnąć chciała; od jej brzegów dolatywały nas tylko niewyraźne pluski fali. Barki żeglujące pomimo nas zjawiały się nakształt konturów duchów, a wyspy któreśmy mijali przypominały czarne plamy. Ukryta ręka Boga zasiewała niebo gwiazdami, a gdy księżyc wyszedł na szczyt Steinberg'u, w świetności młodej królowej zasiadającej na tronie, Ren błyszczał nakształt czarodziejskiego zwierciadła i zdawało się, iż niebo zstąpiło na ziemię. Niekiedy dostrzegaliśmy szkielet starego zamczyska, sterczący nakształt Łazarza, powstającego z grobu. Wietrzyk świeży zadał i spędził damy z pokładu, tak, że już tylko słyszeliśmy drżenia fal, kłóconych żelaznemi skrzydłami parowca, wywierające na nas dziwne i poetyczne wrażenie. Wówczas myślałem o Renie opiewanym z kolei przez Wiktora Hugo, Aleksandra Dumas'a, Gérard'a de Narval, Méry'ego, o tym dobrym, ojcowskim Renie, którego tak kochaliśmy i tak żałujemy! Był-to wiek złoty ballad i legend; uwiodła nas wówczas ta Lorelei o złotych war-koczach i oczętach błękitnych i ta Małgorzata, o któ-

rój wierzyliśmy, że tylko marzy o księżycu, oraz trefi skroń wieńcami z niezapominajek.

Ach, gdyby Francya była pilniej słuchała, usłyszałaby na tych brzegach pozornie stworzonych do wtórzania słodkich harmonii, głuche mruczenie zazdrości i nienawiści; rozróżniłaby śród szmerów wietrzyku i fali dzikie wrzaski, przerażające podróżnika. Lorelei i Małgorzata śpiewały lied'y i ballady, kwoli zagłuszeniu dźwięku młotów, kujących armaty i łańcuchy; wymyślały one miłostki tylko dla zaślepienia nas i tém pewniejszego przygotowania spisku. Już w r. 1817 szeptał poeta Schenkendorf do ucha Małgorzaty, o téj „straconej perle,“ nazwanéj „Strassburgiem we Francyi,“ którą jój polecał jako najpiękniejszą ozdobę. Inny poeta, Aleksander Schleinitz, śpiewał wieczorem tego rodzaju serenadę:

„Strassburgu, Strassburgu,—Grodzie wspaniały,—  
Wydarty nam zdradą, — Strassburgu, Strassburgu,—  
nigdy już nie zapomnę o tobie...

Chcemy cię bronić i otoczyć opieką.— Zostaniesz naszym najcenniejszym klejnotem.— Kochaliśmy cię zawsze,—nie zapomnieli nigdy.

Oczy nasze wiecznie w tobie utkwione, — Z żalością i smutkiem, —Katedro, katedro,— Niegdyś chlubo Niemiec.

Podziękujemy niebu za nasze zwycięstwa,—W twoich przybytkach. — O twoje sklepienia odbijają się, — Śpiewy radosne Niemców.

Strassburgu, Strassburgu,—Nigdy już cię nie opuścimy. — Musisz znów do nas należeć,— O, ty najurodziwszy ze wszystkich grodów!“

Co dnia wynurzał się z tego Czarnego lasu poezyi bard o bezładnych kędziorach, zagrzewający do zarznięcia Francyi i świętej krucyaty, kwoli wydarciu Strass-



burga z posiadania „zdradliwych Wallonów.“ We Francyi tylko obruszono się zwrotką Becker'a: „Nie dostaną oni wolnego, niemieckiego Renu, chociaż wrzeszczą za nim, nakształt stada zgłodniałych kruków.“

Opiewając „Ren niemiecki“ zgromadzili poeci dookoła pruskich sztandarów podzielone plemiona germańskie; opiewając tę rzekę „wojowników i myślicieli“ podzegli oni ambycję i dumę tego narodu; w romantycznych swoich poematach posługiwali się światłem księżycy, niezapominajkami, najadami, pastuszkami, kwoli ukryciu zamiarów Niemiec; skoro te przygotowały się, słyszano już tylko w r. 1870 jednogłosny chór żołnierzy, maszerujących przeciw Francyi w takt z marselianką reńską, zwaną „Wacht am Rhein.“

Nad brzegami rzeki niemieckiej, brzmiały już tylko krwawe przekleństwa i wrzaski o śmierć.

Lorelei i Małgorzata, nakształt dwóch czarownic rozczochranych, wiodły te hordy najezdnicze, potrąsając pochodnie podpalaczy i dźwigając koronę Macbeth'a.

„Dziś jeszcze, powiada p. Grube w swoim „Zbiorze odczytów geograficznych dla szkółek,“ dziś jeszcze, brzęczymy szklenicami, dłonie niemieckie szukają niemieckich dłoni i wszyscy przytomni łączą się nakształt braci, ilekroć w naszej narodowej pieśni zabrzmie wezwanie: „do Renu, do Renu!“ Tak, Ren ten jest świętą rzeką, jego brzegi tworzą ojczyznę niemiecką, ognisko niemieckiej kultury. Czém Ganges jest dla Indyan, tém Ren dla Niemców zostanie. Religia, sztuki, cywilizacya, rozlały się od jego pobrzeża po całej naszej ojczyźnie, zkaąd ciąży na nas obowiązek oddania naszego życia, kwoli zabezpieczeniu niepodległości tych brzegów.“

Prusy nie zadowolniły się oddaniem téj rzeki

w pieczę swojąj cytadelli i monitorów, lecz powierzyły go zarazem straży swoich wielkich mężów. Pomnik Stein'a stanął prędzej niż Bismarck'a i panuje nad stokami nadreńskimi kraszonymi słońcem. Stein, z którym porównują obecnego kanclerza cesarstwa, pisał w r. 1815 do „Merkurego Renu“ (gazety) w sprawie armji francuzkiej. „Wypadałoby wytępić tę armiją z 500,000 rozbójników... wypowiedzieć wojnę całemu narodowi i obłożyć banicją międzynarodową cały ten lud bez charakteru, dla którego wojna stała się koniecznością. Dwa tylko widzę wybory: podział Francyi albo niewolę Europy. O ile słusznemi są nasze żądania aby Napoleon znikł ze sceny politycznej jako księżę, o tyle zależy nam na zniszczeniu Francyi jako narodu. Nie potrzebujemy jęj zarzynać, lecz dajmy jęj kilku książąt, zamiast jednego cesarza... Świat nie dozna dotąd odpoczynku, póki istnieje jeden naród francuzki; zmieńmy go w narody Burgundów, Neustrów, Akwitańczyków i t. p., które pomiędzy sobą szarpać się będą, aby świat używał kilkowiekowego pokoju.“

Rozprawiają o dźwignięciu w Niederwald'zie narodowego pomnika, na pamiątkę ostatniej kampanii, jako uzupełnienie kolumny zwycięztwa w Berlinie. Przedstawiałby on Germanią uzbrojoną mieczem i w postaci *Wacht am Rhein* strzegącą Renu. Ponieważ posąg takowy kosztowałby 250,000 talarów, a komitet zebrał dotąd zaledwie 3,000, więc zgodzono się na wezwanie pomocy cesarskiej, skoro wojsko niemieckie pobierze nowe owoce zwycięztw.

## XI.

Baden pod berłem cnoty. — Skargi i narzekania w sklepach. — Lichtenthal dawniejsze i obecne. — Książę Gorczakow. — Pan i pani de Brandenburg. — Baden pruski i Baden paryski. — Rozmowa przy *table-d'hôte*. — Wystawa filadelfijska i przemysł niemiecki. — Wybory. — Wielka zmiana frontu p. Bismarck'a.

— Człowiek podróżuje obecnie nakształt armatniej kuli — pisze pewien dowcipny kronikarz. — Biorą teraz podróżnika, ładują go w pociąg, podpalają lokomotywę, usłyszysz gwiznięcie i podziemny tętet jakby od trzęsienia ziemi i już podróżnik dojechał do mety.

Nie było nic godnego widzenia w Moguncyi, czegobym nie znał na pamięć, więc przesiadłem się ze statku wprost do powozu, w celu udania się na dworzec i pojechania pociągiem nocnym do Badenu. Miasteczko to zastałem pogrążone we śnie. Jakaż różnica zachodzi pomiędzy obecnym snem, a przedwojennym! Oddech Badenu celuje dziś spokojem i regularnością, nakształt dziewczynki śpiącej snem bez marzeń. Ta nadobna stolica wad paryzkich zmieniła się w kolébkę niewinności.

Baden przypomina nową Magdalene, ocierającą długimi włosami niemniej długie stopy cesarskiego zdo-



bywcy. Wrócono mu dziewictwo, w chwili obdarzenia go absulucją za przeszłe grzechy i wygnania z kasyna p. Bénazét i jego krupierów, nakształt dawnych przekupniów wypędzonych ze świątyni. Lecz przejście z epoki rozwiązłości do epoki cnoty nie sprzyjało zgoda mieszkańcom badeńskim, którzy tak się cieszyli po kapitulacyi Paryża, że i na nich spadną krople miliardowego deszczu.

Owe Baden, które oglądałem podczas swojej świętności, już straciło tę powierzchowność uroczą, przypominającą scenę z opery sielankowej. Nie spotykamy tam już zachwycających pasterek, które tak czule wiodły na uwięziach z róż splecionych, owieczki wszelkiego wieku, do strzyży na ołtarzach Wenery i Merkurego. Z runa tego przędły one dla siebie złoto i jedwabie, a hotele kazały sobie płacić drogo za patrzenie ze swoich okien na ten wiejski karnawał. Obecnie zmieniło się Baden, nakształt Strassburga, z miasta francuzkiego na nudne i smutne miasto niemieckie. Znikły zeń lotność, wesele, szaleństwo! Nie spotkasz już nimf w jedwabnych sukniach na tych błyszczących posadzkach i w tych krętych alejach, nie usłyszysz na tych zielonych kobiercach tupotu lekkich nóg, obleczonych atłasem. Ludzie wstają tu teraz tak wcześnie, że podziwiają jutrznię. Na tarasie kasyna ujrzysz od szóstej rano pacjentów reumatycznych, wygrzewających się na słońcu. Salony przypominają wieczorem refterze szpitalne i grzmia koncertem odpowiadających sobie kaszłów, a choroby skórne dojrzewają w nich nakształt poziomek w cieplarni. Zdaje się, że sama przyroda tutejsza zaniemogła i ma mizerną minę. Czyż może być inaczej, od kiedy w sławnej alei Lichten-thal'u nie spotykamy innych powozów, oprócz wózków ręcznych, ozdobionych podagrzystami lub zawierają-

cych sparaliżowanych. Byli kupcy lichtenthalsey popychają takowe, od kiedy zwrot do czystych obyczajów nakazany przez nowe cesarstwo, zniżył ich do téj smutnej konieczności, połączonej niestety z cnotą. Gdy noc rozwinie swoją zasłonę nad tém smutném widowiskiem, nawet łaskawy Stwórca nie zadaje sobie pracy, kwoli wywieszeniu gwiazdek swoich, porównywanych niegdyś przez graczy do sztuk złotéj monety, które pragnęli zagarnąć do swoich kapeluszy.

Ile téż skarg i narzekań rozlega się w pokoikach za tutejszemi sklepami! Nawet kukułki Czarnego lasu zachryły. Magazynierki śpią za wystawami swoich sklepów, a co pięć godzin wchodzi otyły Niemiec, w surducie koloru wizykatoryi, aby je zbudzić znienacka i targować się z niemi o cenę cybucha albo kaftanika. „Nie sprzedajemy dwu tuzinów rękawiczek przez całe lato,“ mówiła mi pani Hille, która niegdyś odziewała najpiękniejsze łapki Francyi i Nawarry. Poradziłem jéj, żeby do Berlina się przeniosła, gdzie rękawiczki również służą za chustki do nosa.

Od czasu wskrzeszenia cesarstwa czystych obyczajów, wznosi się przed kasynem badeńskim popiersie cesarza Wilhelma. Ten pomnik uzupełnia cmentarną powierzchowność Badenu.

Czy pamiętacie, jak ślicznie wyglądała ta przechadzka, podczas pięknych wieczorów letnich, gdy bulwary Paryża odbywały tutaj swoje zroki? Jak słodkie i tajemnicze brzmiały tam szepty, jak raźnie powiewały wachlarze, jak wesoło dzwoniły śmiechy tłumione w łonach śnieżnych, jak tam upajano się wonią kwiatów, widokiem piękności i falą muzyki?

Tu spotykano cokolwiek Europa posiada sławnego: artystów, poetów, literatów, wojowników, kapła-

nów, mężów stanu i mężów ukoronowanych. W tym salonie, pod tą kopułą błękitną, zgromadzała czarodziejka wszystkie królestwa bieżącego stulecia. Pokazywano sobie z ciekawością księcia Gorczakowa, którego postawa wracała tutaj do wesołości odpowiedniej potędze i zadowoleniu z samego siebie. Austryą, dawną jego nieprzyjaciółkę poniżono, a szlachta nadbałtycka do stóp mu się słała; pan Bismarck kłaniał się o jego łaskę, patrząc nań oczyma starłej kokietki. Kanclerz pruski czuł drżenie ziemi niemieckiej pod swoim ciężkim obuwiem, więc szukał oparcia na potężnym ramieniu Rossyi. Chociaż jednak książę Gorczakow wspierał politykę pruską w r. 1870, dał on dowody niezależności od niej w r. 1874, gdy odmówił uznania p. Serrano, oraz w r. 1875, sprzeciwiając się panu Bismarck'owi, swojemu dawnemu pochlebcy, gdy tenże pragnął zadać cios ostateczny niespokojnej sąsiadce francuzkiej.

Zdaje mi się, że jeszcze patrzę na tego starca uśmiechniętego i zgrabnego, o ruchach wykwintnych, ubranego wedle dawniej mody, w krawacie sięgającym wysoko i kamizelce aksamitnej, z łańcuszkiem o masywnych pieczętkach, oku iskrzącem, zatrzymującym się czasem na białych barkach kobiet, które zdawały się czuć to spojrzenie, bo męskość jego ks. wysokości nie zawiedła w mundurze dyplomatycznym. Książę Gorczakow pozostał poetą nawet wśród pyłów kancelaryi, a w wycieczkach swoich spogląda z upodobaniem na kwiatki i kobiety.

Od kiedy przestał uczęszczać do Baden, spędza on zwykle swoje lata w Vevey'u, w słynnym owym hotelu pod Trzema Koronami, utrzymywanym na królewskiej stopie przez p. Schott. Były jego sąsiad z Vichy, p. Thiers, odwiedza go tam czasem. „Pewnego dnia,



pisze *Ignotus*, korespondent do *Figaro*, pokazał książkę panu Thiers'owi kwiat mało znany, wymieniając nazwisko takowego. „Jakto, kochany książę—zagadnął pan Thiers—czy nauczyłeś się botaniki w ostatnich latach?“ „Nie—odrzekł kanclerz—lecz chcę znać nazwiska najpiękniejszych kwiatków, które widzę, jak lubimy słyszeć imiona ładnych kobiet, które spotykamy.“ „O poeto!“—szepnął pan Thiers tym głosem fletowym, wyłącznie jemu przysługującym.

W tém dobraném badeńskim towarzystwie spotykano téż pana de Brandenburg. Ten p. Brandenburg nosił surdut cokolwiek wytarty na łokciach i mieszkał w hotelu Mesmer, poświęcając się sztukom nadobnym i z upodobaniem patrząc na zgrabne nóżki baleryń, gdy takowe podnosiły się do wysokości głów koronowanych. Kłaniał on się pokornie królom na wakacyach, zdetronizowanym lub emerytowanym, stojącym w oknach angielskiego hotelu, aby palić cygareta, koić duszę miłością ludów, napawać pierś powietrzem wolności i lornetować bajadery. Królowa mieszkała także w hotelu Mesmer. Gdy zaś dzięki hojności monarszkiej wiatr hsał po pustej jój szkatule, odnajmowała ona swoje apartamenta, ilekroć wypadało jój wyjechać przed końcem sezonu. Do dziś dnia została ona właścicielką pralni przy *Avenue Lichtenthal*, w której piorą brudy familijne. Z jój rozkazu umieszczono przed tym domem wizerunek Zbawiciela na krzyżu, pod poddaszem służącym do ochrony pobożnych, odbywających swoje modlitwy. Królewską parę przyjmowano z zapalem w willach fraucuzkich w Badenie, lecz monarcha ten nigdy nie sprzeciwił się zasadzie Fryderyka, co do brania i dawania, gdyż ilekroć znikł z przed jakiego domu powozik królewski, służba pokazywała sobie próżne dłonie, mówiąc tonem płaczliwym: „był to król pruski!“

Powiernikiem monarchini bywał w owych czasach p. de Barcourt, stróż pamiętników Talleyrand'a. Po jego śmierci wzniesiono dlań nadłamany i tandetny pomnik przy drodze do starego zamku, wprost okien jego pokoju. Głaz ten nazywają „pomnikiem królowej pruskiej.“

Świetne zwycięstwa z r. 1870 i 1871 pozwoliły wreszcie królowi umeblować się przyzwocie. Korzystając z ogólnego zniżenia wartości nieruchomości, kupił on willę mieszczańską, w której do dziś obiadają po mieszczańsku, co zupełnie nie przeszkadza kuch mistrzowi j. kr. mości, żeby sobie nie kupował pałaców we Francyi.

Cesarz pragnie pocieszyć coroczną swoją obecnością mieszkańców Badenu, słusznie opłakujących czasy, gdy złotodajna kurka gdała i kasyno przypominało wielką i wykwinaną klatkę, w której furczały kolibry paryzkie, papużki bulwarów, turkawki i gołąbki, śpiące niekiedy piórkami, które zbierano w piękne przekazy płatnicze. Lecz hełm cesarski mniej zachwyca tych gapiów europejskich od kasku Mangina; dotąd też zaledwie kilku urzędników goniących za wstęgami i wiehciejami z orderów, przyczyniło się do wzmocnienia starej gwardyi inwalidów i chyrlaków, pijących wodę przy obiedzie, przechadzających się pod parasolami i piszących do żon swoich, w chwili, gdy takowe miały kawę: „Zacna duszo mojego serca! Jeżeli czytujesz powieści francuzkie, nie wierz w ich opisy, przedstawiające Baden nakształt raju ziemskiego, w którym Adamowie i Ewy schodzą się gromadkami pod drzewami Lichtenthal'u. Bóg przysłał tu naszego króla, uzbrojonego mieczem zemsty, aby oczyścić tę zacną dolinę, w której niegdyś wąż francuzki przemieszkował, kwoli kuszeniu Niemiec. Baden wróciło do moralności: gry

tu mamy przyzwoite, i tak np. puszczamy frygi, bawimy się w zmrużka, czasem gramy w warcaby albo domino. W salonach, w których niegdyś płynęły zdrowe strumienie złota, kalające wszystkich zbliżających się do nich, słyszymy tylko cnotliwe drapanie szydełek, tkających wełniane trykoty na zime. ~~Pani~~ ministrowa oświaty publicznej haftuje tu jedwabną myckę na imieniny ks. Bismarck'a. Hafty dokoła téj mycki wyglądają nakształt aureoli. Salę znaną niegdyś pod imieniem Flory, zamieniono na teatr przyzwoity, w którym uczymy się przy zabawie. Widzieliśmy w niej Lapończyka z renami, ciele morskie, które wspinało się i stojąc na ogonie wołało: „wiwat cesarz!“ królika odbywającego musztrę i strzelającego z pistoletu; Chińczyk połykający kłaki gorejące, oraz Indyanin umiejący balansować nagą szpadę na swoim pępku, także się przedstawili szlachetnie urodzonej (*wohlgeboren*) publiczności, bawiącej obecnie w Badenie, która téż przyjęła ich z zapalem. Zapal ten doszedł do szaleństwa, gdy przyklaskiwano olbrzymce, dzwigającej armatę na wyprężoném ramieniu. Posyłam ci jéj fotografią; daj ją naszemu Frycusiowi i powiedz mu, iż to jest godło Germanii, żywiącej armaty i żywiącej się armatami.“

Niegdyś—za czasów Badenu paryzkiego — tak go opisywał Gérard de Nerval:

„W sobotę, jako w dzień wielkiego balu, przedzielają salę w dwie części nierówne, z których większa przysłuży na użytek tancerzy. Nie zdołacie sobie wyobrazić ile tu widzę białych ramion rosyjskich, niemieckich i angielskich. Wątpię, ażali jakiegokolwiek miasto zdołałoby się popisać lepszą wystawą piękności europejskich nad Baden, w którym Anglia i Rossya spółzawodniczą o świetność i białosć pici, podczas gdy wdziek form i ożywienie należą do Francyi i Niemiec.



Don Żuan mógłby tu zapłacić swoją listę w przeciągu godziny, nakształt jadłospisu w restauracyi, z dodatkiem, iż mógłby później otrzymać wszystko co zapisał. Cóż wam powiem zresztą o tym balu, oprócz, że w szczęśliwym tutejszym kraju tańczą w nocy, podczas gdy wonne zefiry wnikają przez okna otwarte; księżyc oblewa gazony światłem i jedwabnego połysku udziela niebieskawym wzgórz stokom, że tu można wyjść niekiedy i odetchnąć w ciemnych alejach, patrząc z nich na dalekie, jasne galerye i balkony, przepełnione strojnymi kobietami. Trzy te rzeczy: piękność, światło i harmonia, potrzebują nieba i powietrza, wody i zieleni, pogody i zmroku.“

Główne tutejsze hotele opustoszały nakształt pałaców, zwiedzonych przez pruskich żołnierzy. Nowi niemieccy goście stają na stancyi w domach prywatnych, bo i taniiej to kosztuje i można tam jeść więcej. Przy *table d'hôte* w hotelu zaledwie nas 15 usiadło. Rozmowa głównie się zajmowała przesileniem społeczno-gospodarczem w Niemczech i zupełném niepowodzeniem, jakiego doznał przemysł niemiecki na wystawie filadelfijskiej. Podano mi numer gazety Narodowej berlińskiej, zawierający potępiające sprawozdanie p. Reuleaux, prezydenta komisji niemieckiej wysłanej do Ameryki: „Niemcy nieznają już w sztukach przemysłowych i plastycznych innych modeli, nad patryotyczne, co zupełnie nie licuje z wystawą i czém żaden inny naród nie grzeszy w okazach tu przysłanych. Zamiłowanie w piękném nietendencyjnym, z saméj czci ku pięknu wynikające, zatarło się w Niemczech. Oblicza płoną nam od wstydu, gdy przebiegamy sekcją niemiecką wystawy, w której zewsząd się jeżą bataliony przedmiotów przedstawiających Germanią, Borusią, cesarza, następcę tronu, Bismarck'a,

Moltke'go, Roon'a i t. p., z porcelany i pierników, bronzu i cynku, żelaza i gliny; malowanych, haftowanych, dzierżganych, drukowanych, litografowanych i tkanych. Sedan dwa razy tu spotykamy.“

„Jakiż pojęcie o sztuce mogła mieć komisya, co te obrazy przyjęła? W oddziale maszyn zajmują siedm ósmych naszej sekcji olbrzymie armaty Krupp'a, tak trafnie tu nazwane: „maszynami do zabijania.“ Jeż się one nakształt groźby metalowej wśród tego mnóstwa utworów pokojowych, przysłanych przez inne narody. Czyżby w istocie tylko na nich polegała cywilizacyjna misya Niemiec? Czyż nie zarzucają nam słusznie, że szowinizm i bizantynizm bujają u nas z nieprześcignioną swobodą? Czy nie zmuszamy innych narodów do przyjęcia o nas tego rodzaju opinii?“

„Oprócz tego zbywa nam na smaku w oddziale przemysłowym i nie postępowaliśmy na krok pod względem technicznym. Od każdego narodu tu przedstawionego, możnaby się czegoś nauczyć—od Niemiec nic, nic zgoła“ (\*).

Pokazano mi później humorystyczne berlińskie pismo *Ulk*, z kartonem ilustrującym sprawozdanie pana Reuleaux. Przedstawiono na nim po jednej stronie p. Roon'a, ministra wojny, z grupą armat u stóp swo-

---

(\*) „Jeżeli niemiecki handel zamorski — pisał nawet przed p. Reuleaux, *Reichsanzeiger*, organ urzędowy niemieckiego cesarstwa — doznał tak przykrego uszczerbku, pochodzi to z braku zaufania w uczciwości kupców niemieckich, którzy posyłają bez skrupułu towary nie odpowiadające próbkom. Nasi fabrykanci kusili się o spółzawodnictwo z Francją i Anglią, sprzedając po niższych cenach, lecz też dostarczając tylko roboty partackiej. Skoro zagranica poznała się na tego rodzaju taktyce, opuściła ona rynki niemieckie.“

ich, otaczającą go nakształt wiernój psiarni, oraz sztandarami, tworzącemi baldachin nad głową; minister ten od stóp do głowy uzbrojony, opiera się z miną pewną na kasie żelaznej i bawi się kluczykiem od takowej. Na téj szafie czytamy napisy: „budżet wojskowy, skarb wojenny, kontrybucya francuzka.“ Z drugieój strony, widzimy Germanią, siedzącą w nędznej izdebce; rysy ma ona przydłużone, twarz wychudłą, głowę jakby pochyloną pod natłokiem wielkieój hańby, a w ręku trzyma raport profesora Reuleaux, na którym czytamy słowa: *billig und schlecht, ohne Geschmack* (tanio, źle i bez gustu). Otaczają ją dokoła popiersia i statuetki cesarza, p. Bismarck'a i następcy tronu, z etykietami oznaczającemi cenę 1, 2, 3, 4 i 5 marek.

Chcąc powziąć dokładne wyobrażenie o rzeczywistym stanie przemysłu niemieckiego, wystarczy jedno spojrzenie na ogłoszenia tutejsze. Czytamy w nich tylko o rękawiczkach z Paryża, jedwabiach z Lionu, obuwiu wiedeńskim, suknie angielskim, meblach z Paryża, cygarach holenderskich i t. p. Nikt nie pożąda produktów niemieckich, ztąd próżnuje większość krajowych fabryk. Pewna gazeta w Essen pisze, że 150 robotników zgłosiło się do biura dziennika, skutkiem inseratu, żądającego wyrobnika na pół dnia.

Przy cygarach rozprawiano o zbliżającój się walce wyborczej i wielkieój zmianie frontu p. Bismarck'a, opuszczającego widocznie swoich narodowych liberałów, których panowanie minęło i których wyszał o ile zdołał. Wyssawszy tę pomarańczę, ciska on precz skórkę. Ludzie ci stali się zresztą nieużytemi, albowiem nie są ani narodowcami, ani liberałami. Pan Bismarck wyzyskiwał ich na polu parlamentarném nakształt oddziału rekrutów; wszyscy wyborcy zaś zarzucają im przekroczenia mandatów. Głosowali oni za siedmioleciem



wojenném, podatkiem od piwa, wykupem kolei żelaznych, roztrwonili mienie państwa, które obecnie czuje się uboższém, niż przed wojną. Na nich ciąży odpowiedzialność za przesilenie przemysłowe, handlowe i społeczne, dolegające Niemcom od lat 3. Stronnictwo, które p. Bismarck obecnie zamyśla utworzyć, aby się niém w nowój izbie oprzeć, nazwie się partją uspokojenia i liczy w swoim łonie wolnohandlowców, stronników protekcyi, ludzi przesiąkłych ultramontanizmem i szlachetki z Krzyżowej gazety. Będzie ono rzeczywistą *alla podrida*, mieszaniną żywiołów różnorodnych, z programem następującym:

1. Utrzymanie federalistycznego układu cesarstwa.

2. Utrzymanie instytucyj monarchicznych, nie wykluczających rozległego samorządu, opierającego się nie na powszechném głosowaniu, lecz na naturalnych grupach narodu.

3. Zwrot do religii, szkół chrześcijańskich i wyznaniowych.

4. Zaniechanie *kulturkampf'u*, używanego przez liberalizm przeciw chrześcijaństwu. Walka ta stanowi dla cesarstwa klęskę rzeczywistą. Jeżeli państwo posiada prawo regulowania stosunków kościelnych, nie wolno mu gwałcić sumienia.

5. Rewizya praw wyznaniowych.

6. Równa troskliwość o wszystkie zawody i gałęzie przemysłu, mianowicie zaś prawodawstwo sprzyjające bardziej własności ziemskiej, rękodzielnictwu i rzemiosłom. Zniesienie przywilejów kasty wysoko-finansowej: poprawka praw odnoszących się do przemysłu i przywileju osiedlenia się.

7. Wojna na noże z utopistami społecznymi; opie-

ka przeciw wybrykom i nadużyciom spekulacyjnym; nowe prawo dla fabryk.

Te 7 artykułów dotyczą 7 ran cesarstwa. Gazety ministeryalne, które przed miesiącem oświadczały, że *kulturkampf*, czyli walkę za cywilizacją, uważają za zadanie żywotne, spuszczaają obecnie z tonu i przyklaskują temu programowi. W ten sposób runął po 4 latach gmach anti-religijny tak zwanych narodowych-liberałów. Pan Bismarck dał w tym dowód, że nie tylko należy do ludzi bardzo gibkich, bardzo zręcznych i zasobnych w pomysły, lecz rozumie sztukę kierowania narodem, oraz należy do ludzi przezornych. Prześladowaniem wzmacniany. Katolicyzm, na który on nacierał, nastawił mu harde czoło we wszystkich punktach, zamiast więc uderzać głową o tę ścianę śpiżową, woli on tron nią otoczyć, kwoli ubezpieczeniu takowego. To zbliżenie się kanclerza do partyi zachowawczo-ewangelijnj i zachowawczo-katolickiej, przedstawi jedno z najciekawszych zjawisk społecznej historyi, jeżeli się spełni rzeczywiście, wedle wróżb obecnych. *Germania* zastrzega jednakże kilka punktów i zanim zgodzi się na podpisanie nowego sojuszu, żąda pewnych rękojmi. Ostrożność ta nie zawadzi w obec człowieka jak p. Bismarck, dzielającego zbyt mało przesądów, aby się na długo przywiązać do jednój opinii i zbyt mało skrupułów, aby dotrzymywać obietnic. Obecnie przebywa on już szóste swoje wcielenie, nakształt indyjskiego Wisznu. Jest-to gracz umięjący zawsze wycofać swoją stawkę w sposób zręczny, wydymający się poważnie skoro schwytał znakomitą wygraną, a w razie potrzeby nie wahający się naznaczyć kartę i podrobić kości, służące do gry politycznej. Zanim on schwycił bat rządu, Niemcy przy-

pominały menażeryą; każde państwko siedziało w swojej klatce warcząc na sąsiadów, oraz pragnąc gryźć i drapać takowych. Bismarck pogromca przełamał przegrody, zgromadził dokoła siebie całą menażeryą, temu włożył kaganiec, innemu ogon i uszy obciął, a tych, co nie chcieli słuchać, za drzwi wyrzucił.



## XII.

Wspomnienia z r. 1813. — Książę pruski i rewolucya. — Zamiłowanie Niemców w literaturze francuzkiej. — Panna Giraud trawestowana i anektowana. — Teatr niemiecki. — Marsylianka w Badeniu. — Figaro badeński. — Kiełbaski Jauer'a. — Wielki książę i wielka księżna badeńscy. — Niemcy w Tulierach. — Baden i bombardament Strassburga.

W dwa dni po przyjeździe moim nad brzegi Oos, zdarzyła mi się sposobność zabawić się w towarzystwie kilku Badeńczyków. Zacni ci patryoci nie przypominają sobie zgoła, że w r. 1848 byli republikanami i zaszczycono ich kartaczami z łaski pruskiego księcia, który głosił, iż naród niemiecki tylko na *kanonenfutter* (żer armatni) zdać się może.

„Armia pruska i szlachta badeńska mścili się w sposób prawdziwie barbarzyński — pisze Ewerbeck, historyk niemiecki. — Prusacy zostali bardzo długo w nieszczęśliwym kraju, służąc jako straż przyboczna dla stronnictwa wielkiego księcia. Przez ten czas pozwalali sobie rozmaitych niesprawiedliwości i zuchwalstwa, godnego dowódcy rzeźnika i jego sztabu. Ich sądy wojenne zaludniły po zwycięztwie kazamaty i zapęłniły cmentarze i wolno nawet zapytać, ażali umarli nie wyszli lepiej nad ofiary więzienne w fortecy rasztadzkiej.“

„Wielu oficerów pruskich odpokutowało życiem— dodaje Ewerbeck—za zuchwałe napaście na lud badeński, którego siły wojenne nie mogły iść w porównanie co do liczby z pułkami kannibalów (*sic*) pruskich, którzy haniebniej postępowali w Badenie i Palatynacie, nad Austryaków na Węgrzech i we Włoszech.“

Żołnierze pruscy, znajdowali upodobanie w biciu kobiet i już przyuczali się jak tłuc zwierciadła i anektować cenne przedmioty.

Moja przechadzka doprowadziła mnie do pustej alei Lilienthal'u; tu zauważałem, że jedyne sklepy, przed którymi zjawiali się niekiedy kupujący, sprzedawały kradzione odbitki sztuk teatralnych i romansów francuzkich.

„Biblioteka celnych pisarzy“ wydawana przez Paetz'a, nakładcę i księgarza w Naumbourg'u, posuwa swoją beczelność do odbijania nazwiska „Paryża,“ jako miejsca wydawnictwa swoich korsarstw literackich. Na tém nie koniec, gdyż ostatnią stronnicę jój książek zdobi herb zawierający w tarczy orła pruskiego, co z lotami rozpostartemi dźwiga w szponach miecz i globus; dokoła tego ptaka drapieżnego umieszczonego w miejscu odpowiedniem swoim zwyczajom, czytamy napis: „przedruk wzbroniony.“

Ta biblioteka celnych pisarzy odbiła już 2,000 tomów; skradłszy całego Aleksandra Dumas'a, całego Pawła Fewal, całego Sandeau, całego Jerzego Sand, całego Teofila Geautier, całego Teydeau, całego X. de Montepin, całego Pawła de Kock. Malot, About, Arsène Houssaye, Paweł Perrot, A. Achard, Escoffier, Zaccone, Lescure, Ponson du Terrail również zbogacili tego grabieżcę.

Biblioteka celnych utworów celuje ręką spieszną i długą do tego stopnia, że przedrukowuje powieści

Malot'a i Feuillet'a na dwa albo trzy miesiące, zanim takowe pojawiają się we Francyi w przedrukach tomych. Przegląd dwóch światów obcina ona miesięcznie z regularnością staranną. Wydawcy i autorowie paryzcy protestowali kilkakrotnie, ale zawsze ich odesłano bez odpowiedzi do armat Krupp'a.

Parowie Velhagen i Klasing, w Bielefeld'zie, wydają z równą szybkością i obfitością wszystkie sztuki, które się powiodły na scenie francuzkiej, pod ogólnym tytułem: „Teatru francuzkiego.“ Inny niemiecki przemysłowiec tego rodzaju wydaje w Brunszwiku: „Francyą literacką,“ zdobiąc każdy tom winietą, przedstawiającą Instytut (akademicki). Jak wiadomo godło to należy do nakładni Didot'a.

— Jakżeż sprzyja panom obecny sezon? — zapytałem jednego z księgarzy.

— Żle, mój panie — odrzekł on — księgarstwo niemieckie cierpi na zastój.

— Dla czego? — zapytałem z udaną naiwnością.

— Bo wypadaloby posiadać 25,000 franków rocznego dochodu, by starczyło na kupowanie książek niemieckich.

Pokazał mi trzy tomiki Braun'a i dodał:

— Zgadnij pan, ile one kosztują.

— Hm... trzy franki za tom.

— 27 za trzy tomy, a nie sprzedajemy tomów pojedynczych.

— 27 franków!...

— Tak... na szczęście ratujemy się wydawnictwami francuzkiemi.

Nie chciałem się oddalić bez kupienia książki jakiej.

— A, a — zauważał księgarz, widząc, iż odsuwam na stronę: „Skrzydlate słowa p. Bismarck'a,“ „Damy



wesołego księcia Orleańskiego“ i „Historyą naturalną miłosnych dam Berlina“ — a, a, pan potrzebujesz coś bardziej pieprznego! Oto masz pan, trzecie wydanie: „Nocy poślubnej hrabiny V. G. i koniuszego V. S.“

— Książka ta dobrze idzie?

— Miała powodzenie w bieżącym roku nad ~~jaką-~~kolwiek.

— Kto ją napisał?

— Autor zataił swoje nazwisko.

— Jaki skromny...

— Cóż robić, mój panie... zwierzenia tak poufne...

— Jak-to, czy kompromitują autora?

— Nie powiem, że autora, bo posiadamy prawa bardzo łaskawe pod tym względem. My drwimy w Niemczech z widoku waszych francuzkich wydawnictw, podlegających dotąd śmiesznemu nadzorowi komisji kolporterów, która nam przypomina dawniejszą komisję wstydlivosti w Wiedniu i Norymbergii. Ogłosiliście wolność myśli, a tłumicie gwizd ptaszka, nie śpiewającego według skazówek kapelmistrza rządowego! Porównajcie wasz stan z wolnością naszych księgarzy pod tym względem. Książkę zakazaną w Berlinie, nie zakazują w Dreźnie, Gocie lub Frankfurcie. I tak ujrzysz pan: *Pro nihilo* Arnim'a na wszystkich wystawach księgarskich w południowych Niemczech.

Nie miałem czasu i chęci na dyskusję o téj sprawie, pomimo że komisja kolporterów zaszczyliła mnie zakazaniem moich książek we Francyi, podczas gdy krążą śmiało w Berlinie i po Niemczech. Ztąd też ufam, że p. Bismarck dowiedzie mi swojej wdzięczności podarunkiem pół tuzina tabakierek, a przysłanie takowych wcaleby mnie nie dziwiło

Zapłaciłem i wyszedłem, przerzucając broszurę.

Gdy dobiegłem okiem do rozdziału drugiego, stro-

nicy 18, pomyślałem: „czytałem to przed 3 albo 4 laty.“ Wartowałem dalej aż do stonnicy 23, poczem nagle zainknałem książkę i zawołałem parskając śmiechem: „wszak to dzieło Belot’a: *Mademoiselle Giraud, ma femme!* Przerobiono ją na hrabinę niemiecką, a jej męża na koniuszego.

Ponieważ członkowie stowarzyszenia autorów dramatycznych i stowarzyszenia literatów, nie posiadają innéj broni oprócz piór stalowych, nie zawsze toledańskiego hartu, a jakiś liberalny minister pozbawił ostatnie towarzystwo, pod pozorem zachęty dla literatury, rocznéj subwencji 4,000 — 5,000 franków, niegdyś mu udzielanej, wątpię więc, aby te bractwa zdołały kiedykolwiek kupić armat i upomnieć się głosem takowych o wynagrodzenie za straty, poniesione skutkiem wspomnionego korsarstwa — innéj zaś mowy nie rozumieją po za Renem, za którym nawet prawa autorów francuzkich ulegają przemocy.

Trudno téż się dziwić, że wzięwszy tyle, Niemcy bez wahania pożyczyli zamka, przez którego dziurkę można zajrzeć tam, kędy zresztą i komisya kolporterów pozwala zaglądać (jak to dowodzą księgarnie w dworcach kolei żelaznych), zwłaszcza, że tajniki sypialni przypadają do smaku ich oku, nawet nad wnętrza fortec.

Przybyłem przed teatr... nie znalazłem jeszcze afiszu. Zapewne będą dziś grali „Zamach w Kissingen“, albo „Faublas’a“ z muzyką Wurst’a, lub „Adele Spi-tzeder“ czyli „Sposób postradania swojej sakiewki“, z baletem historycznym, w którym występuje kawaler de Karamel, rodzaj dworaka giełdowego, wykrojonego wedle wzoru Roberta Macaire; może téż dadzą „Eugenię, wdowę, oraz jej syna Lulu.“

Rozpisujemy się o demoralizacyi sceny francuzkiéj,

jednakże pod względem kobiet oraz innych widowisk mniej więcej rozebranych, Niemcy nie tylko naśladowają Paryż, ale zmniejszyli tradycyjny listek figowy do szczupłości laurowego. Teatr letni w Berlinie, nazwany „*Villa Moor*“ przedstawia z niesłychanym powodzeniem sztukę p. t. „Zhańbiona.“ Z podniesieniem zasłony widzimy panienkę w doraźnej tualecie. Spoczywa ona na łożu i prawi publiczności o swoich wschodnich widziadłach, poczem zapada w sen letargiczny. Raptem rozlega się głos smyczka, marzycielka zrywa się i skacze prawie do sufitu, wśród oklasków i wycia publiczności.

*Villa Moor* zbiera bajeczne żniwo ze swojej Zhańbionej, podczas gdy teatr „Wiktorya,“ wierny tradycji dramatu historycznego, musiał rozpuścić swoich aktorów już 1 Czerwca, dla braku widzów.

Publiczność berlińska miłuje się tylko we wrażeniach dzikich i gwałtownych. Dramat historyczny podobą się jęj tylko pod warunkiem, żeby w nim płynęły źródła krwi i trucizny. W teatrze Rozmaitości grają tam obecnie z wielkiem powodzeniem: „Rycerskiego rozbójnika, odzieranego żywcem ze skóry,“ albo „Chociaż miecz pęka, cnota jest niezłomna.“ Wielki ten dramat rycerski przedstawiono z nowymi dekoracyami i kostiumami w trzech obrazach z prologiem. Pierwszy obraz nazywano: „Morderstwem męża o północy,“ drugi: „Wieżę głodu,“ trzeci: „Krwawym trybunałem femicznym.“ Jeden z teatrów na przedmieściach, nazwany: *Louisenstaedchen Theater*, dawał tę samą sztukę, lecz policja musiała się wmieszać do sprawy, albowiem sceny „odzierania rycerza ze skóry“ i „palenia drgającego serca ludzkiego,“ wywoływały tak dzikie manifestacje wśród gminu słuchaczy, iż pan



Madai, znający wybornie krwiożercze instynkta pospółstwa berlińskiego, wzbronił podburzania takowych... na dni kilka.

Spółzawodnictwo *biertingel-langel'ów* (*cafés chantants*) zamknęło teatr wrocławski. „Gdyby Berlin — powiada Germania, w uwagach swoich nad tém zdarzeniem — posiadał niewięcej ludności niż Wrocław, jużby w nim nie istniał żaden teatr przyzwoity.“

„Rycerz żywcem odzierany ze skóry“ czyli „Choć miecz pęka, cnota jest niezłomną“ cieszy się zbyt wielką sławą w Niemczech, aby go odmawiano publiczności badeńskiej.

Na dworze, zanim otworzą przed nami drzwi do teatru, przegrywa kilkakrotnie w ciągu dnia muzyka wojskowa. W owych porannych i wieczornych wystąpieniach, powtarza ona hymny narodowe cudzoziemskie jak np. *God save the Queen*, *Viva Italia* i marsyliankę.

Nie wątpię, że pomimo rewolucyjnego charakteru francuzkiego hymnu, nawet najzatatwardzialszy legitymista zapłonąłby gniewem, słysząc w jak obrzydliwy sposób drzeźni ta kapela pruska nasz śpiew narodowy. Gra ona doskonale i spokojnie aż do zwrotki: „pod broń obywatela.“ W téj chwili przerywa ona hymn, przerzuca się do nuty: *Marlbrough s'en va-t-en guerre* i dopiero po ukończeniu takowej, powraca do republikańskiego hymnu. Załoga niemiecka w Strassburgu postępując w podobnie szyderczy sposób, wprowadza w swoje marsze wojskowe: „père Bugeaud“ i inne nuty francuzkie, słusznie oburzając mieszkańców.

Wracając do hotelu na śniadanie, zastałem wczorajszych spółpodróżnych w szaloném uniesieniu radości. Jeden z nich wyjechał bardzo rano na wycieczkę w kie-

runku Czarne go lasu, a mijając pracownię figara we wioseczce S... zapragnął ogolić się.

— Usiadłem — opowiadał on — na stolku bez poręczy, oglądając z pod oka sklepik golibrody, podczas gdy ten przygotował się do dzieła. Pokoik służył jednocześnie za salon fryzjerski, sypialnię, kuchnię, strych i piwnicę, bo wszystko leżało w nim w najdziwniejszym nieładzie. Rycerz brzytwy zabrał się wreszcie do pracy; oglądałem się za tradycyjnym talerzem pod brodę i szczotką do mydlenia, lecz z pewnym zadziwieniem nic podobnego nie dostrzegłem. Za sobą usłyszałem (nie potrzebuję dodawać, że nie było przedemną zwierciadła), chrząkanie golibrody, plującego w łapę, zanim zaczął twarz moją mydłem nacierać. Zadziwiony obróciłem się i zapytałem co robi. Wykrzywiając twarz najwdzięczniejszym swoim uśmiechem, odrzekł on: „natychmiast poznałem, kochany panie, że mam do czynienia z osobą dystyngowaną; ilekroć gołę ludzi przyzwoitych, pluje na mydło, jeżeli mam do czynienia ze zwykłymi moimi klientami, pluje im na twarz, a potem mydło nacieram.“

Ta autentyczna anegdota rozweseliła naszych niemieckich podróżnych; nie potrzebuję zaś dodawać, że grono ich składało się z komiwojażerów. Jeden z nich powtórzył nam historyjkę, którą zapewne potwierdzą damy w Jauer. Rzecz działa się w r. 1875, podczas ostatniej podróży cesarza do Ems. Pociąg dworski zatrzymał się przy dworcu w Jauer, w Westfalii, miasteczku słynącym z doskonałości swoich kiełbas. Następca tronu wyraził swoje niezadowolenie, iż przy wieczerzy zastawionej dla podróżnych, nie podano kiełbasek miejscowych. Damy jauerskie zawiązały węzłki na swych chustkach, żeby nie zapomnieć o tych żalach najwyższych, wkrótce zaś potem kazały rzecz-

nikowi, nazywającemu się *Preuss* dziwnym zbiegiem okoliczności, aby sporządził ogromną kielbasę, którą napełniono mięsiwem z dwóch wieprzów. Po ukończeniu téj kielbasy, napisał burmistrz, w imieniu dam, list do księcia, który razem z kielbasą posłano koleją żelazną do kuchni najwyższej.

Intendent pałacu odpisał w parę dni później w imieniu swojego pana, pokwitując, że odebrał kielbasę, którą najwyższe podniebienie raczyło uznać za *Vortrefflich* (doskonałą), i za którą najwyższe usta raczyły kazać oświadczyć podziękowanie dla dam w Jauer, za pośrednictwem burmistrza. „Ponieważ jednak — dodał rządca — zwyczaj odwieczny łączy jedzenie kielbasy z pićciem piwa, a sława piwa waszego równa się słynności waszych kielbas, więc przekonany jestem, że przysyłka piwa nadzwyczaj pochlebiłaby osobom dostojnym.“

Takowe przypomnienie delikatne, jak pałką w łeb, skutkowało, albowiem rządca odebrał w parę dni beczkę piwa jauerskiego, którego rozmiary zupełnie odpowiadały objętości owéj kielbasy.

Dowiedziałem się od spółbiedniaków moich, iż wielcy-księstwo badeńscy zdobili miasteczko swoją obecnością. Wielka księżna jest córką cesarza Wilhelma i zachowuje ściśle zwyczaje swojej arcy-oszczędnej rodziny, prowadząc osobiście rachunki dworu i oficyn, nosząc klucze od piwnicy i nim wstanie od stołu znacząc nadpoczęte masło swoją pieczęcią, aby żadna ręka świętokradzka nie targnęła się na ten specyał.

Monarchini ta nie tylko zarządza domem od kurnika do strychu, lecz téż dzierży ster państwa, odsyłając niedbałych ministrów na rekolekcyje i zwiedzając arsenały staranniej niż spiżarnie. Gdyby nie brak melu nad wargą, mogłaby ona ujść za wybornego



jenerała, albowiem wszyscy mnie zapewniali, że równie jest biegłą w strategii jak w matematyce.

Wielki książę posiada główkę przystojną i przyzwolicie upomadowaną. Niestety, kółka w niej są nader delikatne. Przywołują często lekarzy z Illnau, kwoli oglądaniu głównej sprężyny. Wielki książę przyłączył się w r. 1866 do wojny przeciw Prusom, lecz pamiętał, żeby naboje żołnierzy napełniono piaskiem, a nie prochem, oraz umiał zachować przyzwoitą odległość pomiędzy sobą i teściem swoim.

Monarcha ten, którego zachwycił widok płonącego Strassburga, kładł się płazem w r. 1865 przed Napoleonem III i napisał w liście dziękującym za przysłanie sobie „Życia Cezara“: „Racz w. c. mość pozwolić, abym uważał dzieło, którego przysłaniem w. c. mość zaszczycić mnie raczyłeś, jako zadatek łaskawych względów, jakie żywisz w sercu swojém dla całej ludzkości i jako dowód przyjazni, którą obdarzysz tego, co się czuje z nią dumnym.“ Cały ten list znajduje się w papierach tulieryjskich.

Czytając ten dokument, możemy zdać sobie sprawę z płaskości i podłości niektórych Niemców. Poeci teutońscy bombardują pana Tulierów wierszydłami, kompozytorowie brzdąkają przed nim „marsze Cezara“, „hymny tryumfalne“ i t. p., profesorowie przesłają mu swoje szpargały uzupełnione mdłemi przedmowami; studenci, wdowy i wysłużeni wojskowi wyciągają doń bezwstydne dłonie wespół z baronami i książętami; lekarze jednoczą się w celu wyleczenia cesarza, p. Augstein poleca lekarstwo na kamień w pęcherzu, doktor Berg lekarstwo na gościec, p. G. Bielefeld radzi cesarzowi, aby walczył przeciw swojej chorobie rumiankiem z ziółek rosnących w okolicy Gettyngi, pan Carl, z Bruchweiler'a posyła do dworu paryzkiego nie-

chybną receptę na krosty. Szarlatani także przyłożyli rękę do dzieła. Pan Samuel Beran, który usłyszał ze smutkiem o słabym stanie zdrowia jego cesarskiej mości, ośmiela się, aby polecić 6 lekarstw; ostatnie z nich radzi fabrykować wedle recepty następującej: „kazać utrzyć na proszek zęb koński, podzieli takowy na dozy mogące się zmieścić na końcu stołowego noża, zamieszać starannie w gorącej wodzie i zażywać.

Nawet p. Delgen, z Köstritz, poleca cesarzowi nowy gatunek ziemniaków. Pani Pfeiffer z Lubbenu (w Prusach), zasyła Napoleonowi III rachunczek za wydatki w latach 1807 i 1808 dla rannych żołnierzy francuzkich. Pani Beck-Weixelbaum z Augsburga, uprasza cesarza, by dostarczył jej środków niezbędnych w celu spełnienia marzeń swojego życia, które polegają na: „odwiedzeniu Paryża, oglądaniu rodziny jego cesar. mości, zwiedzeniu pałacu Malmaison i złożeniu wieńca nieśmiertelników na grobie Napoleona I.“ „Dama“ C. Falkenberg z Kolonii, nazywa się „córką Napoleona I.“ oraz zasyła swoje życzenie jego cesarskiemu następcy. Panna Marya Hoffmann, w Norymbergu, chociaż mieszka tak daleko od sielankowej Francyi, nie umie zawrzść w tajnikach swojego serca zapалу, wznieconego listem cesarskim z dnia 14 Września 1862 r., więc wyraża swoje podziwienie i dołącza latorośl koniczyny o czterech listkach. Pan Solemval z Lipska, składa najpokorniej parę butów, jaką uszył własnoręcznie dla cesarzewicza. Pan Schrader, ze Stutgartu, posyła także próbkę plastru indyjskiego dla księcia cesarskiego. Pan Th. Schwarze, z Ahrenberg'u w wiel. księztwie oldenburskiém, udaje się do łaski cesarskiej o prezent katarynki, żeby mógł zarabiać na życie. Trudno uwierzyć ile assygnatów rzeczypospolitej przesyłają ci żebracy niemieccy, z prośbą o wyn-

grodzienie, ile dowcipnych sposobów wymyślali oni, w celu wyzyskania pamięci nieodżałowanego stryja i wypróżnieniu kieszeni bratanka. Jeden zapewnia, że widział wielkiego wojownika, drugi, że jest synem faktora, który doręczył mu depeszę w r. 1812, trzeci, że mu brzytwę naostrzył. Ileż to ofiarują Napoleonowi III obrazów, pieczętek, rzadkich rękopisów, porcelany, wynalazków mechanicznych i wojennych! Każdy Francuz powinien przeczytać dzieło: *„Niemcy w Tulierach od r. 1850—1870,“* w celu poznania charakteru i ducha niemieckiego... jeżeli nie sprzeciwi się temu szanowna komisya kolportacyjna, czuwająca nad krzewieniem światła we Francyi i nie wiedząca zapewne, że książkę tę, zarówno z moją „Podróżą po kraju miliardów,“ przełożono na język niemiecki.

Pewien poddany angielski, którego wpuszczono do pałacu wielko-książęcego w Karlsruhe, opowiadał mi, że podziwiał w nim pyszne tapety gobelinowe, które niegdyś zdobiły ściany w Saint-Cloud. Cenną tę pamiątkę zwycięstwa przechowują tam z chwalebną starannością. „Pociesza mnie jednak ta okoliczność—dodał Anglik—iż gdyby przeszukano arsenał w Karlsruhe, znalazłoby w nim owe 4,000 karabinów, jakowe Napoleon zabrał od Prusaków przy kapitulacyi Gdańska i łaskawie ofiarował księciu badeńskiemu, który zażądał oprócz tego 600 koni; otrzymawszy takowe kazał je sprzedać.

W jadalni oficerów badeńskich w zamku Karlsruhe przechowują jeszcze trofeę innego rodzaju, w postaci chorągwi zbroczonej krwią wolnego strzelca z Neuilli, którą pewien sierżant badeński znalazł pod zwłokami francuzkiego żołnierza.

„Chorągiew krwią zbroczone i w jadalni! — zawołała Gazeta ludowa badeńska w r. 1872.—Czyż spadli-

*\* Autora tejże książki*



śmy już do poziomu Indian, wieszających do swoich pasów skalpy splamione posoką swoich wrogów i zdobiących nimi ściany swoich szałasów?”

Wszyscy ci Badeńczycy, którzy przyjmowali Francją z obłudnym uśmiechem, nienawidzili jęj w sercu i zazdrościli bogactw i zbytku. Rząd badeński wyprzedził wszystkie inne w r. 1870 w oddaniu swojej armii na usługi Prus. Wypędzono wszystkich Francuzów znajdujących się w księstwie jeszcze przed rozpoczęciem kroków wojennych, a niektórych odstawiono nawet w kajdanach do granicy szwajcarskiej. Wielu ogołocono z własności i kazano im płacić po 24 grajcarów za nocleg w celi więziennęj, w której ich zamknięto. Gdy zaś badeńska armia rozpoczęła barbarzyński i płonny bombardament Strassburga, kolei księżca urządziła pociąg spacerowy, kwoli przedstawieniu tego zachwycającego widowiska osobom wszelkiego wieku, wszelkich nienawiści i wszelkiego stanu.

Sam wielki książę, z wyzin Mundolsheim'u, nie mógł się nasycić tém wspaniałém widowiskiem. Polecił on wybranemu dziejopisarzowi, panu Bertoldowi Auerbachowi, aby mu towarzyszył. Idylliczny powieściopisarz, stojąc w obec tego płonącego miasta, uwiecznił skroń różami i uderzył w lutnię, komponując następujące nieśmiertelne rymy:

Strassburgu, Strassburgu,  
Grodzie piękny i sławny,  
W którym gości obecnie,  
Tylu żołnierzy!

W którym także zamknięto,  
Chociaż ty nie wiesz o tém,  
Od wieku z okładem,  
Moją dumę i sławę.

Od wieku z okładem.  
W objęciach rozbójnika Wallona,  
Więdnie tam córka mojego serca,  
Lecz męgom jój kres położymy.

O, Strassburgu, Strassburgu,  
Mieście mojego serca,  
Zbudź się ze snów ciemności,  
Bo uderzyła godzina swobody.

Uderzyła godzina, a bracia twoi,  
Przybiegają tłumnie;  
Bohatér o włosach srebrnych,  
Wiedzie ich na rozbójników.

Jeżeli bohater ten cię zbawi,  
Dłoń moją mu podam,  
I zażądam żeby jutro,  
Nazwano go: cesarzem Niemiec.

Tak śpiewał poeta jego wysokości najoświecieńszój,  
podczas gdy łuna Strassburga oblekała niebiosą purpurą.

Księżna przyjechała po kapitulacyi w celu oglądania dzieła zniszczenia. Odwiedziny swoje wytłumaczyła pozorem ludzkości i żądała, aby jój pokazano szpital, do którego zebrano dziewczątka z klasztoru podpalonego granatami. Jedną z tych biednych dziełek, liczącój lat sześć zaledwie, urwała kula obie ręce, zapewne w chwili gdy podnosiła takowe do nieba. Rozrzewniła się dostojna pani widokiem biednej téj kaleki, obdarzonej przedwczesną inteligencyą, więc tém bardziej zajmującój i rzekła do niój łaskawie:

— Tyś bardzo nieszczęśliwa, moje dziecię... zrobię więc dla ciebie co tylko zdołam... żądaj czego chcesz, a spełnię żądanie.

— O pani — odrzekło dziecię, zbliżając do niój bezmyślnie swoje kikuty — zwróć mi moje ręce!

Księżna zwiesiła głowę i wyszła.

Kraj ten badeński, co tylko żył z łaski Alzacy i Francyi, przesiąkł na skroś podłością. Jenerał Werder, dowodzący po wzięciu Strassburga korpusem badeńskim operującym przeciw jenerałowi Bourbaki'emu, otrzymał od stowarzyszenia dam badeńskich wieniec z laurów srebrnych i biblią, bogato ozdobioną oraz illustrowaną.

Dzisiaj zaś miasto Freiburg w Brisgau wznosi pomnik na cześć kata Strassburga.

Koniec części drugiej.



## CZEŚĆ TRZECIA.

---

### W Alzacyi — Lotaryngii.

---

#### I.

Czy Alzacya—Lotaryngia należą do Niemiec?

Wiele osób nie odpowiedziało sobie do dziś na powyższe pytanie, więc spróbuję rozwiązać je, zanim kolej zawiezie mnie z Badenu do Strassburga.

Dla rozwiązania tego historycznego pytania — wyrażając się stylem uczonych — nie potrzebuję wzywać pomocy p. Sybel'a albo p. Mommsen'a. Gdy historycy zwykli i nadzwyczajni, przyłączeni do armii pruskiej w charakterze profesorów zaboru i rabunku, wartują stare mapy austrazyjskie i starają się usprawiedliwić porwanie tych dwóch prowincyi, prawiąc nam, że były dawniej lennemi Niemcom, zapominają oni, iż Alzacya i Lotaryngia tworzyły część Gallii i Francyi, na długi czas przed podbojem przez niemieckie cesarstwo. Spójrzaj na pomniki Alzacyi, na tych niezaprzeczonych świadków, że okolica ta знаła od czasów historycznych najwdzięczniejszy rozwój życia gallijsko-rzymskiego. Cywilizacya północna zjawiała się później dopiero w tym

kraju bogatym i żyznym, w postaci łupieżcy; bandy rozbójnicze przeprowadzały się przez Ren bez ostrzeżenia, szerząc pożogę, wycinając w pień wsie całe i wracając do domu z rękoma zboczonymi posoką, ale pełnemi.

Frankowie nadbiegali wówczas, naprawiali ruiny, zacierali ślady tych zdzierstw i gwałtów. Frankowie też obdarzyli Alzację słodkiem imieniem Helizasa, na znak unii i miłości. W r. 486 zdobył Alzację, Kłodowsz, pogromca Siagriusa; prowincya ta była odtąd częścią Francyi.

Pepin i Karol Wielki otaczali miłością Alzację, tę ziemię pożądaną sąsiadom. Tę katedrę strassburską, którą Niemcy rewindykują jako swoje dzieło, dźwignęli pierwsi królowie chrześcijańskiej Francyi.

Metz nigdy nie słyszała narzecza germańskiego. Francya wyniańczyła niemowlę i chyląc się nad kołóbką Messianów usypiała ich swojemi nutami. Metz, oddawszy się Francyi, nie знаła innego małżonka, nie słuchała dźwięków ksiąg niemieckich i odparła Karola V, gdy ten zapukał do jej murów.

„Gdy prochu nie stało,  
Chleba brakowało,  
A Metz stał niezłomnie,  
Do pani Hiszpanii,  
Rzekli Niemcy skromnie:  
„Schrońmy się w Germanii,  
We własnej dziedzinie,  
Nim zima przeminie.“

Tak powiada zwrotka starzej piosenki, ułożona na pamiątkę tej ucieczki, a piosenka ta jest na skroś francuzką, formą i duchem. Na początku 16-go stulecia, napisał już Gauthier z Metz, w mowie o zwrotach czysto gallijskich, swój „Obraz świata.“ *Patois* messenckie jest tylko narzeczem romańskiego języka.

W traktacie verduńskim oddano prowincye, o które Francya i Niemcy się spierały Lotaryuszowi, królowi włoskiemu, z kąd téż powstała nazwa Lotaryngii.

Jednakże Karol Łysy wkracza niebawem do Verdun, odpowiednie do życzeń austrazyskiego narodu i bez drużyny; hrabiowie Alzacyi i czoło arystokracji przyjmują tu księcia powierzającego się ich opiece i wiodą go do Metz, w którym go koronują z przepychem...

Brat jego niemiecki mocno tém się obraził i korzystając z zamieszek, które w Neustrii się zdarzyły, i które zapewne po części wzniecił, zagroził najazdem królestwa. Karol zląkł się i zgodził się na traktat, a ten traktat pokrywał uzurpacyą. Metz i Strassburg przeszły po raz pierwszy pod panowanie niemieckie, lecz w miarę jak poznawały jego słodycze, wzrastał żal ich za Francją, od której ich oderwano. Po zwycięstwie pod Sancourt, odniesioném przez Ludwika III nad Normanami, lud alzacki powtarzał tkliwym głosem tę starą zwrotkę narodową:

*Hludwig Koning min, hilf minam liutin,  
Tanne sprach Hludwig: Herro so duon hin.*  
Ludwiku. królu mój, pomóż swojemu ludowi!  
A Ludwik odrzekł: „Uczynię to Panie.“

Lecz młody książę umarł, zanim potrafił zagarnąć do rodzinnego domu Austrazją zbłąkaną do łakomych i barbarzyńskich rąk niemieckich.

Przywiązanie tłące w sercach Alzaczyków i Lotaryńczyków dla Francyi, odżyło po bitwie pod Soissons. „Spieszcie, wołali oni do Raula burgundzkiego, spieszcie uwolnić niewolników.“ Raul zjawia się konno pod murami Mouzon'u; miasto to otwiera przed nim swoje bramy z uniesieniem radości. Szlachta nadreńska, pod wodzą biskupa z Metz, przyjmuje go jako króla; bi-



skup zaklina go w imieniu alzackiego narodu, żeby nie pozostawił Sawerny i Alzacyi pod znienawidzoném jarzmem niemieckiem.

Na głos biskupa swojego, staje milicya lotaryńska pod buławą Raula, pałającego odwagą i dumą. Szczupły ten hufiec przebywa wąwozy Wogezów; wszędzie go oczekują; Alzaczycy drżą z niecierpliwości za zbliżeniem się jego. Niemcy, osamotnieni śród téj nieprzyjaznej ludności, kierują się roztropnością i uciekają po za Ren. Kilka dni wystarczyło, dla zrobienia Alzacyi panią własnego losu, czyli zwrócenia jój Francyi, z którą odtąd dzieliła przez długie wieki jój niepowodzenia lub chwałę. Raz żyła szczęśliwie w cieniu francuzkiej epidy, drugi raz wyrywano ją brutalnie z objęć Francyi i znów czuła u gardła ostrze niemieckiego oręża.

Założyciel cesarstwa niemieckiego, Otto, posłał wszystkich biskupów austrazyjskich na wygnanie, gdy jawnie okazali swoją sympatyę dla Francyi. Gdy odłączono Alzacyą od Lotaryngii i przyłączono ją do Szwabii, jój ciężenie i sympatya do Francyi przeżyły trony obalone.

Potomkowie Hugona Kapeta nie wyrzekli się zresztą nigdy swoich praw do krajów nad Mezą i Renem. Niemcy nie odkryli jeszcze w owéj porze historyków specjalnych, w celu kojenia skrupułów, tworzenia dogmatów rabunku i morderstwa; oni sami nie byli pewnymi wówczas, ażali dzierzyli swoją zdobycz legalnie; nie posiadali oni wtedy Alzacyi, ale przechowywali ją nakształt rzeczy skradzionéj.

Od tego czasu aż do pokoju westfalskiego, prowincya ta oddziela się coraz jawniéj od cesarstwa i tworzy rodzaj odrębnego państwa z samorządem. Alzacya przyłącza się do Szwajcaryi, z którą jest spowinowaconą

licznymi węzły, walczy na tychże polach chwały i ci-  
ska na starą feudalną Europę siew wolności. Szlachta  
niemiecka, obalona na licznych polach przez synów Al-  
zacy i pasterzy helweckich; mści się, nazywając tę  
ostatnią: oborą szwajcarską. Pod Morgarten i Sempa-  
chem powiewały chorągwie wolnych miast Strassburga  
i Metzu, w braterskim szeregu, obok sztandarów pier-  
wotnych kantonów.

Ludność alzacka wezwała po pokoju westfalskim,  
żołnierzy francuzkich, kwoli zajęciu miejsc opuszczo-  
nych przez szwedzkie załogi. Mulhouse wpisuje się  
w poczet konfederacji helweckiej, później oddaje się  
Francji z własnej woli. Strassburg odłącza się od Nie-  
miec wśród głębokiego pokoju, oraz staje się wielkim  
miastem francuzkiem.

Pewnego wieczora wezwał Luvois młodego szlachci-  
ca na dwór wersalski:

— Chcesz — zapytał go — wyrządzić wielką przy-  
sługę królowi?

— Gotów jestem odważyć się na niepodobieństwo,  
jeżeli zażądacie cudów — odrzekł młodzieniec, z u-  
kłonem.

— Nie żądamy tyle od pana — mówił Luvois —  
chcemy tylko, żebyś wyjechał natychmiast.

— Wyjadę.

— Jutro, o szóstej rano, musisz stanąć w Strass-  
burgu.

— Stanę tam, choćbym dziesięć koni zamęczył.

— Staniesz w bramie mostu na Renie.

— Stanę.

— Wyjmiesz swoją książeczkę i zapiszesz, cokol-  
wiek zdarzy się do południa.

— Wszystko zapiszę.

— I wrócisz z pośpiechem?

— Powrócę.

— Jedź więc — rzekł Luvois, wstając z powagą jenerała armii.

Nazajutrz, o szóstej, ujrzała straż mostowa w Strassburgu szlachcica francuzkiego, opierającego się o parapet i patrzącego z miną zadumaną w nurty rzeki. Myśląc, że go trapią troski miłosne, nie zważali na niego. Kawaler wrócił w południe do swego hotelu, wskoczył na konia i pojechał drogą do Paryża. Louvois polecił, żeby go wpuszczono niezwłocznie do swego gabinetu.

— Twoje notatki! pokaż swoje notatki! — zawołał on, biegnąc naprzeciw kawalera.

Odebrał je i przeczytał: „O szóstej, dwóch chłopów pijanych; o siódmej, stara baba i osioł; o ósmej, koń kulawy; o dziewiątej, furmani przeklinający, kobiety narzekające i dzieci płaczące; o dziesiątej, rodzaj błazna, w ubiorze pół żółtym, pół czerwonym; pluł on w rzekę, kreśląc kółka na jej powierzchni.“

Luvois rzucił się na szyję posłańcowi, który ogłupiał z podziwienia. Minister włożył notatki do kieszeni i chwytając kapelusz zbiegł jak najspieszniej i wskoczył do powozu. W pół godziny później, zawiadomił on króla, że rada Strassburga żądała przyłączenia swego miasta do Francyi i dała znak umówiony z jenerałem Monclar, posyłając człowieka w pół żółtym, a pół czerwonym stroju na most reński.

Ludwik XIV pozostawił wolnemu miasto jego przywileje, konstytucyą municypalną i sądownictwo, zaręczył mu wolność sumienia i uwolnił go od podatków. Strassburg zachował swój samorząd, a podczas burzliwego 18-go stulecia, Alzacya była wolną od waśni religijnych.

Ludwik XV w przechodzie w r. 1744 przez Alzacyą,



w celu obleżenia Freiburga, pisał do księżnej Rohan: „Nigdy nie widziałem nic piękniejszego, wspanialszego i większego nad to, co widzę od czasu mego pobytu w Strassburgu. Najbardziej zachwyca mnie jednak przywiązanie narodu, okazywane powszechnie; są oni na skroś Francuzami, nakształt obywateli najstarszych prowincyj. Żegnam ich z żalem.“

Już w r. 1708, pisał marszałek Villars w swoich pamiętnikach, gdy bronił linii Renu: „Opuszczając Alzacyą, generałowie i wojsko okazywali żywą boleść.“

Rewolucya francuzka znalazła w téj prowincyi najwaleczniejszych swoich żołnierzy. Po złamaniu linii Weisemburga, gdy zabór zjawił się śród tumanów dymu, śród krwi i nocy, Strassburg dał nowy, podziwiania godny dowód swojego przywiązania do Francyi i patryotycznej ofiarności. Nietylko, że cała młodzież chwyciła za karabiny i przyłączyła się do cofającej armii, nietylko, że zmieniono każdy dom na lazaret, lecz gdy kasy publiczne były puste, żniwo źle wypadło, a żołnierzom na wszystkiém zbywało, kobiety z ludu i mieszczaństwa przynosiły kosze napełnione swojemi ozdobami głowy; z koralów, srebra i złożonej miedzi. Mężczyzni już przed czterma latami oddali swoje srebrne sprzączki od trzewików.

W owéj epoce nie różnił się zgoła ubiór ludu alzackiego od stroju ludności zarenśkiej. Rząd rzeczypospolitej ogłosił wprowadzić prawo odnośne do zwykowego stroju, lecz kobiety zapomniały zastosować się do niego.

Cóż uczynili Saint-Just i Lebas? Oto, odwołali się do uczuć francuzkich obywateli Alzacyi.

15 Listopada 1793 r. przybito następującą odezwę na murach Strassburgu:

Podróż po Zaborach prus.

Upraszamy obywateli Strassburgu, żeby wyrzekli się mody niemieckiej, w obec faktu, że mają serca francuzkie.

Dan w Strassburgu, 25 *Brumaire*, roku II  
rzeczypospolitej jednej i niepodzielnej.

Reprezentanci narodu przy armii Renu:

*Saint-Just, Lebas.*

Tegoż dnia znikły haftowane staniki, czerwone spódniczki, ubrania głowy o szerokich skrzydłach, jakby je wymiotła rószczka czarodziejska,

---

## II.

Pierwszy protest przeciw wcieleniu do Niemiec:

Obrona zacięta, walka do ostatniego tchnienia, były pierwszym protestem przeciw aneksyi Alzacyi—Lotaryngii; protestem godnym wielkiego narodu, którego sztandary przebiegły dwie półkule w zwyciężkim pochodzie.

Haniebna plama byłaby została na tych chorągwiach, gdyby złożono broń po pierwszym ciosie, gdyby Francya była okupiła pokój hańbiący, ofiarując część swojej krwi i swojego ciała! Czyż nie świeciła nam nadzieja wyratowania ojczyzny, póki walczyliśmy? Francją zwyciężono w tym śmiertelnym pojedynku, lecz nie odebrano jój poczucia, że broniła się do ostatka i że odebrano jój Alzacyą i Lotaryngią dopiero, gdy ją obalono i zakneblowano jój usta.

— Rząd obecny — pisał w Styczniu r. 1871 korespondent Times'a — nie sprzyja myśli, aby przyspieszyć koniec wojny, ustępując Alzacyą i Lotaryngią. Wielka liczba Francuzów podziela te uczucia. Choć nie są stronnikami rządu p. Gambetty i często nawet potępiają jego czynności, postanowili oni nie zgodzić się na odstąpienie dwóch prowincyj, uważając tę rzecz za sprawę honorową i wierząc, iż porzucenie



dwóch prowincyj tak lojalnych dla Francyi, oraz okazujących chęć pozostania przy niej słowami i czynami, byłoby podłością. Przeszło 12,000 alzackich ochotników przyłączyło się do armii francuzkiej, od kiedy kraj ich zajmują Niemcy, liczba ta zaś wzмага się z dniem każdym. Uciekają oni w nocy, przebywają góry, znajdują środki pomimo znużenia, głodu i niedostatku, aby połączyć się z towarzyszami broni we Francyi. Biją się oni z miłości dla kraju i kwoli uwolnieniu go z pod jarzma cudzoziemskiego. „Czyż możemy ich opuścić? — mówił do mnie niedawno pewien Francuz, pokazując mi długi spis rannych i poległych Alzacyan. — W całej Francyi nie istnieje prowincya bardziej i tkliwiej francuzka, nad Alzacją. Czemuż Niemcy nie żądają Normandyą, która nie jest tak francuzką, jak Alzacya? Rouen przyjęło ich w swoje mury bez wystrzału, podczas gdy Strassburg bronił się, dopóki nie zamieniono w ruiny jego wałów.“

— Francya popełnia samobójstwo, lecz uratuje Europę! — wołano z podziwieniem w Anglii, Belgii, Austrii, Szwajcaryi i Rossyi. Wyczerpując się w tym rozpaczliwym oporze, przytępia ona pazury i kły bestyi niemieckiej i nie pozwala jęj zwrócić się na inne narody i pożreć takowe. Dzisiejsze Niemcy, na pół zrujnowane, czują żywiej niż kiedykolwiek tę reakcyę po długo wahającym się zwycięztwie.

Gdyby naród francuzki dał się być zgnieść wnet po Sedanie, niemiecki duch pyszny, do zaczepki skory i ambitny, nie znałby granic dumy. Okup byłby niemięć ciężkim, a kartę europejską zmienionoby zapewne w sposób, który skutkiem przedłużenia wojny, wypadło odroczyć na później.

Po zdobyciu Paryża, gdy Francya wyczerpawszy swoje siły, lecz nie wyczerpawszy honoru i odwagi,

musiała uleść przemocy, wymowne głosy ze wszech stron się odezwały, protestując przeciw uzurpacyi Alzacyi i Lotaryngii, nad którą Prusy dumały tajnie od r. 1815.

Biskup Frenget z Angers, piérwszy się odezwał, pisząc w świetnym swoim liście do cesarza Wilhelma:

„Wnoszę z rozmaitych dokumentów, iż ustąpienie Alzacyi byłoby warunkiem przyszłego pokoju. Jeżeli takie żywisz myśli, *Sire*, błagam waszą kr. mość, żebyś się wyrzekł projektu, równie groźnego dla Niemiec, jak i dla Francyi. Wierz mi, jako biskupowi przemawiającemu w obec Boga i z dłonią na sercu, że Alzacya nigdy do was należeć nie będzie. Możecie spróbować ugiąć ją pod wasze jarzmo, lecz nigdy jój nie ugłaskacie. Nie pozwólcie aby was w błąd wprowadzili ci, którzy wam tę myśl podsunęli; lat 25 przeżyłem w Alzacyi, a od tego czasu łączy mnie wspólność dążeń i uczuć z jój dziećmi — nie znam zaś żadnego pomiędzy niemi, któreby zgodziło się na zaparcie się Francyi. Katolicy i protestanci, wszyscy wyssali tam z piersi matek miłość do Francyi, a miłość ta była i zostanie główną passyą ich żywota. Jak pasterz dyecezyi, która zresztą przesiąkła gorącym patryotyzmem, nie spotkałem w niej, o czém mogę zapewnić w. kr. mość, żywszego przywiązania do narodowości francuzkiéj, nad uczucia tlejące w mojej rodzinnej prowincyi. Tenże duch przejdzie, zapewniam was, na pokolenie dorostające; w przyszłych pokoleniach nie zmienią go ani głaskaniem, ani groźbą.“

Pastor Delmas, prezydent konsystorza w La Rochelle, pisał ze swojej strony do cesarza niemieckiego:

„... Ach, czemuż po klęskach Sedanu, nie ujrzelismy, że książę nazywający się chrześcianinem, przyjuje pokój o który go błagano i przerywa walkę stra-

szną i bratobójczą—z jakimże osłupieniem i boleścią patrzyliśmy, gdy w. kr. mość dalej prowadziłeś wojnę wytępiającą, oraz wzbudziłeś nienawiść, która nigdy nie zgaśnie, żądając odstąpienia złemi, pod pozorem bezpieczeństwa dla Niemiec. Francya nie może się zgodzić z honorem na to ustępstwo, gdyż ludność téj ziemi rewindykowanój, jest francuzką sercem i pragnie zostać francuzką. Czyż narody są bydlętem podłym, którem wolno handlować despotem, bez względu na ich dążenia i sympatyje?... Starcze, któremu wnet przed Bogiem stanąć wypadnie, na cóż zda ci się zwiększenie twoich drżerzaw tą dziedziną zbroczoną posoką, trupami i ruinami, gdy wkrótce wystarczy ci kilka stóp ziemi, abyś usnął w grobowcu!”

W Niemczech protestowali republikanie niemniej energicznie, przeciw zmniejszeniu Francyi.

Zacny i rycerski Ludwik Simon (z Trewiry), były deputowany do parlamentu frankfurckiego, pisał w liście do berlińskiej gazety *Zukunft* (Przyszłość):

„Niemcy żądają gwarancyi. Jeżeli zamiast odpłacać krzywdą za krzywdę, potęga ta pragnie okazać się godną szacunku Europy w ogóle, a szczególnie Francyi, niechaj nie waha się żeby spełnić jedyny akt, którym może ubezpieczyć swoje granice i własną niezależność. W tym celu wypadaloby wyrzucić się wszelkich roszczeń do Alzacy i Lotaryngii i nie zapominać, iż kraje te nie tylko przywizały się do Francyi starymi traktatami, lecz i trzema rewolucjami: z r. 1789—uświęcającej prawa człowieka; z r. 1830—zapewniającej rządu konstytucyjnego; z r. 1848—utrwalającej powszechne głosowanie.“

Jacoby także podniósł głos swój uprawniony przez wyborców, do powstrzymania obuchów dyplomatycznych: „Jenerał-lejtnant niebieskiego króla“ — tém imieniem



obdarzają demokraci niemieccy naczelnika narodu — kazał pojmać starego republikańskiego pustelnika, o północy w Królewcu, oraz odstawić go do więzienia w Loetzen. Z głębi celi swojej napisał Jacoby list nowy:

„Szalony pomysł kanclerza, który zamierza wcielić Alzacyą i Lotaryngią do cesarstwa niemieckiego, potępiają postępowcy i radykalni, a nawet znakomici dyplomaci, nie tylko jako wielką zbrodnię, lecz jako błąd wielki. Każdy z nas żywi przekonanie, iż plany i dążenia p. Bismarck'a znikną z jego zgonem; gdy on przeminie nakształt błyskawicy, republikańska Francya powstanie z twarzą jaśniejącą dla całego świata, w pełni życia, mając po swojej stronie prawo i światło prawdziwej cywilizacyi.“

Wkrótce po uwięzieniu byłego przywódcy lewicy, ogłosiła *Zukunft* deklaracyę podpisaną przez wielu członków partyi ludowej, w której ci zatwierdzali uchwałę przeciw aneksyi, zapadłą w Królewcu na wiece partyi demokratycznej pod laską dr. Jacoby. Partya ludowa (*Volkspartei*) odezwała się w tymże czasie do robotników niemieckich, w manifeście z następującem zakończeniem:

„Mówią nam, iż wypada, żeby Francya odstąpiła nam co najmniej Alzacyą i Lotaryngią. Kamarylla wojskowa twierdzi, iż tylko w ten sposób zdołamy na zawsze usunąć groźbę wojny pomiędzy Francją i Niemcami.“

Błąd to wielki, z którego wynikną skutki wręcz przeciwnie i który zmieni obecną wojnę w pożar europejski. To rozwiązanie będzie też o tyle niewygodném, iż uwieczni w odmłodzonych Niemczech despotyzm wojskowy; będzie ono najpewniejszym środkiem, żeby zmienić układany pokój w zawieszenie broni i wywołać w przyszłości rzeź pomiędzy Niemcami i Francją.“

W Brunszwiku uwięziono natychmiast i wysłano do fortec, pewną liczbę socyalistów, którzy ogłosili adres przychylny dla rzeczypospolitéj francuzkiéj i nieprzyjazny dla rządu niemieckiego.

Pan Karol Vogt, zawsze stojący w pierwszym szeregu bojowym, ilekroć wypada bronić wolności narodów i przypominać krzywdy uciśnionych, napisał z Genewy list, tchnący tonem *Provinciales* Pascal'a:

„Sprzeciwiam się aneksyi — mówił on w końcu — gdyż nie umięją przytoczyć żadnego argumentu rozsądnego na jęj usprawiedliwienie, gdyż nie uznają prawa zaboru, czyli kradzieży zbrojnéj, gdyż względy rozumu i oględności zresztą potępiają takową... Jestem przeciwny aneksyi, gdyż takowa sprzeciwia się wyraźnéj woli narodu. Wiem, iż śmiać się będą ze mnie i powiedzą mi, iż w przeciągu lat 10 Alzacyanie zostaną dobrymi Niemcami, jak dziś są dobrymi Francuzami.“

„Dawno uważano by za najwyższe szczęście, gdyby udało się było odkryć w nich choćby cień sympatyj dla Niemiec. Czyniono mnóstwo poszukiwań w tym celu, u mnie samego mieszkwały w lecie r. 1866 osoby nie wypierające się zgola, iż spełniały misję i śledziły usposobienie Alzacyan; nie chciano wierzyć własnym oczom, widząc alzacką wierność dla mowy i zwyczajów niemieckich, w parze z zupełném oddaniem się Francyi i poświęceniem, o którego szczerości zapewniałem, znając kraj i ludność jego od lat wielu. Że istnieją one w istocie, przekonała się już zapewne armia i rząd prowizoryczny. Ludwik Napoleon stosował się w swoich aneksyach, chociażby tylko pozornie, do wymagań naszégj epoki.“

„W obecnym wypadku używano tylko siły brutalnéj, która zabiera oborę wraz z trzodą.“

Feuerbach, sławny pisarz niemiecki i profesor przy wszechnicy w Halli, podniósł się na śmiertelném łożu, aby cisnąć tę gorącą apostrofę:

„O biedni rodacy moi! Ponieważ stopa wasza spoczywa na części obalonój Francyi, ponieważ zdaje się wam, iż do was należą ostatecznie obydwia pobrzeża tego *niemieckiego* Renu — téj rzeki, o której posiadanie toczy się bój płonny, lecz kosztujący więcej krwi, niż wody płynie w jéj korycie; téj nędznej rzeki, co od wieku ogłupia mózgi naszych poetów i broczy gardziele naszych śpiewaków — więc wołacie: on *pruskim* zostać musi! Przekonacie się niebawem, że *pruski* nie jest synonimem *niemieckiego*. Od Bazylei do Emeric'h'u, czyli wzdłuż całej długiej granicy, a może nawet, jeżeli zachcianki pana Bismarck'a nie zbudzą Europy z otrętwienia, aż do morza i aż do Rotterdamu, zostanie on Renem pruskim. Śpiewajcie, jeżeli to wam się podoba, jeżeli pragniecie wygłosić wasz zachwyty patryotyczny, lecz nie radujcie się zbyt szalenie, gdyż nie macie do tego powodu i nie na próżno mruczają we Francyi: *Vae Victoribus!* nieszczęście zwycięzcom!“

„Ta Alzacya—Lotaryngia, na skroś francuzka sercem, którą wydrzecie na chwilę z posiadania Francyi, czemuż ona dla was zostanie? Będzie sępem, przykuty do łona nowego Prometeusza.“

„Niemcy, bracia moi, powtarzacie błąd Austryaków w Wenecyi; odpokutujecie go jak oni i wkrótce powtórzyście z nami: *Vae Victoribus!*“

Żaden z tych głosów, żaden z tych nawoływań wspaniałomyślnych, nie znalazł echa w Niemczech; cały ten „naród myślicieli“ leżał płazem przed nowém bożyszczem, któremu kadzono dymem armatnim i wońią posoki.



„Warunki pokoju—pisał *Ausland*—nie troszczą nas zgoła, albowiem wiemy, iż los narodu niemieckiego spoczywa w ręku człowieka, który zawsze umiał połączyć stanowczą śmiałość z zimną oględnością, i który pewnie nie daruje swemu nieprzyjacielowi ani jednego centima, ani jednej wioski, ani piędzi ziemi. Jeżeli hrabia Bismarck uważa za stosowne, żeby wymagać wynagrodzenie pieniężne, powiemy sobie w duszy, iż bezpieczeństwo państwa nie pozwalało mu działać inaczej. Jeżeli przeciwnie mniema, że korzystnym dla nas będzie, jeżeli Francya odstąpi nam linię Wogezów, Mozelli a nawet Mezy, nie zrozumiemy z początku jego rachunku, lecz ślepo poddamy się jego zdaniu, wiedząc, iż jest człowiekiem, co *bierze* tylko wtedy, gdy wie, iż *potrafi* rzecz wziętą *przechować*.“

---

### III.

#### Protestacye Alzacyi—Lotaryngii.

Gdy przyszła bolesna chwila rozłączenia, deputacya alzacko-lotaryńska protestowała nietylko w obec narodowego zgromadzenia w Bordeaux, lecz w obec Europy.

Piérwszy paragraf w téj uroczystej protestacyi zapewniał, iż Alzacya i Lotaryngia nie chcą być odłączone od Francyi, z którą je wiążą dwa wieki dobrych i złych losów, którój były przedmurzem przeciw ciosom nieprzyjaciela, za którój narodową wielkość ciągle się poświęcały. Unią z nią zatwierdziły one krwią swoją.

Daléj powiada ta protestacya, iż obywatele, którzy zostali w domu, dowiedli swojemi głosami, ci zaś, co zebrali się do koła sztandarów swoją walecznością, iż chcą pozostać Francuzami.

Drugi paragraf dowodził obszernie, iż Francya może znieść gwałt, lecz nie wolno jéj zatwierdzać rozbój.

Trzeci przypominał, że Europa nie powinna pozwolić na utratę Alzacyi i Lotaryngii, oraz, że pokój zawarty kosztem ustąpiionych prowincyi, nie może być trwałym, lecz stanie się nieznośném zawieszeniem broni.

W trzy lata później, deputowani Alzacyi—Lotaryngii powtórzyli tę protestacyą przeciw uzurpacyi, oraz akt swojej wierności dla Francyi, w obec niemieckiego Reichstagu. Podczas wyborów, przeciwnicy nieprześlągani Prus zebrali 192,633 głosów, kandydaci niemieccy tylko 9,855, a zwolennicy autonomii alzackiej 37,906 (\*).

„Sądziliśmy — pisała *Ligue d'Alsace* — że w obec politycznych względów i nieprzyjaciela, wypadało zapomnieć o poprzednich niesnaskach, lecz tylko pamiętać o *Francyi*. Na tém patryotyczném polu podaliśmy sobie dłonie: katolicy, protestanci, żydzi, rojaliści i republikanie, połączyliśmy się ściśle spólną miłością ojczyzny... W niej upatrujemy wyrocznie zwycięstwa dla narodowego stronnictwa, które pismo nasze przedstawia i broni.“

W Lutym r. 1874, weszła deputacya alzacko-lotaryńska do Reichstagu, w obec przepełnionej trybuny i izby, z trudnością tłumiącej swoją ciekawą niecierpliwość.

Biskup Strassburgu i biskup Metzu wystąpili w swoich kapłańskich szatach; biskupią odzież tworzyły sutanny o czerwonych guzach, szerokie pasy, fioletowe rękawiczki, aksamitne czapeczki i złote krzyże na piersiach. *Abbé* Soehlin, proboszcz z Nowego Brisach, ozdobił swoją sutannę czerwoną wstążeczką legii honorowej, którą zdobył tak szlachetnie podczas oblężenia swojego miasta. Szedł on po prawicy j. eks. bi-

---

(\*) Te wybory doprowadziły administracyą pruską do wściekłości. Gazeta Strassburska wrzeszczała: „Sfanatyzowano Alzacyą—Lotaryngią i wiele czasu upłynie, zanim one zostaną wyemancypowane pod względem politycznym. Zwycięzcy z 2 Lutego nie wstrzymają jednak na cał rozwój losów narodowych.“



skupa Dupont des Loges. Hardy burmistrz Strassburga, p. Ernest Lauth, którego rząd pruski pozbawił urzędu, postępował za księżami: Winter, Guerber i Simonis, ustrojonymi w sutanny (\*).

Na porządku dziennym posiedzenia znajdował się następujący wniosek:

„Reichstag raczy postanowić, żeby ludność Alzacy i Lotaryngii, anektowana do Niemiec na mocy traktatu frankfurckiego i bez zasięgnięcia swego zezwolenia, została wezwana do specjalnego głosowania nad tą aneksacją.“

Zanim podano ten wniosek do rozprawy, marszałek sejmu, p. de Forkenbeck, przeczytał żądanie deputowanych alzacko-lotaryńskich, aby im wolno było mówić po francuzku. Polegając na paragrafie regulaminu sejmowego, prezydent oświadczył, że tylko mowa niemiecka jest dozwoloną w Reichstagu.

Pan Bismarck wszedł w téj chwili. Deputowani alzacko-lotaryńscy uważali za konieczne odezwać się do niego. „Nie mówię po francuzku“— rzekł do nich dumny kanclerz. „Lecz rozumiesz?“ — zapytał pan Teutsch. „Tak, lecz nie tutaj.“ Poczém minister tyłem się do nich obrócił.

Biskup z Metz, p. Dupont des Loges, zażądał tłumacza. Odmówiono mu takowego.

P. Teutsch, upoważniony przez deputacją do głosu w jój imieniu, wstąpił na trybunę. Zapewnił on na wstępie, iż odezwę jaką odczytać zamierza, przeło-

---

(\*) Sutanę nie znają w Niemczech, gdyż takowa pozostawała ubiorem kleru łacińskich narodów. Księża niemieccy ubierają się w długie surduty, jedwabne kapelusze, a czasem w buty z cholewami.

zono z francuzkiego na niemiecki, gdyż język niemiecki nie jest jego macierzyńską mową.

W mowie téj protestował on przeciw nadużuciu siły, którój kraj jego padł ofiarą. Oświadczył on, iż gwałt tego rodzaju nie powinienby się spełnić w drugiej połowie 19 stulecia. Francyi nie przysługiwało prawo, żeby ustąpić swoich prowincyi; zresztą ustępstwo to nie pochodziło z dobrej woli, lecz z przymusu. Chcąc wrócić na drogę legalną, wypada zaradzić się głosów alzacko-lotaryńskich. Na próżno cytujecie nam zwyczaje wojenne, stosunki rasowe pomiędzy Francją i Niemcami, oraz konieczność, żeby te ostatnie mogły się bronić przeciw napaści francuzkiéj. Jeżeli Niemcy upojone zwycięstwem wytrwają w uzurpacyi, będą one zmuszone wyczerpać swoje zasoby w ludziach i mieniu, żeby takową bronić.

Abbé Winter, proboszcz z Mühlhaus i abbé Guerber, przełożony nad seminaryum w Zilisheim, wpisali się do słowa po p. Teutsch, lecz biskup strassburski zbiżył się zwolna do trybuny. Skoro p. Teutsch zeszedł z niej, on wstąpił na nią i oświadczył bez narady z kolegami, których prawa nadużywał, „iż on i spółwyznawcy nie zamierzali wcale zaprzeczać powadze traktatu frankfurckiego.“ Mówił on śród oklasków katolików i narodowych liberałów niemieckich.

To nieszczęśliwe i niezrozumiałe oświadczenie, zostało schwycone przez prezydenta w lot, nakształt piłki. Więc przystąpił on natychmiast do głosowania, żeby zamknąć rozprawę. Tylko Polacy, demokraci-socjaliści, p. Sonnemann, redaktor gazety Frankfurckiej, p. Kryger, deputowany duński i p. Ewald, hanowerski autonomista, poparli wniosek p. Teutsch.

Deputowani alzacko-lotaryńscy, oburzeni i zatrwożeni odszczepieństwem p. Raess'a, nie wstali podczas

głosowania, protestując w ten sposób przeciw zbyt spiesznemu zamknięciu rozprawy i podstępowi, którego byli ofiarą. Wreszcie opuścili salę.

Nazajutrz, na początku posiedzenia, oświadczył p. Pougnet, deputowany z Sarreguenienes, i to w imieniu wszystkich swoich kolegów katolickich, że biskup strassburski odezwał się przededniem li w swoim własnym imieniu. Deputowani katolicy z Alzacyi—Lotaryngii dodali oprócz tego uwagę do protokołu sejmowego, w której protestowali przeciw zamknięciu debaty „albowiem pozycję ich w tej kwestyi nie wyświecili należycie 2 mówcy przypuszczeni do słowa.“

Wieść o niepojętym zachowaniu się j. eks. biskupa Raess, wzbudziła w Alzacyi bolesne wzruszenie umysłów. 40 księży strassburskich podpisali następujący list do p. Teutsch:

„Panie deputowany!“

„Duchowieństwo Strassburga, dzieląc zdanie katolików całego miasta, chlubi ci się dziękuję za patriotyczną mowę, jaką wypowiedziałeś w parlamencie niemieckim. Winszuje ci ono, że tak trafnie wyraziłeś uczucia ludności i zapiera się wszystkiego, co kwoli zmniejszeniu powagi słów twoich, wypowiedziano przeciw twojemu wnioskowi.“

Protestacya wyborców p. Reuss brzmiała żywiżej: „We wszystkich okręgach wyborczych walczone jawnie — pisali oni — pomiędzy ludźmi, którzy otwarcie albo skrycie przyjmują aneksacyą Alzacyi—Lotaryngii, oraz tymi, którzy protestując przeciw nadużyciu siły i wcieleniu Alzacyi—Lotaryngii do Niemiec, zamierzali potępić fakt spełniony w sposób na jaki on zasługuje. We wszystkich kolegiach, tylko ci ostatni otrzymali przeważającą większość głosów; oni tylko przedstawiają rzetelne uczucia kraju. Biskup strassburski dowiódł



jawnie, skutkiem swojego postępowania w Reichstagu, że albo nie rozumiał, lub nie przyjął doniosłości mandatu, powierzonego sobie przez wyborców. Jest on więc zobowiązany, jako człowiek sumienny albo honorowy, złożyć ten mandat w ręce wyborców. W ten tylko sposób zdoła on odwetować ludności krzywdę głęboką, jaką zadał jój patriotyzmowi.“

Katolicką wiejską ludność do tego stopnia wzburzyło postępowanie swojego pasterza, iż we wielu miejscach wzbraniano się przedstawiać j. ek. dzieci do bierzmowania. Dzieci w Kolmarze opierały się z płaczem przeciw przyjęciu sakramentu, twierdząc, że „gdyby ten biskup je bierzmował, zostaną potępionemi.“ Nawet osoby wybrane do dźwigania baldakinu oświadczyły swojemu proboszczowi przededniem obrzędu: „proście biskupa, żeby sobie sprowadził tragarzy z Berlina.“

Gdy odczytywano w kościołkach wiejskich roczny list pasterski biskupa, zgromadzenia pukały, ażeby go zagłuszyć.

Zniszczono jego piękną winnicę w Sigelsheimie, gdzie tak mile można chwalić Pana Boga i zkąd pochodzi ów słynny muszkatel, szczególnie poszukiwany przez Prusaków, którzy w nim znajdują posmak germański (\*). Wściekłość ludu nie oszczędziła nawet biskupiego pałacu w Strassburgu, albowiem wytłukła w nim wszystkie okna kamieniami.

---

(\*) Podczas wojny z Meksykiem p. Raes zaprosił prefekta departamentu do biskupiego pałacu, na obiad.

— Znasz to wino?—zapytał przy deserze.

— Nie—odparł prefekt.—Może to jest stary rudesheimer.

— Chybiłeś o łokieć.

— Winko z nad Mozelli, co?

Podczas gdy p. Dupont des Loges mówił o Prusakach — którzy téż za to szanują jego nieugiętość charakteru: — „nie znam ich zgoła i wiedzieć o nich nie chcę,” p. Raess nie wstydzi się ucztować z nimi. Może jednak zasiada on do stołu generałów pruskich w Strassburgu, jako właściciel winnicy w Sigolsheimie. Podejrzynam bowiem, iż biskup nie umie się oprzeć pokusie obiadków smacznych, zwłaszcza, że brzuszek jego zdradza wesołe usposobienie, po którym bieżące wypadki spływają bez zostawienia skazy. Wszak on jeszcze przed wojną napisał w album rzymskiem owę myśl zbyt lotną, żeby wylęła się w sercu prawdziwego syna Alzacyi:

— Nie, z Meksyku.

— Żartujesz.

— Ale nie żartuję, gdyż to jest *jus à Raess* (Juarez; sok Raessa).

Prałat ten zdobył rzeczywisty rozgłos uprawiając winnicę i kalambury.

Ile razy j. ek. przypuszcza do swojego stołu młodego księdza, nie zaniedbuje zapytać tonem dóktorskim:

— Co mówi chléb, gdy go krajają?

Młody *abbé* suszy głowę nad cytatami z pisma świętego, szuka, szpera, nic nie znajduje; rumieni się wreszcie i bełkocząc przeprasza za tępość swojej głowy.

— Ależ on *di-minue* (zmniejsza się — mówi: *minue*) — woła wtedy biskup, wydymając się od śmiechu.

Do cesarzowej Eugenii, która mu radziła zbierać składki, kwoli ukończeniu drugiej wieży katedralnej, odrzekł ten prałat, z alzackim akcentem:

— *Oh, non, metadine, jamais; les évêques ne sont pas des faiseurs de tours.*

— Nigdy, pani. Biskupi nie są budowniczymi wież (kuglarzami).

„Jakakolwiek masz ojczyznę, jest ona tylko łez padołem. Śmieszném byłoby przywiązywać się do ojczyzny miłością pijawki, gdyż takowa nas nie robi szczęśliwymi, ani nieszczęśliwymi“ (\*).

W skutek posiedzenia z 18 Lutego i odszczepieństwa biskupa Strassburgu, ogłosiło stronnictwo alzackie protestacyą umieszczoną w gazecie Frankfurckiej, w której deputowani alzacko-lotaryńscy oświadczają, że nie myślą brać regularnego udziału w pracach zgromadzenia, które nie miało też prawa zajmować się sprawami Alzacyi i Lotaryngii.

Deputowani przestrzegają wiernie tego programu; nie przekroczyli oni do dnia dzisiejszego progów parlamentu, oprócz dla protestowania przeciw zdzierstwom dopełnianém na szkółkach, marnotrawstwu w budżecie i samowoli panującej w Alzacyi, przeciwnej zobowiązaniom i przyrzeczeniom wszelkiego rodzaju.

---

(\*) „Zbiór autografów z ostatniego soboru.“ Biskup Raess napisał tam swoją myśl po łacinie.

---



#### IV.

##### Strassburg.

Przyjechałem w nocy. Firmament iskrzył się od gwiazd. Nie słyszałem szmeru—ani kroków, ani dzwoń, ani bębnów. Rzekłem do siebie: „śpi miasto, zapomina o swoich okowach, nawet stróże jego usnęli w przedśionkach więzienia.“ Lecz na zakręcie ulicy spostrzegłem chodzącego szyldwacha; bagnet jego gorzał białym odbłyśkiem księżycowego światła. Dalej oddział miejskich sierżantów czołgał się wilczym krokiem wzdłuż domów, wreszcie patrol przeszedł za Ill w milczeniu, nakształt procesyi widm. Nie, Prusy nie znają nocnego spoczynku.

Z poranną pobudką wyszedłem na ulicę, szukając przygody. Jeszcze smutniejszy widok przedstawił się przy świetle porannem. Żołnierze zachowywali się nakształt stróżów na galerach; oficerowie dzierżyli dłonie na rękojeściach szpad swoich, jakby na dowód, iż zawsze są gotowi, żeby zasady niemieckiej cywilizacji w życie wprowadzić.

Znikło wesele, życie, sympatya owych czasów, gdy galijski wojak maszerował tu przy dźwięku trąbki, a figlarne dziewczątka stały na progach domów i patrzyły nań okiem zalotnem. Nic ma już zachwytu

i radości w tem mieście; jednakże było ono królową wesołości francuzkiej. Ani tu przyjaznej twarzy, ani uśmiechniętego oblicza! Paryżanin czuje się bardziej nie u siebie, pomiędzy tymi otyłymi urzędnikami, co tuczą się Alzacją, nakształt kartoflami podanemi na obiedzie urzędowym, niżby się czuł w Lipsku albo Królewcu. Nie możemy trafić śród tych ulic brudnych, po których brodzą zamurdzani ludzie. Straciły one swoją cechę francuzkiej czystości, od kiedy przezwa-  
no je i ośmieszono nazwami niemieckimi. Niektórzy właściciele domów pragnęli odnowić dawne napisy własnym kosztem; władza przysłała cesarskiego pobielacza, który zamazywał swoim pędzlem nieprzyjemne nazwiska.

Magazyny, z niektórymi wyjątkami, zmieniły się zupełnie. Nie widzę w nich gustu; nie zgola w urządzeniach i wystawach nie nęci oka. Towary zwalono bezładnie; zeszarzały one od kurzu i są miernego gatunku. Zamiast koronek, jedwabów, kwiatów, robót złotniczych, pachnideł i wszystkiego co przypomina mniej więcej elegancją paryżką, widzę jatki wieprzowe, szewckie sklepy i dystrybucye cygar. Ostatni spis statystyczny wylicza 200 kielbaśników, 210 szewców i 300 dystrybucyj tytoniu nad liczbę istniejącą przed wojną. Oni obdarzają Strassburg swędem pruskim.

Nigdzie już nie mogę dostrzedz śladów bombardowania. Niemcy pokwapili się, żeby zatrzeć te zbyt piękne dowody miłości dla alzackich braci. Wszędzie widzimy rozpoczęte gmachy i rusztowania. Kończą nowy pałac i kasyno przy ulicy *Thiergarten*. Ostatnie słowo oznacza miejsce do trzymania zwierzyny; zwierzęta niemieckie i potomstwo ich roją się tam.

Walą i odbudowują całe dzielnice. Co chybiła

armata znajduje motyka. Urządzają miasto na swoje własne podobieństwo: prostokątne, suche, w szeregach sztywnych. Długie i szerokie ulice ujęto w domy nakształt koszar, żeby draby policyjni mogli wygodniej odbywać służbę, a bataliony rozwijać się łatwiej.

Cokolwiek przypominało Francją, zniszczono, zartarto, przerobiono. Berlin służy im za wzór. Odnawiają i białą facyaty, wałą dawne gmachy, zbyt pełne pamiątek. Stowarzyszenie alzackie w celu ochrony pomników historycznych stęka od pracy i co rana kieruje hufcami fotografów w ulicach *de l'Ail*, *Fossés-des-Tanneurs* i *Vieux-Marché-aux-Poissons*.

Przeszłość prawi o wolności; wałą więc przeszłość, żeby teraźniejszość jęj oplakiwała a przyszłość cierpiała za nią.

Kwestyę powiększenia miasta przeciął rubasznie p. Beck, szpak uparty, były urzędnik pruskiej policyi, który w jednej i własnej osobie jednoczy od r. 1873 radę miejską, rozwiązana przez rząd ojcowski. W Styczniu 1876 r. oświadczył p. Beck, iż kupił w imieniu miasta Strassburgu—które o tém wtedy po raz pierwszy usłyszało—plac pomiędzy wałami i nowemi fortyfikacyami, nakreślonymi przez inżynierów wojskowych. Targu tego dobił on za 17 milionów marek, czyli 21 i pół miliona franków. Oprócz tego zobowiązało się miasto zwalić stare warownie, co nie mało będzie kosztowało.

Miasto, chociaż przyzwyczajone już do samowładztwa, zaprotestowało tym razem. Oprócz krzywdy materialnej bowiem, czyn ten przedstawiał wyjątkowy i niegodziwy przykład, żeby rząd wojenny obciążał anektowane miasto długiem ogromnym, czyniąc to samowolnie i bez zezwolenia mieszkańców.



Pan Beck odpowiedział, ogłaszając starą petycję, którą Niemcy koloniści w Strassburgu i niektórzy wynarodowieni Alzacyanie—pomiędzy nimi i p. Schneegans—posłali kiedyś do p. Bismarcka, prosząc go o debarkader, doki, basen, port wielki i oddanie kanałów na użytek dróg żelaznych. „Wypada—mówiła petycja—aby Strassburg został handlowem miastem, ze względu na zmianę jego pozycji celnej. Pozycja geograficzna sprzyja nam, lecz dotąd nie mamy urządzeń ku temu.“

Znaczne oszczędności które zebrano za czasów francuzkich, nie wystarczały na opłatę przesadzonej summy, jaką inżynieria wojskowa wymagała za grunta, zupełnie sobie niepotrzebne. Wypadnie więc zapożyczać się, a koniec końcem, miasto wyda około 40 milionów, żeby wesprzeć budowę składów artylerii, piekarni, więzienia wojskowego, administracji inżynierii, głównej kwatery jeneralnej i utworzenie wielkiego placu do manewrów.

Kontrakt zawarty pomiędzy p. Beck i rządem cesarskim wspomina o tych wszystkich „ozdobach“, podczas gdy milczy o debarkaderach, dokach, porcie i oddaniu kanałów na rzecz kolei żelaznej.

Jedyną industryą wspieraną przez rząd pruski w Strassburgu i Metz jest industria wojenna, która dała mu w przeciągu lat 10 tak znaczne zyski, że może opłacić zbytek niemieckiego cesarstwa.

U końca każdej mojej przechadzki spotykałem nowe warsztaty zaborów i nowe fabryki żołnierzy. W przedmieściu św. Małgorzaty podziwiałem 2 cudne koszary nowiutkie, dwupiętrowe, z 27 oknami w facyacie. Na *Aveune Zürich* znów widzę kasarnię. Rosną one do koła miasta nakształt grzybów.

W Strassburgu stoi garnizon z 8,000 żołnierzy, złożony z 4 pułków piechoty, 2 ułanów, 2 pułków artylerii i pułku pionierów badeńskich. Te mrowiska roją się po ulicach. Dużo rzeczy pisano o żołnierzach niemieckich, lecz zdaje się, iż sadzą się oni w zdobytych miastach na obrzydliwość, kwoli zohydzeniu w oczach mieszkańców narzędzi ucisku.

Po za fabryką tytoniu, na *Akademie-Strasse*, znajdują się koszary ułanów. Nic nie widziałem zabawniejszego nad ich ćwiczenia gimnastyczne; otyli i niekształtni Teutoni, tonąc w tradycyjnych swoich butach, skaczą ociężałe na drewniane konie, a na dziesięciu zaledwie 2 zdoła je przeskoczyć. W podobny sposób odbywają się ćwiczenia ze sznurami. Przyznać jednak muszę, że spełniają przepisane sobie ćwiczenia z dokładnością automatów. Najlepiej uczą ich, jak się salutuje z precyzją. W mieście zmieniają się te manekina w pęcherze, rozsypują się po *Erdaepfelcaffés* (kawiarniach i handlach kartofli) i bawaryach, susząc tam kufle nakształt gąbek.

A te fortece! wszak one tworzą tyleż kolonij wojskowych z 600 — 800 ludzi. Żeby ochronić żołnierzy od bomb nieprzyjacielskich, zbudowano kazamaty i kryte schody, które wiodą na wały. Cytadele te oświecono gazem, każda ma swój wyłączny magazyn amunicji i zapasów; w większej ich części trzymają gołębie pocztowe. Podziemna linia telegraficzna łączy je pomiędzy sobą.

Manewra wojskowe, które odbyły się zeszłej jesieni w Alzacyi, miały na celu — jak mi mówiono — żeby oswoić żołnierzy z nowym rodzajem fortyfikacji. Forty wysunięte umieszczono bardzo wysoko. Ztąd oblężająca armia może je ostrzeliwać tylko z trudnością. Bomba, która przejdzie po nad parapet, upadnie na

szkarpe, co zamyka fortyfikacyą, albo zagrzeźnię w kontr-szkarpie.

Terren pomiędzy fortcami tak urządzono, aby go można bronić z bateryj bocznych lub pośrednich, z których każda zawiera 8 armat o kalibrze 12 centymetrów.

Nad temi warowniami czuwają niesłychanie ściśle; w razie przekroczenia przepisów, karzą nieprzezornych w ten sposób, w jaki wykroczyli; za wstąpienie na wały karzą więzieniem w fortcey. We wszystkich podejrzewają szpiegów francuzkich i biada niewinnemu przechodniowi, któryby się odważył w przechodzie obok wojskowej roboty wpisać co do swoich notatek.

\*

\*

\*

Co za sprzeczność pomiędzy przeszłością i teraźniejszością! Co krok znajdujemy powód do porównań i żalu. Gdy przygrywała muzyka francuzka, towarzystwo strojne, bogaci próżniacy i studenci zbierali się na *Brogie*. Uliczniki brali szturmem drzew szczyty, kawiarnie Bauzin i Globe bywały przepełnione, okna zdobiły garnitury z głów ludzkich. Dziś, gdy kojarzą się przenikliwe tony bębnów i piszczałek, usuwa się ludność alzacka, wypróżniają się kawiarnie, zamykają okienice, place wyludniają się. Przechodzień przyspiesza kroku, jak gdyby lękał się zarazy. Kilka żon oficerskich, ubranych jak klępy z *café-chantant*, wietrzą pod osowiałemi drzewami swoje szyniony i nudy.

Z *Brogie*, przez ulicę *Mesange* dochodzimy przed gmach, któryby nie oszczepił bulwarów; jest-to hotel „miasta Paryża.“ Kosztował on 5 milionów; przed wojną wychodził prawie na swoje. Zakład ten zbyt wykwintny aby Niemcy do niego zajeżdżali i służy od 5 lat jako przybytek licznój służby, która kręci się, uda-



jąc, że ma zajęcie. Już o 10 wieczorem ciska ta ogromna facyata czarny cień na ulicę. Moznaby pomyśleć, iż to jest jaki pomnik grobowy.

Hotel europejski wygląda bardziej ożywiony. Słynny *Pipe-en-bois*, były sekretarz delegacyi z Tours, tworzył jego główną ozdobę zeszłej zimy. On zachwycał grono przy *table-d'hôte*, ciskając w powietrze gałki z chleba, które chwycił zębami, nakształt pudła. Zreżnością w krzywieniu twarzy, zadziwiał komiwożerów, swoich spółstołowników. Raz naśladował grymasy człowieka, co połyka rosół kipiący, drugi raz zwracał oko albo wydymał się, jakby miał fluksyą. Prusacy bali się go. Wyobraźcie sobie parę ocząt chińskich, tonących w sierci, nos dziwaczny, nieprawdopodobny, przesadny, o nozdrzach szeroko otwartych, usta ogromne, zwierzęce, sięgające od ucha do ucha i zamykające się nad kawałami siarki zamiast zębów, brodę djabelską, kończastą, wyskakującą z niższej szczęki.

Nie prawda, że zdał się na sekretarza delegacyi? Gdy mu polecono przyjąć lorda Lyons, ambasadora angielskiego, *Pipe-en-bois* oparzył go następującą ogłupiającą propozycyą:

— Ekscelencyo, nie poszedłbyś na kufel piwa?

W hotelu europejskim, jako też we francuzkim i miasta Lyon, każą Niemcom jadać przy osobnym stole. Mają tam stół francuzki i stół niemiecki. Chodzi bowiem o zachowanie powagi i porządku. W hotelach, w których nie ma tego podziału, zdarzają się częste swary.

Francuz, który ulokuje się w hotelu *Maison-Rouge* pozna w nim wszystkie okropności kuchni niemieckiej, i uznaje wkrótce, że go świerzbi ręka, gdy oficer pru-

ski zacznie bezcześcić Francją, chociaż popija szampana.

Oto stoimy przed teatrem. Odbudowano go z ruiner wedle dawnego planu. Został on spalonym, albowiem w nim schroniło się kilkaset biednych rodzin, wypędzonych z przedmieść *National* i *Pierre*. Teatr strassburski słusznie słynął. Pan Halanzier był jego dyrektorem w r. 1856. Faure, Duprez i mnóstwo innych utalentowanych artystów występowali tam i wykształcili się.

Od kiedy go objął rząd pruski, który nie wprowadził królestwa cnoty po za jego kulisy, teatr ten żyje dosłownie z łaski rządu, nakształt swoich aktorek. Otrzymuje on około 221,000 franków subwencji. Ponieważ jednak Strassburezycy przysięgli, iż nogi w nim nie postawią, póki grają same niemieckie sztuki, więc upłyniony sezon skończył się bankructwem.

Dyrektor teatru, p. Hessler, przedstawiał Tannhauser'a, Martę lub urywki z Nibelungenring, z tą zachwycającą zwrotką, o której reporterzy z Bayreuth pisali zbyt mało:

Waga, Waga, lewaja,  
 Waja, ja... ja... ja...  
 Hejetoho! hejetoho!  
 Hejaha! hejaha!  
 Hehei! hehei! hejaha!

Tymczasem przyklaskiwali Strassburezycy w kasynie pannie Fouscade, pannie Lyonnell i siostrom Gregoire, tym nadobnym aktorkom, istnym braciom Syamskim co do talentu, które Offenbach zaangażował do teatru Bouffes.

Kasyno stoi pod zarządem byłego fuszera szewckiego, który nie chciał tłuc podeszew, skoro odkrył

w sobie zdolność, ażeby bić w takt. Pan Brüchmann nazywa się skromnie „przyjacielem sztuki.“ Zakład ten, w skutek ostracyzmu jakiemu podpadają utwory francuzkie w obec dyrekcyi teatru, zyskał natychmiast powodzenie. Mieszczanie nie opuszczają tu żadnej sposobności, aby okazać swoje uczucia patryotyczne i odkryli w tych przedstawieniach łatwy środek, kwoli drieżnieniu swoich przeciwników. Najniewinniejsze ustępy podkreślają okrzykami i oklaskami, jeżeli mogą w nich dopatrzeć cieniu alluzyi.

I tak w Pięknej Perfumiarce powstaje zgilek nie opisany, gdy aktor powiada: „jedźmy daleko od Francyi i załóżmy sklep z pachnidłami, chociażby pomiędzy *dzikimi*.“

Towarzystwo niemieckie grało niedawno w Kasy nie sztukę pod tytułem: Srebrna lampka. Gdy aktor zawołał: „grałem i wszystko przegrałem: majątek, klejnoty i zegarek,“ odrzekł ktoś z parteru:

— A nawet ten ostatni ukradłeś w Paryżu!

Z teatru poszedłem na przedmieście *Pierre*. Odbudowano takowe symetrycznie, prozaicznie i po wojskowemu. Patrząc nań tém wewnętrzném okiem pamięci, zdaje mi się, że wciąż patrzę na ruiny. Bombardowanie dało tu się uczuć najstraszliwiej. Nieprzyjaciół godził w lud, myśląc, iż w ten sposób dokuczy obleżonym. Ruiny w Saint-Cloud wyglądałyby nakształt cacek, obok przedmieścia *Pierre*. Krupp wysilał się tu na dowody cudotwórstwa. Wyglądało ono strasznie, tkliwie, rozpaczliwie. Te stosy ruder osmalonych, pod niebem zakrwawioném łuną, można było porównać z obrazem końca świata. Grad bomb wygnał z tych ruin 10,000 nieszczęśliwych ofiar. Bez okrycia, sienników i grosza, chronili się oni pod mostami, w kościołach, w rowach wykopanych u stóp wałów. Te



10,000 nędzarzy byłoby zginęło niechybnie, gdyby Szwajcarya nie nadbiegła im w pomoc, w imię przyjaźni, która ją niegdyś łączyła z wolném miastem.

Delegacya szwajcarska, której polecono, żeby ofiarowała gościnność ludności strassburskiej nie dźwigającej broni, opuściła Bazyleę 8 Września. Nazajutrz, o godz. 9 rano, przyjechała do głównej kwatery pruskiej. Pan Werder przyjął ją dumnie. Przeczytawszy list od prezydenta Związku szwajcarskiego, pozwolił on sobie na wybuch gniewu z jakiego słynie i zawołał: „co pomaga obłożonym, szkodzi obłożającym.“ Nie chciał darować życia kobietom, dzieciom i starcom. Wreszcie wszedł jego szef sztabu, pułkownik Leszczyński, nazwany jego aniołem stróżem. Pan Leszczyński ujął się za prawami ludzkości; pan von Werder namyślił się wreszcie i wyrządził posłom łaskę, o jaką go prosili.

Jenerał Ulrich wysłał nazajutrz parlamentarza na przeciw nim aż do Eekbolsheim'u, a rada miejska udała się do bramy Pierre.

Przy téj to bramie, śród tego zrujnowanego przedmieścia, przemówił p. Humann, burmistrz miasta, do Szwajcarów. O téj mowie wspomniano często, lecz nikt jój nie podał w oryginale. Pewien Alzacyanin posiada jój kopią, własnoręcznie napisaną przez ś. p. pana Humann'a. Pokazał mi ją i znalazłem w niej ciekawe ustępy, które dotąd zawsze opuszczano w przedrukach, albowiem rząd niemiecki zakazał ogłaszać takowe.

„Panowie! — wołał p. Humann — ludzkość i miłosierdzie chrześcijańskie wprowadziły was do miasta, zniszczonego pod pczorem praw wojennych...

Witamy was w tym dniu bolesnym, was, co przyjeżdżacie, żeby ratować kobiety, biedne dzieci, star-

ców, których ani generał dowodzący, ani biskup nie zdołali ochronić od okrucieństw oblężenia.

Przedstawicie Europie ohydny obraz, na który patrzyliście tutaj. Powiecie jój, jak Niemcy śmiały toczyć wojnę w 19 stuleciu. Już nie na żołnierzy i wały kierują oni swój ogień, jak to czynili pod Magdeburgiem, za dni Tillego.

Ten sposób wojny kosztowałby nadto ludzi — tak śmieli oni twierdzić.

Wolą oni, skutkiem ogólnego postępu, mordować kobiety, dzieci, starców, te niewinne ofiary wojny, albowiem rzeź dokoła ognisk domowych i pożar, wpłyną skuteczniej na oblężonych; tak pewno twierdzą oni.

Wały nasze stoją nie tknięte, jak widzieliście sami, ale zniszczono nasze pomieszkania. Znikły całe dzielnice...

W imieniu pobożnego monarchy, w imieniu tego, co się mieni z Bożej łaski i narodu, nazywającego się uczonym nad wszystkie inne, spełniono te dzikie świętokradztwa (\*).

Czyż sumienie europejskie 19 wieku może dopuścić, żeby cywilizacya cofnęła się wstecz do wandalizmu? Żebyśmy znów grzęźli w kodeksie barbarzyńskim?

Ponieście im ten obraz smutny, lecz powiedzcie także, że te okrucieństwa, to zniszczenie, te dzikie czyny, ten zwrot do barbarzyńskiej Germanii lub muzułmanizmu z epoki Omara w 7 stuleciu, odbijają się bezskutecznie od Strassburezyków. Są to dzikie zamachy niegodne chrześcijaństwa i naszych czasów, lecz

(\*) Ten ustęp nie był nigdy powtórzonym, skutkiem zakazu władz pruskich.

nie oziębia naszą odwagę, owszem sycą one naszą nienawiść i opór. Bądź co bądź, zostaniemy tém, czém byliśmy zawsze: stałymi i odważnymi Francuzami, obywatelami poświęcającymi się do ostatniej krwi kropli dla Francyi, naszej kochanej ojczyzny.“

Procesya przeszła przez przedmieście. Pomimo bombardowania nieustającego na chwilę, całe miasto się wylęgło na spotkanie Szwajcarów. Powietrze drżało od okrzyków, które zagłuszały nawet grzmoty artylerii. Wołano: „niech żyje Szwajcarya,“ powiewano kapelusami i chustkami, ściskano się, łzy ze wszystkich oczu płynęły. „Wypadałoby mieć serce ze spiżu — pisał pan Schneegans w dziele, które powinien sam teraz przeczytać — żeby zapomnieć ten pochód tryumfalny; bardziej tryumfalny nad wszystkie święta, jakie obchodzili pogromcy narodów, wchodząc do swoich stolic na czele armij, uwieńczonych wawrzynami krwawymi.“

O ósmej rany 15 Września, zaniechano ognia do bramy austerlickiej. Piérwszy oddział złożony z 500 osób opuścił miasto, pod opieką delegatów szwajcarskich. Była to scena rozpaczliwa. Kobięty gotowe już do odjazdu wracały do swoich piwnic, przenosząc śmierć nad wygnanie. Dzieci ścisnęły ojców z płaczem, żegnano się, jak na wieki. Kolumna znikła we mgle zawiewanej od Renu; ci co zostali wrócili do miasta, smutnie, w milczeniu, jakby wracając z pogrzebowego pochodu. Armaty oblężnicze zabrały się z nową wściekłością do dzieła śmierci.

W przeciągu 4 dni odesłano 2,000 osób do Szwajcaryi. Wszyscy tam urządzali składki na dochód „braci ze Strassburgu.“ Ci znaleźli nowe ogniska i ojczyznę w małój, pobratymczój rzeczpospolitej.



W powrocie szedłem wzdłuż kanału, napróżno szukając znajomych facyat. Serce przywiązuje się do dobrych domów. Lecz Prusy rzuciły się na całe miasto, kalecząc je, obalając; rąbiąc młotami. Baszybuzuki nie kaleczą tak nielitościwie serbskich jeńców. W zapale chciwego zniszczenia, obcieli nawet i zrównali starożytny *Guldenthurm* (wieżę złotych reńskich), jak gdyby spodziewali się znaleźć garść monet wśród jej zwalisk.

U stóp tej wieży wylądowali w r. 1576 żeglarze z Zurychu, z sławnym owym rosołem, jeszcze ciepłym. Dwa te republikańskie miasta lubiły wyrządzać sobie niespodzianki przyjacielskie. Wielki artysta alzacki, p. Teofil Schuler, odmalował tę scenę na pysznym obrazie. Nabyło go muzeum Strassburgu. Niemcy spalili obraz, jeszcze przed zniszczeniem wieży. Przedstawiał on całą ludność na wybrzeżu. Przed *Guldenthurm*'em stała eskorta burmistrza; on sam, wśród radców i chorążych, biegł na powitanie zurechskich argonautów. Powiewano chustkami, odkrywano głowy, w powietrzu dzwoniły wesołe okrzyki. Szwajcarowie uderzyli w trąby. Wódz wyprawy, stojąc na podwyższeniu, z dumną miną wkładał łyżkę swoją do kotła ziejącego parą. Na pierwszym planie, przy prawym brzegu, w miejscu ogrodzonym, wysokie mieszczaństwo zastawiło stoły i służba w pąsowych kurtach roznosiła posiłek i ciasta.

Podróż z Zurychu do Strassburgu odbyła się w przeciągu dnia. Rosół umieszczono w kotle zamkniętym szczelnie, który ważył 120 funtów. Złożono go w arsenał strassburskim, lecz nie znaleziono go od czasu bombardowania. Reporter ówczesny, którego widocznie wpuszczono do barki, opisał w jej dzienniku przygody tej wyprawy awanturniczej. „Gdyśmy

mijali Rheinfelden--pisze on—ktoś podał nam zapomocą powroza, beczułkę dobrego wina alzackiego. Jeden z ludzi na ostatku chwycił ją i piliśmy z niej wszyscy.“ W Byzelei postawiono 3 armaty na moście, kwoli pozdrowieniu podróżników.

„Zeglując wzdłuż kanału co łączy Ren ze Strassburgiem—pisze ten sam kronikarz—rzucaliśmy dzieciom na brzegu nasze bułki. One chwytały takowe, pozdrawiając nas. Niektóre z tych bułek dostały się jednak w ręce starców, którzy przechowali je jako relikwie albo jakie cenne ciekawości. W mieście przyjęto nas ze szczerą uprzejmością, posadzono dookoła stoła, a każdy gość z Zurychu siedział pomiędzy dwoma obywatelami ze Strassburgu. Muzyka grała jak najlepiej na trąbkach i cymbałach, akompaniując śpiewom. Skoro zasiedliśmy do stołu, wniesiono ową zupę, zasypaną prosem, do komnaty burmistrza i podano ją wszystkim na małych talerzach. Tak jeszcze była gorącą, iż parzyła wszystkim usta. Poczęstowano nią 5 dam—żonę burmistrza i panów radców. Kobięty w delikatnym stanie zgłaszały się o nią. Uczta trwała do 1 po północy i zakończyła się grzecznymi mowami i pięknymi zdaniem, poczem burmistrz i magistrat towarzyszyli nam do gospody „pod Jele-niem.“

Zupa ta, zgotowana rano w Zurychu a podana wieczorem w Strassburgu, miała swoje znaczenie. Gaspar Thomas, dowódca wyprawy i późniejszy burmistrz Zurychu wypowiedział wówczas, że wycieczkę tę odbył poczęści dla przyjemności, poczęści też na dowód dla miasta w którym bawił, iż sąsiedzi w Zurychu mogli by mu w razie potrzeby przysłać posiłki, wkrótszym czasie, niż rosół ostygnie.

Na zegarze starój katedry uderzyła godzina, w której zwykle zapelniają się piwiarnie. Piwo miało tu swoich męczenników podczas obłężenia. Starcy którzy od lat 50 wychylali co dnia pół tuzina kufłów, wytrwali w piwiarniach, nie zważając na bomby; niektórzy też przepłacili życiem za tę piękną wytrwałość.

Piwiarnie cieszą się w Strassburgu powagą i wzięciem kawiarni paryzkich. Spotykamy je tu na każdym kroku. Zdawałoby się że na tym neutralnym gruncie i w tym spragnionym kraju, Alzacyanie i Niemcy powinniby zasiadać przy tychże stołach, gdyż na obydwu brzegach Renu popijają szumiący płyn miodowej barwy z równem upodobaniem. Rzecz ma się przeciwnie. Wejdz do którejkolwiek piwiarni; znów ujrzysz podobiznę dnia sądnego. Alzacyanie siedzą po prawej stronie, Niemcy po lewej. Ci mają minę zakłopotaną, spojrzenie podejrzliwe, ruchy niepewne, pojmując że nie są u siebie i że tu ich nie potrzebują. Istnieją pewne piwiarnie, do których nie odważą się wejść nawet. Inne wypróżniają się natychmiast, skoro Prusak się pojawi.

„Tawerna alzacka“ licuje ze swoim imieniem. „Kwadratowe głowy“ nie są tu liczne i siedzą na uboczu, podczas gdy poczciwi, otyli Strassburczycy, rozpierają się po królewsku za staremi dębowemi stołami, gwarzą, palą, opowiadają sobie ploteczkiienne i inszczą się żarcikami za gburostwo panów swoich. W wielkiej sali tej tawerny zmieściłoby się 800 osób. Sprzedają tam tylko najlepsze i najprawdziwsze piwo strassburskie. Jedzą paszteciki po 15 centimów, lecz nie wolno tam śpiewać. Zakaz ten wynikł z konieczności, albowiem podpiły Niemiec intonował zwykle



„psalm cesarza Wilhelma,“ a obecni Alzacyanie wtórzili mu, tłukąc kufle na jego łbie.“

W tawernie alzackiej pokazują z dumą jednego z bohaterów z czasów oblężenia Strassburgu—ojca Picot, najstarszego wiekiem wolnego strzelca w Alzacyi. Stary ten patryota, wysłużywszy lat 35 w celnicy, wstąpił pomimo lat 65 do z kampanii wolnych strzelców i odbył ostatnią kampanią. Wnet błysnęły galony sierżanta na jego walecznem ramieniu, potężnem nakształt Samsona, któresztućcem przypomniało cuda przepisywane oślej szczęce. Licho tylko wie ile on Badenńczyków „posłał“ do fosy pod wałami Strassburgu. Pewnego dnia powrócił sam, ze siedmiu którzy wyszli na ową dziwną wycieczkę, jaką możnaby porównać z polowaniami indyjskimi. Jego lwia odwaga i jego poświęcenie na wszystkie próby, wyratowały nie raz gmachy publiczne, do których bomba wpadła. Nie mając nic oprócz kubła wody, biegł on i gasił ten zaród pożaru. Junakeria jego, jak ogólnie wszystkie gminne dowody odwagi, odznaczała się heroizmem. Zachowawszy rzeźwość swoją pomimo sędziwego wielku, mając rysy harde i tem pełniejsze wyrazu, iż zdobi jego długa biała broda, nosi dumnie medale, na które zasłużył sowicie. Cały Strassburg go szanuje. Wedle ogólnego zdania nie wynagrodzono go wedle swoich zasług, a wstężeczka legii honorowej spoczywałaby godnie na jego piersi. Nieprzyjaciół chciał go uczcić, ofiarując mu 5,000 franków pensyi, żeby został nauczycielem fechtunku w zakładzie publicznym. Ojciec Picot odmówił.

„Nie chcę — mówił on — uczyć fechtunku dzieci, któreby mogły w przyszłości bić się przeciw Francyi.“

\*

\*

\*

Z zachodem słońca idę na drogę do Kehl, chcąc ją ujrzeć raz jeszcze. Wychodzę przez bramę austerlicką, którą dziś nazywają bramą rzeźników, chociaż rzeźnicy nie weszli przez nią. W dniu kapitulacyi zdarzyła się okropna tragedia przed jednym z domów, przylegających do téj bramy. Pewien żuaw spotkał wychodząc ze szynku trzech Badeńczyków, którzy patrzyli nań ze szyderczym uśmiechem. Żuaw dobył pałasza; 3 żołdacy rzucili się na niego, obalili go, związali mu ręce chustką, oparli o mur, oddalili się o 10 kroków, wymierzili, zabili go i poszli dalej, parskając śmiechem.

Gdy 28 Września, o ósmój rano, dostrzeżono z wałów téj starożytnéj i słynnéj bramy Austerlicu pierwsze mundury nieprzyjacielskie, zbliżające się do miasta, działały się tu sceny wspaniałe i rozrzewniające. Gromadki ludzi zbierały się dokoła, protestując przeciw kapitulacyi; wołano, aby złożyć władzę z urzędu i żeby walczyć do ostatniego naboju i ostatniego człowieka. Najłekliwszy zapalali się szaloną odwagą; wolni strzelcy i żołnierze z pospolitego ruszenia, zamurzani od prochu, starali się namówić tłumy do czynów heroicznie szalonych. Usiłowano wysadzić bramę katedry, żeby zedrzeć białą chorągiew; strzelano do wieżyczki, na której powiewało to godło poddania. Gwardya narodowa kruszyła swoją broń zamiast oddawać takową; dzieci i niewiasty pomagały jéj przy łamaniu pałaszy, szarpaniu pasów i rzucaniu ładownic i mantelzaków do kanału.

Okolo 10 wieczorem, przedeflował garnizon wolnym krokiem, bez ładu, przy dźwięku trąbki. Obywatele rzucali się na szyję żołnierzom, dając im pieniądze, ściskając ich dłonie i mówiąc do nich głosem błagającym: „wracajcie... czekamy na was!”

Po tych pożegnaniach nastąpiło głuche milczenie. Ulice wypróżniły się, każdy wracał do siebie, okna i drzwi pozamykano, naksztalt wiek u trumien. Płakano gdy kapela pruska zagrała na placu Klebera.

„Płakaliśmy z wściekłości i żalu — powiadał mi pewien Strassburczyk — my, co nie pragnęliśmy téj wojny, padliśmy jako pierwsze jój ofiary! My, co ubóstwialiśmy Francją naszą i wylali za nią krew naszą najczystszą, mieliśmy zostać Niemcami! My, co walczyliśmy przez całe życie, żeby zdobyć rzeczpospolitą, straciliśmy takową, zaledwie ją zdobyto. Chorągiew wolności miały zastąpić na naszych pomnikach żałobne barwy pruskiego feudalizmu!“

Wypadałoby przebyć te próby i katusze, żeby ocedzić męczeństwo, jakiego doznaje Strassburg od lat pięciu.

Zapominam jednak, iż minąłem pas dawnych wałów i znajduję się na drodze do Kehl. Tu już nic nie poznaję. Nie ma już alei wysadzonej topolami, ani drzew na polach, ani wdzięcznych domków, któreby uchylały zasłony z powojów i bluszczu, żeby przysłać nam uśmiech gościnny. Cały krajobraz, niegdyś zachwycający, przybrał ponurą powierzchowność. Zachowałem go w pamięci, jako wyjątkowy i błogosławiony zakątek na téj ziemi, do którego dusza powraca z zamilowaniem w chwilach smutku. Jednakże tylko dzień jeden tu spędziłem w r. 1868, z jednym z moich dobrych przyjaciół, młodym poetą Pawłem Gautier. Był on wówczas studentem, tak jak i ja. Obydwa byliśmy na skroś przesiąkli począ niemiecką, marzyliśmy przy świetle księżyca i wiązali bukiety z niezapominajek. Otaczając się zachwycającą wonią szwarcowanych cygar, deklamowaliśmy Chamissa, Uhlanda, Geibel'a.



Gauthier wypowiedział mi pewnego dnia przekład balady Heinego, którego dokonał w dniu poprzedzającym i której zwrotki przypomniałem sobie, idąc wzdłuż téj smutnej drogi, nakształt echa świąt upłynionych niepowrotnie:

Za dawnych czasów żył raz król sędziwy,  
O białych włosach i z duszą zazdrosną;  
Czar go młodości olśnił urodziwój  
I w życia zimie, skojarzył się z wiosną.

Na dworze króla służył wietrznik młody,  
Paż płowowłosy, w ośmnastym roku;  
On, gdy król sprawiał turnieje lub gody,  
Niósł płaszczy królowej o błękitném oku.

Miłość szła wówczas tym torem co teraz,  
Słodko i rzewnie, rozkosznie, ogniście;  
Ale żyć dwójgiem płacano ją nieraz:  
Koniec piosenki zgadniesz oczywiście.

Młodym „paziem wietrznikiem“ byłaś ty, o Francjo lekkomyślna, a królową o błękitném oku, której płaszczy podnosiłaś tak uprzejmie na poetycznych turniejach, była starożytna Germania burgów i liedów, ta Germania o powiewnych kędziorach. Niosła ona wtedy na temblaku lirę, zamiast odtylcowego karabina.

Kochany Paweł nie dożył klęsk naszych. Umarł on ze wszystkimi swojemi złudzeniami, co do blondyny syreny, której piosenki umiał tłumaczyć tak dobrze. Nie potrzebował on zarzucać krepę na swój entuzjazm młodzieńczy i nie oglądał obrzydliwej metamorfozy.

Nie zdobyłem się na odwagę, żeby pójść aż do

Kehl, które umiera z nudów na przeciwnym brzegu. Na widok tego mostu, przy którym nie ma już celników i warty, zawróciłem się, gdyż uczułem prawdę słów wypowiedzianych przez Michelet'a w swoim łabędzim śpiewie, że: „Ren stał się już głębokim po nad wszelką miarę; pomiędzy Kehl i Strassburgiem nie płynie już rzeka, lecz przepaść i otchłań morska!“

\*

\*

\*

Na przedmieściach wiedeńskich grzebią ludzi przy dźwiękach muzyki. Nigdy nie widziałem nic posępniejszego nad 4 albo 5 muzykantów, idących przed karawanem i wydobywających ze swych trąb tony żałosne. Ciało kurczy się i drży od tych tonów.

Podobnego uczucia doznawałem téż, przebiegając w nocy boczne uliczki Strassburga, lub zwiedzając nowe dzielnice, w których roją się Niemcy. Spotykam tu na każdym kroku tawerny i bale publiczne. Zewsząd wymykają się chrapania katerynek, westchnienia cyter, jęki wyczerpanych fortepianów i gwizd fletów. Brzęk szklenic dolatuje ucha wraz z niesmacznymi i ponuremi śmiechami pijaków i przerażającymi wrzaskami nierządnic.

Od godziny dziewiątej hasa tam „czysta“ Germania.

Ci, którzy nie mogli znaleźć miejsca w knajpach i stajniach poświęconych Gambrinusowi i Wenerze, wychodzą na chodniki. Mury domów czernią się od wojaków i dziewcząt niemieckich. Tu stosują się do zasady Fryderyka II, żeby albo żenić żołnierzy, albo za-

jać ich w czasie pokoju tworzeniem przyszłych wojowniczych pokoleń.

W tych przejazdach „kultury pruskiej“ zbywa zupełnie na policy i na bezpieczeństwie. Skoro zmrok zapadnie, rozwiązłość przechadza się tu śmiało. Żaden Strassburczyk nie zapaści się do téj okolicy potępionéj. Tylko ci, w których duszy gości szatan realizmu, odważą się zajrzeć w te strony.

„Znam ja rzeczy, o których nie wspomniał nigdy Kuryer reński — pisał pewien Strassburczyk w broszurze skierowanéj przeciw bezczelności tego oficjalnego dziennika — a do nich należą kradzieże, oszustwa, orgie, demoralizacya i rozwiązłość, które podawszy sobie dłonie z wiedzą i zezwoleniem rządu, pływają w tańcu ogromnym i nieczystym wśród murów naszych.“

Godzi się studyować nowe zwyczaje, wniesione tu przez przedstawicieli cesarstwa bogobojności.

I tak rodziny niemieckie, nawet w dobrym stanie, zostawiają zawsze do wyboru nowéj służącój, gdy się godzą z takową, *wieczernę* albo *klucz* od bramy.

Ze zmrokiem, żadna dama przyzwoita nie mogłaby wyjść tu z domu bez eskorty. O téj godzinie bowiem czatują już na rogach rolic cnotliwi oficerowie, z armii bardzo pobożnego hetmana.

Pewna sędziwa dama, spowinowacona ze mną, wracała pewnego wieczora do domu. Jakiś oficer przyczepił się do niéj i wystąpił z czułemi oświadczeniami: „*Matemoiselle* — mówił on do niéj — *ché buis fous offrir mon pras... le pras di hôté di coeur et non di hôté di zapre... Ché suis de ponne famille, mon bère il ètre équier du roi*“ (\*) „Mój Boże, jakież ty głu-

---

(\*) Autor oddaje akcent niemiecki: „Panienko, mogę ofia-



pi“ — zawołała zniecierpliwiona dama. „*Moâ.., pête! bourgeois?*“ (\*) — przerwał zalotny oficer, z miną zadziwioną. „Najpiérw dla tego, że nie mówi się tak do Francuzki; powtóre, ponieważ odzywasz się do staréj babuni, która ma siwe włosy.“

Dama doszła do swojej bramy i znikła, zostawiając oficera w oglupieniu.

Inną damę strassburską, a ta jest młodą, piękną i mógłbym wymienić jéj nazwisko, zaczepił oficer pruski. Szedł on obok niéj pomimo ostréj odprawki, wciąż czyniąc jéj haniebne propozycye. Działo to się w dzień biały, śród miasta, po za Małemi Arkadami. Obrażona do żywego i nie mogąc pohamować gniewu, zadała nareszcie swojemu prześladowcy potężny policzek.

Natychmiast ujéli się za nią przechodzący Alzacyanie, więc dama ta mogła wejść do siebie bez dalszych nieprzyjemności.

Swawole poetycznych Niemeczek, tych wzorów cnoty i wierności, zapełniają bezustannie kronikę skandaliczną miasta. One tłumaczą nam do pewnego stopnia, dla czego Niemcy traktują Francuzki w sposób opisany i do którego przywykli ze swojemi kobietami. Nie chcę się rozpisywać pod tym względem, gdyż i tak może aż nadto wspomniałem o tém. Cóż ja poradzę jednak na to, że prawda nie odziewa się u Wortha i jest naga? Jedna anegdota z pomiędzy tysiąca wystarczy, aby zbudować czytelników, którzy wierzą jeszcze w idyl-

---

rować panienco moje ramię... ramię od strony serca, a nie od strony pałasza. Pochodzę z dobrej rodziny; ojciec mój jest koniuszym cesarskim.

(\*) Ja głupi? dla czego?

le Gessner'a i gniazdo turkawek, opisane w Koryn-  
nie.

Pewien wyższy urzędnik, p. H. mieszkający w je-  
dnym z nowych domów na przedmieściu Pierre, wra-  
cał do siebie pewnego wieczora,

*Nie myśląc o niczem złem,*

nakształt osoby w powiastce pocziwego La Fon-  
taine'a.

Otworzywszy drzwi do salonu, ujrzał tam... co?  
temblak ułana na kanapie. Okropne podejrzenie wkra-  
da się do jego umysłu. Szuka wszędzie i przerzuca  
wszystko tak dobrze, że wetknąwszy ramię w tajniki  
wielkiej szafy, wyciągnął z niej właściciela fantu zdra-  
dzieckiego.

Ułan zawstydzony wyprasza się jak umie. Na za-  
rzuty męża odpowiada on, że nie odwiedzał panie do-  
mu, lecz pokojówkę, która zupełnie mu wystarczała.  
Jeżeliby mu zapewniono bezkarność, pokazałby kryjów-  
kę rzetelnego winowajcy.

— Nietylko, że nic ci nie zrobię, ale ci dam tala-  
rą — odrzekł mąż.

Więc jeden za drugim idą na palcach do  
szafeczki, w której ukrywał się młody mężczyzna,  
kolega pierwszego winowajcy. Ten składał swoje hoł-  
dy samej pani.

Mąż wyrzucił natrętnika najkrótszą drogą, w czém  
mu pomógł ułan. Dziś toczy się proces o rozwód po-  
między nim i żoną, jedną z piękności niemieckiej ko-  
lonii.

Oskarżają innego wysokiego urzędnika strassbur-  
skiego, nazwiskiem M., iż poleca swoim podwładnym  
aby eskortowali jego szlachetne przyjaciółki, w powro-

cie z balów lub innych miejsc publicznych „z wielką troskliwością.“

Dzienniki opowiadały też w Styczniu z. r., smutną historią dyrektora cyrkułu Mühlhaus. Dygnitarz ten, chcąc na swój sposób zaprowadzić epokę „cnoty i czy-  
stych obyczajów“ porzucił żonę i syna i zabrał ze sobą pasierbicę, Ludwikę Mittermann. Uciekli do Rzymu. Wyczerpawszy środki, otrął on tam siebie i swoją ofiarę. Dodajmy smutną okoliczność, że młoda dziewczyna była już w stanie delikatnym.

Bohatérowie Sedanu i Metzu oddawali się w Kolmarze, na piętrze umyślnie wynajętym w tym celu po nad kawiarnią Taren, ćwiczeniom baletniczym, nakształt wzorów z Villa Colonna w Berlinie i Colosseum w Mnichowie. Zwolenników walca i polki podzielono na trzy klasy: oficerów, podoficerów i żołnierzy. Małżonki tych słynnych wojowników przychodziły na te wieczorki, lecz liczba ich nie wystarczała dla tancerzy.

Jakżeż sobie poradzono?

Oto werbowano tanecznice w sąsiedztwie, w pewnej ulicy nazwanej *rue des Dames*. Ulica ta spełnia więcej, niż nawet jej nazwisko przyrzeka.

Małżonki zupełnie nie traciły na poważaniu, chociaż tańczyły kadryla obok ochotnic. Wszak czyniły to tylko skutkiem „wymagań wojennych czasów.“

\*

\*

\*

Nazajutrz potrzebowałem odetchnąć świeżym powietrzem, gdyż wszystko tłoczy nas w tych ulicach,



które przypominają naraz więzienia, kloaki i groby. Wyszedłem więc na taras ponad katedrą. Była godzina ósma. Miasto budziło się od jednostajnego i ciężkiego tupotu obcasów niemieckich wiarusów. Dolatywał mnie z daleka tętent bębnow... dowód oczywisty, iż porządek panował, a pan gubernator mógł spać dalej bezpiecznie. Bociany szybowwały ponad dachami, grzejąc na słońcu swoje wilgotne skrzydła. Na lewo wyciągały Wogezy swoje wesołe i zielone kontury i zdawało się, że błogi, wszechwładny pokój spływał z niebios na miasto męczone i strzeżone przez fortece i żołnierzy cesarskich.

Stróż kościelny zbliżył się do mnie i zapytał żywo:

— Pan z Francji?

— Tak, panie.

— Czy myślą tam jeszcze o nas?

— Bezwątpienia...

— Co to widzi pan, gdy człek tak wciąż na dół spogląda i nie widzi nic, coby nadciągało, to już zaczyna rozpaczać. Jesteśmy tu nakształt rozbitków. Ta wieża przedstawia główny maszt tego posępnego miasta. Już od 4 lat oglądam z jej szczytu widokrąg, lecz nie mogę zobaczyć trójkolorowego żagielka, co ma nam przynieść zbawienie. Przeciwnie, linia biała przedłuża się co dnia.

— Biała linia?

— Tak, mój panie. Linia, a raczej koło, które nas opasuje... mówię o nowych warowniach. Widzisz pan dobrze te białe punkta, połączone jeden z drugim za pomocą czarnej tasiemki. Jest ich 9 na prawym brzegu, a trzy na lewym. Ta czarna tasiemka przedstawia kolej żelazną; służy ona do transportu materiałów, przywożonych po części z fortec Schlestadt'u

i Phalsburg'a, które zniesiono. Mówią nam, że będziemy mieli rzetelny łańcuch fortec dokoła, tak, że nie zdołają powtórzyć bombardowania. Jesteśmy z tego zadowoleni, albowiem katedra nie wytrzymałaby drugiego. W roku 1870 myślałem nieraz, że runie pode mną.

— Byłeś tu podczas oblężenia?

— Aż do pożaru.

— 25 Sierpnia?

— Tak, panie... do dnia po zniszczeniu biblioteki. Ach, jakie okropne noce spędzaliśmy w tém miejscu. Często jeszcze przebudzam się zničenacka ze snu, w którym mi się zdawało, że pode mną szaleje morze płomieni, nademną zaś roztacza się niebo wybladłe, orane palnemi grotami. Protestancki kościół przy Pont-Neuf, ambulans protestanckiego gimnazjum, biblioteka i 10 innych gmachów naraz gorzały. Ztąd, mój panie, byłem świadkiem powolnego i przerażającego zniszczenia najpiękniejszych budynków; starych domów, w których urodziły się nasze matki. Cisza śmiertelna zalegała miasto. Rzekłbyś, że gotowało się ono na śmierć i zdając się na los męczeński, legło na stosie. Pożar co opasywał katedrę oblał ją całą purpurą, jak gdyby krwi fale z niej spływały. Nieprzyjaciół godził w nią z upodobaniem. Wkrótce zaczęły gwizdać bomby dokoła mnie, krzesząc narożniki kolumn i obalając starych, kamiennych świętych, którzy zdawali się szeptać modlitwy za ofiary. Wreszcie dzień zaświtał. Pożar wciąż trwał, a oko patrzyło tylko na ruiny. Popołudniu udał się biskup do głównej kwatery w Mundolsheimie, zkąd w. ks. badeński sycił się widokiem téj strasznej tragedyi, w której pomagał jako amator. W imieniu ludzkości chciał prałat Raess błagać, aby oszczędzano kościoły, gmachy publiczne i przedmieścia, w któ-

rych cisnęła się klasa robocza i niewinna. Lecz książę nie przyjął biskupa, a generał Weder kazał mu odpowiedzieć, że chorzy i dzieci, dla których żądał wolnego wyjścia z miasta, tworzyli słabiznę jego, więc muszą pozostać w obleżonej fortecy. Biskup powrócił z umysłem pełnym dreszczów śmiertelnych. Skoro noc zapadła powtórzono bombardowanie z wściekłością. Teraz wzięli się do katedry. Ciskano na nią bomby pełne nafty. Stałem na schodach, gdy wpadł granat z wyciem tak okropnym, że zadrżałem od stóp do głowy. Przebił dach i pękł. Kolumna dymu obwinęła się dookoła strzały wieży; płomień niezmierne buchnęły z niej. Pomyślałem, wszystko skończone. Bomby padały jedna po drugiej, ze szybkością niepojętą. Raz poraz spadały one na gmach podpalony i syciły pożar. Szyby sypały się z brzękiem, dzwony uderzały jeden o drugi, ułamki żelaza i kamieni padały na posadzkę z łoskotem, któryby mógł zbudzić zwłoki spoczywające w lochach. My odchodziliśmy od zmysłów. Wybiegliśmy na taras, wołając głośno o pomoc z miasta. Zadzwoniono na gwałt; pogrzebowy jęk dzwonów przywołał straż ogniową. Gdy przybyła walił się dach cynkowy. Nie było dla nich roboty. Pożar zgasł sam, nie znajdując pokarmu. O, panie, panie, jakże okropne były te chwile. Sto razy myślałem, że katedra runie i zniknie. Lecz widok chorągwi nie pozwolił nam uciekać. Ona powiewała ponad płomieniami, urągając pociskom wroga.“

Podniosłem oczy; trójkolorowa chorągiew nie królowała już nad tą wyżyną. Prusy zatknęły swój ponury sztandar na tej katedrze, w której Francya okryta całunem, powtarza bezustannie akt wiary i nadziei.

— Czy wiesz co przedstawia — rzekł do mnie



stróż wieży — ta chorągiew czarna, pąsowa i biała. Przeczytaj — tu wyjął z kieszeni broszurkę w zielonej okładce — te niemieckie zwrotki.“

Przeczytałem wierszyk, który podaje w tłumaczeniu:

„Czerń wyraża niewolę w sercu i na czołach narodów. Biel przypomina piętno smutku na bladych czołach.“

„Pąs wzięto z jagód płonących wstydem. Gdy czarna, pąsowa i biała barwa się skojarzą, czas, żeby myśliciele myśleli.“

„Czerń ta—to śmierć niemieckiej wolności, to godło pruskiego oszustwa; biel ta—to nędza blada jaką wojna rodzi, to podobizna wybladłych rysów uciśnionego ludu.“

„Czerń, biel i pąs Hohenzollern'ów tworzą chorągiew naszą. Jest-to chorągiew mordercza, przyjęta przez Niemcy w szalonej wojnie, jako godło cesarstwa“ (\*).

— Czyż władze niemieckie pozwalają, żeby paskwile tego rodzaju krążyły? — zapytałem zadziwiony.

— Nie, mój panie, ale przysyłają nam takowe ze Szwajcaryi. Tu, w Mühlhaus, w Kolmarze, wszędzie rozrywają je ludzie. Ha, każdy z nas ma swoją słabośćkę. Ci czytają broszury, inni zaś wyrocznie, przepowiadające niedalekie oswobodzenie.. na które od lat 4 czekamy. Co do mnie, mój panie — dodał on smu-

---

(\*) Jest-to dosłowne tłumaczenie wierszy, zawartych w satyrze socjalistycznej, p. t. „Nowe powiastki zimowe, wizyta Henryka Heinego do cesarstwa bogobojności i czystych obyczajów.“ Sto tysięcy egzemplarzy téj broszury sprzedano pomiędzy Niemcami w Stanach Zjednoczonych.

tnie — sam siebie nie poznaję. Wciąż gniewam się tylko.

Chciałem zejść, ale stróż przytrzymał mnie za ramię, mówiąc:

— Zapomniałeś o księdze dla podróżników.

Wprowadził mnie do małej, zadymionej budki, w której przechowują starannie stosy rejestrów, w których podróżnicy wpisali swoje imiona. Po nazwisku Wiktora Hugo (3 Lipca 1837 r.) następuje kupca zapalek fosforowych; do podpisu Lamartina dodał jakiś złośliwy żartowniś następujący wierszyk:

„Nad wszystkie ziemskie cuda i rozkosze,  
Sok winnych jagód przenoszę.“

Następujące wiersze podpisał Laprade:

„Wyżej, wciąż wyżej! do wyzin pogodnych,  
Gdzie robak troski, ni śpiewy syreny,  
Ni smiech szydery, nie doleczą ucha.“

Wartując rejestr leżący na stole, znajduję pod podpisem generała Hartung, który odwiedził Strassburg w Marcu r. 1876, oraz innych osób, następujące wyrazy uczuć patryotycznych:

— Joanna i Emma B... dwie córki Alzacyi, ślubowały, że nie pójdą za mąż przed powrotem Francuzów.

Na marginesie dopisał ktoś charakterem niemiec-  
kim: „biędne dziewczęta.“ Dalej czytam:

„Julia R. Francuzka z Alzacyi, umrze zanim zostanie Niemką.“

I znów dalej:

„G. H. porucznik piechoty z Alzacyi. *Potius mori quam foedari.*“

„Józef K. były żuaw. On już puścił krew niejednemu z nich i oczekuje dnia odwetu.“

„Emil F. z Kolmaru. Do Francyi — niewolno; do Prus — nie chcę; do Alzacyi — należę.“

Często czytamy obok podpisu, krótkie: „*remember*“ (pamiętaj), „*a quand la revanche?*“ „*vangeance!*“ i tysiąc t. p. wykrzykników, wyrażających niezatarte uczucia Alzacyan. Dziwnie wyglądają po tych namiętnych słowach wyrazy oburzenia, które wypłynęły z ciężkich i pedantycznych piór niemieckich. Przypominają mi one niedźwiedzia, co podnosi łapę, kwoli zgnieceniu natrętnych much, które mu bzykają pod nosem.

---



## V.

L u d.

Trzeciego dnia po zajęciu Strassburga przez wojska nieprzyjacielskie, wezwał generał Werder burmistrza, pana Küss i rzekł do niego:

— Panie burmistrzu, ludność tutejsza pozwala sobie na tak nieprzyjazne manifestacye, że będę musiał was ukarać.

— Jenerale — odpowiedział Küss spokojnie — nie znam na to rady i spodziewam się wszystkiego; macie przemoc za sobą.

— Jutro — ciągnął dalej p. Werder — wejdę tu tryumfalnie, na czele swojej armii. Żądam, ażeby burmistrz wyszedł naprzeciw mnie i podał mi klucze miasta na srebrnej tacy. Strassburg zapłaci oprócz tego 4 miliony kontrybucyi.

Pan Küss wysłuchał tego rozkazu z flegmą zwykłą sobie. Gdy generał Werder skończył, on przemówił:

— Jenerale, możesz mnie uwięzić, lecz nie możesz zmusić mnie do czynu podłego. Nie wyjdę naprzeciw, nie podam ci kluczów miasta na srebrnej tacy. Możesz wejść jako tryumfator pomiędzy nasze ulice i zrujnowane domostwa, ale ja za nic nie ręczę. Jeżeli ci

się zdawało, że spotkasz przyjaciół i rodaków w Strassburczykach, to parę dni ostatnich wyleczyły cię zapewne z tych złudzeń. Lud posiada broń, użyje jej i będzie zarzynął twoich żołnierzy. Zabijecie nas i spalicie, będąc od nas liczniejsi i silniejsi. Wiemy o tém i zdajemy się na los takowy.

Co rana znajdowano w fosie zwłoki żołnierzy niemieckich. Pan Werder nie ośmielił się na swój wchód tryumfalny, lecz kazał wycelować na miasto ze czterdzieście armat, tak, żeby mogły ostrzeliwać każdą ulicę. Zakazał swoim żołnierzom zapuszczać się w odległe dzielnice i ogłosił stan oblężenia. Oficerowie mieszkali zawsze razem, na dole, w pokojach wychodzących na ulicę. Zdwojono warty i patrole. Rozkazano wojsku cofnąć się po za cytadelę, po pierwszém uderzeniu dzwonów. Skonfiskowano broń wszelką, jakoto: noże ze sprężynami, strzelby myśliwskie i laski z ukrytymi szpadami.

Lud zdzierał ogłoszenia urzędowe, lub dopisywał do nich obelgi. W nocy przyklejano na domach zajmowanych przez urzędników niemieckich buletyny o zmyślonych francuzkich zwycięztwach. Pan Werder oznajmił wtedy, że właściciele domów będą odpowiedzialni za afisze przyklejone na swoich murach.

To niesłychane postępowanie nie mogło uspokoić upartego ducha ludności. Nawet ulicznicy drwili sobie z żołnierzy pruskich i z upodobaniem złośliwém drzęzili ich musztrę.

Skoro ich otoczyła gromadka ludzi i dostrzegli pomiędzy nią Niemców, mianowicie zaś oficerów, patrzących z upodobaniem na dziecinne igraszki, komendant plutonu żaków wołał głosem przeraźliwym: „*Schiltz Nas!*“

Wszyscy natychmiast utarli nosy w palce, przy śmiechu mieszczan i oburzeniu Niemców.

Biegali oni po ulicach, krzycząc: „niech żyje Francya.“ Żołnierze ścigali ich i omal nie zabijali. Nie tylko, że aresztowano te dzieci, ale p. Werder czynił rodziców odpowiedzialnemi za ich postępowanie.

Kobiety także brały udział w tych objawach nienawiści do cudzoziemców i przywiązania do Francyi. One, co podczas oblężenia dawały wzniosłe przykłady zaparcia siebie i poświęcenia, teraz uczyły patriotyzmu i honoru. Stały one na śniegu, wśród nocy, oczekując jeńców francuzkich, których odprowadzano do fortec niemieckich.

W kilka dni po podpisaniu pokoju, przewożono przez Kehl 150 rekonwalescentów i 50 amputowanych, rannych pod Woerth'em.

Władze niemieckie zatrzymały ich w wagonach, żeby ich nie widziano w Strassburgu. Jednakże pomimo, iż była trzecia w nocy i padał deszcz ulewny, damy miejskie przysły piechotą do dworca w Kehl. Bóg wie kto je zawiadomił o przybyciu rannych. Przyniosły one pełne kosze bielizny, odzieży i jadła; rozdając to wszystko z płaczem pomiędzy rannych i kaleki, mówiły do nich: „Nie zapominajcie o nas, mówcie o nas we Francyi. Powiedźcie im, że zostaniemy zawsze Francuzkami, bardzo nieszczęśliwemi; że pamiętamy o nich. Do widzenia, niebawem!“

Podobnie przyjęto ich w Mühlhaus, może nie z tylemą łzami, ale z równą stałością. Wzdłuż całej linii kolei stały podwójne szeregi chłopów. Powiewali oni kapelusami, zasyłali pocałunki i wołali: „niech żyje Francya! niech żyje ojczyzna! do widzenia, niebawem!“ Nasi żuawi mówili: „cały kraj stawał przed nami na rodzaj rewii. Zkąd jednakże dowiedzieli się oni, że bę-



dziemy przejeżdżać tamtędy? Wszak nas najpierw wypuszczono z pruskich ambulansów.“ W jaki sposób dowiedzieli się? Zapewne skutkiem tej tajemniczej sympatii, co elektryzuje uciśnione serca. Alzacya nauczyła się tej tajemnicy od Wenecyi.

Owacye z jakimi przyjmowano rannych i jeńców francuzkich, zaniepokoiły władze niemieckie. Jenerał-lejtnant i komendant placu, p. von Hartmann, napisał do pani Humann i jój ziomek list w imieniu intendenty niemieckiej, uznając „że czyny dam szlachetnych bardzo pomogły intendenturze w wywiązaniu się ze swoich obowiązków.“

„Lecz — dodawał p. Hartmann — biuro pomocy przyłączone do intendenty wojskowej, nie jest już obarczone zbytnią pracą i wystarczy dziś zupełnie, kwoli zadosyć uczynieniu wszystkim niezbędnym potrzebom. Oprócz tego zdarzyło się kilka wypadków na dworcu w Koenigshofen. Najsmutniejszym z nich była śmierć pewnej damy ze Strassburgu, której imię wymienię poniżej. Ze względu na tę okoliczność upraszam panie — wyrażając wam żywą wdzięczność za przeszłe i wielkie ofiary — żebyście zaprzestały od jutra, karmić i doglądać żołnierzy powracających z niewoli.“

„Od jutra polecę, żeby zamknięto dworzec w Koenigshofen. Tylko takie osoby będą tam wpuszczone, które przedstawiają się jako podróżni i będą posiadały bilety ze świeżym podpisem władzy.“

List ten, pod datą 10 Lipca r. 1871, ogłoszono na czele oficjalnej Strassburskiej gazety.

W dziesięć dni później wydał hrabia de Bismarck-Bohlen rozkaz, który w obec zawichrzeń jakowe się zdarzyły, kazał aresztować i zabierać do fortec pruskich, wszystkich jeńców francuzkich, znalezionych w Alzacyi i Lotaryngii w mundurach.

Cóż uczyniły damy alzackie? Zbierały składki, szyły odzież i wysyłały co mogły do Francji i Niemiec, kwoli wsparciu tych, których nie mogły wspierać w Alzacyi. Nie zjawiały się w miejscach publicznych bez żałoby; kapelusze zdobiły tylko nieśmiertelnikami, ślubując, że zatrzymają takowe, póki Strassburg nie będzie zwróconym Francji. Nawet wieśniaczki zdobiły się na Boże Ciało trójkolorowymi wstążkami.

Kapłani wszystkich wyznań dzielali te patriotyczne uczucia. Pastor ewangelicki, poświęcający związek dziewicy strassburskiej z oficerem francuzkim, wołał do zachwyconych słuchaczy, iż upatruje w tém symbol unii Francji z Alzacyą.

Pan Bismarck-Bohlen, gubernator Alzacyi, prosił biskupa Raess, żeby celebrował mszę śpiewaną i dołączył do niej modlitwę za cesarza.

— Panie hrabio — odparł biskup, który uważał się jeszcze za Francuza — po utracie matki nosimy zwykle żałobę przez rok najmniej i nie chodzimy na zabawy.

Pastor Riff zaczął dopiero w przeszłym roku odmawiać modlitwę za cesarza, czyniąc to z przymusu. Przed tém jednak oznajmił on swoim parafianom, że „kazano nam modlić się za cesarza i cesarstwo. Więc pomódlmy się za ukochaną naszą Francją!... a teraz, *weil wir sollen*, ponieważ przymuszają nas, modlimy się za cesarstwo... *weil wir müssen*... ponieważ musimy.

Cała publiczność modliła się za Francją.

Inni pasterzy wręcz odmówili powtarzania formułki narzuconej przez władzę. Pan Lichtenberger, profesor teologii w seminaryum protestanckiem, wygłosił protest przeciw temu rozkazowi w kazaniu, wypowiedzianém w kościele św. Mikołaja.

Księża katoliccy wołali z ambon, łkając prawie: „oddano nas w pieczę tyranów... ale cierpliwości, a na pewno nadziei!“

Wypędzano obywateli setkami. Nie zwlekano długo z wypędzeniem jezuitów. Strassburg znalazł w tém powód do wspaniałej manifestacyi. Ojciec przełożony musiał uśmierzyć tłumy, żeby je ustrzedz od zemsty pruskiego kata. „Facyatę klasztoru przy ulicy Żydowskiej — pisze p. About w pięknym swoim dziele o Alzacyi — zdobiły przez dni kilka kwiaty i kokardy trójkolorowe. Jezuityzm został, dzięki Prusakom, nowym objawem patryotyzmu i to do tego stopnia, że pewien znakomity adwokat strassburski, rzekł do mnie w więzieniu: „jestem Żydem; niech żyją jezuici!“

Gdy otworzono składkę na owe półmiliarda, które miano zapłacić Prusom kwoli spiesniejszemu uwolnieniu zajętych prowincyi, miasta i najgłośniejsze sioła alzackie dały wspaniałe dowody zapału patryotycznego. Ubodzy i bogaci, bez różnicy wiary i opinii, chcieli brać udział w okupie ojczyzny. We Francyi wstrzymało tę składkę powodzenie pożyczki. Strassbureczycy przysłali jednakże swoją ofiarę.

Nigdzie nie powitano powodzenia téj pożyczki z większą radością jak w Alzacyi-Lotaryngii. W Strassburgu całowano się na ulicach. Pewien obywatel opowiadał w ludowej piwiarni, że podpisy na pożyczkę przewyższały 10 razy cyfrę żadaną: „Niechżesz i Francya żyje 42 miliardów razy!“ zawołali robotnicy. W innéj piwiarni zapłacił jakiś starzec za napoje, żeby wszyscy obecni wypili na uwolnienie Alzacyi.

\*

\*

\*



W tym smutnym i żałobnym dzisiejszym Strassburgu, protestuje ludność bezustannie przeciw obecnemu stosunkowi swojemu postępowaniem. Minęła pora hałaśliwych objawów, lecz zawsze zachowują się oni nakształt zaciętych nieprzyjaciół. Dwa obozy—tubylców i cudzoziemców—rozdziela otchłań równie głęboko, jak w dniu kapitulacji. Nienawiść do Niemców oniemiała, ale za to głębszą jest i zaciętszą.

Niemcy stoją zupełnie odosobnieni; otacza ich próżnia, salony zamknięto przed nimi; nie wpuszczają ich ani do towarzystw, ani kółek alzackich. Widziałem jak damy otwierały swoje parasolki gdy mijały pruskich oficerów. Wieczorem brzmią na przedmieściach piosenki patryotyczne, w alzackim dyalekcie. Muza gminna dobrała sobie słów pełnych ironii; ściga ona żołdaków niemieckich nakształt szyderczego echa. Cały kraj powtarza głosem złośliwym:

*So langes Pfluten un Knoepla git,  
So verlassen die Schwaben das Elsass nit.*

„Póki mamy *Pfluten* i *Kneples* (legominy ulubione w Alzacyi) nie opuszczają Szwabi Alzacyi.“

*Doch die Schwoba mien zum Elsass muss,  
Wie's Tri kolor sich wieder zeigt.*

„Lecz Szwabi będą musieli pójść precz, skoro się pokaże trójkolorowa chorągiew.“

Nemesis przedmiejska uderza także w straszego kanclerza:

*D'r Hans im Schnogaloch,  
Hat alles was er will.  
Was er hat, das will er nit,  
Was er will, das hat er nit.*

„Hans w jamie pchleł ma wszystko czego żąda, ale nie chce co ma, a nie ma czego chce.“

Śpiewają oni i grubiańskie rymy, które nie są już strzałami wylatującymi z gwizdem, ale zmieniają się w sękatę maczugę, spadającą z głuchym hukiem obuchów. Są to łajania władzy, lub paszkwile na ministrów.

Pewien służący w Strassburgu pokazał nie dawno jednemu z moich przyjaciół mieszkających w tém mieście rodzaj parodyi zrobionej z Ojciec nasz, którą pospólstwo recytuje. Wyraża ona uczucia szerzące się coraz silniej pomiędzy niemieckim proletaryatem:

„Ojciec w Berlinie, imię twoje pójdź w zapomnienie, znikaj królestwo twoje, nie stań się wola twoja nigdy! Oddaj nam nasz chleb codzienny, zapłać długi nasze, jak i my twoje płacimy, nie wiedz nas na wojnę, ale zbaw nas od ministrów. Amen.“

Następują legendę opowiada pospólstwo:

„Gdy Bóg stworzył pierwszych ludzi, zazdrosny djabeł także chciał ludzi robić. Bóg nic na to nie mówił, a djabeł zabrał się do pracy bardzo starannie i udało mu się skleić podobiznę człowieka. Człowiek ten chodził, lecz zmartwienie diabła nie znało granic, gdy spostrzegł, że zapomniał dać serce swojemu człowiekowi, natomiast włożył weń drugi żołądek. Dalej więc w prośby do Pana Boga, żeby mu pozwolił błąd ten naprawić. „Nie — rzecze Wszeczmogący. — co zrobiłeś zostanie, a twój człowiek bez serca i z dwoma żołądkami będzie się nazywał: Prusakiem.“

Nienawiść tutejsza jest stałą. Wytryska ona ze wsząd w postaci obelg, szyderstw, piosneczek, czynów i słów.

Jeżeli damy urzędników, pytają przekupki na targu o cenę nowalij, te odpowiadają im regularnie: „pofatyguj się pani dalej, to za piękne dla pani.“

Kwaciarki tak składają swoje bukiety, żeby przypominały barwy francuzkie.

Co roku urządzają w Strassburgu, pod opieką dam miejskich, loteryą z fantów zebranych przez komisarzy cyrkułów. Przeszłej zimy sypano fantami. Żonie administratora którego narzucono miastu, pani baronowej Reichlin, także się zachciało przysłać swój dar. Po skończeniu loteryi rozebrano wszystkie fanty — oprócz jednego.

Pewien wysoki urzędnik, wszedł wkrótce po swoim przyjeździe do sklepu. Chcąc okazać swoją grzeczność pani kupcowej, rzekł do niej: „*Madame*, czas bombardowania musiał zdawać się pani bardzo długim.“

— Daleko krótszym, niż czas późniejszy. Podczas bombardowania nie mieliśmy Prusaków.

Gdy okropne powodzie spustoszyły Francją południową przed 2 laty, Strassburg i Alzacya-Lotaryngia wysiliły się na dowód, jak stale lgną do Francyi. Wszędzie urządzano składki. Kapela pompierów strassburskich dała koncert w ogrodzie Lips na dochód nawiedzonych powodzią. Nie wolno tam było wejść oprócz za biletem specjalnym, z góry kupionym. Przedstawia się pruski oficer; nie wpuszczają go. Upiera się on, mówiąc, że rodzina jego jest w ogrodzie i czeka na niego. Żądają od niego 6 marek. Skoro wszedł muzyka zagrała *les Girondins*, a publiczność cała powtarzała tę arya chórem. Natychmiast po niej grano *les Chasseurs*, które przyjęto z energicznym okrzykiem „niech żyje Francya!“

Podobne sceny zdarzają się w Schlestadt. O dziewiątej wieczorem przeciąga przez miasto trębacz, grający capstrzyk stariej daty. Ta dawna nuta francuzke przypomina ludowi dni szczęśliwsze, więc pochod nie-



zliczony idzie za trębaczem, wołając: „niech żyje Francya“ i to w obec wściekłych Prusaków.

Wypadek w kopalni *Jacob* także znalazł dobroczynne dusze i serca francuzkie w Alzacyi.

Francya także pamiętała o oderwanych braciach. Przed kilkoma miesiącami, nawet wbrew obawie, żeby nie jętrzyć dzikiej zazdrości niemieckiej, w téj samej chwili, gdy cesarz posyłał 20,000 franków dla Alzacyan nawiedzonych powodzią, pani marszałkowa MacMahon kazała im doręczyć 180,000 franków! Pewien urzędnik niemiecki w Strassburgu, z pensją 15,000 franków, dał 30 marek. Zaprawdę, było to za mało, ażeby serca kupić. Niemcy dowiodły w przeciągu ostatnich lat 5, iż nie posiadają dary francuzkiego wcielenia serc narodowych. Geniusz asymilacyi zostaje wyłączną własnością Francyi, albowiem tylko Francya została dobrą i wspaniałomyślną. „Jarzmo niemieckie — pisał pewien dziennikarz w r. 1842 — zawsze było nieznosnym i hańbiącym dla narodów zawojowanych. Niemcy nie umieją zapomnieć swoich zwycięstw; w ich charakterze istnieje pewna brutalność i gburowatość, które nie chcą i nie umieją uwzględnić obyczajów i przyzwyczajęń obcych, oraz nieustannie drażnią zwyciężonych. Charakter pruski celuje tém, że zawiera w sobie coś nieznośnego dla cudzoziemców; posiada on w mniejszym stopniu od innych dar zjednania miłości tych, którzy muszą znosić jego panowania. Trzeba też wyznać, że skutkiem ohydnych okoliczności, które zawsze prawie towarzyszyły jego zaborom rozmaitych swoich prowincyj, spotyka on w nich najzaciętszą niechęć.“

Nigdy nie zapomnę tego wyznania pewnego oficera pruskiego, który wrócił właśnie z podróży po Alzacyi i mówił do Niemców, siedzących obok mnie:

„Walimy stare wały Strassburgu i budujemy nowe... znam jednak fortecę, którą nigdy nie zwał... jest zaś nią wzrastająca niechęć Alzacyan i Lotaryngów do Niemiec.“

Gazeta Augsburska nie wypowiadała się tak otwarcie przed 2 laty; jednakże pisała;

„W chwili gdy oświadczano się za wyborem poddaństwa francuzkiego lub pruskiego, Alzacya zachowała się mniej więcej biernie; dziś działa ona zaczepnie. Myślano, że skutkiem wychodztwa narodowych żywiołów francuzkich, uda się wlać zwolna uczucia niemieckie w ludność pozostającą. Mylono się. Ludność ta jest *zepsutą na skroś*. Nienawidzi ona Niemców, albowiem nie jest zdolną, żeby pojąć dobrodziejstwa niemieckiej kultury i cywilizacyi. Wypada rozpaczać o nawróceniu tych ludzi, albowiem wszystkie kwestye ścieśniają się w ich umyśle do formułki politycznej: „czy mamy zostać Francuzami, czy Niemcami“... chcą zaś zostać Francuzami.“

Tak, Alzacya-Lotaryngia „nie jest zdolną, żeby pojąć dobrodziejstwo kultury i cywilizacyi niemieckiej.“ Tę uwagę godziłoby się wyrzucić na armatach Kruppa.

Kultura i cywilizacya niemiecka! Wszak żołnierze nieśli jęj poprawne narzędzie na ramionach!

## VI.

### Dobrodusznosc i cywilizacya niemiecka.

Pan Bismarck powiedział w jednej ze swoich mów: „my Niemcy jesteśmy ludźmi uczciwie dobrodusznymi!“

Ta niemiecka dobrodusznosc, jedyna w swoim rodzaju, nakształt cywilizacyi niemieckiej, zasługuje na bliższe zbadanie. Nie chcę, ażeby mnie oskarżono, że przemilczałem o dobrych stronach nieprzyjaciela. Mają oni takowe, mianowicie, gdy powiadają, że dłonie ich krwi pełne, są pełnemi róż. Tak mówili Austriacy we Włoszech o swojej szczerości, dobrodusznosci, roli ojcowskiej. Chociaż ukrywali pod połami pałasze i pałki, przemawiali oni głosem słodkim.

Zastosowanie „poczciwój dobrodusznosci niemieckiej“ rozpoczęło się w Alzacyi-Lotaryngii od chwili, gdy „bombardierzy“ pruscy przedstawili się swoim „braciom“ w Strassburgu i Nowym Brisachu. Tomy nie wystarczyłyby na spis pięknych rysów ich ojcowskiego i pobożnego panowania, więc powtórzę tylko rzeczy, które mi wpadły w ręce.

„Poczciwa dobrodusznosc niemiecka“ zaczęła działać w sposób dobrze sobie znany, wzdłuż dróg publicznych, wieszając wolnych strzelców alzackich, pojmany skutkiem ran.



„Żołnierze pułku landwery pomorskiej, pod komendą Polaka Ostrowskiego (\*) — pisano z Alzacyi do pewnego dziennika paryzkiego — powiesili wieczorem 30 Października r. 1870, dwóch wolnych strzelców, którzy wpadli im w ręce. Jeden był ranny, drugi upadał ze znużenia. Na dobę przedtém, kompania wolnych strzelców, do której należeli powieszeni, odesłała Prusakom rannego jeńca, ponieważ nie mogli go pielęgnować w górach. Jeżeliby jakikolwiek Prusak zaprzeczał, że nie wieszano jeńców, wśród śmiechów i żarcików zbyt okropnych, żebyśmy mogli je powtórzyć, każde dziecko w Gueberschwyler, w kantonie Ruffach (departament Haut-Rhin), pokaże hak w jatkach, na którym wisiało ciało biédnego ojca rodziny, co błagał tylko, żeby go rozstrzelano. Każde dziecko w Hastadt, w kantonie Ruffach (departament Haut-Rhin), pokaże téż drzewo, na którym powiesili Prusacy, oraz grób, w który mieszkańcy Hastadtu pochowali wolnego strzelca, który działał jak przystało na bohatera.“

Jeżeli wypadało przejść rzekę pod ogniem francuzkim, poczciwi Niemcy stawiali na czele swoich kolumn, ze zwykłą sobie dobroduszością, starców, kobiety i dzieci w ten sposób, iż żołnierze francuzcy nie śmieli odpowiadać na ogień niemiecki, z obawy o życie niewinnych ofiar. Wiązali także Francuzów plecami do siebie, przed barykadami, z po za których strzelali do wojska.

W Mühlhaus powitano oddział, co przybył na rek wizycją, krzykami szyderezemi, więc takowy pojmał

(\*) Tłumacz przeprasza pana pułkownika i innych bohaterów, którzy chlubią się z warzynów i orderów zdobytych w kampanii r. 1870, iż nie wykreślił nazwiska p. Ostrowskiego.

kogo mógł; przed wymarszem dał ognia do jeńców, zabijając i raniąc dziesięć bezbronnych osób.

Po zawarciu pokoju zabrali się Niemcy gorliwie do dzieła, żeby zdobyć szacunek i miłość ludności wcielonej.

Patrol w Mühlhaus aresztuje i bije bez przyczyny żuawa Grensellmayer. Biédak przestraszony tą dobrodusnością, chce uciekać. Patrol pozwala mu ubiedz 20 kroków i zabija go z zimną krwią, regularnym ogniem plutonowym.

Tymczasem p. Bismarck myślał, że imiennik jego p. Bismarck-Bohlen, nie zastosował jak należy zasad „pocziwój dobrodusności niemieckiej.“ Odwołał go więc, przysyłając natomiast p. Mohler.

Pan Mohler gorzał świętym zapałem i zaczął polować na Alzacyan na wielką skalę. Przynoszono mu co dnia takich, których rozstrzelano, zamordowano lub zatłuczono na śmierć, wedle najpraktyczniejszego sposobu. Pan Mohlen nie zaniedbał donieść w swoich raportach do kanclerza, że „pocziwa dobrodusność niemiecka“ krzewi się szybko w Alzacyi. Pewien służący w Dornach wraca późno do domu, gdyż doglądał koni w swojej stajni; spotyka on stójkowych. Wszczyła się kłótnia. Jeden ze strażaków rozbija mu głowę strzałem z rewolweru; trup pozostał na miejscu aż do świtu. Pewien obywatel z Mühlhaus przejeżdżał wieczorem przez tę samą okolicę, w towarzystwie przyjaciół. Wracali oni z polowania na dziki. Niespodzianie zabrząkły szyby powozu; wytłukł je pałaszem jakiś żołnierz z wielkiej armii.

W kilka dni później żołnierz niemiecki obcina palce dziecku. Przy śledztwie okazuje się, iż był to ten sam, co potłukł okna. Czyż potrzebuję dodawać, że on nie odpokutował ani za szyby, ani za rany dziecięcia.

W Mühlhaus, na wielkiej ulicy du Sauvage, żołnierz pruski — który „nieostrożnie“ skosztował nadto moszczu wrześniowego — wchodzi do szynku z gwałtownością złowrogą. Chce pić więcej, wedle odwiecznej logiki ludzi pijanych. Szynkarz odmawia mu rozsądnie, każe go rozbroić i wypchnąć za drzwi za pomocą policyanta. W dziesięć minut później wraca bohater do szturmu, w towarzystwie kolegów ze swojego pułku; wrzeszczy, łaje, rzuca się, chwyta pałasz od towarzysza broni, tnie w prawo i w lewo, w końcu obcina ucho spokojnemu gościowi, który zbliżył się nadto do tego skweresu. Nie wiem, czy posłano to ucho jako trofeę do arsenału berlińskiego i czy je tam przechowują.

„Zeszłego tygodnia — pisano z Bolwiller 4 Października r. 1872 do gazety *Salut public* — przechadzali się młodzieńcy z trójkolorowymi kokardami na kapeluszach. Strażacy niemieccy rzucili się na nich, zdarli im te godła zakazane i zbili ich. Zwykle jednak nie kończy się na tém, nawet w departamentach francuzkich, w których Prusacy obozują tylko tymczasowo. I tak w Giromagny, pod Belfortem, 28 Września, agent policyi francuzkiej nazwiskiem Sarrazin, będący na służbie nocnej, spotkał około dziewiątej wieczorem czerwonych huzarów, którzy kazali mu iść do domu, pod pozorem, że ich obecność zupełnie wystarcza kwoli utrzymaniu porządku publicznego. Gdy on nie usłuchał, tłumacząc się rozkazem przełożonych, rzucili się na niego i tak go zbili, że biedak umarł na drodze, zanim go do domu odniesiono.“

W Molsheimie zapomniała kobieta zatrzymać swój wózek pod rogatką. Warta dała ognia i zastrzeliła ją.

W Saint-Marie-aux-Mines, spotkał pocztylion z Saint-Dié jednego ze swoich przyjaciół, który był



pisarzem w sąsiedniej gminie. „Jako — zapytał go — więc i ty zostałeś Prusakiem?” Żandarmi niemieccy usłyszeli te buntownicze wyrazy i aresztowali pocztyliona. Prowadzą go do komisarza policyi, lecz on wymyka się z ich rąk i ucieka. Gdy biegł wzdłuż ulicy, zjawia się w oknie kapitan z ogromnemi wąsami i woła *feuer! feuer!* (ognia). Żandarmi wymierzili karabiny i strzelili. Zabili nieszczęśliwą kobietę, która w téj chwili właśnie wychodziła z domu; pocztyliona zaś ranili w plecy. Ten zachwiał się i upadł. Żandarm przybiegł do niego i dobił go bagnetem.

W Dornach zdarzyło się, że niejaki Thomas, szewc z profesyi i były gwardzista narodowy podczas oblężenia Belfortu, mijał strażaka nazwiskiem Schumacher. „Ty także należysz do pruskiej milicyi” — mruknął Thomas. Nazajutrz wzywają go do urzędu w Oberkampff, wloką do piwnicy i przywiązują do ławki. Dobroduszość niemiecka w postaci 2 żandarmów, uzbraja się w bykowiec i odlicza mu 12 razów. Thomas mdleje. Skoro go otrzeźwiono, wyliczono mu innych 11, dla zaokrąglenia sumy dano mu policzek.

W dolinie Villé wszystko spalono. Prusacy chcieli nawet rozstrzelać członków rady miejskiej, ale kapitan przeszkodził im w dziele. Żeby się pocieszyć, zabrali ze sobą trzech księży, jako jeńców.

W Mutzig pod Strassburgiem, schwytali Badeńczycy ojców dwudziestu sześciu młodzińców, którzy uciekli, żeby przyłączyć się do wolnych strzelców. Starców rozstrzelano.

Lecz i to nie wystarczało. Obcięto im nosy i uszy, później ustawiono ich ciała w szeregu pod kościołem, kaci zaś przybili nad zwłokami ostrzeżenie, iż ktokolwiek śmiałby poruszyć tę okropną wystawę, zostanie rozstrzelonym niezwłocznie.

Gdy pisano list z uwiadomieniem o tój okropności, te 26 trupów gniło na słoście od dni 28!

W Strassburgu odpowiedział człowiek pijany nie w pięć, nie w dziewięć, na wołania pruskich żołnierzy. Ci rzucili się na niego i zabili go kolbami.

W tymże mieście patrol złożony z 3 żołnierzy wszedł do szynkowni pomiędzy 10 a 11 w nocy, żeby się napić piwa. Karabiny swoje oparli o ścianę i usiedli przy stole, obok kilku młodych wyrobników, cokolwiek podochoconych. Jeden z nich, z figlów, bierze karabin żołnierza i wymyka się do domu. Żołnierze nie dostrzegli straty karabina aż do chwili, gdy wyjść chcieli. Rozpacz ich i gniew nie znały granic; jakżeż mogli powrócić do odwachu bez broni? Przeszukują i przetrząsają wszystkie kąty i schowki; nie znajdują karabina. W kilka chwil później, wchodzi spokojny obywatel z karabinem na ramieniu. Mieszkał on w tymże domu co wyrobnik, który splatał figła; spotkawszy takowego na korytarzu swojego domu, wziął broń od niego i z *czystej uprzejmości*, zobowiązał się odnieść takową na swoje miejsce. Żołnierze zobaczyli go i biorąc za winowajcę rzucili się na niego. Bićdak drogo zapłacił za niewinny żarcik, w którym nie miał zgoła udziału, albowiem zbito go niemiłosiernie i zostawiono prawie bez życia.

„Strassburg szaleje z oburzenia — pisano 23 Czerwca r. 1871 do gazety *Liberté*. — Wczoraj wieczór zdarzył się wypadek w Grand Rue, dowodzący brutalnego tchórzostwa, o jakim my Francuzi nie mieliśmy pojęcia. Rzecz tak się miała:“

„Artylerzysta francuzki, jeniec wojenny, przejeżdżający tędy w powrocie do domu, rozprawiał z mieszczanami przy stole w piwiarni Grand' Rue. Żołnierz

pruski wstaje od swojego stołu i bez najmniejszej przychyny wymierza mu policzek.“

„Artylerzysta oddaje cios z taką siłą, iż obala Prusaka. Natychmiast rzucają się na niego wszyscy obecni Prusacy i wloką go na ulicę. Było ich około 30; razy spadały nań nakształt gradu, lecz to nie wystarczało. Ci nędzarze zjawiali się coraz gęściej, jak gdyby ziemia wypluwała ich ze swojego łona. Wkrótce ujrzeli mieszkańcy téj ulicy okropne widowisko. Biédaka prawie pozbawionego życia, odartego i zbroczonego krwią własną, wlokły w ich oczach dzikie bestye dwunożne, wciąż okładając go razami. Zostawiono go bez tchu.“

„Bestyc rozigrały się. Pod pozorem, że kilka młodych i obruszonych kobiet wylało na nich wodę z okien, wzięli oni szturmem kilka domów i zniszczyli w nich co im tylko w ręce wpadło. Rzucano się na wszystkie osoby, często nawet nie wiedzące nic o zajściu na Grand' Rue, które przechodziły tamtędy; obalono takowe i zabijano je.“

„Poczwary te biegały po ulicach z dobytymi pałaszami, obalały kobiety z niemowlętami i tratowały takowe.“

„Scena ta trwała przeszło godzinę. Bohatérami jój byli przeszło 2,000 pruskich żołnierzy, bez wyjątku prawie z 42 pułku.“

„Liczą około 20 rannych mężczyzn, kobiet i dzieci. Kilka osób umarło lub kona.“

„Dwa domy spalono i zrabowano.“

„Kościół katolicki Saint-Pierre le Jeune wzięto szturmem. Znaleźli w nim jedenasto-letniego ulicznika. Wywlekli go i zabili.“

„Podczas całej téj sceny nie zjawił się ani oficer, ani żandarm pruski. Dopiero około pół do dziewią-



tój przyszedł oficer z patrolem. Owi 2,000 morderców znikli natychmiast, jakby cudem jakim."

„Był-to wedle mojego zdania wyborby początek kwoli zbrataniu nas z Niemcami."

\*

\*

\*

W przeszłym roku szedł jeden z najspokojniejszych obywateli Strassburgu wzdłuż tejże ulicy Grand' Rue po piwo do piwiarni pod „Grenadierem." W ręku trzymał butelkę. Gdy doszedł do uliczki Escarpée, ujrzał 2 pruskich żołnierzy. Ci rzucili się na niego z dobytymi pałaszami i bez żadnej zaczepki z jego strony ciągli go kilkakrotnie. Padł on okryty niebezpiecznemi ranami.

„Dziennik Alzacki" pomimo iż sprzyja Niemcom, nie mógł zamilczeć o tém zajściu i dodał uwagę: „czyż nie możnaby obmyśleć sposobu, w celu przeszkodzenia podobnym scenom? Czy nie możnaby przedsięwziąć kroków wyjątkowych? Łatwo zrozumieć, jak te bezustanne morderstwa jątrzą kraj cały."

Nie znaleziono jeszcze sposobu, aby położyć kres tym dowodom przyjaźni, albowiem znów czytamy w „Dzienniku Alzackim" z 25 ostatniego Kwietnia:

„Wczoraj, o szóstą wieczór, dopuścili się 2 żołnierze z garnizonu alzackiego brutalności, którą nie możemy zganić dość ostro. Kilku świadków opisywało nam tę ohydłą scenę, prosząc nas, żebyśmy zawiadomili o niej władzę wojskową w łamach naszego pisma. Ci żołnierze byli pijani i schodzili z wałów do wojskowej ulicy szpitalnej; tu spotkali niewiastę z dzieckiem na ręku. Bez zaczepki zaczęli policzkować tę kobietę, później policzkowali jej męża, który szedł a kilka kroków za nią i wdał się w tę sprawę. W koń-

cu napadli na 70-letniego starca, inwalidę na łasce szpitala cywilnego, który przechodził przypadkiem pod bramą. Obalili go i zagłuszyli ciosami. Rzucali się na wszystkich przechodniów, bez różnicy płci, jeżeli takowi ośmielili się wdać w tę sprawę.“

„Świadkowie, którzy nam opowiadali o tém, oświadczają swoją gotowość, żeby powtórzyć deklaracją w obce władzy i opisać szczegółowo tę smutną scenę.“

„Pocziwa dobroduszość niemiecka“ nie zdradza się jedynie na ulicy i wesołemi wybrykami pałaszów, ale pokazuje się wszędzie. W szkole wydziera dzieciom włosy, lub okłada ją kijami, w kościołach drzwi wybija, włamuje się do rodzin i do szuflad.

Czyż wypada sądzić, iż Niemcy okazują swoją „pocziwą dobroduszość“, o której wspomniał pan Bismarck, tylko w krajach, których miłość chcą zaskarbić? Nie, są oni zuchami nawet na własnej grzędzie. Niedawno opowiadał pewien dziennik zarenski o weselu w Münster, w Westfalii. Porucznik M... mieszkający wprost domu, w którym się bawiono, oświadczył, że hałas mu dokuczał; żądał więc, aby milczano. Nie zważano na jego uwagi. Wtedy porwał swój rewolwer i strzelił kilkakrotnie do sąsiedniego domu. Kula ugodziła w plecy podoficera, który należał do gości zaproszonych, zadając mu ranę śmiertelną.

Przedemną leży parę listów, znalezionych w mantelzaku landwerzysty, zabitego pod Nowym Brisachem. Listy te zaadresowano w sposób następujący:

*An der Landwehrmann Ferdinand Pianka bei der 3 ter Comp. Ostpreuss-landwehr Regiment.*

(Do landwerzysty Ferdynanda Pianki, w 3-ój komp. w. prus. pułku landwery).

Stempel pocztowy brzmi: *Lyeck.*

List ten podajemy w tłumaczeniu:

*Malgewein bei Lyeck, 7 Sierpnia 1876.*

Kochany mężu!

Pytasz mnie, czy odebrałam list twój i zapłatę od dziedzica; odebrałam co zarobiłeś, pół korca żyta i pół korca soczewicy. Nie wiem, czy mi się więcej należy. Dzieci zdrowe. Mnie także zostawiłeś zdrową, ale kto wie, czy za powrotem zastaniesz mnie zdrową.

*Dziedzic zbił mnie bardzo, nie wiem za co. Złapał mnie za głowę, obalił i bił swoją łaską, dopóki lokaj nie przeszkodził mu swoim krzykiem, błagając ażeby mnie puścił.*

Co do dzieci, nie dostałam dla nich żadnej zapomogi. Jutro pójdę do naczelnika powiatu i zobaczę, co zrobią ze mną.

Żegnam cię serdecznie.

Twoja żona

*Katarzyna Pianka.*

Czy Prusy, ta klasyczna ziemia feudalizmu i nowoczesnego despotyzmu, ośmiela się łądzić dłużej Europę, swojemi przechwałkami o cywilizacyi i liberalizmie? Prawda, że cywilizacya ta prowadzi do wielkich rzeczy... morduje narody, ale świat zdobywa.

---



## VII.

### Administracya.

Bombardowanie Strassburgu zaczęło się dopiero, gdy posłaniec któremu udało się przekraść przez linię nieprzyjaciela, przyniósł dziennik, o którego istnieniu nikt się dotąd nie domyślał w oblężonem mieście. Był to egzemplarz: „Urzędowych Nowin rządu dla Alzacyi,” wydawanych w Hagenau. Strassburczycy dowiedzieli się z niego z oburzeniem, iż administracya cywilna pruska gospodarowała już od 14 Sierpnia w najejchany departamencie.

Żaden grot pruskiego hełmu nie zjawił się do tego czasu w Schlestadt albo pod Belfortem; Francya posiadała 2 nietknięte armje, Mac-Mahon'a i Bazaine'a. 21 Sierpnia jednakże ustanowiono z rozkazu cesarskiego administracyą nadzwyczajną dla „Lotaryngii niemieckiej,” czyli powiatów: Sarreguemines, Château-Salın, Sarrelouis, Thionville i Metz.

Twierdzono w obce mnie, że gdyby Francya była zawarła pokój po Sedanie, gdyby była błagała Niemców o przebaczenie, uderzając się w piersi i spowia-

dając ze swoich grzechów, pan Bismarck byłby się zadowolnić wzięciem w zastaw Alzacyi. To zdanie pozostawia dużo do życzenia pod względem patryotyzmu i sprzeciwia się faktom, jakowe poprzedziły wojnę z r. 1870 i skończyły się ostatecznie na okaleczeniu Francyi. Historycy niemieccy od r. 1815, chociaż Europa nie zgodziła się ówczas żeby Alzacyą-Lotaryngią oderwano od Francyi, niaustannie takową „rewindykowali“ jako ziemię niemiecką. Przerzućmy jakikolwiek zbiór piosneczek lub tomik poezyi. Zawsze tam przedstawiają Metz i Strassburg pod nęącą formą kochanek, które wzdychają i oczekują pasterzy. Kryjąc się po za sitowiem Renu, Niemcy pożerali okiem te dwie bogate piękności, naksztąd bezwstydných starców biblijnych.

Kampania w r. 1870 przybrała charakter ludowy, mniej żeby pomścić Jenę, albowiem tę zmyła bitwa pod Lipskiem. ale skutkiem nadziei zdobycia Alzacyi i Lotaryngii, W tym celu pragnął p. Bismarck wojny, w tym celu prowadził ją. Gdyby nawet Francya, obalona pod Sedanem i pod brzemieniem jego kolana, była go prosiła o przebaczenie, czyżby on wyrzekł się posiadania Lotaryngii i Metz'u—dziewicy, której kibić opasywały już potężne ramiona jego żołdaków?

Starannie i dawno przygotowano łoża dla Alzacyi i Lotaryngii, w tym haremie z branek różnej narodowości, Wendów, Duńczyków, Polaków, Hanowerczyków i t. p.

Wojnę przeciw Francyi, tak samo jak przeciw Austrii, postanowiono od dawna. W r. 1863 mówił p. Bismarck, z tą cyniczną otwartością znaną powszechnie, do jednego z moich przyjaciół, p. Rasch: „po Danii,

Austria.“ Aneksacye Hanoweru, Hessyi, Frankfurtu i t. d. były tylko wstępem do zaboru Alzacyi-Lotaryngii. „*Casus belli* znajdzie się, skoro go zapotrzebujemy,“ mówił z uśmiechem następca bezwzględnej polityki Fryderyka II. Ambasador pruski w Paryżu, hrabia Goltz, tak dobrze przewidywał co się święci, iż powtarzał wszystkim, co go chcieli słuchać: „Jeżeli p. Bismarck dostanie się do steru, będzie to klęską dla Europy; wtedy spodziewajcie się okropnych rzeczy. Robimy co możemy, żeby zbawić króla z jego sideł.“

Jak Prusy zapełniły Czechy swoimi szpiegami przed r. 1866, tak też wysypały na Alzacyą emisaryuszów i szpiegów. Oficerowie z głównego sztabu, przebrani za turystów, botaników, malarzy i t. d. wciąż ją przebiegali, zbierając plany i zdobywając gruntowną znajomość przyszłego teatru wojny. Wieczorem po bitwie pod Woerth weszli 2 pruscy oficerowie do małej oberży w okolicy Soultz. „Czy nie poznajesz nas?“—zapytali gospodarza. „Nie“—odpowiedział on. „Wszak jesteśmy tymi podróżnikami, którzy mieszkali u ciebie przeszłej wiosny. Malowaliśmy na pozór, ale rzeczywiście powierzono nam zadanie, żeby zdjąć plan dróg w lesie Soultz.“

W Październiku, w Strassburgu, oddawał pewien urzędnik finansów oficerowi z pruskiej inżynierii, wybranemu kwoli wynajęciu niezabudowanych gruntów na użytek fortyfikacyj, kontrakt zawarty poprzednio pomiędzy właścicielami i administracyą francuzką. Wypadało mieć plan przed sobą. „Jeżeli pan pozwoli—rzekł oficer—popatrzyny w mój. Jest on lepszy nad wszystkie plany zdjęte przez inżynierów francuzkich. Prawda, iż kosztował mnie dużo czasu. Żeby go skończyć, musiałem mieszkać w Strassburgu przez



3 lata. Ztąd też nauczyłem się waszój mowy, którą władałem dość dobrze, jak pan sam uważasz.“

Mnóstwo anekdot tego rodzaju krąży po Alzacyi. Czyż potrzeba innych dowodów, że wojnę tę obmyślano od dawna w Berlinie i że ta wojna miała na celu zabór Alzacyi i Lotaryngii? Tak wszystko było przygotowane, że nazajutrz po bitwie pod Woerth urzędowała w Alzacyi zupełna administracya cywilna. Takową nie można stworzyć z niczego i bez przygotowania.

Ta administracya *in partibus* obrała miasteczko Hagenau za swoją tymczasową siedzibę. Miejsce to zajęto w kilka godzin po bitwie pod Woerth. Nazajutrz kazał „gubernator Alzacyi“ drukować w nim organ oficjalny, który odkrył istnienie i czynności nowego rządu. Przywołano także z Berlina i to najpierwszym pociągiem, profesorów i uczonych, którzy pisali długie rozprawy historyczne, na dowód iż Alzacya jest częścią Niemiec, a żołnierze pruscy byli jej braćmi.

Obok tych dziennikarzy i historyków najętych za dzienną zapłatę i tój zgrai gryzipiórków, kręciła się chmura osób w mundurach, wysokich prezydentów, naczelników obwodów, komisarzy cywilnych i t. p. świeżo ulanych w Berlinie i wysłanych za armią.

Administracya ta nie ograniczyła swoją władzę w obrębie Alzacyi, lecz rozciągała łaskawą opiekę nawet nad departamentami jeszcze nie zajętemi, jak np. Mozelli, Gubernator jeneralny nazywał się hrabia Bismarck-Bohlen. Był on kuzynem kanclerza. Komisarzem cywilnym był p. Kuhlwetter, który jako minister spraw wewnętrznych w r. 1848 zasłynął w Berlinie, skutkiem słów wyrzeczonych do strażaków policyjnych: „Państwo tem jest silniejsze, o ile ma silniejszą po-

licy,“ później zaś dodał: „nie możemy uznawać innych azyłów dla zbrodniarzy oprócz pałacu.“

Jakimże aktem rozpoczął ten rząd swoją działalność? Oto nazwał każdego nie dźwigającego broni osobą neutralną. Lecz neutralność ta była tylko kłamliwym pozorem, gdyż wymagała zupełnego i bezwzględnego oddania się na usługi najezników. Obywateli którzyby pokazali drogę wolnym strzelcom rozstrzeliwano. Rozstrzeliwano ich także, jeżeliby nie chcieli pokazać drogę żołnierzom niemieckim. Jenerał Werder, ten sam co bombardował bezbronny Strassburg, wykonywał tego rodzaju obosieczną neutralność.

Rząd niemiecki posuwał swoją bezczelność pod tym względem do tego stopnia, że uważał za „obowiązek honorowy“ francuzkich urzędników poborczych, żeby mu pomagali w zbieraniu nadzwyczajnych kontrybucyj; żądał też, ażeby zarząd leśny oddał swoje plany armii nieprzyjacielskiej, inżynierowie naprawiali kanały i drogi dla transportów niemieckich. Była to neutralność na wzór berliński.

Tymczasem szły rekwizycye torem używanym w krajach zawojowanych. Wreszcie poddał się zrujnowany Strassburg, a p. Bismarck-Bohlen wszedł doń przez wyłom wybity przez artylerję bawarską. Wszedł w poczcie swoich prefektów, podprefektów, radców, sędziów, urzędników, pisarzy i profesorów. Ceremonia przypasania miecza miała się odbyć 9 Października. Dokonano jęj bez hałasu, bicia w bębny, wrzasku trąb, pochodu i salw z armat. Wojsko dostało podwójne racye i stanęło pod bronią. Pan Bismarck-Bohlen wdział swój paradny mundur i włożył wielki kask. Za nim szedł ogon urzędników. Wszyscy razem weszli do katedry, żeby podziękować Bogu wojsk i poświęcić wielki pałasz, oś i podstawę nowego rzą-

du. Pan Bismarck-Bohlen nie odważył się prosić biskupa o mszę specjalną, lecz spodziewał się, że schwyta jakiego księdza przy ołtarzu i wyludzi zeń błogosławieństwo. Ale przewidywano już złodziejską wizytę, więc przed wejściem padyszacha opuszczono ołtarze i zgaszono lampę. Orszak zawiedziony w swojej nadziei wyszedł innymi drzwiami, a znalazłszy jałmużnika wojskowego nazwanego „Bębnem“ (Trommel), wkradł się z nim do kościoła św. Tomasza.

W południe zawezwano radę miejską do gubernatora. Pan de Bismarck-Bohlen oświadczył, że Prusy stanowczo zajęły Alzacyą, że złożyły żelazo i zabierały się do dzieła pogodzenia. „Panowie—mówił on—król pruski daje pierwszy przykład i z królewskiej swojej wspaniałomyślności przysyła sumę 5,000 talarów, dla pogorzalców miejskich.“ Szkody zadane przez bombardowanie oszacowano na 215 mil. fr.; 500 domów leżało w gruzach, 10,000 osób było bez przytułku, nad 3,000 rannych i kalek liczono. Pomoc przysłana wynosiła zaś 18,750 franków! Pan burmistrz Küss odpowiedział, że nie miał czasu, żeby przygotować odpowiedź.

W kilka dni później zabrał rząd fabrykę tytoniu, która dawała 16 mil. fran. rocznego zysku. Kazano jej pracować na karb rządu pruskiego, lecz zmuszono wszystkich dłużników zarządu francuzkiego do uiszczenia się z należności. Zapewne chcieli się odbić z okładem za owe 5,000 talarów.

W proklamacyi oznajmiającej zaprowadzenie nowego rządu, powiedziano ludowi, iż zmiana ta wypłynęła skutkiem „zrządzenia Opatrzności,“ oraz że Strassburg był i zostanie miastem niemieckiem. Zapewne z téj przyczyny musiało miasto płacić 2,000 talarów dziennie na utrzymanie wojska, a podczas zawieszenia broni, musiała każda gmina płacić 5 ta-



larów dziennie „kieszonkowego,” wszystkim oficerom pruskim, zakwaterowanym w jój obrębie.

Urzędników francuzkich wypędzono z kraju na mocy formalnego rozkazu; profesorom strassburskiego liceum dano 3 dni na wyniesienie się z miasta, pod karą odstawienia do Spandawy (fortecy).

Urzędników skarbowych także wypędzono. Z 6 szefów służby osadzono 3 w więzieniu. Pana Buisson skazano na 2 lata więzienia i grzywny ciężkie. Odstawiono go do Wisemburgu w towarzystwie trzech złodziei; ponieważ dał dobre świadectwo jednemu ze swoich byłych podwładnych. Oskarżono go, iż spełniał nielegalnie funkcję urzędnika publicznego.

Wtedy to nastąpił najazd ludzi bez domu i ogniska, którzy wylazili ze wszystkich nor germańskich, nakształt robactwa, co się zjawia z nadejściem wiosny. Był to najazd awanturników, bezczestnych, wzgardzonych, torb cielących, rzezimieszków, liczykrupów, kłep i chromych, kulejących w długim szeregu, wedle ewangelijnego opisu. Wszystko co czuło w sobie dzioby, loty i pazury, przybiegało, żeby się z bogacić kradzieżą. Alzacyą, przywiązaną do rumaka nakształt Mazepy, rzucono na pastwę wilkom. „Wyobraźcie sobie—pisał Karol Vogt—te sfory ludzkie, te chmury szarańczy, te trzody osób mniej więcej wygłodzonych wraz ze swojemi rodzinami, blondynami żonami i dziećmi, rodzicami, kuzynami i podwładnymi, którzy z łaski „kolegi albo przełożonego” spodziewali się postąpić o jeden szczebel i utuczyć się; wyobraźcie sobie tę armię urzędników, znajdującą nowe pastwiska i pole do popisu w kraju bogatym i pomiędzy ludnością niechętną. Za dawniejszych czasów uważano posadę w krajach nad niższym Renem za szczęście najwyższe w świecie pruskich urzędników. Znałem

osobiście landrata, który uważał przeniesienie z Prus do Nassau za przedsmak raju—a tu otwiera się nowa prowincya po nad brzegami Renu, na południowej granicy Niemiec, pełna zachwycających krajobrazów i zamieszкана przez ludność intelligentną, energiczną i nienawidzącą Prus.“

„Ta ostatnia okoliczność ma swoje znaczenie, albowiem biurokracya pruska cieszy się stale tém, że ludność czuje do niej odrazę. Bezustanne dokuczliwe starcia i dotkliwe zgrzyty pomiędzy przełożonymi i poddanymi, są najpewniejszą rękojmią awansu, podając sposobność do rozwinięcia „ściśłej karności“ i użycia nacisku „umiarkowanego lecz energicznego.“ Wyobraźcie sobie jakim torem wszystko tu się odbywa, gdy wszyscy potracają się, tłoczą, pchają, mruczą i wrzeszczą, piszą i proszą, żeby wreszcie zadzwoniono na obiad i nakarmiono ich.“

W głównej kwaterze w Wersalu otrzymano proźb tysięcy z okładem. Niemcy wietrzyli woń takiej biesiady od r. 1866. Skoro też Prusy otworzyły tę wielką jadalnię, która się nazywała bogatą alzaczką ziemią i krajem lotaryńskim, rzuciła się do niej psianina wybladła i zgłodniała, zgraja łakomych włóczęgów i rzezimieszków. Zaiste byli to szczególni apostołowie cywilizacyi!

Wtedy to pełzały w błotach Strassburgu najędzniejsze gatunki z rzędu dziennikarstwa i administracyi. Haczykowate palce fiskusa wywracały alzackie kieszenie. Ulepszono podatki, nakształt odtylkowych karabinów; wynaleziono podatki nadzwyczajne, wymyślono sposoby, żeby po raz wtóry zbierać rekwizytce, zapłacone już francuzkim poborcom. Ta epoka obfitowała w cięcia pałaszami, grzywny, wyroki na więzienie lub wygnanie. Wyguano przeszło 200 osób,

uwięziono 500. Prusy parodiowały słowa Descartes'a mówiąc: „bije, więc jestem.“ Dłonie co wypróżniły okolice Paryża, znajdowały się tu rewizjami po domach. Agenci wchodzili z rewolwerami w pięści. Dom otoczano do koła podczas całej operacyi, żeby nikt nie mógł wejść ani wyjść. Przetrząsano brutalnie wszystkie zakątki i schowki w pomieszkaniach. Biada właścicielowi, u którego znaleziono chociażby strzelbę albo pistolet dziecienny. Zanim zabrano się do szuflad i papierów, szukano w kieszeniach osób obecnych. Cała sprawa kończyła się najczęściej na znalezieniu kilku pomiętych numerów gazety *Ligue d'Alsace*. U pewnego lekarza zażądano „żeby im pokazano papiery pani.“ Ta się wzbraniała oddać klucze, lecz oddała takowe, gdy pogrozili, że sprowadzą ślusarza. Przeczytali jój najpoufalsze listy, nawet od rodziców i przyjaciół.

Chcąc stworzyć statystyczny wykaz Alzacyi pod względem moralno-politycznym, kazał p. Bismarck-Bohlen wydrukować szereg pytań, godnych wielkiego inkwizytora. Oznajmiono rodzicom, że muszą odpowiedzieć na takowe w pewnej liczbie dni. Niektóre z tych pytań tak brzmiały:

„Ile lat ma twój syn?

„Kto jest jego nauczycielem? Wymień nazwisko i zajęcie.

„Z czego żyjesz?

„Ile wynosi twój majątek?

„Dla czego wychowujesz syna we Francyi?

„Dla czego nie przyjął on narodowości niemieckiej?

„Czy namawiano cię, żebyś go posłał do Francyi?

Wszystkich urzędników przy Wschodniej kolei żelaznej zastąpiono zbieraniną ze Szwabii, Badenu



i Prus, a publiczność odpokutowała na ich niezdolność. Bezustannie donoszono o wykolejeniu pociągów: wypadki zdarzały się tak często, że nie podróżowano już, oprócz pod naciskiem gwałtownych interesów. W przeciągu dni 30 wydarzyło się 37 wypadków na kolei żelaznej. Szukając lekarstwa na stan tak niezdolny, administracya płaciła podwójną i potrójną zapłatę, w porównaniu z tem co brali pracownicy, trzeźwi i nieskazitelni urzędnicy francuzcy. Te i niezliczone inne wydatki płacono z kieszeni opodatkowanych Alzacyan.

Podczas gdy władze pruskie, na mocy traktatu zawartego z samą Opatrznością, zaprowadzały słodczyce rządu wcale nieprzypominającego niebiosą, wypędzały one i więziły, oraz naginały miasta pod system tak srogi, że możnaby z nim tylko porównać terroryzm pierwszej rewolucyi francuzkiej. Żołnierze gwałcili świętość pomieszek, majątki konfiskowano nieustannie. Jeżeli ktokolwiek bawił po za miejscem stałego pobytu, wznoszono, iż przyłączył się do armii francuzkiej. Tem usprawiedliwiono wyroki dziesięcioletniego wygnania i konfiskat majątku. Ktokolwiek przyjmował gościa, musiał uwiadomić o tem policyą, pod karą 6 miesięcy więzienia. Czynni szpiegi śledzili każdy krok i słowo mieszkańców. Otwierano listy. Czarny gabinet urzędował pomiędzy Kehl i Appenwier. Około 6000 żołnierzy, mówiących po niemiecku i po francuzku, zajmowano przy téj haniebnój pracy.

✻

Słodycz tego rządu nie zmieniła się na włos od lat pięciu. Wciąż wypędzają, wciąż przetrząsają pomieszkania, wciąż pilnują każdego wyrazu w zagranicznych gazetach. Majatki osób bawiących we Fran-

cyi konfiskują; dręczą kraj, gorzej niż kiedykolwiek.

Budżet alzacko-lotaryński opłaca, z hojnością nieznaną dotąd w Niemczech, całą tę zgraję urzędników wysokich i niskich, o kieszeniach niezgłębianych. Przed zaborem kosztowała administracya podprefektur alzacko-lotaryńskich około 65,000 fran. rocznie, obecny zarząd cyrkulów tegoż rozmiaru kosztuje 348,000 franków.

Utrzymanie dyrektorów policyi w Strassburgu i Metzu kosztuje po 21,000 franków. Zaledwie połowę téj sumy dawano komisarzom policyi francuzkiej.

Administracya podprefektury w Mühlbaas kosztowała za czasów francuzkich 17,000 fran., obecnie kosztuje 32,000, czyli prawie dwa razy tyle.

Każdemu urzędnikowi płać z góry 12,000 franków wynagrodzenia, na kosztą przesiedlenia się do Alzacyi. Urzędnicy otrzymują więc premium, zanim obejmą swoją posadę, gdy ją zaś porzucają otrzymują powtórne wynagrodzenie.

— Postępujcie tak—mówił poseł alzacki Simonis w Reichstagu—jak gdybyście posyłali waszych urzędników pomiędzy dzikich i musieli ich za to wynagradzać.

Tak rządzą tą prowincyą, iż takowa płaci dwa razy więcej podatków niż za czasów francuzkich, lub gdyby ją administrowano na wzór prowincyj pruskich. Przed wcieleniem wynosiły wydatki na rząd wewnętrzny w Alzacyi-Lotaryngii 1,988,000 fran. obecnie wynoszą 3,711,874 franków.

Alzacya przyniosła Francyi 40 mil. marek dochodu. Obecnie wynoszą wydatki jój 48 milionów, a gdy już nie mogą zrównoważyć wydatków z dochodami, wypadnie zaciągnąć pożyczkę.

Podatki tłoczą ludność. Poborcom płacą lepiej niż za francuzkich czasów. Czyż myślicie że spełniają lepiej swoje obowiązki? Bynajmniej. Miłują oni wiejskie ustronia belgijskie oraz czyste i wolne powietrze helweckie do tego stopnia, że delegacya prowincyi żądała, aby mianowano umyślnych agentów, którzyby śledzili czynności urzędników finansowych.

Poborca w Dornach, napełniwszy swoją szkatułę jako tako w r. 1872, uciekł za granicę.

Paborca w Mutzig, człowiek żonaty, uciekł w Lutym 1872 r. zostawiając kilka tysięcy talarów deficytu.

W Metz aresztowano urzędnika celnego w chwili, gdy postawił lewą nogę na ziemi francuzkiej. Rząd pruski zauważał, iż aneksacya prywatna jakowej on się dopuścił, nie przyczyniła się do powodzenia ludności alzacko-lotaryńskiej.

W Styczniu 1870 r. otrzymali mieszkańcy Strassburgu i Metzu następujące pośmiertne zawiadomienie, zawarte w kopertach i nadzwyczaj tklive dla dusz niemieckich, znanych ze swojej drażliwości.



*Pozwalamy sobie donieść wam o stracie bolesnej, jaką ponieśliśmy w osobie p. Eigert, pruskiego poborcy w naszym mieście.*

*Urzędnik ten przeniósł się wczoraj po za granicę szwajcarską.*

*Unosząc ze sobą.... franków.*

*Módlcie się za nas.*

*Obywatele Kolmaru.*

*Dan w Kolmarze 19 Stycznia 1872 r.*



Tego Eigerta, który lubił podróżować śpiesznie, nienawidzili mieszkańcy Kolmaru. Kazał on pokazywać sobie kwity z podatków zapłaconych w r. 1869 i 1870. Od p. Richard żądał 1 fr. 45 centimów za ległości z r. 1869, więc należącój rządowi francuzkiemu. Pan Richard odpowiedział, że takową zapłacił i pokazał pokwitowanie. Poborca nie chciał słyszeć o niczem, zabrał mu zegar i kazał go sprzedać w drodze licytacji.

— Znam niechybny środek—wołał pewien obywatel przy kuflu—kwoli uwolnieniu nas od wszystkich Prusaków.

— Wymień go, wymień—wołało 10 głosów.

— Zróbmy ich wszystkich poborcami podatków.

Jeżeli wglądniemy w przeszłość tych panów, zrozumimy po części, dla czego ich tak stopy swędzą i dla czego kradną. „Poborca z Riquewihl—pisał pan Siebeckier—był niegdyś nauczycielem w Bischwihl. Sąd przysięgłych w Kolmarze skazał go na lat 10 więzienia za bezwstydne obchodzenie się z dziećmi. Pan poborca w Hamburgu, mieszkający w Kolmarze, był zwykłym organistą w Bischwiller (depart. Bas-Rhin), żonatym i ojcem licznej rodziny. Wypędzono go z miasta, gdyż znieważył dziewczynę z dobrej rodziny, należącą do stowarzyszenia śpiewaków kościelnych, pod jego dyрекcyą. Poborca w *Saint-Marie-aux-Mines* był tokarzem, ale toczył źle.“

Urzednicy niższej rangi nie zachowują nawet pozorów powagi; sprzedajności ich nie opiszą żadne wyrazy. Chociaż ich żony noszą ozdoby z imitacji złota, mężowie siedzą zwykle po uszy w długach. Sędzia sztuk teatralnych w Strassburgu bierze zwykle 500 franków, zanim pozwoli przedstawić sztukę francuską.

Sprzedajność *Kreis-Directorów* doszła do dosko-

nałości. Pozwalali oni zakładać niemieckie kasy oszczędności pod opieką władzy. Za tę przysługę odbierali od gründerów Niemców jeden od sta z kapitałów składanych w bankach. Założyciele wiatronodzy uciekli, unosząc znaczne kapitały, skoro im się udało wyzyskać naiwne zaufanie ludności.

Niemcy nie mogą się chlubić szczęściem w wyborze swoich przedstawicieli. Wszyscy nienawidzą ich urzędników i gardzą nimi, bez względu na rangę. Ubiegają się téż oni sumiennie o takowy rezultat.

Prokurator cesarski w Strasburgu, p. Popp zagaił swoje urzędowanie mówką, która pochlebila francuzkim sercom Strassburczyków.

„Wreszcie ucichły działa. Obaliliśmy go—*ten naród niegodziwy, ten naród chcący sławy, łaknący zdobyczy*. Pokazaliśmy mu czego dokażą zjednoczone Niemcy, *wależące z pomocą Bożą za świętą sprawę*. Dwie świetne prowincye zdobyliśmy a raczej oswobodzili: dwie prowincye, z krwi naszej i kości. Żywimy nadzieje pochlebną, że wkrótce nie znajdzie się kropla krwi francuzkiej w żyłach mieszkańców tych prowincyj. Pamiętajcie panowie, że przedstawiacie sprawiedliwość. Pamiętajcie, że macie na zawołanie całą srogość prawa. Ilekroć wypadnie użyć rygoru, nie szczędźcie go; *karzcie bez litości, nie zapominajcie, że pobłażanie jest wadą a umiarkowanie brzemienne niebezpieczeństwem*.

Inny urzędnik, p. Ozius, zajmujący posadę sędziego, mówił do ofiary swojego brutalstwa: „Pan jesteś Francuzem? jesteś Francuzem! a więc pamiętaj, że chcemy, ażeby Francya ukorzyła się przed nami w kurzawie, klęczała przed nami w błocie.“

Są oni zgryźliwi, brutalni, oszuści i pychałki. Bawią się w burgrafów i margrabiów. Obchodzą się





sytet, wychylał kufle, kradł psy, bił *slużące*, pojedynkował się. Przed kampanią francuzką wycierał jedyną swoją parę polatanych pantalonów w nieznany biurze westfalskiem albo pomorskiem, a dla rozrywki mnożył swoją rodzinę. Z piérwszem hasłem wojny zostawił rodzinę na opiece kasy wsparcia, wyjechał i odznaczył się. Ma więc order, siedzi jak gdyby kij połknął i zwraca na siebie ogólną uwagę. Alzacją i Lotaryngią nazwano słuszną zdobyczą i potrzebowano w nich ludzi bez miary. Ukłonił się pokornie i zamianowano go *Kreis-Director*'em z pensą 45,000 franków, stopniem kapitana, koniem i nową szpadą.

Widzimy go. Przyjeżdża z żoną w gałganach oraz plutonem z tuzina dzieci, w złych pantalonach i gorszych trzewikach. Nie wiem, czy istnieje przepis pod tym względem, ale każdy *Kreis-Director* ma 12 bębnow jednakowo ubranych, a jeden brzydszy od drugiego. Zwykle liczą 5 córek i 7 synów. Potomstwo płci męzkiej posiada początki łaciny, zanim słyssało o gramatyce niemieckiej. Ojciec ich wierzy, że mówią po francuzku nakształt Paryżanów. Nie radziłbym nikomu odczarować go. Matka uczy córki robić konfitury i sztukemięsa ze śliwkami. Każda *Kreis-Directorin* posiada wyłączny przepis do robienia konfitur; tę receptę tajemniczą przekazują z pokolenia na pokolenie.

Suta i soczysta dyeta zdobywca wydeła ryjek *Kreis-Director'a*. Nos jego zdobi się pączkami, nakształt kasztana na dwudziesty Marca. Dźwiga on swój wańtuch z powagą, z jaką monarcha nosi koronę. Głos jego donośny, krzykliwy, przeraźliwy. Nim przemówi to się wydmie, wetknie fajkę do ust a ręce wsadzi do kieszeni.

Pani *Kreis-Directorin*, małżonka jego, tworzy rodzaj i typ szczególny. Rano zastaniesz ją szorującą

własną podłogę własnymi rękoma. Popołudniu udaje Francuzkę i Paryżankę na „Brogie“ albo wzdłuż „Esplanady.“ Pewien szewc opowiadał mi, że pani *Kreis-Directorin* przychodziła do niego *bez pończoch*, żeby kupować, co tylko miał najpiękniejszego i najbardziej *high-life* w kształcie obuwia paryżkiego: buciki o dwucalowych obcasach, zgięte w łuk, haftowane w kwiaty i gałki—prawdziwe buciki do podróży wzdłuż ścieżki rozwiązłości.

Pani *Kreis-Directorin* jest zwykle wzrostu słusznego i pyzata; nosi szynion przesadny, włosy jęj anktowano z rozmaitych narodowości, naksztalt prowincyj nowego cesarstwa. Oczy zbroi w lornetkę, wargi wydyma zuchwale, chodzi jak paw. Jeżeli chce się pomalować, tatuuje oblicze; jęj „francuzką“ garderobę tworzy bezładna mieszanina barw jutrzni i zmroku, kolorów bengalskich ogni i fajerwerków. Na przykład: zarzutka berlinerblau, ponad spodnicą cytrynowęj barwy i pod kapeluszem z piórami purpurowemi; albo tóż: suknia zielona, stanik niebieski, pas pomarańczowy. Im chodzi, żeby rzucać się w oczy i błyszczyć; one pragną zastąpić wykwintne towarzystwo, które albo wyjechało, albo nie pokazuje się. Roztaczają one swoje ogony na słońcu, naksztalt ptaków Junony. Pokazują się, miotają wachlarzami naksztalt skrzydeł, a kontur ich figury wydyma się odpowiednio do wymagań tego kraju tłustych wątróbek. Tylko im brakuje papugi na pięści, żeby uzupełnić karnawałową powierzchowność.

Niektóre z nich trzymają pieska. Pani *Kreis-Directorin* i baronowa von der Heydt musiała nawet znieść obelgę z przyczyny swojej suczki, którą nazywała *Bourbaki*, oraz ze względu na powierzchowność ulotną, jaką jęj strój nadawał. Zelżyli ją wierni

poddani cesarstwa. 28 Kwietnia 1872 szła ulicą w Kolmarze. Pewien nieuważny landwerzystą obryzgał błotem pieska i suknię. Pani baronowa użyła wyrazu, z którym piesek jój nie popisywałby się często, gdyby umiał mówić. Nazwała ona *schweinpelz*: tego zuchwałego albo niezgrabnego syna Bellony. Ten myślał, że ma do czynienia z ulicznicą i odpowiedział dotkliwszą obelgą, poczem zawołał kilku kolegów, którzy zbryzgali od stóp do głowy uszkodzoną suknię pani podprefektowój. Zabłocona po uszy wraca do domu, palając gniewem i opowiada swoją przygodę mężowi. *Kreis-Director* wścieka się nad czułą swoją połowicę, wkłada kask, przypasuje szpadę, chwyta rewolwer i każe bęknąć na alarm. Skoro żołnierze zebrali się w koszarach, p. von der Heydt bada każdego szczegółowo, lecz nie może odkryć winowajcy. Do dziś nie zmyto obelgi z pani; sukni lepiej się powiodło.

Ta sama pani *Kreis-Directorin* von der Heydt adoptowała w Kolmarze, opuszczone niemowlę. Oddała takowe do mamki, naiwnój wiejskiej dziewczki. Gdy je zwrócono przybranėj matce, bęben umiał już mówić; najpiérw wypaplał przed nią: „niech żyje Francya.“ Szlachetna dama nie liczyła na patryotyzm mamek.

Żona p. *Kreis-Director'a* w Metz, zrozumiała zaraz po wylądowaniu z nad granicy szlązkiej do tego miasta, iż krój jój sukni przypominał przeszłe stulecie. Pragnąc zajmować swoje wysokie stanowisko w sposób godny, musiała odziać się wedle ostatniej „paryzkiej“ mody. Obstałowała więc u dobrej modniarki cały garnitur na wzór najświeższego żurnala z bulwarów. Przy niesiono go w Sobotę wieczór. W Niedzielę popołudniu wystroiła się pani *Kreis-Directorin* i wyszła na przechadzkę. Na Esplanadzie witają ją głośnym śmiechem, wytykają ją nawet palcami. Co to znaczy? Roz-



plamieniona od wstydu ogląda się, wierci, nic nie widzi. Publiczność zbiega się dokoła niej; ona umyka i biegnie wprost do szwaczki, która także ją przyjmuje ze śmiechem źle stłumionym.

— I ty jeszcze odważysz się śmiać! — woła Niemka, rzucając się gniewliwie.

— Przepraszam panią, ale trudno się nie śmiać. Wdziałaś swój stanik na wspak.

Nie zawsze wolno się bawić bezkarnie dziwadłami tualety i drobnymi dowodami nieświadomości damowych. Zdarzyło się raz także w Metz, że Francuzki nie umiały stłumić wesołości, na widok pary autochtónów ze Szczecina, ubranych niezgrabniej od dzikich kobiet, co się ustroiły na Sumatrze i przybyły dy Europy z pierwszą wizytą. Niemki wniosły skargę, a żartobliwość galijska zapłaciła grzywny.

Te panie urzędnikowe patrzą na Alzacyą-Lotarynią z właściwego sobie stanowiska. Pewna pani *Kreis-Directorin* spacerowała ze swoim potomstwem po pięknej przechadzce w Strassburgu, nazwanej *Fromenade de l'Orangerie*. Zachwycaly ją kwatery kwiatów, z których ta przechadzka słynie. Nie mogła się oprzeć pokusie, żeby nie zebrać cudnego bukietu. Ogrodnik łapie ją na gorącym uczynku i przypomina jej zakaz dotykania kwiatów. Odpowiada mu z tkliwą naiwnością: „mój panie, wszak to wszystko do nas należy!“ (*aber ja, das ist alles unser!*).

Przywiozły one z Niemiec tytuły *gnädige Frau* i inne, na których też ogranicza się grzeczność niemiecka. Szumne te tytuły *gnädige* i *wohlgeborene* zupełnie im nie przeszkadzają w zajęciach mniiej arystokratycznych. Pani von Eckhausen *Bezirkspresidentin* (prezydentowa powiatu) myśla pewnego dnia swoją posadzkę, gdy wszedł tapicer.

— Czy zastaje — pyta on — gnädige Frau?

— Ja jestem — odrzeczła ona, spuszczać brudne spódniczki — tą zaciąg i łaskawą panią.

Kreis-Director w Mühlhaus wezwał blacharza z sąsiedztwa, żeby naprawił jego kuchnię. Blacharz dzwoni i chce mówić z panem.

— Nazywaj go — odpowiada stróż — jaśnie oświeconym panem Kreis-Director. Zresztą nie ma jaśnie oświeconego pana w domu.

— A pani?

— Nazywaj ją jaśnie oświeconą panią Kreis-Directorin. Zresztą nie ma jaśnie oświeconej pani w domu.

— Powiedz więc jaśnie oświeconemu panu Kreis-Director i jaśnie oświeconej pani Kreis-Directorin, że jaśnie oświecony blacharz był tu i nie zastał nikogo.

Niektórzy z tych panów urzędników uważali za rzecz stosowną, żeby spróbować szczęścia i uczynić pierwsze kroki, kwoli zawiązaniu stosunków. Powtarzam kopią listu, napisanego po francuzku i przysłanego przez jednego z tych panów do swojego właściciela domu w Mühlhaus, w celu zawiadomienia go o stanie swojej żony.

„Friederich Kraft, keiserlich koeniglich Oberhauptzollamt Assistent (urzędnik celny cesarsko-królewski), ma zaszczyt zawiadomić pana, że jego małżonka powiła mu pięknego synka.“

Mieszczanin nie odpowiedział, więc dostojny urzędnik wypowiedział pomieszkanie, skutkiem „obelgi“, „jakowej „był ofiarą.“

Gdy Messianie i Strassburczycy wychodzą w żałobie w dniu imienin cesarskich, te „bardzo-dostojne, bardzo-zacne, bardzo przyzwoite i bardzo-łaskawe damy“, wywieszają wszystkie żagle i towarzyszą mężom

na bankiety urzędowe. Każdy urzędnik co idzie na te galowe obiady, chowa do kieszeni gazetę, żeby miał w co zebrać niedogryzki.

Szalona, tkliwa biesiada!  
Twarze tam palają,  
Wańtuchy wzdymają,  
Każdy jak król się objada!

W r. 1872 odbyła się w Mühlhaus uczta i bal. Bufet stał otworem aż do kolacyi i damy w towarzystwie swoich kawalerów, brały swojemi białemi rękawiczkami kiełbaski i paszteciki, śledzie i kawałki séra munsterskiego, wedle gustu i apetytu.

W r. 1873 nie było balu, ale dano nadzwyczajne przedstawienie teatralne. Grano sztukę obstalowaną umyślnie na ten festyn, w której nieustannie nazywano artylerzystę francuzkiego „osłem, głupcem, cieleciem“ i t. d.

Przy téj okazji tańczono w koszarach. W Kalmarze darowano w tymże roku i na cześć téj okazji małemu tamtejszemu garnizonowi trzy centnary kartofel. Zrobicie sobie sałatę (jest-to ich specyał)—rzekł komendant do żołnierzy.—Ja sam dodaję wam 2 kwarty oliwy.“

System rządu nie zmienił się w Alzacyi-Lotaryngii od dnia zaboru. „Alzacya-Lotaryngia — mówił poseł Winterer w Reichstagu, 10 Listopada r. 1875—nie jest ani udziałném państwem, ani prowincją.“ Pewien profesor uniwersytetu w Strassburgu nazwał ją „arendą“ cesarstwa; nazwisko to jest trafne. Mniej ściśle, lecz bardziej malowniczo i dobitniej nazywają ją „przedmurzem“ (*glacis*). Jest ona areną i przedmurzem. Rządzi nią najwyższy prezydent mieszkający w Strassburgu. Ma on pod sobą 3 prezydentów: w Metz,



Kolmarze i Strassburgu. Cyrkułami rządzą *Kreis-Directors*, z władzą równą podprefektom francuzkim.

Najwyższego prezydenta, p. Moller, obdarzono władzą nieograniczoną, na mocy reskryptu kwoli rządzeniu nad Alzacyą-Lotarynią. Jego dziesiąty paragraf pozwala ogłosić stan oblężenia w każdej chwili.

Konstytucya cesarska przyznana Alzacyi-Lotarynii nie przykróciła panowania kaprysów i samowoli, ucisku i despotyzmu. Tak zwany *Landesausschus* (wydział krajowy) jest tylko parodią parlamentu. Składa się z 30 członków niemych i posiadających tylko prawo radzenia nad projektami, jakowe mu raczą przedłożyć. Tylko osoby co złożyły przysięgę na wierność w rok po aneksyi, mogą w nim zasiadać.

Niemcy administrują tę prowincję nakszałt kolonii. Z pomiędzy sposobów używanych kwoli *zakołinozawaniu* jój i zapełnieniu szczyrbów, które powstały skutkiem przesiedlenia się ludności do Francyi, wymienię niektóre, odznaczające się oryginalnością.

Najpiérw zwrócił rząd swoją uwagę, w celu utworzenia zarodków nowych żywiołów germańskich, któreby zwolna amalgowały się z tubylecami i takowych sprusaczyły. Ponieważ większość alzackich wychodźców do Francyi składała się z wyrobników, gdyż ci nie mieli kłopotu z przenoszeniem ruchomości, łatwo mogli znaleźć zajęcie za granicą i kraj opuścić bez straty, więc nazajurz po zaborze powstała wielka próżnia w rękodzielnianach alzackich. Postanowiono zapełnić ją kastą niemcką. W tym celu werbował rząd najleniwszych i najgorzej widzianych wyrobników, płacąc im po 3 franki dziennie, dopóki nie znajdą zajęcia. Skutkiem tego germanizacyjnego kroku, najobrzydliwsze typy germańskie tworzą trzy czwarte przybyszów do

Metz. Połowę obecnéj ludności tego miasta składa się z napływowych żywołów.

— Co za okropny motłoch przysłaliście nam — rzekł burmistrz Metz'u, p. Bezanson, z odważną otwartością do najwyższego prezydenta, gdy go wysłali spółobywatele, ażeby wyraził rządowi swoje żale i niezadowolnienie.

— Przesadzasz pan — odparł burmistrz — przesadzasz.

Pan Bezanson przedstawił sposób mowy i zachowania się tych ucziwców, oraz kradzieże i zabójstwa popełniane przez nich.

Rząd ofiarował kupcom niemieckim po 3,000 franków rocznéj subwencji, dla zachęcenia ich, żeby prowadzili dalej interesa, pomimo braku powodzenia. Ztąd téż widzimy dziś w Strassburgu magazyny bez kupujących, lecz pomimo tego stale otwarte. Mogę zareczyć, iż w przeciągu tygodnia nie widziałem żywéj duszy, któraby weszła do 10 albo 12 magazynów, przylegających do mojego pomieszkania. Wystawy zmieniają tam raz na kwartał. Tu zobaczymy kupca siedzącego na progu sklepu i palącego fajkę ze stałością platoniczną, bez troski o kundmanów.

Trzeci środek kolonizacyjny należy zaliczyć do najsprytniejszych.

Od czasu aneksacyi urządzono w Strassburgu klinikę dla położnic, do której więcej osób uczęszcza, niż nawet do paryzkiej. Pochodzi to z następującej przyczyny: rząd niemiecki, umiejący zdobyć się na najrozmaitsze figle dla dopięcia celu, wpadł na myśl, żeby odwołać się do dam za Renem, mianowicie zaś do owych, których cnota nie była niezachwianą, oraz opłacać koszta ich podróży i pobytu w przytułku strass-

burskim. Dzieci wpisują do rejestrów urzędowych, tworząc w ten sposób sztuczną ludność.

Odwołanie to powiodło się niepospolicie. Nie dziw, iż klinika Strassburga stała się popularniejszą od którejkolwiek, oraz, że nie ubyło ludności w Strassburgu, pomimo emigracyi Strassburczyków!



## VIII.

### Sprawiedliwość i policya.

Organizacya sądowa nie wydała owoców, z których moralność publiczna mogłaby się chlubić. Choć i ustawy francuzkie zobowiązywały do r. 1874, wtedy już przybiegła zgraja teutońskich adwokatów; sędziowie niemieccy wyszukiwali zaś wszystkie niedokładności kodeksu napoleońskiego.

Czynili to mianowicie, ilekroć sądzono występki popełnione przez Alzacyanina. W ten sposób ułatwiano wprowadzenie kodeksu niemieckiego i przekonywano o jego wyższości. Jednakże ilość popełnianych występków podwoiła się i potroiła, dzięki jego elastycznym i giętkim rozporządzeniom, od kiedy on został wprowadzonym. Prawda też, że ten przyrost pochodzi po części z napływu nieobyczajnych Niemców, którzy zlecieli się do kraju, od kiedy zaprowadzono kodeks germański, znając wybornie jego czułość i pieszczoty.

Pewien zbrodniarz podpalił niedawno młyn w Telling'u, w celu rabunku. Uczynił to po zamordowaniu 2 osób i morderczym napadzie na trzecią. Skazano go na *cztery lata więzienia*. Zdaje się, że Prusy okazują swoją wdzięczność owym 45 zbrodniarzom skazanym na galery w Tulonie, którzy przyjęli narodowość niemiecką w dniu optowania.

Prawda, iż trybunał berliński skazał w Marcu roku 1872 na *dwa lata więzienia* młodzieńca, który powróciwszy z ostatniej wojny do ogniska domowego, *zabił swojego ojca*. Pomiędzy łagodzącymi okolicznościami wyliczono i tę, iż pola bitwy wywarły pewne wrażenie na umyśle zabójcy, które musiały wpłynąć szkodliwie na jego charakter, więc wymierzono mu najłżejszą karę na jaką kodeks pozwalał. Pokazuje się, że żołnierzom wolno mordować bezkarnie.

Skazani mogą prawie zawsze wykupić się z więzienia pieniędzmi. Wyroki brzmią: na 2 miesiące aresztu albo 200 talarów. Bogaci płacą grzywny i drwią z kaźni.

Kradzieże odbywają się w dzień biały, ze śmiałością niesłychaną. Wieczorem byłoby niebezpiecznie waleśać się nawet po najludniejszych ulicach. Zawiązały się formalne stowarzyszenia, kwoli rozbijaniu dworów wiejskich. Właściciele muszą stać na warcie przed własnymi pomieszkaniem.

W sądach zastąpiono język francuzki niemieckim. Pozwalają jeszcze przemawiać w języku francuzkim, lecz szkodzi to stronie, której obrońca używa mowy potępioniej. Jest-to rzeczą pewną, że sędziowie nie tają swojej stronności narodowej. Pewien Belgijczyk miał w przeszłym roku spór z Niemcem. Wezwano go nazajutrz jako świadka przed sędziego śledczego. Używał on mowy francuzkiej. Sędzia okazywał otwarcie swój humor kwaśny, a po śledztwie zapytał:

— Czy pan jesteś Francuzem?

— Nie — rzecze świadek — jestem Belgijczykiem.

— Winszuję panu — odparł sędzia.

Za najmniejszą krzywdę wyrządzoną Niemcom karzą srogo. Któż nie słyszał o téj odważnej kobiecie, co zawołała w obec przejeżdżającego oficera pruskiego

ucierającego nos palcami: „Wzięli nam 5 miliardów, a nie starczy im nawet na chustki do nosa!“ Odprawiono ją do więzienia i skazano na pięć talarów kary.

W Metz siedziały 2 damy francuzkie na ławeczce w ogrodzie publicznym. Dwaj oficerowie pruscy, ze skromnemi swojemi połowicami, zajęli wolną część ławki. Damy wstały. Jeden z oficerów pobiegł za niemi i zapytał:

— Czy panie opuściły ławkę z naszej przyczyny?

— Tak, mój panie — odpowiedziała jedna z nich.

Oficer zmusił ich, żeby poszły za nim do policyi, gdzie wniósł skargę. Każda z dam musiała zapłacić 5 talarów kary. Jest to cena stała.

Żołdakom niemieckim pozwalają hulać dowolnie. U pana H. bogatego właściciela w Mühlhaus, stał na kwaterze oficer pruski, posiadający psa ogromnego. Pan H. prosił oficera, żeby nie pozwalał psu rozlegać się na kanapie w salonie, tém bardziej, iż była buda na podwórzu. Niemiec odparł w tonie grubiańskim, „że pies jego miał swoje nałogi, od których nie myśli go odzwyczajać.“

Pan H. nie spierał się dłużej. W kilka dni później spotkał na schodach służącego oficerskiego i niefortunnie znów się na psa skarżał. Fagas odpowiedział mu gradem ciosów i omal mu oka nie wybił. Pan H. udaje się do sądu. Trybunał oświadcza, iż jest niekompetentnym!

Inna psia powiastka: Pan L. w Mühlhaus, posiada psiaka tak małego, że nie mógł dobrać dlań kagańca. Idzie więc do pana *Kreis-Director'a* Schmidta i mówi: „Ogłosiłeś pan dekret, żeby nie wypuszczać żadnego psa bez kagańca. Uczyni pan wyjątek dla psiaka tak nieszkodliwego jak mój; pozwól mi wodzić



na sznurku,“ „Najchętniej“ odrzecz p. Kreis-Director. Pan L. polegając na pozwoleniu wychodzi z psem; strażacy miejscy zatrzymują go i pytają o nazwisko. Nazajutrz wzywają go do policyi. Pan Schmidt, spełniający zarazem urząd stróża porządku, skazuje go na 5 franków kary. Wszakże pan sam — woła winowajca — pozwoliłeś mi prowadzić mojego pieska na sznurku.“ „Prawda, mój panie — odrzecz p. Kreis-Director — lecz nie mogłem panu dać podobnego upoważnienia jak tylko na jego własne ryzyko.“

Pan L. musiał zapłacić.

Inny wypadek:

W Reutenburg'u, miasteczku w okolicy Saverne, wchodzą 2 żołnierze do pomieszkania p. Schott i zawiadamiają go, że musi zapłacić pewną sumę, albowiem nie złożył żadnej kontrybucyi podczas wojny. Schott wręcz odmawia. Jeden z żołnierzy porywa zegarek wiszący na ścianie; lecz Schott, stary wiarus, nie daje się rabować bezkarnie i ma pięść potężną. Wydziera więc zdobycz złodziejowi i wymierza jemu i towarzyszowi zasłużoną karę.

Wnet urządzono śledztwo i spisano protokół obrazy i krzywdy zadanej żołnierzom *spełniającym swój obowiązek*. Schotta, za to, że mienia swojego bronił, skazano na 2 lata więzienia.

Podobne wypadki tak często się zdarzają, że już nikt nie zwraca na nie uwagi. Dzienniki urzędowe w Kolnarze i Strassburgu wyliczają co dnia wyroki tego rodzaju.

Niektórzy sędziowie alzaccy poniżyli się w obec opinii publicznej, przyjmując służbę pruską. Usprawiedliwiają oni tę zdradę przed oburzonymi zionikami wymówką, iż zostając w Alzacyi okazywali swoją go-

towość do przyjęcia marzonego samorządu alzackiego. Dziś przestali oni odwiedzać kolegów niemieckich, którzy zresztą patrzą na nich niechętnie. Pogarda publiczna także przyłgnęła do nich. Jednego z nich policzkowano w restauracyi pełnej osób. Lud nazywa ich „niegodziwcami.“

Sąd apelacyjny zasiada w Kolmarze, który był też sądową stolicą Alzacyi za czasów francuzkich.

Sędziowie pokoju nie są także zwierciadłami sprawiedliwości.

Kominiarz w Kolmarze zapozwał niedawno przed tamtejszego sędziego pokoju, dyrektora telegrafu. Chodziło o 1 fran. 50 centimów za wyczyszczenie komina. Powód twierdził, że właściciel domu poręczył, iż suma ta zostanie zapłaconą.

— Jest was trzech — rzekł sędzia — chodzi zaś o 1 fr. 50 cent. niech więc każdy da 50 centimów.

Tajną policją doprowadzono do szczytu doskonałości w Alzacyi-Lotaryngii. Z budżetu tych prowincyj przypada na nią „skromna“ sumka 221,000 franków! Naczelnik biura bezpieczeństwa bierze 60,000 fr. pensyi. Wszyscy urzędnicy, od dyrektorów cyrkulów do najniższych pisarzy, należą do policyi tajnej. Oprócz tego, trzyma ona na swoim żołdzie ludzi ogładzonych, mówiących dobrze po francuzku i posiadających jak najlepsze świadectwa. Starają się oni wcisnąć w koła rodzinne i szpiegować ich tajemnice. Ztąd też spotykamy tu ogólną nieufność i Alzacyanie są bardzo ostrożni wobec obcych.

Jeżeli zjawi się podróżnik, o którym ostrzeżono naczelnika dworca, urzędnik stojący przy kołowrocie przez który wchodzimy na perron, znaczy jego bilet w taki sposób, iż „podejrzany“ zostanie pod ścisłym dozorem, przez cały czas podróży, chociaż nie będzie

wiedział o tém. Urzędnicy i konduktorowie dowiedzą się z biletu, iż wypada mieć go na oku.

W miastach nie „tropią“ go niezgrabnie. Agenci pójda za nim z udaną obojętnością. Ludzie ci będą się zniżać na każdym rogu ulicy, prawie w oczach osoby tropionój, bez wzbudzenia podejrzenia z jój strony. Piérwszy agent spotka kolegę, rozmawia z nim na pozór obojętnie i cichym głosem wymienia mu pewien numer porządkowy. Ostatni numer powróci po skończonej operacyi do biura policyjnego, z raportem zebrany od wszystkich poprzednich agentów. Rozumie się, że tajna policya zajmuje się szczególnie sprawami politycznemi.

Jeżeli policya pragnie dostać w swoje szpony cudzoziemca podejrzanego, potrafi go wpłatać w razie potrzeby w kłótnię albo zwadę, tak, żeby wpadł w nią mimowolnie.

W przeszłym roku przybyli z Bazylei dwaj oficerowie francuzcy, których „tropiono.“ Weszli oni do nieprzyzwoitego domu w Mühlhaus. W ślad za nimi wchodzi dwaj „tropiciele“ i wciągają ich do kłótni, w sposób właściwy Niemcom. Kobięty ujęły się za Francuzami; jeden z przebranych policyantów padł od uderzenia krzesłem. Dzięki pomocy jednego z obywateli Mühlhaus'u udało się oficerom umknąć przed światem i dostać się do granicy szwajcarskiej. Władze niemieckie zemściły się na kobietach, zamykając ich seraj.

Niemcy zreorganizowali zupełnie policyą miejską. W Strassburgu utrzymywano przed r. 1870 czterdzieści agentów policyjnych. Obecnie liczą ich 150. W Mühlhaus utrzymują 100, zamiast 24. Większą część tych strażaków miejskich tworzą Alzacyanie niz-



kiego pochodzenia, którzy pragnąc się uwolnić od udręczeń policyjnych wpadli na pomysł praktyczny i sami wstąpili do policyi. Sprzedajność ich możnaby tylko porównać z nieuczciwością urzędników niemieckich. Za szklanę wina albo kufel piwa udzielał oni wszelkiej pożądaney informacji.

## XI.

### P r a s a.

Wypadało przygłuszyć jak najprędzej wyrazy bo-leści i patryotyzmu i pozbawić swoje ofiary środków, kwoli głoszeniu takowych przed światem. Zaledwie, że udało się Prusom włamać do Strassburgu, wzięły one prasę za gardło i zdusiły ją swojemi gwałtownemi rękoma. Zakazano prawie wszystkie dzienniki francuzkie i niemieckie, skazując oprócz tego redaktorów na więzienie i grzywny. Jednego z nich, pana Liblin, starca 60-letniego, skazano na dwa lata fortocy. Nawet ostrzeżono pismo protestanckie *Elsaessischer Volksbote* (Zwiastun ludowy alzacki) w ten sposób, iż w każdej chwili mogą je zakazać.

Zakazano wydawać jakiegokolwiek pismo ludowe katolickie. Redaktora pisemka *Industriel alsacien* (\*) p. Bernardini, który był też nauczycielem w szkole handlowej, aresztowali żandarmi, nie pozwalając mu pożegnać żonę i dzieci. Stawiono go przed generałem Werder, który go zapytał, ażali on był redaktorem tego „bezecnego“ dziennika. Po odpowiedzi potwierdza-

---

(\*) Przemysłowiec alzacki.

jącój, zawołał on: „a, a, wszak ty potwarzasz Niemców. Każę cię rozstrzelać dziś, o 9 wieczór.“ Nie rozstrzelano go, ale odstawiono do Wissemburgu, gdzie obchodzono się z nim jak najsrożej. Wypędzono go z Alzacyi po traktacie frankfurckim. Odważny ten patriota jest w téj chwili profesorem w szkole handlowej w Rouen. *Industriel alsacien* zaczął znow wychodzić po 3 miesiącach zawieszenia, dzięki nadzwyczajnej łasce. Nie może on wyrażać swoich zdań otwarcie, skutkiem stosunków, z którymi walczy, lecz żywi stale anti-niemieckie zasady.

Pewien oficer z landwery, były korespondent Gazety Eberfeld'u, został odkomenderowany ze swojego korpusu na redaktora pisma *Alsacien de Colmar*. Wkrótce po kapitulacyi przeniosła się oficjalna Gazeta Strassburska z Hagenau do miasta, którego nazwisko przyjęła w tym samym dniu, w którym bombardierzy króla Wilhelma posyłali Strassburczykom swoje dowody miłości, w postaci bomb napełnionych naftą.

Gazeta Strassburska posiada 567 prenumeratorów i czytelników. Rozumie się więc, iż obfita rosa tajnych funduszków skrapia bezustannie to pismo drogie panu Bismarck'owi, a jeszcze droższe dla budżetu Alzacyi-Lotaryngii. Na początku każdego kwartału sam komisarz cesarski i prezydent regencyi, p. de Kühlwetter, wybiera najlepsze swoje pióro i na najpiękniejszym swoim papierze pisze następujące zaproszenie, którego oryginał przechowuje jako cenną pamiątkę:

„Zawiadamiamy poraz ostatni wszystkie urzęda i wszystkich urzędników, zobowiązanych (*verpflichtet*) do prenumerowania Strassburger Zeitung, żeby odnowili niezwłocznie swój abonament na piérwszy kwartał w najbliższym urzędzie pocztowym, oraz zapłacili należność w sumie franków 6.“



Ci, którzyby nie prenumerowali, podlegają karze więzienia i grzywnom. Abonament takowy jest rzeczą obowiązkową.

Mam pod ręką kilka numerów Gazety Strassburskiej z pierwszych tygodni po zajęciu miasta. Kilka wyjątków da ogólne o niej wyobrażenie. I tak w kronice czytamy:

— Wczoraj aresztowano dwóch młodzieńców, którzy śpiewali piosenki nieprzyzwoite (rozumie się patryotyczne).

— Aresztowano 5 osób z miasta i osoby z okolicy skutkiem podejrzenia, że chciały się przyłączyć do wolnych strzelców.

— Pewna dama wiejska trapiła każdego wieczora swoich sąsiadów nutą marsylianki. Wczoraj przerwano jej ćwiczenia muzyczne, odsyłając ją do więzienia.

— Aresztowano dziś 9 osób; ludzie ci twierdzili, że opuścili swoją gminę kwoli szukaniu zarobku, ich fizyonomie (*ihre physionomie*) zdradzają jednakże, że chcieli się przyłączyć do armii francuskiej.

Ludziom tym zbywa nawet na dowcipie, żeby przedstawić rzeczy w złagodzoném świetle; umieją tylko nazywać je brutalnie po imieniu.

W Mühlhaus założył rząd *Neue Mühlhauser Zeitung* i *Journal de Mulhouse* (\*). Te pisma nie mają prenumeratorów; rząd rozdaje je. Redaktorami ich są fagasy, którzy nakształt nocnych ptaków, szarpią Francją dziobami swoich piór wyszczekanych.

W Metz wyległy się jednocześnie z jaszczurczej

---

(\*) Nowa Gazeta w Mühlhaus i Dziennik w Mühlhaus.

jamy *Metzer Zeitung* i *Gazette de Lorraine* (\*). Każda z nich kosztuje, co najmniej, 100,000 franków rocznie. *Gazette de Lorraine*, jawny organ prefektury, wychodzi w podwójnem wydaniu, francuzkiem i niemieckiem. Z początku lżyła ona Francją tylko w swoim niemieckim szwargocie, zadawalniając w ten sposób swoją klientelę niemiecką, bez jątrzenia Messeńczyków, dla których mowa niemiecka jest niezrozumiałą na równi z tatarską. Dziś rozzuchwaliła się ona i pokazuje szpony na drugiej łapie. Píše ona w berlińskiej francuzczyźnie, iż Francya jest stekiem motłochu, że książa są bezecnymi katami, którzy się komunikują i otrzymują absolucyą za nim popełnią skrytobójstwo i t. d.

Za czasów Alzacyi francuzkiej, wychodził w Strassburgu dziennik cokolwiek niedbały w stylu, republikanin bojaźliwy, ale szczery — *Courrier du Bas-Rhin* (\*\*); po upadku Strassburgu sprzedał go właściciel, p. Silbermann, niemieckiemu wydawcy z Lahr, który mu ofiarował bajeczną sumę 433,000 franków. Lecz Prusak ten nie zaparł się zasady swoich rodaków i nie zapłacił. Pan Silbermann musiał odebrać swoją „kaczkę,” oskubaną i okaplonioną. Później sprzedał ją p. Fischbach’owi, który ją wypolerował, oczyścił, ozdobił fałszywemi piórami, wysmarował słodką prozą pana Schneegans’a i puścił na kałużę, w której brodzi prasa alzacka. Nadano jęj ponętny tytuł *Journal d’Alsace*.

Pismo to bezbarwne wyciąga jednakże częścić swoje czujki ku Berlinowi niż ku Paryżowi. Chociaż zbiera swoje polityczne wiadomości i literaturę z oby-

---

(\*) Gazeta Metz’u i Gazeta Lotaryngii.

(\*\*) Kuryer departamentu Niższego Renn.

dwu miast, rzetelny liwerant takowych nie mieszka w ostatnim. Nie jest on ani oficjalnym dziennikiem, ani pół-urzędowym, lecz pomocniczym. Nie rzuca się ono na szyję nieprzyjacielowi, ale podaje mu tajemnie drabinę, po której ten może wejść do wnętrza fortecy. Żurnal Alzacki należy do téj garstki zbiegów, którym byłoby wygodnie w kaftanie pruskim, jeżeliby ten kaftan przykrojono umyślnie dla nich, w politycznym warstacie berlińskim, i nazwano go autonomią.

Nikt nie dał się schwytać w tę łapkę. Alzacya-Lotaryngia wie doskonale, że Prusy nigdy nie opuszczą łup tak bogaty, póki ich przemoc nie zmusi do tego. Pojęła ona od pierwszego dnia, iż słowo autonomia pokrywa opuszczenie sprawy francuzkiój.

Powiedziałem, iż drukarnia i wydawnictwo *Journal d'Alsace* należą do p. Fischbach'a. Syn jego, adwokat ograniczony, redaguje gazetę swojego papy, z pomocą p. Schneegans, byłego deputowanego ze Strassburga do izby w Bordeaux, byłego redaktora pism *Courrier du Bas-Rhin*, *Hélicie* (w Bernie); *Journal de Lyon*. Wstąpiwszy do redakcyi *Journal d'Alsace* ogłosił on rodzaj programu, w którym wyparł się dążeń autonomicznych, na rzecz sumiennéj obrony służności, wolności i sprawy opozycyi (\*).

---

(\*) Pan eks-deputowany Schneegans pierwszy wypowiedział w r. 1872 zasadę autonomii alzackiej, lecz nie znalazł zwolenników. W téj epoce zjawiła się w Strassburgu karykatura, przedstawiająca gęś, nazwaną *selfgovernment* (samorząd), która biegła za ludźmi, uciekającymi o ile tchu starczyło. Wszystko to nazwano *Gaenselspiel* (gęsią zabawą). Autorstwo téj karykatury przypisywano byłemu ministrowi finansów, Franciszkowi Jourde. Pan Schneegans nie lubi żartów i omal nie posłał sekundnatów do dowcipnego



Była to tylko niezręczna przynęta. Dziennik wrócił niebawem na wygodną drogę, jakąś postępują ludźmi dążący do złota. Pan Schneegans, dawniejszy prusakożerca, został znów czułym pastorem pół tuzina owieczek, które chętnie lizałyby sól pojednania z ojcowskiej dłoni kanclerza.

\*

Jeżeli serca francuzkie cierpią czytając pierwszą stronicę w *Journal d'Alsace*, czują one jednakże tajną i słuszną dumę czytając kronikę. Nie gardźmy tą skromną szpalta. Kroniki są zawsze barometrami i okazują stan obyczajów z czułością rtęci na zmiany temperatury, Niemcy, którzy dla tego tylko zniszczyli—jak Ci wiadomo o Panie!—wały Strassburgu, żeby utorować drogę dla Germanii o nieskażonej pierśi, nie wiedzą jak zdradliwą przysługę wyrządza im kronika.

Kronika jest szpiegiem, idącym krok w krok za nimi; siedzi on wśród nich nieustannie, śledzi ich dzień i noc, towarzyszy im na ławę oskarżonych, świadczy w obec sądu przysięgłych.

Gdybym był panem Mohler, gubernatorem Alzacy i przedstawicielem cesarstwa „bogobojuści i czystych obyczajów,” zakazałbym kronikę. Kazałbym jej milczeć, pod karą zdrady stanu. Zastanówcie się na chwilę. *Journal d'Alsace* doniósł pewnego dnia, bez zarumienienia, że sąd przysięgłych w Strassburgu osądził 17 zamachów przeciw obyczajności, w trzecim kwar-

rysownika. W końcu zaprzestał na liście ostrym. Wiadomo że *Schneegans* określa tego rodzaju gęsi, których wątróbki tworzą pa-sztety strassburskie.

*tale* 1876. Rok ma 4 kwartały, zarówno w Niemczech jak we Francyi, więc cyfra powyższa przedstawia, iż w samym okręgu strassburskim zdarza się wprzeciągu dni 365, 68 zbrodni przeciw obyczajności. Najezdniccy, których Prusy wpuścili do raju alzackiego, mówiąc do nich „bierzcie, krzewcie się i mnożcie,“ nie szanują osoby i nie uwzględniają miejsca. Każdą kobietę uważają za wspólną własność i pod naciskiem zwierzęcych instynktów czatują na krawędziach lasów.

Prawda, że wielki Göthe dał w tym względzie słynny przykład. Opowiadał on jednemu ze swoich spółobywateli, że filut Kupid pchnął go nie raz na bezdroża miłosne. Ten jasnowłosy i czarnooki wolny strzelec, sprawiał ogromne spustoszenia w rodzinach. Przygody skromnego tego Niemca godzi się powtórzyć. Uczynię to bez ozdób, w stylu zwykłym, podobnym do używanego przez biografów weimarskiego półboga, kwoli kształceniu niemieckiej młodzieży.

Göthe przyjechał do Strassburgu 2 Kwietnia 1770 r. w 21 roku życia. Nigdy może nie widziano przystojniejszego chłopaka. Długo zanim zasłynął z dzieł swoich, słynął on z piękności; porównywano go z Apolinem. Gdy wchodził do restauracyi w porze obiadowej, wszyscy jeść przestawali, żeby się jemu przypały. Wyraz jego twarzy był szczególnie pięknym. Rysy jego posiadały rzadką harmonią, kontur twarzy był grecki. Miał czoło przestronne i wysokie, oczy ciemne, duże, błyszczące dziwnie, nos cienki, cokolwiek orli, usta pełne wyrazu. Wzrostu był słusznego, chodził wdzięcznie i poważnie. Tak on wyglądał, gdy wysiadł 2 Kwietnia 1770 r. w hotelu pod Świętym Duchem.

Najął on najpierw pokój pod Nr. 40 przy ulicy Marché-aux-Poisons; jadał zaś obiady w restauracyi prywatnej, utrzymywanej przez dwie stare panny Lauth, pod Nr. 13 przy ulicy Mercière. Towarzystwo składało się mniej więcej z dziesięciu osób, po większej części studentów medycyny.

Dzieckiem jeszcze kazał go ojciec uczyć tańczyć, lecz nie nauczył go walca. Otóż weseli Strassburczycy lubili nadewszystko walca; Göthe musiał więc patrzeć tylko na nich, gdy walcowali. Postanowił nauczyć się walca. Jeden z jego przyjaciół zaprowadził go do pewnego wziętego nauczyciela tańcu, przyjemnego Francuza, którego córki spełniały rolę dam podczas lekcyi. Obydwie były nadobne i nie miały lat 20. Młodsza podobiała się Göthemu, który też wkrótce uwiadomił ją o tém. Miłość pukała już w serduszkę Emilii, więc nie słuchała oświadczym pięknego zakochanego. Göthe uczynił więc Lucyndę celem swoich afektów. Ta była wolną. Miewał z nią schadzki, a pewnego dnia zaprowadził ją do wróżki. Lucynda wyszła z tamtąd tonąc we łzach. „Nazajutrz—powiada Göthe—nie miałem odwagi pójść do niej, lecz na trzeci dzień przysłała do mnie Emilia, żebym przyszedł niechybnie. Lekcja odbyła się o zwykłej godzinie; po niej wszedłem do salonu z Emilią. Ojciec zostawił nas sam na sam. Emilia powiedziała mi, że Lucynda była chorą, narzekała na mnie i pragnęła śmierci. Wszak ja temu niewinien,—zawolałem—*gdyż nigdy, nigdy nie czułem ku niej cieniu miłości.*

Czyż nie podziwiacie tę filozofię olimpijską, tę czystą i świętą miłość niemiecką?

W tym samym czasie zawiązał Göthe przyjazne stosunki z Wielandem. Wieland wspominał mu o pa-



storze protestanckim, który mieszkał z żoną i dwiema córkami w Saxenheim, o 6 godzin drogi od Strassburgu. W początku Października 1770 r. zapragnął Göthe poznać zacnego pastora. Przyjaciele zmówili się więc, ażeby przedstawić Göthego jako studenta teologii. Przyjechawszy nie zastali pani pastorowej, gdyż była w polu, ze swojemi córkami. Wieland poszedł za nimi i przyprowadził je. Göthe zapalił się na widok młodszój, Fryderyki, i wysilił się, żeby uwieść naiwne serce. Fryderyka uważała Göthego za narzeczonego swojego, zanim ten wyjechał do Strassburgu. 5 Sierpnia 1871 r. zdał poeta ostatni swój egzamin i został doktorem prawa. Przygotowując swoją tezę nie miał on czasu jeździć do Saxenheimu, lecz żona pastora przyjechała z córkami do miasta, na wizytę do bogatych krewnych. Fryderyka w stroju alzackim nie wyglądała świetnie obok strassburskich swoich kuzynek. Göthe zaczął ją porównywać z niemi niekorzystnie. Ta, która w lasku Saxenheimu wydawała mu się nakształt młoděj nimfy, tu przypominała chłopkę. Sama ona zrozumiała, że wszystko skończyło się pomiędzy nimi, a wyjeżdżając ze Strassburgu zalewała się łzami.

W osiem lat później znów spotkał Göthe swoją kochankę. Pastor wybiegł naprzeciw niemu aż do stopnia powozu i zapytał go, ażali długo zabawi we wsi. Olimpijczyk odpowiedział, że wyjedzie nazajutrz, gdyż jeden z jego przyjaciół oczekuje go w najbliższej wiosce.

— Czemuż tu go nieprzywiozłeś? pyta pastor.

— Jest to... wielki książę saski.

— Rozumiem! szepnął starzec.—Dom mój i ja sam nie odpowiadamy jaśnie oświeconym osobom!

Na trzeci dzień opisał Göthe, w liście do pani Stein, swoje spotkanie z Fryderyką w następujący sposób:

„Dowiedziawszy się że przyjechałem, przybiegła nakształt szalonej i rzuciła się w moje objęcia z takim zachwytem i zapałem, że oblicza nasze zetknięty się i uczułem w duszy słodycz niewymowną. Później opisała mi dolegliwości, jakowe nękały ją od czasu swojej choroby. Unikałem jęj dotknięcia, z obawy, żeby najdelikatniejszy jęj uścisk nie zapalił we mnie dawnęj namiętności.“

Göthe, który zaczął od Emilii i Lucyndy, Fryderyki i Karoliny, skończył, niestety! na kucharce swojej, z którą ożenił się w latach, gdy poeci łysieją, nabawiają się reumatyzmu i potrzebują kąpeli ciepłych.

\*

\*

\*

Alzacyanie i Lotaryńczycy prosili przeszło dwadzieścia razy o pozwolenie założenia dziennika. Odpowiedziano im iż przedsiębiorstwo tego rodzaju nie zgodziłoby się z interesami kraju. Katolikom nie wolno nawet wydawać małego buletynu religijnego. Odebrano z polecenia władzy najwyższej debit pocztowy katolickiej i niemieckiej *Germanii*, oraz innym dziennikom teje barwy. Dzienniki francuzkie, szwajcarskie, włoskie i angielskie muszą najpierw spowiadać swoje tajemnice, zarówno z listami, w obec czarnego gabinetu. Wszyscy pamiętamy naiwną radę dyrektora kantoru pocztowego w Metz'u. Polecał on publiczności, żeby nie pieczętowała swoich listów tak starannie i ułatwiała urzędnikom pracę otwierania takowych. Większa część gazet paryzkich dochodzi adresantów zaledwie 2 albo 3 razy w tygodniu. Gdy

dziennik *l'Evenement* drukował patryotyczną pracę p. Juliana Claretie o Alzacyi, zabierano go na granicy. Nie tak dawno cięto nożyczkami dziennik *Petit Journal*, który zapominał o długu wdzięczności, jakowy Paryżanie zaciągnęli względem swoich bombardierów i łupieżców. Po licznych prośbach doręczono prenumeratorom fejetony z powieścią „Przyjaciel Richelbourg.“ Poczciwe gosposie nie mogły strawić bez niego swojej popołudniowej kawy. Niestety pomiędzy niemieckimi urzędnikami pocztowymi znajdują się także zbieracze fejetonów i amatorowie literatury francuskiej. Biedacy nudzą się też okropnie. Więc biorą nożyczki i odcinają od dzienników część najpożywniejszą. Ponieważ takowa operacya odbywa się na gazetach należących do prenumeratorów oddalonych i nieregularnie, więc uchodzi czujności wyższych urzędników.

Prenumeratorowie gazet zagranicznych przyzwyczaili się zresztą zupełnie do przerw w odbieraniu dzienników. Niektórzy dostrzegli jednak, że chociaż własny numer nie doszedł ich rąk, można go było znaleźć w kawiarni. Przekonano się, że nie cenzura zatrzymywała takowe egzemplarze, lecz urzędnicy pocztowi kradli numera, raz od tego, drugi raz od innego przedpłaciciela, zbierając komplet pisma tanim kosztem.

Pomimo tego posiadali zwyciężeni, poniżeni i uciśnieni swój dziennik, pisemko tajne, p. t. *Ligue d'Alsace*, które wciskało się wszędzie, krzepiąc odważnych, kierując wahających, piętnując zdrajców. Osoby wszystkich stanów, katolicy, protestanci, żydzi, kobiety i dzieci, przyczyczynili się do redakcyi patryotycznego pisma, oddającego z wiernością echa wspólne



żale i wspólną nienawiść. Komitet redakcyjny składał się z pięciu nieznanych osób; dziennik drukowano w Bazylei. Tajna policja nigdy nie zdołała wykryć członków komitetu. Polowała ona zaciekle na „Lige alzacką.“ Pewnego dnia zeszło się w piwiarni grono młodzieży alzackiej z pewnym zagorzałym zwolennikiem Prus. Wsunęli mu do kieszeni pół tuzina numerów „Ligi“, później zaś zameldowali go sierżantowi policji. Ten aresztował go niezwłocznie, przeszukał kieszenie i pojął na gorącym uczynku jako przemycarza zakazanego pisma. Pomimo protestacji gorących, odprowadzono go do najbliższego więzienia.

\*

\*

\*

— Natychmiast po aneksacyi—powiedział mi pewien Strassburezyk—wyrastały w naszych kołach rządowych rozmaite pisma polityczne, handlowe i rolnicze, nakształd grzybów po deszczu. Wszędzie wzywały władze pruskich urzędników i właścicieli miejsc publicznych do prenumerowania tych pism „porządnych.“ Był to rzeczywiście dowcipny sposób propagandy. Przypominacie sobie owego naiwnego notaryusza z Obernaj, który odesłał dziennik przysyłany sobie i odsiedział za to kilka tygodni w kozie. Pomimo pogróżek, manewr ten nie udał się jednak. Urzędnicy alzaccy płacą ale nie czytają. Gazety te nie wychodzą nawet z kopert, lecz idą do miejsca znanego Prusakom. Od roku nie krzewi się już ten plon pół urzędowych gazet; niektóre z nich upadły i znikły. Zdaje mi się, że przestano już wydawać dwie autografowane korespondencye wychodzące w Strassbur-

gu. Rząd niemiecki zamatowano zupełnie na tem polu.

— Czyż myślicie że ta prasa na jurgielcie, wylewająca powódź czernidła drukarskiego, kwoli skalaniu wszystkiego co przypomina Francją, nie wywiera wpływu na opinię krajową?

— Wiem że nie, albowiem redagują ją włóczęgi literackie, nie znający ludności i jej potrzeb, którzy przemawiają do nas wbrew radom rozsądku. Czytanie ich dzienników sprawia ekliwość. Cóż zresztą widzimy nieustannie? dziennikarzy, prawiących o moralności i kulturze niemieckiej, o tyle wyższej wedle ich zdania nad francuzką, oskarżających się wzajemnie, denuncyujących, nazywających złodziejami i oszustami. Tój wiosny znalazł się jeden, który zdradził wszystkie tajemnice fabryki nowin urzędowych. Zauważyłaś zapewne, że wszystkie gazety Strassburgu, Metzu, Mühlhaus'u i t. d. bywają przepełnione listami podpisanymi przez „rolnika alzackiego,” „fabrykanta,” „pastora protestanckiego.” Na dowód, że te listy były pisane przez łaskawych ochotników literackich dodawano do nich rozmaite znaki, jako to: krzyżyki, pół księżycy, gwiazdki i t. p. Otóż mój panie, wszystkie te listy wychodzą bez względu na podpisy z jednego warsztatu w Strassburgu, w gmachu rządowym. Pewien były i odprawiony fabrykant tego rodzaju literatury urzędowej, zdradził tę plugawą fabrykę. Czyż może publiczność ufać tym ludziom? Nie wierzyłaby im, gdyby prawdę mówili. Prawdziwa propaganda odbywa się na innem polu—w szkole. Nie mogąc zgwałcić dorosłych, chcą oni dzieci gwałcić. Prusy pracują w tym względzie z piekielnym makiawelizmem. Dwa najpotężniejsze narzędzia pru-

skie nazywają się szkołą i obowiązkową służbą woj-  
skową. „Armia—powiedział p. Moltke—tworzy dal-  
szy ciąg szkoły.“ Od 6 roku życia należy człowiek  
do państwa i zostaje pod jego żelaznem jarzmem  
do chwili, aż stał się niezdolnym do landszturmu.  
Poznaj pan ich szkoły, zapoznaj świat z ich szkołami.  
Szkoła—to przyszłość.“

Nie zdrzym mi na dokumentach. Deputowani Win-  
terer i Guerber wypowiedzieli mowy słyszane w całej  
Europie o tej szkole szkół szkół. W rękach  
niemieckich została szkoła niemieckiego mo-  
ralnego, form, form, w której wyrabiają nowe pokolenie. Tru-  
sy parodują słowa Ludwika XIV, wołając: „szkoła, to  
jest, to zabójstwo ziemi, następne zabójstwo inteligencji,  
szkoła zabija i zabija. To dwie istoty, które  
pełnią się wzajemnie.  
Jeszcze nie dokonano wcielenia Alzacji-Lotaryngii,  
a już rząd pruski zakłada szkoły. Komisarz cywilny,  
p. Kuhlvetter, oświadczył w formalnym rozkazie, że  
jeden prawny władca szkoły zostanie oddany sam ko-  
misarz i pretaktywie niemieckiej.  
Pan Kuhlvetter starał się jednakże zakazać po-  
moc duchowieństwa. W Grabinie r. 1870 oświadczył on  
biskupowi Strasburgu sposobność unicestwienia pro-  
testantów na czele komitetów miejscowych, chwytają-  
cych nad szkołami. „Czynność ta — pisał on — będzie  
oni spełniali bezbłądnie i muszą ją przystąpić jako świę-  
te. Duchowieństwo nie chciało zostać natę-  
żeniem przemocą nieprzystępną, więc p. Kuhlvetter



## X.

## S z k o ł a.

Nie zbywa mi na dokumentach. Deputowani Wintercer i Guerber wypowiedzieli mowy słyszane w całej Europie o téj uzurpacyi szkół alzackich. W rękach niemieckich została szkoła narzędziem moralnego zaboru, formą, w której wyrabiają nowe pokolenie. Prusy parodiują słowa Ludwika XIV, wołając: „szkoła, to ja!“ Po zaborze ziemi, następuje zabór inteligencji; śladem żołdaka idzie bakałarz. Te dwie istoty uzupełniają się wzajemnie.

Jeszcze nie dokonano wcielenia Alzacyi-Lotaryngii, a już rząd pruski zagarnął szkoły. Komisarz cywilny, p. Kuhlwetter, oświadczył w formalnym rozkazie, że jedyną prawną władzą szkolną zostaną odtąd sam komisarz i prefektowie niemieccy.

Pan Kuhlwetter starał się jednakże zaskarbić pomoc duchowieństwa. W Grudniu r. 1870 ofiarował on biskupowi Strassburgu sposobność umieszczenia proboszczów na czele komitetów miejscowych, czuwających nad szkołami: „Czynność tę — pisał on — będą oni spełniali bezpłatnie i muszą ją przyjąć jako *szczęść* rządową.“ Duchowieństwo nie chciało zostać narzędziem urzędowém nieprzyjaciela, więc p. Kuhlwetter

założył 30 Grudnia r. 1870 seminaryum dla protestan-tek, kwoli kształceniu nauczycielek „któreby zdołały krzewić wychowanie publiczne w Alzacyi.“ 9 Maja ka-zał także otworzyć w Strassburgu szkołę normalną ka-tolicką dla nauczycieli, a w Kolmarze szkołę prote-stancką. Te dwa zakłady miały wydawać „profesorów zdolnych do krzewienia wychowania narodowego w Al-zacyi.“

Władze niemieckie, nie zasiągając czyjejkolwiek rady, zaprowadziły w tymże samym czasie naukę bez-płatną i przymusową „metodę obowiązującą,“ „auto-rów obowiązujących,“ a nawet — rzecz to trudna do wiary — „księgarnie obowiązkowe.“ Zakazano gmi-nom i nauczycielom kupować książki szkolne gdziekol-wiek, oprócz w księgarniach, wymienionych przez wła-dzę. Nawet sprzedaż kajetów do ćwiczeń kaligrafi-cznych stała się monopolem stróżów szkolnych.

Obowiązkowe wychowanie istniało już w Alzacyi-Lotaryngii. Szkoły jęj celowały pomiędzy zakładami naukowemi we Francyi. Konwencya przyjęła w roku 1794 zasadę wychowania bezpłatnego i obowiązkowe-go, podczas gdy Prusy uznały tę zasadę dopiero w ro-ku 1850.

Wychowanie *bezpłatne* kosztuje obecnie kontry-buentów alzackich 2,404,603 franków rocznie, czyli 1 fr. 55 centimów na osobę. Tenże wydatek sięga w Prusach do 17,947,607 marek, czyli 22,434,509 fran-ków, albo 77 centimów na osobę. Z téj ogólniej cyfry wyłożonej w r. 1876 na wychowanie ludowe, poświę-ca budżet pruski 11,920,142 marek na dodatki do pensyi albo zupełne pensye nauczycieli. W Alzacyi wydaje on na ten sam cel tylko 610,900 marek. Ko-szta inspekcyi wynoszą w Prusach 769,500 marek. Utrzymują tam 155 inspektorów, otrzymujących 4,955

marek, czyli 6,205 franków pensyi. W Alzacyi wydają 122,000 na 23 inspektorów, płacąc im po 6,630 fr. We Francyi wydają 1,222,100 franków na 370 inspektorów. Pensye ich, wliczając wszystkie dodatki, wynoszą 3,330 franków.

Tak się ma rzecz z tą bezpłatnością, nie licząc 60 centimów zarobku, jakowe państwo odbiera z każdej książki do czytania, i które ubodzy muszą płacić zarówno z zamożnymi. O téj sumie nie wspomina budżet. Rodziny wychowujące swoje dzieci we Francyi, obłożono osobnym podatkiem.

Jeżeli dziecko nie przyszło do szkoły przez parę dni, policya odszukuje je w pomieszkaniu i przywleka za uszy. Rodzice zamożniejsi płacą grzywny. W przeciwnym razie pokutują w kozie.

W Mühlhaus znajdowano małych winowajców w gajach, w których się kryli, chwytano ich, wiązano, rzucono na taczki i odwożono do więzienia.

W Listopadzie tegoż roku zjawił się na drodze z Niemiec hufiec ludzi brudnych, z włosami przyczesanemi gładko, oczyma uzbrojonemi w okulary, w długich, wypłowiałych surdutach, z wańtuchami opasłemi, w pantalonach kroju wojska pruskiego i butach z kwadratowemi nosami. Byli to „radcy szkolni,” przysłani do zreorganizowania szkółek alzacko-lotaryńskich.

Czemżeż zajęli się najpiérw ci gotycecy reformatorowie?

Oczyścili szkoły ze wszystkich żywiołów francuzkich, wypędzili z nich wszystkich nauczycieli, którzy przechowywali w duszy obraz poniżonej i szarpanej ojczyzny. Wszyscy profesorowie w liceum strassburskim otrzymali rozkaz, żeby się wynieśli z miasta w przeciągu 48 godzin. Panowie ci, słuchając rad przezornych, pospieszyli do Bazylei, zkąd uciekli do



Liestal. Tu przyjął ich jak najuprzejmiej p. Bunsen, właściciel hotelu. Słyszając o ich przykrym losie, nie chciał przyjąć od nich nad 2 franki dziennie za stół i pomieszkanie.

Skutkiem tego zupełnego zaboru szkół przez władze pruskie, powstał w nich nieład nieopisany. Musiano zamknąć szkoły, z powodu braku nauczycieli. „Radcy szkolni“ powierzyli swoje troski gazetom niemieckim i szwajcarskim; wołano o nauczycieli i nauczycielki w ogłoszeniach, naksztalt anonsów o stajennych lub niańki. Te ogłoszenia przysłodzono tak ponętnie, rzemiosło było tak korzystnem, tak łaskawie patrzono na dowody zdolności, że byli sierżanci, czeladnicy krawiecy, stolarze bez roboty i nawet brukarze odprawieni przedstawili się. Wprowadzano ich do gmin jak najuroczyściej (\*).

Pewnego młodzieńca, który był skazany na 4 lata więzienia za zbrodnię przeciw obyczajom, miano-  
wano pomocnikiem nauczyciela w siole ludném. Pan  
deputowany Guerber także zawiadomił świat z trybu-

---

(\*) Pan Winterer powiedział na posiedzeniu parlamentu 17 Grudnia r. 1874: „Widzieliśmy brukarzy, tkaczy, stolarzy, drwalów, stróżów przy kolei żelaznej, przekupniów, przebywających w przeciągu tygodnia niepojętą metamorfozę i zmieniających się w nauczycieli. Nigdy nie widziano w Alzacyi tylu dorostków na czele szkółek. Mógłbym wymienić całe powiaty, w których ani jeden nauczyciel nie posiada patentu lub w których znajduje się zaledwie jeden albo dwóch nauczycieli posiadających takowe świadectwo. W pewnem miasteczku liczącem 3,000 mieszkańców, znajduje się jeden nauczyciel i 4 pomocników. W przeciągu 2½ lat zajmowało 16 osób te posady. 11 albo 12 z nich nie mogło pokazać żadnego dyplomu; brukarz, tkacz, stróż kolejowy i dziecko piętnasto-letnie spełniali kolejno ten zaszczytny obowiązek.

ny Reichstagu, iż mianowano nauczycielkę niezamężną, mającą dwoje dzieci, które przywiozła ze sobą i które nazywały ją „mamą.“ W Mühlhaus przyjęto na nauczyciela historyi, w klasie dziewcząt, księdza wypędzonego z Niemiec za skandaliczne życie, który pojął żonę za pomocą ślubu cywilnego. „Serce pęka — mówił mi pewien ojciec alzackiej rodziny — na widok tylu dusz młodych, rzuconych na pastwę takim hultajom i łajdaczkom.“

Dnia 2 Czerwca skazał sąd w Strassburgu pastora z Brumath na 5 marek kary, za list do Niemca dyrektora szkolnego w wymienioném mieście, w którym mu zakazywał udzielać nadal nauki religii. Wprawdzie burmistrz Brumathu i dyrektor ochronki w Stephansfelden zeznali, że dyrektor szkolny zalewał się bezustannie winem, jednakże trybunał sądził, iż wino mogło tylko rozweselić serce ludzkie. W innéj gminie w departamencie Niższego Renu, nie było nauczyciela przez czas dłuższy w szkółce mieszanéj dla chłopców i dziewcząt. Wreszcie przysłano młodzieńca pochodzenia pruskiego, o zachowaniu nie zbudzającym zaufania. Nauczyciel nie bawił długo, zanim matki przyszły do proboszcza z prośbą, ażeby uwolnił gminę od tego człowieka, oświadczając zarazem, iż nie będą mogły posyłać nadal swoje córki do szkoły. Proboszcz zapewniwszy się o podstawie ciężkich oskarżeń, które słyszał, wniósł skargę przed prezydenta okręgu; ten atoli zatrzymał profesora na posadzie. Wkrótce przychodzi list z Niemiec, z miejsca, w którém nauczyciel spełniał obowiązki bakałarza, zanim przyjechał do Alzacyi. Napisała go matka. Błagała ona proboszcza, żeby przypomniął nauczycielowi słowo dane jéj córce, zanim czci ją pozbawił, iż ją poślubi. Tym razem ustąpiły władze, w obec dowodów tak dobitnych.



Ci bakałarze nowego systemu posiadają pewną metodę szczególną i uderzającą, kwoli wpędzeniu swoich lekcyj i zasad edukacyi pruskiej. Nie chcąc zbyt przedłużyć rozdziału, wspomnę kilka świeżych wypadków.

W Lutym roku bieżącego (1876), czytano w „Germanii,” dzienniku berlińskim:

„W wiosce L. w Alzacyi, zbił bakałarz biédnego, chorowitego chłopaka za to, że gwizdał (przekonano się później, iż był niewinnym). Dziecię doprowadzone do rozpaczki skutkiem przenikliwego bólu, porwało swój drewniany trzewik (*sabot*) w celu obrony. Nauczyciel doniósł o tém wójtowi w W..., będącemu zarazem inspektorem szkolnym w L.. Ten przysłał żandarma, który pojmał biédne dziecko w obec całej szkoły, skrzepował je żelaznym łańcuchem i powiódł do więzienia w W... W drodze zbił je okropnie płazem pałasza, o czém świadczy raport lekarza. Ciało dziecka pokrywały krwawe sińce, ucho mu oderwano, pozdzierano paznogie aż do kości.“

„O téj sprawie zawiadamiano prokuratora.“

„Do dziś nie ukarano ani nauczyciela, ani inspektora.“

Przy ulicy Franklin, w Mühlhaus, żył przed dwoma laty poczciwice nazwiskiem Baesch z żoną, synami i córeczką. Byli to skromni rzemieślnicy; zarobek ich wystarczał zaledwie na utrzymanie. Przyszła wojna, najazd i nędza. Starsi synowie idą do wojska; jeden ginie w utarczce w okolicy Metz'u, drugiego ranili nad brzegami Loary i wzięli do niewoli. Trzeci, nie będąc jeszcze pełnoletnim, przyjął obowiązek furmana przy szybkowozie z Mühlhaus do Bazylei. Podczas okropnej zimy 1870—1871 spada on przypadkiem pod koła tego powozu i ginie pod niemi.



Czwarty syn, zaledwie czternastoletni, chwyta za broń i wychodzi z gwardyą narodową z Mühlhaus, na jakąś niewczesną walkę. Kula zbłąkana znajduje go i zabija. Ojciec rozżalony odchodzi od zmysłów. Odsyłają go do domu waryatów, w którym umarł, jeżeli się nie mylę. Przy pani Baësch zostaje tylko córka i synek pięcioletni. Tego oddaje ona do szkoły. Pedagog, Niemiec krwi najczystszej nazwany Blemert ta dobrze skarcił to alzackie dziecko, że je odniesiono do domu zbite i skrwawione. Umarło. Magister teutoński zbył się téj sprawy za 90 franków z których zapłacono doktora i pogrzeb; jednakże ile to wymowy użył on, żeby skłonić matkę do milczenia o téj sprawie!

W Saint-Marie-aux-Mines wyrывa nauczycielka, poetyczna blondynka o oczach naksztalt niezapominajek, pełne garście dziecinnych włosów.

Nauczyciel niemiecki z Guebwiller spotyka wieczorem kilka dziewcząt wracających z zabawy rodzinnej. Zbliża się do nich, przemawia nieprzyzwoicie i pozwala sobie na bezedne poufałości. Młode Alzacyanki obalają go i wrzucają do rzeczki, płynącej obok drogi.

W ostatnich czasach trzej nauczyciele niemieccy z wysokiej szkoły w Dornach, dosłownie szarpali się zębami w szynkowni. Szlegelowi odgryzł palec jego kolega Kleck.

Te niebezpieczne zwierzęta krążą po mieście bez kagańca.

Skoro dokończono tę piękną organizacją pruską, zniesiono wolne szkoły, kwoli zmuszeniu Alzacyan-Lotaryńczyków do odbierania „edukacji narodowej.“ Gimnazya i szkoły fachowe oddano pod bezpośrednią pieczę najwyższego prezydenta. Edykt ministeryalny z 10 Lipca r. 1873 najpierw ugodził w wolne kolegium

w Kolmarze, założone przez biskupa strassburskiego w roku 1852 i liczące 300 uczniów. Później zamknięto znakomite szkoły handlowe i pensyonata klasztorne. Z Kolmaru wygnano nauczycieli zakonników, podejrzewając ich o sympatye francuzkie. Szkoła tamtejsza zostawała pod ich kierunkiem lat 50 i otrzymała kolejno medale brązowe, srebrne i złote. W Hunning zamknięto szkołę pod pozorem, iż dzieci przychodziły na lekcye z trójkolorowymi kokardami. Z Turkheim wypędzono 4 zakonników i zastąpiono takowych: 1-o wyższym nauczycielem z pensją roczną 2,000 franków. 2-o drugim nauczycielem z pensją 1,800 fran. 3-o dwoma pomocnikami z pensją 1,500 na osobę. Każdemu z braciszków wystarczało 600 franków. Kto dopłaca różnicę? Gmina w Turkheim'ie, wcale nie zamozna.

W Mühlhaus zawiadomiono zakonników, że nie wolno im udzielać lekcyj języka francuzkiego, po za obrębem godzin szkolnych. Dyrektor ich oświadczył, iż odbierając im prawo dawania lekcyj prywatnych, pozbawiono ich środków do utrzymania zakładu, „W takim razie — odparł Kreis-Director — sprzedajcie budynnek.“

Odpowiedź godna Salomona!

Dnia 14 Sierpnia r. 1871, w wilię Wniebowzięcia N. P. wpadła policya do szkoły prowadzonéj przez zakonnice w Mühlhaus, oświadczając im bez ogródki, iż z rozkazu władzy zamyka ich zakład. Uczennice musiały natychmiast zamknąć książki i kajety i wrócić do domu. Pan Winterer zgromił tę bezecność z kazalnicy, w obec kilku oficerów pruskich. Nazajutrz, w dzień wyjazdu sióstr, wszyscy mieszkańcy zgromadzili się na dworcu, w celu pożegnania ich i wyprawienia im świetnej owacyi, z okrzykami: „Niech żyje

Francya! Niech żyją zakonnice! Do widzenia! nie zegnamy was na zawsze!" Strażaków wygwizdano i zezono.

Z Nowego-Brisach'u wypędzono siostry, albowiem wzięły udział w procesyi wcale nie świeckiej, gdyż urządzonój przez urząd gminny, na zażegnanie zarazy grasującej w okolicy.

W Niederbrou istniał zakład szanowany przez wszystkie wyznania i stronnictwa. Siostry wychowywały tam i uczyły biedne sierotki, bez względu czy pochodziły z rodziców katolickich, protestanckich, albo Żydów. Departament powierzał im często około 40-u dzieci, które one przyjmowały za skromne wynagrodzenie, wynoszące ośm franków miesięcznie od głowy. Nawet z tą szkołą miłosierną postąpiono na wzór innych. Wydarto z niej pupilów i umieszczono ich pomiędzy chłopstwem. Ci, którzy się zgłosili mogli sobie wybierać dzieci, oraz wieźć je do domu, nakształt jaguiąt kupionych na targu. Biedne dziewczynki tak się zlekły, że ile razy dzwoniono, chowały się w najskrytszych zakątkach, lecz ludzie w bluzach znajdowali i zabierali je przemocą. Poznano kilkoro tych nieszczęśliwych dzieci na drogach publicznych; chłopki kazały im żebrać.

Wnet po wakacyach wielkanocnych, zanim uczniowie ochłonęli z zabaw rodzinnych i rozrywek wakacyjnych, wszedł niespodzianie inspektor urzędowy do małego seminarjum katolickiego i kazał uczniom tłumaczyć bez pomocy słownika ustęp niemiecki, chociaż język ten nie był mową rodzinną większej części młodzieńców. Tłumaczyli szkaradnie. O to właśnie chodziło. Znalezione dowód, iż „zaniedbywano język niemiecki" w tym zakładzie i zamknięto go.

Gimnazjum protestanckie w Strassburgu mniej



cierpiało od zakładów katolickich, lecz zupełnie je przekształcono. Zmieniono nauczycieli i metodę nauki. Zakład ten istnieje od 16 stulecia; jego prawa szanowały dotąd władze poprzednie; rządy najrozmaitsze następowały jeden po drugim, bez targnięcia się na ten stary instytut reformacji, który zasługiwał przed wojną na nazwę pierwszego zakładu naukowego w Alzacy. Ani Ludwik XIV, ani Restauracya nie dotknęły go. Prusacy mniej byli skrupulatni. „Dowodzi to dobitnie — pisze do mnie pewien protestant strassburski — iż Francya, pomimo swojego gorącego katolicyzmu, jest prawdziwym krajem wolności. Zamknęło to także usta tym ścisłym strassburskim protestantom, którzy spodziewali się, że z przybyciem Prusaków ich zakłady protestanckie dojdą do bezprzykładnego rozwoju.“

Niemcy dodali do gimnazjum strassburskiego spółdyrektora pruskiego, który układa program nauki, wybiera profesorów, słowem kieruje zakładem i administruje nim. Wywiązuje się on z tego zadania tak umiejętnie, że finanse gimnazyalne znajdują się w stanie opłakany. Deficyt wynosi przeszło 150,000 franków. Przy takim zarządzie wyczerpie się wkrótce fundacya, zasilająca kasę zakładu. Rząd pruski ofiarował mu już subwencya; odmówiono przyjęcia takowej.

Wszystkich dozorców nad uczniami mieszkającymi w zakładzie, zastąpiono studentami niemieckimi. Z rozkazu władzy pruskiej zmniejszono liczbę tego rodzaju elewów do 60. W zakładzie zmieściłaby się liczba podwójna.

Elewów przekarmiają łaciną i greką. Lekcyce odbywają się wyłącznie w języku niemieckim.

Znalazł się człowiek, który od dnia aneksacyi łamie sobie głowę dniem i nocą, nad knowaniem planów

zemsty przeciw protestanckiemu gimnazyum. On to wprowadził doń nieprzyjaciela. Jest-to dawny profesor strassburski, p. Emil Heitz. Przed wojną był on profesorem drugiej klasy. Ambicya jego zmierzała do katedry literatury. Suszył więc głowę nad małym komentarzem do Arystotelesa z takim powodzeniem, że nieznana jakaś akademja niemiecka wspomniała pochwlebie o jego dziełku. Pan Heitz sam omal ze skóry nie wyskoczył z radości; wreszcie uznano jego zasługę i wymierzano mu sprawiedliwość, „Tylko Niemcy — pisał on — poznają się na rzetelnym uczonym.“ Pod cesarstwem ubiegał się o krzyż legii honorowej. W r. 1872 mianowano go profesorem uniwersytetu niemieckiego. W odwet za ten zaszczyt oddał cudzoziemcom protestanckie gimnazyum. Uderzał kolejno na kolegów swoich, których serca wciąż były miłością Francji. Nie opuścił żadnej sposobności, żeby nie zaszkodzić swojej ojczyźnie. Z katedry wołał do swoich elewów: „Wasz Gambetta jest pijakiem i wycieraczem ław karczemnych.“ Cała klasa protestowała, gdyż o téj porze cały Strassburg należał do gambettystów, albowiem p. Gambetta przedstawiał myśl oporu. Podczas wyborów 8 Lutego, otrzymał p. Gambetta 8,621 głosów.

Pan Heitz ma córkę i trzech synów. Synowie narzekają na ojca; córkę, biedną ofiarę swoją, wlecze on na bale do prefektury— jest-to jedyna dziewczyna alzacka, którą tam spotkano kiedykolwiek.

Rozwiązano kolonią znaną w Metz pod imieniem młodych wyrobników, albowiem szpieg doniósł, że na obrazkach rozdawanych młodzieżom, znajdowała się modlitwa za Francją. Kilku z nich, nie uwiadomionych o tém postanowieniu i zjawiających się w szkole, aresztowano i odesłano do więzienia.

W podobny sposób zamknięto instytut rolniczy w Beauregard, w którym 500 młodych wieśniaków kształcono.

Zakonnikom w Metz nakazano używać w swoich klasach języka niemieckiego i wyrugować język francuzki. Odmówili, tłumacząc się, iż nie umieli sami po niemiecku, ich uczniowie nie rozumieli zaś tego języka. Wypędzono ich.

Nie spotkałem nic zabawniejszego nad sposób dręczenia, używany przez inspektora Hatt. Rzecz dzieje się w zakładzie sióstr w Rosenviller.

Wchodzi p. Hatt.

— Dla czego — woła on — zajmują słuszne dziewczęta pierwszą ławkę? Nie ma w tém sensu. Niech małe dziewczątka zajmą ich miejsca.

Siostra spełniła rozkaz.

Pan Hatt wyszedł. W parę dni powraca.

— Dla czego — pyta, wchodząc — siedzą małe dziewczątka w pierwszej ławce? Nie ma w tém sensu.

Siostra sadza małećw gdzie dawniej siedziały; natomiast przeznacza pierwszą ławkę dla słusznych uczennic.

Pan Hatt wyszedł. W 10 dni później drzwi otwierają się niespodzianie, p. Hatt zjawia się na progu, skrobiąc się po za uchem.

— I to nie dobrze — rzecz — i w tém nie ma sensu. Każ tym dziewczętom deflować przedemną. Ustawię je wedle wzrostu.

Siostra spełnia rozkaz. Pan Hatt przymruża oczy, głowę zadziera, podchodzi, cofa się, naśladuje ruchy faktora co targuje konie. Kolejno bierze każdą cewkę za rękę i sadza ją na miejscu, które będzie zajmować na przyszłość. Po skończonej operacyi, rzecz:

— To dobrze... do jutra.



Lekcyje się zaczynały. Pan Hatt wchodzi krokiem rzutkim i podrygującym.

— Wstańcie, uszykujcie się parami i chodźcie za mną — woła on, spoglądając na siostrę tryumfalnie. Później otwiera drzwi i rozkazuje tonem instruktora musztry:

— Naprzód, marsz!

Siostra blednie, dziewczęta płaczą. Lecz p. Hatt grozi i wiedzie je z dumną miną do nauczyciela, w którego mieszaną klasie siedzą dziewczęta obok chłopców.

Powszechnie utrzymywano, że edukacja dziewcząt należy do kobiet, a chłopców do mężczyzn. Prusy zmieniły to wszystko i żądają, żeby od lat 9 dzieci uczyły się żyć obok siebie, bez względu na płeć. Pedagogowie niemieccy wychodzą z właściwej sobie zasady: „ponieważ przyroda każe tym dzieciom połączyć się w wieku późniejszym, niechżeć poznają się za wczasu i przyzwyczajają do wspólnego życia.“ Pewien inspektor, zagajając uroczystość tak słodkiego zbliżenia, wyjaśnił dzieciom tę zasadę w sposób następujący: „w przyszłości pokochacie się, dobierzecie sobie pary i będziecie robili jak papy i mamy.“ Inny inspektor ofiarował szkołce mieszaną z chłopców i dziewcząt, obraz sielskiego kurnika: „umieszczono was razem, ponieważ człowiekowi nie wypada być samotnym. Patrzcie na koguta! patrzcie na kury! Kogut i kury zawsze są razem, nigdy się nie opuszczają!“

O, cienie Wirgiliusza i Anakreona!

W pewnych szkołach zachęcali nauczycielele trzynasto i czternasto-letnich chłopaków i dziewczęta, żeby się całowali.

„Oczywiście — powiada autor pewnej broszury lotaryńskiej — nasi nauczyciele nie pojmują dostatecznie

złych stron tego pomieszania przymusowego. Cynizm ich jest ślepy, gdyż nie śmiem potwarzać nawet nieprzyjaciela oskarżeniem, iż zachęca rozwiązłość! Opienie niemieckie w tym względzie rodzą się z instynktów nieokreślonych, z pogańskich skłonności, z których sami sobie nie zdają rachunku.“

Jest to rzeczą pewną, iż w Niemczech pojmują moralność inaczej, niż we Francyi. Różnią się nasze pojęcia o miłości, cnocie, prawie własności.

Mąż, który wrócił z podróży za Renem, opowiada przy stole miłosne przygody, jakowych doznał w drodze. Żona nie rumieni się nawet, gdyż uważa je za rzecz naturalną. Inaczej pojmują oni od narodów łacińskich świętość związków małżeńskich i niewinność dziewic. W Berlinie zdarza się, jak wiadomo, przeszło 2,000 rozwodów rocznie. Zaręczyny ich są niebezpiecznemi związkami, skutkiem nieokreślonej długości tego rodzaju stosunku. Znałem studentów zaręczonych od lat 5, 6, 8, a nawet 10. Prowadzili oni swoje narzeczone na bale, do teatrów, na przechadzki, z przechadzki do piwiarni; wybierali się nawet razem na kilkudniowe wycieczki. Jeżeli zaręczyny rozchwiały się ostatecznie, cały świat uważał dziewczynę i to z zupełną dobrą wiarą, za istotę równie niewinną, jaką była w dniu urodzenia.“

„Politycznie — pisze nieznany autor, o którym wspomniałem powyżej — zachęcają oni małżeństwa wczesne, a nawet przedwczesne, wychodząc z ogólnej zasady: krzewcie się i pomnażajcie. Potomstwo — z wyjątkiem chat włościańskich, w których ramiona już za wezusu się przydają — nie przyczynia się do z bogacenia rodzin, lecz tworzy siłę państwa. Chodzi głównie, żeby mieć żołnierzy. Dziecię naturalne wyrośnie na równie hardego wojownika, jak każde inne!“

Podaję jeden rys, na dowód, w jaki sposób oni pojmują czystość dziewic. Wyjmuje tę powiastkę z „Historji cywilizacyi w Niemczech,“ przez p. Scherr, którego świadectwo zasługuje ze wszech miar na wiarę.

Pewien młody lekarz mieszkał przed kilkoma laty w Berlinie, w rodzinie skromnych rzemieślników. Córka najstarsza téj rodziny doszła do lat, w których młodzież przyjmuje sakrament bierzmowania. Biedni ci ludzie nie mieli środków na kupno tualety, niezbędnéj do tego obrzędu. Młody lekarz odebrał właśnie pieniądze i wsparł ich z przyjemnością. Córka i rodzice dziękowali mu ze łzami w oczach. Wyobraźcie sobie jednak zadziwienie lekarza, gdy wróciwszy późno w nocy do swojego pomieszkania, zastał w niém wspomnianą dziewczynę, w bieliźnie tylko. Zdumiony przywołuje rodziców. Ci tłumaczą mu, iż chcieli mu ofiarować jako dowód wdzięczności niewinność, której dłuższa obrona stanie się wnet niemożliwą.

Podobną różnicę spotykamy w ich pojęciach o uszanowaniu własności. „Przed dwoma dniami — pisał 20 Sierpnia r. 1873, korespondent z Dornach do *Salut public* w Lyonie — rozprawiano w znanéj mi kawiarni o zrzeczności pewnego żołnierza badeńskiego, który uniósł bezczelnie i bez zapłaty, złoty zegarek ze sklepu pewnego zegarmistrza. Kupiec poznał później złodzieja, schwytał go i zaprowadził przed starszych, którzy go ukarali tylko na pozór. Przy mnie siedzieli dwaj oficerowie. Słyszając to opowiadanie o tém codzienném zdarzeniu, utrzymywali oni z flegmą, iż żołnierzom przysługiwało prawo, zabierać własność nieprzyjaciela podczas wojny, a nawet po zawarciu pokoju pozbawiać zwyciężonych wszystkiego, co służy do zaspokojenia potrzeb. Któż wątpi o użyteczności zegar-



ka? Jednakże wspomniony żołnierz przekroczył cokolwiek swój przywilej biorąc złoty zegarek, albowiem srebrny byłby mu równie dokładnie wskazywał godziny. Całe grono słuchaczy unosiło się nad tém germańskiem określeniem odcieni prawa i bezprawia.

Wchodzą oni do magazynu za sprawunkami. Natargowawszy się do syta, zabierają swój nabytek, przyrzekając niezwłoczną zapłatę. W trzy miesiące później wyprowadzają się i przysyłają biednemu kupcowi al-zackiemu jedną trzecią albo czwartą część należitości. Bogu tylko wiadomo, jak często oni się wyprowadzają.

W Mühlhaus okradają nieustannie składy węgla kamiennego wzdłuż kanału. Fabrykanci, do których takowe należą, wnieśli zażalenie do prezydenta trybunału handlowego, wraz z dowodami, iż tłumy kobiet i dzieci z niemieckiej kolonii biegły za wozami napelnionemi węglem, kradły kawałki i napelniały niemi swoje kosze. Proszono pana *Kreis-Directora*, żeby kazał strzedz wozów i spichrzów, lecz ten odpowiedział, iż go to nic zgoła nie obchodzi i że „świadectwo własnego sumienia, oraz zapewnienia ludzi rozsądnych, przekonały go zupełnie, iż zastał Alzacyą w stanie prawie barbarzyńskim.“

\*

\*

\*

Wróćmy do szkół i zmieszania obojga płci, na mocy rozporządzenia z 4 Stycznia 1874. Pomimo że krok ten dotykał najczulszój i najświętszój strony rodzinnego życia, przedsięwzięto go bez pozwolenia gmin, stanów albo rad okręgowych. Wywołał on też niezliczone protestacye i dymisy. Wikarego z Meistrag-

heimu (\*) i księdza Wernet'a proboszcza w Schoenau, skazano do fortecy, za potępienie z kazalnicy takowego mieszania dzieci obojga płci. Inspektorowie musieli naśladować przykład słynnego Hatt'a i w przeszło 30 miejscach osobiście wprowadzić płęć słabszą do klas dla chłopców. W innych miejscach wezwano agentów policyjnych, kwoli włamaniu się do domów szkolnych.

W Balgau zbudował zarząd gminny zupełnie nową szkołę dla dziewcząt, na mocy słowa p. *Kreis-Director'a*, iż takową odda pod kierunek siostry. Zdziwienie gminy nie znało granic, gdy przyjechała panna niemiecka. Szkoła stała pustką, lecz inaczej miała się rzecz z nauczycielką. Musiała ona wyjechać. Wójt i gmina żądali powtórnie siostry; przysłano im Niemca.

Rodzice nie chcieli powierzyć mu swoich córek i zamknęli szkołę. Nauczyciel zakwaterował się w karczmie i żył tam jak w raju. W przeciągu tygodnia wypił za 40 franków wina, na rachunek gminy. Im więcej pił tem lepiej mu napój smakował. W tem nadjeżdża najczcigodniejszy komisarz policyi o silnej dłoni i twarzy jak księżyc w pełni. Miał on wielkie

---

(\*) P. wikary z Meistragheimu polecił swoim owieczkom, ażeby zamiast nieszpórów odmawiały tylko różaniec, podczas jego uwiecznienia. Nauczyciel — znienawidzony przez ludność, gdyż za denuncyował wikarego i był przyczyną jego kary — nauczyciel ten bezczelny, odważył się zastąpić wikaryusza i zaintonować rytuał nieszporny. Dziewczęta natychmiast zaczęły odmawiać różaniec tak głośno, że szmer ich modlitw zagłuszył śpiew nauczyciela. Ten musiał wynieść się. Wzłości swojej zaniósł on skargę za „nieprzyzwoite zachowanie podczas nabożeństwa.“ Zapozwano 20 dziewcząt przed sąd i kazano im bronić się przeciw takowemu oskarżeniu. Prusacy skazali je z 1—5 dni aresztu.

doświadczenie w wypadkach tego rodzaju; zamki otwierał lepiej od złodzieja. Ale ten szczególnie zamek zaniechał optować za narodowością pruską i opierał się jego usiłowaniom. Komisarz wrócił do karczmy, żeby się pokrzepić, potem poszedł sam po drabinę i wprowadził nauczyciela do szkoły przez okno.

Pan Winterer, dzielny obrońca szkół alzackich, narzekał kilkakrotnie na odprawianie zdolnych nauczycielek alzackich oraz wprowadzenie natomiast bakałarzy, których prowadzenie musiało oddziaływać szkodliwie na młodzież. „Dla czego—wołał on niedawno w Reichstagu—dla czego oddalacie nauczycielki słusznie szanowane, gdy nie macie nawet jednolitego hufca zastępców, złożonego z krajowców znanych i szanowanych przez ludność? Czyż zmusicie ojców rodzin do powierzenia swoich dzieci, swoich córek, nauczycielom nieznanym sobie zgoła? Zmusicie ich powierzać takowe księdzu wykletemu i ożenionemu cywilnym ślubem? Zmusicie ich powierzyć je cudzoziemcowi, udającemu kawalera w gminie w której bawi, i prowadzącego się jako taki, dopóki żona z dziećmi nie zgłosi się do wójta, pytając o powodzenie męża. Zdarzyły się wypadki o których muszę milczyć na tej trybunie, lecz które na zawsze zabraniają ojcu powierzyć dziecko swoje, córkę swoją, rozwiązłemu nauczycielowi.“

Cóż odpowiedziały władze pruskie? Najśłodszy głos w świecie mówią do Alzacyan: „Chwilkę cierpliwości, panowie! Założyliśmy w Schlestadt pierwszą szkołę normalną dla panienek katolickich, które zastąpią siostry i na których gorliwość liczymy.“

Pedagogiczna uczoność germańska potrzebuje tylko roku na wykształcenie tych nauczycielek. W tym przeciągu czasu uczą je nawet grać na skrzypcach!



Po nabyciu nauczycieli i nauczycielek na wagę złota wypadało znaleźć elewów. Ta „wolna nauka niemiecka“ idąca ręką w rękę ze strażakiem policyjnym, odstraszała jednak ludność. Wysilono się na wszelkiego rodzaju ofiary. Dawano umyślnie stypendya młodzieży niemieckiej, przyjeżdżającej do zakładów naukowych w prowincjach wcielonych. Ponieważ liczba tych rekrutów nie wystarczała, wpuszczono nawet do gimnazyów dzieci z ochronek. Później ułożono programy przyrzekające wielką obfitość nauki, żeby rodzice wychowujący swoich synów wielkim kosztem we Francyi, sprowadzili takowych do Alzacyi. Ta naukowa przynęta nie skusiła nikogo. Władze niemieckie łamały sobie odtąd głowę nad rozmaitemi dokuczliwościami. W Grudniu 1875 otrzymali liczni ojcowie rodzin następujący okólnik:

„Panie! Wychowujesz swojego syna, urodzonego w ....w r. 1863 w zakładzie X... (we Francyi). Nie odbiera on tam wychowania odpowiedniego wymaganiom naukowego stanu szkół początkowych w Alzacyi. Wzywamy więc Pana, żebyś odebrał swojego syna z zakładu w którym obecnie bawi, oraz posyłał go do szkoły w której będzie się uczył wedle obowiązkowego programu. W razie nieposłuszeństwa narazisz się Pan na kary przepisane prawem.“

Pan *Kreis-Director* w Kolmarze polecił także burmistrzowi miasta, żeby zawiadomił rodziców trzymających swoje dzieci za granicą, w zakładach edukacyjnych fancuzkich, iż rozporządzenie z 18 Kwietnia 1871 r. nakazuje kształcić elewów wedle planu naukowego przyjętego w szkołach publicznych. Ponieważ zakłady francuzkie nie trzymają się tego systemu, mianowicie pod względem „nauki języka niemieckiego“, więc rodzice narażają się na kary przewidziane pra-

wem. Powtóre, dodawał ten okólnik, nalegamy na tę okoliczność, iż rząd kraju może być dopiero wtedy powierzony Alzacyanom, gdy utworzy się pomiędzy nimi klasa ludzi zupełnie obeznanych z mową niemiecką i zapatrujących się na stosunek „z niemieckiego punktu widzenia.“ Ponieważ zakłady zagraniczne nie mogą zaszczepić uczniom „zamiłowania do rzeczy niemieckich,“ więc p. *Kreis-Director* nakazuje:

1<sup>o</sup> Karać rodziców i nauczycieli nie udzielających dzieciom dostatecznej nauki (z niemieckiego punktu widzenia, oczywiście).

2<sup>o</sup> Pozwalać tylko w razach wyjątkowych i za szczególnem upoważnieniem *Kreis-Director'a*, na „chwilowy pobyt“ w Alzacyi-Lotaryngii takich dzieci, które rzeczywiście wyemigrowały i wyrzekły się narodowości niemieckiej.

3<sup>o</sup> Zakazać noszenia mundurów używanych w zakładach naukowych francuzkich.

Młodzież nie uwzględniającą tego rozporządzenia odstawiano niedawno do granicy żandarmami, pomimo protestacyj rodziców i własnych.

Nie tylko Alzacyi przyrzekano przy wcieleniu, że narodowość jej, religia i swobody nie ucierpią uszczerbku pod panowaniem pruskim, że *język narodowy zostanie szanowany*, zwyczaje i nawyknienie nie prześladowane, kościół katolicki będzie używał swobody i protekcyi, jakowe dawniej mu przysługiwały.

Czyż nie były to przyrzeczenia wyraźne i jasne? Patrzenie jednak, jak Prusy dotrzymują swoich obowiązków uroczystych, jak tłumaczą własne słowa, jak pojmują prawo i sprawiedliwość. Obchodzą się one z Alzacyą-Lotaryngią ze zwykłą sobie bezczelnością i cynizmem, wbrew przyrzeczeniom „że uszanują ich zwyczaje i nawyknienia.“

W nowych przepisach dla szkół w Alzacyi-Lotaryngii nazywają naukę mowy francuzkiéj udzielaniem języka cudzoziemskiego. Najpierw poświęcano jéj 4 godziny tygodniowo, lecz od 1 Października 1873 r. zupełnie zaniechano jéj w klasach normalnych.

Jakżeż postąpiły damy w Mühlhaus? Oświadczyły one rodzicom pragnącym uczyć swoje dzieci po francuzku, swoją gotowość do udzielania lekcyj. Władze niemieckie obruszyły się skutkiem téj niepojętój hardości i zagroziły więzieniem damom i rodzicom. (\*). W wyższych zakładach naukowych pozwolono na dówód nadzwyczajnéj łaski uczyć po francuzku dwie godziny w tygodniu. Zabrali się do tego w taki sposób, że francuzczyzna ich nie przypomina mowy Corneil

(\*) *Rozkaz urzędowy*: Od czasu zaprowadzenia nowego planu nauki w tutejszych szkołach, zbiera pewna liczba dam z Mühlhaus wieczorami w swoich pomieszkaniach, dzieci uczęszczające do szkół, kwoli uczeniu takowych języka francuzkiego, zupełnie im nieznanego. Oprócz ciekawego zbioru przedmiotów wykładowych, karmią one te dzieci łakotkami do tego stopnia, że dowiedziano nam, iż malcy wychodzą z tych lekcyj z głowami ociężałemi i pełnemi żołądkami i niechęcą ani uczyć się i zastosowywać do metody przyjętój w szkołach gminnych, jako surowszój i niepołączonej z dostarczaniem wiktuałów. Gdy postępowania takowego nie zaniechano z powrotem pięknej pory roku—wbrew moim poprzednim oczekiwaniom—podaję niniejszem do wiadomości dam o których mowa, żeby raczyły z początkiem przyszłego półrocza szkolnego, nie odrywać umysłów dziecinnych od poważniejszój nauki.

Gdyby niniejsze ostrzeżenie nie było dostatecznem, musiałbym, z głębokiem ubolowaniem, uciec się do środków karnych.

*Kreis-Director.*

Dr. Schultze.



le'a i Racine'a. Podaję kilka próbek języka francuzkiego, nauczanego przez zwycięzców:

„Lorsque les Perses *appropenquae* Leonidas, il se bien *defendu*, il est *morn* sur le champ de bataille.“

Ten sam profesor mówił o *détrusion* (zapewne *destruction*—zniszczeniu) Kartaginy. On także używa *pas du tout* oraz *si du tout*.

Gramatykę francuzko-niemiecką używaną przy téj nauce widziałem w Mnichowie. Jest ona utworem jednego z tamtejszych profesorów, godnym ludzi, którzy się nią posługują. Zawiera ona zdania nakształt następujących: J'ai eu un ventre. J'avais des jambes. Les petits poissons dans l'eau *réjouissent* le voyageur i t. p. (\*).

Na szczęście, nie zapomina się ta słodka macierzysta mowa, na przekor wszelkim usiłowaniom. Dzieci bełkoczą po francuzku z prawdziwą zaciętkością. W godzinach wolnych toczą się walne bitwy pomiędzy Francuzikami i Niemczykami. Wołania: „Niech żyje Francya“ uderzają o uradowane uszy przechodniów. Panu magistrówi powstają włosy na głowie z oburzenia, więc zjawia się z pałą w rękę, kwoli zjednaniu uszanowania dla traktatu frankfurckiego.

W gimnazyum w Thann kradli nauczyciele torby studentów, w celu odebrania im katechizmów francuzkich.

Jednakże władze szkolne nie wzdrygają się uży-

---

(\*) Tłumaczenie tych prusko-francuzkich frazesów byłoby niepodobieństwem, gdyż niektóre z nich zupełnie nie mają sensu, wszystkie zaś są wprost przeciwnemi duchowi mowy francuzkiej.

wać mowy francuzkiéj, gdy chodzi o modlitwę za monarchę. Podaję okólnik francuzki, rozesłany przeszłej wiosny do nauczycielek w Alzacyi-Lotaryngii. Trudno dostać kopią tego dokumentu i nigdy nie podano go do wiadomości publicznej:

„Na mocy postanowienia pana prezydenta Niższej Alzacyi, rocznica urodzin Najjaśniejszego Pana, w Poniedziałek 22 Marca r. b. będzie obchodzoną z szczególną uroczystością we wszystkich publicznych szkołach departamentu.“

„Polecam więc, żebyś pani raczyła ostrzedz elewów swojej szkoły (wszystkich klas), że muszą przedstawić się o ósméj rano, w salach klas swoich, w odzieży świątecznej i wziąć udział w uroczystości wymienionej. Pani osobiście, ubrana świątecznie i wśród swoich pomocników płci obojga, będziesz kierowała tą uroczystością, która pójdzie torem następującym:

1-o. Egzekucya (*sic—execution*) hymnu narodowego: *Heil dir im Siegeskranz* (Sława ci, w zwycięskim wieńcu).

2-o. Przemowa dyrektora albo-dyrektorki szkoły i modlitwa.

3-o. Egzekucya (*sic*) hymnu narodowego: dwie ostatnie zwrotki.

4-o. Uwolnienie dzieci od nauki na ten dzień i odesłanie ich do domu.

„Natychmiast po ceremonii, wyprawisz pani uwiadomienie do inspektora szkolnego, potwierdzające, iż wiernie wykonałaś rozkaz niniejszy.“

Molsheim, 10 Marca 1875 r.

*Dyrektor okregu*

Baron d'Ardenne.

Na odwrotnej stronie znajduje się następująca mówka, *po francuzku*, którą nauczyciel lub nauczycielka musieli odczytać w obec dzieci, oraz modlitwa jaką dzieci musiały powtórzyć:

„Kochane dziatki!

Zebraliśmy się dziś w tém miejscu, nie dla oddawania się zwykłym zajęciom, lecz uroczystego obchodu rocznicy urodzin Najjaśniejszego cesarza Wilhelma.

Jako poddani chrześcijańscy podlegamy świętemu obowiązкови szanowania władzy, uznawania z uczuciem szczerój wdzięczności dobrodziejstw, jakowe ona wyrządza nam codziennie, oraz dowodzenia naszych uczuć miłością i posłuszeństwem.

Pismo święte, którego przepisy powinny kierować naszą konduita we wszystkich okolicznościach, tak nam wyjaśnia nasze obowiązki względem władzy:

„Lękajcie się Boga. Szanujcie króla (List św. Piotra II. 17).“

„Oddajcie Cezarowi, co jest Cezara (Mateusz XXII, 21).“

„Polecam wam więc nadewszystko, ażebyście odmawiali modlitwy, błagali i składali ofiary za wszystkich ludzi, mianowicie za króla i tych, którym władza nad wami jest powierzona (Tamże, 11).“

Podnieście więc wasze dłonie i serca do Boga i módlcie się:

„Panie Boże Wszechmogący, Królu królów i władco nad władcami, od którego spływają wszelkie łaski i wszelkie błogosławieństwa, błagamy Ciebie pokornie, pobłogosław naszemu cesarzowi Wilhelmowi, całej ro-



dzinie jego i całej ojczyźnie! Daj mu niezbędną siłę i mądrość, żeby mógł spełniać Swoje wysokie i uciążliwe obowiązki wedle Twojej świętej woli, w pokoju i sprawiedliwości. Odwróć od jego głowy i od naszego kraju złe wszelakiego rodzaju i pozwól, o Panie! żeby monarcha i poddani mogli cieszyć się z prac swoich i spożywać owoce swojego potu w cieniu Twojej wszechmocnej opieki.

„Ojcie Niebieski, który tak kochasz dziatwę, pozwól nam łaskawie rość z dniem każdym w wieku i mądrości w obec Ciebie i ludzi, ażebyśmy mogli w przyszłości spełniać godnie obowiązki nasze, jak przystoi ludziom, chrześcianom, oraz poddanym sumiennym i wiernym, ku Twojej sławie i własnemu wiecznemu szczęściu. *Amen.*“

„Ojcie nasz i t. d.“

Widzieliśmy dziatwę, której bracia lub ojcowie polegali od kul pruskich, dziatwę, w której rodzinném mieście dzwoniły pruskie kartacze, młódź, której rodziny zrujnowano, zinuszoną do wielbienia tych, co częstowali ich bombami, oraz modlenia się do Boga za tych, którzy podpalali ich gniazda rodzinne.

Przejdźmy do książek do czytania. Przedmiotu tego już raz dotknąłem. Nienawiść Francyi zionie z nich w postaci obelg żołdackich i lżeń pijackich. Zebrano w tych podłych książkach, narzucanych dziatwie szerzej i niewinnej, cokolwiek poeci francuzożercy sklecieli w rymy stosowne dla szynkowni i odwachów: bezbożne poduszczania i zbieranie zbrodniczych wyrazów nienawiści. Przysłuchujcie się im:

### Germania do swoich dzieci.

Porzućcie wasze mieszkania i chaty,  
 Niech cesarz stanie na czele!  
 Nakształt morza rozdąsanego,  
 Uderzcie na tych Franków.  
 Niech ich kości bieleją,  
 Na tych łąkach,  
 Niech ci, którymi pogardzą wilki i lisy,  
 Padną ryb ofiarą.  
 Niech ich zwłoki Ren zatamują.  
 Zabijajcie ich! Sąd historyi  
 Nie zażąda od was rachunku z ich krwi.

### Pożegnanie wojownika.

Niech mój miecz ugodzi,  
 Kula ma niech trafi  
 Serce Francuza.

### Spiew feldmarszałka (Blücher'a).

Nad brzegami Katzbach Blücher ich pokonał,  
 Tam to on Francuzów nauczył pływać.  
 Biegnijcie, weseli Francuzi, do Bałtyku,  
 I bez spodni szukajcie grobu w gardzielach rekinów.

### Modlitwa dziecka niemieckiego przed obiadem.

Był to dzień wesela,  
 W Sedanie spadł wielki cios!  
 Mac-Mahon wpadł do łapki,  
 Pojmano cesarza i całą armią!

### Pociecha niemiecka.

Serce niemieckie pozostań wierne,  
 Działaj wedle rozkazów sumienia.

Pozostaw zdradę Francuzom.  
 Bądź zacne, nabożne i wolne,  
 Zostaw Francuzom sławę niewolnictwa,  
 Ciebie niech ożywia rzetelna wierność.

Ten patryotyzm rzeźniczy nie uderza jedynie na Francją. Następujący ustęp czytamy w balladzie o Schill'u, który poległ w roku 1806 walcząc przeciw Napoleonowi:

Dzielny i waleczny Schill nadciąga,  
 Uderza na dzieci Francyi,  
 W Dobendorf, po wzięciu Magdeburgu,  
 Nasi skropili ziemię krwią francuską.

Potém uderzyli na Donitz, fortecę,  
 I wypędzili z niej żebraków francuskich!  
 O Schill'u! o Schill'u! ty dzielny wojaku,  
 Ileż-to zasadzek przygotowali dla ciebie,  
 Jak liczne hufce ciągną przeciw tobie.  
 Nawet od morza zbliża się Duńczyk, *ten wąż chytry...*

W piosence o „Czarnym orle“ czytamy:

Cesarstwo leżało zbroczone,  
 Zgwałcone i zrabowane;  
 Cudzoziemiec swoje szpony  
 Wpoił w nie, jakby na wieki.  
 Francuz, Duńczyk, Polak i Szwed,  
 Zajęli siedziby na niemieckiej ziemi,  
 Lecz ty, jednym zamachem potężnych lotów,  
 Wymiótłeś ich wszystkich z kraju.

W „Zbiorze poezyj niemieckich dla użytku szkół i kółek domowych,“ od niedawna używanym w gimnazjum strassburskiem, nie zapomniano o Alzacyi. Piszą tam, iż takowa została skradzioną Niemcom, że Bóg



zwrócił ją prawym właścicielom, oraz że odtąd zacznie się dla niej era pokoju, dobrobytu i miłości. Na ten temat muszą uczniowie recytować balladę w nowym rodzaju:

#### Strassburg.

Wydarto cię niemieckiemu cesarstwu,  
Podstępem i zdradą,  
Sumienie nasze kazało nam pragnąć odwetu,  
Za ten czyn niegodziwy.

Nakształt wdowy żałosnej,  
Smutnej, znieważonej,  
Czekałaś! Oto dawny twój kochanek,  
*Umizga się do ciebie z mieczem w dłoni.*

Zdobędzie on twoje serce,  
Swojém potężném ramieniem,  
Chociażby twoją zasłonę żałobną,  
Wypadało krwią zboczyć.

*On przyszedł na załoty,*  
*Ze swoim mieczem gibkim.*  
On znów ciebie posiedzie,  
Dla nowego, wielkiego cesarstwa.

Powyższe tłumaczenia są dosłowne. Poniżej podajemy dwa rymowane, wedle poetycznego przekładu młodego francuzkiego poety p. Henryka Second:

#### Odezwa.

Alzacyo, sioostro niemiecka, nasz związek  
Istniał od wieków, wieki się ostanie;  
Zbliż się krok jeden—twój to obowiązek,  
Myśmy pół drogi wyszli na spotkanie.

Ptaszyno, żal twój słyszała Germania:  
Wróc do jej gniazda z długiego więzienia,

Most co tak długo powrotu zabrania,  
Nadal niech będzie: węzłem zjednoczenia.

Nie odpowiadasz? Czy kochasz okowy?  
Nas niepoznajesz? O dziwna ślepoto!  
Na głos cesarstwa zdroj krwi twojej zdrowej,  
Niemieckiej, winien zatętnić z ochotą.

Niechcesz uścisnąć podawaną dłoń?  
Wyzywasz zemstę za pradziadów winy?  
Germania wiernych z pamięci nie roni,  
Lecz pomni, karci wyrodne swe syny.

Niebo szle gromy, swoi ją sprzedali,  
Germania czuje dreszcz wróżący zgonem;  
Żalé jej dzieci zagłusza brzęk stali,  
Miecz nie dźwigną ramieniem omdloném.

Francuz — *jak złodziej* — na omdlałą spada,  
Najdroższy klejnot wydziera z korony,  
Tuczy się ciałem i zwłoki okrada;  
Do guiazda wraca on z pełnemi szpony.

Minęły wieki od bolesnej straty;  
W obcych Cezarów żyjąc poniewierce,  
Ojcowie odwet przysięgli przed laty:  
Dłoń nasza spełnia — co śniło ich serce.

Już się w kielichu przebrały gorycze,  
Strumień rwie groble; już powodzi spusty  
Zmiatają rzesze wynędniałej dziczy.  
Służbę tyranów z kłamliwemi usty.

Ludzie niemiecki, chcesz się rzeźwić zdrojem  
Nowego życia? Chwyć za miecz swój rdzawy,  
Laury zdobędziesz li tylko przebojem,  
I żmudna droga prowadzi do sławy.

Od stóp szwadronów naszych, świat już tętni,  
Najeźdźców płoszy naszych huców hasło,

Do nas Alzacyo! zbliż się do nas, chętniej;  
Skruszam okowy, wzniciem miłość zgasi!

Darmo zamykasz przed bracią swe bramy,  
Na próżno bratniej unikasz opieki,  
Erwin zawołał z wieży, z nim wołamy:  
„Alzacya będzie niemiecką na wieki.“

#### Obleżenie. (\*)

Strassburg ujęto w obleżenia kleszcze,  
Płomień opasał katedrę do koła,  
Śród nocy tylko bomb gwizdy złowieszcze  
Drzeźnią modlitwie którą gród — raz jeszcze —  
O pomoc niebios przed skonaniem woła.

Patrz! tam na wieży bieleją dwie mary  
W łunie błyskawic. Choć burza dnie wściekła  
Stoją. Szkła brzęczą, chwieją się filary,  
Waż płonienisty pnie się na mur szary  
Stoją — jak Wirgil i Dante śród piekła.

Jedną za życia wzniosły tum dźwignęta,  
Który Gwelf kala dzisiaj ołtarzami,  
Drugą za życia jako wieszcz słyneń  
Z sercem niemieckiem. On te arcydzieła  
Niemieckiej ziemi wysławił pieśniami.

On teraz szepcze: „Synu niezrównany  
Srogięj Germanii, zkad twoje milczenie?  
Czyś tak z twem dziełem miłością związany,  
Że gniew cię młota i patrzysz stroskany  
Na bratnim bronzem niccone płomienie?“

Nie gań tych strzelców, lecz gań gród zuchwały,  
Co w więzach Francyi matki się zapiera,  
Niemieckich braci wyzywa postrzały,

(\*) Hugona von Blomberg.



Nie dba, iż pocisk godzący w te wały  
Wpierw przeszył bratnie serce kanoniera.“

Nad dział ryk woła Steinbach: „Nie stawiała  
Dłoń moja tumu, by z jego wyziny  
Chorągiew Francyi Niemcom urągała;  
W dymiące zgłiszczą niech go zmieniają działa;  
Z ruin dźwignijcie Niemiec podwaliny!“

Poetyczny ten jad otruły każde dziecko, które  
go nie wypłuje zawczasu.

Nie bez przyczyny pisał p. Rambert, profesor  
uniwersytetu w Zurychu i szwajcarski sprawozdawca  
z wystawy wiedeńskiej, gdy wspominał o szkolnej wy-  
stawie pruskiej, iż „śród tego zbioru globusów, map  
i książek, wypadłoby umieścić park artyleryi i pro-  
sić firmę Krupp i Ska o wielki dyplom narodowego  
wychowania.“

Proza maszeruje śladem poczyi, naksztalt piecho-  
ty za szwadronami jazdy. Historyą trawestującą w niej  
haniebnie; Ludwika XIV przedstawiają w postaci roz-  
bójnika, rewolucya francuzka była dziełem wcielonego  
szatana; wszystkie francuzkie zwycięstwa nad Niemca-  
mi wypadła kłaść pomiędzy bajki ich wynalazku; Na-  
poleon, błędąc od trwogi, wołał pod Waterloo: *saue  
qui peut* (uchodź, kto może). Jakżeż ubogą i okru-  
tną musi być literatura, która w ten sposób budzi  
wszystkie przeszłe nienawiście?

Geografia stała się dowciwnym środkiem do przy-  
szłych aneksacyj i zaborów. Np. czytamy na str. 116:

„...Marsylia i Lyon były w swój epoce (874)  
miastami niemieckimi; (\*) co do Metz'u i Strassburgu

---

(\*) W 1848 r. rewindykowali Niemcy—jak wiadomo—Medyo-  
lan, jako *miasto niemieckie*, albowiem Fryderyk Rudobrody zdobył  
raz takowe.

nie wspominamy nawet o nich. W ostatnich stuleciach posiadała Francya wielkich ministrów, którzy powiększyli swój kraj, zabierając Niemcom mnóstwo prowincyj, które do nich należały.“

Str. 167:

„...Cała Lotaryngia i cała Alzacya należały od wieków do cesarstwa niemieckiego. Francuzi zabierali je częściowo, skutkiem zdrad w pełnem tego słowa znaczeniu.“

To dzieło geograficzne uczy także, że Szwajcarya, księstwo Lichtenstein, królestwo Belgijskie, Żuławy, w. ks. Luksenburskie i królestwo Duńskie „tworzyły niegdyś część integralną“ cesarstwa niemieckiego. „Ren—dodaje ta geografia używana w szkołach alzacko-lotaryńskich—od źródła do ujścia, płynie tylko przez kraje, których mieszkańcy są pochodzenia niemieckiego. Dla tego nazywamy go najpiękniejszą naszą rzeką.“

W „Nowej Geografii“ wprowadzonej przeszłej wiosny do niektórych szkół pruskich, czytamy rzeczy następujące:

„*Cesarstwo Austryackie*: 12,000 kw. mil powierzchni i 36 milionów mieszkańców. Z téj liczby „należy“ do Niemiec 3,000 kw. mil i 9 milionów mieszkańców. Krajami niemieckimi są: Austrya ściślejsza, *Czechy*, *Szlązk*, *Morawy*, *Styrya*, *Illirya*, *Tyrol*. Prowincye nie niemieckie nazywają się: *Kroacya*, *Dalmacya*, *Galicya*, *Sławonia*, *Węgry*, *Siedmiogród*, *Bukowina* i *Kraków*.“

„Najważniejszymi wypadkami w historii cesarstwa Austryackiego były bitwy pod *Kenigracem* (8 Lipca 1866) pod *Turnau*, *Münchengratz*, *Trautenau*, *Nachod*, *Skalitz*, *Gitschin*, *Sadową*.“

Na tem kończą się wiadomości o Austrii.

Propaganda pruska podwaja usiłowań na polu szkol-



nem. I tak Berlin załewa Tyrol, Styryę i t. d. dziennikami pedagogicznymi, rozprawami historycznemi, geografiami pruskimi; posyłają nawet pełne paki zeszytów do pisania, w okładkach ozdobionych mapą Niemiec *całych*, od morza Północnego do Adryatyku.

Książkę p. t. *Simplicius Simplicissimus* (\*) przyjętą w szkołach pruskich, wprowadzono także do szkół alzackich.

Treść tego romansu może posłużyć za dowód, jakimi szlachetnemi uczuciami napawają młodzież tamtejszą.

Simplicius ujrzał światło dzienne w pustkowiach pod górą Spesart, nad Menem. W dzieciństwie doglądał trzody chlewnej, którą ceniono nad pastucha. Odziewał się w skóry zwierząt. Gdy jazda nieprzyjaciela spaliła nędzną łepiankę w której mieszkał z rodzicami, wybrał się w świat, na włóczęgę awanturniczą, błądząc póki nie spotkał pewnego pustelnika, przy którym bawił lat kilka. Po śmierci anachoryty znów się wałęsał. Później wdał się w miłostki z najwinną dziewczyną, którą porzucił wkrótce, żeby powrócić do włóczęgowskiego i nierządnego życia.

Oto treść biografii Simpliciusa.

Kilka cytatów wyjaśnia, jakiego rodzaju owoców wypada się spodziewać od młodzieży, której tymiś pojono takową literaturą.

Najważniejszą wypadek w historii cesarstwa.

(\*) P. de Schonkén Aż zwrócił uwagę ministra, podczas rozpraw budżetowych w Marcu 1876, na niebezpieczne skutki, mogące wyniknąć z wprowadzeniu książki tego rodzaju do szkół. P. Falk odpowiedział węzłowato, że nie czyta wszystkich książek, polecanych przez swoich podwładnych.



Gdy Simplicius wybierał się ze swoją trzodą na paszę, rzecze ojciec do niego:

— Chłopcze, bądź przezorny i czujny, nie pozwalaj żeby trzoda twoja rozprószyła się; graj nieustannie na fujarce, odstraszać wilki. Wilki są to czworonożne hultaje, które pożerają ludzi i zwierzęta. Jeżeli okażesz się niedbały, wygarbuję ci tył (*sie—buckel*).

— Ojciec—pyta Simplicius—jak wygląda wilk?

— O ty gburowata ośla głowa (*o du grober Eselskopf*)! Czy myślisz zostać idiotą przez całe życie? Jakto, więc ty jesteś takim bałwanem, takim wielkim gburom (*grosser Lämmel*), że nie wiesz do jakiego rodzaju zwierząt czworonożnych należy wilk?

Ta rozmowa pomiędzy ojcem i synem jest pouczającą pod wielu względami, lecz nie wyrówna rozprawy Simpliciusa z pustelnikiem.

*Pustelnik* — Jak się nazywasz?

*Simplicius* — Nazywam się lampart.

*P.* — Widzę dobrze żeś nie lampartka. Jakie imię dali ci ojciec i matka?

*S.* — Nie miałem ani ojca ani matki.

*P.* — Któż ci dał koszulę?

*S.* — Moja matka.

*P.* — Jakżeż cię ona nazywała?

*S.* — Nazywała mnie lampartem; nazywała mnie także hultajem, osłem, walkoniem, szubienicznikiem.

*P.* — Jak nazywała twoja matka swojego męża?

*S.* — Ojciec albo panie.

*P.* — Nigdy inaczej?

*S.* — O, także inaczej.

*P.* — Jakżeż więc?

*S.* — Wielki gburze (*grober Bengel*), stara świnią (*alte Sau*) i rozmaicie.

P. — Czy słyszałeś kiedy o Panu Bogu?

S. — Wisiał na papierze na naszych drzwiach. Matula kupiła go na jarmarku i na drzwiach powiesiła.

P. — Czy umiesz *Ojcie nasz*?

S. — Nie.

P. — Więc nauczę ciebie. Słuchaj: Ojcie nasz któryś jest w niebiesiech i t. d. chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

S. — Z odrobiną séra, nieprawda?

Dialog toczy się dalej na wzór powyższy. Na str. 58 spotykamy opis karczmy i pijaków, którzy w niej bawili.

„Jeden płakał, drugi śpiewał. Ten kłął, tamten się modlił. Ten krzyczał: odwagi! tamten chrapał, Jakiś maleńki człowieczek dobył szpady i wrzeszczał, że chce z djabłem wojować i ze świata go wypędzić. Inny, z wyrazem niebiańskiego zadowolenia, opowiadał o *swoich miłosnych przygodach*. Przy jednym końcu stołu kłócono się. Wkrótce rzucano na siebie szklenicami, dzbanami, talerzami, łyżkami, krzesłami. Rozbijano sobie głowy. Ciecz czerwona (*der rothe Saft*) spływała po za uszami. Burmistrz rozwalił się jak długi na kanapie, nakształt zarzniętego cielecia... elegancki oficer, z jedną nogą w powietrzu, z drugą zwieszoną, złożył głowę na wańtuchu burmistrza, jak na poduszce...”

Książki dawane w nagrodę tym elewom którzy się wyuczyli dokładnie geografii pana Bismarck'a, służą także za narzędzie wojenne, w zręcznych dłoniach rządu.

Czyż zapomnieli że niemiecki słynny pedagog, Mayer, napisał przed laty 30, te zdanie głębokie: „Biada narodom, które wprowadzają politykę i spory



stronniectw do szkół swoich, albowiem narody te prze-  
siały na skroś gangreną.

Obrzydliwy ten sposób wspominania Francyi nie  
zaciera miłości prawdziwej ojczyzny w sercach małych  
Alzacyan. Mszczą się one w sposób sobie właściwy  
za to policzekowanie i kalandr Francyi. Dyrektor miej-  
skiego gimnazjum w Mühlhaus, doktor olimpijskiej  
butelki Herman, zmuszony smutną koniecznością,  
przedzielił podwórze na dwie części za pomocą bruz-  
dy. Z jednej strony bawią się Francuzi, z drugiej  
Niemcy. Zanim wypuści dzieci ze szkoły stawia też  
policyantów przy furcie, dla opieki nad delikatnymi  
bachorkami niemieckimi.

P. Rozenberg, nauczyciel w szkole rzemiosł, którego  
można spotkać każdego wieczora na ulicy w stan-  
nie chwiejnym, zawołał pewnego dnia do uczniów: co  
podrapali niemieckiego aniołka.

— Tak, jestem tygrysem; tak, jestem lwem; po-  
każę ja wam, francuzkim dzieciom, czem jestem, że  
aż posoki z łbów wam utoczył.

Obwytając grubą padkę bił nią w prawo i w lewo,  
naksztalt człowieka owładniętego przez *delirium tre-*  
*mens*.

Gdy pan Cherbuller, dyrektor téż szkoły rzemiosł  
w Mühlhaus, zebrał w r. 1873 wszystkich uczniów  
na uroczysty obchód imienia cesarskich, ci wyszli z sali,  
wołając: „Niech żyje Francya!”

Także w Mühlhaus jeden z nauczycieli wesolój,  
germanizującej i wszechogłupiającej wiedzy niemiec-  
kiej przychodził często na wieczorne lekcye po wpły-



wem głębokiego wzruszenia. Uczniowie postanowili splatać mu figla i ofiarowali mu pyszny bukiet z kwiatów świeżo zebranych. Przyjął go z uśmiechem i napał się jego wonią przeszło godzinę. Wzrok jego tak dalece był zamglony, iż nie dostrzegł, że bukiet był trójkolorowy, składając się z niezapominajek, świerzbnie i róż pasowych.

W innej szkole w Mühlhaus kazano czytać pewnego dnia, na głos, katechizm. Jeden z uczniów przerywa z nienacka:

— Czytaj dalej—rzecze nauczyciel.

— Nie, to nieprawda—woła odważne alzackie pachole—tu stoi, że Niemcy są moją kochaną ojczyzną. Moją ojczyzną jest Francya.

Bakalarz sądził że niebo się wali. Ochłonawszy z ogłupienia spadł jak grom na biednego malca. Ten odleżał w łóżku przez tydzień za swój patryotyzm. Koledzy jego, równie patryotyczni, zrobili składkę i darowali mu „syczoryk honorowy“.

W Sarburg'u głosy dziecinne śpiewały na ulicy marsylianekę. Były one tylko echem bóleści i smutku, otaczających ognisko rodzinne.

W Wolgatzén egzaminował dzieci niemiecki inspektor z przedmiotów rozmaitych. Z rzędu przyszło do histyri świętej.

— Kto ukrzyżował Chrystusa Pana?—pyta dwięcioletniego bębna.

— Prusacy!—odpowiada dziecię bez wahania.

Inspektor spoglądał wściekle i długo na nauczyciela; ten zapiera się winy.

— Kto ci to powiedział?—pyta inspektor chłopca.

— Nikt, lecz w kościele naszym wiszą obrazy przedstawiające krzyżową drogę. Kaci Pana Jezusa noszą kończate hełmy. Oni tyle złego u nas na-

broili, że nikt inny nie mógłby ukrzyżować Zbawiciela.

Inny inspektor zapytał nie dawno dziecko, jakie miasto zdobyli Niemcy w ostatniej wojnie.

— Żadne—odpowiada uczeń.

— Jakto, a Strassburg?

— Nie wzięli go, ale go spalili—spiera się dziecko.

— A Metz?

— Także nie zdobyli... dostali go zdradą.

W innéj szkole zapytano dziecię:

— Kochasz Francją?

— Tak!—odrzekło ono namiętnie.

Nauczyciel rozplamieniony siekł je różgą.

Uniwersytet Strassburski, utworzony na mocy cesarskiego dekretu z 28 Kwietnia 1872 r., uważa rząd za kamień węgielny przyszłego prusko-alzackiego gmachu. Jak uniwersytet w Bonn sprusaczył od r. 1815 prowincję nadreńską, tak też powinien uniwersytet strassburski powodzą swojej niemieckiej oświaty wypędzić z Alzacy ciemną francuzką.

1 Maja otworzono go, przy puharach i licznych mowach. Ta naukowo-bachusowa uroczystość wyrzyła się na zawsze w pamięci Strassburczyków.

Pochód inanguracyjny szedł przez ulice przy dźwięku trąb. Na czele maszerowała przednia straż cywilizacji niemieckiej, ze strażaków policyjnych, ozdobionych w helmy najnowsze. Za nimi ciągnęli 2 studenci; jeden na niemieckim koniu, drugi pieszo.



Garderobę ich tworzyły długie buty, obcisłe kurty aksamitne i pantaloney, oraz nader eleganckie, długie rapiery. Stłuszczone ich kędziory spadały na barki, uzupełniając zupełnie niemiecką powierzchowność. Wślad za nimi szli 2 heroldowie uniwersytetu i muzykanci, grający szalone arye, na wielkich bębnach i surmach. Za nimi szedł zastęp synów muz, w czapczkach różnobarwnych i haftowanych oraz powiewnych szarfach. Drugi patrol policyi kończył ten pochód tryumfalny.

Strassburczycy zanosili się od śmiechu, patrząc na tę maskaradę.

Wieczorem rozsypali się reprezentanci zbyt wolnych nauk niemieckich, po piwiarniach; gburstwo ich wywołało tam niebawem kłótnie. Zwada w „Tawernie alzackiej“ zmieniła się w formalną bitwę.

Ułani przybiegli na pomoc studentom i dobyli broni na Strassburczyków. Pewien młody Strassburczyk, syn zamożnej rodziny, uzbrojony potężną pałą, wytrzymał pierwszy atak i uniósł w zdobyczy aksamitny kaszkiecik jakiegoś jasnowłosego syna Germanii. Policya tak zaciekle go szukała, że ledwie zdołał uciec z miasta.

Tejże nocy zdarzył się tragiczny wypadek, który spowodował śmierć profesora Aufsetz'a. Staruszek czując się źle, świsnął do jednego ze swoich kolegów o pomoc. Ten profesor prawa wziął taki gwizd za urazę nietykalnej Germanii, uniósł się gniewem i w patryotycznej zaciekłości tak zbił chorego biedaka, iż ten skonał w przeciągu tygodnia. Oprawcę uniewinniono. On sam uniewinnił się dobrodusznie, przepisując czyn swój pomyłce. Pomyłka polegała na wzięciu swojego kolegi za — *Francuza!*



Nazajutrz, 29 Maja, studenci i profesorowie zgromadzeni w Strassburgu skutkiem inauguracyjnej uroczystości ze wszystkich zakątków niemieckich, wybrali się na górę *Saint-Odile*, historyczną i sławną kolebkę Alzacyi. Ludność wsi okolicznych, która nigdy przedtem nie widziała pielgrzymów oprócz osób nabożnych z różańcami, dziwiła się niepospolicie na widok tych pielgrzymów niemieckiej nauki, zaopatrzonych w butelki i potężne kielbasy, które nieśli w ręku. Po gańskiemu libacyami skalano świętą górę, a poetyczny Auerbach, on co opiewał gorejący Strassburg, stanął pod dębem i tak powitał Alzacyą, powracającą do łona rodziny: „Jeżeli dziecko porzuciło dom rodzicielski, żeby się włóczyć z *esquadrę skoczów* i rozładacyło się w tego rodzaju wesołej kompanii, polegał na ojcu święty obowiązek, żeby takowe zabrać do domu przemocą, jeżeli nie chce iść dobrowolnie.

O ile skład nauczycieli uczących w dawniej wszechniej strassburskiej i przeniesionych do Nancy można było nazywać zbiorem ludzi poważnych i naukowych, o tyle nauczyciele nowego uniwersytetu tworzą ciążo beładniel. Wg. liczbio 86 nie znajduje się ani jedno nazwisko [znane] w świecie naukowym. Pan Mommsen, ów francuzożenca, odmiówił ofiarowaniej sobie katedry. Słynny profesor prawa, p. Windschied, także podziękował odmownie za zaszczytne wezwanie do Strassburga. Profesor historii uważany tam za wzór towarzyszy, opowiadał niedawno swoim uczniom, że w „Rzymie przygotowywano proklamację o Najświętszej Pannie, ogłaszającą taką jako czwartą osobę Św. Trójcy.

Uniwersytet ten istnieje kosztem Alzacy i pożera milion franków rocznie. Jeżeli odliczymy 45 elewów teologicznych protestanckich, znaleźlibyśmy w nim za-

ledwie 60 studentów alzackich. Każdy z nich kosztuje prowincję 10,000 fr. rocznie.

Co do pensyj profesorów, powiększono takowe z wielką korzyścią dla ludzi nauki. Profesor może teraz zarabiać bez trudu 25—3,000 franków z pensyi i wykładów specjalnych. Profesorowie fakultetu mędzynego biorą teraz 30,000 fr. rocznie, francuzkim nauczycielom płacono natomiast 6,000 fr. Marotrawo finansów alzackich doszło do tego stopnia, iż la-  
da posługacz dostaje 4,000 fr. pensyi. Urzędnicy przy bibliotece spalonej bombami kosztują 60,000 fr. Pamiętajcie, że tylko urzędnicy Biblioteki otrzymują z budżetu 166,650 fr. z tych idzie 45,000 w celu nabywania nowych książek. Oprócz tego przyznano bibliotece na 3 następne lata, dochód nadzwyczajny w summie 189,000 fr. Wydatek roczny wynosi więc przeszło 300,000 fr.

*Baseler Nachrichten* (Nowiny Bazylejskie) ogłosiły list następujący napisany przez jednego z alzackich studentów w Strassburgu do swojego przyjaciela: „Kochany przyjacielu! Pytasz czy wypada Ci przyjechać do Strassburga i dołączać do tutejszej wszechni-  
nicy, razem ze mną. Przyjazd Twój bardzo by mnie ucieszył, lecz skutkiem pewnych przyczyn radzę Ci unikać Alzacyi. Nie znamy w Strassburgu tego wesołego życia studenckiego, jakowe mieliśmy w Jenie i Heidelbergu. Nie zdołasz sobie wyobrazić nienawis-  
ści Alzacyan do Niemców.“

Wiadomo że pomiędzy studentami i nauczycielami zachodzi pewien rodzaj zażyłości. Prosektor anatomiczny zapytał w tonie szyderczym, młodego studenta alzackiego zdającego egzamin:



Publiczność zaśmiała się głośno. Lecz Strassburczyk, niemniej złośliwy, odciął:

— Muszkuły mego ramienia żeby ci dać... uścisk  
dłoni!

## 17.

*Journal of Management Education*

Nie wystarcza mi złoto Alachy-Ischanyngi; okrom  
złota i kwi od niej ~~nie mam~~. Zapiętasz też klęskę  
stańbuciwą tych dwu prowincji jest obywatelowa sta-  
cja pod praskimi chorągiewkami. Synowie muszą sta-  
nąć na boku swoich ojców; dzieci Strassburgu, Schle-  
stadt'u, Bilsch'n, Phalsburg'u, muszą stuchać i szano-  
wać wódców, którzy spaliли ich ogniska domowe. Cho-  
to płonie od wstępu na takowe wspomnienie. Jednakże  
znajdują się dusze harde i serce śmiałe, które pod na-  
ciśnięciem okoliczności znoszą to fatalne prawo, uginają  
się pod jarzmo kajańcem i w milczeniu przystają nad  
tę hańbę i boleść. Niechaj nikt z was nie ciska na  
nich kamieniem, bo widziałem ich już boleśnie. Umie-  
rają oni z tęsknoty do kraju, w tej żalobnej pójności  
ziemi, w której mieszka ich pomnikowy pułki poro-  
skie, westfalskie, brandeburskie, nakształt Włochów,  
których rozpraszano nigdzie po Oesbach, Tyrolu  
i Siedmiogrodzie. Pokazywano mi listy od tych bi-  
daków. Jakis smutek i niedola z nich wionę: „Ojciec  
dawny nam — pisze jeden — jest tak ciężary, że prosi  
go o zwolnienie”. Inny pisze: „Bija nas nakształt inny-  
now, gdy musimy być”. Pewien rozpaczający ojciec



## XI.

## Służba wojskowa.

Nie wystarcza im złoto Alzacyi-Lotaryngii; okrom złota i krwi od niej żądają. Najcięższą téż klęską służebnictwa tych dwu prowincyi jest obowiązkowa służba pod pruskiemi chorągwiami. Synowie muszą służyć zabójcom swoich ojców; dzieci Strassburgu, Schlestadt'u, Bitsch'u, Phalsburg'u, muszą słuchać i szanować wodzów, którzy spalili ich ogniska domowe. Czoło płonie od wstydu na takowe wspomnienie. Jednakże znajdują się dusze harde i serce śmiałe, które pod naciskiem okoliczności znoszą to fatalne prawo, uginają się pod jarzmo kalające i w milczeniu zgrzytają nad tą hańbą i boleścią. Niechaj nikt z was nie ciska na nich kamieniem, bo widziałem ich łzy bolesne. Umierają oni z tęsknoty do kraju, w téj żałobnej północnej ziemi, w której miesza ich pomiędzy pułki pomorskie, westfalskie, brandeburskie, naksztalt Włochów, których rozpraszano niegdyś po Czechach, Tyrolu i Siedmiogrodzie. Pokazywano mi listy od tych biedaków. Jakiż smutek i niedola z nich wioną: „Chleb dawany nam — pisze jeden — jest tak czarny, że psom go rzucamy.“ Inny pisze: „Biją nas naksztalt murzynów, gdy murzynów bili.“ Pewien rozpaczający ojciec

pokazał mi drżącą ręką, ustęp listu, odebranego od syna: „Być może, mój ojczy, że nie usłyszysz już o mnie. Życie pod tutejszemi warunkami jest niepodobne i tak niezdolne, iż dopuszcza się w końcu występku, byleby uwolnić się od niego.“

Władza żelazna, karność żelazna. Z żołnierzem obchodzą się równie brutalnie jak z armatą. Za ledwie że mu jeść dają (\*). Naczelnicy nie znają litości; rzekłbyś, iż kazano im zdawiać męczarnie zwyciężonych. „Zabór nie miał na celu uszczęśliwienia ludności Alzacyi-Lotaryngii — rzekł kanclerz na posiedzeniu Reichstagu, 3 Marca r. 1874 — wzięcie to było karą za czynny udział, jakowy ludność tych prowincyj wzięła w wojnie r. 1870... pokutą za zbrodniczy napad dokonany na Niemczech.“ Pokuta i ofiara krwawa i wieczna! Przeczytajcie kilka wierszy krótkich, naksztalt napisu nagrobkowego, ogłoszonych 14 Grudnia r. 1875 w gazecie Frankfurckiej:

„Homburg, 13 Grudnia.

Dzisiaj umarł, po czterodniowym cierpieniu, młody

Wiedomo ogólnie, że szeregowcom w armii niemieckiej płacą źle i niedźwio ich karmia. Podczas pokoju składa się cna ich racya z funtu czarnego chleba. Płacą im 36 talerów na rok, czyli 11 fran. 25 cent. miesięcznie. Z tej sumy zatrzymują około 15 cent. za żywność. Żołnierze ci dostają talerz polewki na śniadanie; obiad dają im w południe. Na wieczorek zostaje im 2 i pół sous. Jednakże większa część ich wygląda ozerstwo i nie głodno, gdyż otrzymują pomoc od rodziców i przyjaciół. Pocztą dostawia bezpłatnie lub za pół ceny jadło posyłane dla żołnierzy. W piwiarniach spotykamy rekrutów siedzących 3—4 godziny nad szklanką piwa, lecz każdy z nich ma kielbasę albo szynkę. Te spadają do ich rąk co miesiąc z rodzicielskich komi-nów.

rekrut alzacki K..., z 11 kompanii heskich fizylerów, skutkiem okrucieństwa sierżanta G."

Inny wypadek: Syn pewnego wójta alzackiego, którego nie mogę wymienić, poszedł pod chorągwie niemieckie, skutkiem nalegań swojego ojca. Jeden z przełożonych dostrzegł pewnego dnia mały usterki w jego odzieży i uderzył go w twarz. Alzacyanin dobył pałasza. Rozstrzelano go.

"Nasza młodzież" — powiadał mi pewien starzec — pała godnością i hardością prawdziwych Francuzów. Nie chcą oni służyć Niemcom, lecz zabierają ich przemocą. Ztąd też nazywają ich *Musspreussen* (Prusacy z przymusu).

Ach, jakżeż smutny widok przedstawia odjazd tych biednych rekrutów, zabieranych naksztalt niewolników. Niektórzy odurzeni winem śpiwają, chcąc się do reszty odurzyć; większa część płacze. Zbyt dobrze wiedzą oni co ich czeka.

Raz spóźnił się pewien rekrut z Mülhhaus. Odprawiają go do więzienia, lecz w drodze umknął. Polują na niego, łapią go, siekają razami; meldują, że umarł.

Na wiosnę roku 1873, w przeciągu kilku tygodni, udało się 10 rekrutom alzackim dostać z głębi Niemiec do Belgii. Wszyscy wstąpili do służby francuskiej.

Za drugiego cesarstwa nie zdarzało się nigdy w Alzacyi-Lotaryngii, żeby młodzież uciekała od poboru. Teraz ucieka od służby pruskiej ktokolwiek tylko zdoła. Obawa iż w danej chwili wypadnie służyć przeciw Francyi, sprawiła rzetelną emigracyą pomiędzy młodzieżą alzacką.

„Książę kanclerz — pisała *Ost-Deutsche-Post* w ro-



ku 1872 — dopuścił się błędu niezaprzeczonego, odrzucając petycję, błagającą o odroczenie na lat 5 poboru alzackich rekrutów. Uwzględnienie jej przeszkodziłoby wyludnieniu dwu prowincyj cesarstwa.“

Podróżując po Alzacyi dostrzegamy wszędzie brak młodych mężczyzn. Prawie wszyscy opuścili kraj, z wyjątkiem niezdolnych do służby wojskowej; zbiegi wzmocnili zastępy legii alzackiej. Warsztaty i fabryki stanęły skutkiem braku rąk. W wilię poboru roku 1870 prawie cała klasa powołana uciekła po za Wogezy. Przypominam sobie, iż władzom niemieckim udało się zebrać w Seutheim 18 żołnierzy. Dumne ze swojego powodzenia, dają im dobosza, muzykę i chorągiew i pozwalają im przeciągać po mieście, na wzór rekrutów francuzkich. Spędziwszy dzień w ochoczej pijatyce i wrzaskach, banda ta zbliża się w ciągu przechadzki swojej do granicy francuzkiej, bije dobosza, drze chorągiew i ucieka za granicę.

Rekruci posłani do Niemiec śpiewali marsyliankę, wchodząc do Moguncyi.

W roku przeszłym (1875) powołano 11,234 młodych Alzaeyan-Lotaryńczyków. Z tych 4,471 stanęło do konskrypcyi. Z téj liczby okazało się 1,596 niezdolnych do służby wojskowej, 346 zupełnie niezdolnych, 235 odroczone na rok, skutkiem reklamacyj, 1,747 skutkiem innych okoliczności. Koniec końców, wzięto do wojska 569 młodzieńców. Są to cyfry urzędowe. Więc z pomiędzy 11,234 rekrutów stawiło się tylko 4,471, tworzących tak doskonały zbiór chorowitych, kulawych, jednookich i chromych, że zaledwie 569 nie wyglądali w nowych swoich mundurach naksztalt inwalidów.

Rdzeń ludności, młodzież tworząca siłę i życie narodu, uciekła z pod panowania zdobywców. Prusy

dzierzą w łapach swoich kraj, podobny do kości pozbawionój szpiku. Egzemplarze nieuszkodzonych samców stały się tak rzadkimi, dziewcząt na wydaniu jest przeciwnie tak wiele, że nawet garbusów poszukują skrzętnie, a chromi i jednoocy żenią się bajecznie szczęśliwie.

Biada tym dzieciom Alzacyi, które doszły do wieku dźwigania karabinów, mają zdrowie i siły ku zabijaniu swoich bliźnich i z aktem przyjęcia narodowości francuzkiéj w kieszeni, wracają na chwilę do ogniska domowego, żeby ucałować starą matkę, lub stanąć przy łożu konającego ojca! Policya pruska czuwa nad kolebką dziecięcia i nad łożem śmiertelnem. Na mocy prawa, jakowe nie wiem z kąd wygrzebała, nazwała ona tych wynarodowionych—dezertarami.

Pewien młodzieniec z Bischwiller oświadczył się za narodowością francuzką. Z papierami w zupełnem porządku i z pełnem zaufaniem, przyjeżdża on z Paryża, gdzie mieszkał stale, na odwiedziny do swojej matki. Żandarmi zatrzymują go; chciano obejść się z nim jak z dezertorem, lecz uwzględniając okoliczności łagodzące wcielono go do pulku.

Podobne sprawy kończą się czasem tragicznie. Nie pisząc fantastyczną powieść, ani książkę pamiętkową i historyczną w formie lalki, lecz układając spis faktów ścisłych, autentycznych, które moge dowieść dokumentami w mojem posiadaniu, podaje czytelnikom interpellacyę, jaką p. Winterer położył na stole Reichstagu w Berlinie 19 Listopada r. 1870:

1<sup>o</sup> Jan Haemmerle; z Ober-Müsbach (powiat Pfirt, cyrkuł Alt-Kirch) urodzony w r. 1851, optował za Francyą w czasie przypisanym, wyniósł się z Alzacyi-Lotaryngii i osiadł we Francyi. Później udał się do



Bazyli; w lecie r. b. odwiedził swoich rodziców. Policya w Pfirt dowiedziała się o tém. 22 Czerwca aresztowali go żandarmi bardzo rano w domu rodziców, pod pozorem, że Haemmerle uchylił się od służby wojskowej. Haemmerle uciekł. Żandarm strzela do niego dwa razy. Po trzecim strzale pada Haemmerle. Rana była śmiertelna. Umarł on po 2 *miesiącach cierpienia*. Podpisany żywi przekonanie, iż Haemmerle optował rzeczywiście i legalnie, że wyjazd jego nie mógł być nazwany dezercją, oraz, że nie nieusprawiedliwiałoby postępowania żandarma Heym'a. Tego jednakże nie zganiono zgoła; dotąd bawi on w Pfirt, jako dowódzca tamtejszój żandarmeryi.

2<sup>o</sup> Antoni Deybach, urodzony z Lutego 1851 w Gurdolsheim, w powiecie Ruffach, cyrkule Guebwiller, optował, opuścił Alzacyą-Lotaryngią i stale osiadł we Francyi. Z pasportem francuzkim odwiedził kilkakrotnie swoich rodziców. Za każdym razem przeszukiwano ich dom, grożąc im i żądając, żeby syna wydali. 3 Stycznia r. b. aresztowano wreszcie Deybach'a, odstawiono go do Guebwiller z rękoma związanemi, z tąd posłano go do Wesel, kwoli wcieleniu gwałtem do wojska. Napróżno poświadczył burmistrz Gundolsheima'u, iż Antoni Deybach optował rzeczywiście i przeniósł się do Francyi. Napróżno rodzina Deybacha, zaopatrzona we wszystkie świadectwa o jakowych tylko pomyśleć mogła, udała się do dyrektora cyrkułu w Guebwiller, a nawet do prezydenta w Strassburgu. Dopiero w Sierpniu r. p. i to na żądanie *rządu francuzkiego* wypuszczono Deybacha *bez najmniejszego wynagrodzenia*. Dano mu tylko *cztery talary na drogę*. Podpisany wie, iż to nie był wyjątek, nie słyszał też, żeby rząd wydał ostrze-



żenie, dla obrony rodzin optantów od samowoli policyi.

3<sup>o</sup> Oświadczone z urzędu, iż opcya Alzacyan-Lotaryńczyków którzy nie przenieśli się do Francyi, jest nieważną. Reichstag oświadczył, że tym co nie opuścili kraju, przysługuje prawo głosu. Pomimo tego, optantów tego rodzaju prześladowe policya nieustannie i na różne sposoby, skutkiem bechtań naczelników cyrkułu. Nawet grożono im niezwłocznem wygnaniem, jeżeli nie odwołają swoją opcye na piśmie.“

Ta interpelacya, popierana przez deputowanych Guerber, Hartman, Simonis i 30 niemieckich posłów katolickich, pozostała bez skutku.

Władze pruskie chwytają się nakładania na rodziny zbiegów grzywien wzrastających z każdym rokiem. Lecz téż skłoniły się Prusy do pewnych ustępstw, w nadziei powstrzymania prądu emigracyjnego młodzieży alzackiej, opuszczającej kraj hurmem na miesiąc albo dwa przed konskrypcją. I tak wprowadziły do Alzacyi-Lotaryngii służbę ochotniczą jednoroczną, z zupełną prawie pobłażliwością w sprawie egzaminów. Przynętę tę połknęło kilku synów zamożnych chłopów, wodzących réj po wsiach i nie czujących skłonności do służby francuskiej albo trzechletniej wojaczki niemieckiej. Jednakże liczba rekrutów pozostaje śmiesznie drobną w porównaniu z liczbą zbiegów. Zupełnie zamatowano Prusy pod tym względem. Dowiedziono też, jak głęboko zakorzeniła się niechęć ku nim w prowincjach, w których spodziewały się znaleźć szczerp i charakter pokrewny.

## XII.

### Rolnictwo, handel i przemysł.

Spotkałem w Alzacyi chłopów nawet, owych chłopów sknerów i sobków, poświęcających drogę sobie talary z miłości dla Francyi. Od wojny polepszył się niezaprzeczenie los mieszkańców wiejskich. Jeżeli robotnik podróżał, zdrożały i ziemiopłody. Alzacya nie jest już ową tradycyjną ziemią obfitości i taniości; za mięso, masło, jaja, za wszystko słowem płacą dwakroć drożej. Jednakże pomimo pieniędzy ciulanych w wiejskich kryjówkach, rolnictwo jest w niektórych okolicach pozbawione zupełnie rąk roboczych, chociaż Prusy nie zaniechały żadnego środka, aby przeszkodzić temu fatalnemu wyludnianiu siół, gdyż jeżeli łatwo wypada zastąpić mieszkańców miast, rzecz ma się inaczej z robotnikami wiejskimi. Kraj bez ramion nie może uniknąć ubóstwa; tylko wieś produkuje, a miasto spożywa.

Rząd pragnął kupić serca w okolicy Metz'u i przedstawił się pod złotą postacią Jowisza wobec Danaí. Wszystkie rany wojenne zawiązano banknotami. Za-

płacono za drzewa złamane kulami, za rekwizycje paszy, za bydło które zdechło skutkiem zarazy! Byleby kto żądał, otrzymał wiele żądał. Biedacy którzy nieposiadali sprzętów oprócz stoła, dwóch krzeseł i siennika, kazali sobie płacić za stratę kosztownych mebli. Przytaczają przykład pastucha gminy Peltre, który zgłosił się i otrzymał wynagrodzenie za lustra, kandelabry i srebra, „jakie mógł posiadać.“ „Wypływa z tąd—pisze pewien dziennikarz messeński—że większa część powiatu Metz opływa w dostatkach. Pewny notaryusz wiejski powiadał mi, iż nie wie co robić z pieniędzmi, które przynoszą do niego; każdy chce wypożyczyć a nie ma pożyczających. Te kłopotliwe bogactwo jest połączone z innym kłopotem. Część ludności wyemigrowała. Brakuje ramion. Nasi gospodarze nie mogą znaleźć ilość ludzi niezbędną do pracy. Są oni niewolnikami swoich parobków, którzy drożą się coraz bardziej. Widziałem wypadki rzetelnych obelg, tak, obelg w całym tego słowa znaczeniu, cierpliwie znoszonych przez panów ze strony sług, żeby nie utracić takowych. Jest to licytacja przesadnych wymagań, przewrót zwykłych stosunków między chlebobawcą i służącym, rodzaj wiejskiego bezrobocia.“

Cóż ztąd wynika? Nowa emigracja do Francji złożona z tych, którzy schowali do kieszeni pruskie indyminizacje. Dzierżawcy nabrali rozumu, sprzedawali swoje mienie, odchodzili śmiejąc się szydlerczo i mówiąc: „wszak zasługą jest okradać ich.“ Ztąd nastąpiło obniżenie wartości ziemi o 15—20 od sta. Niektórzy właściciele nie mogli znaleźć dzierżawców za żadną cenę, a ziemia ich leży odłogiem. Rzadkość robotników podwyższyła niesłychanie cenę pracy. Robocizna stała się nadmiernie drogą. Gdyby nie po-



strach służby wojskowej pruskiej, możeby młódź wiejska wytrwała na roli, gdyż władze niemieckie okazują bez wątpienia dla robotników wiejskich pewne względy, których miejsca nie doznają. Gdy niszczą zwierzynę i łowią ryby na cudzej własności, żandarmi stosując się do rozkazów władzy, patrzą na to przez szpary. Dozwalają okradać pola, jak za czasów wojennych. Szkodników rolnych lub leśnych karzą z łagodnością złotego wieku. Zdaje się że wróciły dobre czasy, gdy królowie bez listy cywilnej, wydawali wyroki w cieniu dębów. Z obawy żeby nie płoszyć te ptaszki roli, oddalają Prusy wszystkie straszzydła. One potrzebują ich, szukają, chcą zatrzymać, wiedząc że nie zdołają ich zastąpić emigrantami z Niemiec, którzy uciekając przed służbą wojskową szukają bezpieczeństwa i spoczynku w Stanach Zjednoczonych.

W szerokim obrębie handlu i rękodzielnictwa, rząd niemiecki nic nie stworzył, nic nie wzmocnił, nic nie rozwinął. Obchodzą się wciąż z Alzacyą, nakształt z bogatą i żyzną kolonią, przeznaczoną dawać lekki chleb tym, którzy ją zdobyli. Eskploatacja ta odbywa się bez wstydu i sromu; jest to formalne wycinanie w pień narodu i kraju całego. Te piękne i wspaniałe lasy Lotaryngii i Alzacyi, z których 400,000 hektarów odbierała Francya 550,000 fr. dochodu, podają pod świętokradzkim żelazem Niemców. Echa toporów rozlegają się w nich od świtu do nocy. Możnaby rzec, iż spieszą się ze splondrowaniem téj ziemi, jak gdyby nie byli pewnymi, czy ją zatrzymają w posiadaniu.

Francya odstąpiła Alzacyą-Lotaryngią bez skazy długu. Te prowincye szybują dziś z wydętymi żaglami po oceanie pożyczek. Zamiast zwolnić podatki, wedle przyrzeczenia, powiększono je w każdej rubryce.

Deputowany Germain dowiódł, iż od własności płacącej w r. 1873 fran. 616 cent. 60, wymagano w roku następnym 857 fr. 47 c. czyli o 237 fr. 87 c. więcej. Zakład rękodzielniczy w Strassburgu, który płacił w r. 1871 fr. 476, musiał płacić 719 fr. w r. 1872, 785 fr. w r. 1873, 842 fr. 45 c. w r. 1874. Stworzono nowe podatki. Podwojono podatek na wino. Opłata od pędzenia wódki uniemożliwia wyrób takowej na wsi. Rogatkowe, niższe przez trzy lata, zdwojono nagle.

Kupcy i przemysłowcy niemieccy którzy osiedlili się w Alzacyi—zajmując się wyłącznie prawie handlem tytuniu, szynkarstwem, spekulacją zbożem i ziemią, wekslarstwem, faktorstwem i korzystaniem z cudzych interesów, giełdziarstwem i awanturnictwem, zbankrutowali laniebnie, omal bez wyjątku. Ofiarą ich nieuczciwości padł handel strassburski. „Strassburg—mówił mi pewny mieszkaniec tego miasta—był głównie narażony na ten najazd nowego rodzaju, skutkiem swojego sąsiedztwa z Badenem. Alzacya wydawała się tym korsarzom zareńskim naksztalt rajy prawdziwego albo kopalni złota—Kalifornii. Odczarowanie ich, gdy poznali rzeczywiste położenie, nie znało granic. My także pozbyliśmy się naszych złudzeń co do owych poważnych cnót niemieckich, tak chwalonych w dziennikach i książkach.“

Od czasu wielkich popłochów finansowych w Wiedniu i Berlinie, stan interesów pogorszył się o wiele; zastój stał się ogólnym. Korespondent niemiecki do Kuryera Niższego Renu pisał w r. 1874, iż jeżeli zastój ten potrwa dłużej, handel niemiecki będzie zrujnowanym bez powrotu. Jedną z przyczyn téj klęski upatruje w zwyczaju kupców niemieckich, aby się

wzajemnie „ogadywać i pozbawiać jeden drugiego téj resztki kredytu, która im została.“

Inny korespondent opisuje wypadek, który spotkał piwowara niemieckiego, upominającego się o swoją należność. Zapłacono mu kijami.

Niemcy uciekli się nawet do używania téj mowy Irokezów, którą nazywają francuzką, byleby zawiązać stosunki handlowe z Alzacyą. Dosłowne kopie listów odbieranych przez pewnego szanowanego fabrykanta w Mühlhaus zawierają ustępy, na wzór następującego:

*„Tous ausi peu, qu'on puis nager contre le courant, on ne puis s'opposer pas contre la direction en hausse d'une conjoncture, et une impossibilite i t. d. (\*)*

Kupiec które mi te listy pokazywał zauważał: „bez wątpienia wypadnie naszym panem zadać sobie dużo pracy, zanim się zrozumiemy.“

Jeżeli kupcy niemieccy raczą pisać francuzkie listy do Alzacyan, nie wolno ostatnim używać tegoż języka, pod karą następującej niemieckiej odpowiedzi od „braci niemieckich:“

„Paniel

Jeżeli, będąc poddanym cesarstwa niemieckiego, chcesz dłużej używać mowy francuzkiej w obec swoich kundmanów, powiem ci z niemiecką otwartością, że postępowanie twoje jest dowodem niedołęztwa i połączone z niedogodnością. Dlatego zwracam list twój i fakturę. W podobnych wypadkach nie rozumiem po francuzku.

Zresztą gdybym był na twoim miejscu, uważałbym sprzedaż tego oleju do smarowania tak cennego

---

(\*) Tłumaczenie nie może oddać śmieszności tego ustępu nie gramatycznego.



w Niemczech, za ubliżenie własnej godności; zatrzymałbym go, a gdy znów będziecie mieli *grrrrrand patrie et gloire et revanche* („wielką ojczyznę i sławę i odwet”—słowa te umieszczono w tym niemiecki liście po francuzku), możesz nim smarować nogi okryte czerwonymi pantalonami. Będą biegły tem lepiej; skutkiem doskonałości twojego tranu walna oblawa na nie będzie trudniejszą nad ową w r. 1870—1871.

Otto Gnaker.“

Nie dziw że handel Alzacyi, na przekor szrankom celnym wzniesionym skutkiem traktatu francuzkiego, zwraca się przeważnie do Francyi. Zachodzą też inne względy przyczyniającego się do tego, mianowicie że fabrykanci francuzcy nie znoszą się bezpośrednio z hurtownemi domami ale ułatwiają swoje interesa za pośrednictwem domów zleceń, które nie wymagają i nie dają nad 30 dni kredytu, więc kapitał wyłożony przez fabrykanta wraca w przeciągu miesiąca. W Niemczech wymagają 6—9 miesięcy kredytu, co zmusza fabrykanta do większych wkładów i wiąże wyłożony kapitał w bezczynności.

Dla tego zapewne pracują fabryki alzackie dla rynków francuzkich, obsługując niemieckie tylko wtedy, gdy tamte nie zajmują całego ich czasu.

Aneksacya Alzacyi zniszczyła pomimo powyższych okoliczności przemysł bawełniany niemiecki. Tkacze niemieccy wołając o pomoc, przyznali, iż wcielenie prowincyj zarenńskich pozbawiło ich zajęcia. Wyroby alzackie, lepsze od niemieckich, zabiły rękodzielnicztwo Szlązka tudzież innych pruskich prowincyj.

Znaczna liczba wielkich fabrykantów alzackich nie chciała żyć pod panowaniem pruskim i przeniosła się do Elbeuf, Vire, lub Sedanu. Sukiennicy którzy zostali, zaledwie utrzymać się zdołają. Niemcy za-

łożyli wielką fabrykę w Bischweller, lecz takowa zbankrutowała po 2 latach. Mniejszym fabrykom wiodło się nie lepiej. Miasto to, posiadające przed r. 1870 kwitnące fabryki sukna, dziś wygląda na kształt szeregu ruin.

Mały handel cierpi niemniej niż hurtowny. Zaprorowadzenie pruskich pieniędzy spowodowało rzetelny przewrót ekonomiczny na niekorzyść tubylców, gdyż robotnicy placeni tą monetą tracą 10 centimów na każdym talarze. Spekulując na nieznajomość ludzką, sprowadzają Niemcy mnóstwo ośmiogroszuwek, tak zwanych polskich, które nie mają legalnego kursu. Rząd sprzyjał ażyotarstwu wyczerpującemu kraj cały od lat 4, gdy zaprowadził w Alzacyi przymusowy kurs talarów. Marki złote tak dalece nie są lubione, iż przy każdej zamianie wypada tracić 1 lub półtora franka. Łatwo obliczyć straty wynikające ztąd dla kupców, którzy muszą płacić weksle wystawiono na franki. Przed rokiem nie przyjmowały banki alzackie banknotów francuzkich; dziś gotowe by prosić o nie na klęczkach. Za monetę francuzką płacą premium.

Interesa tych banków nie kwitną. Owe mnóstwo bankierów niemieckich którzy się zbiegli po wojnie do Strassburga, nie utrzymali się na powierzchni, lecz napowrót zatopili w brudnych falach, które je wypłyły ze swojego łona.

### XIII.

#### Metz.

Przyjechałem do Metz z pierwszym brzaskiem jutrzni. Jesienne słońce, zamglone i nie skwarne, oblewało ukośnemi promieniami nie uszkodzone waly miejskie i dachy ścieśnione dokoła katedry naksztalt stada, szukającego opieki. W białem tem świetle wydawała mi się ta wieża gotycka jakby obwita calunem śmiertelnym. Smutny ten widok, to wrażenie pogrzebowe, zapowiadają już przed przebyciem progów świątyni, że Dziewica owdowiała i zarzuciła na czoło zasłonę żałobną.

Obok starego dworu kolei budują nowy—czysto wojskowy, ciężki, ogromny, urządzony do wyładowywania armat.

Policja czuwa z wielką uwagą nad przybywającymi i odjeżdżającymi pociągami, zgłębiając okiem wnętrza wagonów, kwoli zapewnieniu się, ażali nie zawierają one studenta francuzkiego w mundurze, albo Alzacyanina, wykraczającego przeciw przepisom zobowiązującym optantów. Strażacy miejscy i żandarmi



oglądają cię, jak gdyby kilka listów gończych dzierżyli z opisem twojej osoby. Biada biedakowi który wpadłszy w ich ręce śmie być krnąbrnym; pałasze ich przebyły kampanie i były w złej kompanii, więc prowadzą się na wzór kordelasów.

Pierwsza osoba spotkana w hotelu, nazywa się pani policya. Zanim pozwoli ci wejść do zamówionego pokoju, przedstawi ci rejestr, w którym musisz wypisać swoje nazwisko, stan, z kąd przybywasz, dokąd jedzie i poco przyjechałeś. W Mnichowie posuwają dalej to śledztwo, gdyż pytają jakiej jesteś religii, czyś żonaty, czy masz dzieci, ile dni zabawisz, czy masz papiery legitymacyjne i t. d. Gdy Prusy leżały w Niemczech, pojnowałem cel tej ostrożności, obecnie, gdy Bawarya leży w Prusach, wydaje się ona zbytęczną.

Wjeżdżając do Metz przez bramę *Serpnoise*, którą Niemcy przewali *Bahnhofs-Thor* (brama dworca k. ż.) spostrzegamy wielką kasarnię o zbójcekiej powierzchowności, zaszczyconą wspaniałem nazwiskiem panującego. W przeciwnym końcu miasta, na placu *Chambièrre* znów widzimy koszary niezmierniej wielkości, które nazywają kasarnią „króla Jana.“

Nie spotykamy prawie nikogo na ulicach. Rzadko mija nas powóz albo mieszczanin w odzieży cywilnej. Za to na chodnikach dźwięczą pałasze i ostrogi.

Prusy czują się tu mniej bezpiecznemi, niż w Strassburgu. Gmach wojskowy jest bez wątpienia niezachwianym, ale gmach moralny spoczywa na piasku. Najezdników otacza pustynia ludzka; z Messenńczyków zostali tylko starcy, lub wyrobniecy, których dzieci nie dorosły jeszcze do wieku konskrypcyi.

„Dlaczego zostałeś w domu?“—pytano sześćdziesiątletniego starca w dniu optowania. Wskazując

palcem na blonia zasiane żałobnemi, czarnemi krzyżami, zapytał: „kto będzie czuwał nad niemi?”

Ludność francuzka zmniejszyła się z 48,000 osób na 18,000. Liczba uciekających z téj ziemi opustoszenia i żałoby wzmagają się codziennie. Obecnie liczą przeszło 3,500 niezajętych pomieszczeń. Przy ulicy Serpenoise, najpiękniejszej w mieście, rzucają się w oczy na każdym kroku kartki z napisami: „hotel na sprzedaż,” „dom na sprzedaż,” „mieszkanie do wynajęcia.” Widzimy znaczną ilość zamkniętych sklepów. Handel niemiecki równa się zeru. Messeńczyk nie wstąpiłby do sklepu niemieckiego, choćby tylko dla zapalenia cygara.

Pisano z Metz, 18 Września 1872 r., do Kurjera Niższego Renu (organu pruskiego): „Głucha, złowroga cisza zalega nasze mięso. Nie zapierajmy się prawdy: ulice opustoszały, a co gorzej, interesa zamarły. Patrzyłem dziś na rzecz nie raz już widzianą: zabierano wszystko pewnemu człowiekowi, zostawiając go że tak powiem w koszuli tylko, kwoli odebrania od niego podatków. Nie trzeba być prorokiem, żeby przepowiedzieć skutki tego stanu rzeczy. Powiecie, dzieje się to w każdym mieście. Zgoda, lecz nigdzie tak często, jak w Metz.”

Przemysłowcy zarenscy, którzy zbiegli się do zwojowanego miasta nie poto, aby przynieść pieniądze, lecz żeby zbierać takowe, zbankrutowali z rządu i runęli, nakształt karcianych pałaców. Wojskowi i urzędnicy niemieccy nie są ani tak liczni ani bogaci, żeby mogli zasycić regularnie handel miejscowy. Zresztą, ci którzy przybyli do tego kraju na wzór najazdu Żydów do ziemi obiecanej, nie należą zgola do śmietanki społecznej. W kilka dni po optowaniu, rozmawiał pewny obywatel Metz'u, który wstąpił do

prefektury skutkiem interesów, z p. baronem de Koenneritz, ówczesnym prefektem. W toku rozmowy wspomniął o odrazie, doznawaną przez ludność przeciw panowaniu niemieckiemu.

— Czy prawda—pytał Messeńczyk—iż rząd wasz patrzy z przyjemnością na tę bezustanną emigracyą? Dzienniki są tego zdania. Jeżeli popełniłem indyskretyą zadając takowe pytanie, nie odpowiadaj pan.

— Nie popełniłeś indyskretyą—odparł p. Kenneritz — i odpowiem szczerze i prawdziwie. Liczne wynoszenie się tubylców, wywożących całe swoje mienie, nie przypada nam do smaku, albowiem gdy wiemy kogo tracimy, wiemy jeszcze lepiej, kto przybędzie natomiast.

Słowa te usprawiedliwiła niebawem konduita wszystkich kolonistów, którzy idąc śladem wojskowego najazdu, wzmocnili cywilny najazd zbankrutowanych handlarzy, urzędników odprawionych i awanturników wszelkiego rodzaju. Wsparcia w ilości 2,000 fran. udzielane przez rząd dla osiedlenia rasy niemieckiej w zdobytych prowincjach, poruszyły szlam i wypędziły pijawki na wierzch. W rok po zaborze liczono 200 bankructw w samym Metzl

Kolonia niemiecka liczy obecnie dusz 16,000. Garnizon wynosi 15,000. W niedziele wszystko to roi się po ulicach i na przechadzce. Metz ożywia się w tedy życiem jarmarcznem albo zapustnego Wtor-ku. W powietrzu tętnią kłątwy pijaków, wrzaski i wycia, dźwięki ostróg i szczęk pałaszów. Wyobraźcie sobie jaki wpływ kwarta mozelskiego wina na ludzi, których piwo nawet czyni zwadliwymi. Dzień kończy się sińcami pod oczyma, guzami, często krwawemi zatargami pomiędzy żołnierzami pruskimi i bawarskimi, tymi nienawistnymi braćmi.



Messeńczycy nie wychodzą prawie, lecz żyją w domu, pomiędzy sobą i dla siebie. Dony ich przypominają małe fortece, których mieszkańcy obwarowali się przeciw zarazie pruskiej. Most zwodzony spuszcza tylko przed tymi, którzy przychodzą z hasłem: „Francya!“ Wewnątrz spoczywają opłakiwane i czczone relikwie ojczyzny, tam płonie lampa gorejącej wiary i nadziei. Wieczorem brzmi do koła ogniska modlitwa uciśnionych: „Boże, kiedyż nas uwolnisz? Kiedy rozpędzisz tych, którymi wicher twojego gniewu zawałił nasze progi? Boże wątplych, Boże cierpiących, zlituj się nad nami!“

Wejźdźmy do téj świątyni. Ściany ozdobiono malowidłami patryotycznymi. Tu widzimy symbol Alzacyi i Lotaryngii w postaci sióstr opasujących się ramionami. Dłonie ich splecione, oczy utkwiliły w niebiosach; stoją i czekają. Tam wiszą kopie znanych obrazów: „Odwrot“ i „Stracona placówka.“

Ojciec siwy jak gołąb czyta dziennik francuzki, spóźniony o 3 dni, gdyż przeszedł przez ręce władz pruskich w Strassburgu, zanim pozwolono go doręczyć w Metzu. Matka duma w swoim fotelu o przeszłości, a czoło jój rozjaśnia niekiedy słodkie przypomnienie dawnych pamiątek. Dzieci bawią się na dywanie w grę „chorągwi.“ Ta dowcipna zabawka przedstawia katedrę Metz'u, z trójkolorową chorągwią na szczycie dzwonnicy. Manikin w mundurze żołnierza pruskiego kusi się bezwocownie aby zedrzeć takową. Wiadomo, że chorągiew francuzka powiewała nad Metz'em swojemi trzema barwami aż do przeszłego roku. Władze niemieckie wzywały na próżno najzręczniejszych pokrywczy dachów... żaden nie chciał się podjąć zdjęcia chorągwi. Na próżno ofiarowano

30 talarów nagrody Niemcowi, któryby zdarł takową... żaden nie ośmielił się.

W tych domowych tajnikach zbierają się osoby pokrewne i poufale, wynurzając się wzajemnie, pocieszając i krzepiąc. Kapitał honoru i wierności tego miasta tak jest niewyczerpany, iż pomimo lat pięciu panowania nocy cudzoziemskiej, nie zdjęło ono marmurowej maski, wdzianej w dniu gdy je zdradzono i zgwałcono. Te domy zamknięte wołają głośniej nad usta otwarte do zaborców: „nianawidzimy was, nie cierpiemy, wstręt ku wam czujemy!“ Gdy żołdactwo garnizonu przechodzi pomimo okien, spuszczaają firanki, gdy muzyka zagra, zamykają żaluzie. Dają im do zrozumienia na wszystkie sposoby, że oni są tu tylko doczesnemi panami kupy kamieni, lecz że dusze i serca tutejsze należą do Francyi.

Jest to protestacya codzienna, każdej chwili, tem energiczniejsza, im poważniejsza i spokojniejsza. Jest to opór bezwładny, którego nie nie uszczerbi ani uszkodzi, nienawiść piękna i zacna, pewna siebie, wylewająca się objawami namacalnemi, jednakże nigdy nie podlegającemi karom. Niemcy pojęli to ogólne usposobienie umysłów; szlachetniejsi z pomiędzy nich nie mogą nie podziwiać go i zataić swe uczucie podziwiania. Ono niepokoi ich, oziębia, napęśnia ekliwością, która wnet im zatruwa pobyt w zabranych prowincjach. Skutek ten okazuje się tak jawnie, że wojskowi a mianowicie oficerowie, pałają jedną tylko żądzą po kilku tygodniowym pobycie i jedno tylko wyrażają życzenie: żeby opuścić tę sercem niegościnną ziemię i szukać inną, sympatyczniejszą.

Pierwsi trzej prefektowie Metz'u przebiegli tylko przez te bolesne miasta. Męczarnia pobytu w nim

była nad ich siły. Poddanie się pozorne—bunt w rzeczywistości, oto stanowisko Metz'u.“

— Gdy Francuzi rozprawiają z nami—mówił pewny urzędnik niemiecki—oko ich zawsze ku drzwiom spogląda, a stopa wciąż gotowa do skoczenia za próg.

Skoro zauważają, że Niemcy uczęszczają do jakiej kawiarni lub restauracji, przestają tam bywać. Zresztą nawet służba źle przyjmuje Niemców, zwłaszcza że nigdy nie zostawiają dla niej nad parę grajcarów (3 centymy) poczesnego. Wolą oni cisnąć się w cesarskich piwiarniach, gdzie im wolno wygodnie pluć, palić, drzemać i jeść kielbasy.

Metz jako miasto arystokratyczne i wykwintne, zawsze lubiło stroje i teatru. Dawniej odbierał teatr 50,000 fr. rocznej subwencji. Nie wiem ile teraz mu płacą, lecz wiem, że gdy urządzono w nim z polecenia władzy szereg przedstawień opery włoskiej, ani jeden Messenńczyk nie przyszedł na nie. Ktokolwiek by się odważył wykroczyć przeciw „narodowej żałobie“, podpadłby kłątwie społecznej, wykluczając go z towarzystwa messenńskiego.

Dawniej odbywały się w wiosennych i jesiennych popołudniach zroki dandysów i elegantek tutejszych na pięknej przechadce, zwaną „Esplanade.“ Damy zjawiające się na niej w naszych czasach w strojach błazeńskich, z szynionami nakształd uwiezionych balonów, spotykają kawalerów których narodowość odgadniesz z niepospolitej ociężałości członków.

Światowe damy tego roztrzepanego miasta przyjeły zwyczaje pustelników, nie smakują w strojach i tylko wtedy wychodzą, gdy niemieckie panie nie pozbyły się jeszcze ubioru kucharek i myją talerze. Owa niegdźś cudna okolica Metz'u przedstawia się dziś jeszcze nakształt obrazu spustoszenia i śmierci.



Okropna wojna sratowała gazony, wykorzeniła drzewa, wypróżniła i obaliła dwory. Widzę tylko kurhany, uwieńczone czarnymi krzyżykami. Jakżeż długo będą stopnie wiodące na wyżynę potęgi i sprowadzające z niej, składać się ze samych trumien?

Biedne zwłoki spoczywające tu, wszak i wy jesteście jeńcami!

Na Esplanadzie wznosi się dotąd pomnik marszałka Ney'a. Cześć ci, o sławne dziecko Saarlouis, synu skromnego bednarza, zwycięzco pod Elchingen, ty, który 50,000 niemieckich jeńców wziąłeś w Ulmie. Pod Lutzen i Bautzem pokazałeś nieprzyjaciołom, czego dokaże miecz dzierzony w dłoni walecznej i nieskażone serce w piersi męża nieznającego trwogi!

Z Esplanady ocienionój rozłożystymi drzewami patrzymy na rozwijającą się perspektywę pasma pagórków, na których szczycie rozłożyła się warownia Saint-Quentin. Jój wyjątkowe położenie czyni ją niezdobytą. Przy Ban-Saint-Martin zostały się tylko dwa drzewa. Ludność nazwała je „Bazaine“ i „Coffinieres.“ Zawziętość tutejsza, rozjątżnienie i oburzenia ku byłemu marszałkowi ten tylko zdoła pojąć, kto widział Prusy panoszące się w téj fortecy, którą nie drasnęła żadna bomba nieprzyjacielska.

Pomimo srogiego zachowania się Lotaryńczyków, władze niemieckie wysilają się na postępowanie bardziej ojcowskie i mniej łotrowskie niż w Alzacyi. Wobec ludności czysto francuzkiej są one zmuszone ogłaszać swoje dekreta w dwu językach. Nazwiska ulic wypisano po francuzku i po niemiecku. Wyższym urzędnikom polecono widocznie zachowywać się z umiarkowaniem; sposób prowadzenia nakreślony dla nich zmierza do uspokojenia. Niechaj jak chcą ugiują się i przemawiają, każdy odpiera ich względy

obojętnie i nie chwieje się w swojej nienawiści. Wysokie duchowieństwo otoczono tysiącami pieczęci. Nie znają tu prześladowania religijnego. Stłumiono wprawdzie listy pasterskie j. ek. Dupont, lecz był to jedyny krok surowy ze strony władzy. Nie dopuszcza się ona drobnych dokuczliwości i nawet powiększyła pensję duchownych, dając proboszczom pierwszej klasy 2,400 fr. (za czasów francuzkich płacono im 1,600 fr.), drugiej klasy 1,800 fr. (zamiast 1,200). Kanonikom przy kapitule płacą 2,400 fr. zamiast 1,600 fr.

Jednakże duchowieństwo messeńskie nie pochodzi ze szczepu Iskariotów, więc zachowuje swoją wierność dla ojczyzny i chorągwi francuzkiej, zarówno z czcią dla kalwaryjskiego krzyża. Czasem odważa się nawet na niebezpieczne demonstracye. Biskup Dupont des Loges nie zaniedbuje żadnej okoliczności, aby odświeżyć pamięć męczenników ojczyzny i nazwiska wielkich umarłych, który zasiali na bojowiskach siew przyszego zbawienia.

Gdy we Wrześniu 1871 r. odprawiano nabożeństwo za bohaterów poległych pod Bezonville, Dorny i Saint-Privat, zamknięto wszystkie sklepy w mieście, a protestanci i Żydzi zebrali się w swoich świątyniach o tej samej godzinie, o której katolicy ich bracia modlili się w katedrze pod przewodnictwem biskupa.

Następująca anekdota przedstawia w kilku zarysach całą szlachetność charakteru biskupa Metz'u.

Władze pruskie chciały trzymać wartę u bramy biskupiego pałacu, na wzór czasów francuzkich. Pan Dupont des Loges napisał do prezydenta departamentu, iż widok sztyldwacha pruskiego był dlań nieznośnym i że obejdzie się bez niego. Prezydent odpowiedział, iż Prusom chodziło o ten dowód uszanowania dla naczelnika kościoła, więc że warta jest nie-



zbędną. Biskup znów protestuje, prezydent raz jeszcze odpowiada w sposób niezadawalniający. Jego eks-celencya traci wreszcie niecierpliwość, wdziewa swój ceremonialny ubiór, posyła po wielki odkryty powóz i każe wsiąść doń sztyldwachowi obok siebie.

Żołnierz wahał się.

— Rozkazuję ci, żebyś spełnił moje żądanie—ręczę biskup.

Wszyscy myśleli że aresztowano biskupa, widząc go jadącego w towarzystwie żołnierza. Ludność biegła za powozem krzycząc i odgrażając się. Konie pędziły czwałem, póki ich nie zatrzymano u bramy prezydenta departamentu.

Biskup kazał żołnierzowi towarzyszyć sobie.

— Mój panie—ręczę j. ek. Dupont des Loges do naczelnika władz pruskich—ponieważ nie chciałeś zabrać swojego sztyldwacha, odwożę ci go.

Powtarzają się tu usiłowania, kwoli zjednaniu wcielonych łagodnością i daleką nadzieją zwrócenia wolności. Niemcy rozsieli zrzęcznie pogłoskę, jakoby w danym razie zamierzali zwrócić Lotaryngią Francyi. Więc Prusy uzbrajają się nie żeby brać więcej, lecz żeby oddawać? Czyż w dniu, w którym ofiarują Francyi Metz, ta nie będzie mogła odebrać nietylko Metz, ależ Strassburg? Kiedyż to skłoniły się Prusy, żeby dobrowolnie ścieśnić obręb swoich posiadłości?

Kiedyż to orzeł szybujący nad Europą opuścił cokolwiek ze swoich szponów?

— Nie—zapewniał mnie pewien Messeńczyk—nie, nigdy nie zgodzimy się powrócić do Francyi sami. Niemcy przykuli nas do Alzacyi. Z nią wolność i z nią niewolę zniesiemy. Powiedźcie tym, którzyby się pocieszyli za stratę Alzacyi odzyskaniem Lotaryngii, iż są tchórzami bez patryotyzmu i serca. Nie



pieniężdmi ale żelazem powinna nas okupić Francya. Honor wiąże nas z Alzacyą. Strzegąc go nie skona-  
my. Mój panie, ostrzeż Francyę, żeby się nie da-  
ła oszukać dobroduszością niemiecką.

W kwestyi straży ogniowej ustąpiły władze prus-  
kie o tyle, iż pozwoliły strażakom zachować mundur  
francuzki, z wyjątkiem hełmu i godeł. Zgodzono się  
także, iż pompieri będą tylko gasili pożary w domach  
prywatnych, wojsko zaś zajmie się koszarami i gma-  
chami państwa.

Rada municypalna Metz'u została czysto francuz-  
ką i nigdy nie chciała złożyć przysięgi. Ogranicza ona  
swoje czynności na bronieniu każdego cała swobód  
miejskich. Chciano i jęj narzucić, jak to uczyniono  
radzie strassburskiej, kupno gruntów niezabudowanych  
po za obrębem wałów. Lecz ona się opiera. Nikt  
nie chce budować. Znam Messeńczyków, którzy wolą  
nie wydzierżawiać zgoła swoje domy, niż wynajmować  
je Niemcom.

Nie poruszono, wywrócono i zburzono Metz'u na-  
kształt Strassburgu. W mieście nie spotykamy no-  
wych gmachów. Za to za miastem wzniesiono 4 no-  
we warownie, stare odbudowano lub wzmocnio-  
no. Wszystkie te pozycye połączone podwójną ko-  
leją żelazną i telegraficznym drutem. Najbardziej  
wysunięte warownie zaopatrzono w wieże rewolwujące,  
o żelaznych pancierzach mających 8 cali grubości, ce-  
lem opierania się najpotężniejszej artyleryi. Waro-  
wnie te, zaopatrzono w żywność na lat kilka, opasują  
około 15 siół, oraz liczne zamki, fermy i wille. For-  
tyfikacye mierzą 24 kilometrów obwodu. Metz odda-  
no wyjątkowo pod komendę generała należącego do  
pruskiego głównego sztabu. Wiadomość o tem posta-

nowieniu wywołała żywe wrażenie w roku przeszłym w prasie i świecie wojskowym w Berlinie.

Armia pruska pracuje ciężko. Marsze dzienne, marsze nocne, rekonesanse niezliczone odbywane przez drobne oddziały lub bataliony, udane napady na warownie otaczające Metz, wycieczki w bory i po górach, gimnastyka w koszarach, bezustanne strzelanie do tarczy i t. d. zajmują żołnierzy bezustannie jak gdyby jutro musieli wyruszyć na nową kampanię.

\*

Noc zapadała. Cmentarna żałoba zalega tę piękną i wielką ulicę Serpenoise, którą niegdyś oświecały o tejże godzinie kawiarnie, na której brzmiały niegdyś nuty francuskiej wesołości naksztalt pobudki. Miasto to zniszczone, miasto to martwe, przypomina niezmierne więzienie, ogromne koszary.

Hałas koncentruje się do koła odwachów. Tam ściskają się, tam rzucają się Prusy na mięsiwo, tam sycą się rozkoszami obżarstwa i opilstwa. Zgrzyt żujących szczęk żołnierskich miesza się tam z cmokaniem prostaczych całusów. Garganta i Garganella zasiadły nad swojemi pasztetami, tonąc w zwierzęcych uciechach. Widok tego obrazu nabawia nas ckliwości. Metz—dziewicę poniżono do rzędu jawnogrzesznic. Śród dziesięciu przechodniów poznamy 6 żołnierzy i 3 nierządnic. Ich splecione cienie toną w oberżach lub pustych uliczkach. Szynkownie i piwnice przepełniają śpiewające i śmiejące czeredy garnizonu. Z piwiarni wylatują bachusowe hałasy. Kawiarnie beczą i wyją na cześć Germanii; każdy szynk popisuje się koncertem na flecie albo na skrzypcach i zdobi się *Gretchen*'ami o kędziorach ciemnych lub jas-

nych, które poświęcają się stale na usługę świątyń  
wątłej cnoty.

Z liczby urodzin wpisanych w r. 1872 w Metz'u,  
połowa tylko wynikała ze związków ślubnych. Te do-  
bre obyczaje trwają i krzewią się. Śród tego miasta  
rzuconego na pastwę żołądactwu, wyglądają domy oby-  
wateli mienneńskich smutnie, nakształt grobowców obla-  
nych bladym światłem księżyca. Zatrzymajmy się  
przed bramą zamkniętą szczelnie i zabarykadowaną  
wewnątrz... słuchajmy... usłyszymy ciszę Wenecyi.

W Marcu 1871 przejeżdżał cesarz Wilhelm przez  
Metz. Konie powozu pędziły cwałem. Władze prus-  
kie, nie ufając w „niemiecki“ patryotyzm mieszkańców,  
nakazały kupcom trzymać sklepy otworem, pod karą  
4,000 fr. Wielu wołało zapłacić grzywny. „Możecie  
wziąć nasze sakiewki—wołali ci dzielni ludzie—lecz  
nie dostaniecie serc naszych.“



## XIV.

## Mühlhaus.

Pan de Bouvrois zawołał, wjeżdżając do Mühlhaus w r. 1814: „Mühlhaus wybrał los na klejnot Alzacyi; Strassburg będzie jój strażnicą, Mühlhaus jój skarbcem.“

Zdaje się iż Niemcy przypomnieli sobie to zdanie, gdyż obchodzili się z miastem jak ze skarbcem. Przechodzili tedy co soboty, jak przychodzimy do kasy, zatrzymując się tylko na czas wystarczający do napełnienia worka talarami i napojenia koni.

Pewnego dnia kazano radzie miejskiej wysłać żywność dla wojska nieprzyjacielskiego, obozującego w okolicy. Robotnicy, pozbawieni chleba, zatrzymali i zrabowali transport. W dwie godziny później przybywa drugi rozkaz od jenerała pruskiego. Jeżeli nie otrzyma żywności, spali Mühlhaus. Biją na alarm, zwołują obywateli kwoli uspokojeniu 24,000 robotników którzy już tłukli okna w ratuszu, lecz gwardya narodowa nie miała broni, gdyż odesła swoje karabiny do Belfortu. Rada miejska odpowiada jenerałowi

pruskiemu, iż bunt wybuchł w mieście. Nazajutrz wkracza do niego 10,000 Niemców i nakładają rekwizycję za 250,000 franków.

W tydzień później nie widziano nieprzyjaciela w obwodzie mil dziesięciu. Z jakąż radością odetchnęło Mühlhaus! Wierzyło, że odzyskało wolność. Nieupłynęło dwie doby, a Prusacy wrócili. Komendant ich żąda od miasta nie mającego dochodów 40 podwodów lub 40,000 franków, 6,000 kaftaników flanelowych, 18,000 cygar, 20,000 racyi paszy. Oprócz tego nakłada 50,000 franków kary za kamienie, ciskane na jego oddział w dzień wymarszu. Za tę zemstę zrozpaczonęj i rozbrojonęj ludności, poprzednio już 4 obywatele stracili życie.

Komendant dodał, iż każe bombardować miasto, gdyby nie odesłano téj rekwizycyi w godzinie wymienionęj.

Wtedy ujrzano starca siwego, z orderem pruskim na piersi obok dekoracyi legii honorowéj. Szedł sam jeden na spotkanie nieprzyjaciela zbliżającego się ze swojemi działami. Artylerzyści trzymali w rękach tlejące lonty.

Ten człowiek, ten wielki obywatel, Jan Dolfus, burmistrz Mühlhaus'u, założyciel miast rękodzielniczych, tak przemówił do wodza nieprzyjaciół:

— Postępujesz niegodziwie z miastem bezbronem. Jeżeli spełniasz te czyny barbarzyńskie z woli twojego krola, racz mu zwrócić tę dekoracyą, którą mnie niegodys obdarzył.

Pan Dolfus zerwał order z piersi i cisnął nim pod nogi komendanta. Oburzony żołnierz chwycił starca za kołnierz:

— Wiesz—rzecze do niego—że ludzie postępujący jak ty, zasługują na rozstrzelanie?

— Więc każ mnie rozstrzelać, jeżeli śmiesz—odpowie p. Dolfus spokojnie.—Świat dowie się, jakim nędznym zbójom rzucano kraj mój na pastwę.

Ta odwaga i krew zimna rozbroiły komendanta. Zadowolnił się napełnieniem kieszeni owemi 50,000 frankami i orderem swojego monarchy.

Nietylko nałożono na Mühlhaus rekwizycyę pieniężną. Prusacy przyszli pewnego dnia i kazali aptekarzom miejskim odesłać do obozu 25 kilogramów maści, używanéj w chorobach, w których odwołują się do pomocy doktora Alberta.

Innego dnia przyszedł kapral na czele dwudziestu żołnierzy do sekretarza miejskiego i rzekł: „*wir brauchen makulatur*“ (potrzeba nam makulatury). Sekretarz nie zrozumiał żądania. „*Ja, makulatur für cabinet*“ (tak, makulatury do klozetów) zapewnił kapral.

W zamkach francuzkich, ci potomkowie Gotów i Wizygotów, których przezwano *saligołami* (*saligaud*, brudas), obracali na makulaturę jedwabne franki i adamaszki.

Rekwirowali nawet kruczki do wciągania butów, Oficerowie wybierający się na spacer rekwizowali karety. Kazali sobie dawać klizopompy, które uważali za rodzaj nergili, skutkiem długich cybuchów kauczukowych. Dowódcy korpusów wymagali co dnia: „dobrego starego wina“, koszów szampana, kuropatew nadsziewanych truflami, rozmaitych nowalij i *detikatesen* (\*).

---

(\*) Wyraz *delikatessen*, czyli delikatne jadro, określa w języku niemieckim następujące rzeczy: „3 uda cielecco, 2 grzbiety cielecco, 6 pulard, 3 gęsi, 5 kaczek, 3 jędyki, kosz kalańiorów, szpinaku, grochu zielonego (we Wrześniu!), zielonéj i białéj fasolki, 2 puszki sardelek, 10 kilogramów masła, różne séry, kosz



Jeżeli nie mają wymówki do nakładania kontrybucyi, wymyślą takową. W Dornach'u i bram Mühlhaus'u dozorca pruski wykoleił pociąg, skutkiem własnej nieogłędności. Małą tu gminę skazują na 25,000 franków kary. W Carspach'u obalił wiatr słup telegraficzny. Biedna wioszczyna musiała zapłacić 2,000 franków. W Altkirch wpada koń ułański do wilczej jamy: 8,000 fr. wynagrodzenia. Do Guebwiller przybywa oddział pruski, kwoli przywróceniu porządku, który nie był zgoła naruszony. Kaczan jabłeczny spada na głowę jednego z oficerów. Nakładają na wieś 10,000 franków kary.

Miasto Mühlhaus, obarczone nad siły rekwizycjami narozmaitszemi, znajdowało się w tém trudniejszym położeniu, iż wyrobnicy nie mieli zajęcia. Pan *Kreis-Direktor* pruski kazał sobie przedstawić rachunki miejskie, natychmiast po swoim przyjeździe, zapewne w nadziei, że będzie mógł co... pożyczyć. Wyobraźcie sobie jego osłupienie, gdy się przekonał, że miasto wydało już 80,000 franków jedynie na karmienie robotników! Pan *Kreis-Director* wniósł na tejże sesyi, żeby wezwać jego rząd, w celu ponoszenia połowy tego wydatku.

Pan Jan Dolfus zabrał głos:

— Nigdy, póki żyję, nie przyjmę grosza od króla pruskiego.

— Któż jednak pokryje deficyt? — pyta p. *Kreis-Director*.

— Ja, mój panie.

\*

\*

\*

---

ogórków, 8 melonów, 30 gruszek rozplywających się w ustach, 25 brzoskwiń, winogrona.“ (Rekwizycya z 30 Września, na obiad w głównej kwaterze ks. Fryderyka Karola).

Do rekwizycji przyłączono najohydniejsze dokuczliwości. Żołnierze rabali mieszczańskie pałazami. Pewien obywatel Mühlhaus'u umarł skutkiem ran odniesionych w takiej zaczepce. Pogrzeb dał pierwszy powód do wspaniałej manifestacji, a nawet kobiety szły za trumną, wbrew zwyczajowi tutejszemu, wykluczającemu kobiety z obchodów pogrzebowych. Był to wielki dowód odwagi wobec żołdactwa czyhającego na sposobność plondrowania i zabijania.

Nienawiść przeciw najeźdźcom okazuje się tu w sposób hałasliwszy i zwadliwszy niż w Strassburgu i Metz. To burzliwe miasto bawi się w psoty uliczników. Dowody antypatii nie ograniczają się na roztropnym milczeniu, lecz okazują w biały dzień, na ulicy, bez obawy pałaszy i pistoletów. W Metz wymyka się z kominów zamkniętych domów czarny dym nienawiści, W Mühlhaus bucha z nich piękny, gorejący pożar o żywych i trzeszczących płomieniach. Płatają tu w zawody psoty, wyszydają ich, podrzucają w kołdrze, nakształt oberżystów hiszpańskich męczących Don Kiszota. W dniu optowania przenosi p. B. obywatel tutejszy, swoją siedzibę do Francji w następujący oryginalny sposób: On idzie na czele, zanim idą żona, dzieci, niańka, dwaj parobcy — jeden chromy, drugi jednooki. Jeden z nich wiezie na sznurku baldoga, drugi kozę. Na dworcu ustawia p. B. całą swoją komendę przed kasą i powiada do urzędnika: „policz tę trzodę.“ Urzędnik liczy 7 osób. „Liczyć jeszcze raz, opuściłeś niektórych.“ Każe dać bilety dla swego psa i kozy wołając głośno, że i one oświadczyły, iż nie chcą żyć pod panowaniem pruskim.

Innym razem musiała policja polować po ulicach na dziwnego zwierza, w postaci pudła z głową pasową, ogonem błękitnym, białym grzbietem i podbrzu-

szem: istna chorągiew francuzka czworonożna i uciekające co tchu starczyło. Rozumie się, że policya ściagała go zapamiętale, ku wielkiej wesołości mieszkańców. Raptem chroni się pies w bramie domu—domu samego pana *Kreis-Director'a*! Ten poznaje w zwierzęciu własnego psiaka, którego jacyś filuci złapali i pomalowali.

Z jaką złośliwą minką opowiadają oni o tych psotach! Jak umieją wyszydzać zwycięzcę. Cóż z tego, że silniejszy, kiedy zawsze głupszy od nich. Dotąd jeszcze wysmiewa cały Mühlhaus 2 żołnierzy pruskich, którzy przedstawili się pewnego wieczora pewnej damie, żądając jedzenia i kwatery. Dama nakrywa stół i kładzie dwie piękne, czyste serwety. Wojący brandeburscy patrzą na siebie; odważniejszy ośmiewa się nareszcie rozwiniętą serwetę, uciera nią nos i chowa ją do kieszeni. Kolega naśladuje z rzędu ten przykład, rozwija także serwetę, uciera nią nos i zabiiera ją.

Strażacy ogniowi Mühlhaus'u, godni bracia strassburskich i messeńskich pompierów, śpiewali marszylankę i *Chant du départ*, przeciągając pod mieszkaniem jenerała pruskiego, podczas gdy ze wszystkich sąsiednich okien sypano na nich gradem kwiatów. Gdy *Kreis-Director* postanowił zamalgamować pompierów ze strażą policyjną, proszą o przedśmiertną łaskę, żeby spróbować nową sikawkę. W liczbie 300, w paradnych mundurach, z bębnami i muzyką obwożą po ulicach miasta swoją sikawkę, pomalowaną w trójkolor francuzki. Złotemi literami wypisali na niej donośne jej nazwisko: „Nadzieja.“ Wieczorem urządzili koncert i bankiet, pod prezydencją pani i panny Koechlin-Schwartz.

Bardzo rano nazajutrz przychodzi rozkaz do władzy miejskiej, by złożyć z urzędu organizatora tej



świetnej demonstracji, pana Koechlin-Schwartz. Opierano się rozkazom. Gdy wreszcie ustąpiono przemocy, wszyscy strażacy podali się do dymisy, wraz ze swoim odważnym dowódcą. Po sześciomiesięcznych zabiegach zorganizowano nowy oddział straży ogniowej, do którego obywatele Mühlhaus'u tylko pod tym warunkiem wstąpili, że mundur francuzki zostanie prawie niezmienny.

\*

\*

\*

Obywatel Mühlhaus'u był przed wiekiem Szwajcarem i zachował w duszy i charakterze zwyczaje wolnego ludu. Śmie wypowiadać swoje myśli i tak myśli, jak mówi. W oczach Niemca jest on najniebezpieczniejszym żywiołem alzackim, gdyż traci wonią republikańską, która przypomina zapach mazi na okręcie, co niegdyś uwiózł do Anglii jego bóstwo.

Powierzchnowość Mühlhaus'u, zarówno z Metz'em, nie ma nic wspólnego z architekturą niemiecką. Nie spotkasz tu ciasnych uliczek, szyb oprawnych w ołów, dachów kończastych. Przeciwnie ulice tutejsze są szerokie, poważne, może sztywne cokolwiek, prawie godne imienia bulwarów. Domy dźwignięto trwale i urządzono wewnątrz wedle zasad komfortu francuzkiego.

Mühlhaus było najpierw lennikiem kościelnym. Biskupi strassburscy i cesarze niemieccy walczyli o jego posiadanie. Gdy Rudolf habsburski ciągnął w roku 1260 na pomoc zagrożonemu miastu, otrzymał wiadomość o swoim wyniesieniu na godność cesarską. Natychmiast ogłosił Mühlhaus miastem wolnym, cesarskim. Następcy jego rozszerzyli przywileje tego niezależnego grodu.

Kodeks kryminalny formalnie zaręczał nietykalności pomieszkań. Mieszczanina, który po dopuszczeniu się zbrodni schronił się do własnego domu, nie wolno było aresztować. Trybunał zbierał się na jego żądanie pod bramą domu, a on odpowiadał na zadawane pytania i bronił się z okna. Nawet po skazaniu na śmierć lub więzienie mógł uciec z miasta. Przyznać wypada, że krewni lub przyjaciele ofiary tak dobrze go strzegli, że uniknienie ich zemsty bywało rzeczą bardzo trudną. Za ratuszem Mühlhaus'u wprost ulicy Wilhelma Tella, widzimy dziś jeszcze przedmiot dziwaczny, zawieszony nad budką policyjną. Jest to głowa wyciosana z kamienia, krzywiąca się i wyszczerzająca język, przymocowana do ratusza łańcuchem. Pod nią czytamy czterowiersz:

*Zum Klapper's Stein bin ich genannt  
Den bösen Mäulen wohl bekannt  
Wer Lust zum Zank und Hader hat  
Der muss mich tragen durch die Stadt.*

Nazywają mnie kamieniem oszczerców,  
Złe języki znają mnie dobrze,  
Kto lubi kłótnie i swary,  
Musi po mieście mnie nosić.

Kara „kamienia oszczerców“ istniała do przeszłego stulecia. Wedle archiwów Mühlhaus'u dźwigała go po raz ostatni w r. 1753 kobieta, która obmówiła swoją sąsiadkę. Ubrano ją w strój pokutnicy, a pospólstwo biegło za nią z szyderczemi okrzykami.

Mühlhaus przyłączyło się w r. 1348 do Ligi Alzackiej, nabywało wsie, utrzymywało swoją niezależność i zawierało przymierza. Traktatem Westfalskim wcielono Mühlhaus do Związku Helweckiego. W téj szcze-

śliwej epoce zjednoczenia zakwitła miéscina, wzrosła, została grodem spokojnym i rzuciła się na drogę przemysłu. Samuel Kocchlin, Jakób Smalzer i Jan-Henryk Dolfus założyli tu w r. 1746 pierwszą fabrykę kolorowych płócienek, która stała się zarodem ogromnych przemysłowych zakładów, dziś tu podziwianych. Mała rzeczpospolita Mühlhaus'u, ujęta zupełnie w obrębie posiadłości francuzkich i oddzielona od Francyi nieznośną linią, wysłała w r. 1790 deputacyą i zażądała, aby ją wcielono do wielkiej rzeczypospolitej.

Była to unia zupełnie dobrowolna i dokonana z zawiadomieniem Związku Szwajcarskiego.

Mühlhaus nigdy nie było więc miastem niemieckiem, w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz miastem *wolnem* i miastem *helweckiem*—co na jedno wychodzi.

Przyłączając się do Francyi Mühlhaus liczyło zaledwie 5,000 mieszkańców. Liczba ta wzrosła szybko pod panowaniem francuzkiem do 65,000. W r. 1872 liczono tu 83 fabryk, z 286 maszynami parowymi, pędzonemi siłą 7,000 koni.

Rękodzielnictwo Mühlhausu przeżyło bolesne przesilenie. Niemcy nakreślili pomiędzy niem i Francją linię krwawą. Francya, dla okupienia klęsk swoich, musiała nakreślić linię celną. Co do Niemiec, nie ma z nimi interesów; płacą źle—jeżeli płacą. Jednakże Mühlhaus nie traci odwagi, pracuje i walczy. W locie bieżącym (1876) urządziło jego towarzystwo przemysłowe wystawę, która dowiodła i świadczyła, że obecne położenie zdoła się poprawić. Była to uroczystość prawie czysto francuzka, a bal który po niej nastąpił paryzki prawie co do uroku, wykwiintnej kokieteryi i strojności pięknych córek Mühlhaus'u. Zadowolniły się one wyłącznie przemysłem krajowym. Stroje ich,



choć wykrojone z materij bawełnianych, tak się mieniły barwami, iż wyglądały naksztalt materij jedwabnych lub aksamitnych.

\*

\*

\*

Ta ludność alzacka jest rzeczywiście niewyczerpaną w objawach wierności. Wszystko służy jej za dowód do patryotycznych manifestacyj i za wymówkę, aby okazać swoje francuzkie uczucia. Gdy garnizon strassburski upajał się wczora strumieniami piwa na pamiątkę strumieni krwi rozlanej pod Wörth'em, w każdym oknie sklepowem tamtejszem zjawił się wieńiec nieśmiertelników, związany trójkolorową wstążką.

Dziś znów opowiadano mi historyjkę tkliwą w swoim rodzaju. W pewnej wsi nad wyższym Renem gnieździły się bociany na chacie chłopca. W wilią dnia w którym piskłeta latać mogły, chłop wylazł w nocy na dach i śpiącym bocianiątkom przyprowadził trójkolorowe kokardy. Nazajutrz powstało wielkie zamieszanie we wsi. Mieszkańcy zbierali się w gromadki i pokazywali sobie młode bociany, spacerujące po polach z patryotycznymi godłami. „Nawet bociany—wołano—chcą zostać Francuzami.“

Biedne bociany! żandarmerya pruska omal nie pozabawiła was życia. Chcieli je rozstrzelać.

Oto przed godziną przechadzałem się po okolicy Mühlhaus'u, w tej pięknej alei topolowej, ciągnącej się wzdłuż kanału. Drzewa te tak harde, piękne i proste, że w myśli porównywałem je z dziećmi Alzacyi, które nigdy się nie chylą ani zginają. Słuchałem słodkiego szmeru ich liści—zdawało się, że szepotały z wiatrem o nowinach z Francyi. Jaskółki muskały wodę, koniki w trawie po raz ostatni uderzały

w rzegotki. Po za nami przedły kominy fabryczne dym przypominający bawełniane puchy snujące się po perłowym i różannem niebie; przed nami, nad pagórką, zachodziło słońce do łoża ze złota i purpury. Było to słońce biblijne, wysyłające pęki promieni czerwonych, niecących pożar na całym widokregu. Rzekłbyś że to jutrznia. Towarzysz mój, mieszkaniak Mühlhaus, powtarzał półgłosem te pocieszające wiersze starożytniej wyroczni: „Naród omdlewający w niewoli ujrzał wielkie światło; światło weszło dla tych, którzy siedzieli w królestwie ciemności i śmierci.“

Staął nagle jak wryty i chwycił mnie za ramię. Zaprowadził mnie do pnia:

— Omal nie minąłem go bez pokazania tobie. Jest to sławna topola Mühlhaus'u. Znasz jej historję?

— Opowiadano mi ją raz, lecz niedokładnie.

— Więc opowiem ją szczegółowo, gdyż miałem udział w zajściu.

„W r. 1873, w święto Wielkiej nocy, po wyjściu z nabożeństwa, rozszerzyła się pogłoska, że trójkolorowa chorągiew powiewała w alei nad kanałem. Wszyscy pobiegli tam; gdy ujrzeli chorągiew zawieszoną na szczycie topoli, ogólny okrzyk „Niech żyje Francya!“ wydarł się z ich piersi nakształt eksplozyi.

Policya pruska długoucha i nie znająca żartów w tego rodzaju objawach wnet zabrała się do dzieła. Zawezwano właściciela pola przed nami, żeby usunął to godło buntownicze. Odmówił, twierdząc, że nie on je tam zawiesił. *Kreis-Director* ofiarował 30 talarów nagrody temu, coby wylazł na drzewo i zdjął sztandar nieprzyjacielski. Tylko jakiś cieśla badeński ofiarował się do téj usługi; zaledwie że wylazł na pierwsze gałęzie, takowe pękły z trzaskiem, on zaś spadł jak długi na grzędę pośród śmiechu obecnych.

Podpiłowano gałęzie!

Tymczasem zadenuncyowano w liście bezimiennym doręczonym p. *Kreis-Directorowi* p. N. byłego właściciela kawiarni, jakoby on w nocy zawiesił tę zakazaną chorągiew na wierzchołku topoli. *Kreis-Director* udał się do spoczynku z uśmiechem zadowolenia. Na-  
zajutrz raniutko każe się wieść dwom policyantom do p. N. aby go schwytać skoro z łóżka nogę wychyli. „Będziemy go *schlagen* (bić) aż polezie po swoją chorągiew“ powtarzał on w drodze.

Przychodzą; dzwonią.

Mężczyzna w bieliźnie i szlafmocy, mężczyzna ogromny, wydęty od tłuszczu, rodzaj pęcherza ludzkiego kształtu, rzetelny olbrzym ważący 150 kilogramów, zjawia się na progu.

— Pan N...? pyta *Kreis-Direktor*.

— Ja nim jestem, mój panie!

— Co... co...

Odpowiedź pana N. tak odurzyła urzędnika iż nie zdołał wybełkotać zdanie. Wreszcie wysilił się na słowa:

— Pan nim jesteś? czy na prawdę pan nim jesteś?

— We własnej osobie.

— Wybacz w takim razie, że cię trapiłem tak rano. I zbiegł klnąc że aż schody drżały.

Sąsiadki stały w oknach i słyszały jak pan *Kreis-Director* mówił do swoich ludzi: „Niech diabli wezmą ten lud przeklęty. Ale obecna mistyfikacja będzie ostatnią... zetnijcie topolę.“

„Zetną topolę!“ Słowa te szły z ust do ust z szybkością elektryczną. O pół do pierwszej przeszło 10,000 osób zapełniło drogę do Diepenheim'u. Rozdą-



sani agenci policyjni usiłowali na próżno odepchnąć tę powódź najeźdźczą. Bogaci kupcy Mühlhaus'u przybyli w swoich powozach; wszystkie oblicza uśmiechały się ironicznie. Do koła drzewa stało ze 30 żołnierzy, uderzających weń siekierami i drących je piłami. Waleczna topola opierała się dobrze. Można było powiedzieć, iż wyprężała się i ściągała swoje włókna, albowiem pot płynął z napastników strumieniami. Wreszcie rozdarł powietrze trzask. Drzewo zachwiało się, wreszcie upadło z głuchym łoskotem na ziemię, przy potężnem „Niech żyje Francya!“—30 żołdaków rzuca się ze wściekłością dzikich zwierząt na chorągiew i drze ją nakształt łupu... Na ten widok drżą wszyscy, porozumiewają się gniewnemi spojrzeniami, lecz wypada hamować się, gdyż nie mają broni. Skoro oddalili się żołnierze, rzucono się na drzewo; każdy pragnął otrzymać częśćkę jego kory, jedną z jego gałązek lub listków. Przypinano je do kapełuszy, wkładano w dziurki od guzików, posyłano wszystkim Alzacyanom rozprószonym po za granicą, a ten pień poważny na który patrzysz tworzy dla nas relikwię do dnia dzisiejszego. Chwytny się słomek, nakształt rozbitków.

Nazajutrz wznosił się nad pniem topoli czarny krzyż z napisem: „poległ za ojczyznę.“ Drzewo patryotyczne znalazło swojego poetę. W piwiarniach, w kawiarniach, w salonach powtarzano hymn do topoli, przepisywano go na sto rąk, przypinano szpilkami pod szczątkami chorągwi lub gałązkami drzewa.“

— Mścimy się jak umiemy, mój panie. Że Alzacya jest na skroś francuzką, dowodzi zemsta piosenkami.

Pierwszem zadaniem Niemców w Mühlhaus, za-

równy jak w Strasburgu, było budowanie koszar. Kasernia wznosząca się na drodze do Illsach przedstawia się jako gmach olbrzymi, którego budowanie zaczęte przed dwoma laty, jest na ukończeniu. Dwa pawilony przylegające doń wrzypominają Tuilerie. 6,000 żołnierzy zmieści się w tych koszarach, kosztujących już 6 milionów.

Na mocy prawa cesarstw z r. 1773 wydzielano z indeminizacyi wojennej 19 milionów marek, kwoli rozszerzeniu fortyfikacyj Strassburgu, Metz'u i t. d. a 9 i pół mil. na dźwignięcie koszar, stajni i innych zakładów dla garnizonów w prowincyach wcielonych. Ren wyższy, od Bazylei do Kehl, będzie broniony za pomocą ufortyfikowanych mostów, połączonych strategiczną koleją żelazną. Most na stacyi Huningue, blisko Bazylei, ukończono już; odgrąza się on wąwozowi Belfort'u. Budują inny w Nauemburg'u, który połączy linię z Paryża do Mühlhaus z nową linią strategiczną z Munsterthal'u. W końcu, most pod starem Brisach'em zostanie także otwarty niebawem.

Na ulicy nie spotkałem ani jednego żołnierza, podczas gdy roją się w Strassburg'u i Metz'u. Ludność niemiecka jest tutaj mniej liczną niż w innych miastach Alzacyi-Lotaryngii; zresztą żyje na uboczu, w swoim getto. Urzędnicy pruscy nie stykają się zupełnie z mieszkańcami. Jedna strona szpieguje drugą i czuwają nad sobą; skoro Prusak zbliży się na krok do mieszkańca, ten obraca się do niego plecami.

— Niemcy, z natury grubiańscy i brutalni, nie pojmują grzeczności wesołej i godnej; nie mają oni poczucia cywilizacyi—powiadał do mnie pewien obywatel Mühlhaus'u, którego pytałem o postęp germanizacyi rzetelny stan obecny Alzacyi-Lotaryngii.—Francya

przeciwnie, Francya jedna miłość i szybko zdobywa serca. Nadreńczycy zostali zawziętymi Francuzami pod panowaniem francuzkiem.

— Francya zawsze mniej rządziła przemocą, niż wdziękiem swojego dowcipu i pojętą swojego obejścia. Cóż mogą zresztą dać Niemcy narodom zawojowanym? Część swojego łańcucha. Gdziekolwiek zagnieżdżą się Prusy znika wolność. Posiadają też nadto dumy, zuchwalstwa i pedanteryi, do zjednania sympatyi tych, których zawojowali na karę za grzechy. Duma francuzka jest lekkomyślną, dobroduszną, wiodącą do samochwalstwa. Gdy Francya zagarnie jaką prowincję obchodzi się z nią jak z Benjaminem lub zepsutem dzieckiem. Niemcy przeciwnie uczą ofiary swojej ambicyi, skutkiem jakich przyczyn etnograficznych, historycznych, estetycznych, filozoficznych i moralnych zmuszeni są udusić zwyciężonych w swoich braterskich uściskach. W tem mój panie leży cała różnica. Dodajmy, iż nasi ciemężyciele opierają cały swój system na bezwładnem posłuszeństwie. W ochronkach śpiewają dzieci hymny na cześć panującego przed pochwałami Boga. Nie dziw też, iż żandarmi powtarzają chłopom: „Cesarz Wilhelm jest potężniejszy od Boga, bo do Boga mówicie „Ty,“ do Najjaśniejszego pana „Wy.“ Nowicyat wojskowy zabiera dzieci wnet po wyjściu ze szkoły, później następuje landwera, landsturm, życie niewolnicze, pod żelaznem prętem pruskiego kaprała.

— Rzeczy nie idą torem—ciągnął dalej mowca—zadawałniającym Prusakom. Gazeta Kolońska oświadczyła niedawno z żalem, że „ludność okazywała się równie buntowniczą, jak nazajutrz po wcieleniu i że opinia publiczna jest do tego stopnia rozjątrzoną przeciw tym co przyjęli niższe urzęda pruskie, iż od da-



wna nikt się nie zgłasza o posady opłacane przez państwo.“ Uwaga tak dalece jest trafną, że nawet osoby znakomite przychylnie Prusom nie odważają się pokazywać publicznie. Wiesz pan, iż p. Coulaux, właściciel fabryki broni siecznej w Mützig'u i Klingenthal'u otrzymał ostrą nauczkę od swoich biednych robotników. Porzucili oni zakład, nie chcąc, jak mówili, „kuć broni, któraby w danym dniu mogła zabijać ich francuzkich synów.“

Optowanie nie było opuszczeniem ognisk domowych najechanych przez Niemców, lecz protestacją przeciw wcieleniu, zatwierdzeniem publicznem i jednogłośnem uczuć francuzkich w Alzacyi-Lotaryngi, i żądzy pozostania przy Francyi.

Optowanie było rodzajem plebiscytu na korzyść Francyi. Otóż ten akt oporu nigdzie nie okazał się równie silnym jak w Mühlhaus, Kolmarze, w departamencie Niższego Renu.

Ileż to scen rozrzewniających zdarzyło się w tych prowincjach tak srogo nawiedzonych wojną i okupacją nad rok trwającą. Ile przeszkód stawiano optowaniu! Biura w których miała się odbyć deklaracye otwierano tylko 2—3 godziny w ciągu dnia. Świadectw nie oddawano w przeciągu miesiąca. Warunek *rzeczywistego* przesiedlenia się za granicę, wkładany na tych którzy chcieli pozostać Francuzami, przechodził siły większej części rzemieślników i chłopów. Emigrowali oni jednak. 9 Czerwca 3,000 robotników z Mühlhaus udało się do Belfortu z chorągwią na czele, aby się tam osiedlić. 1,400 Alzacyan udało się do Algeryi, 17,000 popłynęło do Kanady. Starcy, którym zaledwie kilka lat życia pozostawało, także emigrowali; nawet wyrobnik złożony ciężką chorobą wybrał się w drogę

pomimo rozpaczliwego stanu zdrowia. Wsiadł do pociągu pomiędzy Mühlhaus i Belfortem. „Bylbym nie umarł — mówił — póki nie dotknę ziemi francuskiej.“

Umarł po przyjeździe do Belfortu. Pochowano go 1 Października. Przeszło 10,000 osób szło za tym skromnym rzemieślnikiem do miejsca jego ostatniego spoczynku. Składka zebrana dla jego wdowy wynosiła z górą 2,000 franków.

Nazajutrz po optowaniu, 2 Października, o zmroku, przyprowadzili żandarmi do Mühlhaus 20 młodzieńców objuczonych swojemi torbami. Wrzuciono ich do więzienia za zbrodnię, iż chcieli opuścić Alzacyą w dobę po terminie dozwołonym. Popołudniu tegoż dnia nieszczęśliwego szła wyrobnica na spotkanie swojego dziecka, mającego opuścić szkołę ludową w Mühlhaus. Żołnierz niemiecki, który pozbył się swojej trzeźwości w karczmie, potracił ją gwałtownie, a gdy lękliwie zaliła się, dobył pałasza z okrzykiem: „milcz! teraz my tu panami!“ poczem ciał ją w czoło i głowę, zadał ciężką jej ranę i odszedł z miną zwycięzką.

Dzienniki niemieckie były zmuszone wyznać, iż liczba optujących za narodowością francuską wynosiła 658,533 w samej Alzacyi.

Rząd niemiecki uważa do dziś za nieważne optowanie małoletnich, którzy udali się do Francyi w czasie przepisany, ale których rodzice zostali w „Niemczech.“ Opierając się na paragrafie traktatu mówiącym, iż „dzieci zachowują narodowość rodziców“, władze pruskie uważają za zbiegów od rekrutacyi młodzieńców nie zjawiających się, gdy ich klasę powołują. Opcya ich jest prawną we Francyi, uznają ich tam za

Francuzów i jako Francuzi służą tam w wojsku. Gdy po uwolnieniu ze służby wracają do Alzacyi uważają ich tam jako dezterterów; żandarmini chwytają ich, wrzucają do wozów odjeżdżających do Niemiec i wcielają do jakiegokolwiek pułku, jeżeli o tyle są szczęśliwi, że nie odeszłą ich do jakiejś fortecy.

W ten sposób tłumaczą dotąd traktat frankfurcki najkapryśniej i dwuznacznie.

Rozmowa wróciła do tematu obecnej pozycji.

— Czy nie zachodzi—pytałem towarzysza mego—pewna różnica pomiędzy mieszkańcami miast i siół? Dokuczliwości policyi pruskiej są mniej liczne na wsi, chłopci bardziej tam oddaleni od władz i koszar, ich uczucia godności i honoru mniej są drażliwe.

— W małych wioskach, tak jest w istocie. Ich mieszkańcy są ogólnie usposobieni pokojowo, mało zajmują się polityką, nie odwiedzają karczmy oprócz w niedziele, rozmawiając wtedy o swoich polach i winnicach. Wójt, bakałarz i proboszcz są jedynymi osobami czytającymi dziennik, i to urzędowy dziennik departamentu, który każda gmina musi prenumerować. Służba wojskowa i zwiększenie podatków, są jedyną przyczyną niezadowolenia. Pobłażliwość i rzadkie odwiedziny żandarmów, jedynych urzędników pruskich krążących po kraju, przyczyniają się do zjednania sympatyi chłopów. Są miejsca w których żandarmini byli postrachem chłopów przed wojną, a teraz uważają ich za przyjaciół.

W licznych gminach przeciwnie, w których znajduje się kilku ludzi intelligentnych, trudniących się polityką, czytających inne dzienniki oprócz oficjalnych, mieszejących się w niedzielę pomiędzy rolników, żeby mówić o stosunkach kraju i przypominać im bezustan-



nie straconą ojczyznę, tam wszyscy znienawidzili panowanie pruskie. Małe i wielkie gminy tem się różnią, iż tamte są pozornie obojętne, chociaż wszyscy oczekują dnia szczęśliwego odwetu, gdy przeciwnie w dużych wsiach okazują otwarcie swoją nienawiść do Prus. Mówię ze znajomością rzeczy, gdyż jak wiadomo ci, moje zajęcie przenosi mnie kilka razy do roku na skroś całej Alzacyi. We Francyi przedstawiono tych nowych zagrodników na winnicach cesarza Wilhelma jako gorących prusofilów. Jestto nieprawdą i oszustwem. Słyszałem jak urzędnik pruski mówił pewnego dnia do takiego zagrodnika: „A, musisz być bardzo zadowolony. Za czasów francuzkich sprzedawałeś wiadro wina za 15—20 franków, teraz dostajesz 80—90 franków.“ „Ej, mój panie—odrzekł zagrodnik—jeżeli chcesz słyszeć prawdę, to powiem ci, że gdybyśmy mogli napowrót zostać Francuzami, oddalibyśmy chętnie nasze wino za nic.

W miastach garnizonowych przepełniła się miara niechęci ludności przeciw endzoziemcom. Zauważałem w Strassburgu, iż cała flegma urzędników i żołnierzy niemieckich zaledwie wystarcza, żeby uniknąć zatargów i zwad codziennych.

— Jak się zachowują protestanci i katolicy względem zaborców?

— Ufaj słowom *Journal des Débats*, który pod tym względem spostrzegł trafnie i rzekł prawdę: „Katolicy w ogóle tworzą klasę czynną, pracowitą i rolniczą kraju; oni, szczególnie w obec kampanii religijnej toczonej przez p. Bismarck'a, zachowują wierność dla sprawy francuzkiej, mianowicie w departamentach Niższego i Wyższego Renu. Rzecz dziwna! Żydzi, którzy z natury swojej skłaniają się do kosmopolityzmu, okazali wielką niechęć do zostania Niemcami i znaczna część

ich wołała wynieść się w kraju. Co się tycze protestantów, byłoby fałszem dowodzić, że pomiędzy nimi okazała się największa skłonność do sprzyjania aneksacyi, chociaż wspólność religijna powinna by pogodzić ich z faktem spełnionym łatwiej, niż to się dzieje w innej części ludności.

Jednakże chociaż znajduję się 100,000 protestantów w Alzacyi, zapewne nie ma 5,000—a wszyscy ci należą do ścisłych lutrów—którzyby czuli pociąg do rządu pruskiego, od kiedy usta ich zakosztowały kielicha zółci i octu. Co do katolików liczą ich tu przeszło 700,000, a Lotaryngia jest cała katolicką. Na próżno stawiają Prusy strażę i stoją na warcie; nie przeszkodzą nam w podniesieniu grobowego głazu, na którym wyrzyły końcem swojego miecza: *tu spoczywa Alzacya i Lotaryngia*; nie przeszkodzą nam oddychać powietrzem Francyi—powietrzem udzielajacem nam siłę i życie—oraz przejrzeć przez jasne plamy niebios ponurych i pochmurnych do słodkiego i pięknego błękitu ojczyzny, z której nas wygnano.

Jesteśmy Francuzami i chcemy zostać Francuzami; jesteśmy lepszymi Francuzami, niż nawet przed wojną—od kiedy poznaliśmy Niemców z bliska. Cesarz Wilhelm musiał przyznać przed kilkoma dniami, zwiedzając pobojowisko Woerth „że pojmuje uczucia Alzacyan i że czas tylko zdoła zatrzeć przypomnienie przeszłości.“ Nie pojechał też do Strassburgu, gdzie go oczekiwało to milczenie ludu, które królom służy za naukę. Wrócił na niemiecką swoją ziemię, skoro wykrzyczeli się na jego cześć chłopci badeńscy, zwerbowani w tym celu. Prawda że śniadał w zamku hrabiego Durckheim-Montmertin, w téj samej sali, w której nazajurz po Woerth, szlachetny hrabia popi-

jał wesoło szampana z głównym sztabem pruskim, podczas gdy w przyległej komnacie syn jego, oficer huzarski ranny śmiertelnie, konał za Francją.

.....

Gdy przygotowywałem się do zajęcia miejsca w pociągu do Belfortu, mieszczanin Mühlhaus'u który mi towarzyszył rzekł do mnie:

— Jeden z nestorów prasy paryzkiej wołał w dniu uwolnienia zajętych prowincyj, mówiąc o tych, które zostawały jako zakładniki w rękach nieprzyjacielskich: „Będziecie cierpieli, lecz dnie wasze będą szlachetne. Życie wasze będzie pasmem męczarni, lecz przechowacie je w grobie, a miłość śmierć przemoże. Zostańcie Francuzami i zmuscie nas, abyśmy Francuzami zostali. Zmuszając nas odebrać was, wyświadcycie ojczyźnie więcej niż obowiązkową przysługę. Nie ma dla nas pieśni radosnej, póki wy zostajecie w objęciach śmierci; jeżeli zapomniemy o was, niech prawice wasze pójdą na zatarcenie!”

— Piękne i szlachetne słowa, któreby wypadało pamiętać czasem nad brzegami Sekwany, któreby powinny zagłuszyć wrzaski nienawiści stronnictw, zjadłe głosy ambicyj i osobistych względów!

— Wyteżamy ucho łakomie i uważnie na wszystkie szelesty z Francji.. żywimy nadzieję, czekamy, bo cierpiemy... Ach, lecz polityka, widzisz pan—ta polityka, to wróg śmiertelny patryotyzmu!

— Rzeczywiście piękną i rzeczywiście wielką stroną naszych nieprzyjaciół jest ta, iż na święte imie ojczyzny—*Vaterland*—zacierają się wszelkie partye, milkną



wszelkie spory, tudzież że w tych Niemczech, podzielonych wczora, jedno już wtedy tętni serce i jedna myśl panuje. Tylko miłość ojczyzny czyni narody niezwyciężonemi. W dniu, w którym Francya zaprzestanie mieszać politykę z patryotyzmem, w dniu tym, powtórz im to pan z przyciskiem, będziemy gotowi powitać na nowo trójkolorową chorągiew na katedrze Strassburgu.

K O N I E C .





# T R E Ś Ć.

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

### W kraju Wendów i Hanowerze.

|          |      |           |      |    |
|----------|------|-----------|------|----|
| Rozdział | I    | . . . . . | str. | 5  |
| "        | II   | . . . . . | "    | 11 |
| "        | III  | . . . . . | "    | 23 |
| "        | IV   | . . . . . | "    | 38 |
| "        | V    | . . . . . | "    | 47 |
| "        | IV   | . . . . . | "    | 53 |
| "        | VII  | . . . . . | "    | 69 |
| "        | VIII | . . . . . | "    | 85 |
| "        | IX   | . . . . . | "    | 99 |

## CZĘŚĆ DRUGA.

### Nad Renem.

|          |      |           |      |     |
|----------|------|-----------|------|-----|
| Rozdział | I    | . . . . . | str. | 116 |
| "        | II   | . . . . . | "    | 127 |
| "        | III  | . . . . . | "    | 145 |
| "        | IV   | . . . . . | "    | 156 |
| "        | V    | . . . . . | "    | 171 |
| "        | VI   | . . . . . | "    | 183 |
| "        | VII  | . . . . . | "    | 192 |
| "        | VIII | . . . . . | "    | 204 |
| "        | IX   | . . . . . | "    | 213 |
| "        | X    | . . . . . | "    | 330 |
| "        | XI   | . . . . . | "    | 239 |



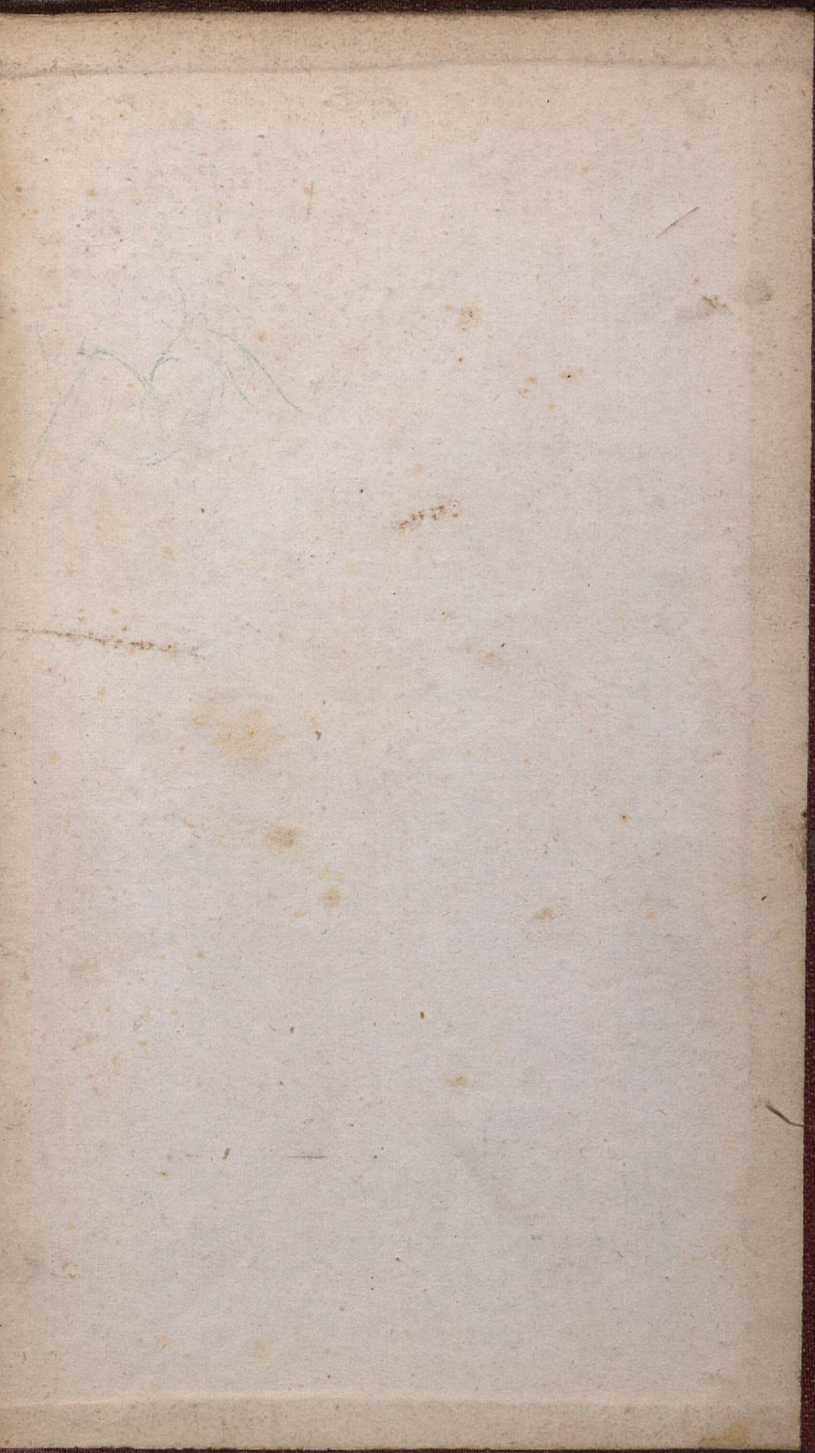
200  
KW.

200  
~~30.000~~  
73  
75

CZĘŚĆ TRZECIA.

W Aalzacji-Lotaryngii.

|          |      |   |   |   |   |   |      |     |
|----------|------|---|---|---|---|---|------|-----|
| Rozdział | I    | . | . | . | . | . | str. | 267 |
| "        | II   | . | . | . | . | . | "    | 375 |
| "        | III  | . | . | . | . | . | "    | 283 |
| "        | IV   | . | . | . | . | . | "    | 291 |
| "        | V    | . | . | . | . | . | "    | 321 |
| "        | VI   | . | . | . | . | . | "    | 321 |
| "        | VII  | . | . | . | . | . | "    | 342 |
| "        | VIII | . | . | . | . | . | "    | 366 |
| "        | IX   | . | . | . | . | . | "    | 373 |
| "        | X    | . | . | . | . | . | "    | 386 |
| "        | XI   | . | . | . | . | . | "    | 429 |
| "        | XII  | . | . | . | . | . | "    | 436 |
| "        | XIII | . | . | . | . | . | "    | 442 |
| "        | XIV  | . | . | . | . | . | "    | 456 |





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000701252



I 67366